

Maria Galina

Patrzący z ciemności

przełożył Andrzej Sawicki

„Gladjaszczyje iz tiemnoty”

Kroniki Leonarda Kalganowa, ksenologa

Przyznaję, że przedzierając się przez głęboki las, chciałbym kiedyś trafić na jednorożca. W przeciwnym razie, jakąż przyjemność czerpałby człowiek ze żmudnej wędrówki przez gęstwinę?

Nigdzie nie powiedziano, że one nie istnieją, ale może się okazać, iż są inne niż opisywane w książkach... i jeżeli się dowiesz, że gdzieś W głębokim lesie żyje jednorożec, lepiej nie wchodzić tam z dziewczyną.

Umberto Eco

Zobaczył święto na niebie, kiedy zmęczony świętowaniem na ziemi wyszedł na balkon. Oślepiająca eksplozja i pulsujący blask – najpierw biały, potem pomarańczowy i na koniec różowy. Światło było tak jaskrawe, że spod przystrzyżonych drzew w parku wystrzeliły długie cienie, a pod jego dłonią zarysowała się koronkowa rzeźba na kamiennych kolumnkach balkonu.

– Cholera jasna! – mruknął do siebie.

Niebo mieniło się zielenią i purpurą, niczym pierś gołębia, on zaś nagle wyobraził sobie, że gdzieś tam, w jakimś odległym punkcie przestrzeni, drząc i wibrując, ściągają się w węzeł absolutnie umowne, ale niemniej w jakiś osobliwy sposób realne, linie pól grawitacyjnych. „W każdym razie łączności długo jeszcze nie będzie – pomyślał. – Bez wątpienia”.

Niespodziewanie pojawił się na placu margraf, zamiatając rękawami paradnej odzieży marmurowe płyty posadzki. Najwyraźniej niezwykle widok przeraził go znacznie bardziej niż oświeconego Terranina, dla którego niebiański fajerwerk był tylko astronomicznym zjawiskiem – powodującym co prawda naruszenie łączności z bazą i zapasć punktów przejść międzygwiazdnych – ale trzymał się godnie, jak przystało osobie zajmującej wysoką pozycję społeczną.

– Jak pan sądzi, pośle – zapytał uprzejmie – czy to jakiś zwiastun?

Leon westchnął.

„Świadomość ludzi średniowiecza – głosił podręcznik etnografii – żyje jakby w dwóch światach; świat niematerialny, zamieszkały przez anioły, diabły i dusze zmarłych, styka się ze światem materialnym, z jego codziennymi sprawami i zwykłymi ludzkimi reakcjami, co stwarza sytuację paradoksalną i rodzi napięcia, które mogą pociągać za sobą nadzwyczajne skutki”.

Dlatego też każde niecodzienne zjawisko jest dla nich zwiastunem czegoś niezwyklego. Tęcza – to uśmiech Bożej Córk, burza – gniew Mrocznego, supernowa...

– Czy to koniec świata? – grzecznie zapytał margraf.

– Mało prawdopodobne – Leon otrzepał dłonie z gołębic odchodów, którymi usiana była balustrada. „Zjawisko dostatecznie efektowne, aby wywołało panikę. I aby stało się zaczynem legend – pomyślał – ale zdarzyło się za daleko, żeby w jakikolwiek sposób wpłynęło na ten świat. Może dojść do jonizacji atmosfery... ale oni nie zdążyli jeszcze wymyślić radia”. – To po prostu zjawisko astronomiczne, śmierć gwiazdy.

– Jeżeli tak jest w istocie, to naprawdę piękna śmierć – stwierdził margraf.

„Ugrzęźniemy tutaj – pomyślał Leon. – Utkniemy na dobre. A to będzie gorsze od końca świata”.

– Widziałem podobny rysunek w starych rodzinnych kronikach – stwierdził margraf.

– Skrzydlata gwiazda, gwiazda ptak pożerająca dusze grzeszników. W objawieniach Oruda Odstępcy, pośle Leonie, powiedziano...

– Za pozwoleniem, wasza jasność – sprzeciwił się Leon. – Przecież to nie jest tekst kanoniczny. Drud był w końcu odstępcą. A gwiazda to ciało niebieskie znacznej wielkości. W określonym czasie przechodzi zmiany, starzeje się i umiera – jak wszystko inne. Waszym poddanym nic nie zagraża.

Teraz niebo było bladoróżowe w zenicie i mieniło się zielenią na horyzoncie. Pomarańczowe drzewa w ogrodzie pachniały tak, że można było dostać zawrotu głowy.

– Lepiej niech pan wróci do gości – poradził Leon. – Trzeba ich uspokoić.

– Moi ludzie potrafią nad sobą panować – sprzeciwił się margraf.

Leon odsunął ciężką portierę, przepuszczając rozmówcę przodem.

Sala była ogromna, jej żebrowane sklepienie ginęło w mroku, gdzie niewidzialni muzykanci przygrywali z galeryjek, a melodia, opadając w dół gubiła się w gobelinach. Na nich zakuci w stal rycerze pędzili na siebie pod zielonymi i purpurowymi wąskimi proporcami.

Ludzie margrafa rzeczywiście umieli nad sobą panować: przez salę brnął długi korowód, drgające cienie z kaganków mieszały się z liliowymi, które rzucał dochodzący się z zewnątrz blask łuny. Berg akurat prowadził taniec. Wiódł milady pod rękę, starając się dostosować do jej drobnych, płynnych kroczków.

Niebo za okiennymi zasłonami płonęło jak przedtem i Berg niespokojnie zezował w stronę okna. Potem natknął się na wzrok Leona, Ten ledwo zauważalnie pokręcił głową.

Para się rozdzieliła. Pstra stonoga zgubiła takt. Muzyka odezwała się głośniejsze, a potem nagle ucichła i wszyscy usłyszeli, że we wsi pod górą bije dzwon.

Któryś ze sług rozsunął zasłony okienne, ale nikt nie ruszył ku balkonowi; charakterystyczne dla miejscowej kultury powściągliwość i rezerwę, które nieraz zdumiewały Leona, doprowadzono niemal do absurdu.

– Zmiłuj się nad nami, grzesznymi – odezwała się margrabina i tym samym co przedtem, płynnym kroczkiem podeszła do męża. Berg skorzystał z okazji i rzucił się do Leona.

– Gdzie? – zapytał.

– Głowa Gryfa – odpowiedział Leon.

– Paskudna sprawa – Berg niespiesznie pokręcił głową. – Punkt przejścia znajduje się akurat w tamtym sektorze.

– Cóż robić...

Gdzieś daleko, w gwiazdozbiorze Gryfa, niczym niewyróżniająca się gwiazda, która

powinna była wyobrażać gryfie ucho – o ile coś takiego w ogóle istniało – zrzuciła swoją rozpaloną otoczkę. Ta zaczęła się coraz szybciej rozdymać, tracąc stopniowo jasność. Jutro jej blask przygaśnie, ale jeszcze przez kilka dni będzie lśniła na ciepłym, wiosennym niebie niczym drogocenny klejnot.

Powolny, jasnobrewy Berg westchnął ponuro.

– Przepadła nasza łączność – stwierdził. – Statek nie przyleci na wezwanie.

– Wytrzymasz – odparł Leon.

– A jeżeli to już na zawsze?

– Coś takiego jeszcze się nie zdarzyło.

– Ale przypuścimy, że na długo?

– A co, źle ci tu? Sam widzisz, jak nas hołubili.

– A jeśli trzeba będzie się szybko ewakuować?

– Co ci chodzi po głowie? – zachnął się Leon. – To spokojny świat.

„Bardzo spokojny – pomyślał. – Zwłaszcza, jak na społeczeństwo średniowieczne. Tolerancja religijna – to coś całkowicie niebywałego. Ksenologom i posłom najczęściej przychodziło pracować w społecznościach i kulturach przepojonych podejrzliwością: choć prawdę mówiąc, zdrowa agresja jest nieodłączną cechą normalnie rozwijającej się społeczności. Tyle, że ogromnie trudno nakreślić granicę pomiędzy zdrową a niezdrową agresją”.

Zawładnąwszy siecią międzyprzestrzennych tuneli i przejść, Ziemia zetknęła się z kilkoma cywilizacjami – wszystkie one mieściły się całkowicie w normach znanych modeli społecznych. Aborygeni nawet fizycznie odpowiadali ziemskim rasom – co nasuwało określone wnioski. Oczywiście, niemiło jest myśleć, że dumni przedstawiciele doskonałej cywilizacji technologicznej, w rzeczywistości są tylko spadkobiercami dawno minionej siły, która hojną ręką rozsiewała po całej Galaktyce zarodki życia...

Co prawda, w sumie na jedno wychodzi.

Pełna zbieżność i podobieństwo są niemożliwe – układ sił społecznych, religia, czy piśmiennictwo są inne, a niekiedy w istocie niezwykle, ale poza tym wszystkim ludzie wszędzie są ludźmi.

Rozum, który zrodził się i rozprzestrzenił po to, by Wszechświat mógł osiągnąć świadomość.

Ogniska rozumu są najrozmaitsze; a jednak kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, oddzielne melodie zleją się w jednogłośnie brzmiącą orkiestrę i ludzkość wyjdzie poza granice Galaktyki, by ruszyć na poszukiwania swoich nieznanymi przaprzedków.

A na razie...

Podczas kilku minionych stuleci zrodził się algorytm kontaktu: nawet nie kontaktu.

Stalej obecności. Pełnomocnego przedstawicielstwa misji działających prawie samodzielnie – a w danym przypadku, kiedy została zerwana łączność, całkowicie samodzielnie. Prawdę mówiąc, głównym celem takich misji było przyzwyczajenie aborygenów do koncepcji istnienia innych światów, by w chwili, gdy jakaś cywilizacja dojrzeje do ruszenia pomiędzy gwiazdy, umiała się pogodzić z istnieniem innych, podobnych do niej, bez strachu i obaw... Miało to prowadzić do normalnego, obustronnego i pełnowartościowego kontaktu – wymiany dóbr i informacji na równych prawach. O ile taki kontakt w ogóle będzie możliwy.

– Nawet koniec świata – stwierdził margraf – nie przeszkodzi mi w należyтым przyjęciu gości. Proszę do stołów.

Szerokim gestem wskazał obecnym przylegającą do paradnej sali jadalnię. Wszystko było już gotowe do kolacji. Dziś podawano jelenia z młodym koprem upolowanego w lasach margrafa i jakiegoś ptaka – Leon nie pojął do końca, co to było za ptaszysko. Przy kominku wygrzewały się dwa śnieżnobiałe charty, które nawet nie zadały sobie trudu by sprawdzić, czym częstuje gości ich pan. Potrawy były niezbyt wyszukane, ale smaczne i syte. Leon pomyślał, że o wiele wygodniej jest rozbierać mięso dwoma nożami, jak to przyjęto na tutejszych ucztach, niż operować licznymi widelcami i łyżeczkami, jak to się dzieje na podobnych przyjęciach na Ziemi. I nie trzeba się było obawiać, że terrańscy ambasadorowie popadną tu w tarapaty, jak ksenolodzy na Tantalusie, których z ciężkiego zatrucia miejscowymi potrawami, całkowicie nieszkodliwymi według świadectwa chemicznych analizatorów, udało się uratować jedynie dzięki pospiesznej ewakuacji. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – pomyślał. – Mogliśmy ugrzęznąć w gorszej dziurze”.

Posadzili go obok miejscowego prymasa. Kapłanów Prawej Gałęzi od Lewej można było odróżnić w bardzo prosty sposób – po ciemnym albo jasnym obszyciu skraju i rękawów zupełnie podobnych do siebie szat. Prymas był po stronie Jasności – niewykluczone, że wszyscy domownicy margrafa trzymali stronę Jasnego (co zresztą wcale nie oznaczało, że jego brat bliźniak jest niezasłużenie zapomniany).

Sąsiad Leona najwyraźniej przyjmował nadciągający koniec świata z filozoficznym spokojem i pochłaniał mięsiwo z niemalym apetytem.

– Rad bym usłyszeć komentarze waszej świątobliwości – odezwał się Leon.

– Nie zamierzam pana niepokoić – kapłan ponownie napelnił pusty już talerz mięsem, zręcznie operując nożami. – O ile mi wiadomo, nie wyznaje pan naszej wiary. Ale jeżeli nadciąga koniec świata, to nastanie on dla wszystkich.

Spojrzał na Leona i uspokajająco poklepał go po ramieniu.

– Czas to dziwne zjawisko, panie ambasadorze. W komentarzach do Pisma wyraźnie

powiedziano, że Zespolenie nastąpi wkrótce po objawieniu się bardzo konkretnych znaków. Teraz niechybnie oglądamy jeden z nich.

– Ależ... – spróbował wtrącić Leon.

– Powstaje jednak pytanie, co oznacza termin „wkrótce” – przerwał mu kapłan. – W wyższych światach czas płynie z różną prędkością. Być może bracia bliźniacy wyciągnęli już dłonie jeden ku drugiemu, ale nim ich palce się zetkną, u nas miną setki lat. W każdym razie, nie dzieje się nic nieprzewidzianego – człowiek w końcu rodzi się po to, żeby umrzeć, umiera zaś po to, by się ponownie narodzić.

Leon uprzejmie pochylił głowę.

– Zresztą, znawcy Pisma samo Zespolenie objaśniają rozmaicie – ciągnął prymas. – Być może nie będzie to pełna i ostateczna śmierć, lecz przeciwnie – pełne i ostateczne odrodzenie. Czymże jest człowiek teraz, w jego obecnej formie i kształcie, panie ambasadorze? Prawdę powiedziawszy, dość żałosna zeń istota. Ale po Zespoleniu... Kto wie, może przed ludźmi otworzą się nowe światy i Kalińskie Topiele nie będą już kresem ziemi?

Leon trącił Berga nogą pod stołem.

– Słyszałeś?

– A przy okazji, skoro już się zgadało o geografii – prymas zerknął na Berga. – Zanim przybyliście do nas z misją, niczego nie wiedzieliśmy o waszym kraju. W żadnych kronikach... Gdzie, powiadacie panowie, on leży?

– Za Wschodnim Morzem – odpowiedział siedzący naprzeciwko Berg. – Potem trzeba jeszcze dziesięć dni jechać łądem.

– Albo trzy dni płynąć rzeką – dodał Leon. – Pomędzy morzem a Terrą leżą bardzo nieprzyjazne kraje.

„Im dalej mityczna Terra leży od Średnich Marchii, tym bezpieczniej – pomyślał. – Tutaj, na niezbyt wielkim obszarze względnie żyznej ziemi, ściśniętym pomiędzy błotami na południu i górskimi grzbietami na północnym zachodzie, terytorium zostało już dokładnie podzielone. Zagrożenia należy się spodziewać od najbliższych sąsiadów, a nie ze strony dalekiego, przez nikogo nieoglądanego państwa, skąd posłowie przez pół roku przedzierali się najpierw rzeką, potem po burzliwych wodach morza, na których nawet w lecie nie ustają gwałtowne sztormy. Trąby powietrzne błakają się po widnokregu niczym stojące na ogonach gigantyczne deszczowe czerwie...”

– Mam nadzieję, że weźmiecie panowie udział w porannej ofierze? – zapytał prymas.

Berg wyraził zgodę skinieniem głowy. Leon w panice zaczął się zastanawiać, na ile starczy im jeszcze przywiezionych dóbr. Być może świątobliwych ojców zadowoli przeznaczenie tej srebrzystej syntetycznej tkaniny na obleczenie ich podwójnego ołtarza?

– Jesteście pierwszymi, którzy przybyli do nas z tak dalekich krajów – ciągnął tymczasem kapłan. – Rad też jestem, że choć mimowolnie, to samą swoją obecnością zadajecie kłam tym niebezpiecznym bzdurom, którymi nabijają sobie głowy nasze świeckie owieczki. Powiadają na przykład, że za morzem ludzie zupełnie nie są podobni do ludzi. Psie głowy mają albo coś jeszcze gorszego. Wasza obecność potwierdza istnienie jedyne boskiego zamysłu – człowieka stworzono w jednym kształcie, czy to tutaj, czy na krańcu świata.

– Wasza Świątobliwość nawet sobie nie wyobraża, jak dalece ma racje – kiwnął głową Leon.

– Nie, żebym w to wierzył, ale być może w waszych krajach mimo wszystko żyją jakieś dziwne stworzenia? Podobne do tych, jakie rysują nasi iluminatorzy Pisma? Z uszami na plecach?

– Na nic takiego się nie natknąłem – odparł Leon zdecydowanym głosem. – Ludzie wszędzie mają ten sam ludzki wygląd. A zechciejcie mi uwierzyć, Wasza Świątobliwość, niemało podróżowałem i widziałem.

I tutaj, i pod innymi licznymi słońcami, na planetach, gdzie powietrze drga pod rozpalonym niebem albo tam, gdzie suchym szeptem osypują się lodowe kryształki, a na niebie tańczą woale północnych zórz – wszędzie spotykało się ludzi, choć ich obyczaje i wierzenia wydawały się na pierwszy rzut oka obce lub dziwaczne...

– Czy uwierzą panowie, że niekiedy przychodziła mi do głowy dziwna myśl? – szepnął cicho i łagodnie prymas. – A co, jeżeli za morzem w ogóle nie ma ludzi? Absolutnie nikogo... Choćby i tam żyli nawet tacy o psich głowach... nie byłoby jeszcze źle. Ale jeżeli tam jest pustka... Wiedzą panowie... Trudno uwierzyć, że jesteśmy sami.

– Z pewnością – przytaknął Berg. – Trudno uwierzyć. Właśnie dlatego przybyliśmy tu z poselstwem.

Była to absolutna prawda.

Znalazłszy się w bocznym skrzydle, w komnatach wydzielonych dla poselstwa, Berg ponuro zaczął grzebać w ciężkim, rzeźbionym kufrze, w którym trzymali podarki, medykamenty, urządzenia do zapisu informacji i przekaźnik. Wszystko, oprócz broni. Ziemia nakładała na swoich posłów surowe ograniczenia – nie wolno im było zabierać niczego, co – gdyby trafiło w ręce aborygenów – mogłoby zostać wykorzystane w złych celach.

– W naszym aktualnym położeniu nie bardzo możemy sobie pozwolić na hojność – uprzedził go Leon. – Wystarczy ta srebrzysta szmatka.

– To nie to – mruknął Berg tonem usprawiedliwienia. – Przekażnik...

– Co z nim?

– A jak myślisz?

Cieniutkie muślinowe zasłony – znak przepychu i wysokiej pozycji społecznej margrafa – łagodnie poróżwiały, jakby od pierwszych promieni słońca. Ale lśnienie to budziło niepokój, bo blask bił z niewłaściwej strony nieba.

– I co się tak zamartwiasz? – zapytał Leon. – Coś takiego już się zdarzało. Pamiętasz Walhallę?

Na Walhalli supernowa eksplodowała całkiem blisko i sieć międzygwiazdnych przejść zapadła się w całym sektorze – tak jak zapadają się tunele we wnętrzu góry przy większych wstrząsach tektonicznych.

– A pamiętasz, ilu tam było ksenologów? – zapytał z przekąsem Berg. – Ośmiu? Kiedy przybiła szalupa ratunkowa, ratownicy z trudem odnaleźli dwóch. I to w jakim stanie?!

– Sam wiesz, że Walhalla była szalonym światem. A tutaj... przecież oni nie mają nawet porządnych więzień! Armia też jest zabawna. Wojsko nadaje się raczej do parad, niż do czegokolwiek innego. Widziałeś, jak oni tu maszerują? Zupełnie jak ołowiane żołnierzyki!

– Idylla – Berg podejrzliwie pokręcił głową. – Wiesz, nie wierzę w idyllę.

– A czemu nie?

– Bo nigdzie, na żadnym ze znanych światów, nie ma idyllicznych społeczeństw. Agresja musi gdzieś znajdować ujście.

– Jesteś pesymistą.

– Może być jawna – i wtedy jest swoiście reglamentowana i sformalizowana, albo może być ukryta – i wtedy społeczeństwo ma drugie dno. Zawsze jest drugie dno...

„Nie może być inaczej – pomyślał Leon. – On ma rację. To dziwny świat, Jego dziwność zasadza się właśnie na zwykłości – nie w uciążliwej, ponurej codzienności, a w tym, że jest znajomy. Przypomina podbarwione obrazki z dziecięcego podręcznika ziemskiej historii, albo kiepski kostiumowy film historyczny z epoki średniowiecza – kiepski właśnie dlatego, że jak każdy marny film upiększa zgrzebną rzeczywistość, nie chcąc zauważać jej ciemnych stron – błota i brudu”. Bywało, że jemu samemu, kiedy nie mogąc zasnąć leżał na niezwyczajnie miękkiej pościeli, wydawało się, że obserwuje jakieś niespiesznie odgrywane przed nim przedstawienie, Jego akcja rozciągała się na całe ludzkie życie i wystarczy mu zajrzeć za starannie porozstawiane dekoracje – a zobaczy za nimi zakurzone koła zamachowe, przekładnie i cięgła. Całą tę dziwną maszynię, podobną do sprężyn i trybów zegara na ratuszowej wieży, wprawiających w ruch paradne figury.

Potrząsnął głową, odpędzając natrętne myśli.

– A jeżeli w istocie to idylla? Czemu odrzucasz taką możliwość? Dobrze, niechby była prymitywna i patriarchalna – ale jednak idylla!

– Jestem paleopsychologiem – stwierdził gniewnie Berg. – A ty jesteś nieukiem.

Leon usiadł okrakiem na ciężkim, bardzo niewygodnym krześle.

– No to wytłumacz mi, paleopsychologu – poprosił – dlaczego zasiedlony jest tu tylko jeden kontynent?

Berg wzruszył masywnymi ramionami.

– Z tym pytaniem nie do mnie trzeba ci się zwrócić – odpowie dział. – Tu potrzebni są archeologowie, a nie etnografowie. Doczeka my się przybycia promu, przedstawimy wszystkie dane – i niech zaczną wykopaliska na drugim kontynencie i archipelagu. Z pewnością coś znajdą... cokolwiek, ale znajdą.

– Niechby jakieś plemiona – napierał Leon. – Choćby dzikie... choćby mieli to być ludożercy...

– Z uszami na plecach – podsunął Berg.

– No...

– A tak prawdę mówiąc – podsumował Berg – jak się zastano więc, przyczyn należy szukać w warunkach naturalnych. Prawdziwie żyznej ziemi nie ma tu za wiele. Przy tak prymitywnej gospodarce... Więc zgromadzili się tutaj, w Środkowych Kotlinach. Na wybrzeżu są ze dwie, trzy osady... Rybacy i myśliwi.

– Miasta handlowe od wieków powstawały na brzegach mórz. A tu tylko „dwie, trzy osady”.

– Bo nie ma z kim handlować. Mam na myśli handel zamorski. Skąd by się tam miały wziąć miasta?

– No właśnie, o tym mówię – rzekł gniewnie Leon.

– A to już sprawa ekspedycji, która ruszy za morze – powtórzy! Berg. – Niech oni łamią sobie głowy. My mamy tu tylko siedzieć i uśmiechać się czarująco do margrafa. Posłuchaj, a czy dla odmiany nie mógłbyś przestać mi zawracać głowy i pójść lulu? Wiesz, o której oni zaczynają nabożeństwa? A tu jeszcze koniec świata...

Leon pokręcił głową i ruszył ku drzwiom wiodącym do jego sypialni – zbyt obszernej, by prymitywny kominek mógł ją jako tako ogrzać. Co prawda, noce rzadko bywały tu chłodne.

Odwrócił się w progu.

– Nie jesteś za bardzo ciekawy, prawda?

– Jestem człowiekiem, który robi, co mu polecono – stwierdził chłodno Berg. – Jestem profesjonalistą. Dla Służby nastały nienajlepsze czasy, kiedy dobrali się do niej tacy amatorzy i entuzjaści, jak ty. Wszyscy szukają romantyki. A jakaż tu może być

romantyka? Zwykła praca, na dodatek dość nudna. A wam nic, tylko przygody w głowach...

Leon westchnął. W Korpusie Poselskim wytrwał już trzy lata i na razie nie zasłużył sobie na najmniejszą choćby uwagę, jednak tacy jak Berg zawsze mu będą wytykali, że długo mu jeszcze przyjdzie pracować nad sobą, zanim stanie się porządnym polowym mediewistą.

Nawet jaskrawe poranne światło nie stłumiło blasku supernowej – jasny punkcik nieco tylko przybladł i drżał teraz jak płomyk na wietrze. Widok był niezwykle, nieco niepokojący. Oświetlony dziwnym podwójnym blaskiem zamek na wzgórzu wyglądał jak z obrazka w dziecięcej bajce. To wrażenie wzmagala kruchość ażurowych konstrukcji: ściany, choć masywne, wyglądały pięknie i delikatnie – na ich obróbkę było mnóstwo czasu. Tutejsza historia najnowsza, bogata w drobne, przygraniczne starcia, nie znała jednak większych wojen.

Wszystko trzymało się i opierało na skomplikowanym systemie rodowych związków pomiędzy wpływowymi osobami – każdy był, jeżeli nie zięciem, to przynajmniej potrójnym kuzynem swojego sąsiada.

Niewielką gotycką świątynię na miejskim placu wypełniał tłum wiernych. Leon pomyślał, że wygląda to faktycznie na koniec świata. Zerknął na długi ołtarz w głębi apsydy, który dzięki optycznej sztuczce wydawał się jakby z półmroku na spotkanie przytłumionego blasku licznych świec. Nie przykryto go jednak podarowaną przez nich tkaniną, a tradycyjnym, ciężkim, wyszywanym złotymi nićmi błamem. „Ciekawe, gdzie podziali nasz polisilikonowy? Znow ukryli w skrzyni, czy co?”

Nad głowami zebranych (obaj posłowie byli przynajmniej o pół głowy wyżsi od przeciętnego tuziemca) patrzyli z ciekawością na wystrój świątyni. Prymas najwyraźniej postanowił nie ryzykować – mogło przecież się zdarzyć, że niezwykle zjawisko na niebie w rzeczy samej zwiastuje coś nieprzewidzianego – i swoje kazanie poprzetykał takimi alegoriami i przypowieściami, że niełatwo było prześledzić wątek. Na ile Leon zrozumiał, mowa była o jakimś człowieku, który ratując się przed atakiem jednorożca, wpadł do głębokiej jamy, z kłębiącymi się na dnie żmijami – mieszkańców osobliwego terrarium prymas opisywał długo i z jakąś wredną przyjemnością. Potem posadził w tej jamie drzewo i raczył dodać do bestiariusza dwoje ssaków – czarne i białe zwierzę – które podkopywały korzenie nieszczęsnej rośliny. ”Zwierzęta symbolizują oczywiście Braci – pomyślał Leon. – Co oni jednak podkopują? Budowę świata? Znaczy, jednak będzie koniec?”

Spojrzał na Berga – chyba zapisywał słowa kapłana, włączywszy ukryty

w drogocennej agrafie magnetofon. Tymczasem prymas się rozkręci) i dodał do zbiorowiska gadów smoka. Ostatecznie straciwszy wątek, Leon zaczął oglądać tympanon zachodniego portyku. Na dwie połowy dzielił go ogromny medalion z wizerunkiem braci bliźniaków, podobnych do istoty o dwóch twarzach i czterech ramionach. Za lewą ręką rozciągały się dziedziny Drugiego, przepełnione grzesznikami, którzy upadłszy na kolana ukryli twarze w dłoniach – najwyraźniej ze wstydu. W piekle, mrocznym i zimnym, też nie były w estymie narzędzia mąk – nigdzie nie było widać kotłów z kipiącą smołą, ani rozgrzanych do czerwoności kleszczy. Miejsce było ponure, przepełnione smutkiem i nudą – to chyba właściwe określenie. Dręczenie w samotności... a raczej w odosobnieniu – w dziedzinach Jasnego nikt nie był nigdy sam... U wejścia stał posepny i urodziwy sługa Mrocznego z pałającym mieczem. Po prawej stronie rozciągał się raj – gdzie sprawiedliwi mogli nareszcie nasycić się nagrodą za swoje cnoty.

„Ale wszystko to do czasu – pomyślał Leon. – Raj i piekło nie będą trwały wiecznie... w końcu przyjdzie to ich Zespolenie”.

Tymczasem prymas zmusił swoją ofiarę, nad którą zawisło zagrożenie o czterech ramionach, by sięgnęła po wiszące na drzewie jabłko.

„Z pewnością spadnie do jamy z gadami – pomyślał Leon. – Czemuż te jełopy w przypowieściach wciąż powtarzają te same, idiotycznie głupie postęпки?”

Oczekując na rozwiązanie sytuacji przyglądał się dolnym częściom tympanonu. Pod stopami świętej pary rozciągał się długi korowód figur, które najwyraźniej nie miały żadnego związku z piekłem czy rajem. Należało przypuścić, że byli to ci, którzy nie znaleźli miejsca w uporządkowanym świecie oficjalnej religii – mali bożkowie, duchy pól i lasów, wyrzuceni za granice średniowiecznej świadomości, kłębiący się na samej krawędzi wierzeń i pozwalający się bezkarnie deptać boskiej parze Wielkich. Był tu jakiś lis rycerz jadący wierzchem na koniu, wspomniani przez prymasa ludzie z uszami na plecach – mogliby się nimi spokojnie poowijać w razie potrzeby – koźlonogie stwory i ptaki z ludzkimi głowami. Zgromadziły się w dolnym rejestrze i spełzały stamtąd nawet na podstawy kolumn. Jedna z nich – ta, przy której stał Leon – dawniej też pokryta była płaskorzeźbami. Jednak teraz ozdobny pas u jej podstawy powleczono gipsem nie oszczędzając na materiale.

Prymas wreszcie wrzucił swojego nieszczęśnika w legowisko gadów i przeszedł do jakiejś innej alegorii, równie wydumanej, mętnej i zawilej jak poprzednia.

Leon pociągnął Berga za rękaw. Ten drgnął i chyba się obudził. Potrafił drzemać na stojąco – jak koń.

– Popatrz – powiedział Leon.

– Co ci chodzi po głowie? – Berg odwrócił się bez entuzjazmu.

– Co oni tu ukryli?

– Boże, co za różnica? Pewnie jakieś bydłota?

– Owszem, ale czemu akurat te, skoro tu i tak pełno najrozmaitszych bestii? Popatrz tylko na te stwory!

– Przecież już je obejrzałem!

...jako, że nie jest nam dane poznać, kiedy wezwą nas wszystkich i któż wie, czy nie zesłano nam tej próby, żeby się przekonać, jak głęboka jest nasza wiara i jak czysti jesteśmy duchem. Czy nie zażądają od nas tego, co дано nam tylko w rękojmię, ale co z prawa należy do Dwojga...

Wyglądało na to, że prymas postanowił już zakręcić kurek swojemu krasomówstwu. Morze pochyłonych głów podniosło się i opadło, a tłum powolutku zaczął się przemieszczać ku wyjściu. Prymas, pod-kasawszy poły odświętnej szaty, powoli schodził z kazalnicy.

– Jak się panom podobało kazanie? – zwrócił się z pytaniem do ambasadorów.

Leon odpowiedział ukłonem.

– Dziękujemy waszej świątobliwości za tak wymyślną i uducho wioną mowę – rzekł.

– A co miało symbolizować to drzewo? Porządek rzeczy we wszechświecie?

Prymas wyraźnie się zmieszał.

– Chyba dałem się unieść zapałowi – stwierdził. – Nasi wierni to ludzie w dużej mierze prości. Nie pojmują podniosłej symboliki. Ale ma pan rację – drzewo to wszechświat w jego obecnym kształcie.

– A jednorożec?

– To śmierć – odpowiedział surowo kapłan.

– jabłka, to rozumiałe – ciągnął Leon – w naszych zamorskich wierzeniach też występują jabłka. Ale proszę odpowiedzieć, wasza świątobliwość, czemu płaskorzeźby na reliefie w zachodnim skrzydle zostały zagipsowane?

– Gdzie – najeżył się nagle prymas.

– A tu, na tej kolumnie. Pas dookoła. I tam, jeszcze niżej...

Prymas wzruszył ramionami.

– Sam kazałem to pozalepiać, mości ambasadorze. To... no, nie godzi się tak.

– Co właściwie?

– Wierni to ludzie przesądni. Z miastowymi jest jeszcze jako tako, co tydzień chodzą do świątyni. Ale są tacy, którzy przybywają z daleka, powiedzmy włóścianie z odległych osad... Zamiast przynosić ofiary na ołtarz, składali je w kącie... a to bluźnierstwo. Stwory nieczyste są nieczystymi i tyle.

– Rzeźbiarz widać był w głębi serca wyznawcą starych wierzeń – wtrącił Berg,

któremu sprzykrzyło się milczące przestępowanie z nogi na nogę. – Nie wytrzymał i wyrzeźbił któregoś z pomniejszych bogów.

Ależ co też waszmość... panie ambasadorze! – oburzył się prymas. – Jacy z nich pomniejsi bogowie? Nieczyste stwory i tyle: A pro-stactwo jeszcze o nich mówi... nie tylko to wam opowiedzą. Ale co też ja... Pozwólcie, że podziękuję panom za szczodry dar. Przepiękna tkanina... napatrzeć się nie można! I nie sposób zobaczyć, gdzie wątek, a gdzie osnowa: gładka niczym zwierciadło.

„Z pewnością mu się spodobała i nie położył jej na ołtarz – pomyślał Leon. – Albo schował, żeby zjednać nim sobie jakiegoś arcybiskupa”.

Spróbował ukradkiem obłupać gips, ale ten uparcie się trzymał.

– Oszalałeś! – syknął Berg przez ramię. – Świątobliwy zobaczy!

Prymas już otwierał usta, ale Berg pospiesznie wtrącił pytanie:

– Czy wasza świątobliwość nie zechciałby nam podpowiedzieć, gdzie tu można zjeść śniadanie? Szukamy jakiegoś porządnego, czystego miejsca...

– jeżeli niedaleko, to pod „Niebieskim kotem” – niezbyt pewnym głosem odpowiedział kaptan. – Ale nie jest to miejsce dla szlachetnie urodzonych. Sami waszmościowie wiecie, że ludzie u nas prości...

– A niech tam! – Berg klepnął Leona po ramieniu. – Chodźmy!

Leon niezbyt chętnie ruszył za nim.

– Nic z tego nie będzie – mruknął, idąc ku wyjściu. – Zagipso-wane na amen.

– Zachowuj się bardziej ostrożnie i odpowiedzialnie – wytykał mu Berg w czasie drogi, z oclazą odrzucając czubkami butów na bok grudki koiiskiego łajna. – Coś tak się przyczepił do tej płaskorzeźby? Oni traktują nas po ludzku, dopóki my ich traktujemy po ludzku, a ty zdrapujesz gips w ich świątyni. Pamiętasz Charlesa? No, tego który na Lapucie... Całkiem nieźle rysował. Spróbował oczyścić z sadzy rzeźbiony słup – chciał odsłonić wzór reliefu...

– Owszem – kiwnął głową Leon. – Do tego właśnie słupa go przywiązali i sam wódz osobiście krzesał ogień. Ale tutejsi chyba nie należą do obraźliwych.

– Widywałem już takich mało obraźliwych... Ach, oto i nasz kotek.

Nad uliczką na wietrze powoli kołysał się blaszany kocur, pomalowany na jadowicie niebieski kolor.

Leon pchnął ciężkie drzwi wejściowe. Boazerię ozdobiono niewyszukanymi rzeźbami – nie takimi, oczywiście, jak w pałacu margrafa, ale w zasadzie sala z grubsza przypominała tamtejszą jadalnię, tyle że kamienne płyty posadzki pokryto hojnie słomą, a na ścianach nie było gobelinów. Pod okopconymi belkami sufitu smętnie poświstywał wiatr i przefruwały leniwie z miejsca na miejsce niezbyt liczne, przekarmione wróble.

Ludzi za stołami było wielu, ale na widok nowych gości nie wiedzieć skąd, natychmiast zmaterializował się oberżysta.

– Czym mogę służyć szlachetnym panom?

– Szlachetnym panom możesz podać... a co polecasz, przyjacielu?

– No... – zamyślił się oberżysta – na początek mogę zaproponować pieczoną kiełbasę, wołowinę... potem wędzony jęzor, kury, zupę mięsną, potem...

– Poczekaj, przyjacielu... to wszystko – na początek?

– ...młode szczupaki, pieczone na maśle karpie... – nie przerywał oberżysta.

– Dawaj cokolwiek – uciął stanowczo Berg.

– To ośmielę się zaproponować bekasy. Bardzo się dziś udały. I doskonałe młode wino.

– Nie krępuj się – rzucił Berg, rozsiadając się wygodniej na ławie.

– Chciałem je zachować na święto plonów, ale teraz, chyba nic z tego nie będzie. Prawda, straszny będzie ten koniec świata – jeden wielki fajerwerk. Wisi sobie ten zwiastun na niebie – i rób, co chcesz!

– Wasze zdrowie! – Berg podniósł pojemną glinianą czarękę.

– A jakież tam zdrowie! – westchnął gospodarz. – Wina szkoda. Schowałem kilka dziesiątków beczulek. Doskonałe wino. A teraz się boję, że nie zdążymy go wypić. A czy to prawda, że szlachetni panowie przyjechali do nas z za morza?

– Patrzcie państwo, i tam ludzie żyją.

– Ano, żyją – zgodził się Leon. Wino faktycznie było niezłe.

– A skąd wiesz, Burri, może to w ogóle nie są kidzie? Może mają ogony pod ubraniami? – rozległ się czyjś ponury głos.

Leon spojrzął za siebie.

Ponury jegomość, z wyglądu kerl, mierzył posłów wyzywającym spojrzeniem.

– Toś Iratil w sedno – popart go kompan od butelki, odziany w kurtę rzemieślnika. – Trzeba by sprawdzić.

– Wynośmy się stąd – cichutko szepnął Berg.

Leon powiódł wzrokiem po sali. W gwarnej tawernie zapadła nagle głucha cisza – a gapilo się na nich co najmniej pół setki ponuro łypiących oczu. Na razie nikt się nie ruszył z miejsca, ale niektórzy już wparli dłonie w stoły, gotowi poderwać się na pierwszy znak.

– Posłom nie wolno mieć przy sobie broni – mruknął Leon.

– A czasami by się przydała.

– Gdybyś miał pistolet, to w razie awantury zostawiłbyś tu przy najmniej pół setki trupów – zaoponował Berg.

– No to niechby pozwolili choć na paralizator. Albo granat soniczny.

Czeladnik zaczął powoli wstawać, odsuwając ciężką ławę.

– Ale czemu im wszystkim nagle odbiło? – Berg mierzył wzrokiem odległość do drzwi. – Margraf zapewniał, że możemy spokojnie spacerować po mieście i nie bać się żadnych ekscesów.

– Może celowo nas podpuścił? Może liczył na to, że nas załatwią w takiej karczemnej awanturze? A o to, żeśmy dali się nabrać, sami możemy mieć do siebie pretensje.

– Tak czy owak, trzeba nam stąd zmiatać – szepnął Berg. – Dopóki nie zaczęli szukać u nas ogonów, już ja wiem, czym to się kończy.

Ktoś tymczasem zastąpił im drogę w przejściu – ciemna, niemal kwadratowa figura prawie zasłaniała drzwi.

– Ej! – zabrzmiał nagle gdzieś z boku wesoły głos.

Leon obejrzał się, zdając sobie sprawę, że akurat tego nie powinien robić. Siedzący obok czeladnika człowiek zrzucił ciemną opończę z kapturem i ukazał się zebrany jako szczupły i gibki młodzik w nieco sfatygowanej zielonej kurtce – wyglądał na miastowego, ale patrzący nań Leon żadną miarą nie umiałby określić, jakim zawodem się zajmował.

Młodzik zmrużył oczy i spojrzał z ukosa na swojego sąsiada.

– Ogony, też wymyślił! – mruknął z namysłem w głosie. – Po patrz tylko na siebie, ty pajacu!

Błyskawiczny ruch – i chłopak wyjął z ucha czeladnika czerwoną kulkę.

Tłum natychmiast przeniósł swoją uwagę na nowego aktora; widowisko zapowiadało się znacznie bardziej ciekawie niż bójka.

– No proszę, dobrzy ludzie, popatrzcie sami, co on ma we łbie – ciągnął chłopak; który tymczasem zdążył wskoczyć na stół. – Same głupstwa i śmieci!

W dłoni miał już trzy różnobarwne kulki i zonglował nimi lekko, jakby od niechcienia.

– Hop! – i kulki znikły.

Czeladnik stał mrugając głupio oczami, a jego twarz powoli purpurowiała.

– A teraz zobaczmy, co ty masz w głowie – chłopak zwrócił się do kerla. – Może trzymasz tam jaja? Może w ogóle masz więcej jaj niż trzeba, co, przyjacielu? I nie tam, gdzie trzeba?

Chłop cofnął się z przestraszeniem. Tymczasem Berg pociągnął Leona za rękaw.

– Wynośmy się stąd, póki czas.

Rzucił na stół kilka monet i ruszył ku wyjściu, pociągając Leona za sobą. Nikt nie

zwrócił na nich uwagi; wszyscy gapili się na sztukmistrza.

– Chłopak ma głowę na karku – westchnął z wdzięcznością Berg. – Gdyby nie on, niechybnie by nas pobili. Ale, w rzeczy samej, co ich napadło?

– Wszystko przez ten koniec świata – podsunął Leon. Dochodzili do zakrętu uliczki, kiedy z tyłu ktoś ich zawołał:

– Lj! Nie tak szybko!

Leon odwrócił się i zobaczył doganiającego ich chłopaka w zielonej kurtce.

„Za darmo tylko w mordę biją” – pomyślał.

Berg najwyraźniej doszedł do takiego samego wniosku, ponieważ sięgnawszy do zwisającego mu u pasa trzosa wyjął zeń kilka monet i podał je młodzikowi.

– Pieniądze zawsze się przydadzą – zgodził się ten z humorem i wsunął monety do kieszeni.

Zamiast jednak ruszyć w swoją stronę, dostosował krok do posłów i ciekawie zaczął im się przyglądać.

– Schowajcie lepiej trzosik. Dzień targowy, tłok, mogą go podciąć. A – wybaczenie ciekawość – naprawdę macie ogony?

– Bzdury – uciał Berg.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził chłopak z satysfakcją w głosie. – Najwyraźniej, skoro już człowieka obdarzono takim paskudnym kształtem, jest on najdoskonalszy z możliwych. Po cóż stwórcy mieliby sobie łamać głowy nad innym?

– Sam to wymyśliłeś? – zapytał zaciekawiony Berg. Chłopak pokręcił głową:

– To Nauczyciel Guntr.

– Widać, że to łebski człowiek. A gdzie on teraz jest?

Gdyby żył, trzymałbym się razem z nim. Umarł, zwykła rzecz. Westchnął i na jego otwartej dłoni znów mignęła jaskrawo żółta kulka, która znikła tak samo szybko, jak się pojawiła.

– Od dawna mówił, że sądzone mu umrzeć w drodze. I w drodze oddał ducha. Gorączka. Był już bardzo stary, biedaczek.

– To od niego nauczyłeś się rozmaitych sztuczek?

Zapytany uśmiechnął się lekko.

– Sztuczek nauczyłem się od ojca, który był członkiem gildii zonglerów i kuglarzy. Później niemało podróżowałem – a wszędzie znajdzie się coś wartego nauki. Wstąpiłem na służbę do staruszka Guntra, a on zaczął mnie uczyć. Zresztą nie miał nikogo poza mną, ani rodziny, ani krewnych. I zaczęliśmy wędrować po drogach. Ale nie zatrzymywaliśmy się w żadnym miejscu za długo – przybyszów nikt nie lubi.

– Myślałem – rzekł Leon – że ludzie tu nie są źle nastawieni do obcych. A ci

rozjuszili się bez powodu.

– Zwykle ludzie są spokojni i do zabójstw nie dochodzi. Ale teraz wszyscy są lekko wzburzeni. A was co przygnało do dolnego miasta?

– Badamy ludzkie obyczaje – wyjaśnił Berg. – Ciekawi nas, gdzie i jak żyją ludzie.

– A! Mój nauczyciel też badał ludzkie obyczaje. Jak żyją ludzie... Mówił, że na świecie nie ma nic ważniejszego od tej wiedzy. Ale niepotrzebnie chodźcie po takich miejscach bez przybocznych.

– Jeżeli przyjdą z nami ludzie margrafa, mieszczenie nie będą się przy nas zachowywać zwyczajnie – stwierdził Leon.

– Znaczący, potrzebny wam ktoś taki jak ja.

„Może faktycznie przyjąć go na służbę? – pomyślał Leon. Chłopak od razu mu się spodobał. Oczy bystre, żywe – a jeżeli kilka lat wędrował z filozofem nędzarzem, z pewnością jest niegłupi, widział kawałek świata i zdobył wykształcenie – oczywiście, jak na prostaka.

– Jak cię zwa? – zapytał.

– Alf.

– Chyba masz rację. Nie zaszkodzi mieć sługę.

– Wyżywienie, dach nad głową i dwa okrągłaki na dzień.

– Umowa stoi.

W dolinie pomiędzy porośniętymi młodą trawą wzgórzami kipiał życiem i gwarem wiosenny jarmark. Ze szczytu pagórka widać było poustawiane w rzędach naprzeciwko siebie kramy z towarami. Utworzone tym sposobem uliczki dawały dość miejsca, by zgromadzeni ludzie mogli się swobodnie poruszać. Ciągące się w głąb i w poprzek dolinki rzędy namiotów wyglądały ze wzgórza niczym jakieś dziwaczne zjawisko przyrodnicze.

Na jarmarku można się było natknąć na wszystko, co tylko zdolne były wytworzyć dłonie mężczyzn i kobiet: białe i czerwone, barwione koszenilą tkaniny, sukno purpurowe i pomarańczowe, grube płótna i samodziały, jelenie skóry, skórki królicze i wiewiórcze, skórki kozłat, wosk i głowy cukru, ślazową gumę, migdały, galasowe żołędzie – wszystko, co tylko można było znaleźć i wyhodować w zamieszkałych krajach. Od pochmurnego, zasnutego pasmami mgieł wybrzeża do surowych i nieprzyjaznych ludziom północnych pustaci, gdzie wiatr wyje ludzkimi głosami.

Wspaniałości te połyskiwały, mieniły się i szumiały: rżały konie, ryczały byki i woły, beczały owce, kwiczały wieprze i kuny; a nad wszystkimi głosami górowało szczekanie licznych psów, które towarzyszyły swoim panom, broniąc ich przed złodziejami.

– No, no! – stęknął oszołomiony Leon, kręcąc głową.

– To jeszcze nic, panie – Ali obrzucił rozciągającą się w dole panoramę okiem znawcy i bywalca. – Zobaczylibyście Retrę! Tam dopiero są jarmarki, co się zowie! Z samych Kalmskich Topieli zwożą towary...

– A tu?

– Co – tu? Z okolicznych wsi i osad, z wybrzeża przywieźli... najrozmaitsze towary, oczywiście. Solonych ryb świstulek, na przykład, lepszych niż w Solerze nigdzie się nie znajdzie, ale cała reszta przez Retrę idzie. A Retrzanie za przewóz zawsze zdzierali trzy skóry, jeszcze od czasów dziadunia obecnego hercoga; straszny kutwa był zeń, lichwiarz, nie hercog! Od tamtej pory Soler już ze trzy razy prosił, żeby Retra obniżyła cło przewozowe, a Retra – ani myśli! Bogaty kraj, władcy od wiek wieków oszczędni, by nie rzec skąpi, stąd bogactwo. A teraz, kiedy Solerczycy porzucili swoje kopalnie w górach, jeszcze gorzej się porobiło... Przedtem, choć srebrem płacili...

– Dobra – stwierdził Leon. – Chodźmy popatrzeć. Ali zrobił minę światowca i pogardliwie mruknął:

– Właściwie nie ma na co patrzeć...

Ale i on zaciekawiony strzelał oczami na prawo i lewo.

Zszedłszy ze wzgórza znaleźli się w ciżbie. Leon przeciskał się przez tłum chciwie łowiąc w nozdrza przyjemne zapachy. Oczy, jak zwykle, bolały od nadmiaru barw. Szeleściły jaskrawe tkaniny odświętnych ubrań. Trzepotały na wietrze wąskie proporce nad namiotami. Mieniły się w słońcu błękitem, purpurą i zielenią wywieszane na sprzedaż jedwabie. A nad tym wszystkim migotał na północnym niebie widmowy biały płomień, prawie niewidoczny w ostrych promieniach stojącego w zenicie słońca.

W jednym miejscu tłum huczał wyjątkowo głośno – ludzie zebrali się wokół jakiegoś krytego wozu. Tył furgonu zasłonięty był jednobarwną kotarą, tworzącą prowizoryczną kurtynę.

– A cóż to takiego? – zapytał Leon Alfa, idącego za nim z obojętną miną bywalca, co nie takie rzeczy widywał w życiu.

– Zwyczajny teatr kukielkowy – odparł zagadnięty. – Na jarmarkach nie brakuje wędrownych komediantów. Sam korzystałem z takich okazji, by złapać trochę grosza. Zwykła rzecz.

– Dla ciebie to zwykła rzecz. – Leon wyciągnął szyję wpatrując się nad głowami w nienaturalnie poruszające się figurki. Niższy od niego Alf wlaź na przewróconą beczułkę.

– Co to za jedna, ta z lewej? – zapytał Terranin młodzika.

– Służebnica Córki Pańskiej – odpowiedział Alf. – Składa śluby, no, wiecie, że nigdy nie wyjdzie za mąż. A oto i rycerz uwodziciel. Stara historia...

Rycerz uwodziciel miał na sobie przepiękny jedwabny płaszcz, któremu – wiadoma sprawa! – nie mogła się oprzeć żadna kobieta, choćby i służebnica Pańskiej Córki. Ta akurat wcale zresztą nie miała zamiaru się opierać i ku zachwytowi tłumu natychmiast uległa, pociągając rycerza za kotarę. Dopiąwszy swego rycerz wskoczył na jabł-kowitego rumaka i odjechał na wojnę, a nieszczęsnej pannie zaczął szybko rosnać brzuch. Po kilku minutach wzbogaciła się o różowego bobasa, trochę nad nim popłakała, załamując rozpaczliwie ręce, aż wreszcie otuliwszy się czarną opończą i rozejrzawszy z niepokojem, zaniósła dziecko do czarnego gaju, który niespodziewanie pojawił się na brzegu sceny. A tymczasem zza kurtyny wysunęła się nowa figura – niska, krępa, garbata, z nieprawdopodobnie wielkimi, obwisłymi uszami i jaskrawo czerwonym jęzorem, wysuniętym i kołyszącym się na boki jak u wisielca. Tłum natychmiast zachnął się ze zgrozą, jakby stwór mógł naprawdę ożyć.

– A to kto? – zapytał Leon. – Bies?

– Nie – odparł niechętnie Alf.

– No to kto?

– Lepiej nie wymawiać...

– A pokazywać można?

– Toż to jarmark! – zdziwił się Alf. – Bałagan, gwar...

– Ale jednak... – nalega! Leon. – Demon? Sługa Mrocznego? Zjawił się, bo panna złamała śluby, tak?

– Panie, to zupełnie inna sprawa – Alf zniżył głos do szeptu.

– Panna straciła swoich obrońców i przyszedł do niej ten... Korra.

– Korra?

– Ćśśś... Lepiej będzie, panie, jak popatrzyście na przedstawienie...

– To jakieś stwory podobne do leprekaunów lub koboldów – wyjaśnił niezbyt uważnie obserwujący przedstawienie Berg. – Żyją we wnętrzu gór i w leśnych gęstwinach. Takie tutejsze straszdetka.

Leprekaun porwał maleństwo i przepadł z nim, zostawiwszy po sobie tylko obłoczek dymu i niepocieszoną pannę.

– Lubi dzieci – mruknął Leon.

– Zimno tam u nich pod ziemią – objaśnił Alf – i zaciągają tam wszystko, co im wpadnie w łapy. Najchętniej żywe i ciepłe. Wystarczy, że lasna Panna się odwróci, jak na przykład teraz...

– A morał? – zapytał Leon.

– Przecież jest jasny i czytelny – z roztargnieniem odpowiedział Berg. – Bacz, byś nie zblądził.

– Tak czy owak, to bies. No, może nie bies, a jego miejscowy odpowiednik.

– To nie bies – upierał się Alf. – Biesy robią swoje, wszystkie są w orszaku Ciemnego. A ten sam jest sobie panem. A w ogóle, co chcecie panowie zobaczyć na tym jarmarku? Szukacie jakiegoś towaru? Czegoś konkretnego, czego nie ma w waszym kraju?

„U nas nie ma i połowy tego, czym tu handlują – pomyślał Leon.

– Ale komu potrzebna koszenila albo galasowe żółędzie w epoce sztucznych barwników? Kto będzie kupował bydło, skoro w hydroponicznych zbiornikach zautomatyzowanych fabryk dojrzewają kultury tkanek białka?”

Wystarczy tylko pomyśleć o tym, co oni jedzą na tych rozkosznych ucztach... O tym, że pieczony w całości prosiak był kiedyś jak najbardziej żywym zwierzęciem, który kwiczał i biegał po dziedzińcu. Kilku ludzi w Korpusie nie otrzymało certyfikatów, bo załamali się właśnie na tym. Od posłów wymaga się sporej odporności psychicznej, którą kiedyś nazywano gruboskórnością – i jednocześnie dobrze rozwiniętej wyobraźni oraz daru obserwacji. Paradoksalne zestawienie cech.

– Nie – odpowiedział. – Chcemy po prostu poszerzyć krąg wie dzy. Żeby się dowiedzieć czegoś więcej o waszych obyczajach i...

– Rozumiem – Alf spojrzał nań z ukosa. „Szpiedzy, ani chybi” – mówiło jego spojrzenie. – Dla poszerzenia kręgu wiedzy trzeba wam, panowie, popatrzeć ot, tam.

Patrząc we wskazanym kierunku ujrzeli tłum wykrzykujących coś ludzi, sprawiających wrażenie, jakby kogoś dopingowali.

– Ależ się drą – mruknął Alf.

Ponad kręgiem ciasno otaczających niewielki placyk widzów Leon zobaczył dwa szczepione ze sobą ciała. Dwaj młodzi mężczyźni sapali zaciekle, stojąc na szeroko rozstawionych nogach i gniotąc się w uścisku. Obaj mieli już rozkwaszone nosy, a liczne siniaki powinny się pojawić nieco później – ocenił poseł.

– I co? – zapytał. Ruchy zapaśników były niezdarne, nieskoordynowane i niezgrabne.

Alf skoncentrował się w sobie, patrząc na walkę ze znacznie większym zainteresowaniem niż na kukielkowe przedstawienie. Berg mrugnął jasnymi rzęsami.

– Zwykła sprawa w takich oto... kulturach... Nadmiar pary musi gdzieś znajdować ujście...

Walka tymczasem stawała się coraz bardziej zaciekle. W pewnej chwili widzowie ucichli – dało się słyszeć suchy trzask jakby łamanej gałęzi i ręka jednego z zapaśników bezwładnie zwisała wzdłuż ciała. Zapaśnik zdawał się tego nie zauważać i zawzięcie dusił nieuszkodzoną ręką przeciwnika, który z kolei starał się dźgnąć go dwoma palcami w oczy.

– To można przeciwnika oślepić? – zapytał Leon. – Zgodne to z regułami zapasów?
Berg zamyślił się na chwilę, zaciskając wargi.

– Zwykle w takich walkach...

– Niczego takiego nie wolno robić, panie – wtrącił Alf. – Dlatego właśnie patrzę...

„Ofuknąć go, czy co? – pomyślał Leon. – Nie przystoi słudze wtrącać się w rozmowy panów. Nie w smak mi to, ale co zrobić... Dobra, potem mu powiem...”

Westchnął z udaną pokorą.

– Mam nadzieję, że nie biją się na śmierć.

Alf odwrócił się ku nim. Jego twarz szybko zmieniała wyraz – niczym drżenie traw na wietrze.

– Zwykle nie – wymamrotał. – Zwykle się biją do pierwszej krwi. Dziwna to sprawa, panie...

Jeden z zapaśników wywinął się i założył przeciwnikowi krawat z łokcia. Ten zacharczał, usiłując rozerwać łamiący kark chwyt.

– Dalej! – wrzasnął któryś z gapiów tuż obok Leona. – Kark! Skręć mu kark!

Nogi pokonanego zadrżały, bezsilnie ryjąc piętami bruzdy w pyle.

Tłum wył i ryczał, a na Leona napierali rozgorączkowani widzowie. Atakujący rozluźnił chwyt i przeciwnik wysunawszy się ze śmiertelnej pełli, zwałił się na ziemię niczym szmaciana kukła – ze skreconą na bok głową i wywalonym na wierzch końcem posiniałego języka.

Zwycięzca tymczasem rozglądał się dookoła z niedowierzaniem w oczach, jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił.

Tłum westchnął jednogłośnie, niczym jedno, wielogłowe i wie-lonogie stworzenie.

– Nie podoba mi się to – mruknął stojący obok Alf.

Berg odwrócił się i ruszył przez pierścień widzów niczym potężny pług.

– Nie rozumiem tego entuzjazmu – warczał gniewnie, idąc. Jego ręka roztargnionym gestem musnęła przy tym rubinową zapinkę na ramieniu wyłączając wideozapis.

– Przecież zwykle nie biją się na śmierć – rzekł Alf, jakby usprawiedliwiając siebie i ziomków. – Nigdy czegoś takiego nie było... Zwykle bili się ot tak, dla hecy albo rozrywki. Dlaczego ich nikt nie rozdzielił?

– A ty, czemu sam się nie wtrąciłeś? – zapytał ostro Berg.

– Co ja mogłem zrobić? Przecież, jestem tu obcy, panie. Tak jak i wy... no, prawie jak wy. A oni nie lubią nas, znaczy wędrownych aktorów...

Zamrugnął oczami, wsłuchując się uważnie w pozostawiony z tyłu gwar.

– O, wygląda na to, że ktoś jednak się wmieszał... szkoda tylko, że tak późno... wszystko na nic, szum tylko.

Leon nagle się zjeżył. Tłum w rzeczy samej zmienił strukturę, rozpadł się na cząstki, a potem znów spłynął ku drobnej figurce, potrząsającej pięściami. To prymas wdrapał się na stojący w pobliżu wóz, wykorzystując go jako zaimprovizowaną kazalnicę.

– Opamiętajcie się! – jego wysoki głos przebił sztychem niezborne okrzyki widzów.
– Jak mogliście? Czyżby nikt nie widział, kto się dział na ich ramionach?

– Znalazł się jeden śmiałek – filozoficznym tonem stwierdził Berg. – No, no...

– A na oko nie wygląda – Alf patrzył na kapłana z prawdziwą ciekawością. – Nie wiecie panowie przypadkiem, kto to taki?

– To, braciszku, prymas solerski – tonem roztargnionego odezwał się Leon.

– On zawsze taki hałaśliwy?

– Chyba nie... Rozstaliśmy się z nim przed kilkoma zaledwie godzinami. Wtedy był spokojniejszy... wykształcony człowiek, opanowany taki...

„Co prawda – pomyślał natychmiast – coś takiego powinno natychmiast ruszyć właśnie spokojnego i wykształconego”.

– Opętały ich przerażające biesy! – prymas najwyraźniej dopiero się rozkręcał. – Myśleliście, że to uczciwa walka? Diabły walczyły za nich! Ludzie tylko powtarzali ich ruchy! I one do tej pory siedzą im na ramionach! Popatrzcie tylko! Teraz on podniesie rękę!

Stłoczeni ludzie zasłaniali Leonowi widok, nie zobaczył więc, czy zapaśnik rzeczywiście podniósł rękę. No, ale chyba nie będzie stał jak słup.

– Mało wam, że dzieci do gajów zanosicie, a teraz jeszcze i to?! Niechże przekłęci będą zrodzeni z mroku!

– Czemu on się tak miota? – zapytał Leon z niedowierzaniem w głosie. Prawa Gałąź, nie nie zdradzała zwykle niechęci wobec sług Mrocznego – spełniali zadanie, które zlecono im z góry, i nic więcej. Sam prymas zaś, na ile Leon zdążył go poznać, był człowiekiem łagodnym i cierpliwym.

Ktoś rzucił grudkę zeschniętego błota, kapłan nie zdążył się uchylić – a właściwie nawet nie zadat sobie trudu zrobienia uniku.

– Bluźniercy! – ryknął, prawie się zachłystując. – Odstępcy! Stojący obok Leona człowiek pochylił się i podniósł z ziemi ka mień. Leon zaczął pospiesznie przeciskać się przez tłum.

– Zostaw go! – rzucił za nim niechętnie Berg.

– Przecież zaraz go zabiją na naszych oczach! Ukamienują go. Niech tylko jeden zacznie...

Tłum napierał. „Tych byczków Alf nie ułagodzi żadnymi sztuczkami” – pomyślał Leon. Nabrał tchu w płuca i zagrzmiał:

– W imieniu margrafa – rozejść się!

„Rany boskie, znów zaczną szukać u nas ogonów” *Szttywnym* krokiem, starając się iść prosto i władczo, podszedł do wozu. Berg machnąwszy ręką ruszył za nim. Tłum rozstał się i zwarł za nimi, niczym lodowe kry za kilem okrętu.

W końcu Leon dotarł do wozu i pociągnął prymasa za rękaw.

– Chodźmy stąd, wasza świątobliwość!

Prymas spojrział nań z góry mętными oczami.

Leon targnął go za rękę i ściągnął w dół. Objąwszy kapłana za kościste ramiona wywiódł go z kręgu gapiów, spodziewając się lada moment uderzenia kamieniem w skroń, mimo iż Berg szedł przodem i osłaniał ich przed ludźmi. Tłum jednak nagle się uspokoił. Tak samo nagle umilkł prymas.

– Panie ambasadorze, co pan robi? Rozejrzał się niepewnie.

– Co się stało? Czym ja tak uraziłem tych zacnych ludzi?

– Wasza świątobliwość wygłosił do nich kazanie – stwierdził krótko Leon.

– W rzeczy samej... – zdumiony kapłan pokręcił głową.

Jego spojrzenie padło na grupkę mieszczuchów, którzy wywlekali z placyku martwe ciało. Wzdrygnął się.

– Ależ to... grzech... zabójstwo... tak dla zabawy, gapiom na uciechę...

– Absolutnie się zgadzam w waszą świątobliwośćią – odezwał się Leon. – Ale mimo wszystko było to bardzo ryzykowne. Właśnie w takim tłumie... Wasza świątobliwość nie mógłby ich przekonać... nawet mówiąc o tych biesach...

– O jakich biesach? – zdziwił się kapłan.

– No, o tych, co im siedziały na ramionach...

– Mości ambasadorze, o czym pan mówi?

Leon niepewnie wzruszył ramionami i umilkł. Potem przywołał Alfa, który rezolutnie cały czas trzymał się na uboczu.

– Chłopcze, znajdź jakiś powozik. Odwieziemy jego świątobliwość do zamku.

Alf ze zdziwieniem patrzył na prymasa, wyglądającego i zachowującego się jak człowiek, który po głębokim śnie obudził się w zupełnie nieznanym mu miejscu.

– Co go napadło?

– Sam chciałbym wiedzieć – mruknął Leon. – jak się czuje Wasza świątobliwość?

Ten przeciągnął po czole drżącą dłonią.

– jakoś mi... niedobrze. Oni chcieli mnie... kamieniami?

– Mniej więcej.

– A gdzie eskorta waszej świątobliwości? Czemu jesteście tu sami, panie?

– Zaprzagnąłem pospacerować... poznać smak zwykłego życia... pójść pomiędzy

świeckich ludzi... kazanie było trudne... – prymas westchnął. – Naddciągają ciężkie czasy, niespokojne. Miałem jakąś wizję... Straszna. Szkoda tylko, że nie mogę jej sobie przypomnieć.

Podbiegł do nich Alf”.

– Znalazłem powozik. Tędy, panie. Widzicie tę klaczkę, dereszowatą?

– Chodźmy, wasza świętobliwość – rzekł Leon. – Odwieziemy was do zamku.

Prymas podebrał poły swojej szaty i ruszył za Alfem, który pobiegł przodem, nie bez żalu obejrzawszy się na zebranych w jarmarcznym ścisku ludzi.

Odkryty powóz nie był zbyt wygodny, panowała w nim ciasnota. Alf pomógł im wsiąść i jak przystało na znającego swoją pozycję sługę, usadowił się za plecami Leona. Cierpliwości nie wystarczyło mu jednak na długo. Zaczął się wiercić i mamrotać coś pod nosem, a w końcu zapytał:

– Ej, panie? A to dziwo, tam na niebie, zawsze już tak będzie wi sieć?

– Nie – odparł Leon. – Po jakimś czasie zacnie przygasać.

Prymas obejrzał się, usłyszawszy nieznany mu głos.

– A to kto? – dopiero teraz raczył wyrazić zainteresowanie. Wy glądało na to, że opanował już całkowicie niedawne wzburzenie.

– Wynajęliśmy tego człowieka na przewodnika – wyjaśnił Berg. – Wasza świętobliwość zapewniał nas, że możemy się poruszać po mieście bez obaw. Ale, jak się okazało, mieszczanie nie są tak spokojni i potulni, jak mówiliście, o czym zresztą wasza świętobliwość sam się zdążył przekonać...

– Przedtem było inaczej – stwierdził kapłan z wrogością w gło się.

„A jakże! – pomyślał Leon. – Dzisiejsza młodzież... złe wychowanie... wiadoma sprawa”.

– Przy okazji – odezwał się Leon – chłopak zna się na Piśmie. To już wasza dziedzina, świętobliwy ojcie. Jest uczniem jakiegoś Gantra... czy Cundra?

– Ach tak? – zapytał kapłan suchym głosem, bez szczególnego uchwytu spojrzawszy z ukosa na spokojną twarz Alfa.

Drogę na szczyt wzgórza starannie wybrukowano żółtymi kamieniami, na poboczu rosły burzany, roztaczające ostrą, ale przyjemną woń nagrzanego w słońcu zielska.

„Ciekawe, jak tu wygląda lato – pomyślał Berg. – Wiosna jest po prostu cudna”.

Powóz zatrzymał się u zamkowych wrót. Leon rzucił woźnicy urosik i kazał Altowi pobiec przodem, a sam niespiesznie ruszył ku zamkowi, prowadząc kapłana pod rękę.

– Panie ambasadorze... – odezwał się prymas półgłosem. Leon zwolnił jeszcze bardziej.

– Wzięliście tego człowieka na służbę?

– A czemuż by nie? Chłopak niegłupi, zręczny, usłużny...

– Jeżeli rzeczywiście jest uczniem samego Guntra...

– To co?

– Guntr był heretykiem – wyjaśnił prymas. – Poszedł w ślady Druda Odstępcy.

Berg też zwolecił i nadstawił ucha.

– Zdarzyło mi się słyszeć, co ojcowie kościoła mówili o Drudzie – odpowiedział Leon łagodnie. – Ale nie do końca zrozumiałem, na czym się zasadza jego herezja...

„Nie jest przyjęte przekazywanie herezji na stronicach świętych ksiąg – pomyślał. – Zwykle się ją tylko potępia...”

– No... – kapłan jakby się zawahał, niepewny, czy należy wta jemniczać obcego, choćby i obznajomionego z Pismem i z zawilo ściami doktryn religijnych. Zwyciężyła jednak właściwa mu prawość.

– Znasz, waszmość, zasady prawd kanonicznych. Człowieka mogą niekiedy opętać biesy. Jednak on z pomocą Dwójcy zdolny jest je pokonać, dzięki modlitwom, walce z pokusami i ciężkiej pracy nad sobą. Drud odstępcą utrzymywał, że wolność wyboru w ogóle nie istnieje nie ma jej ani pojedynczy człowiek, ani cała społeczność. Mało tego, nawet Bliźniacy nie są wolni. Twierdził, że są tylko projekcją niedoskonałej ludzkiej myśli... pojmujecie. Głosił, że przeznaczeniem człowieka jest wychodzenie poza narzucone mu ograniczenia.

– A ja uważam...

– Leon – rzucił cicho ostrzegawczym tonem Berg.

Twierdził też, że koniec świata wcale nie będzie poprzedzał Zespolenia – ciągnął prymas surowym głosem – ponieważ Zespolenie już nastąpiło. My go po prostu nie zauważyliśmy i błędnie sądzimy, że żyjemy w dawnym, dolnym świecie.

– A czy Ilie wydaje się waszej świątobliwości...

– Leon!

– Niełatwo wyrokować o czyichś wierzeniach, skoro zna się je tylko w ogólnych zarysach – stwierdził Leon. – Czy jego teksty zostały zniszczone?

– Nie mamy zwyczaju niszczenia żadnych tekstów i pism – stwierdził prymas ze smutkiem w głosie. – Gdybyśmy to zrobili, to okazałoby się, że broniąc swobody wyboru w istocie się jej pozbawili śmy. Czy nie tak? Ale mimo wszystko – znów obrzucił idącego przodem Alfa pełnym niechęci spojrzeniem – nie mogę pochwalić waszej nowej znajomości. To... – zająknął się na chwilę, szukając odpowiedniego słowa – nieco lekkomyślny wybór.

„Boże! – zdumiał się Leon. – Jaka to zadziwiająco daleko posunięta tolerancja! Aż człowiekowi wstyd własnej historii. Co prawda, niedawno śpiewał zupełnie inaczej...”

A może wspiał się na te stopnie świętości, przy których dziwactwa stają się w pełni zrozumiałe, a wręcz spodziewane?”

A teksty tego Druda, jeżeli się nie znajdują w kościelnej, to mogą być w zamkowej bibliotece – margraf ma przyzwoity zbiór, gromadzony przez kilka pokoleń przodków.

Margraf powitał ich na progu sali audiencyjnej. Wydawało się, że spaceruje po nim tam i z powrotem od dłuższego czasu.

– Kazałem szukać waszej świątobliwości w kościele – zaczął – ale tam was nie znaleziono. Chodźmy, trzeba nam się naradzić.

– jestem do waszych usług – odparł kapłan.

– Wasza miłość zechce wybaczyć – utracił się Leon. – Jego świątobliwość zamierzał...

– A, panowie posłowie – wyszło tak, jakby margraf zauważył ich obecność dopiero teraz – to ja was proszę o wybaczenie. Wizytę w skryptorium trzeba nam odłożyć na później. Wieczorne przyjęcie także.

„Z uwagi na koniec świata?” Leon z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta kąśliwe pytanie, głośno jednak uprzejmie się zainteresował:

– Złe wieści?

– Ib nasze wewnętrzne troski – stwierdził margraf ze znużeniem w głosie. – Chodźmy, wasza świątobliwość.

Wziął kapłana pod rękę i ruszył ku wyjściu, gdy Berg rzucił za nim:

– Wasza miłość! Raz jeszcze proszę o wybaczenie, trzeba mi jednak was powiadomić...

– Tak? – w głosie margrafa zabrzmiało nieukrywane rozdrażnienie.

– Wynajęliśmy sługę.

– Kiedy? Dziś? – Postępek posłów najwyraźniej uraził margrafa.

– Panie ambasadorze Berg, absolutnie nie ma takiej potrzeby. Gotów jestem przydzielić panom dodatkowe sługi, jeżeli mało wam tych pięciu, którzy się panami zajmują.

– Nie, nie... dziękujemy, w zupełności wystarczą... Ten będzie naszym przewodnikiem. Okazało się, że spacer po mieście bez oprowadzającego nie są zupełnie bezpieczne.

– Niebezpieczne? Czemu?

– Niewiele brakowało, a pobito by nas na śmierć w oberży.

– W której konkretnie? – najeżył się margraf. – Zaraz tam poślę ludzi...

– Nie, nie... – pospiesznie wtrącił Leon. – Niechże wasza miłość nie zawraca sobie tym głowy. Po prostu... może się okazać, że mimo woli kogoś urazimy, naruszymy jakiś

obyczaj... i dlatego wynajęliśmy przewodnika, który chyba się do tego nada.

– Zgoda – odpowiedział margraf, myślący już o czymś innym.

– Innym razem zająłbym się tym incydentem i przypatrzyłbym mu się bliżej, ale teraz... Co się tyczy służby, zechcą panowie zwrócić się z tym do konetabla. Powiedźcie mu, że to z mojego polecenia. A teraz, wybaczenie...

Ponownie ruszył ku drzwiom, pociągając za sobą zaniepokojonego duchownego.

– Ciekawe, co się stało – mruknął Berg, kiedy wyprawiwszy Alfa do kuchni, dotarli do swoich komnat. – Z pewnością coś poważnego, skoro nasz gospodarz tak się zaniepokoił. I do czego, jest mu potrzebny przedstawiciel miejscowego kultu?

– A tak na marginesie, co tak wstrząsnęło naszym przedstawicielem kultu? To dopiero, zobaczyć na własne oczy diabły! Co go napadło?

– Chwilowe załamanie na tle religijnym – skwitował pytanie Berg.

– Tak ni z tego, ni z owego?

– No, zaczęło się pewnie od wiadomego nam niebieskiego zjawiska.

Usiadł na krześle i zaczął zzuwać niewygodne trzewiki, mocno się przy tym krzywiąc i posapując.

– Wezwałbyś służbę – rzucił obojętnie Leon.

– Nie mogę do nich przywyknąć... Niezręcznie jakoś. Ubierają, rozbierają... Ty, tego... Posłuchaj mojej rady. Jestem od ciebie starszy i mam więcej praktyki. Nie bierz sobie za bardzo do serca wszystkiego, co się tu dzieje. Przyjdzie ci jeszcze zobaczyć niejednego świat i jeżeli będziesz się angażował w miejscowe sprawy z takim zapalem, szybko się wykończysz. Skoczyłeś choćby na ratunek temu świętemu mężowi. A gdyby cię ktoś trafił w kaczan kamieniem?

– Nie mogłem inaczej – stwierdził Leon ze znużeniem w głosie. Rozsiadł się przed kominkiem i wyciągnął ku niemu nogi; od ognia bił żar, przyjemny nawet w ten ciepły, wiosenny wieczór. – Przecież to ludzie...

– Ludzie, ale jednak nie nasi, inni... – Berg wolno pokręcił głową. – Nawet nie dlatego, że nic wynaleźli gwiazdnych okrętów... Oni są inni – nie fizjologicznie, ale psychologicznie. Gdyby nawet kiedyś – nie my, ale nasi przodkowie – stali się do nich podobni... My jednak zdążyliśmy się zmienić, a oni nie. Nie dasz rady pracować, jeżeli każdego aborygena będziesz traktował jak równego sobie człowieka.

– Dopóki się męczą, mają nadzieję, rodzą się i umierają, są ludźmi. Czego jeszcze trzeba?

– Z takimi ideami nie trzeba było wstępować do Korpusu. Twoją sprawą jest obserwacja. Zapisywanie. Nawiązywanie potrzebnych kontaktów. Nasze zadanie –

utrzymać się przy dowolnej władzy, a do tego potrzebna jest spora doza cynizmu, mój miły. I nie mać mi w głowie rozmaitymi głupstwami – krasomówców tu i bez ciebie nie brakuje.

Leon milczał. Nagle ostro poczuł swoją samotność. Berg miał rację, przynajmniej w tym sensie, że ten świat nigdy nie stanie się ich ojczyzną. A i sam Berg, ze ścisłym i zimnym teutońskim umysłem, nie nadawał się na bliskiego przyjaciela, jego oschłość stanowiła dobrą przeciwwagę dla impulsywnego, żywego niczym rtęć Leona – prawdopodobnie posłów dobierano w pary właśnie na zasadzie przeciwieństwa. Odczuwał jednak brak bliższej więzi z towarzyszem misji.

Drzwi nieco się uchyliły i w szczelinie pokazała się fizjonomia Alfa.

– Właz – zaprosił Leon. – Nakarmili cię?

– Aha – chłopak kiwnął głową i kucnął przy kominku. – Ale Ten (tary dureń, tutejszy ochmistrz, polecił mi iść do pomieszczeń dla służbv. Widziałem te pomieszczenia – gorsze od piwnicy... Nie tak się umawialiśmy.

– Ciekawe – zapyta! Berg, zadarłszy nosa – czemu ci niewygodnie w służbówce? Można pomyśleć, że przedtem nocowałeś w pałacach.

– Nie to, panie, żeby było niewygodnie, ale... Jakąkolwiek piwnicę to ja znajdę gdziekolwiek.

– – Znaczy, wygod ci się zachciało? Alf wzruszył ramionami A co złego w wygodach? Powłóczylibyście się ze mną, panie, pospalibyście na słomie. Z pchłami dzieląc siennik. Co to zresztą za wygody, czy przepychy? (a, panie, nie proszę o wiele...

– No dobrze – zgodził się Leon. – Możesz przenieść siennik tutaj, do przedpokoju. Tylko wynoś go codziennie rano, zgoda?

– Nie inaczej, panie. Zresztą, szczerze mówiąc, nikomu tu nie będę przeszkadza!, bo wszyscy co innego mają na głowie. Nabożeństwa i inne takie. Jego miłość rano nas opuszcza. A wszyscy przyboczni pojadą razem z nim.

– Opuszcza nas? – zaciekawił się Leon. – I dokąd się udaje? Wyglądało na to, że Alf zdążył się już dowiedzieć więcej, niż obaj posłowie razem wzięci.

– Przecież onegdaj goniec przybył od krewniaka jego miłości margrafa, Ansarda, który jest jego lennikiem na zamku Worland. Coś się tam wydarzyło niedobrego. I jego miłość chce sam wszystko zobaczyć.

– Znaczy, co? Wojna?

– Nie, nie – Ali pokręcił głową. – Coś innego. Zauroczył ich ktoś, czy jak... Nie bez powodu biorą ze sobą jego świątobliwość.

– I skąd ty to wszystko wiesz? W kuchni wywąchałeś, czy jak?

– A jakże, w kuchni można się czegoś dowiedzieć prędzej, niż gdzie indziej. Przecież

ktoś musi obsługiwać przy stole, prawda? Ktoś musi margrafowi nalewać wina. A gdzie, wedle panów, gońca karmiono? Przecież nie przy stole margrafa...

– A gdzie leży tenże Worland?

– Na granicy, nad samym Jeziorem Murcjańskim. Dziwne to miejsce – wokół same lasy. Ale poza tym niezłe – ziemia tam dobra.

Leon się zamyślił. Ani razu jeszcze nie był na północnych rubieżach marchii, wiedział jednak, że te słabo zaludnione, dzikie kraje, zrodziły wiele najrozmaitszych legend i pogłosek – z tych, co zawsze lęgną się na obrzeżach cywilizacji.

– Dobrze byłoby tam pojechać, prawda? – Alf prawidłowo od czytał jego nieobecne spojrzenie. – W orszaku jego wysokości, z całym szacunkiem, podróżowalibyśmy jak wielcy panowie.

– A bywałeś w tamtych krajach?

Chłopak pokręcił głową.

– Jakoś się nie złożyło. Dla takich jak ja, nie ma tam miejsca. Pod gołym niebem nie za bardzo można nocować – zimno, a ludzie niegościnni.

– Szkoda stracić okazję – Leon odwrócił się do Berga, ten jednak wbrew swoim zwyczajom, wcale się nie sprzeciwił.

– Margraf jedzie – stwierdził z zadumą. – I jego świątobliwość, Jeżeli rzeczywiście coś się tam szykuje, dobrze byłoby dowiedzieć się od naocznych świadków. Żeby tylko jego wysokość się zgodził. Spróbujemy go przyłapać jutro z samego rana, a potem się okaże.

Leon spojrział w okno. Na zielonkawym niebie jak przedtem płonęła biała pochodnia, ale dolina tonęła w mroku, przez który nie mogło się przebić żadne światełko. Zdawało mu się, że oprócz nich na świecie nie ma nikogo, jakby jakaś straszna, bezgłośna katastrofa zmiotła z powierzchni ziemi wszystkich, oprócz garstki mieszkańców zamku. Nie wiedzieć czemu poczuł się nieswojo i zaciągnął zasłony.

Podróżował na niewielkim i ruchliwym skarogniadym koniku. Cieszył się, że wcześniej opanował sztukę jeździecką na tyle, by spokojnie przyglądać się otoczeniu. Początkowo jechali przez pola uprawne, na których szmaragdowa zieleń ciągnęła się aż po horyzont i nikła w sianej mgle. Rozgrzana ziemia parowała wilgocią, a na niebie śpiewał głośno jakiś ptak. Pod wieczór teren zaczął się jednak podnosić i spokojny wiejski pejzaż zastąpiły rozległe, obojętne przestrzenie. Przed nimi rozciągały się teraz mroczne pustkowia porośnięte wrzosem, który wolno falował poruszany wiatrem.

Wbrew temu, czego się można było spodziewać, droga nie była trudna – przez płaskowyż biegł brukowany trakt, dostatecznie szeroki, by mogło nim jechać obok siebie

czterech jeźdźców. Nawet tak liczny orszak, jak konna świta margrafa z jadącymi na końcu wozami taboru mogli się po nim poruszać dość swobodnie.

– To trakt wojenny? – zapytał Leon Alfa, jadącego obok na krzep kim mule.

Zagadnięty wzruszył ramionami.

– Za mojej pamięci żadnej większej wojny nie było. A ta droga była tu od zawsze.

W rozmowę wmieszał się Warren, goniec Ansarda, jadący teraz obok Leona na świeżym koniu:

– Rzeczywiście – stwierdził – to trakt wojenny. Zbudowano go za niepamiętnych czasów, kiedy przez Średnie Marchie nieustannie przetaczały się wojny. Prawdziwe wojny, nie żadne tam pograniczne utarczki. Potem wszystko ucichło i od kilku pokoleń mamy pokój. Ale w tamtych czasach rodziły się legendy i podania. Pamiętacie, panowie, gobeliny w zamku jego wysokości?

– Legendy to i ja pamiętam – odezwał się Alf i zaintonował śpiewnie:

Kiedy w czas bitwy rycerz śmiały Padł rażon grotem wrażej strzały, Schylił się nad nim giermek młody, A rycerz, kuty pierścień złoty Podał mu dłońią, co martwiała: „Jedź do tej, która mnie czekała, W ojcowskim zamku nad jeziorem. Rzeknij, żeni w polu przed wieczorem Usnął i tylko polne myszy Sen mi zakłóca w nocnej ciszy...”

– I tak dalej... – zakończył już normalnym tonem.

– Czyżby panowie przywieźli barcią? – zapytał z szacunkiem w głosie Warren. Ambasadorowie zza morza, wędrujący z własnym bazarzem, najwyraźniej wzbudzili w nim respekt.

– Nie – odpowiedział szczerze Leon. – Znaleźliśmy go na miej scu.

Warren wzruszył ramionami.

– Szczwani ludzie z tych wędrownych bardów – rzekł głośno, nie przejmując się tym, że może urazić Alfa. – Tylko patrzą, gdzie by co zwędzić. Uważajcie na niego, panie.

– Biorę za niego pełną odpowiedzialność – odparł Leon, rzuciwszy Alfowi znaczące spojrzenie. Chłopak przełknął już urazę i zrobił minę niewiniątka. Poseł, pragnąc zmienić temat, zapytał: – Tu, jak powiadają, powinno być jezioro... Zobaczymy je?

– Owszem – odparł Warren. – Jezioro Murcjańskie. Dotrzemy rlie wcześniej niż przed południem, a może i pod zmierzch... jak wypadnie... Trzeba nam jeszcze przedostać się przez góry.

– Pojedziemy wierzchem? – przestraszył się Leon. Nie opanował sztuki jeździeckiej na tyle, aby nie bać się upadku ze stromizny – nie tyle z winy biednego zwierzęcia,

zaskakująco spokojnego i uległego, co z powodu własnej niezdatności.

– No nie, co też wy, panowie... – zdziwił się Warren. – Pojedzie my jarem. Tam niedaleko są kopalnie srebra, więc przedłużono drogę wywozową.

„No pewnie – pomyślał Leon. – Alt coś mi mówił o kopalniach srebra”. Berg widać przypomniał sobie o tym samym, bo wtrącił się do rozmowy nie bez ciekawości w głosie:

– Teraz też trwa wydobywanie?

Warren westchnął:

– Nie, zostały porzucone. Żyła znikła w głębi ziemi. Kiedyś Soler słyszał ze swoich kopalni – większość bogactw pochodziła spod ziemi.

– A kiedy wjedziemy do tego jaru? – Leon nadal był zaniepokojony. – Dzisiaj?

Warren pokręcił głową:

– Droga tam jest, ale niezbyt godna zaufania. Lepiej poczekać do rana. Jego wysokość raczej nie zechce ryzykować życiem swoich ludzi i koni. Otóż i sygnał, słyszycie, panowie? Rozbijamy obóz.

– Zechciejcie powiedzieć, panie... – Leona gryzła nieposkromiona ciekawość, i pod tym względem nie bardzo różnił się od swego sługi. – A co się tam stało w Worlanie?

Warren, który do tej pory chętnie rozmawiał z ambasadorami (może schlebiała mu bliska znajomość z tak wysoko postawionymi osobami, a może dokuczala równie nienasycona ciekawość), nagle zamknął się w sobie.

– Lepiej nie wiedzieć, panowie – odpowiedział sucho i dawszy koniowi ostrogę, pognął kłusem ku przodowi.

Jak to zwykle bywa wiosną, niebo gasło powoli, jakby niechętnie, słońce przedzierało się przez płynące nisko chmury, zalewając połacie wrzosu złotem i purpurą. Barwy były tak czyste, że aż dziw brał, iż widowisku nie towarzyszą podniesione tony muzyki. Światło jednak stopniowo gasło, niebo na wschodzie zaciągało się czystym błękitem, a szczyty skał po lewej coraz wyraźniej rysowały się na tle równie czystej zieleni z lekkim odcieniem akwamaryny.

Ludzie z orszaku margrafa sprawnie rozbijali namioty, ustawili polową kuchnię, a spętane konie wypuścili na pobliską łączkę, gdzie mogły się paść pod czujnym okiem koniucha. Ich zręczność wiele mówiła o minionych doświadczeniach, których w skądinąd spokojnym kraju nie powinni w zasadzie posiadać. „Co prawda – pomyślał Leon – margraf jest zamiłowanym myśliwym...”

– No popatrz tylko! – odezwał się do Berga, z którym obaj obserwowali toczące się przed ich oczami widowisko, jako że nie przydzielono im żadnego zajęcia. – Prawdziwi żołnierze! Kto by się mógł spodziewać?

– A czemu się tu dziwić? – mruknął Berg. – Tradycja. Przecież, mimo długotrwałego

spokoju, zachowali do dziś pojęcia rycerskiego honoru, wojennej sławy – szlachectwo to szlachectwo. Zresztą, spokój to rzecz względna. Równowaga sił, wiadomo, nie jest stabilna. Dzisiaj cisza, a jutro...

Znikające słońce zostawiło tylko wąską smużkę światła na horyzoncie i dolina pograżyła się w mroku.

Od polowej kuchni ciągnęło smakowitym zapachem. Płonący ogień przypominał migotliwy blask klejnotu na aksamitnym kobiercu wrzosowych pustkowi.

Nagle poczuł drgnienie niepokoju, jakby za plecami ktoś się w niego natarczywie wpatrywał.

Odwrócił się szybko.

Na szczycie góry płonął ogień.

Czysty, zimny blask, tak samo przejrzysty, jak drżąca nad ich głowami aureola supernowej. Niczym latarnia lub gwiazda, niczym snop elektrycznego światła... Tyle, że tutaj nie było i być nie mogło żadnej elektryczności.

– Berg! – zawołał.

Berg z ciekawością przyglądał się polowej kuchni – a ciekawość ta miała bardzo praktyczny charakter.

– Podejdź tutaj – poprosił niezbyt głośno Leon.

Berg niezbyt chętnie wyszedł poza krąg światła rzucany przez ogniska.

Przyzwyczajenie wzroku do ciemności trwało chwile, a potem ambasador rzekł z rezerwą w głosie:

– A niech to diabli!

Teraz już cała góra oświetlona od wierzchołka do podnóża błyszczała jak świąteczna choinka. Płomień wciąż pozostawał taki sam, zimny i czysty, jakby nad wzniesieniem przesunęła się czyjaś gigantyczna dłoń i rozsypała garść równie gigantycznych świetlików.

– No, no – skwitował to Leon. – I co to takiego, według ciebie? Berg w milczeniu poruszał wargami. Z natury nie był skłonny do wysuwania pochopnych hipotez.

– Zjawisko wulkaniczne? – zaproponował wreszcie.

– Raczej niepodobne. Dane z orbitalnego satelity na nic takiego nie wskazywały.

– Jonizacja?

– Myślisz, że to uboczny efekt supernowej? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Leon przez chwile przygryzał wargi, a potem odezwał się niepewnym głosem: – Posłuchaj, a może to w ogóle nie jest zjawisko przyrody? Może...

– Kalganow, zastanów się, co mówisz. Ogniska rozpalać potrafią, to prawda...w tym im nawet nie dorównamy. Ale to przecież nie jest ogień.

– No to ich zapytajmy. To nie może być unikalne zjawisko – coś takiego z pewnością już się zdarzało. Ojczy... wasza świątobliwość...

Kapłan akurat wstawał z kolan przed polowego ołtarzyka.

– Nie wiecie przypadkiem, co to takiego?

Prymas odwrócił ku nim bladą twarz, na której malowało się zdziwienie.

– Gdzie, panie ambasadorze?

– No tam, na górze – stwierdził Leon z niecierpliwością w głosie.

– Co to za światła, tam wysoko?

Jego świątobliwość przez chwilę patrzył w mrok, a potem odwrócił się do Leona.

– Panie ambasadorze – rzekł łagodnie, jakby mówił do chorego.

– Nie widzę żadnych światła.

– Ależ... – zdumiony Leon spojrzał na Berga, ten jednak posta nowił milczeć.

– Kiedy człowiek długo wpatruje się w mrok – zaczął niespiesznie kapłan – może mu się przywidzieć, że coś tam migocze. Ze tam się coś kryje... ale to tylko iluzja, panie ambasadorze. A teraz zechce mi pan wybaczyć.

Odwróciwszy się, pospiesznie odszedł. Skraj jego habitu włókł się po wrzosach, strącając z nich krople rosy.

– To... – Leon zdołał wydobyć z siebie głos dopiero po dłuższej chwili. – Nie rozumiem. Naprawdę niczego nie widzi? Czy po prostu łąze w żywe oczy? Może zapytać Alfa?

– Palej, idź i zapytaj, jeżeli ostatecznie postanowiłeś dorobić się reputacji wariata.

– Ale to nie może być! Nie widzieć takiej iluminacji?!

– A skąd wiesz, że ich oczy rejestrują takie świetlne o tej długości? Nie badaliśmy ich dostatecznie dokładnie.

– Ale supernową widzą doskonale!

– Widma mogą być różne. Dla nas jedno i drugie to jednakowo jaskrawy biały blask. A dla nich...

– Ani razu – sprzeciwił się Leon – żaden z nich nie doł powodu do przypuszczeń, że widzą barwy inaczej, niż my. Przypomnij sobie tylko ich gobeliny – jak precyzyjna jest to robota. Są na nich wszystkie barwy tęczy. Ich wzrok jest w porządku, w absolutnym porządku.

Znów spojrzał na górę – tym razem z pewną obawą. Ognie zamigotały, zadrgały, jakby po cielsku góry przeszedł dreszcz, a potem zgasły wszystkie naraz.

– No i masz – skwitował to Leon.

– Z samego rana będziemy przejeżdżać przez jar – stwierdził Berg uspokajającym głosem. – Popatrzymy na to чудо przyrody z bliska. Zapytamy Warrena, tam przecież

była kopalnia srebra, być może do tej pory trwają tam jakieś prace albo przez wyloty szybów prześwieca blask magmy...

– Jakiej magmy? – zapytał Leon smętnie.

– No dobrze – Berg się odwrócił i stanowczym krokiem ruszył w stronę ogniska. – Mam nadzieję, że jaka by nie była natura tego zjawiska, nie jest niebezpieczne dla ludzi. W przeciwnym razie wiedzieliby... i nie zachowywali się tak spokojnie.

– Nie jest niebezpieczne? Ale eksploatację kopalni zarzucono.

– Skończyła się żyła, pamiętasz? No dobra, co będziemy zgadywać, rano się zobaczy.

Odwrócił się i wszedł do namiotu, zostawiwszy **Leona** samego. Ten długo jeszcze mrużył oczy i wpatrywał się w górę, dopóki znów nie zaczęło mu się wydawać, że widzi ogień – ale to był tylko taniec elektrycznych impulsów na neuronach, gra elektronów na siatkówkach oczu, maleńkie widmowe iskierki **prześladujące** człowieka w ciemnościach i znikające w świetle dnia.

Świt na płaskowyżu okazał się niezwykle chłodny. Wrzosa tysiącami kropel pokryła dokuczliwa rosa, połyskująca w promieniach słońca tęczowymi **refleksami**. Droga zaczęła pisać się ku górze, gdzie połyskiwały wilgocią ogromne bure głązy, podobne do grzbietów śpiących zwierząt, ale jadący na czele orszaku margrał skręcił w jakąś boczną kamienistą ścieżkę, dość szeroką, ale znacznie gorzej ubitą. Wyboje wypełniała tu woda, w której odbijało się blade niebo. Konie przeszły w stępa.

– A tam co jest? – Leon skinieniem głowy wskazał miejsce, gdzie porzucona przez nich droga przecinając wzgórze ginęła w sonej porannej mgiele.

– O ile dobrze pamiętam mapy, nic – odezwał się Berg. – Pusto. Błota i zachodni brzeg...

– A ta droga dokąd wiedzie?

– Może dawniej coś tam było – rzekł Berg niepewnym głosem. – Ale to musiało być bardzo dawno...

– Zapytajmy Alfa – Leon odwrócił się i gestem przywołał młodego sługę. – Przyjacielu, dokąd wiedzie ta droga? – zapytał, kiedy *ten* się przybliżył, mocno ściskając wodze boczącego się muła.

– O ile wiem, donikąd, panie – odpowiedział głośno chłopak. Coś tam jeszcze wymamrotał pod nosem, ale najwyraźniej odnosiło się to do narowistego bydłęcia.

– To niemożliwe – rzucił Leon z niecierpliwością w głosie. – Znaczą, dawniej gdzieś wiodła. Gdzie?

– No... – rzekł Alf z niechęcią w głosie – kiedyś było tam potężne księstwo. Mówią,

że jego władca sprzedał swoją duszę.

– Ciemnemu? – zapytał Leon z niedowierzaniem.

– Nie, panie, nie Ciemnemu. Straszna tam się rzecz wydarzyła, no... lepiej o tym nie wspominać. Cokolwiek się stało, nie został nikt żywy, księstwo do tej pory leży w ruinach; nikt się tam nie osiedlił i nie osiedli. Najbliższe lenno to Wbrland, to wszystko.

– A w Worlandzie? – zapytał dość niejasno Leon, Alf jednak w lot pojął, o co mu chodzi.

– Na razie spokój, panie.

Pomilczał chwilkę, a potem dodał:

– Może i Worlandu nikt by nie obsadził, ale ten od wieków jest bogaty w rozmaite rudy. I trzymali go do końca, dopóki żyła nie uciekła. A kiedy uciekła, powiadają, ojciec terazniejszego lorda Ansarda nie chciał opuścić nieźle już zasiedlonej okolicy. I nie zwolnił swoich wasalów. A ci z kolei, zatrzymali chłopstwo. Wolni kerlowie może i odeszli... a może nie. Kto ma ochotę dożywać lat na obczyźnie?

„Osobliwe pojęcie mają ci ludzie o obczyźnie – pomyślał Leon. – Pięć dni drogi i już obczyzna...”

Góra wznosiła się teraz wprost przed nimi, zasłaniając północno-wschodnią część nieba, a dolina leżała w rzucanym przez masyw głęboko fioletowym cieniu.

Leon spał się wewnątrz.

Miejsce miało w sobie jakiś swoisty urok, ale wiało od niego chłodem.

– A oto i kopalnia – oznajmił podjeżdżający ku nim Warren. Trzymał się nieco sztywno i oficjalnie, ale widać było, że ciągnie go do ambasadorów z krańca świata, jak chłopaczków na Ziemi ciągnie do szturmana gwiazdolotów.

„Żeby go tylko nie spłoszyć – pomyślał Leon. – Trzeba urobić go ostrożnie i powolutku...”

– I co, kompletnie ją opuszczono? – zapytał na początek.

– Kompletnie – odpowiedział Warren. – Z początku, kiedy żyła zaczęła się kończyć, trzeba było bić sztolnie i pokłady coraz głębiej. W końcu przepadło kilku górników. Ale wydobywanie jeszcze trwało, wiadomo... Potem żyła skończyła się całkowicie. A pracownicy zaczęli się bać. Za głęboko wdarli się w serce góry.

Na rozrytym północno-zachodnim stoku gromadziły się porośnięte burzanami hałdy wydobytych z głębi ziemi odpałów, przypominających stopy zapleśniałych bochenków chleba. Nieopodal, na brzegu niewielkiego, ale bystrego strumienia, leżały kanciaste rozwałki hut i kuźni.

„Kiedyś pracowało tu wielu ludzi – pomyślał Leon. – Wiertacze pod kierownictwem

sztugarów, pomocnicy do prac ziemnych, wodnych i innych, mistrzowie wytapiacze, odlewacze i kowale...” Teraz panowała tu zupełna cisza.

– I tak poprzepadali ci kopacze ziemi – cichutko chrząknął Alf, który zdoławszy zapanować nad narowistym wierzchowcem, bezgłośnie podjechał do rozmawiających i teraz ciągnął truchtem obok Leona. – Do tej pory tam brodzą w mroku z kagankami w rękach.

– Jak to? – zapytał Leon z roztargnieniem w głosie; najwyraźniej za bardzo skrócił wodze i koń się szarpnął bokiem, łypiąc na jeźdźca gniewnie liliową źrenicą.

– No jakże... Przed początkiem zmiany wszyscy się zwykle zbierali przy wejściu do kopalni, brali swoje kaganki i schodzili pod ziemię parami. I mieli tam pracować do nadejścia zmienników. Dopóki nie nadeszli, nie wysuwali nosa na powierzchnię... Czekali, czekali, a zmiana nie nadchodziła. Ib i łażą do tej pory pod ziemią i czekają, aż ich ktoś zmieni.

– Z kagankami – mrukną! Leon.

– Właśnie – kiwnął Alf z zadowoleniem i przebiegle zmrużył oczy.

– A czemu zmiana nie przyszła?

– Nikt nic wie. Przepadli i tyle. Zostawili kilofy i znikli. No to kopalnię zamknięto, żeby licha nie kusić. Żyła się skończyła, akurat...

– Nie gadaj – sprzeciwił się Leon. – Życie górnika jest tanie. Gdyby tam było srebro, cała świta Ciemnego ich by nie zatrzymała.

– Można to sprawdzić – odezwał się nagle Berg.

– Mówisz o... – Leon w lot pojął zamysł towarzysza. – Ach, tak...

Wstrzymywał konia, dopóki jadący obok siebie Warren i Berg zajęci uprzejmą rozmową o zamorskich krajach – same łgarstwa, wiadoma rzecz – nie skryli się za kolejnym zakrętem. Alf, którego nie tak łatwo było zwieść, trzymał się obok, nie spuszczać z Leona zaciekawionego spojrzenia.

– Pomóż, mi, chłopie – rzekł Leon, zatrzymując konia.

Wyjąwszy z juków kieszonkowy analizator, dość udanie zamaskowany jako kindzał, zeskoczył z siodła, podał wodze Altowi, a potem podszedł do rumowiska.

– Mangan i t – stwierdził, podnosząc bury kamyk. – Manganu tu nie brakuje. A oto i argentyt. Miałeś chyba rację, kolego. Żyła wcale się nie wyczerpała.

– Wiadoma sprawa – odparł Alt z godnością. – Ale czemu, panie, kłuliście ziemię nożykiem?

– Chciałem sprawdzić, czy w tych kamieniach jest srebro.

– To w waszych krajach takie osobliwe noże robią? Ale niepo trzeba się trudzić – każdy głupi wie, że srebra tu pełno.

Takiemu stwierdzeniu Leon nie mógł niczego przeciwstawić. Odrzucił odłamek rudy i odebrawszy wodze od Alfa ponownie wstawił nogę w strzemień. Wlot do kopalni czerniał przed nimi niczym gigantyczna krecia nora.

Kawalkada margrafa zdażyła się już oddalić – i trzeba było konie puścić w galop, żeby dogonić towarzystwo.

Przejście w skałach otworzyło się zupełnie niespodziewanie: oczy Leona ugodził oślepiający błysk – w szczelinę zaświeciło słońce i wyglądało to tak, jakby jeźdźcy jeden za drugim znikali w oceanie płynnego ognia.

C.dy źrenice przywykły do ostrego światła, daleko w dole Leon ujrzał ultramarynową taflę jeziora i tonące w niej pasma rudawych gładów. W nieruchomej wodzie odbijały się wizerunki ciemnych świerków, a na brzegu pomiędzy drzewami widać było, wyglądające stąd jak dziecięce zabawki, wiejskie chaty.

– Oto Jezioro Murcjańskie – odezwał się Alf.

Dalej, aż czoł samego horyzontu, ciągnęła się zwarta ściana lasu, zaciągnięta miękką poranną mgiełką.

– A... zamek? – ze zdziwieniem zapytał Leon. Wyobrażał to sobie jakoś inaczej.

– Zamek jest tam – Alf machnął ręką w dość nieokreślonym kierunku – za lasem. Stoi bliżej drogi, z której wczoraj zjechaliśmy. Tam jest grzbiet górski zakończony cyplem, miejsce dogodne i wysoko położone. A tu górnicy mieszkali i przy nich... Zwierzyny tu nie brak, wody pełne ryb, i w jeziorze, i w strumieniach. A i łąki na pastwiska doskonale się nadawały. Niektórzy wyjechali, ale większość została.

– A dalej co jest? – zapytał Alfa Leon.

– Nic – padła odpowiedź. – Pustkowia, aż do samego morza. „Co tu się mogło stać, u diabła? – zapytał sam siebie w duchu Leon. – W takiej głuszy?”

– Jego wysokość zamierza zjechać na zamek jutro – wyjaśnił War ren. – Lord Ansard uznał, że jego nadzór potrzebny jest właśnie tutaj.

Zaczęli zjeżdżać po stoku, wstrzymując konie – droga w dół była mocno stroma.

Na ich spotkanie biegli już jacyś ludzie. Jeden, odziany nieco lepiej od innych był najwyraźniej wiejskim wójtem, w delegacji ze wsi Leon odnalazł też kapłana.

„Najwyraźniej musi się kłaniać obu stronom – pomyślał – i Jasnej, i Ciemnej. Innych kapłanów jakoś nie widać”.

Ludzie, którzy wybiegli na spotkanie, otoczyli jeźdźców. Leon zanotował w pamięci, że choć pojawienie się takiego konnego orszaku było tu najwyraźniej rzadkością, nikt nie był specjalnie poruszony. Mieszkańcy małej wioski na brzegu Jeziora Murcjańskiego wyglądali raczej na przygnębionych, a nawet chyba po trosze przestraszonych. Ich głosy brzmiały jakoś głucho i cicho.

Wójt wystąpił naprzód i pokłonił się do kolan.

– Wasza dostojność! Zaszczyt to dla nas!

Margraf zeskoczył z konia i rzucił wodze *jednemu* z miejscowych, który natychmiast odprowadził rumaka w głąb porośniętej trawą uliczki. Pozostali jeźdźcy, nie wyłączając Alfa, ruszyli za nim. Na placyku zostali tylko margraf ze swoim giermkim, prymas z miejscowym klechą i wójt. Berg po krótkim namyśle też nie ruszył się z miejsca – niby nikt go nie zapraszał, ale i odesłać go raczej nie odeśła.

– Cóż, prowadź. – rozkazał margraf.

– Tedy, wasza miłość – wójt z miejscowym kapłanem ruszył ku jednemu z krytych darnicą domków. Pozostali mieszkańcy wioski przez chwilę niepewnie jeszcze dreptali w miejscu, a potem zaczęli się rozchodzić.

Prosto, ale solidnie zbudowany dom, do którego ich wprowadzono najwyraźniej należał do samego wójta. Margraf oczywiście nie zamierzał tu nocować – Leon zobaczył, że należący cło orszaku słudzy zaczynają już rozbijać namiot nieopodal ujęcia wodnego. Ale od stołu jego wysokość się nie wymawiał.

Prymas i Warren poszli za jego przykładem. Berg zastanowiwszy się chwilę też ruszył za nimi stanowczym krokiem – jak się cenisz, tak i ciebie będą cenili.

Meble w paradnej izbie były solidne, choć ozdobne – ale ciężki stół, za którym rozsiadł się margraf z prymasem i terrańskim posłem, był zaskakująco pusty – na jednym talerzu leżała para ryb, dość mizernych i ościstych.

– Ryby na razie są jeszcze w jeziorze – ponuro oznajmił wójt. – Nie spodziewałem się waszej miłości tak szybko, w przeciwnym razie byłbym się zatroszczył o to, żeby rozstawić sidła jeszcze wczoraj... choć prawdę rzekłszy, zwierzyna uszła w głąb lasów.

„Ależ oni tu głodują!” – dotarło nagle do Leona.

Margraf skinął giermkowi; który znieruchomiał za jego plecami.

– Niech ludzie ustawią na placu wielki kocio! – zarządził.

– Co się u was wydarzyło? – zapytał wrogim głosem prymas.

– Lepiej będzie, jak o wszystkim opowie ojciec Lorich. – Wójt, podobnie jak pozostali mieszkańcy wioski, miał minę człowieka ni to zagubionego, ni to wystraszonego.

– Moja to wina, panie – odezwał się ponuro ojciec Lorich. – Moje niedopatrzenie, ledna z tutejszych kobiet miała ciężki poród, więc pozostałe, żeby jej ulżyć, sporządziły ze słomy kukłę... wstyd rzec, czyją... włożyły jej czapkę i zaczęły wokół niej tańczyć. Zrozumiała rzecz, że od takiego haniebnego postępuku jedna z tych tańczących padła na miejscu, rodząca też skonała, a mnie wystarczyło wziąć noworodka na ręce – wyszedł z niego wąż, a dziecko wyzionęło ducha. Najwyraźniej urażiliśmy Dwójce. Tak

uraziliśmy Bliźniaków, że ściany, wasza miłość, trząść się zaczęły. No i się zaczęło... Ludzie jakby rozum potracili. Każdy widzi w sąsiedzie to złodzieja, to bandytę... Najwyraźniej, panie, Mroczny się na nas uwziął – dlatego, że wszystkie dary i ofiary, które jemu się należały, otrzymali... no, sami wiecie, kto. A ja tu sam jeden jak palec jestem i za wszystko odpowiadam... jak ich upilnować? W mieście, wiadomo – modły wszyscy razem zanoszą, na jednego łotra stu sprawiedliwych się znajdzie. I Dwójca nie żywi urazy. A u nas jednego sprawiedliwego za dnia i z pochodnią nie znajdziesz, wszyscy po lesie łążą... i Bliźniacy się obrazili. No i poleciało. Wszyscy dostali w kość. A ta pechowa rodzina, eto której należała rodząca, w ogóle już życia nie miała. Nigdzie się schronić nie mogli, dach im Mroczny podciął, a gdy pochowali się w sąsiednim domu, spalił im ten dom do cna. Ojciec z dziećmi musiał w szaląsie szukać schronienia, w polu, poza wsią, a i to wystarczyło, że siano skosił i w stogi ułożył, a niebiańskie zastępy wszystko spaliły. Spichrze też spłonęły, a zasiewy w ogóle nie wzeszły... no to wójt do lorda Ansarda się zwrócił, a ten powiada – Worland może się za wami wstawić, ale co wskóra? Ot, na niebie za dnia białego gwiazda płonic, nad wszystkimi Średnimi Dziedzinami... Mój kapłan, powiada, dniami i nocami się modli, znaczy, i modlitwy na nic. Dwójca wysoko, patrzeć na nas nie chce – Bracia tylko dostojnym osobom sprzyjają, a tak są urażeni, że nie trzeba ich bardziej złościć. I spichrzów nie zechciał otworzyć, wielmożni panowie. Zresztą, nigdy nic nie wiadomo... może się to Braciom nie spodoba, wtedy i Woriandem się zajmą...

Opowiadający westchnął i podparł szczękę pięścią.

– A najgorsze ze wszystkiego jest to, że z jeziora uciekły ryby – stwierdził smętnie. – I co, źle im tu było?

„Z pewnością lubił wędkowanie – pomyślał Leon – ze szkodą dla swoich religijnych powinności”.

– A co się stało z tą rodziną? – nie wytrzymał.

Ojciec Lorich nie odpowiedział, ale wójt, który aż do tej pory bez większego powodzenia starał się odgadnąć status społeczny Leona, odezwał się z wahaniem w głosie:

– Ojciec rodziny umarł, panie... żeby odwrócić od siebie i dzieci nieszczęście, poddał się oczyszczeniu... rozżarzone żelazo... i skonał wkrótce potem. A dzieci uciekły do lasu. Nie mam pojęcia, co się z ni mi stało. Niechby i pomarły, nie w tym rzecz, ale przecież nieszczęścia nie przestały wsi prześladować: na wiosnę trawa stała się nagle trująca i padło prawie całe bydło... I myszy się rozmnożyły – wszędzie ich pełno, aż strach bierze. Ludzi zdjął strach, panie, powiadają, że to prze klęte miejsca, ale choćbyśmy się chcieli gdzieś wynieść, to gdzie iść? Chyba, że do Worlandu. A lord Ansard mówi, że nie

weźmie naszego grzechu na swoje sumienie – nie jemu o takich sprawach rozstrzygać... to sprawa lennego pana... seniora.

Siedzący z kamiennym wyrazem twarzy margraf bębnił tylko ponuro palcami po stole. Spojrzawszy w okno Leon zobaczył, że służdy rozpalają właśnie ogniska pod kotłami polowej kuchni.

Wójt pytająco spojrział na prymasa, ten jednak zachował surowy wyraz twarzy.

– Mam nadzieję, że nie zaniedbujecie ołtarzy – stwierdził ze zwodniczą łagodnością w głosie. – Chciałbym zajrzeć do świątyni. Oj cze Lorichu, zechcecie mi towarzyszyć?

– Tak, tak, oczywiście – odezwał się przestraszony kapłan.

– Chodźmy, wasza świątobliwość.

Margraf też się podniósł i wyszedł w towarzystwie giermka.

Berg kiwnął na Leona – obaj wstali i też wyszli za wszystkimi. Stanąwszy na progu Leon z przyjemnością odetchnął wilgotnym powietrzem, które wiatr przynosił z jeziora Murcjańskiego. W chacie starosty było dość mroczno, a na domiar wszystkiego pachniało torfem, którym dla zachowania żaru przykrywano od góry polana w palenisku.

– Okolice miała w sobie dzikie, surowe piękno: słońce już się opuściło z zenitu, barwiąc podchodzący aż do jeziora las ledwo dostrzegalną purpurą. Znieruchomiała na brzegu dziewczynka wyglądała tak Żałośnie, jakby dotknęła ją nieodwołalnie pieczęć nędzy i zaniedbania. Od maleńkiego, podobnego niemal do zabawki kościółka na pobliskim wzgórzu niósł się przytłumiony dźwięk dzwonu, Obawiam się, że o wszystkie nieszczęścia obwinia tego biedaka, miejscowego klechę – stwierdził Berg. – Powiedzą, że zaniedbał swoje powinności i ludzie się odwrócili od prawdziwej wiary. W ich systemie wartości nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności; nic się nie dzieje bez celu i przyczyny. A tu jeszcze, na domiar wszystkiego, trafiło się trzęsienie ziemi. Najpewniej ziemia osiada – przeryli przecież całą górę...

– I co będzie?

– Nie mam pojęcia. Zależy to od stopnia wytrzymałości naszego świątobliwego towarzysza. Nic wygląda mi na okrutnika. Ale mieszkańcy wsi zapomnieli o prawdziwej wierze, a to – rzecz, jasna – niedopuszczalne.

– Czegoś nie zrozumiałem. Czym oni tu właściwie zgrzeszyli?

– Najwyraźniej uciekli się do jakichś pogańskich obrzędów. Z punktu widzenia panującej religii – popełnili bluźnierstwo.

– Nie, to akurat zrozumiałem. Ale co zrobili?

– Oddawali cześć jakiemuś bożkowi, który najwyraźniej miał coś wspólnego z płodnością i urodzajem. Słyszałeś, że miejscowy kapłan wstydził się nawet wymienić jego imię.

Leon nagle ni z tego ni z owego przypomniał sobie pokraczną figurkę skacząca nad zasłoną jarmarcznego teatrzyku.

– Może chodzi o tamtego leprekauna? Pamiętasz – tego z jarmarku?

– Korra... nie wiem. Jeżeli tak, to te stwory nie mają nic wspólnego z leprekaunami – one głównie pilnują skarbów... Akurat pasowałyby do górnictwa.

– A przy okazji górnictwa... – przypomniał sobie Leon. – Zyla nijak się nie wyczerpała. Tam jest pełno srebra.

– No... – mruknął Berg, najwyraźniej myśląc uporczywie o czymś innym. – Czyli leprekauny ich wyparły...

– No dobrze – zgodził się Leon. – Niechby i kmiecie nie oddawali czci leprekaunom. Ale co tu, w tej wioszczynie się stało?

– A... wiedźma rzuciła urok. Stało się... cały czas coś się staje. Nie w jednym świecie, to w drugim. Człowiek to dziwna istota: nijak nie może pogodzić się ze świadomością, że łańcuch przypadków to jeszcze nie reguła – stwierdził sucho Berg.

– Prawda? No dobrze, wy tam w kościółku róbcie swoje, a ja tymczasem przejdę się z analizatorem po tej łączce. To tam się bydło struło? No to zobaczę, co to za trucizna.

– No, no... – odparł Berg z powątpiewaniem w głosie. – Proszę bardzo, nie krępuj się. Sam sobie popatrzę, jak świątobliwy odprawia swoje obrzędy... Bo, jeżeli choć jeden z nas w świątyni się nie pokaże, tutejsi gotowi jeszcze pomyśleć, że sami jesteśmy leprekaunami...

Młoda trawa na łące, choć świeża i zielona, sięgała Leonowi najwyżej do kolan. Przy każdym kroku spod nóg umykały mu całe chmary jakichś owadów – wydawało się, że sama łąka brzmi nieustannym terkotem i brzękiem miniaturowych pil i młoteczków. Podeszłszy do szczególnie zielonej i gęstej kępy wyjął z trzosu przy pasie kieszonkowy analizator i przysiadł w kucki, wpatrując się w skalę wskaźnika.

Słońce przypiekało coraz silniej i gdy się wyprostował, wciąż jeszcze trzymając analizator w dłoni, skalę na króciutką chwilkę przesłoniła mu purpurowa mgiełka.

– To nic – rzucił w pustkę.

Wzruszył w zadumie ramionami. Berg mówił o łańcuchu przypadków. Może ta trawa nie była niczemu winna... Mało to może się zdarzyć...

Wciąż jeszcze brodził po bezpiecznej, nieszkodliwej i szmaragdowej łące, kiedy usłyszał dobiegający z dołu ze wsi wysoki, urywany płacz dziewczęcy, który niósł się nad jeziorem, odbijając się od gładkiej tafli wody. Leon przyspieszył kroku – w samą porę, żeby się natknąć na wychodzącego z kościółka Berga.

– Co tam się stało? – zapytał pospiesznie.

– Okazuje się, że nasz dobry prymas wcale nie jest takim miłym kapłanem, na

jakiego wygląda – odpalił takie kazanie, że ściany się zatrzęsły, a pod koniec obłożył to miejsce anatema.

– Przeklął wioskę?

– Ludzie już tu żyć nie będą. Jutro wszyscy uchodzą do Wor-landu. Sami skazili to miejsce, wyparli się opieki Dwójcy, oddali je we władanie prastarym mocom. Większa część winy spoczywa, co zrozumiałe, na miejscowym klesze, ale z nim rozprawią się już w Wor-landzie.

– Berg, trawa na łące jest absolutnie nieszkodliwa.

Towarzysz wzruszył ramionami.

– I co z tego? Widać wiosną wymyło na powierzchnię jakieś świństwo spod ziemi, trawa tym nasiąkała, a potem substancja się rozłożyła i przestała być groźna. A może po prostu miejscowa roślinność ma takie cykle – za bardzo rozciągnięte w czasie, żeby je spostrzegła Pierwsza Kompleksowa. A ty co, faktycznie podejrzewasz, że zwróciły się przeciw nim jakieś ciemne moce?

– No to... powiedz mi, co tu się dzieje?

– Nic – stwierdził ze zdziwieniem Berg. – A czemu właściwie miałyby się coś dziać?

Wzrok Berga nie wyrażał niczego, oprócz bezgranicznej cierpliwości, Leon jednak poczuł się nieswojo – dopiero teraz dotarło do niego, że partner, który formalnie jest też jego kuratorem, może wyciągnąć niewygodne wnioski. Na Drugą Kompleksową trzeba będzie długo czekać, ale w końcu się zjawi, a Berg będzie miał już przygotowany zawczasu raport, w którym podkreśli, że obserwator szerokiego profilu Kalganow, skłonny jest do bezkrytycznego przyjmowania rzeczywistości i łatwo się godzi w objawy masowej hysterii, bardzo typowej dla społeczeństw opartych na nienaukowych dogmatach i systemie wierzeń.

– Wracajmy do obozu – odezwał się Berg flegmatycznie. – Jego wysokość raczył oznajmić, że nie wejdzie pod żaden z tych przeklętych dachów. W ogóle jest w kiepskim nastroju – zgodnie z etykietą, lord Ansard powinien na niego czekać właśnie tutaj, a potem powieść do Worlandu, na powitalną ucztę... a do tej pory się nie pokazał. Więc rano stąd wyjeżdżamy. Z. powrotem, do Soleru.

– A co z mieszkańcami?

– Jak to, co? Nie przyjmą ich w Solerze, ale pójdą do Worlandu. Ziemi tu nie brak, może Ansard przydzieli im jakiś parszywy splechetek. A może i nie – oni są teraz jak zadzumieni.

– I to wszystko?

– A czego byś chciał? Zrobiono wszystko, co było trzeba, a potem to już wola boska... raczej, wola bogów... Gdzie idziesz?

– A, tak sobie... – odpowiedział Leon. Wyobraził sobie, co się teraz powinno dzieć we wsi. – Pospaceruję.

Zmierzch nadszedł dość szybko – słońce opuściło się za grzbiety gór i jezioro z garstką przycupniętych na brzegu chatynek, pograżyło się w głębokim cieniu. Nad wodą snuły się miękkie pierścienie mgły – tak niskiej, że szczyty wynurzających się z niej wzgórz jakby zawisły w powietrzu. Panowała niemal nieziemiska cisza, każdy nadpływający od strony wioski dźwięk, skrzyknięcie drzwi czy ludzki płacz, chlastał niczym bat.

Trzeba już było wracać do obozu, Leon jednak zwlekał. Poddał się łagodnym objęciom przestrzeni obcego świata – był zupełnie sam w mrocznym, pulsującym sercu wszechświata.

– Panie... – rozległ się cichy głos za jego plecami.

Odwrócił się.

Zza sporego głazu wyglądała dziewczyna. Białoskóra, z kosmykami długich, jasnych, rozsypanych na plecach włosów wydawała się dzieckiem mgły i przesyconego wilgocią zmierzchu. Oczy też miała jasne – szare i przejrzyste, niczym woda w jeziorze. Leon pojął, że ma do czynienia z prawdziwą żywą dziewczyną, gdy tylko ocknął się z wieczornego rozmarzenia. Nieznajoma miała na sobie wytartą na łokciach zgrzebną suknię, a gdy niepewnie wysunęła się zza głazu, Terranin zobaczył na jej delikatnych niczym listki stopach rozczłapa-ne, ubłocone chodaki.

– Panie... wybaczenie... liano zobaczyłam, że przyjechali jeźdźcy. Pomyślałam...

– Kim jesteś? – zapytał szeptem, sam nie wiedząc, z czego robi tajemnicę.

Jestem Soreille – odparła z niecierpliwością w głosie i powtórzyła: – Widziałam, jak zjeżdżaliście z góry. Małe chcą jeść... a wy jesteście nietutejsi, Jeżeli was poproszę... Nie mam już kogo prosić – dodała ciszej tonem wyjaśnienia.

Dopiero wtedy pojął, kto przed nim stoi.

– To wy... to waszą rodzinę obwiniono o wszystkie nieszczęścia?

– Oni się boją, panie – odpowiedziała cichutko..

„Dziwna wyrozumiałość w takich okolicznościach – pomyślał.

– Ale tak czy owak, niegłupia dziewczyna”.

– Poczekaj – zaproponował. – Przyniosę ci coś do zjedzenia. I jakiś cieplejszy płaszcz. Gdzie się ukrywacie?

Drgnęła, a potem odpowiedziała pokornym tonem:

– W lesie, wasza wielmożność. Ale wolę poczekać tutaj.

– Zaraz wrócę.

Ruszył pospiesznie po stoku w górę, ku obozowisku, gdzie namioty podświetlone

przez płomienie ognisk i pochodni wyglądały jak płynące pośród mgły okręciki o jaskrawych żaglach.

Stojący na warcie zbrojny przepuścił go nie pytając o nic – wszyscy wiedzieli, jak wyglądają obaj terrańscy ambasadorowie; w pierwszych dniach ich pobytu gdzie tylko się pojawili, wywoływali zbiegowiska gapiów, którzy chcieli popatrzeć na gości, pierwszych ludzi, co przepłynęli morze... ale polem miejscowi przywykli. Teraz wszyscy pochowali się do namiotów, nie chcąc ryzykować skalania stóp przekłętą ziemią. Przy ognisku siedzieli Alf i Berg, oraz kilku pikinierów.

– A gdzie margraf?

– Wybrał się na łowy.

– Na łowy?

– Nie inaczej – kiwnął głową Berg. – Nocne polowanie przy pochodniach i z nagonką... Modna ostatnio rozrywka. Cała świta jest przy nim. A co, chciałbyś, żeby aż do zmroku siedział w namiocie? Powiedział też, że nie wejdzie pod żaden z przeklętych dachów. To co miał robić?

Leon zawinął w skrawek jakiejś szmatki kilka pierogów i kęs suszonego mięsa, a potem wziął ciepłą opończę ze swojego namiotu.

– Wybierasz się na piknik?

– Może pójść z wami, panie? – podsunął skwapliwie Ali. Oczy młodzika iskrzyły się ciekawością.

– Nie.

Ruszył stanowczym krokiem precz od ogniska, w ciemność.

– Leon – zatrzymał go Berg niezbyt głośno, ale twardym głosem. – Poczekaj.

– Pogadamy potem, dobrze?

– Ty się chyba znowu w coś pakujesz... – rzekł Berg tonem bardziej stwierdzenia, niż pytania. – Jeżeli nie możesz się powstrzymać, postaraj się choć, żeby nikt cię nie zobaczył.

– Nie pouczaj uczonego. Zaniosę jej tylko coś do zjedzenia... Rj, Kalganow! Ty już raz, kiedyś... Wtedy, gdy przydzielano misje, wstawiłem się za tobą – ale to był ostatni raz. A ty...

Berg najwyraźniej szykował się do dłuższego kazania, Leon jednak odwrócił się doń plecami i zaczął schodzić ku jezioru, ślizgając się na wilgotnych od wieczornej rosy kamieniach.

Dziewczyna znów wychyliła się zza głazu. W tej chwili przypominała Leonowi małe zwierzątko – w jednakowym stopniu ufne, co bojaźliwe.

– Bierz – podsunął jej zawiniątko.

Porwała jedzenie, przytuliła je do piersi i natychmiast dała nura w głąb lasu. (iałęzie krzaków jałowca zamknęły się za nią i brzeg znów opustoszał.

– Ej! – rzucił niepewnym głosem.

Chciał ją ostrzec, że w lesie poluje margraf ze swoimi ludźmi. Nie umiałby odgadnąć, czy ogarnięty myśliwskim zapałem arystokrata natknąwszy się na zbiegów nie potraktuje ich jak kolejnego trofeum...

Mgła zdążyła tymczasem zgęstnieć i nad jeziorem wznosiła się zimna i wilgotna ściana, z której niekiedy nagle wysuwały się i mrugały doń pustymi oczami dziwaczne mordy.

Nic dziwnego, że miejscowi biedacy nabili sobie łby wszelkiego rodzaju bzdurami. W istocie było to ponure i straszne miejsce...

Począł jeszcze chwile, żałując, że nie wziął opończy również cila siebie – mgła osiadała mu na włosach, brwiach i rzęsach, przekształcając się w drobne kropelki rosy – a potem wzruszył ramionami i skierował się w stronę obozu.

– Szybko wróciłeś – odezwał się Berg podejrzliwie.

– Nie wiem, co ty sobie wyobraził – skwitował to Leon zmęczonym głosem – ale to po prostu przestraszone dzieciaki...

– A, ta rodzina nieszczęśników... Jak czy owak, mój drogi, to ich wewnętrzne sprawy. Jeżeli nie będziemy się odpowiednio zachowywać, ściągniemy na siebie niełaskę margrafa. Albo naszego świątobliwego ojczulka, co w tych warunkach byłoby chyba jeszcze gorsze.

Leon westchnął.

– Posłuchaj, staruszk... Doskonale wiem, że masz rację, ale przecież, nie wszystko da się zamknąć w ramach instrukcji. Czym się staniemy, jeżeli zapomnimy o litości?

– Nie, powiedz mi raczej, kim się staniemy, jeżeli tę litość okaże my! Leon, wiesz dobrze, iż ani ty, ani ja, nie damy rady... to nieznośne brzemień. Pomożesz jednemu, potem drugiemu... temu, który wyda ci się bardziej sympatyczny, prawda? A pozostali... Na litość boską, Leon, przecież przechodziłeś przygotowanie psychologiczne i miałeś całkiem przyzwoite wyniki. I co, wszystko jak psu w dupę?

Machnąwszy beznadziejnie ręką Berg ruszył do namiotu.

Po kilku godzinach spędzonych w siodle sen zmorzył Leona dość szybko. Terranin nie zobaczył powrotu margrafa i jego ludzi z łowów, słyszał tylko przytłumione przez mgłę głosy i szcęk broni. Potem wszystko ucichło. Śniły mu się jakieś koszmarnie mordy wyłaniające się z mgły i błakające pomiędzy chatkami białe widmowe figury. Cały świat zrobił się przejrzysty i niestały – co wzbudziło w nim taki atak strachu, że rad był, gdy nagle obudził go jakiś gwar. Narzucił na ramiona opończę i wyszedł z chatki – nie po to

nawet, by się dowiedzieć, co zaszło, ale po to, by otrząsnąć się z resztek złego snu. Lecz kiedy wyszedł z namiotu i zobaczył, co się dzieje, jego ulga zamieniła się w nieokreślony niepokój. Pośrodku obozu tkwił jeszcze na spienionym, zajeżdżonym do cna koniu równie wyczerpany jeździec.

Jego solidna kurtka i spodnie pokryte były oberwanymi liśćmi i piatami końskiego potu.

– Meldunek dla jego wysokości – zwrócił się do wartownika przy wejściu do namiotu, margraf jednak stał już obok żołnierza, pospiesznie owijając się płaszczem.

– Panie... – wyszeptał goniec.

– Mów!

– Przybywam z Worlandu. A właściwie...

– Mów! – ponaglił go margraf.

– Nie ma już Worlandu. Zamek spłonął. Ugodziła weń błyskawica. Z jasnego nieba!

– Z jasnego nieba... – powtórzył margraf szeptem. – A lord Ansard?

– Wyjechał na spotkanie waszej miłości – wyjaśnił goniec – ale gdy zobaczył słup dymu, natychmiast zawrócił. Znalazł tylko pogorzelsko. Nie ma już zamku. Lord Ansard prosił, żeby przekazać waszej miłości, iż potrzebna mu pomoc. Jest wiele rannych...

– A lady Klaria?

– Małżonka jego lordowskiej mości, niech Dwójca obdarzy ją spokojem, zginęła w ogniu.

– Jeżeli jego świątobliwości udało się odwrócić gniew Dwójcy od tego miejsca – szepnął cichutko Alf, który nie wiedząc skąd zjawiał się u boku Leona – to najwyraźniej spadł on na Worland.

– Zbieg okoliczności? – zapytał zjadliwie Leon sennego Berga. – Grom z jasnego nieba?

– Otrąbcie pobudkę – polecił margraf zimnym tonem. – Ruszamy natychmiast.

Po obozie rozbiegły się migotliwe ogniki pochodni.

– Dziesięciu ludzi z gwardii za mną. Pozostali niech eskortują Mu reja n.

– Do Worlandu? – zapytał niepewnym głosem Warren.

– Bałwan! Do Solem, nie do Worlandu... W Worlandzie zbierzemy tych, co przeżyli.

Rozejrzał się dookoła i dopiero wtedy spostrzegł posłów.

– Panowie ambasadorowie... trzeba wam będzie wrócić do Solem: nie mam prawa narażać was na niebezpieczeństwo. Poza tym, zechciejcie wybaczyć szczerą, panowie, nie jesteście najlepszymi z jeźdźców.

„Boże! – pomyślał Leon. – A ten idiota trener zapewniał, że będziemy się trzymać w siodłach jak zawodowi dżokeje...”

– Pojedzie z panami jego świątobliwość – dodał margraf już łą godniejszym głosem.
– Obawiam się, że nie ma on władzy nad siłami, które poraziły Worland. A modły za tych, co zginęli, może odprawić tamtejszy kapłan. Wezwijcie do mnie wójta.

Urzędnik zjawił się natychmiast – zaspany i przestraszony.

– Wyjeżdżam – stwierdził krótko margraf. – Wasi nieszczęśni ziomkowie rano wyruszą stąd pod opieką moich ludzi.

– Redzie, jak wasza miłość rozkaże – wymamrotał wójt – ale...

– Nie macie się czego bać. Wieczorem polowałem w tutejszych lasach. Nic wam stamtąd nie grozi.

– No, chyba że te wyrodki – cichutko wtrącił wójt.

– Nie pleć bzdur! Natknęliśmy się na ich Jegowisko. Zapędziliśmy ich w głąb góry, do starej sztolni. Nie sędzę, żeby zdołali się stamtąd wydostać – w każdym razie nieprędko im się to uda. Być może Owójca się tym zadowoli i zdejmie z was klątwę.

„Soreille – pomyślał Leon. – Potraktowali ich jak łowną zwierzynę...”

Zagryzł wargi, bo do lej pory uważał margrafa za człowieka łagodnego i szlachetnego. Margraf zresztą takim właśnie był. Wedle miejscowych pojęć.

Tym razem nie pojechali przez jar, ale dookoła góry. Wiodącą przez las drogę porastały mizerne krzaczki i delikatna, aksamitna trawa, przebijająca się przez pokłady opadłych liści i zeschniętych igieł.

Jedynym towarzyszącym im dźwiękiem był niosący się daleko w porannej leśnej ciszy skrzyp kół obciążonych wozów. Mieszkańcy byłej wsi znad brzegów Jeziora Murcjańskiego jechali pogrążeni w ponurym milczeniu i nawet dzieci nie płakały.

Margraf potraktował poddanych bardziej niż miłosiernie – wziął odpowiedzialność za nich na siebie, nie zostawił nieszczęśników na łasce losu i nie wygnał ze swoich ziem... Mieli się teraz osiedlić w nowym miejscu – gdzieś na zapuszczonych, kamienistych ziemiach leżących nad północną granicą, albo wśród południowych bagien. Ale ważne było, że nie pozbawił ich pomocy i swej opieki – Soler wkrótce miał ich wesprzeć ziarnem i narzędziami do obróbki ziemi i budowy domów... Ustanowi pewnie nad nimi jakiegoś pana o twardej ręce... Wolni kerlowie przekształcą się w pańszczyźnianych chłopów, ale ocaleją ich dzieci i nawet jeżeli nie będą syte, to przynajmniej nie poumierają z głodu.

„Zresztą – myślał Leon – nie wiadomo, czy w tym wszystkim zawinili sami Murcjanie... Być może Dwójca zwróciła swój gniew nie przeciwko nim, a przeciw Worlandowi, a wszystkie ich nieszczęścia są tylko echem tego, co się teraz wyprawia za

murami byłej twierdzy. Mój Boże... – ofuknął sam siebie – zaczynam już myśleć, jak tutejsi...”

Przez czerwonawe wzgórza przeświecało słońce; intensywnie jak to bywa wczesnym rankiem. Kilka razy Leon przerwał porozciągane pomiędzy gałązkami pajęczyny, usiane kroplami połyskującej o poranku rosy.

Ponury pochód powoli przemieszczał się przez las, gdy pomiędzy niskimi kępami młodnika mignęła bura, przypominająca barwą zeszlóroczne liście, sukieneczka – gdyby odziana w nią osoba nie poruszyła się, Terranin ominąłby ją wzrokiem.

Wstrzymał konia, przepuszczając obok siebie dwóch idących w tylnej straży pikinierów. Droga w tym miejscu mocno wyginała się, mijając wielkie głazy nagromadzone tu dawnymi czasy przez lodowiec.

(idy tylko ostatni z idących znikli za zakrętem, dziewczyna wyłoniła się zza pni drzew tak samo nagle, jak wczoraj. Leon natychmiast się zorientował, że od poprzedniego spotkania coś się zmieniło: jej sukienka była bardziej poszarpana, podarowaną opończę zdobiły niekształtne plamy czerwonej gliny, a w szeroko otwartych oczach Sore-ille czaił się strach.

Skoczyła ku niemu co sił w nogach – aż jego spłoszony koń targnął się w bok i poseł byłby wylądował na ziemi, gdyby dziewczyna nie chwyciła za wodze; nie tyle z chęci uspokojenia zwierzęcia, ile przestraszona, że jeździec się rozmyśli i pogna w ślad za towarzyszami. – Szlachetny panie! – pospiesznie wyszeptała dziewczyna.

Zeskoczył z siodła. Na twardej ziemi poczuł się pewniej. Dopiero w tej chwili zorientował się, że jest wyższa niż większość miejscowych kobiet – jej oczy patrzyły z tej samej wysokości, co jego własne.

– No, co też ty... – położył jej dłoń na ramieniu; ale dziewczyna chyba Jego nie zauważyła. – Ib... przez ludzi margrafa?

– – Przez nich... – spojrzała na niego jakby nie rozumiejąc, co tu oboje robią. Jej szare oczy były pełne łez, nie rozplakała się jednak tylko patrzyła. Była młodziutka, niemal podłotek; delikatną przezroczystą skórę pokrywała siateczka niebieskawych, mikroskopijnych żyłek, co sprawiało, że jej policzki przypominały płatki pierwiosnka.

– Gonili nas... Świstali batami, krzyczeli. Na szczęście nie mieli psów, a konno niełatwo tam przejechać – wszędzie kamienne osypiska; cała ziemia jest nimi pokryta.

– Wiem – powiedział. – Sam margraf się wczoraj chwalił. Ale teraz już się nie musisz niczego bać. Nikt już nie będzie was prześla dował; Worland spłonął. Gwardziści już pewnie dotarli na pogorzeli sko, a miejscowych przesiedlają do Soleru. Możesz iść, gdzie zechcesz – nikt cię nie zatrzyma i nikt cię o nic nie oskarży. Z pewnością gdzieś niedaleko są jeszcze jakieś osady...

– Nie mogę... – zadrżała niczym przestraszone zwierzątko; Leon wprost fizycznie czuł, że dziewczyna usiłuje resztką sił się opanować.

– Maluchy przepadły...

– Twoi...

– Brat i siostra. W głębi góry. Po co, dlaczego oni to zrobili? Przecież dzieci były dla nich za stare! Biorą tylko maleńkich! Tylko oseski!

– Jacy oni?

– Och, panie! – zadrżała tak, że zadzwoniła zębami. – Nie wolno! Niepotrzebnie się odezwałam... Niczego nie słyszałam, panie, usnęłam na chwilkę. A jak się ocknęłam, już ich nie było. Łuczywo zgasło... Ciemno, och jak ciemno!

– Uspokój się – przytulił ją do siebie. – Nikt ich nie zabrał... To z tej bajki o górnikach, którzy zaginęli? Przecież to zwykły przesąd.

– Zwykły... co?

– Legenda. Podanie. Dzieciaki najpewniej po prostu pogubiły się w ciemnościach.

Dziewczyna beznadziejnie pokręciła głową.

– Panie, widzę, że nie jesteście z tych stron... mowa, wasze za chowanie... skąd mielibyście wiedzieć! Ale one przepadły. Szukałam ich do rana, tam są sztolnie, pełne mroku korytarze...

Podniósł głowę. Tabor znacznie już się oddalił i skrył za zakrętem drogi. Byli sami w lesie, a drzewa wokół wznosiły się niczym kolumny świątyni bez ścian.

– Chcesz, Żeby ci pomógł ich odnaleźć – podsunął jej.

– Panie... – szepnęła – nie śmiem prosić, ale...

Zamyślił się. Wdawać się w taką awanturę... Nawet jeżeli wróci bez szwanku, z pewnością Berg skręci mu kark. Z drugiej strony... Raport trzeba będzie przedstawić tak czy inaczej, a tę górę ze wszystkimi jej cudami Pierwsza Kompleksowa przeoczyła.

– Dobrze – postanowił. – Poczekaj na mnie tutaj, zgoda? Muszę się rozmówić z moim przyjacielem. Potem wrócę i razem zajmiemy się poszukiwaniami.

Trzymała wodze konia, dopóki nie wsiadł i nie wziął ich od niej. Potem opuściła szczupłą rękę i patrzyła w ślad za nim, podczas gdy on dał koniowi ostrogę i pognął go galopem po miękkiej ziemi.

Droga była tu dostatecznie szeroka – przez pewien czas jechał obok Berga, starając się nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Potem cicho poprosił:

– Zostańmy w tyle.

Berg wstrzymał konia i obrzucił Leona podejrzliwym spojrzeniem.

– No, co tam znowu?

– Pamiętasz tę rodzinę, którą wypędzono z wioski?

– Dziewczyne – uściślił Berg.

– Wczoraj wieczorem natknęli się na nich myśliwi. Ścigali ich i zapędzili do wnętrza góry.

– Słyszałem. I co dalej?

– Zatrzymała innie za zakrętem, lej brat i siostrzyczka przepadli we wnętrzu góry, ale wiesz co, Berg? Dziewczyna jest przekonana, że oni się tak zwyczajnie nie zgubili. Nie wiem dlaczego nic chce mówić wprost, ale...

– Ty znów swoje... wierzysz we wszystko, co usłyszysz.

– Berg, a jeżeli tam w istocie coś jest... Planeta nie została porządnie zbadana. Pierwsza Kompleksowa pracowała według schematu – czemuż zresztą miałyby być inaczej?

– Być może, ale sęk w tym, że ciebie nie interesują miejscowe podania – stwierdził Berg znużonym głosem. – Ciebie interesuje dziewczyna.

– I co w tym złego? – zapytał Leon wyzywająco.

A to, Kałganow, że wybaczyć, jesteś na służbie. Snuj sobie tyle intryg, ile zechcesz, o ile są nieszkodliwe i nie przeszkadzają sprawie, ale ty, jak rozumiem, chcesz się odłączyć od oddziału? Posłuchaj, instrukcje są po to, żeby ich przestrzegać. A wedle instrukcji nie możemy się rozdzielać. Mamy swoje obowiązki, które ani trochę nie wiążą się ze speleologią.

– I co z tego? Instrukcja zaleca, żeby w miarę możliwości trzy mać się osoby panującego, a margraf nam się wymknął. I do diabła z instrukcją! – Leon szarpnął wodze, a jego koń znów zaczął się bo czyć. – Szkoda mi dziewczyny; z naszym taborem jechać nie może – przecież oni ją na strzepy rozedrą! I co więcej, przecież nie zostawi rodzeństwa!

– Niezwykle – stwierdził zimno Berg. – A przecież oni tu za bardzo nie kochają dzieci...

– Ale wcześniej też ich nie porzuciła! Zresztą, nawet nie w tym rzecz... Posłuchaj, a jeżeli dowiem się czegoś nowego?

– Mało prawdopodobne...

– Berg, przecież tabor ledwo się wlecze. Z tym całym dobytkiem... Załatwię sprawę, a potem do was dołączę.

Przez chwilę Berg w milczeniu wbijał weń spojrzenie swoich szarych oczu otoczonych rudawymi rzęsami.

– No dobrze – stwierdził wreszcie. – Gdyby tu był margraf, nie łatwo byłoby mi wytłumaczyć twoją nieobecność. Jego świątobliwość jeszcze przez jakiś czas nie będzie się nam chyba narzucał. Powiem, żeśmy cię wyprawili naprzód. A potem sam się

będziesz tłumaczył. Masz przy sobie nadajnik?

Leon kiwnął głową.

– To dobrze – powtórzył Berg. – Choć tyle korzyści. I... Kałganow, uważaj na siebie. Do tej pory było tu bezpiecznie, ale być może, że ten okres mamy już za sobą. Przemyśl to jeszcze...

Leon jednak zdążył już zawrócić konia i ruszył drogą wstecz, ku rumowisku głazów, prawie niewidocznemu wśród wysokich sosen. Zatrzymał się przy kamieniach. Dziewczyny na drodze nie było – wysunęła się z kryjówki dopiero wtedy, gdy przekonała się, że to on. Jej bladą twarz rozświetliła taka radość, że aż poczuł się nieswojo: ona chyba go wzięła za kogoś innego. Dopiero po chwili zrozumiał, że dziewczyna właściwie nie wierzyła w jego powrót.

– Co, myślałaś, że cię zostawię? – zapytał łagodnie. – Nie bój się. Przecież obiecałem. A teraz dokąd? Do sztolni? Jeżeli tak, to siadaj za mną.

Dziewczyna, choć wysoka, miała tak delikatną budowę ciała, że koń spokojnie mógł udźwignąć ich oboje – przynajmniej jadąc kłusem.

Pochylił się i wyjąwszy nogę ze strzemienia wyciągał już dłoń, żeby pomóc jej wspiąć się na siodło, kiedy oboje nagle usłyszeli od ścieżki miękkie stuk kopyt konia. W ich stronę jechał ktoś z taboru.

Dziewczyna natychmiast śmignęła za głazy – Leon poczuł tylko na twarzy muśnięcie poruszonego przez jej opończę powietrza.

„Cholerny Berg – pomyślał. – Czyżby się rozmyślił i ruszył w pogoń? Albo, co byłoby jeszcze gorsze, posłał za nami któregoś z ludzi margrafa?”

I natychmiast potem rozluźnił napięte mimo woli mięśnie. Zza zakrętu na swoim myszowatym mule wyjechał Alf.

– Pomyślałem sobie, panie – zawołał dziarsko chłopak, podjeżdżając bliżej – że beze mnie sobie nie poradzicie. Ambasador Berg iedzie z ludźmi jego świątobliwości, a was w razie czego kto obroni, jak nie ja? A gdzie panna? Ukryła się?

– Ty co, podglądałeś mnie, czy jak? – zdziwił się Leon.

– Nie to, żebym podglądał... – odparł Alf niezbyt pewnym głosem. – Ot, jakoś tak wyszło...

I dodał, zerknąwszy ku głazom:

– Szkoda tej dziewczyny. Co prawda – przeszedł na szept – wiedźma, czy nie, pięknnością jej nijak nazwać się nie da. Skóra i kości – tknij palcem, to się złamie.

– No to sam spróbuj położyć po lesie przez kilka dni – ujął się poseł za dziewczyną. – Bez jedzenia i bez nadziei na ratunek...

– Nie, panie, nie w tym rzecz. Choćby ją nie wiadomo jak karmiono, ona zostanie

taka, jak jest. W tym wieku dziewczyny już kwitną, niczym różany pączek, a u niej wszystko we wzrost poszło.

Zza kamienia wyjrzała Soreille z wyraźnie urażoną miną.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Leon. – Nie zwracaj na niego uwagi. On nie miał na myśli niczego złego. Wsiadaj i ruszajmy.

Ali obrzucił Leona osobliwym spojrzeniem, a jego ruchliwą twarz skuł nagły wyraz powagi.

– Wybieracie się do wnętrza góry?

– A ty skąd wiesz? – zapytał Leon ze znużeniem w głosie.

Alf kiwnął głową w zadumie, jakby odpowiadał raczej swoim myślom, niż rozmówcy.

– To przekłete miejsce, panie – stwierdził z powagą w głosie. – Pamiętacie, co mówiłem o tych górnikach i kopaczach? Ci, co mieszkają w górze... To prawdziwi paskudnicy.

– Mówisz o górnikach?

Alf pokręcił głową.

– Co tam górnicy... Zamacono im we łbach, to poszli. Nie, ja mówię o innych, o tych...

– Znaczą, ktoś tam jednak żyje? – zapytał Leon kwaśno, zerkając Z ukosa na dziewczynę. Akurat teraz ją straszyć... – No, no... zapomnij o tym, to legendy... wymysły. Strachy na małe dzieci.

Alf uparcie pokręcił głową.

– A ty sam? Wierzysz w te gadki?

Soreille siedziała już za jego plecami trzymając go za pas. Oddech dziewczyny łaskotał mu kark.

Alf znów spojrział na nią z ukosa i odpowiedział z niechęcią w głosie:

– Wszyscy w nich wierzą, oprócz jego świątobliwości. On zresztą też wierzy, tylko za nic by się do tego nie przyznał. Podobno żyją w norach gorszych od wygrzebanych w ziemi jam, ale dostępna jest im cała ziemską magia. Mogą wyleczyć z najcięższej choroby, ale mogą i rzucić urok. Albo tak człowiekowi w głowie zamać, że zejdzie z prostej drogi i będzie się błakał pod ziemią, dopóki nie zemrze z głodu i zmęczenia.

Zniżył jeszcze głos.

– Ale najgorsze, panie, że potem też...

– Co znaczy – potem?

– No, kiedy człek umrze, to nie pada, jak przystoi każdemu przyzwoitemu nieboszczykowi, tylko wciąż nogi przestawia, jak te zabawki, które czasami mistrzowie

zegarów składają. I będzie tak chodził aż po kres czasu.

Soreille drgnęła, a jej palce mocno wpiły się w bok Leona.

– Wszystko to bzdury – odparł z gniewem Terranin. – Zamilcz, słyszysz? Po co nas straszysz? Nikt ci nie każe jechać, Jak chcesz, to wracaj do taboru.

Alf wzruszył ramionami.

– Panie, moja rzecz was uprzedzić. A wy podejmujcie decyzję. Mamy jechać, to jedźmy.

Leon bez słowa ściągnął wodze i popędził konia lekkim uderzeniem pięty w bok. Alf ruszył za nim, kręcąc głową i nie kryjąc potępienia, ale już się nie odzywał. Szczyt góry, do tej pory skryty za wierzchołkami drzew, ukazał się i w końcu zasłonił połowe nieba.

Terranin ocenił, że jadąc takim tempem dotrą do podnóża, gdy słońce minie południe. Po raz pierwszy zostawiono go samemu sobie.

Jechał samotnie i bez partnera, ale choć mogło się to wydać dziwne, nie czuł strachu, tylko radosną i nieco trwożną ciekawość, jak w dzieciństwie tuż przed świętami. Słońce wznosząc się coraz wyżej, rzucało na ścieżkę pstre plamki, od nagranych pni ciągnęło cierpkim żywicznym zapachem. Soreille siedziała za jego plecami, a z boku dolatywał miękki tupot kopyt muła, na którym jechał Alf.

W końcu postanowił zjechać ze ścieżki w bok i koń zaczął ostrożnie stawiać podkute kopyta pomiędzy węzłastymi powrozami przysypanych igliwem korzeni.

Po godzinie czasu standardowego drzewa się rozstały, odsłaniając porośniętą trawą polanę, za którą widać było już pierwsze złomy skał. Pamiętał, że przejście przez góry było gdzieś z lewej, stąd jednak nie można go było odnaleźć. Wzrok wędrowców natykał się tylko na bure, porośnięte zielonym mchem kamienie, pomiędzy którymi rosły pyszne paprocie; stare pędy chwiały się na wietrze niczym pióra wachlarzy, a młode zwijały się jeszcze w ciasne, zielone ślimacznice.

Dawał już o sobie znać brak wytrzymałości – od siedzenia w siodle zaczynały go boleć mięśnie nóg. Ciężko zeskoczył na ziemię i pomógł zejść Soreille, która zachwiała się przy tym i niezbyt mocno chwyciła go za ramiona.

– Odpoczniemy – oznajmił.

I nagle zorientował się, nie bez uczucia paniki, że zapomniał o zabranii jakiegokolwiek prowiantu z obozu – wykazując typowy brak przezorności człowieka pochodzącego ze świata, w którym nie ma potrzeby zastanawiania się, gdzie zje następny posiłek, czy gościa margrafa, żyjącego na koszt jego wysokości.

– Och, do diabła – wymamrotał przeklinając się w duchu.

Tymczasem podszedł do nich Alf, który uporawszy się z popręgiem przy siodle muła, z dumą niósł ciężki worek, przerzucony poprzednio przez łęk.

– Trzeba by się wzmocnić, panie – zaproponował. – Kto wie, co nas jeszcze spotka, a panna chyba od wczoraj nie jadła.

– A ja niczego ze sobą nie wziąłem – Leon pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie wiem czemu, ale jakbym to odgadł – uśmiechnął się Alt i klepnął ciężką, pękatą sakwę. – Trzeba tylko nabrać wody do manierki. Podniósłszy głowę, nastawił ucha. – Chyba tu niedaleko płynie jakiś strumień.

Teraz, gdy ucichł szum wiatru w koronach drzew, Leon również usłyszał szmer płynącej wody.

– Lepiej będzie, jak się zatrzymamy nad strumieniem – odezwał się Ali. – Tam można będzie napić i zwierzęta.

– Dobrze – zgodził się przybity Leon. – Chodźmy.

Soreille cichutko ruszyła za nimi. Dotychczas nie odezwała się ani słowem. Leon pomyślał, że dziewczyna najchętniej od razu ze-szłaby w głąb góry, ale bała się ich ponaglać – a nuż się rozniewają i zostawiwszy ją samą, pójdą precz?

Strumień spływał z góry – niezbyt szeroki, ale zimny i czysty. Alf rozejrzał się za jakimś wygodnym miejscem, a potem kiwnął głową z satysfakcją i poprowadził zwierzęta na skraj polany, gdzie rosło samotne drzewo. Przywiązawszy je zajął się rozkulbaczeniem, a potem zostawił wierzchowce wśród traw i wrócił nad wodę..

– Dobre miejsce na piknik – mruknął Leon.

Miejsce w rzeczy samej było piękne – skalne osypisko szczelnie obejmujące porośniętą koniczyną polanę, roziskrzony w słońcu strumień i strzeliste sosny na skraju lasu. Słońce minęło już zenit, cienie głązów nieco się wydłużyły – zbyt równe i ostre, pomyślał Leon, któremu wydało się nagle, że patrzy na ruiny jakiejś budowli. Porośnięte mchem i bluszczem kamienie prawie nie różniły się od siebie..

– Alf... – zwrócił się do sługi. – Jak myślisz, co to jest?

– Ruiny, panie – odezwał się z entuzjazmem chłopak.

– Sam widzę, że ruiny. Ja pytam, co to za ruiny?

Alf wzruszył ramionami.

– Najpewniej był tu jakiś stary chram. Kiedyś stawiano je na pogórzcu, na takich jak ta polankach.

– Dwójcy?

Oprócz Dwójcy nie brakowało tu innych bóstw – odparł niezbyt jasno Alf „Najwyraźniej – i nie tak dawno temu – ten świat, podobnie jak Ziemia u zarania swojej historii, pełen był małych, miejscowych bożków – pomyślał Leon – którzy potem przeszli do orszaku Ciemnego, na szacowne stanowiska demonów i ciuchów, albo popadli w zapomnienie, ustępując logicznej i uporządkowanej, na pozór binarnej, a tak

naprawdę monoteistycznej religii. Plemienny bożek albo totem zwierzęcego przodka... Co za różnica...”

Zrobił już kilka kroków w stronę ruin, kiedy Soreille, dotąd stojąca w bezruchu i patrząca z niepokojem na spiętrzoną nad nimi górę, nagle rzuciła się ku niemu i chwyciła go za rękę z siłą, jakiej się nie spodziewał po wiotkiej dziewczynie.

– Nie idźcie tam, panie! – poprosiła błagalnie.. Ostrożnie ją odsunął.

– Mam tam nie iść? Dlaczego?

– Ib... źle – odpowiedziała cichutko.

– Niczego nie dotknę. Tylko popatrzę.

W milczeniu puściła jego rękę. Odwrócił się do Alfa, ten jednak nie ruszył się z miejsca – oboje stali i patrzyli, jak przeciął polanę i odsuwając na bok gibkie zielone gałązki, skoczył pomiędzy rozwalmy.

Ze świątyni niewiele zostało – trzy zrujnowane ściany i coś na kształt ofiarnej płyty. Wiatr tu nie przenikał, słoneczne światło również. Niebo nad głową zrobiło się nagle głęboko niebieskie – prawie fioletowe – i zimne. Pachniało pleśnią i stęchlizną. Tuż obok bulgotał strumień, podmywając tylną ścianę sali.

Podszedł do ołtarza. Jakkolwiek wyglądał na porzucony, ktoś z tutejszych był tutaj przed nimi i to niedawno – na kamieniu leżały zeschnięte już placki i sznur czerwonych koralików: czyjaś skromna ofiara. Płaskorzeźba nad kamieniem poczerniała ze starości, ale mimo wszystko Leon bez trudu rozpoznał krępą, przysadzistą figurkę z kpiąco wysuniętym jęzorem.

– Kona – mruknął do siebie.

Górska grań zatrzymywała obłoki; kłębiły się nad szczytem niczym potoki mętnej wody, na polanę spływały cienie. Leon poczuł, że do szpiku kości przejmują go chłód obcego, nieprzyjaznego świata.

Obejrzał się za siebie. Soreille patrzyła nań oczami pełnymi rozpacz. Przed nimi zionęło czernią wejście do sztolni – na poły zasypane, czarne, niczym bezzębna paszcza. Podniósł lampę znaną w pustym baraku po górnikach, nalał do niej zgęstniałego już oleju ze stojącego obok dzbana i zapalił knot. Światło było przytłumione i drżące – brudne szkła kiepsko je przepuszczały.

Alf zrobił krok w stronę otworu, ale Leon pokręcił głową.

– Nie, nie... Zostaniesz tutaj, z końmi. Jeżeli... jeżeli nie wyjdziemy do jutrzejszego wieczora, poczekaj do rana, a potem jedź. Powiesz ambasadorowi Bergowi...

Alf wzruszył ramionami. Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać i Leon nagle pomyślał, że robi z siebie patetycznego głupca.

– Słyszałeś, co powiedziałem – zapytał starając się, by zabrzmiało to surowo i stanowczo.

– Panie... – odezwał się cicho młodziak. – Można poprosić was na stronę?

– No, co tam jeszcze. – Leon przekazał latarnię Soreille. – Poczekaj, zaraz wrócę...

– Widzicie, panie – odezwał się Alf nie bez oporów w głosie. – Macie oczywiście prawo włączyć w każdą dziurę, nie moja to sprawa, ale powinienem was uprzedzić... więc oględnie mówiąc... niczego tam nie znajdziecie.

– Dlaczego?

– Panie, nie należy o tym mówić, nie wiem, co się tam wyrabia i nie chcę wiedzieć; ale za bardzo to wy jej nie ufajcie...

Kiwnął głową w stronę dziewczyny..

Leon też się obejrzał na Soreille – stała bez ruchu, a jej delikatną twarzyczkę podświetlał kolebiący się płomień.

– Przestali! Przecież sobie tego wszystkiego nie wymyśliła!

– Wymyśliła? Nie, nie, co też wy, panie... Ona wierzy w to, co mówi, to pewne... Po prostu... jesteście tu obcy... I dlatego możecie zobaczyć tam jedno, a ona zobaczy coś zupełnie innego...

Młodziak milczał przez chwilę.

– Powiada, że przepadły tam dzieci. Możliwe, nie będę zaprzeczał. Tyle że, panie, tak naprawdę tych dzieci nie widział nikt od czasu, jak ich wszystkich ze wsi wygnali.

– I co z tego?

– Nic – Alf wzruszył tylko ramionami.

Leon spojrzał w niezwykle poważne oczy Alfa.

– Posłuchaj – zaczął powoli. – Kiedy jechaliśmy tutaj... przez ten płaskowyż... widziałem ogień. Cała góra była oświetlona, niczym zamek margrafa... Nie, inaczej... Nikt ich nie spostrzegł – tylko my z Bergiem.

– Bardzo to być może.

– Ty je widziałeś?

– Nie.

– Alf, co jest tam w środku?

– Panie, nikt tego nie wie. To jakby zapytać... co się dzieje z nami po śmierci?

– Zespolenie – odparł niepewnie Leon, Starając się odpowiedzieć tak, jak należało.

– Bzdura – usłyszał od Alfa. – Znacie nasze wierzenia, rozmawialiście z jego świętobliwością i tak dalej, ale przecie sami w to nie wierzycie! Odpowiadacie tak, jak się tego po was spodziewają, schlebiacie nam. Przybyliście z za morza, prawda?

Leon patrzył na niego i milczał.

– Za morzem nie ma żadnej Terry! – stwierdził Alf gorącym szeptem. – tam w ogóle nie ma żadnych ziem.

Leonowi zaschło w krtani.

– Skąd ty...

– Tak utrzymywał Guntr. A na takich sprawach to on się znał. Jak tylko się o was dowiedziałem, od razu zrozumiałem, że nie jesteście stąd. Może...

Zmieszał się i umilkł.

– Mów dalej...

– Guntr liczył na to, że któregoś dnia ktoś do nas przybędzie. Może czekał akurat na was? Na takich, jak wy?

Soreille przestąpiła z nogi na nogę, latarnia w jej ręce zadrżała i po zwałach kamieni przemknęły cienie. Leon westchnął.

– Odłóżmy tę rozmowę na później, dobrze?

– Jak chcecie, panie. Ale coś wam powiem, Jeżeli zobaczycie coś innego niż ona, wierzcie sobie, nie jej. Choć nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że niczego tam nie zobaczycie.

Uśmiechnął się i jego twarz na ułamek sekundy upodobniła się do paskudnej gęby ze świątynnej płaskorzeźby.

Leon wzruszył ramionami w rozterce. I cóż na to powiedzieć? Guntr liczył na to, że zjawi się ktoś znikąd i co? Rozpęta rewolucję? Uwolni pańszczyźnianych chłopów? Zwoła parlament? Poprowadzi miejscowych ku światłu wiedzy? I któż miałby to uczynić – dwóch zwykłych ludzi, skrępowanych instrukcją Korpusu? Rzecz nawet nie w tym, społeczeństwo kształtuje ludzi tak samo, jak ludzie tworzą społeczeństwo. Głupio byłoby przypuszczać, że miejscowi, pozamykani w ciasnych ramach klas i kast, doskonale znający swoje miejsca, potrzebują mesjaszów z oświeconego społeczeństwa technologicznego. Heretycy, wolnomyśliciele i przepelnieni szlachetnymi zamiarami twórcy społecznych utopii rodzili się zawsze i wszędzie, ale ich idee wcale nie były zgodne z pragnieniami ziomków i krajanów.

Inną rzeczą jest pomoc udzielona jednemu, jednemu, bardzo konkretnemu człowiekowi. Komuś, komu jest naprawdę potrzebna.

Odebrawszy Soreille latarnię, zdecydowanym krokiem ruszył w głąb sztolni.

Musiał się schylić i iść zgięty prawie we dwoje – wzmocniony belkami strop wisiał bardzo nisko. Sztolnia wiodła ukosem w głąb góry. Najwyraźniej był to może nie szyb główny, ale jeden z ważniejszych. „Jakże oni dawali sobie radę w tych bocznych? – przemknęła mu myśl – pracowali na leżaco, czy jak?” Odczepiwszy od pasa nóż zrobił

znak na jednym z drewnianych wsporników wycinając strzałkę skierowaną grotem ku wyjściu. Świeże nacięcie było bardzo wyraźnie widoczne na poczeriałym od wieku i okopconym drewnie.

Soreille szła za nim: wyczuł to po tym, jak za jego plecami przygasło i bez tego nikłe światło dnia, kiedy dziewczyna zasłoniła sobą wejście do sztolni. „Dobrze byłoby uporać się przed nadejściem ciemności – pomyślał. – Z pewnością są tu inne wyjścia na powierzchnię, ale można je będzie zobaczyć tylko za dnia. Zresztą, zawsze istnieje możliwość powrotu po własnych śladach, trzeba tylko częściej zostawiać znaki na ścianach i podporach.

Z mroku wyłonił się jakiś ciemny kształt; Leon spojrzał nań z obawą, oczekując, że spod przegniłych łachmanów błysnie biel kości, okazało się jednak, że to tylko porzucone przez górników szmaty. Za nimi leżał stos tłucznia. Spojrzał w górę, zadzierając głowę; grunt osypywał się ze sklepienia – przegniłe belki stropu lada moment mogły się zawalić. Kiepsko...

Soreille od początku szła za nim, nie zostając z tyłu ani na krok – słyszał jej szybki, urywany oddech – ale przez cały czas nie odezwała się ani słowem. Słyszał jeszcze jeden dźwięk – głuchy, rytmiczny i szybki; nie od razu się zorientował, że to bicie jego własnego serca.

„Z pewnością to dlatego, że jest tu tak cicho – pomyślał. – Wydaje się, że ta obca, wroga przestrzeń naciska ze wszystkich stron i nie daje oddychać...” Nikt go nie przygotował do prac pod ziemią, niech to diabli! Pracownicy Korpusu to ludzie o mocnej psychice: gdyby cierpiał na klaustrofobię, po prostu nie przyjęłoby go do służby – ale i tak czuł się nieswojo.

Przy drżącym świetle latarni mógł widzieć drogę tylko na kilka kroków przed sobą, dalej wszystko tonęło w mroku. Idąca za nim dziewczyna nagle wydała mu się obcą istotą – tylko patrzeć, jak skoczy mu na plecy i wbije pazury w krtań. Bzdury, oczywiście, wygłupy wyobraźni, ale... czemu, u licha, cały czas milczy?

– Straciłaś ich gdzieś tutaj? – zapytał. – W tej sztolni? A może wpadłaś na pomysł, by się z nimi schować w jakimś bocznym chodniku?

– Co? – w tej zamkniętej, tłumiącej dźwięki przestrzeni jej głos brzmiał niesamowicie, podobnie, jak jego własny.

– A jesteście pewni, że weszliście właśnie do tej sztolni?

– „Jak – odpowiedziała Soreille po chwili milczenia.

– A potem? (idzie poszliście potem?

– Nic pamiętam, panie – odparła szeptem.

Zachowywała się tak, jakby nagle zgłupiała – ciągnący za nim, mówiący cię.

Usiłował pozbyć się podświadomego rozdrażnienia; dziewczyna pewnie i teraz się boi, a wczoraj wieczorem bała się jeszcze bardziej. Przeklęty margraf ze swoimi sługusami wybił z niej wszelką zdolność do logicznego rozumowania, a gdzieś tam, w labiryncie przecinających się korytarzy, błakają się w mroku dwie maleńkie istotki...

Na chwilę zamarł w bezruchu, uważnie wsłuchując się w ciszę. Jego własne ciało nagle okazało się źródłem nieoczekiwanych hałasów: szum krwi w uszach, szmer oddechu, tętno krwi w arteriach. Gdzieś w dali kapąła woda – nieoczekiwanie dźwięcznie i równomiernie. Poza tym nie słyszał niczego.

– Może spróbujesz ich zawołać? – zaproponował.

– C o też wy, panie? – wyglądało na to, że jego towarzyszka wpada w panikę. – Nie można! Nie wolno!

– Dlaczego? – jej niespodziewana tępota zaczęła go drażnić... ale w ogarniającym go gniewie było coś jeszcze, czego nie mógł zrozumieć.

– Usłyszą... Oni usłyszą...

– Kto? – zapytał ze znużeniem w głosie. – Dzieci?

– Ależ nie, panie! Nie dzieci... wcale nie dzieci.

– Korrowie?

Nagle rzuciła się na niego i zamknęła mu usta obiema dłońmi. Było to tak niespodziewane, że niemal upuścił lampę.

– Milczcie, panie! – krzyknęła głosem ostrym niczym nóż. – Błagam, nie mówcie nic więcej!

Wolną ręką zaczął odrywać od swojej twarzy jej zimne palce; wreszcie zdołał się uwolnić i odepchnął ją silnie, niemal odrzucił uderzeniem.

– Zwariowałaś?

Upadła, a potem chlipnęła cicho i dźwignęła się na nogi.

Wszystko działo się nie Jak, jak to sobie wyobrażał – czuł się jak bohater złego snu, który błądzi po mrocznych korytarzach i w pewnej chwili zaczyna podejrzewać, że jego towarzysz nie jest starym przyjacielem, a złośliwie się uśmiechającym, podstawionym odmieńcem, który tylko pozornie ma ludzki wygląd.

Z trudem zdusił w sobie chęć powrotu na powierzchnię, zanim napierający ze wszystkich stron mrok nie zgniecie mu piersi.

Z lewej, niczym plama mroku z ciemności, wyłoniło się wejście w boczny chodnik. Zatrzymał się i wyciął strzałę na najbliższym wsporniku.

– Tędy? – zapytał. – A może znów nie możesz sobie przypo mnieć?

Nie odpowiedziała. Widział tylko jej nieruchomą twarz, podświetloną od dołu drżącym blaskiem latarni, podobną gipsowej masce. Oczy dziewczyny były jak dwie

szczeliny wioczące w mrok.

Zastanowił się. Soreille i dzieci musieli być bardzo przerażeni i prawdopodobnie skoczyli w najbliższy boczny chodnik, na jaki się natknęli.

– Mówiłaś, że mieliście kaganek – zwrócił się do niej. – Kiedy on zgasł? I gdzie?

– Co? – drgnęła nagle. On sam też niemal podskoczył – tak ostro zabrzmiał jego głos. – Ja... nie pamiętam.

– No, tędy jednak musieliście przechodzić...

„A ona tylko porusza bezradnie powiekami, niczym kukła” – pomyślał.

Nagle przejął go strach. Tkwił oto w głębi góry z istotą, której wcale nie znał, wymienili tylko kilka krótkich zdań, to wszystko. Dlaczego i po co wdał się w tę awanturę? Zrobiło mu się jej żal? jak, jakim sposobem udało się jej wzbudzić w nim taką litość, że zostawił Berga i całą resztę, rzuciwszy się jak wariat na jej pierwszy zew.

Urok, czy co?

– No dobra – rzucił przez zęby. – Spróbujemy...

Bał się, że w jakimś miejscu sklepienie opadnie jeszcze niżej niż w sztolni i dalej przyjdzie im przedzierać się na czworaka albo czółgać. Zawczasu pochylił się jeszcze bardziej. Ciemny korytarz był jednak niespodziewanie obszerny; stwierdził, że może się tu zupełnie wyprostować. W świetle latarni widać było kałuże wody na skalistym podłożu. Woda spływała ze ścian zostawiając rdzawe nacieki i Terra-nin pojął z nagłym błyskiem przerażenia, że po obu stronach chodnika w głąb ciągną się jeszcze dodatkowe korytarze – ciemne jamy wiodące diabli wiedzą cłokąd... cała góra była zryta dziurami, niczym gigantyczne mrowisko. Odbite od ścian dźwięki rozchodziły się tu niespodziewanie daleko – plusk wody, szelest jego własnej odzieży, trzask knota w lampie...

– Dokąd teraz? – zapytał.

– N... nie wiem... – powiedziała to z trudem, przez zaciśnięte zęby.

„Psiakrew! – pomyślał. – Przecież ona jest śmiertelnie przerażona, Jego tylko brakowało!” Nie hez zdziwienia przyjął odkrycie, iż zacina miarą nie umiałby określić, ile czasu upłynęło od ich wejścia do sztolni – a przecież dzięki treningowi w zwykłych warunkach znał porę i czas z dokładnością do kilku minut!

– Poczekaj – stwierdził w pewnej chwili. – Muszę odpocząć.

Postawił lampę na ziemi, usiadł wparłszy plecy w wilgotną ścianę i spróbował odetchnąć pełną piersią. Na zewnątrz pewnie był już wieczór, a może nawet zapadła noc... Berg siedzi pewnie w namiocie. Zsunął z pasa sakwę i wyjął nadajnik, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby go ukryć.

Obserwowała go w milczeniu, choć w jej zaszczytnym spojrzeniu mignęło coś na

kształt ciekawości.

– Co to jest?

– Urządzenie pozwalające porozumiewać się na odległość – wyjaśnił niechętnie. – Spróbuję się połączyć z moim przyjacielem.

– A... gdzie on jest?

– Teraz pewnie w drodze do Soleru.

– Chcecie rzec, panie, że on was usłyszy z tak daleka?

– Mam nadzieję...

– Jesteście... wielkim czarodziejem, tak? – zapytała szeptem.

– Nie, coś ty. Ja... – Ale pomyślawszy chwilę dodał: – To urządzenie dostałem jednak od potężnych czarodziejów z Terry.

„Sygnał może się nie przebić przez masyw – pomyślał. – No, ale warto spróbować...”

Wybrał kod, co przyszło mu z trudem, bo przeszkadzało drżenie palców – i przekonał się, że zamiast piszczeć sygnałami znanych mu namierników, głośniczek milczał. Słyszał tylko plusk spadających ze sklepienia kropel wody – i nic poza tym.

– Milczy! – wydało mu się, czy w jej głosie naprawdę zabrzmiały nutki zadowolenia?

– Wygląda na to, że skały rzeczywiście ekranują sygnał – mruknął raczej do siebie niż do dziewczyny. – Wyjdziemy na powierzchnie i Wtedy spróbuję jeszcze raz.

Mimo wszystko poczuł się nieswojo: coś takiego było wprawdzie możliwe teoretycznie, ale w praktyce... Nadajnik miał sporą moc. Schował niewielkie urządzenie do sakwy.

– No dobrze – stwierdził na głos. – Spróbujemy później.

A tak właściwie, po co mu łączność z Bergiem? Żeby mu oznajmić, że on, Leon Kalganow ugrzązł w jakiejś piekielnej dziurze? Berg wie o tym doskonale bez jego wezwań.

Nagle przyłapał się na tym, że przestał wierzyć dziewczynie. Może Ali miał rację – kto zaręczy, iż rzeczywiście wlaźła tu z dziećmi? Że je naprawdę zgubiła? Owszem, tak twierdziła, ale co się z nimi stało naprawdę? Chociaż, margraf też opowiadał...

Zbierał się już do powstania z miejsca, kiedy jego dłoń natknęła się na coś w stosie kamieni. Ostrożnie wyjął tajemniczy przedmiot i przeniósł go w krąg światła – okazało się, że trzyma w dłoni dziecięcy bucik... zrobiony niezbyt wprawnie, jak zresztą wszystko tutaj. Taki maleli ki...

– Czy to – zwrócił się do Soreille – należało do któregoś z nich? Bez słowa pogładziła trzewik palcami i kiwnęła głową. W jej oczach pojawiły się łzy, ale nie zapłakała... tylko popatrzyła na niego. A potem odezwała się szeptem:

– Trzeba się stąd wynosić, panie. Niepotrzebnie was tu zaciągnęłam. Im już nic nie pomoże... Odeszły na zawsze.

– Dlaczego? – zapytał ze znużeniem w głosie. – Przeciwnie... chyba są gdzieś w pobliżu. Chodźmy.

Wziął ją za rękę. Miała zimne palce.

– Spróbujmy wejść nieco głębiej. Może tam... Nabrał tchu w piersi i krzyknął:

– Hej!!!

– Hej – odpowiedziało niewyraźnie echo.

– Mówiłam wam, panie – odezwała się beznamytnie dziewczyna – że tu nie należy krzyczeć. Zresztą, to na nic.

– No... wiesz... – nie mógł zrozumieć jej obojętności.

I wtedy usłyszał muzykę.

Nie było w niej niczego ludzkiego – dziwne, niezwykle dla ucha akordy; ale mimo wszystko muzyka, zimna i czysta, jakby wydobywająca się z kryształów kwarcu, braci białego skalenia, w których każda grań zaczyna żyć własnym życiem, kiedy padnie na nią pęk światła.

– Słyszysz? – zapytał.

Podniosła głowę, zagryzła wargi i nastawiła ucha. A potem z kolei ona zapytała:

– Co mam słyszeć?

– No... te dźwięki.

– Woda kapie – odpowiedziała niepewnym głosem. Stała, przyciskając do piersi dziecięcy trzewiczek.

I nic więcej?

– Nie.

Patrzyła na niego przejrzystymi oczami, w których dwiema czerwonymi iskierkami odbijało się światło latarni.

Leon nawet się nie zdziwił. Właściwie nawet spodziewał się takiej reakcji.

Wziąwszy dziewczynę za rękę powiodł ją tam, gdzie obcy, metaliczny głos – nie wiadomo, czy należący do jakiejś istoty, czy wydobywający się z jakiegoś urządzenia – wywodził skomplikowaną niczym matematyczne równanie melodię. Tak mogłaby śpiewać sama góra, gdyby posiadała świadomość.

Szedł w stronę dźwięków, a muzyka rozlegała się z coraz większą siłą. W pewnej chwili chodnik nagle się urwał – wędrowcy trafili na wielką pieczarę, której krańce ginęły w mroku. Podniósł latarnię i zobaczył sklepienie, z którego równymi rzędami, niczym rury organów, zwisały stalaktyty. Wnęki sklepienia też uciekały w górę, gubiąc się w ciemnościach, a spód pysznił się jeziorem – w jego czarnej taili otoczonej stromymi

graniami brzegów, igrały odbłaski światła latarni. Zanurzone w nich po kolana albo po pas stały tam osobliwe czarne figury – i dopiero po chwili zrozumiał, że to tylko wyrastające ku stalaktytom stalagmity – kolumny, kamienne grzyby i węzlaste drzewa. Były też kształty o ludzkich twarzach i ze skrzydłami, białe w białych powłóczystych szatach – zbyt doskonałe, żeby mogły składać się z krwi i kości, zbyt ludzkie, żeby je uznać za twór przyrody.

Muzyka niosła się po Sali, wzlatywała w górę ku kamiennym rurom i pluskała się w jeziorze. A potem nagle ucichła – równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła.

Ze stalaktytów spadały krople wody, rozbiegające się wyrazistymi kręgami po powierzchni jeziora. Na twarzach rzeźb igrały błyski światła i Leonowi wydało się nagle, że posągi krzywią oblicza w dziwacznych grymasach.

Za jego plecami rozległ się nagle przenikliwy krzyk Soreille.

W tym harmonijny świecie był to dźwięk tak nieznośny, że niewiele brakowało, a byłby ją uderzył.

– Czemu się drzesz?

Dziewczyna nagle zatkała sobie usta dłońmi, a potem z trudem wydusiła:

– Panie, uciekajmy! Szybko, póki nie jest za późno...

I znów zatkała sobie usta, trzęsąc się ze strachu.

Dopiero teraz poczuł, że przenika go przeraźliwe zimno – wcześniej tego nie zauważył. Wilgotny, wypływający z głębi otwartego grobu, lepki chłód wpelzł mu pod kołnierz i teraz rozpląwał się dalej, głaszcząc go lodowatymi palcami. Oczy dziewczyny zupełnie pograżyły się w szaleństwie, tańczyło w nich już tylko światło latarni; takie samo, jak w toni podziemnego jeziora. Szarpnęła go za połę kurtki i powlokła wstecz. Potknął się i niemal wypuścił z dłoni latarnię.

– Opamiętaj się!

Dziewczyna jednak wciąż uporczywie ciągnęła go ku wyjściu, odwróciwszy ku niemu twarz skażoną paniką, pozbawioną niemal ludzkich cech. Leon w końcu uległ i zrobił niezbyt pewny, ale samodzielny krok, a wówczas Soreille odwróciła się i pobiegła na oślep w stronę wylotu chodnika, objając się o ściany.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko ruszyć za nią – dał nura w ciemny otwór... nagle wydało mu się, że z ich odejściem blask w podziemnej komnacie wcale nie przygasł, a rozblęsnął mocniej; jakby nagle zapłonęło ciężkie, wilgotne powietrze znad wód jeziora. I ponownie zabrzmiała muzyka – teraz jednak słychać w niej było nuty triumfu. Leon biegł za dziewczyną mrocznym korytarzem, a za nim gonił donośny, dziecięcy śmiech...

Nie bardzo umiałby rzec, jak wydostali się na powierzchnię. Soreille padła na ziemię,

trzęsąc się jak w gorączce i pochlipując. Obejrzał się. Był to wylot sztolni, od którego zaczynali. Na tle zielonkawego nieba, rozświetlanego pierwszymi promieniami świtu rysowały się wyraźnie czarne plamy baraków, a na horyzoncie wyrastała zębata ściana lasu.

„Boże! – pomyślał. – Przecież to już rano! Ile czasu tam przesiedzieliśmy?”

I nagle do głowy zakradło mu się dziwaczne podejrzenie, że spędzili w tej norze nie noc – a już z pewnością nie jedną noc – a przynajmniej sto lat... Z trudem odpędził je od siebie, ujrawszy jak z mgły wypływa niekształtny cień, który zbliżywszy się do nich rozpadł na czarne sylwetki wierzchowców i Alta.

– Ib wy, panie? – w głosie chłopaka zabrzmiało prawdziwe onieśmienie. – A ja już myślałem, że nie wrócić.

– Sam tak już zaczynałem myśleć – mruknął przez zęby.

– Lepiej się stąd wynośmy – stwierdził rzeczowo Alf. – Pewnie jesteście zmęczeni, ale lepiej odpocząć z dala od tej przeklętej dziury.

Soreille nieco chwiejnie wstała z miejsca. Leon bał się, że trzeba ją będzie namawiać, ale dziewczyna pokornie wspięła się na koński grzbiet.

Posel odchrząknął. W żaden sposób nie mógł pojąć, co się zdarzyło pod ziemią i dlatego czuł się jak idiota.

– Może jeszcze poczekamy? – zaproponował niepewnym głosem.

– O, nie – wzdrygnęła się. – Nie, nie. Po co?

– Jak to, po co? A... dzieci? Z pewnością jeszcze tam są.

– Im już nie można pomóc – odpowiedziała cicho. I dodała ze zdziwieniem: – Wyście ich nie widzieli, panie?

– Co takiego?

– One tam były... pomiędzy resztą... stały i patrzyły na mnie. I dodała za smutkiem:

– Były takie... białe.

„Zwariowała – pomyślał ze strachem. – Ta gra świateł...” Spojrzał z ukosa na jadącego obok Alfa. Młodzieniec chrząknął znacząco, ale się nie odezwał.

Dziewczyna nie zwracając zaś uwagi na jego reakcje, mówiła dalej:

– Z pewnością one już im nie są potrzebne. Postawiono więc je tam...

„Zwariowała, nie może być inaczej. Możliwe – myślał dalej – że dzieciaki zginęły wcześniej: utopiły się albo wpadły do jakiejś jamy... Może po tym, jak ich wygnano, a ona to widziała. I wyobraziła sobie nie wiadomo co. Berg miał rację – oni są zupełnie inni. Nigdy nie zdołam ich zrozumieć. Dałem się zwieść, bo do tej pory widziałem tylko mylącą powierzchnię skorupę rzeczywistości – przyjęcia, obrzędy, święta. A co się pod tym kryje... cóż za przepaść? Co się ukáže, jeżeli zedrzyć nieprzeniknioną warstwę

formalnych zwrotów, zwyczajowych zdań i uprzejmych ukłonów? Niepotrzebnie dałem się nakłonić do tej roboty... Nie nadaję się do tego jaki tam ze mnie ksenolog? A Berg... trzeba się Z nim połączyć. Pewnie się niepokoi?

W milczeniu przebyli zasnutą liliową mgłą przedświtu jar. Słońce budziło się za ich plecami i zapalało na leżącej nad niziną mgłę żółte i czerwone poblaski, jakby gdzieś w dali płonęło wielkie ognisko.

Teraz, daleko od mrocznego labiryntu sztolni Leon gotów był uznać swoje nocne przygody za nierealne – sen we śnie... Człowiek, owszem, posiada wyobraźnię i możliwe, że to właśnie czyni go człowiekiem, jakże jednak odróżnić jawę od wymysłu czy narzuconej wizji i – tak wyrazistej, że można ją wziąć za rzeczywistość? Czy nie jest tak, że tam, w mroku, pośród dławiącej ciszy krętych przejść i chodników, na podstawie niedostatecznej informacji rozum buduje iluzoryczne obrazy – aby potem uznać je za wiarygodne? Co widziała Soreille? Jak sprawdzić, czyja wizja była bliższa rzeczywistości – jakkolwiek dziwaczną by ta rzeczywistość nie była?

– Zatrzymamy się tutaj, panie? – zapytał Alf.

Terranin kiwnął głową i ściągnął wodze, wstrzymując konia.

Berg ostrożnie pokręcił szyją, ujętą w sztywny, ceremonialny kołnierz. Czuł się nieco nieswojo – terrański ambasador pracuje samotnie tylko w wyjątkowych okolicznościach. Być może – choć sam nie byłby skłonny się do tego przyznać nawet przed sobą – przywiązał się do swojego partnera, prostodusznego i skłonnego do okazywania nadmiernego zapału, jedynej duszy, która w wiązała go z daleką Ziemią – w tej ogromnej sali, grodzie, marchii, a nawet na całej planecie.

Komnata była pełna ludzi, ale w przeciwieństwie do niedawnego przyjęcia, panowała w niej pełna napięcia cisza. Obyczaje nie pozwalały na burzliwe okazywanie uczuć i barwnie odziani ludzie, stojący pod równie barwnymi gobelinami, rozmawiali ze sobą przytłumionymi głosami.

Berg zresztą stał dość daleko w tyle.

„To w pełni zrozumiałe – mówił sam sobie – pierwotna ciekawość, wywołana pojawieniem się w Solerze ambasadorów z nieznannej krainy zaczęła już przygasać. Dokładnie tak samo, jak blask supernowej, nierozróżnialny już nawet pod wieczór. Posłowie z nieznannej Terry (a pewnie i sama Terra), okazali się ludźmi dostojnymi, ale całkowicie nieszkodliwymi – z dalekiej Terry nie wiało groźba, która mogłaby przynajmniej budzić respekt wobec jej przedstawicieli. Osobliwych wygód też raczej dla nich nie przewidziano – tym bardziej, że lordowie Soleni mieli teraz na głowie zupełnie inne, bieżące sprawy... A i sam poseł raczej nie uważał się za tak ważną, osobistość, aby

się pchać pomiędzy stojących w pierwszym rzędzie dostojników.

„Chociaż me... – pomyślał Berg. – Ten tam w pierwszym rzędzie, to przecież...”

W pierwszym rzędzie rozpychał się ambasador Relry, Ermold, niewidoczny prawie zza szerokich pleców swego sekretarza. „To zrozumiałe – pomyślał Berg. – Terra leży, gdzie diabeł mówi dobranoc, a potężna Retra – proszę bardzo, o kilka dni jazdy”.

„Nie kraj – pomyślał Berg – a pozszywana ze skrawków opończa”.

Kiedyś zamiast Średnich Marchii byk) tu kilka niezależnych państw, zaciekle wodzących się za łby o panowanie nad kontynentem. Trwało to, dopóki nie pojawił się Ganed Założyciel, świetny strateg i dzielny żołnierz, który wyrósł, jak to zwykle bywa, z jakiejś bocznej gałęzi panującej dynastii, i wydawszy w pień stojących mu na drodze panów, zasiadł na tronie Zachodniego Królestwa. W ciągu następnych piętnastu lat zajął wszystkie godne uwagi marchie, jego następcą, Ganed II zwany Kontynuatorem, z oddaniem prowadził dzieło ojca dalej i wkrótce wszystkie Średnie Marchie stały się jednym królestwem ze stolicą w Retrze. Zaciekle bitwy (to właśnie wtedy pobudowano niezłe drogi) zastąpił stopniowo pokój i ospałość. Któryś z kolejnych władców podjął jeszcze próbę podbicia Wschodnich Rubieży, ale tam, na wschodzie imperium, stało się coś, diabli wiedzą, co... wojsko, które nie natknęło się na godnego przeciwnika, pochłonęła pustynia. Wrócili tylko pojedynczy śmiałkowie i nikt już więcej nie podjął wysiłków rozszerzenia terytorium.

A zaledwie przed trzema pokoleniami kolejny z Ganedów – Pocieszny – zebrawszy wszystkich władcy większych hrabstw i marchii, powiadomił ich o swej abdykacji. Oznajmił wszem i wobec, że kraj nie potrzebuje już władzy monarszej i rozpuściwszy dwór oddalił się do klasztoru w dalekich Górach Sokolich, nie zostawiając następcy i dziedzica. Pretendentów do opuszczonego przez dynastię Ganedów tronu nie było – wszyscy władcy marchii i drobnych księstewek, najwidoczniej dobrze się czuli w swoich maleńkich rodowych gniazdkach... a pchający ludzi do czynu impuls – wygasł... Przynajmniej na jakiś czas.

Od tej pory Marchie trzymały się w zasadzie praw, które ustanowił jeszcze Założyciel, dotyczących handlu i dyplomacji. Okazało się zresztą, że skomplikowana sieć powiązań i wzajemnych, a często przeciwstawnych, interesów utrzymuje stabilność systemu nie gorzej od silnej władzy centralnej. Pokój wspierały małżeństwa dynastyczne – wszyscy tu byli w mniejszym lub większym stopniu spokrewnieni. Od czasu do czasu jacyś dwaj nowi krewniacy zawiązywali alians przeciwko sąsiadom. Bywało, że dwa księstwa jednoczyła ręka wspólnego przedstawiciela rodów panujących – choć jednak sytuacja wciąż się zmieniała, system pozostawał zaskakująco stabilny.

Tymczasem margraf zasiadł już dostojnie i niewzruszenie na swoim stolcu. Obok

usadowiła się lady Hersenda, bardzo jeszcze młoda, blada i ciemnowłosa kobieta o spuszczonej skromnie oczach – Berg za nic nie mógł sobie przypomnieć, jakiej są barwy. Jej delikatne paluszki gniotły nerwowo fałdy jedwabnej sukni. Z jakiegoś powodu dziewczyna się denerwuje, pomyślał ze zdziwieniem Berg.

Gdzieś daleko cieniutko zapiła trąbka, rozległ się łoskot kroków, miarowy i mocny – jakby do sali miał wejść niezbyt liczny oddział wojska. W szpalerze rozstępujących się ludzi pojawił się lord Ansard z niezbyt liczny orszakiem. Berg poznał Warrena – pozostali najwidoczniej przyjechali do Soleni prosto z Worlandu.

W tym świecie niezbyt roślących tubylców terrański poseł nie musiał nawet za bardzo wyciągać szyi, żeby się przyjrzeć gościowi ponad głowami zebranych. Krewniak jego wysokości okazał się człowiekiem dość wysokim, ciemnowłosym, o nerwowej, zastygłej teraz w wyniosłą maskę, twarzy. Odziany był odpowiednio godnie – jego ciężki płaszcz, wyszywany w purpurowe i złote liście, nie ustępował przepychem opończy margrafa – o ile jej nie przewyższał. „Być może ta buta jest swego rodzaju atakiem psychologicznym – pomyślał Berg. – Co mu pozostało, pozbawionemu zamku i poddanych...”

Kurtka pod płaszczem lorda była czarna, bez żadnych ozdób. To chyba żałoba – w końcu krewniak owdowiał, domyślił się Berg.

Dumnym, równym krokiem Ansard podszedł do tronu (wszyscy członkowie jego świty zostali na miejscu) i przyklękawszy na jedno kolano położył u stóp margrafa krótki, ceremonialny kord.

Margraf podniósł się z krzesła i podszedłszy do krewniaka ujął co za ramiona i podniósł z ziemi. Miecz oddał Ansardowi – nerwowe, ale mocne palce lorda zamknęły się na ozdobnej rękojeści.

Berg zerknął na Hersendę – lady przez chwilę jeszcze siedziała bez ruchu i dopiero ponaglona ciężkim spojrzeniem małżonka wstała, zrobiła dwa kroczki i podała Ansardowi obie dłonie.

– Radzi witamy was pod naszym dachem, milordzie – odezwała się cichym głosem.

Ansard skłonił się zamasyście i przycisnął jej dłonie do swych warg. Na chwilę wszyscy zamarli w bezruchu, a potem lady się cofnęła, a margraf dał znak muzykantom na galeryjce.

Tłum w sali rozdzielił się zupełnie bezwiednie – jedni cofnęli się ku wyjściu, a mniej liczna grupa ruszyła za margrafem, który ująwszy Hersendę pod ramię, powiodł gości do sali biesiadnej.

Rozterka Berga trwała tylko chwilę – mistrz ceremonii uklonił się ambasadorowi i gestem zaprosił go, by poszedł za margrafem.

„I gdzie tego piekielnika Leona poniosło? – pomyślał Berg.

– Dawno już powinien być tutaj. Może poprosić margrafa, żeby wysłał za nim którąś drużynę? Ale jego wysokość chyba ma teraz inne sprawy na głowie... A nadajnik milczy”.

– Tędy proszę, panie ambasadorze – rozległ się tuż obok czyjś uprzejmy głos.

Berg drgnął i wrócił do rzeczywistości – poseł Retry, Ermold, nieco się przesunął i usłużnym gestem wskazał mu miejsce obok siebie.

– Wie pan, trzeba nam się trzymać razem – dodał grzecznie.

– Obaj jesteśmy tu obcy. A przy okazji, gdzie się podział wasz młody towarzysz?

Berg z trudem się powstrzymał przed gniewnym mruknięciem: „Nie mam pojęcia”.

– Postanowił dotrzeć do Soleru inną drogą – stwierdził ze znużeniem w głosie. – Nie wiem, co mogło go zatrzymać.

– Drogi są niebezpieczne – Ermold uparł się widać, że będzie podtrzymywał rozmowę. – Rozmaici zbóje, włóczęgi... Niechże pan sobie wyobrazi, mości ambasadorze, że jeszcze rok temu można było bez obawy przeciąć Soler w poprzek i wzdłuż. Co prawda, to taki mały kraj...

– W porównaniu z Retrą – odpowiedział uprzejmie Berg.

– Och, tak... Nasz mały sąsiad. Pechowe położenie ma ta marchia, nie sądzi pan? A w stosunku do Terry?

– Co? – Berg nie zrozumiał pytania.

– Jak wielka jest wasza Terra?

Berg westchnął w duchu. „Poseł” i „wywiadowca” to prawie synonimy. Praca wywiadowcza to dla posła zwykła rzecz, więc ciekawość Krmolda w stosunku do Terran nie budziła podejrzeń. Cóż począć? Pierwsza Kompleksowa wybrała Soler po długich konsultacjach – nie wszędzie się trafia państewko o naturalnej granicy z morzem, zza którego mogliby przybyć posłowie. Zresztą, szczerze mówiąc, należy zaczynać od małego obszaru, żeby małymi krokami przyzwyczaić autochtonów do obecności obcych. A potem, proszę bardzo, otworzymy swoje poselstwa i w Retrze. I w innych Średnich Marchiach. Dokładniej mówiąc, tak by się stało, gdyby nie ten kosmiczny kataklizm. Może się zdarzyć, że kolejni posłowie Terry nie przybędą tak szybko, jak planowano, a położenie jego i Leona mocno się skomplikuje.

F. rmold jakby odczytał jego myśli:

– Wybraliście nie tego sojusznika, co trzeba.

Terra – sprzeciwił się Berg zimno – nie potrzebuje sojuszników. I bez nich jest dostatecznie silna. Terra szuka partnerów do interesów – jak zresztą każde inne państwo. Na przykład Retra. Przecież po to siedzi pan za tym stołem, prawda?

– Znaczący... nie zamierzacie okazać Solerowi żadnej pomocy? „No, trochę się

zagalopowałeś, mój panie...” – pomyślał Berg. Ale na głos powiedział tylko:

– Niechże się pan zmiłuje, ekscelencjo! Czyż Soler potrzebuje pomocy?

– No tak... – przeprasającym tonem odpowiedział Ermold.

– Jak... Kiepski ze mnie dyplomata.

„Akurat! – pomyślał Berg. – To mnie bierzesz za kiepskiego dyplomate!”

Zerknął na dostojne osoby, siedzące u szczytu stołu – Ansard zajął miejsce na prawo od margrafa, lady usiadła z lewej strony.

– Panie, zechciejcie mi wybaczyć ciekawość – ponownie odezwał się Ermold – ale, jak dobrze Terranie znają historię Średnich Ziem?

– Iako tako – odpowiedź Berga mogła oznaczać wszystko i nic. Zapowiadało się, że Ermold nie pozwoli mu jeść w spokoju. Inna rzecz, że o jedzeniu na takich przyjęciach myślało się najmniej.

– Cianed I Założyciel – stwierdził Krmold ze zwodniczą niedbalością w głosie – pochodził ze znamienitego, ale zubożałego do cna rodu. A jego majątezek leżał na skraju Średnich Marchii...

– O tym – odparł Berg – nie wiedziałem.

– Ciekawa historia, drogi panie. Ówczesny władca go usynowił, własnych dzieci akurat nie miał. A Ganed był mu dalekim krewniakiem, czy przyrodnim bratem... Lady Hersenda jest trochę roztargniona, nie sądzi pan?

Berg wzruszył ramionami.

– A niechże mi pan powie – nie rezygnował F. rmold – czy tam u was, za morzem, są góry?

– Tak, oczywiście – odpowiedział Berg.

– Czyli miewał pan okazje zaobserwować zejście lawiny? Często się zaczyna od jednego, drobnego kamyczka, drogi panie. Świat się zmienia. Zmienia się nieustannie, czasami powoli, a czasami bardzo szybko i burzliwie. Wiecie, ilu ludzi w Solerze ukarano gardłem za ciężkie przestępstwa lej wiosny? Tylu, ilu w ciągu ostatnich dwóch minionych lat. Soler jest niespokojny, panie ambasadorze. Kielkuje tu bunt.

„No, no... – pomyślał Berg. – Oto prawdziwy dyplomata. Prowadzi nawet statystykę przestępczości”

– Osobliwymi obliczeniami waść się zajmujesz, panie Ermoldzie – stwierdził głośno.

– Niechże pan da spokój – sprzeciwił się ofuknięty. – Przecież naprawdę pan tak nie myśli. Wszyscy tu śledzą wszystkich – przecież i wy nie przybyliście tu dla przyjemności. Wygrywa ten, kto ma lepsze i bardziej aktualne wieści – a Retra ma się czego bać... jest tuż obok... Któż miałby ochotę ni z tego ni z owego odkryć pod bokiem barak z zadżumionymi? Więc dobrze sobie to przemyślcie, mości ambasadorze, dobrze to

przemyślcie...

– Nade mną – stwierdził Berg – są moi przełożeni...

– To powiadomcie ich o tym, co wam powiedziałem – poradził łagodnie F.rnold. – Co prawda, nie wiem, jak utrzymujecie z nimi łączność. Od czasu, kiedy tu przybyliście, z tej waszej Terry nie przyplłynął ani jeden okręt.

„A niechże cię! – pomyślał Berg. – Obyś pękł, ty dobrze poinformowany draniu!”

– Dziękuję za radę, panie ambasadorze – odpowiedział. – Nie omieszkam pomyśleć o tym, coście mi rzekli.

Słońce, wznosząc się coraz wyżej, rozpędzało mgły. Teraz zawisło nad grzebieniem górskiego grzbietu i oświetliło jego zarysy. Wokoło pachniało świeżością, ziemią i miodem. Nad kępami wrzосу leniwie brzęczały ospałe pszczoły.

Alt” rozpałił niewielkie ognisko – raczej cień ogniska – z suchej trawy i wrzосу, a potem postawił nad nim kociołek.

– Kiedy zdążyłeś się tu urządzić? – zapytał znużony Leon.

– Dla mnie to zwykła rzecz, panie – odparł młodzieniec z powagą w głosie. – Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie ruszać dalej.

Nalawszy ciepłego wywaru do ołowianej czary, podał ją Soreille.

Dziewczyna przyjęła poczęstunek z pokorą, biorąc naczynie w obie dłonie, żeby nie rozlać napoju, nie odezwała się jednak ani słowem.

Leon zerknął na nią z niepokojem – poruszała się jak soninam-buliczka.

– Zostawcie ją, panie – rzekł cicho Alt”, podchwyciwszy jego spojrzenie. – Ona jakby zapomniała, kim i gdzie jest. Czasami tak bywa z tymi, którzy stamtąd wracają.

– Skąd?

Alf wzruszył ramionami.

– Zobaczycie, że jutro niczego nie będzie pamiętała.

Milczał przez chwilę.

– Bałem się, że z wami będzie podobnie, panie. Ale wy chyba jesteście wypaleni z innej gliny.

Potem dodał nieśmiało:

– A czy to w istocie wy, panie? Znaczący, pytam...

– Czy mnie nie podmienili? – domyślił się Leon.

Nie wiadomo czemu, przez jakiś czas sam czuł niepewność – któż odróżni człowieka od jego kopii odmieńca? Wspomnienia? Unikalne, jemu tylko właściwe cechy genetyczne? W istocie pozostał sobą, czy może jest tylko głęboko o tym przekonany?

Ale głośno powiedział tylko:

– O co się założymy?

Alf skwitował to nieokreślonym chrząknięciem.

– Istnieją rodzaje skał – odezwał się Leon pouczająco – które mogą wydzielać trujące opary. Śmiertelne lub nie, ale wywołujące przywidzenia. Pomroczość. Człowiekowi jawi się to, co chce zoba czyż albo przeciwnie, to, czego się boi.

– Aaa – kiwnął głową młodzieniec. – Guntr mówił to samo. Utrzymywał, że najprostsze wyjaśnienia są często najlepsze.

– Miał racje – zgodził się Leon.

„Berg jest idiotą – pomyślał. – Oni to my... ludzie... wszędzie, na każdym ze światów. Jeżeli myślą, jak ludzie i wyglądają, jak ludzie, znaczy, że są ludźmi. Proszę, masz tu jeszcze jednego Ockhama!”

– Najczęściej, ale nie zawsze, panie. Być może istnieje wyższa prostota, której nie jesteśmy w stanie ogarnąć umysłem.

– To już – stwierdził Leon – trochę dla mnie za mądre.

Alf wzruszył ramionami.

– Gdyby ta prostota była dostępna, już byśmy ją osiągnęli, praw da? A teraz, trzeba nam odpocząć. Nie zmrużyłem oka tej nocy, wy, z pewnością też.

Zostawiwszy Alfowi troskę o przygotowanie noclegu, Leon odszedł na stronę i włączył nadajnik. Odpowiedzi nie było dość długo i zaczął się już obawiać, że długi pobyt wewnątrz góry całkowicie rozregulował delikatny przyrząd. Ale jego obawy nie znalazły potwierdzenia – Berg, poczuwszy, że nagrzewa się sygnałowa bransoleta, po prostu przez dłuższą chwilę szukał miejsca i pretekstu, żeby się oddalić.

– No, siary... – odezwał się w końcu znajomy głos, cichy niczym pisk komara. – Chwała Bogu! – I dodał, popisując się całkowitym i absolutnym brakiem logiki: – Gdzie cię diabli nosili? Przez całą noc usiłowałem się z tobą połączyć!

– Nadajnik wysiadł, to wszystko. Miałeś rację. Nie znaleźliśmy niczego. Już wracamy.

– Pospiesz się – odpowiedział Berg lakonicznie.

– A co, stało się coś?

Nastąpiła chwila milczenia. Leon nie widział, jak Berg wzrusza ramionami, ale doskonale mógł to sobie wyobrazić. Potem usłyszał:

– Zawsze się coś dzieje. Niby głupstwo, ale powinniśmy się trzymać razem.

– Już ruszamy...

– Wszystko w porządku?

– Nie – niezbyt pewnym głosem stwierdził Leon. – Nie za bardzo... Wiesz, zdarzyło się coś dziwnego...

– Dobrze, dobrze – zbył go Berg. – Zapisz, a potem zastanowimy się razem... Do

następnego seansu łączności...

I przerwał połączenie.

Leon wrócił do obozu. Alf i Soreille już spali, otuliwszy się opończami; obok przestępowały spokojnie z nogi na nogę spętane konie. Stonce podniosło się już wysoko, ale poseł nie budził towarzyszy podróży. Berg zalecił pośpiech, ale pierwszej niech odetchną – to była bardzo ciężka i męcząca noc.

Odnalazł w sakwie tabletki stymulatora, przełknął jedną i popił wodą z manierki. Zmęczenie stepia reakcje, a on chciał mieć jasny umysł. Droga do Soleru wydawała się bezpieczna – raz już ją przebył, co prawda w przeciwnym kierunku i w towarzystwie oddziału zbrojnych – teraz jednak otaczający go świat jawił mu się jako zwodniczo niestały; barwna pokrywa wrzosów, a pod nią kłębiące się robactwo.

„Wszystko to tylko niejasne, mgliste wrażenia... – pomyślał. – Tak nie można, żeby się zorientować w sytuacji, trzeba ją poddać analizie”. Oddalając się od śpiących towarzyszy ponownie odszedł na stronę i włączył dyktafon.

„Mówi ksenolog szerokiego profilu, Leon Kalganow.

11 trawnia 1185 roku od stworzenia świata wedle kronik miejscowych.

Przesady tutejszych mieszkańców zbudowane są na skomplikowanym systemie zakazów i niewymawialnych, ale umownych pojęć. Dlatego niełatwo się zorientować, czy za niedopowiedzeniem kryje się coś ważnego, czy dany obiekt po prostu nie budzi niczyjej ciekawości. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym badając porzuconą i opustoszałą kopalnię w Górach Murcjańskich. Związane są z nią dość przeciwstawne legendy – co, mówiąc szczerze, jest typowe dla tego typu mitologicznych konstrukcji. Możliwe jednak, że tkwi w nich jakieś ziarno racjonalizmu. Po wejściu do kopalni nie znalazłem w niej żadnych artefaktów, z wyjątkiem porzuconych i bezpośrednio związanych z górniczym fachem narzędzi. Doznałem jednak dziwnych wrażeń, takich jak: utrata orientacji w czasie i przestrzeni oraz halucynacje – słuchowe i wzrokowe. Zaobserwowane przeze mnie zjawiska mogą być natury psychogennej, co pośrednio potwierdza fakt, że ja i towarzysząca mi miejscowa dziewczyna doznawaliśmy odmiennych wrażeń w tych samych momentach. Wszystko razem sugeruje istnienie jakichś szkodliwych oparów albo nie zarejestrowanego wcześniej promieniowania, które wpływają na psychikę. Dodatkowym potwierdzeniem istnienia pewnych, na razie niezbadanych procesów we wnętrzu góry, jest zaobserwowany przeze mnie i paleopsychologa Berga fenomen – świecenie grani, czego zupełnie nie zauważyli przedstawiciele ludności miejscowej. Fakt, że wspomnianych fizykochemicznych procesów nie odkryła i nie odnotowała Pierwsza Kompleksowa wiązać się może z tym, iż zjawiska nie da się zaobserwować z zewnątrz: warstwy skał i ziemi pełnią tu rolę

swoistego ekranu – na co wskazuje przerwa w funkcjonowaniu przekaźnika wewnątrz góry.

Zrozumiałe jest również, że miejscowi nie mogli przeoczyć tak osobliwych zjawisk – z górą związane są rozmaite legendy i podania. Całkiem możliwe, że była ona przedmiotem miejscowego kultu i uwielbienia przed rozpowszechnieniem dominującej religii. Personifikacją boskiej mocy góry mogą być podziemne istoty, zwane przez okolicznych mieszkańców korrami, będące odpowiednikami naszych leprekaunów, czy koboldów. Na pozostałości ich kultu można się natknąć praktycznie wszędzie – a osobliwie w miejscach oddalonych i trudno dostępnych”.

Przez chwilę jeszcze kręcił z namysłem głową, potem wyłączył dyktafon i wrócił do pozostałych. Słońce wzniosło się już niemal do zenitu i rozpędziło pokrywającą horyzont mgiełkę. Barwy stały się czyste, jakby niedawno wymyte, jak to bywa wiosną, i tylko w oddali nad Worlandem niebo okrywała mętna zasłona. Potrząsnął ramieniem Alfa:

– Pora wstawać.

Młodzieniec usiadł i zamrugał powiekami.

– Stało się coś, panie?

– Nie, nic – uspokoił go Leon. – Po prostu trzeba nam się spieszyć, jeżeli chcemy jeszcze zrobić kawałek drogi przed zapadnięciem zmroku.

Alf rozejrzał się i poruszył nozdrzami – zupełnie jak dzikie zwierzątko. Potem stwierdził rzeczowo:

– Woriand jeszcze płonie.

– Owszem – potwierdził Leon. – Nie inaczej.

– A mnie się wydaje, że nie tylko Woriand.

Leon powiódł wzrokiem za spojrzeniem sługi: jeszcze dalej ku południowi wznosił się ku niebu siny, prawie niewidoczny słup dymu.

– Chyba powinniśmy się pospieszyć – mruknął poseł.

– Ona niech jeszcze trochę pośpi, panie, dopóki wszystkiego nie pozbięram i nie spakuję – zaproponował Alf.

– A jak myślisz, co się tam dzieje?

– Wygląda na to, że istotnie nadciąga koniec świata – stwierdził chłopak flegmatycznie.

Leon odruchowo podniósł głowę, by odszukać na niebie supernową – zupełnie o niej zapomniał. Znalazł ją nie bez trudu – świetlisty obłoczek znacznie już rozrzedzony i o większej średnicy, ale za to mniej jaskrawy.

– A może – stwierdził filozoficznie chłopak – to wcale nie ci nie szczęśni Murcjanie, ale jego wysokość margraf uraził czymś Dwójce. Bo jeżeli, na przykład, ucierpiał tylko

majątek i ziemie lorda Ansarda, to jedna sprawa. Ate skoro nieszczęścia spadają na całą marchię...

„Jeszcze trochę i sam zacznę się z tym zgadzać – pomyślał Leon z przekąsem. – W rzeczy samej, jakaż, to prosta i kusząca konstrukcja myślowa: albo Stworzyciele zeźlili się na margrafa i są to, powiedzmy, lokalne nieprzyjemności, albo powszechna apokalipsa. W końcu wnioski, do jakich doszedł Alf są tak samo logiczne, jak nasze powoływanie się na stochastykę i teorię prawdopodobieństwa”.

– Budź Soreille – polecił. – Ruszajmy.

Wieczór nadciągał niespiesznie, ale nieustępliwie: niebo pociemniało. Alf zaś zaczął się rozglądać za miejscem na nocleg. Żadne z napotkanych do tej pory miejsc nie zyskało jego aprobaty: kręcił z niezadowoleniem głową i poganiał muła dalej. Leon zdał się na sługę i jechał za nim. Zaczynał się jednak martwić: choć Soreille była bardzo lekka, koń z podwójnym ciężarem musiał się w końcu zmęczyć.

– Co cię niepokoi? – zapytał wreszcie Alfa.

– Niedobrze jest nocować na otwartej przestrzeni, panie. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Boisz się zwierząt, czy ludzi?

– Ludzi.

– Gdy jechaliśmy w tę stronę, nikt nas nie napastował – stwierdził Leon i natychmiast zdziwił się własnej głupocie.

Alf chyba zdziwił się nie mniej.

– No przecież w tę stronę jechaliśmy w orszaku jego wysokości – wyjaśnił łagodnie, jakby mówił do półgłówka. – Kto napadnie na zbrojnych jeźdźców? Nie ma tu aż takich durniów. I na dodatek, ko niec świata... Ktoś może sobie pomyśleć, że dobrze byłoby się trochę rozerwać. W końcu, co ma do stracenia...

– I co z tym zrobimy?

– Może – stwierdził Alf z nadzieją w głosie – natkniemy się na jakąś osadę.

– W lesie?

– A czemuż by nie? Wszędzie są jacyś ludzie. Można się natknąć na ziemiankę drwala albo chatkę smolarza... zresztą, powinna tu być jakaś leśniczówka – to ziemie jego wysokości, więc ktoś musi pilnować lasu. A z wami, panie, też jesteśmy teraz ludźmi jego wysokości. Więc powinni nas przyjąć na noc, nakarmić, może nawet konia sprzedadzą...

– No nie – sprzeciwił się Leon. – Nie jestem żadnym człowiekiem jego dostojności. Sam sobie jestem panem.

– Wszyscy jesteście dumni, panowie... Dopóki los nie wierzgnie twardym kopytem. Zawsze lepiej się schronić pod czyjąś opiekę. Kto chodzi samopas, to jakby go nie było wcale...

Dym za pasmem lasu, zamiast niknąć w mroku, jaśniał coraz bardziej i przybierał różowawy odcień, w którym podświetlały od spodu niewidoczne niemal języki ognia.

Leon tak już przywykł do siedzącej mu za plecami Soreille, że w ogóle nie odczuwał niewygodny. Ale może dziewczyna myślała inaczej.

– Zmęczyłaś się? – zapytał.

Drgnęła, jakby ocknęła się ze snu. A potem odezwała się szeptem:

– Nie.

– Pocierpisz jeszcze trochę?

– Tak, panie.

Na wieczornym niebie supernowa świeciła znacznie słabiej niż poprzednio – już nie gwiazda, a widmo gwiazdy. Chwilami w ogóle zasłaniał ją wędrowny obłok, lub pasmo dymu. „Koniec świata – pomyślał Leon. – Akurat teraz... co za zbieg okoliczności. Ale tak jest zawsze – na każde ważniejsze wydarzenie zawsze się znajdzie odpowiednie zaćmienie albo pojawi się kometa... Cokolwiek, byle niezwykle i efektowne. A najprawdopodobniej podczas, na przykład, wyprawy Igora nie było żadnego zaćmienia... Kronikarz zresztą niczego takiego pewnie nie widział, o wszystkim dziad mu opowiadał, ale czyż może być historyczne wydarzenie bez komety?”

Czarnozielona gęstwina lasu rozstała się nagle i Leon zobaczył pomiędzy pniami przesiekę wiodącą w głąb lasu.

– A z tym lasem nie ma związanych żadnych podań? – zapytał Alfa. W powietrzu zawisło niewypowiedziane: „mam nadzieję”. Dobry z niego ksenolog, ani słowa...

Alf jednak zrozumiał go w lot:

– Nie, nie... – rzucił pospiesznie. – Takie tam tylko... drobia zgi...

Przesieka była wąska, ale starannie oczyszczona – ziemie jego wysokości istotnie utrzymywano w porządku.

Dlatego mogli jechać szybko, choć ciemności nadciągały żwawo – znacznie wcześniej niż na równinie. W gałęziach trwożnie pogwizdywało jakieś nocne ptaszysko.

– Wilki się tu trafiają – odezwał się niespodziewanie ponurym głosem Alf. – Straszne wilki o żelaznych zębach i gorejących paszczach.

Soreille drgnęła i mocno się przytuliła do pleców Leona. Alf zadowolony z efektu, zachichotał.

– A żeby cię pogięło – burknął Leon ze złością.

– Pachnie tu jakąś ludzką siedzibą – stwierdził chłopak już poważnym głosem. –

Miło będzie zanoćować pod dachem, prawda?

Z mroku wychynęła polana, a na niej majaczący niewyraźnie w ciemnościach dom z przybudówkami, otoczony częstokołem.

Alf zeskoczył z muła, podał wodze Leonowi i zajął się otwieraniem bramy.

– Gospodarzu! – zawołał głośno. – Gospodyni! Wrota się otworzyły i wędrowcy wjechali na podwórze. Wokół panowała cisza – dobiegał ich tylko pomruk przepływającego przez polanę strumienia.

– Dziwne – stwierdził Alf. – Poczekajcie tu, panie, zajrzę do domu.

Lekkim krokiem wbiegł na ganek. Masywne drzwi stały otworem – wewnątrz panował gęsty mrok, i nagle rozświetlił go nikły płomyk – to Alf zapalił jakiś kaganek. Przez otwarte drzwi widać było, jak płomyk się przemieszcza po pokoju, a potem Alf wrócił na ganek.

– Nikogo nie ma – powiedział – choć odeszli niedawno; popioły na kominku jeszcze są ciepłe. Dziwne to wszystko, panie...

Postawiwszy kaganek na podłodze podprowadził konie do belki koniowiązu.

– Może – podsunął Leon – leśnik obchodzi swój rewir i wróci dopiero rano.

Ali dał nura do przybudówki i wrócił z wiązką siana.

– Trudno powiedzieć, panie... Nie mieszkał tu sam, wewnątrz są kobiece szmatki.

– No, ale przenocować chyba możemy?

– Czemuż by nie... – odpowiedział Alf trochę niepewnym głosem.

Leon wszedł na ganek. Płomień kaganka migotał na stole, w kątach izby gromadziły się czarne cienie.

– Mówiłem, panie, że tu pusto.

– To może i lepiej.

Odwrócił się ku szczupłej, majaczącej z półmroku figurce.

– Wejdz.

Soreille podeszła i zatrzymała się pośrodku izby. Przez cały czas pogrążona była w dziwnym półśnie; nie była to nawet rozpacz, choć Leon nie umiałby rzec, co właściwie.

Alf przepadł – jakby się rozpląnął w mroku. Co prawda Leon słyszał jego pogwizdywanie, kiedy chłopak wiódł konie do pustej stajni. Nie czekając na powrót sługi Leon zajął się rozpalaniem ognia – ale krzesiwo nie miało zamiaru okazać posłuszeństwa jego niewprawnym palcom i musiał ukradkiem, odwróciwszy się od Soreille, wyjąć z wiszącego u pasa trzосу zapalniczkę. Ale i z jej pomocą stracił sporo czasu na rozpalenie w kominku porządnego ognia.

Z ganku dobiegł odgłos pospiesznych kroków. Leon obejrzał się z obawą, ale

okazało się, że to tylko Alf.

– Znalazłem zwierzęta, panie – oznajmił sługa jakimś zdławionym głosem.

– No to pięknie – Leon zaczął otrzępywać dłonie z sadzy.

– Można was prosić na chwilkę – młodzieniec znów odwrócił się ku wyjściu i znacząco spojrzął przez ramię na Leona.

– A pewnie. Ty odpoczywaj – poseł zwrócił się do Soreille. Dziewczyna bez słowa usiadła na ławce, wygładziła fałdy opoń czy, splótła palce na kolanach i znieruchomiła.

– Siedzi – stwierdził ze złością Alf – jak dziewczica Karna z kościelnej rzeźby. A wodę podgrzać to niełaska? A tam... – chłopak machnął dłonią nie bez goryczy.

– Zostaw ją – mruknął Leon z niezadowolaniem w głosie. – Powiedz lepiej, co się stało.

– Leśnika znalazłem, panie – stwierdził cicho Alf. – Nigdzie się stąd nie ruszał. I już się nie ruszy. Leży nad strumieniem. Z poderżniętym gardłem. Co się tu wyrabia, panie?

Idąc za chłopakiem ku strumieniowi Leon poczuł, że przenika go chłód – i to nie tylko ten, jaki towarzyszy nadciągającej nocy. Z nieba spływały ostatki dziennego światła i woda błyszczała jak tafla zimnego srebra. Dzięki temu już z daleka widać było nad wodą postać leżącą na wznak z szeroko rozrzuconymi rękami. Leon zacisnął zęby i dotknął zimnego już ciała.

– O Boże! – wymamrotał.

Obca, wroga przestrzeń drwiąco spojrziała nań setkami nieprzyjaznych oczu.

Alf tymczasem, pozornie niczym się nie przejmując, fachowo obejrzał trupa, a potem odwrócił się i spojrzął na Leona nieprzenikniętymi w mroku oczami.

– Paskudnie go załatwili – mruknął.

– Zabity? – Leon wciąż jeszcze nie chciał uznać oczywistego faktu.

– A coście myśleli, panie? Sam się tak urządził? Rabusie, panie, ani chybi rabusie. Ci sami, co uprowadzili bydło.

– Rozbójnicy? – zdziwił się Leon. Określenie „leśni zbójcy” kojarzyło mu się z Walterem Scottem, tutaj brzmiało jakoś nienaturalnie. Zawsze sobie wyobrażał, że to odziane w zieleń chwaty z łukami na plecach.

Alf, który nie czytał o Robin Hoodzie, kiwnął ponuro głową.

– Ja sam nigdy się na nich nie natknąłem, ale w tych lasach od dawna grasowali rozmaici złoczyńcy... Jeżeli ruszyli się ludzie z osad, to co mieli robić bandyci? Nie będą przecież zdychać z głodu. No to zabrali się do dzieła... Uprowadzili bydło, kobiety chyba też. Tego tutaj trzeba by pochować. Zaraz przyniosę prześcieradło, panie, przeniesiemy go.

– Dokąd?

– No przecież nie będziemy go grzebać przy strumieniu. Tam, za domem, jest trochę miejsca.

Szedł już ku domowi, kiedy Leon zawołał za nim:

– Ty... tego... Nie mów nic dziewczynie. Nie trzeba jej niepo koić.

Alf skwitował to niezbyt wyrazistym chrząknięciem.

– Dobra. Tylko... czy może ją spotkać coś gorszego niż to, co już spotkało?

Leon został przy nieboszczyku. Czuł się nieswojo – gwałtowna śmierć wciąż jeszcze była dla niego, człowieka bez wojennego doświadczenia, czymś niezwykłym. „Diabli nadali prawo zakazujące posiadania broni pomyślał.– Przecież jesteśmy tu kompletnie bezbronni. Ksenolog, taka jego mać, przygłupi chłopaczek i dziewczyna... też jakaś dziwna... Boże, a przecież jeszcze przed tygodniem było tu tak spokojnie i miło! Siedzieliśmy sobie jak na zapiecku i spokojnie czekaliśmy na Drugą Kompleksową. Nie, Berg miał rację, stary wyga... nie można im okazywać współczucia i odpowiadać na ich błagania. Potem to bokiem wychodzi?”

Z mroku wyłonił się Alf, niczym błędny ognik. Niósł latarnię, jednocześnie prowadząc konia okrytego zgrzebną płachtą. Wyglądało to tak, jakby wedle strumienia zbliżał się górski duch.

– Oto jestem, panie – stwierdził rażno. Leon pomyślał, że mło dzik pozbył się już strachu, lęk spłynął po nim jak woda po kaczce. – Zawiniemy chyba tego biedaka, czy co?

Alf solidnie zabrał się do łopaty. Leon podniósł wyżej latarnię, czując się zupełnie bezużytecznym. Starał się uniknąć patrzenia na ciasno spowite zgrzebnym płótnem ciało. W końcu sługa ocenił, że dół jest dostatecznie głęboki.

– Bierzmy go, panie – poprosił.

Gdy ciało spoczęło w wilgotnej jamie, Alf ponownie chwycił za łopatę.

– Odpoczywaj, dopóki cię nie wezwą – powiedział.

Leon nie wiedział, czy te słowa należą do obrzędu, czy sługa po prostu improwizuje.

– A jeżeli tamci wrócą? – zapytał.

– Kto? – najeżył się Alf.

– Zbójce, oczywiście – uściślił Leon ze złością w głosie.

– Co ma być, to będzie, prawda, panie? – w głosie młodzika zabrzmiało znużenie i rezygnacja. – Zresztą i w lesie możemy się na nich natknąć. Nie należało w domu rozpalać ognia... ale stało się, prawda? Chcecie coś zjeść? Został jeszcze ser i suchary.

– Nie wiem – niezbyt pewnym głosem odpowiedział Leon. Płukał już kilka razy ręce w wodzie, ale dłonie wciąż wydawały mu się lepkie. – Trzeba się umyć...

– Przecież myliście się w strumieniu? – zdziwił się młodzik.

– Nie... ciepłą wodą.

„Mydła to oni nie mają – pomyślał tęsknie. – Ileszcze go nie wynaleziono”.

– No, to chyba że nasza głupawa księżniczka wpadła na taki po myśl, ja, panie, wody nie grzałem. Nie miałem do tego głowy...

Okazało się, że Soreille, choć nadal patrzyła na świat tymi samymi, pustymi oczami, zatroszczyła się jednak o ciepłą wodę. Oplukawszy twarz i dłonie Leon poczuł się świeżo... jakby nic go wcześniej nie skalało. Przypomniawszy sobie też o głodzie i odkryciu to trochę go zdziwiło – czyżby na tyle już stwardniał, że nawet dotyk lepkiego od krwi, martwego ciała nie potrafił pozbawić go apetytu? „Staję się taki, jak oni – pomyślał. – Jak ci tutaj – gruboskórni i jednocześnie podatni na przesady”. Za małym, wyciętym z miki okienkiem gęstniała mętna mgła, taka, która rodzi strach, pomyślał Leon, a ze strachu wyłaniają się upiorne płody ludzkiej wyobraźni.

Kiwnięciem dłoni pozwolił Altwi usiąść za stołem. Młodzik usadowił się na ławie bez szczególnego skrępowania – wyglądało, że przesady klasowe, skuwające doły społeczne jeszcze bardziej niż seniorów, były mu zupełnie obce.

– Znaczący, tak... – zaczął Leon rozmiękczając suchar w czarce lekkiego wina. – Lord Ansard wyjechał do Soleru. Schronił się pod opiekę jego wysokości...

– Na to wychodzi, panie – zgodził się sługa. – A cóż innego mógłby zrobić?

– Biedaczysko – Leonowi żal się zrobiło pogorzela. – Bez domu, bez dachu nad głową...

I pomyślał, że w odniesieniu do właściciela zamku, to przysłowie brzmi dość osobliwie.

– No, no... – mruknął Alf pocieszająco. – Nie tak z nim źle... Jego wysokość margraf, oby żył jak najdłużej, jest bezdzietny, a lord Ansard, co tu kryć, jest mu najbliższym krewniakiem.

– Margraf to człek jeszcze niestary. I nie wdowiec, w przeciwieństwie do tego biedaka Ansarda.

Nie chciałbym, panie, żebyś uznał mnie za plotkarza – odezwał się Alf tonem łagodnej kpiny – ale Ansard owdowiał zadziwiająco nie w porę... Ot, jak stały sprawy: wychowywał się w marchii Szor, w domu ojca lady Hersendy – wiecie, jak to bywa, kiedy szlacheckich synów wyprawiają z domu, żeby się uczyli dobrych manier i wojennej sztuki. A lady Hersenda akurat dojrzała do zamęścia, rozkwitała, niczym róża, i zgodnie z umową, wydali ją za jego wysokość... no i...

– Co „no i”? Plotkarz z ciebie...

– Krótko mówiąc, trzeba było odesłać lorda Ansarda z powrotem do tatunia...

I szybko ożenić z jakąś zubożałą panną, żeby krew trochę mu ostygła. Tak to było, panie. A teraz znów jest na dworze jego wysokości, wdowiec, młody i urodziwy... Nikt nie zaprzeczy, że z lorda Ansarda nie lada głądysz.

– Nie wiem – odparł Leon niezbyt pewnym głosem. – Nie widziałem.

Soreille westchnęła cichutko.

– lakaż to smutna historia – szepnęła.

– A co w niej smutnego – stwierdził młodzik ponurym głosem.

– Niepokoje i tyle.

– Cały czas widzieć się nawzajem, ot tak, na wyciągnięcie ręki...

– To samo mówię – Alf nie krył swojego sceptycyzmu. – A jak długo wytrzymają nasze gołąbeczki?

– No, jakby co – stwierdził Leon tonem rozjemcy i mędrca – jego wysokość zawsze może wysłać krewniaka na wojnę.

– O wa! Skąd on weźmie tę wojnę... Choć, prawdę rzekłszy, jak tak dalej będzie...

Alf złowieszczo pokręcił głową.

– Niespokojnie dziś w Średnich Marchiach, oj, niespokojnie... Nie wiem nawet, czy wrócimy cali i zdrowi do Soleru. No cłobra, rano mądrzejszy jest od wieczoru... la, jeśli łaska, położę się na sianie.

Zerknął na Leona z ukosa i szepnął domyślnie:

– Wam, panie, chyba nie trzeba rozkładać posłania.

Leon poczuł, jak policzki zalewa mu czerwien. „I po cóż tak...

– pomyślał ze złością. – Zaperzam się jak chłopiec”.

A głośno sarknął:

– Nie udawaj durnia! Położę się w przybudówce. Tylko podściel tam siana.

Alf bez słowa wzruszył ramionami.

W półmroku przybudówki, którego nie rozegnał nikły płomyk świecy, rozścielił porządniej ciśnięte w kącie przez Alfa snopki siana. Położył się na nich z rozmachem i wygodnie wyciągnął nogi. Sucha trawa kłuła go tu i tam, ale był zbyt zmordowany, by zwracać na to uwagę. Dobrze chociaż, że działa środek odstraszały owady – w tym sianie pewnie jest mnóstwo robactwa. Jak tutejsi mogli przyzwyczaić się do czegoś równie ohydneho?

„Dobrze byłoby szybko wrócić – pomyślał. – Berg pewnie się trapi, choć za nic w świecie się do tego nie przyzna”. Berg... trzeba by nawiązać z nim łączność... Nie powinni zasypiać wszyscy naraz – nie wiadomo, co się może zdarzyć. Soreille oczywiście nie ma po co budzić, ale on sam mógłby z Alfem na zmianę trzymać wartę. Poleży jeszcze z pięć minut, nie więcej... i pójdzie, odpęka pierwszą zmianę. Koniecznie

trzeba wystawić wartę...

I z tą myślą zapadł w sen.

W głowie mu eksplodowało. Spróbował otworzyć oczy, ale niczego nie zobaczył przez purpurową mgłę. Chciał wstać. Okazało się to niemożliwe – coś uparcie ciągnęło go wstecz. W następnej chwili zrozumiał, co to było – krótkim sznurem związane mu nadgarstki i kostki, jak baranowi przed wypaleniem cechy. Pęta wrzynały mu się w ciało – dłonie już mu martwiały i prawie nie czuł bólu.

– Ocknął się biedaczek – rozległ się gdzieś obok obcy, niski głos. Spróbował odpowiedzieć, ale i to mu się nie udało – wyschnięte wargi były rozbite i mocno spuchnięte.

– Dajcie mu wody – drugi głos brzmiał dźwięcznie, znajomo. Poseł nagle ze zdziwieniem pojął, że mówiącym jest Alf. – leszcze nam tu zdechnie, a jaki pożytek z umarlaka?

I ten sam znajomy głos dodał z drwiną i wzgardą:

– On w ogóle słabiutki jest. Ledwo chodzi.

Łgarstwo, chciał warknąć Leon, ale wyszło tylko niezbyt zrozumiałe sieknięcie.

– A co to za ptaszek? – zapytał ktoś niewidoczny. – Chyba nie tutejszy?

– Jakiś poseł – wyjaśnił Alf. – Poseł z dalekiej Terry.

I dodał z żarem w głosie:

– Jedno wam powiem, chłopaki... Bogata ta Terra, jak żaden inny kraj. Ulice brukowane złotymi cegłami, a domy...

– Ale (garz z ciebie...

No, niechby i srebrne były. Popatrzcie tylko, w drogę się wyprawił w jedwabiach cieniutkich i aksamitach. Na dworze jego wysokości... tak się ubiera, tak się stroi, że oczy patrzeć bołą. Ze złota, brachu, łańcuch ma na piersi – o, jaki gruby! Kubrak kamieniami usiany, aż się świeci i iskrzy jak ogień!

„No proszę, co za ptaszek – pomyślał Leon. – Ach ty draniu, świński cycku! Powiódł mnie prosto do swoich kompanów jak barana na rzeź! Za okup, znaczy... Boże wielki! – pomyślał nagle. – Niechby i za okup, przynajmniej będzie się można potargować. Nie wytrzymam, wiem przecież, co oni...”

– Ten, co prawda, mizernym jest ptaszkiem – ciągnął swoje Alf. – Ale jego lord... o, to panisko co się zowie. Jak się przejdzie po sali, jak nogą tupnie...

– A nie łżesz ty, mały? – w obcym głosie wyczuwało się zwątpienie.

– Jak nie wierzysz, to go obszukaj, przyjacielu. Sam zobacz, co trzyma po kieszeniach. Zmyślnie jakieś sztuczki, u nas takich nie znajdziesz. A on je ze sobą nosi –

ot tak, dla rozrywki. Nożyk piękny, jakiego oko ludzkie nie widziało. A do czego mu inne, nie odgadniesz... Muchołapka, czy co?

„Mówi o nadajniku i analizatorze” – pomyślał Leon.

– Racja – stwierdził po chwili rozmówca Alfa, obracając nadajnik w palcach. – Patrzcie no...

Przy okazji niechcący włączył chyba moduł na „wywołanie”, bo nadajnik nagle wydał dźwięk.

– Piszczy – odezwał się zdziwiony opryszek.

„To Berg... – pomyślał Leon. – Chce nawiązać łączność. Nie w porę, psiakrew”.

– Nie, to nie muchołapka... Znaczy, co? Zabawka taka?

– Odpędza złe duchy – wyjaśnił Alf pewnym głosem. – Wiara u nich dziwaczna, a to jakby amulet. Wyciąga toto, poszepcze, poszep-cze coś i chowa. A czasami... nie uwierzycie, chłopaki, ale to mu odpowiada.

– Może go... tego... – jeszcze jeden głos, jakby młodszy. – Może to bies?

– A jaki tam bies! – odpowiedział rażno Alf. – Wszyscy wiedzą, że jak biesa zranisz, to dym z niego bucha. A sami wiedzieliście, jak mu krew z nosa chlustała, kiedy go stuknąłem!

„Znaczy, to ty mnie rąbnałeś... – pomyślał Leon. – A ja ci uwierzyłem. A Soreille... Boże mój, co z Soreille?”

Ale choć nastawiał ucha, nie mógł wyłowić z rozmowy imienia dziewczyny, ani nawet wzmianki o niej.

– Spory okup będzie, mówisz? – zapytał pierwszy głos.

– Tak się wzbogacisz, brachu, że nie będziesz musiał zajmować się rozbojem. Żyć, nie umierać...

– A kto pójdzie do zamku? – zwątpił drugi. – Ja nie głupi...

– Ja pójdę – zaproponował Alf. – Mnie tam już znają. Powiem, że mnie leśni przysłali z żądaniem okupu. Jak nie wrócę i zdradzę, to mnie spod ziemi wykopią, a ambasadorowi kiszki wyprują. Tylko wy mnie nie oszukajcie. Czwarta część moja będzie.

– Jakim cudem?

– A kto go związał?

Zabulgotało – ktoś potrząsnął manierką. Wykręciwszy szyję, Leon zdołał wreszcie zobaczyć jednego ze zbójców – rosnącego chłopca o dzikim, groźnym wyglądzie. Nad jego ramieniem wystawały lotki kilkunastu ukrytych w kołczanie strzał – wypisz, wymaluj, Robin Hood! „Czemuż mi nie do śmiechu? – pomyślał ponuro Leon. – Przecież to heca, co się zowie!”

– Napij się, przyjacielu...

Ktoś wlał mu do ust zimną wiodę – całe szczęście, że nie jakiś mocniejszy trunk. Po takim rąbnięciu w głowę miejscowy samogon mógłby go wykończyć.

– Ty popatrz! – stwierdził senny drab ze zdziwieniem. – Łyka!

– A mówiłem, żyje... – potwierdził Alf. – No i dobrze, bo już się bałem, że przyłożyłem mu za mocno. Pamiętajcie, czwarta część moja. A wy za to możecie sobie wziąć te terrańskie amulety.

– A komu one potrzebne... – nie bez obaw mruknął ten młodszy.

– Amulety... – warknął ponuro pierwszy. – Czarownik to, znaczy, lepiej mu gardło poderznąć, dopóki się nie ocknął. A pieniądze podzielimy po sprawiedliwości.

– Jaki tam z niego czarownik? Czarownik nie dałby się złapać jak głupi jego lord, ambasador Rerg, sto razy więcej zapłaci... za żywego.

– A chodzić on może?

– Daj mu kopa, to pójdzie grzecznie, dokąd każą.

„Szkoda, że wcześniej nie zauważyłem – pomyślał Leon nie bez żalu – jaki Ali ma wredny głos”.

Czyjaś dłoń z nożem przesunęła się pomiędzy jego kostkami – ostrze liznęło sznur, odcinając jednocześnie kawał spodni.

– Wstawaj, parszywa mordo! – polecił starszy.

– Dość chwiejnie Leon dźwignął się na nogi. I natychmiast dał o sobie znać rozbity łeb, pulsując tępym bólem. Ponieważ ręce miał nadal związane, nie mógł sięgnąć na tył czaszki, ale był tam pewnie potężny guz, a po karku zaczęło mu spływać coś ciepłego i lepkiego. Mocno mu przyłożyłeś, chłopie – stwierdził ten starszy. – Ale mógłbyś mniej silnie, a dokładniej.

– Walnałem, jak umiałem – stwierdził Alf sucho. – Nie mam wprawy jak wy.

– To jak na życie zarabiałeś? – zdziwił się młodszy.

– Żonglowałem kulkami.

– Też mi zajęcie.

– Nie gorsze od waszego. No dobra, idziemy.

Dopiero teraz Leon spostrzegł, że zbójów nie było dwóch – trzeci, mroczny i porośnięty czarną szczecina drab stał nieco z boku. Pochwyciwszy spojrzenie Leona uśmiechnął się szeroko i poseł zobaczył poruszający się w ustach zbója kikut języka.

To dlatego ten trzeci w ogóle się nie odzywał. Była to zwykła w tych stronach kara za rozbój. Obcięcie języka i zesłanie do kopalni srebra.

– No tak – starszy lekko poderwał się na nogi. – Patrzcie, jaka się burza zbiera...

– Może tu przeczekamy – niepewnym głosem podsunął ten młodszy.

– A skąd wiesz, czy tego już nie szukają... może mały nałgał? Ej, ty! Nie zełgałeś czasem, że on bez eskorty tu się kręcił?

– Żebym tak zdrow był! – zapewnił gorąco Alf.

– Oczami jakoś tak na boki ucieka. Nie wierzę draniowi. No, dobra, idziemy. Bezpaluch już konie odprowadził...

„Gdzieś tutaj mają swoją kryjówkę – pomyślał Leon. – Jasna sprawa”.

Ruszyli w drogę. Leon usiłował podchwycić wzrok Alfa, ten jednak umyślnie unikał jego spojrzenia, a starszy delikatnie, z uczuciem, pchnął go w plecy.

– Co tak gały wytrzeszczasz?

Latarnia chwiała się w sękatej łapie niemowy. „Boże, kiedyż wreszcie nastanie świt” – pomyślał tęskno Leon. W lesie było ciemno jak w grobowcu i równie cicho. Nawet ptaki ucichły, nawet nieustannie brzęczące owady pochowały się pod liśćmi. Po chwili Leon, kiedy jego wzrok przywykł do panującego pod okapem gałęzi mroku, stwierdził, że noc już minęła. Przyczyną otaczających ich ciemności były widoczne chwilami poprzez gęste listowie chmury. Kłębiły się nad lasem i połyskiwały niemal atramentową czernią.

Potem rozległ się huk odległego gromu. Przetaczał się długo i groźnie, jakby za górskim łańcuchem zawarczał nagle ogromny zwierz.

I nagle pnie drzew oświeciła błyskawica. Twarze otaczających Leona zbirów wyłowione z mroku bezlitosnym światłem elektrycznego wyładowania – i bez tego paskudne – nabrały potwornego wyrazu chodzących umarłaków.

– Czemu stanąłeś? – starszy ponownie i z wyczuciem dał mu kuksańca w bok. – Ruszaj się, baranie... No, dalej, bracia, zdążymy przed deszczem.

Leon przestał się rozglądać na boki – szedł potykając się i usiłował nie zwracać uwagi na ból głowy, który wzmagał się z każdym krokiem.

Poruszali się w tej bezdźwięcznej mgłę, jakby płynęli w ciemnej wodzie, aż wreszcie dławiąca cisza zmieniła się w coraz głośniejszy huk. Burza niczym drapieźny zwierz przeskoczyła przez grzbiet odległych gór i jednym susem przeniosła się ku nim.

Drzewa zawisły nad głowami niczym dach solidnego namiotu – tak gęsty, że nie mógł się przezeń przebić nawet blask piorunów.

– Patrzcie tam! – stęknął nagle Alf.

Powietrze stało się niezdrowo suche i zaczęło trzeszczeć – a na wierzchołkach dwóch najwyższych sosen pojawił się blady, błękitny płomień.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – odezwał się młodszy z opryszków przestraszonym głosem. – Zły to znak... Zostawmy czarownika, bracia... albo umoczymy...

– Zamknij pysk – uciął starszy.

Leon nagle się sprężył – pomiędzy jego nadgarstkami przesunęło się zimne ostrze i ostrożnie wcisnęło się pod pęta. Zamarł w bezruchu, bojąc się odwrócić, ale śmiertelność stała znikła równie niespodzianie, jak się pojawiła.

– No, ruszcie się, durnie! – wrzasnął starszy.

„On też się boi” – pomyślał Leon.

Sznury, obejmujące jego nadgarstki zostały na miejscu... ale jakby tak szarpnąć... „Trzeba poczekać na właściwy moment – myślał, potykając się o korzenie. – Tylko poczekać...”

Błyskawica uderzyła nagle i najbliższy dąb stanął w ogniu, syjąc iskrami, niczym ogromna bengalska świeca. Okryci ognistym sklepieniem ludzie targnęli się w bok, ale tuż obok uderzył drugi grom – elektryczne wyładowania były, niczym naprowadzany ogień artylerii. Coś nagle rozerwało się tuż nad głową – Leon na chwilę stracił wzrok.

Kiedy zza płonącej purpurą mgły zaczęły ponownie wyłaniać się zarysy otoczenia, Leon zobaczył w odległości może połowy metra od siebie żywą pochodnię wymachującą ognistymi kończynami. Straszny, nieludzki wrzask słychać było chyba w całym lesie, ale zaraz stłumił go huk gromu i wycie nagle się urwało. Leon stał przez chwilę z otwartymi ustami, nie mogąc oderwać wzroku od koszmarnego widowiska – nie od razu poczuł delikatne pchnięcie w plecy. Odwrócił się – tuż obok stał Alf. Z przerażonych oczu chłopaka biła groza, ale jego usta drgnęły i w tej chwili Leon zrozumiał:

– W nogi!

Zakręciło mu się w głowie, ale zdołał szarpnąć rękoma, rozerwać nadcięte sznury i z rozmachem uderzyć obiema dłońmi w kark stojącego obok, znieruchomiłego z przerażenia, młodszego zbója. Nawet jeżeli coś tam trzasnęło, to i tak nie dało się niczego usłyszeć w huku żywiołów. Drab sflaczał i osunął się na ziemię po pniu pobliskiego drzewa. Alf też nie tracił czasu – porwawszy z ziemi jakąś sękatą, grubą gałąź przygrzał niemowle w łeb. W kolejnym błysku Leon zobaczył szeroko rozdziawioną gębę, w której jak małż w muszli poruszył się kikut języka – a potem wszystko znikło w mroku. Ostatni z kompanów – a raczej to, co z niego zostało – leżał nieopodal niczym czarna, bezkształtna bryła.

Wszystko stało się tak szybko, że Leon działając odruchowo, nie zdążył ocenić sytuacji, Alf jednak połapał się szybciej. Szarpnął posła za rękaw:

– Wiejmy stąd! – wrzasnął przekrzykując huk burzy. – Z powrotem do chaty!

– A Soreille?

– Nic jej nie jest, tej waszej Soreille! Została tam... schowana w piwniczce!

Dopiero w tej chwili Leon spostrzegł, że huk gromów ucichł, tak nagle, jakby ktoś

wyłączył głośnik – a na ziemię lunęły potoki deszczu. Nie był to zwykły deszcz – ale zajadłe strumienie bębniące w liściach, jakby przez wierzchołki drzew szła armia liliputów. Miliony, miliardy liliputów... Przesyconym wilgocią powietrzem trudno było oddychać.

Nie wiadomo dlaczego, powrotna droga wydała się Leonowi znacznie krótsz, a Drzewa wkrótce się rozstały i zobaczyli maleńką chatkę, wyłaniającą się z mroku żywiołów niczym arka Noego.

Leon z trudem przestąpił próg – raczej wpadł do środka niż wszedł, a drzwi trzasnęły za nimi.

– Jak się czujecie, panie? – zapytał z troską przygnębiony Alf.

– Ty skurwysynu! – stęknął Leon... – Ty mała, parszywa gnido... ty...

– Wybaczcie panie, że musiałem wam przyłożyć – odezwał się Alf ze skruchą. – Trochę się przeliczyłem. Za dobrze mi wyszło. Zauważyłem ich na dziedzińcu, kiedy wyszedłem za potrzebą – a czterech ich było, panie, jeden kontak i muła uprowadził – jak spojrzałem na ich mordy... no, pomyślałem, koniec. Ambasador Leon zaraz wda się z nimi w bitkę... i wykończą nas, jak dwa razy dwa – cztery. Kazałem Soreille schować się w piwnicy – przeszukali ją, jak leśnika wykończyli, drugi raz do niej nie zajrzą. A wam trzeba było dać po łbie. Namówię ich, żeby okupu zażądali – po prawdzie to wyglądacie panie tak, że każdy uwierzy, że za żywego dadzą więcej, niż z trupa złupisz. A potem się zobaczy... w drodze różnie bywa. I wyszło na moje...

– A jakby nie wyszło? – zapytał Leon krzywiąc twarz.

– To zażądałbym za was okupu. Ambasador Berg wygląda mi na człeka oszczędnego, ale jesteście mu jedynym przyjacielem i towarzyszem, a jego wysokość margraf zawsze miał hojną rękę. Co prawda, mogliby was dorżnąć, po tym, jak otrzymaliby pieniądze, tak na wszelki wypadek, ale to już wola Dwójcy...

– Bydle z ciebie – Leon ostrożnie pokręcił głową.

– Cóż było robie, panie? Takie życie...

– Ale jak oni na nas trafili? Obserwowali chatkę?

– Kto ich tam wie, panie... Myślę, że nie oddalili się za bardzo po zabójstwie leśnika, a myśmy jeszcze ogień rozpalili... No to wrócili zobaczyć, cośmy za jedni...

– A ten czwarty?

– No przecież mówiłem, jeszcze wcześniej zwierzęta gdzieś odprowadził. Muszą tu mieć jakąś kryjówkę, nie inaczej. Ale siedźcie spokojnie, panie, nikt zdrowy na rozumie w taką burzę po lesie włóczył się nie będzie. Zaraz wam ranę przemyję, opatrzę...

– Zabieraj swoje brudne łapska – bez przesadnej złości odciął się Leon. – Mówisz, że z Soreille wszystko w porządku?

– Pewnie tak, panie. Kazałem jej siedzieć cicho, nie wychylać nosa, a rano, jak się przejaśni, uciekać precz. Znaczący, iść do Soleni i odszukać tam ambasadora Berga. Nie wiadomo, czy by tam dotarła, ale i tak lepiej, niż żeby te skurwiele ja mieli...

– Zejdź do niej – polecił Leon.

– Już się robi, panie.

Alf zapalił ostatni ocalały ogarek świecy i znikł w sieni.

Leon ze nużeniem wyciągnął się na ławie – szum deszczu za oknem wydawał mu się kojącą kołysanką.

Drzwi do piwniczki skrzypnęły cicho i pojawiła się Soreille. Na ułamek sekundy zamarła na progu, niczym chybotliwy, biały cień, a potem wślizgnęła się do izby.

– Nie przestraszyłaś się za bardzo?

Z niewiadomej przyczyny nie mógł się zmusić do mówienia pełnym głosem.

Dziewczyna pokręciła główką.

– Nie, panie. Przybiegł do mnie ten młodzieniec i powiedział, żebym się ukryła w piwnicy, a już on zatroszczy się o was.

– Zatroszczył się, a jakże... – Leon ostrożnie musnął dłonią potylicę: miękka opuchlizna i zaschnięta krew zlepiająca włosy.

– Jesteście bardzo dzielnym człowiekiem, panie – utkwiała w nim pełne podziwu spojrzenie ogromnych, szarych oczu – skoro sami zdołaliście się rozprawić ze zbójami.

– No, uczciwie mówiąc...

– Sam jeden pokonał trzech – wtrącił się niespodziewanie Alf. – Ambasador Leon jest prawdziwym rycerzem, o dłoni, która niesie śmierć wrogom, (a, co prawda rozprawiłem się tylko z jednym, ale ten walczył jak sam diabeł...

– Co ty... – Leon chciał sprostować, ale zobaczył utkwiony w nim pełen zachwyty wzrok dziewczyny i słowa zamarły mu na ustach.

– Powiedział, że choćby miał stracić życie, nie pozwoli, by ktoś skrzywdził jego damę. I jak zaczął ich grzmocić...

„Ale mitoman – pomyślał Leon. – Minstrel, bez dwóch zdań”. Soreille patrzyła na Leona z takim zachwytem, jakby miała przed sobą najbardziej urodziwego młodzieńca w kraju.

– Pozwólcie panie, że obmyję wam rany – odezwała się na ko niec. – Rycerz walczy, a dama opatruje jego rany.

Wzięła dzban z półki i ruszyła ku wyjściu, gdzie z rynny spływała woda do pełnej niemal po brzegi beczułki. Alf odprowadził dziewczynę spojrzeniem pełnym zadumy.

– Pójdę się przespać, panie – stwierdził ziewając z nieco przesadnym zapałem. – Noc była ciężka, pełna wrażeń. Ale można powiedzieć, że się nam udało – gdyby nie ta

piekielna burza, nie poszłoby tak łatwo. Nie wiadomo, kiedy nadarzyłaby się następna sposobność...

– Owszem... – stwierdził Leon z roztargnieniem. – Udało się, ani słowa.

– Mówią ludzie, że niebiański ogień nie uderza na chybił trafił... Ten ich herszt był takim bydlakiem, że równego mu i ze świecą nie znajdziesz. No, ale dość o tym – przerwał sam sobie ujrzawszy Sore-ille, która akurat wtedy stanęła na progu z pełnym dzbanem w ręku. – Pora mi spać... w razie czego będę na stryszku w szopie.

Przeszedł obok dziewczyny i znikł za ścianą deszczu. Soreille tymczasem odszukała kawałek jakiejś czystej szmatki.

– Pochylcie głowę, panie – poprosiła.

Leon pokornie schylił łeb nad miską. Zręczne palce ostrożnie rozplatały mu zmierzwione włosy – dotyk dziewczyny był niemal pieścizotą. Terrański poseł ze zdziwieniem poczuł, że znika gdzieś towarzyszące ostatnim przeżyciom napięcie i rozluźniają się stężałe od wysiłku mięśnie.

– No proszę – odezwała się wreszcie dziewczyna – a teraz opa trunek.

Opatrunek objął mu głowę ciasnym, ale mimo wszystko przyjemnym uściskiem. „Teraz już chyba jesteśmy bezpieczni – pomyślał Leon – choć po prawdzie, co to za bezpieczeństwo? Odetchniemy trochę i ruszajmy dalej, dopóki nie zwali się tu ktoś inny...”

Dziewczyna uporała się wreszcie z opatrunkiem, ale nie odchodziła. Stała tak blisko, że Leonowi zakręciło się w głowie – jej ciepły oddech muskał mu policzki, a włosy łaskotały w szyję. Zamarł w bezruchu, lecz po chwili ze zdziwieniem dla samego siebie odkrył, że trzyma dziewczynę w ramionach. Soreille nie odrywała spojrzenia od jego twarzy – i z całego świata pozostały dlań tylko jej ogromne, szare oczy i drżące w jego ramionach, ciepłe, uległe ciało...

– Taki dzielny... – wyszeptwała. – Taki...

– Nic nie mów – poprosił, ale to nie pomogło... i musiał zamknąć jej usta swoimi wargami.

– Ci dwaj – Ansard rzucił słudze zawilgocony płaszcz i odesłał wszystkich niedbałym gestem dłoni. Potem rozsiadł się wygodnie na krześle przy kominku, przysunawszy je nieco bliżej ognia. – Terranie... Co możesz o nich powiedzieć?

– Niewiele, milordzie – odezwał się zza oparcia krzesła Warren. – Nie udało mi się do nich zbliżyć... poza tym, że przez część drogi do kopalni jechaliśmy razem.

– I?

– Nie rozumiem, milordzie.

– Ach, ależ rozumiesz, rozumiesz... Nie są samozwańcami? Naprawdę są tymi, za

których się podają? O tym ich kraju nikt nigdy nie słyszał.

Jeżeli nawet są samozwańcami, to bardzo zręcznymi, milordzie; takimi, których nie będzie łatwo zdemaskować. Rozpytywałem o nich pomiędzy ludźmi jego wysokości – sami nie widzieli przybycia okrętu zza morza, ale są wiarygodne doniesienia świadków. Wysiedli na brzegu, a ich okręt nie był podobny do naszych korabiów. Pięknie zdobiony. Co prawda, niektórzy utrzymują, że taki statek nie zdołałby przepłynąć morza – zbyt lekko był zbudowany. Nadawał się tylko do żeglugi przybrzeżnej.

– No proszę...

– Milordzie, to nic nie znaczy. Może był i drugi okręt, większy. Tak wielki, że sam nie mógłby przybić do brzegu... A może ta Terra leży wcale nie tam, gdzie oni mówią. Ale niewątpliwie są obcy. Akcent można jeszcze udać – co prawda nie jest taki zły, ale oni inaczej się zachowują, inaczej reagują, milordzie, a tego już udać nie sposób.

I jeszcze jedno...

– Tak?

– Kiepsko jeżdżą na koniach.

– Nie są szlacheckiego rodu? Nie są panami? – zdziwił się Ansard. – Kupcy? Czyżby to jakaś handlowa...

– Nie, panie, to arystokraci, bez dwóch zdań. Tego też nie można udawać. Być może nie są wojownikami – ale potomkami wojowników. Po prostu pomyślałem sobie, że albo dostojnicy Terry wołają podróżować w palankinach czy lektykach, albo tam u nich w ogóle koni jest niewiele. Ale niewątpliwie obaj są szlachetnego rodu, zwracają się do naszej szlachty jak równi do równych i niczego się nie obawiają.

Jeżeli tamtejsi szlachcice nie znają sztuki wojennej, to Terra, być może, dawno już nie prowadziła wojen – stwierdził zamyślony Ansard. – Albo jest to kraj bardzo pokojowo nastawiony do świata, albo bardzo bogaty, albo tak potężny, że nikt mu nie śmie rzucić wyzwania...

– A może ta Terra nie ma po prostu z kim wojować, milordzie – podsunął Warren.

– Jak to nie ma. Zawsze się znajdzie ktoś, z kim można powojować. Posłuchaj Warren, weź ludzi... dokąd mógł się wyprawić ten ambasador, co przepadł?

– Milordzie, podejrzewam, że jest w to zamieszana jakaś kobieta. Podobno zachwyciła go uroda jakiejś miejscowej piękności, zamierzał ją porwać i zawieźć do Soleru...

– Jeżeli jest obcy, to powinien się rzucać w oczy – z takim samym jak przedtem namysłem stwierdził Ansard. – Na dodatek jedzie w towarzystwie kobiety...

– Zrozumiałem, milordzie.

– Uratować cudzoziemskiego ambasadora, który popadł w biedę, to sprawa, która

powinna się spodobać Dwójcy. Kto wie... jeżeli znajdziemy zaginionego przyjaciela ambasadora Berga przed ludźmi jego wysokości, to ambasador będzie wdzięczny nam, a nie margrafowi. Warren, czyś ty kiedykolwiek słyszał, żeby komuś zaszkodziła przyjaźń ambasadora lub posła potężnego państwa?

I wyciągając dłonie w stronę ognia dodał z zadumą:

– Mnie osobiście, na przykład, bardzo by się przydała...

Z wąskiego zamkowego okna ciemne sylwetki tańczące na sznurach szubienicy wyglądały jak szmaciane kukielki. Nie widać było okaleczonych przez wrony twarzy. Ansard odwrócił się od okna.

– Za wiele hołoty ginie na szubienicach bez pożytku.

– Pożytek – stwierdził margraf pouczającym tonem – jest zawsze.

– Nie zamierzam się spierać, wasza dostojność – odparł Ansard uprzejmie. – Te bydlaki dostały, co im się należało. Ale czy nie lepiej byłoby wykorzystać ich dla dobra Soleru, niż wytracić bez pożytku?

– Dla dobra Soleru? Co masz na myśli, przyjacielu?

– Kopalnie. Wasza dostojność wie równie dobrze jak ja, że żyła się nie wyczerpała.

Margraf milczał przez chwilę i podziwiał pierścienie na swoich palcach.

– Soler potrzebuje srebra, panie. Kto nam przyjdzie z pomocą w godzinie próby? I to bezpłatnie? Retra? Retra śpi i tylko czeka, jak tu zagarnąć Soler dla siebie.

– Rozkwitająca marchia, mój przyjacielu – stwierdził margraf – jest łakomym kąskiem dla wszystkich... A komu potrzebny skrawek jałowej ziemi, zniszczonej przez, żywioty? Co, Orson będzie karmił tę hołotę za Dwoje zapłać? Przecież on ustawi kordony na granicach... Żeby nawet mucha Z Soleru nie dostała się do Retry.

– A jesteście pewni, że kordony, wuju? On ściąga wojska ku granicom. Soler jest słaby...

– Więc co proponujesz? Okupić się? Srebrem spod góry?

– Trzeba nam wygrać na czasie, bo nic innego zrobić nie możemy. Ten lis, Hrmold, usiłuje zdobyć zaufanie i wkraść się w łaski ter-rańskich ambasadorów. Nie wolno do tego dopuścić.

Margraf westchnął ciężko.

– Sam to wiem.

– A jeżeli ten Leon wcale nie zginął? Jeżeli on jest teraz w Retrze, pod skrzydłem Orsona?

– Chyba nie... Ambasador Berg jest jego przyjacielem.

– Ambasador Berg – stwierdził dobitnie Ansard – nie jest jego przyjacielem.

Ambasador Berg jest jego seniorem. A kto nie chce sam zostać seniorem, mój panie?

– O ile mi wiadomo – odparł nieprzekonany margraf – Leon w Retrze się nie pojawił. Albo na darmo karmię tam moich szpiegów. Zaginął tu, w Solerze.

– Jeżeli rzeczywiście zginął...

– Tak... jeżeli zginął. Niektórzy z moich ludzi przebąkują, że on się kreci koło Murcjańskich kopalni... że miał tam jakiś interes.

– Jak – potwierdził Ansard z zadumą w głosie. – A przecież, wedle Jego, co ludzie gadają, znalazł tam srebro. Gdybyście mi dali te kopalnie w dzierżawę, szybko rozpocząłbym wydobywanie. Gdzież lepiej posłać kajdaniarzy, jak nie do kopalni? Kilof do łapy i naprzód!

– Nie ja kazałem wstrzymać tam roboty – zauważył margraf. – Ja tylko podtrzymałem zakaz.

– A gdybym sobie poradził z tą sprawą?

– Wtedy, proszę bardzo. Tyle, że nie kościola się obawiam, mój przyjacielu. Żebyśmy tylko nie rozgniewali... sam wiesz, kogo.

– Nie mamy się już czego bać, mój panie – Ansard ponuro pokręcił głową. – To już się stało. Nie wiem jak, ale już to zrobiliśmy.

Trakt był rozmyty – bura, udeptana ziemia przekształciła się w rzadkie błoto. Kopyta koni cmokały i ślizgały się, i wierzchowiec jadącego na przedzie małego oddziału Warrena parsknął nagle, zachnął się wstecz i nie zdoławszy utrzymać równowagi przysiadł na zadzie. W przydrożnych krzakach coś nagle zaszeleściło i z szarej, kłębiącej się przy drodze mgły, wyłoniło się kilka niewyraźnych sylwetek. Dopiero po chwili giermek zorientował się, że przed nim stoją ludzie, uzbrojeni w zastrzone koły i osadzone na krótkich drzewcach widły, zgięci pod ciężarem jakiegoś brzemienia. Brnęli przez błocko szeroko rozstawiając nogi, ostrożnie i niespiesznie – żeby nie poślizgnąć się albo nie zostawić w brei ciężkich, drewnianych chodaków.

Warren targnął wodze i pchnął konia naprzód, odcinając drogę idącym. Wymownym gestem położył dłoń na wystającej spod opończy rękojeści miecza. Ukryta groźba okazała się niepotrzebna – ujrawszy zbrojny oddział wędrowcy pozdejmowali czapki, wystawiając obnażone głowy na deszcz.

– Co macie w workach, łajdaki? – zapytał Warren przez zęby. – Rozbojem się zajmujecie?

– Nijak, wielmożny panie – odpowiedział krępy, starszy już chłop, przewodzący najwidoczniej całej grupie. Dreptał w miejscu, jakby się zastanawiał, czy dla okazania

głębszej czci nie paść na kolana, ograniczył się jednak do jeszcze niższego pochylenia skudłonej głowy. – To nasz dobytek, krwią serdeczną zapraco...

– Ach tak? – Warren policzył wzrokiem całą grupę. Przed nim dreptało dwunastu kmiotów, a za krzakami w mgle majaczyła jeszcze jakaś ciemna masa. Giermkowi wydało się, że ktoś tam prowadzi przynajmniej jednego konia. – I gdzież to wszystko trzymaliście? W lesie?

Ludzie Warrena zbliżyli się już do chłopów i niemal napierali na nich końskimi piersiami. Z mokrej sierści zwierząt biła para, mieszająca się z przydrożną mgłą.

– Można by i tak powiedzieć, panie – pospiesznie odparł przywódca grupy. – Kręcili się tu rozbójnicy, ale wioska była niemała, to się do nas nie pchali, jednak kilka dalej pobudowanych gospodarstw ograbili do czysta. Domy popalili, ludzi pomordowali – mało kto ocalał, wielmożny panie... więc zebraliśmy się w kupę... żeby wypalić ich Jegowisko żywym ogniem...

– Wracajcie do domów – Warren z trudem utrzymywał w miejscu nerwowego konia. – Zajmę się tym.

– A czym się tu zajmować, wielmożny panie? Sami to załatwiliśmy. Oto ich nagrabione dobro... Bydło porznięli, ale inne rzeczy są... I baby, znaczy, te uprowadzone...

– A bandyci?

– Tam ich było tylko trzech, panie. Jednego, jak się tylko zaczęła zawierucha, od razu żeśmy załatwili. Drugiego baby, panie, prawie na strzepy porozdzierały, straszny widok... A trzeci ot to, w błocie się tapla.

Ciemna masa zza krzaków ruszyła ku przodowi i objawiła się jako kary koń, na którym na oklep jechał jakiś wsiowy chłopaczy-na. Wlokący się za koniem człowiek ze związanymi rękami nieraz już leżał w błocie i teraz przypominał jakąś potworną istotę ze świty Mrocznego – z tych, które malują na frontonach chramów.

– Tylko trzech? – skrzywiwszy się z pogardą zapytał Warren. – Zuchy z was, ani słowa.

– Panie, ich było więcej. Baby mówią, że jeszcze czterech, cała banda, ale jednego chłopci z chutoru ubili, a gdzie się pozostali trzej podziali, to tylko Dwójcy wiadomo. Powiadają, że ogień z nieba ich poraził...

– Ogień z nieba, mówisz... – zamyślił się Warren. Znów popatrzył na zgrabnego konika, nieźle już zapuszczonego – grzywa zmierzwiona, ogon pełen rzepów, brzuch i boki pokryte jasnymi grudami zaschniętego błota, i świeższymi, burymi naciekami. – Daj no, bratku, tego bandytę tutaj...

– My go sami spravimy, wasza miłość – stwierdził ponuro przywódca grupy. – Niech powisi na wrotach, innym draniom na naucz-kę...

Warren wysunął z pochwy ostrze miecza – na szerokość dłoni, nie dalej – ale i tego starczyło, żeby wódz pospiesznie szarpnął za sznur i zbój, zarywszy pyskiem w błoto, poczołgał się do giermka.

– Na wrotach – stwierdził Warren z namysłem przyglądając się umazanej gębie opryszka – to słuszne... Ale u nas, bratku, życie i śmierć poddanych ma w ręku jego dostojność margraf. Chciałeś coś rzec, chłopie?

Przywódca popatrzył nań ponuro, ale się nie odezwał.

– Rozmnożyło się tej hołoty, nie wiadomo skąd się biorą, sznurów nie zdążysz napleść, (ego dostojność zamierza ponownie otworzyć kopalnię w Górach Murcjańskich. Będzie więc ten zuch w sztolni oskardem machać... Choć tyle z niego pożytku. – Ej! – kiwnął swoim ludziom. – Bierzcie go!

– Ale... panie... – wójt chciał się sprzeciwić.

– Zamknij pysk, póki zęby masz całe.

Jeniec, który słyszał urywki rozmowy, zawył nagle, runął na kolana i podczołgał się do Warrena.

– Tylko nie do kopalni! – wychrypiał przerażony, kierując na jeźdźca spojrzenie oszalałych, wywróconych niemal białkami oczu. – Nie do kopalni... nieee!

Warren kiwnął głową, odpowiadając raczej swoim myślom niż stojącym przed nim ludziom.

– Brać go!

Oczy bandyty wypełzły z orbit, a rozbite wargi rozdarły się jeszcze bardziej.

– Nieeee! – zaryczał. – Na miłość Dwójcy, nieeee!

– Dziwne, że akurat na Nich się powołujesz – mruknął w zadumie Warren, gdy udało mu się osadzić wierzchowca, spłoszonego okropnym rykiem więźnia. – No cóż... może faktycznie darujemy sobie kopalnie... Powiedz mi, gołąbku, skąd masz tego konika?

– Patrzcie państwo! – odezwał się Alf. – Co to się porobiło...

W jego głosie brzmiał szczyry zachwyt, choć prawdę rzekłszy, nie było do niego powodu.

Stali na wzgórzu – za ich plecami siniąła ściana drzew, a przed nimi rozpościerały się ziemie uprawne. Co prawda, bardziej właściwe byłoby określenie, że mieli przed sobą to, co jeszcze do niedawna było ziemiami uprawnymi. Łaciaty pled pól zalany był wodą, z której sterczały jakieś badyle, niczym trzciny w stawie. Wszystko kipiało, bulgotało, wyrzucało na powierzchnię pęcherze powietrza i trzęsło się pod naporem strug deszczu, lejących się ze zwieszzonego nisko czarnego nieba.

– Przerwało tamę – stwierdził młodzik z zadumą, patrząc na po nury krajobraz. –

Widzieliście, panie?

Nurt wody uszkodził młyńskie kolo – ocalałe łopatki drgały, niczym zęby w gębie starucha, ale sam młyn się ostał. Bierwiona, z których go zbudowano poczerniały i poprzekrzywiały się, słomiana strzecha przegniła. W odległości kroku od progu pluskała mętna, zielona toń wody, a szeroko otwarte drzwi wabiły obietnicą schronienia.

– Jak myślisz, czy tam ktoś jest? – zapytał Leon. Położyć się na czyimś gościnnym łożu, w suchej pościeli, niechby i brudnej, szorstkiej, pełnej robactwa... żeby tylko przestały piec poobijane, krwawiące stopy... Można oczywiście pomarzyć o gorącej wodzie i ciepłym posiłku, ale tego już byłoby za wiele. Nie czas się mazać...

– Nic mam pojęcia – Alf pokręcił głową. – Gdybym był na miejscu gospodarzy, dawno bym się przeniósł do wsi – co komu teraz po młynie? Rzeka przybiera... Niespokojnie tutaj.

Leon spojrzął za siebie: Soreille stała jak przedtem owinięta w jego opończę. Materiał dawno już stracił barwę i stał się brudnoszary – jak cały świat wokół. Dziewczyna okazała więcej hartu i wytrzymałości niż mógłby przypuszczać. Ani razu się nie poskarżyła – ale czy na długo jeszcze starczy jej sił?

– Może – zaproponował – spróbujemy tam znaleźć coś do jedzenia?

– Mało to prawdopodobne, panie – Alf znów pokręcił głową.

– Wszystko już w zimie zjedli. Gdyby teraz była normalna wiosna, to co innego. Ale popatrzeć owszem, nie zaszkodzi. I wasza dama odpo czynku potrzebuje – o, jaka blada...

Leon westchnął i znów zaczął mieszać błocko butami. „Nie wiem już, co gorsze – pomyślał, idąc w stronę ciemnego kształtu młyna, który rósł w oczach – pusty, nieprzytulny i porzucony dom, czy wrogo nastawieni gospodarze, gotowi wziąć każdego przybysza za zbója i grabieżcę? Jak, nadajnik i pozostała aparatura przepadły bezpowrotnie, nie wytrzymały bezpośredniego trafienia błyskawicą, ponieważ znajdowały się w trzosie, który przytroczył sobie do pasa tamten skurwysyn, a złote monety wytrzymały potworną temperaturę i tylko wytłoczone na nich profile starych władców rozmyły się, że nie odróżnisz jednego od drugiego. Złoto pozostaje złotem – ale cóż ono warte w takich czasach?”

– Pocierp jeszcze trochę – zwrócił się do Soreille, brnącej obok w milczeniu. – Już niedaleko...

– Tak, panie – odpowiedziała cichutko.

„Małomówna – pomyślał. – Ani razu się nie poskarżyła, idzie ze spuszczoneym wzrokiem tak lekko, jakby się ślizgała, choć wszędzie błoto. A przecież, ileż cierpień i upokorzeń musiała znieść...”

Deszcz bębnił po powierzchni wody, z zielonej mętnej głębin strzelały ku górze

i pękały ogromne bąble. Wokół słychać było tylko monotony, nieprzerwany szum, tylko wznosząca się przed nimi coraz wyżej ludzka sadyba była cicha, niczym cmentarny nagrobek.

„Czyżby i tutaj? – pomyślał poseł przelotnie. – Jeżeli i tu będą trupy...”

Alf wstępował już po śliskich stopniach na ganek, ale Leon go zatrzymał.

– Poczekaj – odezwał się. – Ja sam.

Odsunawszy młodzika na bok ostrożnie podszedł do drzwi i zatrzymał się, nasłuchując. Cicho. Stał tak przez chwilę, usiłując złowić uchem jakikolwiek dźwięk, czuł się przy tym już nawet nie bezbronny, a nagi. Po chwili zebrał się w sobie i pchnął drzwi, które otworzyły się niezbyt chętnie – nie były zamknięte, ale spaczone ocł wilgoci.

– Chyba nikogo tam nie ma – mruknął stojący za Leonem Alf.

Kiedy przechodzili przez sień do izby, deski namokniętej podłogi nawet nie skrzypnęły. Leon rozejrzał się i stwierdził, że jeżeli dom był pusty, to najpewniej opróżnili go sami gospodarze, którzy przygotowując się do porzucenia domostwa pozabierali wszystko, co mogli unieść i co przedstawiało dla biedaków jakąkolwiek wartość – żelazne narzędzia, ołowiane przybory stołowe, i wszystko, co zrobiono z wełny, lnu czy skóry... Zostały jedynie ciężkie drewniane meble, których nie dałoby się nieść i gliniane naczynia – te i tak potłukłyby się podczas drogi.

Alf przykucnął i przed dłuższą chwilę usiłował daremnie rozpałić ogień w palenisku. Mokre drzewo i wilgotna słoma nie chciały zająć się ogniem – padające na nie iskry syczały i gasły. Żeby tamten skurwysyn i na drugim świecie nie zaznał spokoju – pomyślał Leon z nienawiścią o bandycie, który zabrał mu zapalniczkę.

Zrezygnowany Alf porzucił jałowe zajęcie i zaczął myszkować po półkach.

– Co robisz? – zapytał ze znużeniem Leon.

– Ja zaraz, panie... Nie może być, żeby nie mieli czegoś na rozpałkę... A, jest!

Zadowolony z siebie podniósł masywny kaganek – nie miałby szans, gdyby wielkie naczynie nie było prawie puste – i wylał resztki zawartości na polana. Leon poczuł ostry, znajomy zapach. Iskra, która tym razem padła na drewno, natychmiast przemieniła się w języczek ognia. Po chwili nad potrzaskującym drewnem zachybotwały blade, niebieskawe płomyki.

– Co to takiego? – zapytał Leon.

– Czarna woda... Wiecie, panie, ona dojrzewa pod ziemią... starzy ludzie mówią, że to krew ziemi. Pali się – i dlatego nadaje się do rozpałki.

Bogata planeta... Aż dziw, jak bogata. Nawet Ziemia nie mogła się pochwalić takimi zasobami minerałów. Co do srebra, to czort z nim, choć nowoczesne technologie nie mogą się bez niego obejść, ale ropa naftowa... Boksyty, rudy manganu... może i metale

ciężkie... Oczywiście, Ziemianie niejednokrotnie natykali się na planety bogate w to wszystko, ale wydobyć było na nich związane z niemałymi trudnościami, wymagało solidnej ochrony i zabezpieczeń, a tu... bierz, ile chcesz”. Rada z pewnością wyda licencję na wydobyć – przy takim zaludnieniu jak obecne, nie ma obawy, że zubożymy ten świat. Wystarczy dla wszystkich... i dla nas, i dla ich potomków.

– Może by coś zjeść? – zapytał siadając na ławie.

– A skąd, panie? Kto zostawi coś do jedzenia? Ja, oczywiście, popatrzę, może coś się jeszcze zabłąkało... W piwnicy, na przykład.

Leon popatrzył, jak sługa zręcznie skręcił knot z jakiegoś kawałka sznurka.

Soreille przysunęła się do ogniska. „Wygląda na to, że jej zmęczenie się nie ima” – pomyślał Leon, ujrawszy, jak dziewczyna podkłada drwa do ognia, napelnia wodą wyszczerbiony garnek i zawiesza go nad paleniskiem.

„leszcze tego tylko brakowało... zmęczyłem się bardziej niż każde z tych dwojga – pomyślał. – Taka mordercza droga, a im nic”.

– Odpoczęłabyś może – zaproponował łagodnie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem – w półmroku jej szare oczy wydały się czarne.

– Przecież odpoczywam, panie...

Powieki miała jak płatki anemonów – białe, z błękitnawymi żyłkami.

Alf tymczasem rzeczowo grzebał w sakwach.

– Żarcia już prawie nie mamy, panie – stwierdził ponuro. – Wszystkiego dwa suchary...

– Oddaj je Soreille – stwierdził Leon suchym głosem. – Ja nie jestem głodny.

Alf wydal z siebie niewyraźne chrząknięcie. Zapewne rycerski stosunek do dam nie mieścił się w jego systemie wartości.

– Pójdę, sprawdzę – oznajmił wreszcie. – Może coś tam zostało... Choć, szczerze mówiąc, nie bardzo bym na to liczył. Przed nami był tu ktoś jeszcze – ludzie, a może zwierzęta... Wszyscy się stąd wynoszą, każdy biegnie, gdzie go oczy poniosą, panie.

– W starych bajkach mówiono, że jeżeli rozgniewa się duchy ziemi, to one nasyłają zwierzęta na ludzkie siedliska – odezwała się Soreille, odwróciwszy się ku nim na chwilę. Odblask płomieni podkreślał łagodny zarys jej policzka i podbródka. – One zaś wychodzą z lasu, niszczą zapasy i mieszkańcy muszą porzucać swoje domy. My zawsze zostawialiśmy ofiary... Pierożki i wianki z kwiatów. One lubią wianki.

– I patrz, na co się zdały, te wasze wianki... – ponuro podsumował Alf. – Komu składaliście ofiary, poganie i odstępcy? Nieczystym siłom! Zapomnieliście o Dwójcy, zaniedbaliście oddawanie czci przeczystej Karnie. Jakże się tu nie rozgniewać?

– Ale...

– Przestańcie – wtrącił się Leon. – Nikt się na was nie pognie wał... To po prostu koniec świata.

„Boże wielki! – ofuknął sam siebie. – Co ja plotę!” Alf zerknął na niego z ukosa.

– Dziwne, że akurat wy to mówicie, panie – zauważył.

– A tak... – Leon westchnął ciężko. – Przesadzam, oczywiście. Po prostu czasami się trafiają ciężkie terminy. Trzeba je przetrzymać i wszystko. U nas też tak bywało.

– A teraz... nie? – zapytał Alf z napięciem w głosie.

– Teraz – nie. Każdy Terranin potrafi przeciwstawić się żywiołom.

– A tam na pewno ludzie mieszkają?

– A któżby inny?

– No...

Stojąca za plecami Alfa Soreille podniosła dłoń, zakrywając usta.

– Poszedłbyś ty lepiej i żarcia poszukał – rzucił ze złością Leon. Prawdę rzekłszy, rozżościł się bardziej na siebie samego niż na Alfa – niepotrzebnie dopuścił do rozwinięcia rozmowy w tym kierunku, przecież wiedział, że jego towarzysze są bardzo przesądni.

– Panie, wrzuciłam do wrzątku pachnące zioła.

Leon wzdrygnął się i otworzył oczy. Okazało się, że wystarczyło, by przysiadł – i zaraz przysnął. Alf gdzieś przepadł – co prawda, słychać było, jak się kokosi w piwniczce, którą penetrował w poszukiwaniu czegoś nadającego się do zjedzenia. Przed Leonem stała Soreille, trzymając w dłoniach czarukę, roztaczającą wonną parę.

– A tak – odezwał się. – Dziękuję.

Podsunęła w jego stronę leżące na stole suchary.

– Zjedzcie coś, panie, musicie się posilić; wyglądacie tak mizernie...

– A ty?

– Mnie się jakoś nie chce, panie...

– Posłuchaj, przecież ja rozumiem – stwierdził tonem pełnym poczucia winy. – Po tych wszystkich stratach. Sam się czasami dziwię – jak ty jeszcze możesz...

Spojrzała nań ze zdziwieniem:

– O jakich stratach mówicie, panie?

Poczuł się jak dziedziczny idiota. Berg setki razy mu powtarzał, że nie można robić porównań z Ziemianami, ponieważ tutejsi ludzie zupełnie inaczej odbierają rzeczywistość. Przywykli pewnie do strat, beznadziejnych wędrówek, uodpornili się na cierpienia – inaczej nie mogliby znieść ciężaru życia – ale żeby aż tak... Poczuł się głupio; jakby bez pożytku ubrudził ręce nieczystościami...

– Nie tęsknisz za dziećmiakami? – zapytał drwiąco i z niesmakiem.

– Ależ panie... – szare, ogromne oczy pojęły jego spojrzenie i nie chciały wypuścić – ja nigdy nie miałam dzieci. Czyżbyście nie pamiętali? Porwali mnie zbóje i uprowadzili z domu moich rodziców, a wyście mnie uratowali po zaciekłym boju i...

Zaschło mu w krtani.

– Soreille... zaczął ochryple.

Podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach.

– (esteście moim rycerzem... – wymamrotała.

„Nie – pomyślał – to niemożliwe... Wstrząs... amnezja po okropnych przeżyciach...”

Ona żyje teraz w jakimś wymyślnym świecie, w którym on, Leon, dokonał cudów waleczności, by ją uwolnić z łapsk wstrętnych i strasznych zbójów leśnych. To dlatego ona tak... Z czasem jej przejdzie. Spokój i poczucie bezpieczeństwa: oto, co jest jej potrzebne – spokój i bezpieczeństwo. Kiedyś wreszcie dotrą do Soleru!

Ale poczuł też ciężar na sercu. Uznał się za kogoś, kto korzysta z nienależnych mu łask i przywilejów.

Usłyszawszy niezbyt głośne chrząknięcie odwrócił się i zobaczył stojącego na progu Alfa.

– Wszystko obrali do czysta, panie – stwierdził chłopak różnym tonem – ale coś tam jednak znalazłem. Niechże pan popatrzy!

Dumnym gestem uniósł w górę dłoń. W rękę przechery miotła się głową w dół trzymana za nogi dorodna kura.

– Nie mam pojęcia, jak się uchowała. Może zapomnieli o niej w pośpiechu, albo nie mieli czasu jej łapać... – wcisnęła się pod strzechę. Pomożecie ją zarznąć, panie?

Leon niechętnie pokręcił głową.

– Ja pomogę.

Soreille narzuciła na ramiona schnącą przy palenisku opończę i wymknęła się za Altem na podwórze.

„Czemuż ja się czepiam? – pomyślał Leon starając się stłumić ogarniającą go falę rozdrażnienia. – Dla nich to zwykła sprawa. Zaraz ją wypatroszą, podziela... Boże, jak osobliwie oni się odżywiają. Nic dziwnego, że cudze życie nie ma tu żadnej ceny, jeżeli nieustannie muszą zabijać żywe istoty, żeby się najeść do syta. – Ogarnęła go nagła niechęć do własnego organizmu, kiedy odkrył, że myśl o wypatroszonej kurze budzi w nim nie odrazę, lecz głód. – I my sami niezbyt daleko od nich odeszliśmy – co by z nas zostało, gdyby ktoś pozbawił nas technologii, biologicznych kadzi i kultur mięsnych tkanek? Solerczycy? Czy może coś jeszcze gorszego?”

Przygotowany przez Soreille rosół z kury pochłonął z bezwstydnym zapalem.

– Wiesz, dokąd powinniśmy teraz iść? – zapytał Alfa, który się dzał przy palenisku

palcem oczyszczał swoją miskę z resztek rosółu.

Ten kiwnął głową.

– Trochę nas zniosło na północ – powiedział – ale trudno tu zabłądzić. Wszystkie drogi wiodą do Soleru.

– Jak długo to potrwa?

– Konno jechalibyśmy ze dwa dni. A pieszo zajmie z pięć, Jeżeli uda nam się przeżyć.

Leon podjął decyzję.

– Więc jutro ruszamy w drogę. Dziś odpoczniemy. Nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja, żeby się dobrze wyspać.

Popatrzył na Soreille, która sprawnie i cicho zebrała naczynia ze stołu i teraz siedziała przy ogniu, objawszy w zadumie kolana. Oświetlały ją płomienie – róże, śnieg i mgła nad jeziorem. Boże, jaka ona piękna... Ale to osobliwe pomieszanie zmysłów... Przecież chyba nie...

– Pójdę do szopy – odezwał się Alf sennym głosem.

– Nie – sprzeciwił się pospiesznie Leon – nie... nie trzeba... Wiesz, tam jest bardzo mokro...

Wierząc się na szorstkim pościeliu – rzuconej byle jak w kącie i pełnej robactwa wiązce siana – nijak nie mógł zasnąć, i wcale nie dlatego, że w boki bez przerwy kłuły go ostre, kruche źdźbła trawy. „Ona jest szalona – myślał. – Mój Boże, jakże mogłem tego nie dostrzec...” Straciła rozum tam, wewnątrz góry, albo jeszcze wcześniej, kiedy te łotry poszczyły ją psami. On sam zaś uwierzył i poddał jej namowom, dlatego, że szaleństwo jest zaraźliwe. Szkoda tylko, że ludzie nie są skłonni w tym samym stopniu ulegać argumentom rozumu! I to on, badacz, który miał za sobą kurs etno-, paleo – i psychopatologii nie rozpoznał tego szaleństwa... zachował się, jakby Soreille była zwykłą, równą mu i mającą swobodę wyboru dziewczyną.

Poczuł wstyd.

Wyciągnięta na twardej ławie Soreille spała bezgłośnie – w mroku widać było tylko jej białe, złożone na pościeli ręce. Piękna, wytrzymała, ufna, pokorna – ideał marzyciela zepsutego przez cywilizację... Nieosiągalna i prawie nierzeczywista...

W pewnej chwili do jego świadomości dotarł cichy szelest – niosący się skądś z góry, chyba ze stryszku.

Podniósłszy się na łokciu nasłuchiwał przez chwilę.

Mysz? Za głośno jak na małe zwierzątko.

Na górze coś spadło i potoczyło się po podłodze.

– Alf – odezwał się cicho.

– Słyszę, panie – młodzieniec, który położył się na noc w sieni, stał już na progu.

– Tam ktoś jest.

– Lepiej tam nie zaglądamy – stwierdził chłopak stanowczo. – A w ogóle to ja bym radził stąd wiać. Nigdy nic nie wiadomo... I-epiej wziąć nogi za pas.

Zza zbitych z bierwion ścian dochodził górujący nad szumem rzeki łoskot deszczu. Ociężale od wilgoci gałęzie szurały po dachu, niczym wielkie pędzle malarzy – olbrzymów.

I znów – szelest, a potem ledwo słyszalny jęk.

– Zaglądałeś na stryszek? – zapyta! Alfa.

– Nie – zdziwił się zagadnięty – a po co?

– Zapal mi kaganek.

– Panie, może lepiej nie...

– Powiedziałem – sarknął Leon nie bez złości w głosie. – Jak się boisz, zostań tutaj...

– Może to złodzieje – sprzeciwił się Alf gorącym szeptem.

– A może w ogóle nie ludzie...

Leon jednak już się piął po wiodącej na górę z sieni drabinie, ostrożnie macając stopami każdy szczebel.

Na stryszku – musiał pochylić głowę, żeby nie walnąć ciemieniem o dach – czuć było wilgoć i nieprzyjemną woń ludzkich odchodów. Z dusznego półmroku dobiegi cichy jęk.

Ostrożnie ruszył w głąb. Nikłe światło kaganka wyłowiło z ciemności maleńkie okienko pod niskim daszkiem, spod którego na brudną podłogę z popękanych desek naciekały strugi wody. Na stryszku leżały rozmaite, rozrzucone bezładnie manele, a w kącie zobaczył coś, co w pierwszej chwili wziął za stertę szmat.

Pojękująca na swoim mokrym Jegowisku starucha mało już przypominała człowieka – wyglądała raczej na mumię, albo sterczącą w ogrodzie kukłę. Ujawszy ją za nadgarstek Leon prawie nie wyczuł pulsu, tylko kruche kości tuż pod naciągniętą do niemożliwości skórą.

– Do diabła! – skrzywił się gniewnie, wściekły na własną niemoc.

– Alf, budź Soreille, każ jej przynieść tu trochę rosołu – jeżeli coś tam jeszcze zostało. I niech weźmie ze sobą ciepłej wody.

– Panie, la starucha i tak już długo nie pociągnie... – stwierdził Alf tonem doświadczonego człowieka.

– Nikt cię nie pyta o zdanie. Rób, co powiedziałem!

Alf lekko zsunął się po szczeblach w dół. Leon nadal siedział w kucki. Powieki

starsuszki drgnęły, jakby leżąca poczuła wzrok obcego. Z półmroku spojrzały na Leona oczy pokryte mleczną mgiełką.

– Wszystko będzie dobrze, pani – zapewnił ją. – Zatrószymy się o was.

Sam zaś pomyślał: „Ciekawe, jak? Dobrze by było, do licha, żeby ktoś się zatroszczył o nas”.

Z zapadniętych warg wydobył się słaby szmer, Leon się nachylił i usłyszał:

– Dokąd...

– Dokąd co?

– Dokąd wszyscy odeszli?

– Chciałem was zapytać o to samo.

Ze złością na samego siebie odkrył w głosie nutki wrywającego się na zewnątrz rozdrażnienia – pierwotnej reakcji zdrowego człowieka, który natknął się na nieprzyjemną przeszkodę – więc łagodniejszym tonem dodał:

– lestem tu obcy. Niczego nie wiem.

– Słyszałam płacz – starsuszka skrzywiła się smutno – szum... potem wszystko ucichło. Zostawili mnie...

– To... nic... – odpowiedział z pewnym wstydem. – My was nie zostawimy.

Wyszło, że trzeba będzie taszczyć ją do Soleru. Piękna perspektywa.

– Dobry... z ciebie chłopak – odpowiedziała starsuszka szeptem.

– Nie trap się to już... niedługo...

Pozostał przy niej, czekając na Soreille. „Kobiety lepiej potrafią radzić sobie w takich sytuacjach” – pomyślał.

– Musisz... – z trudem chwycił jej słowa, przebijające się przez szum deszczu. – Musisz... się pilnować. Oni się kręcą gdzieś tu... nie daleko.

Jej dłoń zaczęła lekko drżeć, a wokół oczu pojawiły się czarne cienie.

– Jacy – oni?

– No... ci... Ty ich nie widzisz?

– Wydaje ci się... – powiedział.

Boże, żeby ten Alf wrócił jak najszybciej. W tym upiornym bełkocie było coś odrażającego.

– Ona zaraz tu będzie, panie – odezwał się Alf zza jego pleców.

– Grzeje wodę. Czy ta babka powiedziała choć coś, co może nam się przydać?

Leon pokręcił przecząco głową.

– Bredzi – stwierdził. – Chyba ma gorączkę.

– Guntr mówił, że na gorączkę dobry jest biały korzeń – stwierdził Alf tonem znawcy. – Tylko gdzie go teraz znaleźć... Wszystko zalane.

– Guntr – zaszeleściło z posłania – kiedyś go znałam. Silny i piękny był ten Guntr.

– Znaczy, znałaś babciu innego Guntra – orzekł Alf. – Ten o którym mówię, był stary, stareńki...

– Kiedyś, dawno... Wtedy jeszcze świeciło słońce i rozpalało młodą krew w moich żyłach. On także umiał patrzeć... pod powierzchnię tego świata... – powietrze ze świstem uszło z jej piersi i nagle starucha się spięła. – Tam ktoś jeszcze jest?

Na progu stanęła Soreille z miseczką zupy w dłoniach. Leon się odsunął, zrobił miejsce, dziewczyna zaś opadła na kolana i podniosła brzeg miski do bezzębnych warg starej kobiety. Ta w pierwszej chwili jakby się zachnęła, ale potem się uspokoiła i przełknęła kilka łyków.

– No i jak? – zapytał cichutko Leon.

Soreille spojrzała mu w oczy i milcząco pokręciła głową.

– Przyniosę miskę z ciepłą wodą – zaproponowała szeptem. – Trochę ją obetrę...

Leon odprowadził wzrokiem smukłą dziewczęcą sylwetkę, a potem ponownie spojrzał na kupkę kości leżącą na słomianej ściółce. Staruszka marszczyła czoło, jakby chciała coś powiedzieć. Musiał się nad nią nachylić, żeby usłyszeć:

– Ta dziewczyna... kto ona?

– Zwykła... dziewczyna. Wędruje z nami. Pomarszczone wargi wygięły się w dziwnym uśmiešku.

– A tobie się wydaje, że ją kochasz, prawda, chłopcze?

– Nie twoja sprawa – stwierdził zimno Leon.

– Ty... ostrożnie z nią... Znam takie, jak ona. Rodzą się z nocy i wysysają z mężczyzn ich siłę. Chodzą pośród żywych i śpią w mar szu.

„Znów bredzi” – pomyślał z niechęcią. W tym żyjącym szkielecie było coś jednocześnie godnego litości i odpychającego.

Za jego plecami znów bezgłośnie pojawiła się Soreille.

– Odejdźcie, panie – poprosiła niegłośnie. – Ja ją umyję.

Wstał nie bez ulgi i tak samo ostrożnie, jak przedtem, macając stopami każdy szczebel, zsunął się na ganek – po stęchłej woni stryszku przesycone wilgocią powietrze pachniało niespodziewanie świeżo.

– Mrok i ogień – staruszka na górze odezwała się niespodziewa nie wyraźnie. – Idź precz...

Zaraz potem rozległ się uspokajający szept Soreille.

Od ściany oderwał się Alf – okazało się, że młodzik sterczał na ganku i z ponurą miną spoglądał na coraz bardziej rozjaśniające się niebo.

– Panie, wy zamierzacie taszczyć ze sobą tę staruchę? – zapytał.

– Sami ledwo się wlecemy, a tu proszę, jeszcze i ta...

– Przecież jej tu nie zostawimy – westchnął Leon. – Może zrobimy jej jakieś nosze?

– (akie tam nosze? Ona lada moment nogi wyciągnie. – Sługa popatrzył na Leona spojrzeniem wyrażającym absolutny brak zrozumienia. – Na co nam ona? Tym bardziej, że ta babunia, to z pewnością wiedźma. Dlatego właśnie ją zostawili. Bali się wlec ją ze sobą.

– Ty w to wierzysz?

– A czemuż by nie? Wiedźmy już takie są...

– Stare i nieszczęśliwe?

– Iakie chciecie...

Na ganku bezgłośnie zjawiała się Soreille. Twarz miała pełną niepokoju, na gładkim czole pomiędzy brwiami rysowała się maleńka zmarszczka.

– Panie – odezwała się niepewnym głosem. – Może byście ją obejrżeli... Obmywałam ją, a ona nagle jakby zeszywniała... i wywróciła oczy.

Skoczył za nią w mrok. Staruszka leżała na swoim pościu – sflaczała, niby szmaciana kukielka. Znów ujął kruchy nadgarstek – pulsu nie było, nieruchome bielma patrzyły w mrok.

– Chyba już koniec – stwierdził, czując jednocześnie wstyd i ulgę.

– Umarła.

– I chwala Dwójcy, że umarła, panie – zakonkludował Alf, który doskonale posiadał wygodną dla niego, ale nużącą dla innych, umięjętność niespodziewanego pojawiania się w nieodpowiednim miejscu i czasie. – Jesteście człowiekiem wrażliwym, ale zmiłujcie się, panie, jakbyśmy ją ze sobą zabrali? Jak czy inaczej, nie wytrzymałaby drogi. Ej, a cóż tam się dzieje?

Leon nastawił ucha – zapewne wcześniej zwróciłby uwagę na narastający z oddali łomot, gdyby podświadomość usłuźnie nie podsunęła mu skojarzenia z szumem poduszkowca, tak zwyczajnym na Ziemi i tak nieodpowiednim na tym świecie. – Chyba gdzieś tamę przerwało – pierwszy domyślił się Alf. Młodzik musiał już podnieść głos, żeby przekrzyczeć huk przyboju. – Albo przelało się jakieś jezioro w górach. Ale nie stójcież, tak, panie!

Chwyciwszy Leona za rękę popchnął go ku drabinie.

– Dokąd? – zdążył jeszcze wymamrotać Leon.

– Do piwnicy. A gdzieżby?

Nie wiadomo dlaczego Soreille biegła już przed nimi – jej bura, sukieneczyna mimo wszystko była jaśniejsza od otaczającego mroku. Dom trząsł się i dygotał jak konający jaszczur.

Pierścień był mocno wpasowany w drewnianą pokrywę. Szarpnął go ku sobie, aż jęknęły mu mięśnie. Zaraz potem zorientował się, że kłapa jest zamknięta na rygiel, nogą pchnął zasuwę i ponownie szarpnął za pierścień... Otworzyła się czarna dziura wiodąca do piwnicy, Nie było już czasu na szukanie świecy czy ogarka. Runęli po drabinie w dół. Alf, zbiegając jako ostatni, zatrzęsął kłapę i wtedy ze wszystkich stron oblepił ich mrok.

Nad nimi coś trzęsło się i ryczało, jakby jakiś potworny olbrzym usiłował dobrać się do zdobyczy ukrytej w piwnicy. Potężne bierwiona, z których zbudowano ściany, gięły się, niczym żebra przy oddechu, jednak Leon nie słyszał, jak pękają, ponieważ w ogóle niczego nie słyszał – ogłuchł. I nie od razu zrozumiał, że wszystko się skończyło.

Wodny wał rozniósł nadziemne budowle i potoczył się dalej, ku burym, pokrytymi gnijącą roślinnością polom. Na podłodze posypanej piaskiem pluskała woda, ale nie było jej za wiele – ledwie po kostki. Oddychać było coraz trudniej – z wysiłkiem zaczerpnął w piersi nieświeżego powietrza i wycharczał:

– Wszyscy żyją?

– Chyba tak – odpowiedział Alf niepewnym głosem. – Naprawdę przeszło?

– Tak. – Leon pokręcił głową. W uszach mu dzwoniło, ale był to chyba tylko efekt szybkiej zmiany ciśnienia. – Trzeba stąd uciekać, zanim się podusimy. Soreille, co z tobą?

– Nic, panie – usłyszał martwy głos. – Nie boję się.

Wstał, syknął z bólu uderzywszy głową w niskie sklepienie i po omacku odnalazł drabinę. Kłapa była zamknięta na głucho – napał na nią barkiem, ale nawet nie drgnęła.

– Alf! – zawołał. – Dawaj tu! Zawaliło nas!

Nie widział, kiedy Alf podszedł bliżej i wparł się obok niego w kłapę – usłyszał tylko przyspieszony oddech chłopaka. W końcu udało im się uchylić kłapę, którą z drugiej strony przygniotła chyba jakaś belka... W szczelinę wpadło niezbyt jaskrawe światło i Leon poczuł na policzku nikły podmuch czystego powietrza. Kłapa ustąpiła na dłoń, nie więcej – ale od razu poczuli, że lepiej się oddycha.

– Trzymajcie, panie – coś dotknęło jego ręki.

Było to stylisko łopaty, którą z dołu podawała mu Soreille. Z trudem wsunął okrągły trzpień w szczelinę – co przynajmniej nie pozwoliło na ponowne zamknięcie kłapy – i ze wszystkich sił pociągnął za lemiesz. Szpara nieco się poszerzyła.

– Przeciśniesz się? – sapnął odwracając się do Alfa.

– A ja co, jaszczurka jestem? – zirytował się Alf, ale mimo wszystko podjął próbę przeczołgania się przez otwór.

Soreille spróbowała pomóc – całym niezbyt wielkim ciężarem uwiesiła się na dźwigni w tej samej chwili, w której Leon zaczął podejrzewać, że wspólnym wysiłkiem załatwią Alfa, rozgniatając mu kręgi szyjne. Jednak młodzik nagle zwinął się niczym węgorz i prześlizgnął przez szczelinę. Po chwili rozległ się łoskot i szuranie. Kłapa opadła w dół, ale zaraz potem otworzyła się, tym razem szerzej – i na tle nieba pokazała się głowa Alfa.

– Wszystko w porządku, panie! – stwierdził chłopak radośnie. – Tylko trochę nas przysypało.

Wydostawszy się na zewnątrz Leon stanął pomiędzy porzrzuconymi belkami, z których jedna niedawno przygniatała kłapę. Potem pomógł wyjść Soreille i rozejrzał się dookoła. Wokół rozciągała się pusta, zalana wodą przestrzeń. Młyn znikł – cały spłacheć ziemi osunął się do wody i zamienił rzekę w staw. Mętna woda pienila się i bulgotała, próbując przepłynąć ponad tamą.

– Dziwna jej się trafiła mogiła – stwierdził Leon z zadumą, po myślawszy o staruszce.

– Nie gorsza od innych – odpowiedział filozoficznie Alf. Soreille nagle chwyciła posła za rękę szczupłymi, chłodnymi palcami.

– Coś ty? – zdziwił się.

I wtedy usłyszał, że za jego plecami ktoś delikatnie chrząknął.

Stali nad brzegiem wody – szarzy jak cienie... Jeszcze kilka tygodni temu byli chyba niezbyt zamożnymi, ale całkowicie zadowolonymi ze swego losu wieśniakami. Teraz każdy miejski żebrak w porównaniu z nimi wydawał się bogaczem. Poszarpane łachmany, zawoje i szmaty... i zardzewiałe, powyginane widły, zupełnie jednoznacznie wymierzone w Leona.

– Oto i oni – stwierdził jeden z nowoprzybyłych.

Od tłumu oderwało się jeszcze dwóch i podeszło ku nim, osobliwie się pochylając w unizonych ukłonach. Leon pojął nagle, że ci ludzie się boją, boją się tak, że chyba ich mdli ze strachu – ale idą. Widły i zastrzone kołki trzęsły im się w dłoniach i wcale nie dlatego, że ich właściciele musieli brnąć przez błocko, jakie zostawił po sobie przetaczający się wał powodzi.

– Wyszli spod ziemi – idący na czele tej dziwnej kompanii podniósł wychudłą rękę – jak to przepowiedziano.

– Mylicie się... To nie tak – opamiętał się wreszcie Leon. – Jesteśmy tylko zbłąkanymi wędrowcami. Bierzecie nas za kogoś innego.

– Nie – surowym głosem stwierdził strach na wróble, kręcąc przecząco głową.

Ali spróbował chyłkiem odsunąć się w bok, ale natychmiast wparły mu się w pierś

zardzewiałe wicły.

Psiakrew, skąd oni mają taki nadmiar przekłętą żelastwa?

Podeszło jeszcze jedno straszdyło, trzymające w dłoniach kawał konopnego sznura – grubego i szorstkiego, ale nawet na oko solidnego.

– Bardzo prosimy – przemówiło straszdyło zaskakująco błagał nym głosem. – Nie gniewajcie się na nas. Nie zrobicie nam niczego złego, prawda?

– Zrobimy – Alf wyszczerzył zęby ku pytającemu i ten odsunął się o krok, ale zaraz z męstwem kogoś skazanego na śmierć, ponownie wparł chłopakowi widły w pierś.

– Niczego nie zrobią – uspokoił napastników ktoś stojący za plecami Leona. – Obsypaliśmy ich norę kręgiem ziemi... okadziliśmy świętym dymem... Wiążcie ich. A jak się będą stawiać, osinowym kołkiem...

„Tego już za wiele” – pomyślał Leon.

– Pannę niech oddadzą – odezwał się czyjś młodszy nieco głos. – Po co im dziewczyna?

– A pewnie – wtrącił szybko Alf. – To córka bogatego lennego pana... W Solerze dadzą za nią bogaty wykup.

Żywy pierścień się rozstąpił i zrobiono przejście dla Soreille. Dziewczyna zrobiła kilka niepewnych kroków, obejrzała się i stanęła z boku. Nikt do niej nie spróbował nawet podejść. „Dzięki i za to – pomyślał Leon, czujcie jak sznur wrzyna mu się w nadgarstki. – Znowu wiążą – pomyślał ponuro. – Boże, kiedy to się skończy? Przecież ci tutaj to nie zbóje... Wyraźnie widać... Co ich napadło?”

– Nie mamy niczego – odezwał się dokładając starań, żeby jego głos brzmiał łagodnie i przekonująco. – Tylko to, co na sobie...

– A my niczego od was nie potrzebujemy – stwierdził surowym głosem obszarpaniec, który bohatercko trzymał przystawione do jego piersi widły. – Od takich jak wy nigdy nic nie bierzemy.

– To puście nas i idźcie swoją drogą – odparł Leon z równą surowością w głosie.

– Nie wcześniej, aż zrobicie swoje – w głosie mówiącego brzmiał prawie niczym nie zamaskowany strach, ale starał się mówić tak twardo, jak poseł.

– A co mamy zrobić? – Leon zerknął z ukosa na Alfa, który tylko zagryzł wargi.

– Możecie grozić, ile chcecie – rozkręcał się stopniowo ich nowy znajomy – choćby utratą duszy... Ale my już nie mamy niczego do stracenia. Czy to zresztą dla was trudne?

– No to mówcie do rzeczy... Czego chcecie? – Leon zaczynał się już gubić.

– Chcemy... – mówiący był coraz bardziej nieśmielony; Leon spostrzegł, że tamtego nieśmielała nie własna odwaga, a fakt, iż w ogóle zdecydował się na wyrażenie jakiegokolwiek prośby. – Błagamy... najpokorniej, z ogromnym szacunkiem prosimy –

zatrzymajcie powódź.

Leon otworzył usta, ale nic nie powiedział i ponownie je zamknął.

– On myśli, że jesteśmy tymi, których nazwy się nie wymawia, panie – podsunął mu uprzejmie Alf.

– Korrowie? – Leon wytrzeszczył oczy na mówiącego. Powiedział to chyba głośniej, niż należało. Tłum wynędzniałych oberwańców zaszemrał cicho, a potem wszyscy zaczęli padać na kolana, niczym kłosa pod sierpem żęncy.

– Nic nie rozumiem – Leon odwrócił głowę. Nie przyszło mu to łatwo, bo przeszkadzał mu szorstki i mokry słupek, do którego go przywiązano, jak muchę oplecioną w kokon przez pająka. – Czemu wzięli nas za korrow? Przecież pamiętam, że te stwory wedle słuchów i gadek, zupełnie nie przypominają ludzi...

– No... – Alf, który stał obok przykrępowany do identycznego słupa, potarł nos o ramię. – W ogóle to tak. Rzeczywiście nie są podobne. Ale z drugiej strony potrafią przybrać dowolny wygląd, wedle woli. Nie dlatego noszą swoją powierzchowność, że nie mogą jej zmienić na inną. Po prostu ona im się podoba i tyle. Pewnie uważają, że są piękne...

– Ale czemu akurat my?

– Wyleźliśmy spod ziemi po powodzi. One zawsze tak... Niby szczury, panie. To i nas chcą przycisnąć... Po dobroci nie zechcą, to niech sami nałykają się wody, którą na ludzi napuścili.

Leon spróbował jeszcze mocniej wykręcić szyję. Chłopi stali nieopodal na wzgórzu i patrzyli na nich uważnie z mieszaniną szacunku, nienawiści i strachu na twarzach.

– Ale jak oni nas znaleźli? Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy?

– Nikt inny, panie, tylko starucha ich na nas naprowadziła.

– Starucha? Ależ ona jest martwa!

– A jaka różnica, panie, martwa czy żywa? Wiedźma to wiedźma, żeby je wszystkie mór wytracił!

Woda wciąż przybierała. Początkowo sięgała Leonowi do kostek, teraz już zalewała kolana. Jakiś śliski, gładki stwór otarł mu się o łydkę i przepadł w nurcie... Leon targnął się z obrzydzeniem, ale sznury trzymały mocno. Solidne, niezawodne konopne liny...

– Puście nas wreszcie! – zawołał z rozpaczą. – Nie jesteśmy kor-rami! Jesteśmy ludźmi margrafa!

– Akurat na nich wyglądacie! – stwierdził ponuro ktoś z głębi tłumu.

– Mój panie ambasadorze, niepotrzebnie ich nazywacie po imieniu – stwierdził Alf

filozoficznie. – Nikt nie nazywa ich wprost.

Po coraz szerzej rozlewającej się wodzie przepłynęła mętna fala, objęła więźniów po pas i już się nie cofnęła.

– Nie chcieliście po dobroci? – zapytał z drwiną w głosie starszawy kmieć. – Przecież wszystko jest w waszej mocy. Każcie wodzie odpłynąć.

I dodał już innym, błagalnym tonem:

– No, co was to kosztuje? Wolicie się potopić?

– Oni się nie potopiają – stwierdził drugi beznadziejnie. – W ryby się pozmieniąją i odpłyną. Co to dla nich...

– To się jeszcze zobaczy...

Soreille, którą dwóch wieśniaków trzymało za łokcie, targnęła się nagle i spróbowała wyrwać.

– Ale zauroczyli dziewczkę! – współczująco stwierdził starszawy.

– A tak, oni to potrafią... Zobaczcie, jak się do niego rwie – tylko patrzeć, jak z sukienki wyskoczy!

– Leon!!!

„To nic – pomyślał poseł w nieoczekiwanym przyplywie cynizmu. – Przeżyje... Nieźle jej to nawet wychodzi – o swojej rodzinie zapomniała, to i o mnie zapomni...”

– Paskudne są tu pijawki – stwierdził ponuro Alf. – Do zachodu jak nic krew z nas wyssa.

– Nie bój się – pocieszył go Leon. – Wcześniej się potopimy.

– Ale się wgrzyzła, cholera. Wstyd rzec, gdzie...

Leon spróbował ustawić się inaczej. Co prawda, nie miał zbyt wielkich możliwości wyboru – teraz już musiał unosić głowę, żeby mętna, brudna woda nie zalała mu ust.

– Bezbożnicy! – zaryczał ostatkiem sił. – Odstępcy! Komu cześć oddajecie? Kary z niebios wam się zachciało?

– No proszę, ale się drze – w głosie młodszego zabrzmiał niemal zachwyty.

– Nic z tego nie będzie, panie – stwierdził smętnie Alf.

Leon gdyby mógł, wzruszyłby ramionami. „Trzeba by coś rzec temu Altowi – pomyślał. – Opowiedzieć mu o Ziemi. Jak jest naprawdę...” Chociaż, jaka to różnica? I tak umrą razem.

Zmrużył powieki, usiłując ochronić oczy i dlatego nie spostrzegł, że na wzgórzu coś się zmieniło. Bure szmaty deptały kopyta ubłoconych koni, a ocaleli kmiotkowie rozbiegli się na wszystkie strony poganiani uderzeniami batów jak stado spłoszonych przez jastrzębia wróbli. Soreille, której wreszcie udało się wyrwać z rąk trzymających ją drabów, rzuciła się ku jakiemuś jeźdźcowi i chwyciła wodze jego konia...

Któryś z jeźdźców wparł wierzchowca w wodę – ciemna masa wyrosła przed Leonem, który zamknawszy usta rozpaczliwie starał się unieść twarz, żeby nozdrzy nie zalała mu fala wody uniesionej szeroką końską pierśią.

Sznury nieoczekiwanie pękły i odpłynęły z prądem, wijąc się niczym wodne węże. Leon jak korek wyskoczył na powierzchnię.

– Łapcie strzemie – odezwał się ktoś z góry.

Zamknawszy palce na zimnym metalu rozejrzał się dookoła i zobaczył płynącego tuż obok Alfa.

– Znów nam się udało! – parsknął sługa, wypluwając wodę.

– A jakże, udało ci się, skurczybyku! – rozległ się kpiący głos z góry. – Dziękuj Dwójcy, że ambasador żyje – inaczej osobiście bym cię obdarł ze skóry! Panie ambasadorze, szukam was już drugą dobę...

Koń wy dostał się na twardy grunt i trochę się ślizgając, ruszył po stoku wzgórza ku szczytowi. Leon puścił strzemie i padł płasko w błoto. Leżeć było bardzo przyjemnie.

– Podnieście go – rozkazał Warren. – Rozpalcie ogień i dajcie mu coś ciepłego do jedzenia. I zagońcie do wody tę hołotę – ryby też w końcu muszą coś zjeść.

– I nic? – zapytał Berg, który zdążył już stracić nadzieję.

– Nic – Margraf pokręcił przecząco głową. – Bardzo mi przykro, panie ambasadorze...

– Być może, gdyby wysłać jeszcze kilka oddziałów...

– Soler nie jest taki wielki. Jeżeli waszego przyjaciela nie znaleziono do tej pory, znaczy, że przepadł... A zresztą, panie ambasadorze, moi ludzie są mi potrzebni tutaj...

– Terra... – Berg postarał się ukryć brzmiające w jego głosie rozdrażnienie – Terra się odwdzięczy...

– A w jaki sposób się wyrazi ta wdzięczność? – zapytał uprzejmie margraf.

Berg nie odpowiedział.

– Mój panie ambasadorze, sądząc ze wszelkich oznak, Terra jest za daleko. W przeciwnym razie posiałibyście tam po pomoc. Albo przysłałiby wam innego pomocnika – co sam bym zrobił na ich miej scu. Zechce pan wybaczyć...

W drzwiach rozległ się jakiś gwar. Stał w nich nieco zaaferowany gwardzista i wyprężył się bez słowa, widać jednak było, że gotów jest do natychmiastowego przekazania cisnących mu się na usta wieści.

– No, co tam? – zwrócić się doń margraf, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Wasza miłość! Wrócił oddział messer Warrena – znaleźli ambasadora Leona!

– Żyje? – szybko zapytał margraf.

– Zdrow jak rydz! Trochę tylko sponiewierany...

– Panie... Zechce pan wybaczyć... – Berg skłonił się skąpo margrafowi, odwrócił się i nie czekając, aż jego dostojność da znak zakończenia audiencji, wybiegł z sali.

– Mocno ucierpiał? – zapytał margraf za jego plecami.

– A ja już myślałem, żeś zginął w tej przeklętej jamie! – Berg wy glądał wprost obrzydliwie schludnie. – Dureń jestem, bo ci pozwoliłem na tę awanturę... Szlag by cię trafił! Czemu nie nawiązałeś łączności?

– Straciłem nadajnik – stwierdził Leon ze znużeniem w głosie. Zerwawszy z siebie śmierdzące szmaty pochylił się nad misą cie płej wody.

– No, przynajmniej jesteś cały i zdrowy – gderał Berg.

– Owszem – przyznał Leon, wycierając się szorstkim ręcznikiem.

– A wiesz, ten mały łobuz też się zmył?

– Owszem. To był przejaw nieposkromionej żądy przygód. Ale się nie zmył – tylko ruszył za mną.

– A teraz?

– Siedzi w czeladnej i opowiada o swoich bohaterskich wyczynach.

– Wiesz, cieszę się, że ty... – przyznał niechętnie Berg. – Rozumiesz, tu się wyrabiają takie rzeczy...

– A co tu jest do rozumienia? – Leon wdział koszulę z delikatnego płótna, przysunął fotel do ognia i z rozkoszą zamknął oczy. – Koniec świata, i tyle.

– Faktycznie. Wszyscy powariowali.

– To już – stwierdził obojętnie Leon – zdążyłem zauważyć.

– Teraz zaczynam się dziwić, jak w ogóle tu dotarłeś – przyznał Berg. – Kiedy się rozstawaliśmy, droga wydawała się dość bezpieczna...

– Teraz nie jest bezpieczna, o ile w ogóle istnieje – zauważył Leon. – Dobra, wszystko przesłuchasz, nagram raport na fonie. W mój uderzył piorun, dasz wiarę? Opowiedz lepiej, co się tutaj wyrabia.

Też paskudnie – Berg przeszedł się po komnacie. Niezwykła u niego aktywność ruchowa wskazywała na ukryte wzburzenie. – Zamek Worland praktycznie został kompletnie zniszczony. Jedni świadkowie utrzymują, że spopielił go ogień z niebios, inni w ogóle bredzą o jakimś płomienistym młocie. Sam wiesz, jak tutejsi potrafią koloryzować przy opisie jakiegokolwiek, wychodzącego poza codzienność wydarzenia. Ogólnie rzecz ujmując, nie ma już Worlandu. Jeżeli nie brać pod uwagę lorda Ansarda z jego drużyną i ocalałego chłopstwa, którzy – co zrozumiałe – napłynęli tutaj; Murcjan

nie liczę, bo jest ich zaledwie garstka, ale Worlandczyków zbierze się sporo... są jeszcze ludzie Ansarda – większość to młodzi, krzepcy mężczyźni. Rozumiesz, lord zawsze miał słabość do wojska. Margraf ich przyjął, co w końcu nie jest zaskakujące – jakże nie przyjąć krewniaka z jego wasalami, może zresztą udałoby się ich jakoś urządzić, ale jak na złość, rozpętały się te żywiołowe ulewę.

– Rozdarły się zasłony niebios? – podpowiedział Leon.

Berg kiwnął głową.

– Poziom opadów podczas niecałych dwóch tygodni osiągnął poziom, jak w czasie deszczów padających przez trzy miesiące. Po równałem to z raportami meteorologów Pierwszej Kompleksowej.

I nie wygląda, żeby deszcze miały ustać – sam widzisz.

Leon zerknął w okno – pejzaż wyglądał jak przesłonięty mętną, szklaną szybą.

– Najwyższy czas rozpocząć prace w polu, a przecież nie ma sensu się do nich zabierać – wszystko przepadnie. Nie ma co liczyć na plony. I jeszcze ta plaga myszy...

– Co?

– W całej marchii. Akurat widziałem, jak wybiegały z piwnic – co tam wybiegały, wylewały się! Jak żywy dywan! Wszyscy mieszkańcy okolicznych wsi, wszyscy poczciwi poddani jego wysokości, rzucili się do miasta, pod ochronę murów twierdzy. Diabli wiedzą, ilu ich tutaj jest. Należy się spodziewać epidemii cholery albo i czegoś gorszego.

– Na wszelki wypadek się zaszczepię – stwierdził Leon.

– Ile ampulek nam zostało?

– Wystarczy dla mnie i dla ciebie. Wstrzyknę też Alfowi, choć nie mam pojęcia, jak to zniesie. Ale warto zaryzykować – chłopak uratował mi życie.

– Tak – mruknął Berg. – A propos ratunku... Przypuszczam, że powinniśmy podziękować lordowi Ansardowi. To jego zasługa – mam na myśli wasze ocalenie. Wysłał na poszukiwania swoją drużynę.

– Ansard? – Leona zdziwił niezwykle przyływ współczucia U zupełnie nieznanego mu człowieka. – A czemuż to? Do czego jesteśmy mu potrzebni? Rozumiałbym jeszcze, gdyby to był margraf...

– (ego wysokość sprzyja nam tak samo, jak my jemu. Owszem, usiłował coś zrobić – na pozór... I nawet nie bardzo się krył z tymi pozorami. Ponadto dał mi do zrozumienia, że w zasadzie jestem w areszcie domowym.

– Jak to, w areszcie?

– Soler mocno ucierpiał. My teraz jesteśmy jego atutową kartą w rozgrywce z Retrą i margraf nie wie, czy nas przekupić, czy raczej postraszyć... Albo załatwić po cichu,

żeby innych nie kusiło. W Retrze zresztą myślą podobnie – na przyjęciach nie mogę się odczepić od posła Hrmolda.

– Retra?

– Istnieje możliwość, że w takich okolicznościach Retra zechce rozszerzyć swoje granice. Zauważ, że nie będzie rozlewu krwi. Jeszcze trochę i Solerczycy sami zaczną się wypychać pod władzę Orsona. Kto karmi, ten jest panem. A tu jeszcze my... i nie wiadomo, co z nami zrobić. Oj, Leonie, nie w porę to wszystko, nie w porę...

– Owszem – zgodził się Leon. – Nie w porę. Posłuchaj, jak się obecnie układa pomiędzy tobą, a lady Hersendą?

– Co znaczy, jak się układa? – zdziwił się Berg.

– No, czy możesz poprosić o to, żeby cię przyjęła? Chciałbym umieścić Soreille wśród jej dworek... Przecież trzeba coś z nią zrobić. Chyba, że odprawimy ją do kuchni?

– A! – przypomniał sobie Berg. – To ta dziewczyna? A ja myślałem, że zechcesz ją zostawić przy sobie. Po tych wszystkich twoich bohaterskich wysiłkach...

– No... – wymamrotał Leon. – Wiesz... regulamin...

– Jasne – kiwnął głową Berg. – Ogólnie rzecz biorąc, to niezgodne z regulaminem, ale co teraz po regulaminie – wszystko się pokręciło. Jestem gotów przymknąć na to oczy. Jeżeli, oczywiście, nie pozwolisz sobą manipulować – ani za jej pośrednictwem, ani przez nią samą.

– Nie – odpowiedział sucho Leon. – Nie chcę jej zostawiać przy sobie. Ale można ją urządzić na dworze: jest młoda, urodziwa, umie się zachować... Nikt jej nie weźmie za prostytutkę.

– Margraf ją pozna, a wtedy nie da się uniknąć komplikacji.

Nie pozna. On jej przecież prawie nie widział – po ciemku i w zapale łowów... a Murcjan, którzy mogliby ją rozpoznać, nikt nie wpuści na zamkowe progi. A ja już coś wymyślę... albo lepiej, niech Alf coś wykombinuje. Nie lada z niego mistrz w tym względzie. Niech pośpiewa o zaklętym zamku, olbrzymim czarnym rycerzu, przywódcy rozbójników, którego pokonaliśmy dzięki sile ramienia i podstępom...

– („żyli uwolniliście piękną branke?”

– No, właśnie.

– A jak ona coś palnie i się zdradzi?

– Leon zmusił się, by spojrzeć Bergowi prosto w oczy Nie zdradzi się. Widzisz, Berg, najdziwniejsze jest to, że ona sama myśli, iż w istocie tak właśnie było.

– Co, straciła zmysły?

– Trudno zgadnąć. Zachowuje się odpowiednio do wyimaginowanej roli, ale co się dzieje w jej głowie... Wszystko się pomieszało. }a, rozumiesz, jestem rycerzem, który ja

uratował. A ona jest szlachetną panną, którą porwano z rodzicielskiego domu. Ją! Dziewczynę, która nigdy w życiu nie widziała czegoś droższego od lnianej szmaty! Jej ojca przecież ukamienowali, a matka zmarła podczas porodu w śmierdzącej chacie.

– Hm... – Berg zacisnął wargi. – W sumie, jaka różnica? Ani jej, ani lady Hersendzie szkody to nie przyniesie. Tym bardziej, że mila-dy, wedle mojego rozeznania, trochę się nudzi. Przypuszczam, że ich dostojności zechcą cię zobaczyć jeszcze dziś wieczorem – żebyś opowiedział o swoich bohaterskich czynach i tak dalej... I, oczywiście, przedstawia cię Ansardowi. On tu nabiera coraz większego znaczenia i dobrze byłoby, żebyś się przyłożył do entuzjastycznego wyrażenia wdzięczności za ratunek... No dobra, wołaj tę swoją piękność.

Leon przeszedł do przedpokoju dla sług. Alf zdążył już odkarmić się w kuchni i teraz spał na progu, zwinięty w kłębek. Leon delikatnie pchnął go w bok czubkiem buta.

Młodzieniec natychmiast usiadł na materacu i zaczął przecierać zaspane oczy.

– Gdzie Soreille?

– Odprowadziłem ją do komnat kobiecych, panie. Jej też przyda się odpoczynek. One już się tam wokół niej zakręciły, dziwna z niej dziewczyna... wszystkim umie się przypodobać.

– Przeprowadź ją. Chcę ją przedstawić lady Hersendzie.

Alf kiwnął głową.

– Jak każecie, panie – stwierdził rzeczowo i znikł w półmroku korytarza.

Zaraz potem znów rozległ się odgłos kroków. "Coś za szybko wraca" – pomyślał Leon, ale nadchodzącym nie był Alf. Na progu stanął sługa w liberii o barwach margrafa. "Przyroda nie znosi próżni..."

– Jego dostojność prosi panów ambasadorów o przybycie do Sali Gobelinowej – oznajmił uroczyście.

– Dobrze – kiwnął głową Leon. – Przekaż jego dostojności, że przyjdziemy niezwłocznie.

Sługa odpowiedział ukłonem i znikł.

– Co tam? – zapytał Berg zza zasłony.

– Miałeś rację. Mamy się stawić przed ich dostojnościami.

– Jasne. No cóż, ubieraj się. Nie mam pojęcia, jak jego dostojność przełknie fakt, że krewniak znalazł cię dosłownie pod jego nosem. Na wszelki wypadek udawaj jednak, że nie masz pojęcia o tych wszystkich drobnych problemach wewnętrznych. Kłaniaj się i dziękuj za pomoc. Z zapalem, ale nie kieruj podziękowań pod jakiś szczególny adres.

– Nie urodziłem się wczoraj – stwierdził Leon ponuro. – Gdzie ten cholerny zongler...

– A otóż i on.

W korytarzu pojawił się Alf, prowadzący za sobą kogoś owiniętego w obszerną, prawie bezkształtną opończę.

– Przyproceedziłem ją, panie – oznajmił radośnie. – Służki ją umyły, nakarmiły...

– Dobrze – kiwnął głową Leon. – Przedstawimy ją lady Hersen-dzie. Ty... tego... jeżeli cię zapytają...

– Wiem, co mam mówić – mruknął Alf tonem pogrózki. – Opowiem taką historię, że co tam ich dostojności – gobeliny łzami się zaleją!

– I bardzo dobrze. Nie muszę cię uczyć. A jej powiedz, żeby zdjęła opończę.

Alf nie zamierzał trudzić się słowami – po prostu pociągnął za połę i opończa zsunęła się w dół, odsłaniając figurkę zawiniętą w delikatną, srebrzystoszarą tkaninę. Włosy dziewczyny zebrano w ciężki węzeł, spod którego wyniknął się jasny kosmyk, opadając na łagodnie zarysowany policzek. Oczy niedawnej uciekiniarki nie wydawały się już szare, tylko srebrne.

Dziewczyna szybko opuściła powieki, ozdobione długimi, jasnymi rzęsami i wdzięcznie się skłoniła, pochyliwszy główkę.

Stojący za Leonem Berg przestąpił z nogi na nogę.

– To ta dziewczyna? – zapytał. – (ak ma na imię?

Dziewczyna znów podniosła wzrok – tym razem jednak nie spojrzała na Leona, ale na Berga. Nie wiadomo, z jakiej przyczyny jej oczy nagle załśniły głęboką czernią. „Jak ona to robi?” – pomyślał Leon.

– Soreille, panie – odpowiedziała szeptem.

– Soreille... – powoli powtórzy! Berg.

W Sali Gobelinowej zebrało się niewielu ludzi – sami swoi. Obecni byli książęta, miłościwy prymas i Lord Ansard. No, oczywiście, był jeszcze pisarz, przyboczni gwardziści, giermek, paź lady Hersendy i trochę dworskiej drobniicy. Leon nie bez poczucia wstydu odkrył, że nauczył się traktować członków licznej świty margrafa jak meble. Ermolda nie było. „Ach tak...” – pomyślał Berg i ledwie zauważalnie kiwnął głową.

– Wezwaliśmy was, żeby wyrazić swoją radość z powodu szczęśliwego powrotu – zwrócił się margraf do Leona.

Leon uklonił się głęboko. Po kilkugodzinnym zanurzeniu w zimnej wodzie wciąż jeszcze łamało go w kolanach, ale nie dał po sobie niczego poznać.

– Swój szczęśliwy powrót zawdzięczam Solerowi, wasza miłość – stwierdził z zapalem, choć nieco enigmatycznie.

Ansard poruszył się na swoim fotelu.

– Gdyby nie messer Warren, stałbym się karmą dla ryb – przeorientował swoje wyrazy wdzięczności Leon.

)uż ja się zatroszczę, by Warrena odpowiednio wynagrodzono – zadeklarował się margraf.

„Mam nadzieję, że w jego wypowiedzi nie ma ukrytych podtekstów – pomyślał Leon. – Nie chciałbym, żeby Warrena zaciukali gdzieś w ciemnym korytarzu za jego nadmierną gorliwość”.

– Nie ma potrzeby, aby wasza dostojność sięgał do swojej kiesy. Sami gotowi jesteście szczerze wynagrodzić messer Warrena – wtrącił Berg. – Życie ludzkie jest bardzo cenne.

– Szczególnie życie terrańskiego ambasadora – rzucił niby to z roztargnieniem Ansard.

– Z chęcią posłuchamy historii waszej wędrówki i cudownego ocalenia, milordzie – odezwał się margraf do Leona. – Słyszałem, że jest co opowiadać.

– Istotnie – Leon ponownie się skłonił, choć już nie tak głęboko, jak przed chwilą. – Średnie Marchie pełne są cudów. Mój minstrel gotów jest opowiedzieć waszym miłośnikom zdumiewającą historię.

– Wasz minstrel?

– Giermek i minstrel. Jeżeli wolno mi go będzie przedstawić waszym dostojnościom... Jednocześnie chciałbym zaprezentować wam szlachetną pannę, którą miałem szczęście uratować podczas tej zadziwiającej wędrówki...

– Czemuż by nie... – roztargnionym tonem rzuciła lady Hersen-da, której myśli najwyraźniej błądziły gdzie indziej.

– Niech wejdą – zgodził się łaskawie margraf.

Leon klasnął w dłonie i do komnaty wpadł Alf, który do tej pory czekał za kotarą przy drzwiach. W dłoniach trzymał lutnię z krótkim gryfem. „Skąd on ją wytrzasnął? – zdziwił się Leon, – Zwędził jakiemuś paziowi, czy jak?”

Alf tymczasem chwacko opadł na jedno kolano i zerwał ze strun pierwszy podniosły akord. I jakby w odpowiedzi na muzyczne wezwanie do sali wolnym krokiem weszła Soreille i pochyliła się w pełnym szacunku dworskim reweransie.

– Czyli to jest wasza szlachetna panna – lady Hersenda z zadumą spojrzała na bledziutką Soreille. – Bardzo miła...

– Za waszym pozwoleniem, szlachetni panowie i piękne damy, opowiem wam zadziwiającą i niezwykłą historię – z uczuciem i melodyjnie zaczął Alf.

Niespodziewanie dla wszystkich margraf wparł się dłońmi w podłokietniki swojego

rzeźbionego fotela i wstał.

– Sądzę, że jej dostojność zechce z uwagą wysłuchać tej historii. Was, panowie ambasadorowie, zapraszam do mojego gabinetu. Mamy o czym porozmawiać.

Ansard wsiał także i ruszy) za swoim dostojnym krewniakiem, Leon nie zrozumiał, czy zaproszenie obejmowało Ansarda, czy sam się wprosił. Sekretarz, który stojąc za fotelem margrafa, nie spuszcza) pana z oczu, też zrobił krok, margraf jednak zatrzymał go gestem dłoni:

– Nie, nie... zostańcie tutaj. W razie potrzeby zastąpi was jego świątobliwość, który pisze nie mniej biegle od was.

Maleńki kapłan pospiesznie kiwnął głową. „No, no... – pomyślał Berg. – Nieźle się zaczyna”. I przeszli do gabinetu, przyległego do sali gobelinowej, skąd dobiegało ćwierkanie lutni i wysoki głos Alfa.

Margraf usadowił się na krześle. Ansard przysiadł obok, na niewysokim taborecie z masywnymi rzeźbionymi nóżkami, a jego świątobliwość zajął miejsce przy biurku. Pod przeciwległą ścianą ustawiono ciężką, rzeźbioną ławę z bejcowanego dębu. Była niższa od fotela i ci, którzy na niej siedzieli, musieli spoglądać na jego dostojność z dołu.

– Siadajcie panowie – zaprosił margraf.

„Najprawdopodobniej władca Soleru ograniczyłby się do całkowicie prywatnej rozmowy z jednym z nas – pomyślał Leon – ale do tej pory nie zdołał rozgryźć, jak rozdzielić nasze kompetencje”. Jego dostojność nie bez podstaw przypuszczał, że Berg jest ważniejszy, ale były to tylko domysły – układy pomiędzy przełożonym a podwładnym w Korpusie budowano na niejawnych różnicach. Zresztą, Berg nie był przełożonym Leona w pełnym znaczeniu tego słowa – pełnił funkcję kuratora misji, co było kwestią bardzo delikatnej natury.

Usiedli na ławie, której rzeźbione krawędzie dość boleśnie wpiły się w uda.

„Chcąc nie chcąc, przemawiając z tego miejsca musisz się streszczać”. Leon był ciekaw, czy zostało to zaplanowane, czy może było dzieleni przypadku?

Berg, który – jak się wydawało – nie raczył się zniżyć do zwracania uwagi na tak drobne niewygody, znieruchomiał na ławie niczym posąg i uprzejmie czekał na dalszy rozwój wydarzeń.

– Kiedy wasza miłość, ambasadorze Berg, przybył do Soleru z towarzyszem, uznałem, że przede wszystkim trzeba was oswoić z miejscem, ludźmi i zwyczajami – zaczął margraf. – Zresztą odniosłem wrażenie, że jest to i waszym zamiarem, przynajmniej na początku. Teraz jednak, jak sami panowie widzą, sytuacja uległa zmianie. Dlatego też chciałbym wiedzieć, jak daleko sięgają granice waszych pełnomocnictw?

– Są bardzo rozległe, wasza miłość – odpowiedział mu Berg. – Jesteśmy głosem Terry.

– Tylko głosem?

„Nie inaczej – przytaknął mu w myślach Leon. – Głosem, oczami i uszami”.

– Głos, moi panowie, niczego nie może, jest bezsilny. Ja chciał bym od Terry czegoś bardziej konkretnego – chciałbym ją poprosić o pomoc...

Berg ledwo dostrzegalnie skrzywił kącik ust, co należało odczytać jako: „Tak przypuszczałem”.

– Wiecie sami, panowie ambasadorowie, jakie klęski spotkały nasze ziemie... – nie mogąc się powstrzymać, jego dostojność wstał i przeszedł się po komnacie. – Nie pojmuję, w jaki sposób obraziłem Dwójce. Jego świątobliwość wysunął przypuszczenie, że winien jest naród, który wrócił do dawnych obyczajów i obrzędów.

I Mówca spojrział na prymasa, a ten potwierdził kiwnięciem głowy.

– Osobiście uważam, że jest inaczej: mieszkańcy zwrócili się ku dawnym bóstwom, przekonani, że Dwójca nie zdoła ich uchronić przed tymi wszystkimi nieszczęściami. Rozumiecie panowie? Z roz paczy.

Leon poczuł mimowolny podziw dla tego człowieka. Jego dostojność posiadał rzadką dla samowładcy umiejętność spojrzenia na istotę sprawy z rozmaitych punktów widzenia.

– Wasza dostojność przejawia przesadną łaskawość – sprzeciwił się cichutko prymas ze swojego miejsca.

– Zmiłujcie się, panie – odezwał się margraf ze znużeniem. – Powinniśmy być bezlitośni wobec siebie samych i możliwych tego świata. Biedacy i nędzarze nie mają więcej rozumu niż dzieci.

– Dzieciom – z równym znużeniem (spór najwyraźniej nie zaczął się tu i teraz) – też potrzeba twardej ręki.

– Czyżby wasza świątobliwość uważał – zapytał margraf niezwykle łagodnie i uprzejmie – że jeżeli przepędzimy tych nieszczęśników, którzy teraz koczują pod miejskimi murami i odmówimy im pomocy, w marchii ponownie zapanują spokój i porządek?

Przez jakiś czas mierzyli jeden drugiego gniewnymi spojrzeniami. Potem prymas westchnął.

– Symbolem dobrych, żywionych przez Dwójce zamiarów – wy jaśnił cierpliwie – jest równowaga przeciwieństw. Życie i śmierć, do bro i zło, odpłata i przebaczenie... a teraz oto równowaga owa została zachwiana. Znaczy to, iż pozbawiono nas przychylności i łaski bożej. Co zatem idzie, ponownie trzeba na nie zasłużyć. Jakże się

można wzbraniać przed kilkoma, niewielkimi w końcu ofiarami?

„To mi dopiero świątobliwy ojczulek – pomyślał Leon. – A jeszcze mówił o swobodzie wyboru...”

– Waszą sprawą jest błaganie o przebaczenie grzechów – odciął się margraf. – Ja muszę się troszczyć, by moi poddani mieli dachy nad głowami i nie głodowali.

Leon zerknął na Ansarda – ten w milczeniu przyglądał się swoim ozdobionym pierścieniami palcom. Ciekawe, czemu milczy? Nie chce się wtrącać w spór, czy nie odzywa się, bo mu nie przystoi?

– Panowie ambasadorowie zechcą mi wybaczyć – margraf naj widoczniej się zorientował, że ten spór nie bardzo interesuje rozmówców. – Odszedłem od tematu. Równowaga czy jej brak to jedno, ale nam potrzebna jest zewnętrzna pomoc...

Wszystko stało się zrozumiałe. Soler znajdował się na uboczu Średnich Marchii, a wszystkie jego szlaki handlowe przecinały terytorium Relry. Orson jest chciwy, zedrze z Soleru skórę za przepuszczanie transportów. Ale rzecz nawet nie w tym. W aktualnej sytuacji może uznać, że dogodniej zamknąć granice pomiędzy Retrą i Sole-rem. W ostatecznym rozrachunku wyniszczona głodem, niezdolna do obrony i nękana epidemiami marchia wpadnie mu w dłonie, jak przejrzałe jabłko. Dostęp do morza wcześniej nie był potrzebny, ale teraz, gdy za horyzontem majaczyła bogata, zamorska Terra... Pojawienie się ambasadorów istotnie zmieniło układ sił – jednak Soler pozostawał łakomym kąskiem... od dawna sławnym ze swoich górskich hal. Nie wspominając o kopalniach srebra – można w nich przecież wznowić wydobycie. Ciekawe, czemu margraf sam się tym nie zajmie? Kogo przyciśnie bieda, ten zapomina o przesądach...

– Powziąłem decyzję o wznowieniu prac w kopalniach – margraf jakby odgadł myśli posłów.

– Rozumna decyzja – pochwalił Berg.

– Owszem... tak by się przynajmniej mogło wydawać. Ale nawet teraz, milordzie, nikt nie chce się najmować do prac. Ludzie się boją. Musiałem posłać kajdaniarzy... Pierwsza partia przepadła we wnętrzu góry razem z dziesiętnikiem.

– Niedobre to wieści.

– Tak, panic ambasadorze, niedobre. Nie to, żebym żałował kajdaniarzy... czy dziesiętników, jeżeli już o tym mowa. Mogę ich tam posyłać setkami... ale jakież będzie z tego pożytek? Poza tym nie wiadomo, czy nie karmimy tylko żyjących tam paskudników?

– Przesady, wasza miłość – uniósł się prymas. – Nie ma tam żadnych paskudników.

Niech i tak będzie... Ale na kopalnie nie za bardzo możemy liczyć. Trzeba nam

będzie zapomnieć o własnej dumie i poprosić o pomoc dalszych sąsiadów... wolałbym nie zwracać się do Retry. Nieraz panowie mówili, że Terra jest bogatym krajem. Czy nie moalibyśmy liczyć na dostawy zboża drogą morską? Oczywiście, nie za darmo...

– Panie, to jest rzecz niemożliwa – odezwał się Berg uprzejmym tonem. – Mam na myśli nie pomoc, a dostawy żywności. O tej porze roku żegluga oceaniczna jest ryzykowna; to pora sztormów. Natomiast pożyczki Terra może wam udzielić – mamy do tego odpowiednie peł nomocnictwa.

„Oczywiście – pomyślał Leon. – Kilka syntetycznych diamentów wystarczy, żeby kupić niewielką marchię. Margraf wolałby okręt z ziarnem, nazwijmy to humanitarną pomocą... Zawsze lepiej prosić dalszych sąsiadów, niż bliższych. A transporty morskie całkowicie uniezależniłyby Soler od kaprysów Retry”.

Mimo wszystko pożyczka pieniężna lepsza, niż nic – przynajmniej Soler będzie miał wolne ręce w rozliczeniach z sąsiadami. Czort wie, jaki jest stan skarbcza...

Margraf najwidoczniej myślał tak samo.

– Wolałbym ziarno. Ale w naszej sytuacji nie możemy odrzucać żadnej pomocy. Na jakich warunkach Terra gotowa jest udzielić nam pożyczki?

– O, na bardzo dogodnych – uśmiechnął się uprzejmie Berg.

Mógłby spokojnie odpowiedzieć, że pożyczka jest bezwarunkowa. Do diabła, te szkiełka mogliby im dać darmo, ale taka szczodrość byłaby z pewnością podejrzana. No cóż, jeżeli jego dostojność uzna, że ma wobec Terry zobowiązania, to tym lepiej.

– Znaczący, Retra – stwierdził margraf, zwracając się raczej do siebie samego, niż do obecnych. – Hercog Orson...

– Wasza dostojność, to... – zaczął Ansard, ale natknąwszy się wzrokiem na zimne spojrzenie margrafa umilkł i tylko bezgłośnie poruszył wargami.

„To nierozumne” – rozszyfrował niedopowiedziane słowa Leon.

– O ile wiem, Retry jeszcze nie dotknęły nieszczęścia – ciągnął margraf. – Moi informatorzy...

– A cena za ziarno? – łagodnie zapytał Ansard.

– Orson może albo sam zawrzeć z nami umowę na rozsądnych warunkach, albo przepuścić nas dalej – stwierdził margraf. – Nie wiadomo, co uzna za lepsze: zedrzeć z nas skórę za prawo przewozu albo trzy skory za własne ziarno.

– Soler nie jest zbyt bogaty – zauważył skwaszonym głosem Ansard.

– Tym się nie martwicie – uśmiechnął się szeroko Berg. – Już mówiliśmy, Terra udostępni kredyty.

– Wasi władcy zajmują się dobroczynnością? – w uprzejmym głosie Ansarda zabrzmiał syk jadu.

– Nie. Jak wszyscy praktyczni ludzie wychodzą z założenia, że dobro zawsze dobrem się zwraca.

– Jak się porozumiecie z Terrą? – zapytał margraf.

– Mamy swoje kanały – niezbyt jasno wyjaśnił Berg. – Z dnia na dzień czekamy na przybycie statku. Niestety... nie transportowego, to byłoby niemożliwe.

„Mądrze to rozegrał – stwierdził w duchu Leon. – Gdyby nie to zastrzeżenie, jego dostojność mógłby dojść do poniekąd słusznego wniosku, że pieniądze mamy przy sobie... Zamknęłyby nas w jakimś loszku z biegłym w swoim fachu malodobrym i poczekałby, aż mu podamy wszystkie nasze skarby na srebrnej tacy. I to nie na dogodnych warunkach, ale w ogóle bezwarunkowo...”

– Ale finansową pomoc mogę wam zagwarantować.

– Znaczy – zaciekawił się Ansard – jakąś łączność z Terrą jednak macie?

– Oczywiście – odparł Berg tonem wykluczającym dalszą dociekliwość.

Niech sobie myślą, że w Solerze, gdzie nosa nie wetkniesz, tam siedzą terrańscy szpiedzy... Przebiegli, nieuchwytni, niezauważalni, którzy jak chcą, wędrują tam i z powrotem po wzburzonym morzu.

Ansard znów utkwiał wzrok w swoich szczupłych, mocnych palcach.

– Terra to potężne państwo? – zapytał jakby od niechcienia.

– Bardzo potężne.

– Wiedzą panowie, wojenny sojusz zawsze jest wygodniejszy od kredytów. I dla was, i dla Soleru. Po co pełzać na kolanach przed Retrą...

– Mój panie! – ofuknął go ostro margraf.

Ansard umilkł i gniewnie zacisnął wargi.

– Przemysłę waszą propozycję – zakończył margraf. – Tymcza sem życzę panom wszystkiego najlepszego.

– No... – Berg mówił przytłumionym głosem, bo akurat ściągał przez głowę ciężką, ceremonialną szatę. – I co na to powiesz?

Leon zagryzł wargę.

– A co tu jest do powiedzenia. Przez ten cholerny koniec świata naruszona została równowaga sił. My też co nieco dodaliśmy. Teraz będą nas głaskać, dopóki się nie zorientują, że od Terry praktycznie niczego się nie można spodziewać. Żeby tylko na śmierć nie zagłaskali...

– Sytuacja, w jakieś znalazł się Soler nie za bardzo im pozwala na kaprysy. Przypuszczam, że spróbują się dogadać z Retrą, wykorzystując nas jak asy w rękawie. Orson z pewnością pójdzie na ugodę – też po części z naszej przyczyny. A przy okazji,

co sądzisz o krewniaku margrafa?

– Wyrwywny i zapalczywy... żebyśmy tylko się nie poparzyli.

– W takich czasach do głosu dochodzą właśnie pasjonaci. Gdyby nie ta zawierucha, siedzieliby sobie spokojnie w Worlandzie i liczył barany. Dobrze byłoby mu się przyjrzeć nieco dokładniej. Może jeszcze coś z niego będzie...

– Nowy Ganed Założyciel?

– Czemuż by nie... Średnie Marchie podzielone są tak, że bardziej się już nie da... Sytuacja aż prosi się o mocnego człowieka.

– Trochę to wszystko nie w porę z naszego punktu widzenia. Prawda?

– Owszem – stwierdził Berg z zadumą w głosie. – Masz rację... Ale czekaj, spróbujmy mu przyczepić pluskwę, co? Podłączymy do rejestratora... Uprzedzony, oznacza ostrzeżony, czy nie tak?

– Proszę bardzo – Leon wzruszył ramionami. – A co mu tam żałować. Powinniśmy mu przecież podziękować za ratunek. W skrzyni, powinna być brosza z rubinem – wspaniały rubin, akurat dla czarnowłosego. Spodoba się Ansardowi. Przy okazji, za pamięci – trzeba zapytać Alfa, co takiego naopowiadał. Chociaż nikt nas nie będzie łapał za słówka – to nie w stylu epoki.

– Mam nadzieję – rzucił Berg ni z tego, ni z owego – że dobrze ją będą traktować.

– Kogo?

– No, Soreille, oczywiście.

– Bądź pewien, że tak. Alf już się o to zatroszczy – chłopak potrafi grać na uczuciach. A przy okazji, nikt się nie spostrzeże, że nasza szlachetna panna jest trochę niespełna rozumu. Wszystko będzie można zwalić na wstrząs psychiczny, ciężkie przejścia i tak dalej.

– Jak to, niespełna rozumu? – Berg uniósł w górę jasne brwi. – Czegoś tu nie rozumiem. Przecież ona nie jest awanturnicą, która podaje się za kogoś innego. Przecież nikt nie wie o tym lepiej niż ty! Przejść przez coś takiego... Nieszczęsna dziewczyna.

Leon zmrużył oczy – takiego współczucia w głosie Berga nigdy wcześniej nie słyszał. „Do diabła, jeżeli zacznę się z nim spierać, nie uwierzy mi; zacznę podejrzewać, że przemawia przeze mnie zazdrość”. Mimo wszystko odezwał się, starannie dobierając słowa:

– Berg... tylko nie myśl sobie... Rozumiem, na pierwszy rzut oka wydaje się, że dziewczyna zachowuje się tak, jak każda inna na jej miejscu, jest tylko zaszczuta, zmęczona i przestraszona. Ale to nie tak, w tym tkwi coś jeszcze... nie wiem, może załamanie nerwowe, amnezja na podłożu hysterii... ona jest niestabilna psychicznie, oto w czym rzecz...

– Tam, na jeziorze, nie bawiłeś się w wyjaśnienia psychologiczne, tylko jej uwierzyłeś!

– Właśnie to mnie niepokoi.

– Po prostu starasz się uwolnić od poczucia winy – stwierdził ostro Berg. – Nie zdołałeś jej pomóc, zaciągnąłeś ją w diabły – nie wiem zresztą, co się stało wewnątrz góry, co wpędziło ją w taki stan... A właśnie – co tam się stało?

– Formalnie – nic – powoli odpowiedział Leon.

– Co znaczy „formalnie”?

– Cóż... z tą górą w istocie są związane jakieś miejscowe legendy. Możliwe... nie mam pewności, ale nie jest wykluczone, że działa tam jakiś czynnik wywołujący halucynacje.

– Gaz?

– Być może... W zasadzie to tylko domysły. Powiedzmy, że górnicy, kopiąc coraz głębiej, otworzyli wejście do jakiejś podziemnej pieczary ze szczelinami, z których sączy się halucynogeny gaz... Dlatego kopalnia została pospiesznie opuszczona. Tym samym zresztą, można wytłumaczyć świecenie góry...

– Aha... – Berg kiwnął głową z namysłem.

– A im się zwiduje to, w co wierzą... sam zresztą wiesz, jacy są przesądni.

– A owszem – zgodził się Berg. – Przy okazji, biorąc pod uwagę obecną sytuację, nie uważasz, że powinniśmy przygotować sobie trasę ewakuacji?

Uciekając do Orsona? Czemuż by nie? Nie składaliśmy przysięgi lennej. Ale na razie rozkład sił nie jest zbyt jasny i niewykluczone, że miotając się, jak pozbawiony głowy kurczak, moglibyśmy go zmienić.

– Piękne masz metafory.

– Staram się.

– Ale Ermolda, tak czy owak, przyjdzie przycisnąć w kwestii zapasów – stwierdził melancholijnie Berg. – No dobrze, a co tam... Ranek jest mądrzejszy od wieczoru.

Zapisane ze słów Alfa, wędrownego minstrela, przez ksenotoga Kałganowa.

Pewien dzielny młodzieniec ze szlchetnego rodu i o miłej powierzchowności pokochał kiedyś piękną pannę – bogatą i kapryśną, jedyną dziedziczkę ojcowskiego majątku. Gdyby zechciała wybrać go na męża, stałby się godnym towarzyszem życia – jego ród nie był wcale gorszy od jej rodu. Sęk w tym, że nie zechciała. Kierowana dziwnym kaprysem serca, jak wiele innych przedstawicielek jej płci, odrzucała to, co samo wpadało jej w ręce i pragnęła niemożliwego; chodziły słuchy, że pokochała swojego przyrodniego brata, człowieka pysznego i bezmyślnego, wygnanego

z ojcowskiego domu. Może nie czuła bezwstydných żądz, ale co się stało, to się stało; panna odpychała nieszczęśliwie zakochanego za każdym razem, kiedy przychodził. Na dodatek drwiła zeń niemiłosiernie i wyśmiewała przed swoimi dworkami i domownikami. Zrozpaczony młodzieniec obsypywał ją prezentami i byłby roztrwonil cały ojcowski majątek, gdyby w sprawę nie wdała się stara mamka. Widząc, że jej pupilek niknie w oczach i świat mu już miłym być przestaje, wezwała go do siebie i zapytała, czy jest gotów uciec się do ostatecznego środka. Młodzieniec popadł już w taki stan, że gotów był oddać całą ojcowiznę i własne życie, byle choć na krótko móc się połączyć ze swoją ukochaną – o czym szczerze i niczego nie tając opowiedział starej kobiecie. „Dobrze – powiedziała stara. – Chodź za mną”.

Nie rzekłszy ani słowa i o nic nie pytając, młodzian owinął się czarną opończą i wyszedł razem ze starą za wrota swojej siedziby. A zapadała już noc i niebo zaciągnęło się chmurami.

– Dobra noc dla naszego handlu – stwierdziła starucha.

Szli niezbyt długo, ale i nie krótko – aż w końcu trafili na takie pustkowie, gdzie nie było żadnego stworzenia, ni ptaka, ni zwierza, ni człowieka. Pośrodku pola wznosił się tam zakazany gaj i białe pnie ofiarnych drzew lśniły w ciemności.

– Zostań tu – rozkazała starucha – i czekaj.

Młodzieniec pokornie opadł na kolana. Ze wszystkich stron ogarnął go mrok, ale zaraz mu się wydało, że widzi migotanie, jak to za zamkniętymi powiekami. Światło, choć widmowe, jaśniało coraz bardziej i w końcu zobaczył przed sobą dziwaczego stwora – dwa łokcie wzrostu, garbatego i pokurzonego. Stwór nie tkwił w jednym miejscu, ale tańczył i podskakiwał, jak płomyczek albo marionetka w teatrzyku lalek. A młodzieniec zrozumiał, dokąd przyprowadziła go starucha, że widzi tego, o którym nawet wspominać nie wolno.

Chciał już się zasłonić ochronnym znakiem i uciec precz, ale przypomniawszy sobie o nieubłaganej ukochanej został na miejscu. „Cóż mam do stracenia? – pomyślał. – Życie? Przecież bez mojej pani jest mi niemiłe. Bogactwo? Gotów jestem oddać całe za jedno jej spojrzenie. Nieśmiertelną duszę? Ależ doszedłem do tego, iż gotów jestem targnąć się na swoje życie, więc i duszę stracę”. I patrzył na przewrotnego stwora, który przez cały czas uśmiechał się i podskakiwał, a potem zapytał ludzkim głosem:

– Po coś tu przeszedł, głupi chłopaczku?

– Nie jestem chłopaczkiem – odparł zakochany. – Jestem już mężczyzną. Pożądam miłości damy mojego serca i przyszedłem do ciebie, bo już tylko to mi pozostało.

– Mógłbym odmienić twój smutek – odpowiedział jego rozmówca. – Pragniesz, żeby twoja panna pokochała cię jeszcze mocniej niż ty ją?

I odpowiedział zakochany: – Tak.

– Dobrze – odrzekł ten, którego imienia się nie wymawia. – Ale nic za darmo. Umowa to umowa. Co jesteś gotów mi oddać, głupi chłopaczku?

A zakochany odpowiedział: – Wszystko, oprócz mojej duszy. W rzeczy samej oddałby i duszę, gdyby nieczysty jej zażądał. Ten jednak odparł:

– Twoja nieśmiertelna dusza nie jest mi potrzebna. Zresztą, wcale jej nie masz (nie wierzą oni w istnienie duszy, uważając ją za ludzki wymysł, ponieważ sami jej nie mają). Wezmę od ciebie jednak to, czego nie poczujesz. Jesteś pewien, że nie będziesz potem żałował?

– Niczego nie pożałuję za miłość mojej ukochanej – odpowiedział młodzieniec.

– Cóż – rzekł ten, którego imienia się nie wymawia. – Niechże więc tak się stanie.

I sięgnął swoją drobną rączką ku piersi młodzieńca – a ten zmusił się, żeby zostać na miejscu – i młodzikowi wydało się, że ta dłoń wniknęła w jego pierś i wynurzyła się zaciśnięta w pięść.

– O tak – odezwał się mieszkaniec gaju. – Wziąłem to coś.

„Z pewnością mnie oszukał – pomyślał młodzieniec – bo niczego nie poczułem”.

A potem jeszcze pomyślał:

„Może sam się oszukał? Jeżeli wierzy, że coś mi odebrał, niech sobie w to wierzy na zdrowie. Jesteśmy kwita, choć gotów byłem zapłacić”.

A ten, którego imienia nie wolno wymawiać, potwierdził:

– Jesteśmy kwita.

I znikł. A młodzieniec nagle spostrzegł, że chmury się rozeszły, na niebie zaś lśni Diadem Zorzy, ponieważ niebo na wschodzie budził blask jutrzeńki. Z lekkim sercem odwrócił się od zakazanego gaju (starucha, która go tam przywiodła, natychmiast się ukryła) i idąc po pustej równinie śpiewał radośnie, bo wiedział, że spełniło się wszystko, o co prosił. Mieszkańcy głębin, jeżeli obiecują, dotrzymują słowa, choć niekiedy każą sobie za to słono płacić. Przyszedłszy do domu, wdział swoje najlepsze szaty, a rankiem, o świcie, ruszył do swojej ukochanej. Siedziała w paradnej sali w towarzystwie swoich dworek, z których jedna trefiła jej jasne włosy, a druga zdobiła je kwiatami, błyszczącymi niczym klejnoty oraz drogocennymi kamieniami, które iskrzyły się blaskiem i barwami kwiatów.

Gdy zobaczyła wchodzącego młodzieńca, zbladła i porwała się z miejsca, aż perły, niczym krople wody, rozsypały się po posadzce. Ona jednak wcale tego nie zauważyła.

Podeszła do młodzieńca, położyła mu dłonie na ramionach i powiedziała:

– Jakże długo na ciebie czekałam!

A wszystkie damy i domownicy patrzyli na to ze zdumieniem, bo nie było tajemnicą,

że jej serce nie sprzyja temu młodzieńcowi, choć jest bogaty, piękny, pełen cnót – i nieraz czynili jej z tego powodu wymówki.

On zaś spojrział na nią, popatrzył jej w oczy i zrozumiał, że już jej nie kocha. Czuł do niej tyleż samo, ile mógłby żywić do obejmującego jego ramiona marmurowego posągu – nie czuł radości w duszy.

Odepchnął od siebie jej ręce i wyrwał się z objęć, ponieważ stała mu się niemiła, ona zaś zapłakała i zapytała:

– Czemu tak ze mną postępujesz, ukochany?

– Oszukałaś się – odpowiedział jej. – Nie jestem twoim ukochanym, ponieważ cię nie kocham.

Ona jednak padła na kolana i zaczęła go błagać, żeby przemówił do niej dobrym słowem. A patrzące na to wszystko jej damy poczuły strach i zaczęły ją podnosić, ona zaś szarpała się i wrywała. Widok ten wzbudził w młodzieńcu taką odrazę, że odwrócił się i odszedł. Wyszedł z sali ścigany jej rozpaczliwymi łkaniami i zastanawiał się: „Na miłość Dwójcy, co widziałem w tej próżnej kobiecie!”

I już nigdy nie odwiedził jej domu, choć zasypywała go podarkami i listami, aż w końcu rzuciła się w dół z najwyższego okna swojego zamku, ponieważ w istocie pokochała go mocniej, niż kiedyś on ją kochał. On zaś, gdy się o tym dowiedział, powiedział swojej narzeczonej, z którą pospiesznie wyswatał go ojciec:

– Próżna to była kobieta, opętana daremną i głupią miłością. Niedługo potem ożenił się i żył szczęśliwie, ale nigdy już nie wspominał o dawnej ukochanej, ponieważ ten, którego imienia się nie wymawia, dotrzymał swojego słowa. Sprawił, że panna pokochała go nad życie, ale kazał za to zapłacić młodzieńcowi jego własną miłością.

Powiadają, że mieszkańcom głębin potrzebne są ludzkie uczucia, bo cenią je tak, jak my cenimy złoto albo drogocenne kamienie i gotowi są na wszystko, żeby je zdobyć. Dlatego tak niebezpiecznie jest zawierać z nimi umowy – bo nie oni wychodzą na dudków.

Berg włożył przepiękną broszę, migoczącą purpurowym syntetycznym okiem, do rzeźbionej szkatułki miejscowego wyrobu, a potem zwrócił się do Leona:

– Proszę bardzo. Teraz trzeba nam tylko zaczekać na zaproszenie na obiad i wręczyć „pluskwę” naszemu krewkiemu krewniakowi z jak największą pompą. Będziemy zginać kolana i tak dalej...

Drzwi otworzyły się nagle:

– Jego wysokość prosi obu panów, żebyście o szóstej warcie stawili się w zamkowej kaplicy – oznajmił dworzanin.

– No proszę, nawet nie trzeba czekać na zaproszenie – cichutko szepnął Leon. – A co się tam odbędzie, przyjacielu?

– (ego wysokość prosi o wyświadczenie mu honoru i stawienie się na uroczystości – wyjaśnił sługa.

– Jasne – mruknął Leon. – Strój paradny?

– Nie rozumiem?

– Ambasador Leon pyta, czy trzeba się odpowiednio wystroić – wyjaśnił słudze Berg.

– To odświętna ceremonia – stwierdził sługa z godnością. – Składanie ofiar.

– Dobrze – Berg odpowiedział równie godnym skinieniem głowy. – Możesz odejść.

Gdy za posłańcem zamknęły się drzwi, Leon zwrócił się do Berga:

– Ciekawe, kogo zamierzają złożyć w ofierze. Może nas?

– Nie gadaj głupstw – skarcił go Berg. – A zresztą, nie wiadomo. W meldunkach Pierwszej Kompleksowej o niczym takim nie wspominało. To chyba nie zdarza się codziennie.

– Trzeba zapytać Alfa. A swoją drogą, ciekawe, dlaczego nigdy go nie ma pod ręką, kiedy jest potrzebny...

Berg tylko się uśmiechnął.

– Nasz minstrel chyba odbija sobie minione niedole w czeladnej. Albo – co bardziej prawdopodobne – w kuchni. Wszyscy go polubili, on zaś bezwstydnie to wykorzystuje.

– Szybko się z tym oswoił.

– Wcale się nie musiał oswajać. To krew z krwi i kość z kości tego świata.

W ciemnej czeladnej nie zastali nikogo, oprócz zaspanego stajennego, który z ochotą zaproponował, że pobiegnie do kuchni – prawdopodobnie pod tym godnym pretekstem chciał się pokręcić i poszukać czegoś do zjedzenia, lednak Leon go rozczarował, stwierdziwszy, że pójdzie sam. Chłopak łypnął nieprzyjaźnie oczami – panom nie przystoi wałęsanie się po dolnych piętrach, choć z drugiej strony, dlatego właśnie są panami, że mogą łązić, dokąd chcą.

W porównaniu z pustymi, tchnącymi wilgocią korytarzami, gorąca, duszna i przesycona zapachem topionego tłuszczu kuchnia wydała się Leonowi przedśmionkiem raj. Ale nie zobaczył tu codziennej krzątaniny i gorączki. Nawet para nad kotłami kłębiła się jakby niechętnie. Kucharz i kuchcikowie siedzieli na taboretach i gapili się na Alfa, który właśnie wyjmował sobie jajko z ucha.

– Chodźmy – rzekł mu Leon.

Alf westchnął nie kryjąc rozczarowania, dmuchnął sobie na dłoń i jajko znikło.

– Nazbierałbym na nielichą jajecznicę – stwierdził z wyrzutem.

– Nie należy kraść – zastrzegł poseł na wszelki wypadek.

– A jakże!

Teraz westchnął Leon.

– Nie wiesz przypadkiem, na jaką ceremonię nas wzywają? – zapytał.

– Margraf osobiście będzie zarzynał koguty – stwierdził ochoczo świszczypała. – Czyli chce zmazać swoje grzechy.

– jakież to grzechy?

– No, niby przed pierwszymi zasiewami zrobił wszystko, jak należy – sam odłożył pierwszą brzdę, sam rzucił ziarno... A tu, proszę, co się porobiło – Alt” kiwnięciem głowy wskazał okno, za którym słychać było nieubłagany szum deszczu. – Znaczy, rzucał ziarno z nieczystym sercem. Trzeba mu złożyć ofiarę odkupienia na ołtarzu Dwojga, może zamienią gniew na łaskę.

– Będzie rznął koguty? – skrzywił się Leon.

– A co w tym złego? Dawniej, mówią, dziewice zarzynali, a teraz koguty. Co im za różnica, na ołtarz, czy do kotła? Jakoś nie widziałem, żebyście przy obiedzie, panie, od drobiu się wymawiali...

Leon nie odpowiedział, chłopak miał rację.

Wąskie, pokryte barwnymi witrażami okna kapliczki wycięto w murach tak, by podczas porannej i wieczornej zmiany wart słońce zaglądało do środka, rzucając tężowe plamy światła na dwubarwny ołtarz i marmurowe płyty posadzki. Teraz jednak na zewnątrz było mroczno, a w kaplicy panowały zupełne ciemności. Jedynie wokół dwóch grubych świec ustawionych po bokach ołtarza, drżała i przelewała się zmętniała aureola światła.

Uwzględniając niedawne wydarzenia, posłów zaprowadzono w lewy, honorowy kąt pomieszczenia. Berg, dostojny i nieruchomy, trzymał w dłoni szkatułkę z rubinową zapinką, czekając na dogodną chwilę, by wręczyć „pluskwę” lordowi Ansardowi. Leon wbił wzrok w posadzkę i starał się nie patrzeć na ołtarz, gdzie ze zwieszonymi smętnie szyjami leżały dwa koguty – biały na czarnej, a czarny na białej polowie ołtarza.

Margraf w prostej, ceremonialnej szacie powoli podszedł do kamiennej płyty. Tuż za nim szła małeńka służka, która trzymała w dłoniach ofiarny nóż. W płomieniu świec ostrze noża lśniło wszystkimi odcieniami czerwieni.

Jego wysokość powoli opadł na jedno kolano i wziął nóż z podu-szczeczki. Leon przeniósł spojrzenie na zebranych. Kierując terrańskich ambasadorów do honorowego rogu sali, margraf starannie przestrzegał protokołu dyplomatycznego – obok Berga stał poseł Retry, a raczej jego dostojności hercoga Orsona. Na twarzy Ermolda, uginającego się niemal pod naporem ciężkiej, ceremonialnej szaty, malowała się wyraźna wzdarda.

„Sprawowanie urzędu posła w zapyziałym Selerze nie jest z pewnością najwyższym zaszczytem, jakiego mógłby pragnąć ambitny arystokrata – pomyślał Leon. – Z drugiej strony, jego tutejszy status jest dość wysoki, a jak jego dostojność zdecyduje się jednak na wyprawienie dyplomatycznej misji do Retry, stanie się jeszcze wyższy”. Blżej ołtarza stali lord Ansard z lady Hersendą, za nią Soreille podtrzymująca tren sukni swojej pani – suknia była najwyraźniej uszyta specjalnie na takie uroczyste okazje: imponująco bogata i ostentacyjnie niewygodna, Lady Hersendą nijak nie mogłaby usiąść – wokół jej kibici piętrzyły się pstre cyple tkaniny niczym nadęte wiatrami żagle fregaty. Kątem oka Leon dostrzegł błysk noża i z mimowolnym drgnieniem ramion ponownie wbił wzrok w posadzkę. Po chwili szelest odzieży powiedział mu, że kluczowy fragment ceremonii dobiegł końca. Podniósł spojrzenie – na ołtarzu leżały dwa żalodne kogucie korpusy, a margraf ocierał ceremonialny nóż rąbkiem równie ceremonialnej szaty. Prymas, który niespodzianie wychynął z mrocznego cienia za ołtarzem, rzucił na płomień świec – najpierw prawej, potem lewej – po szczypcie jakiegoś proszku, który natychmiast rozbłysnął pozostawiając po sobie dwie smużki zielonkawego dymu, powoli rozpełzające się po kaplicy.

– To zły znak – usłyszał poseł.

Leon obejrzał się, unosząc brwi w niemym zapytaniu. Radca F.ermold pokręcił głową ze skruchą.

– Dym powinien unosić się pionowo w górę, a on ciągnie ku drzwiom, widzicie? Niemal ściele się po posadzce. Czy to nie znaczy, że Dwójca po prostu odwróciła się od swego ołtarza?

Leon wzruszył ramionami.

– F.ermold, to po prostu znaczy, że powietrze jest tu przesycone wilgocią i cięższe, niż normalnie.

Jesteście pewnie z tych, co dla wszystkiego starają się znaleźć racjonalne wytłumaczenie – zauważył Ermold. – Zgodnie z tą nowomodną nauką Guntra, nie pamiętam już, jak się ona nazywa... W Retrze się nie ostała, ponieważ jest z gruntu błędna.

– Naprawdę? – Leon z trudem się powstrzymał przed złośliwym dodaniem: „Kolego”.

– Weźmy dla przykładu to, co się zdarzyło i nadal dzieje w Selerze – ciągnął poseł. – Jest całkowicie zrozumiałe i logiczne, że po nieprzerwanych ulewach nastąpi nieurodzaj, głód, a potem, niestety, pojawi się także zaraza. Panowie jednak, o ile mi wiadomo, jeździli do Worlandu. Tam przecież, też były jakieś nieprzyjemności... ale deszczu, zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami, nie było...

– fest pan bardzo dobrze poinformowany.

To oczywiście, nieprawdaż? Dobry poseł, to poseł świadomy, co się wokół niego dzieje. Chyba się z tym panowie zgodzą. Oprócz tego zaś, tam, obok ołtarza, stoi lord Ansard. Bardzo energiczny człowiek – zły polityk, ale być może dobry wódz i strateg. Szkoda tylko, że ani razu nie miał okazji do wypróbowania swoich zdolności. Całe tygo dnie poświęcał za to polowaniom – i to go chyba uratowało. Ponieważ pod jego nieobecność... A nie wiecie panowie dokładniej, co się tam stało z jego zamkiem? Młot niebieski go poraził, czy co?

– Nie mamy pojęcia – odpowiedział Leon ze złością w głosie. O co mu chodzi, do licha?

I otóż macie panowie logiczny skutek zagadkowych zjawisk – ciągnął swoje wywody Ermold. – Soler zamierza poszukać pomocy w Retrze. Terra jest przecież za daleko, by posyłać korabie ze zbożem, prawda? Cóż z tego, że to bogaty, bardzo bogaty kraj...

Pokręcił głową ze współczuciem i zaczął się przeciskać ku wyjściu.

– Czego chciał? – nieco zaskoczony Berg popatrzył za ambasadorem. – Znów coś zwęszył?

– Nie mam pojęcia. Ale do czegoś było mu to potrzebne. Przy okazji, trzeba mu przyznać, że jest nieźle poinformowany. I nicglupi.

– Co się dziwisz? Wszyscy dyplomaci są szpiegami, choć nie wszyscy szpiedzy są dyplomatami.

Rozległ się głośny szelest i obok nich przepłynęła lady Hersenda – w ruchu przypominała niezgrabną dżonkę.

– Ach, to pan, młody człowieku – przyhamowała i uprzejmie skinęła dłonią Leonowi.

Poseł odpowiedział ukłonem.

– Pani...

Lady Hersenda zwróciła się do Soreille:

– Idź, moja droga. Poczekaj na mnie na zewnątrz – i lady ponownie spojrzała na Leona: – Wasz minstrel opowiadał o pańskich wyczynach. Przyznam, że przedtem uważałam ich opowieści za mocno przesadzone, ale przecież wasze przygody były prawdziwe, nieprawdaż?

Soreille opuściła oczy i przemknęła obok niczym srebrzysty cień.

– Wasza miłość, troszeczkę mógł je ubarwić... Odrobinę.

Jej dostojność odprowadziła wzrokiem Soreille.

– Bardzo miła, nieprawdaż? Trochę dziwna, biedaczka, ale bardzo miła. Jest w niej

coś takiego... A powinnam wam podziękować – od tej pory, kiedy ona jest przy mnie, jakoś mi lżej na duszy. Zawsze jest miło ujrzeć nową twarz.

„To przecież nieszczęśliwa kobieta – zrozumiał nagle Leon. – Nie jest panią swej woli. Wśród szlachetnie urodzonych zawsze tak się dzieje. Co prawda... Ali mówił coś o niej i Ansardzie...”

– Poślę Alfa, żeby wam zaśpiewał, pani... – zaproponował.

– To bardzo uprzejme z waszej strony.

Lady raz jeszcze łaskawie kiwnęła głową i popłynęła dalej. Przechodząc obok Ansarda zatrzymała się na moment, skinęła nań wyniośle, mężczyzna coś powiedział. Leon nie słyszał słów, tylko pełen szacunku ton... Na twarzy lady Hersendy nie było uśmiechu, tylko uprzejme zainteresowanie.

Licząc, że nie popełni żadnego nietaktu, poseł pospiesznie ruszył ku drzwiom, minął wychodzącą parę i wyszedł na zewnątrz. Powiew wiatru przyniósł mu zapach zgnilizny.

Przy wejściu czekała Soreille, kryjąca się przed deszczem pod wąskim okapem dachu. Leonowi znów się wydało, że dziewczyna lada moment rozplynie się w nadciągającym zmierzchu.

– Z tobą wszystko w porządku? – zapytał dręczony przez niezro zumiałe poczucie winy. – Dobrze cię traktują?

Usłyszawszy jego głos dziewczyna drgnęła nagle, a potem spuściła wzrok i odpowiedziała niemal szeptem:

– Dziękuję, panie.

– Gdyby ci było czegoś trzeba...

– O nie – zachnęła się pospiesznie. – Nie trzeba mi niczego. Próbowала cofnąć się cło kaplicy, zdążył jednak chwycić ją za rękaw.

– Ty co, próbujesz mnie unikać? Czy cię czymś uraziłem?

– Nie...

– Więc dlaczego?

– Panie, ja muszę iść. Lady Hersenda będzie się gniewać...

Naprawdę? A mnie się zdawało, że kazała ci poczekać tutaj. Popatrzyła na niego z przestrawieniem – w jej ogromnych oczach pojawiły się Izy.

– Soreille!

– Zostawcie mnie!

Wyrwała rękę i pobiegła z powrotem do kaplicy. Przez chwilę patrzył za nią z niedowierzaniem, a potem pokręcił głową.

– Posłuchaj – odezwał się Berg zadając pytanie jakby niechętnie.

– Czego chcesz od tej dziewczyny? Czemu robisz jej przykrość?

– Wcale nie chciałem sprawić jej przykrości – Leon skrzywił się z urazą. – Nie rozumiem...

– Spławiłeś ją, umieszczając we fraucymerze lady Hersendy. Dałeś jej jasno do zrozumienia, że nie jest ci potrzebna... A teraz, czemu jej dokuczasz?

– Wcale jej nie dokuczam.

– To czemu uciekła z płaczem?

– A skąd mam wiedzieć? Przyczepiłeś tę „pluskwę”?

– Osobiście umieściłem na płaszczu naszego dobrego lorda An-sarda. Boję się tylko, że niewiele będzie z tego pożytku. Ansard o niczym tutaj nie decyduje.

– Na razie...

– Myślisz, że będzie próbował wpłynąć na wujaszka poprzez Hersendę? Daj spokój, nie wygląda na intryganta. Jest za bardzo prostoliniorny. I co właściwie, prawdę rzekłszy, mógłby osiągnąć? Soler nigdy nie był potęgą militarną, a teraz... szkoda gadać.

– Diabeł nas podkusił na związanie się z tym Solerem. Trzeba było osiąść w Retrze... Tam choć teraz panuje spokój.

– Równowaga sił, mój drogi – odpowiedział znacząco Berg.

– Równowaga sił...

Może analitycy mieli rację – potężna i sprawnie rządzona Re-tra, otrzymawszy poparcie tajemniczej Terry, mogłaby zacząć marzyć o podbojach.

– Należy przypuszczać, że gdy jego dostojność postanowi zwrócić się z prośbą o pomoc do Retry, zabierze nas ze sobą – stwierdził Berg. – Jesteśmy przecież ważnym czynnikiem politycznym. Posłowie potężnego państwa sojuszniczego, przyjaciele jego dostojności i tak dalej...

– Dlatego ze skóry wyłaził, aby mnie odnaleźć.

– Daj spokój. To tylko polityka.

Leon poczuł przenikający go dreszcz. Po zamku hulał wiatr, jeźdźcy na gobelinach niegdyś jaskrawo barwieni utracili już kolory. Od tkanin ciągnęło ciężkim zapachem pleśni i mokrej wełny. Czemuż oni tutaj nie szklą okien?

– I jak się czujesz w roli straszaka?

– Musimy jakoś dożyć do przybycia Drugiej Kompleksowej, jeżeli trzeba, można zabawić się i w straszdyło. Czy to coś złego, że Or-son zacznie nas traktować z należytymi honorami? Myślę, że nie brak mu tu szpiegów. Cóż nam może grozić, Leonie?

Ach, pamiętał, jak wspaniale wyglądał zakotwiczony u brzegu, nieopodal niewielkiej rybackiej osady lekki okręt pod złocistymi żaglami (oczywiście kamuflaż z plastyku

i syntetycznych płócien, kruszyna, która nie mogłaby wytrzymać jednego poważniejszego sztormu). Jak dostojnie schodzili po trapie posłowie, odziani w jedwabie i aksamity, jak nisko kłaniała się ustawiona w szereg załoga (członkowie wracającej na Ziemię Pierwszej Kompleksowej, mającej swoją bazę na pustynnej wysepce w delcie rzeki), jakże pełne godności i powagi były ich twarze (wszyscy wypychali jeźorami policzki, śmiejąc się w kułak). Z jakim zachwytem patrzyli na przybyszów członkowie załogi maleńkiego posterunku (maleńkiego, ponieważ wybrzeże od wieków było puste), kiedy Berg, władczy gestem podniósłszy rękę, polecił: – Zaprowadźcie nas do swojego władcy.

– Ale widzisz... Caned Założyciel zaczynał z garstką towarzyszków... a skończył jako władca imperium.

– Według ciebie zatem – nachmurzył się Berg – powinniśmy trzymać się Ansarda?

– On właśnie do tego pije... mam na myśli Ansarda. A Ermold napomyka, że należy trzymać się Retry. Postawiliśmy nie na tego konia, Berg.

– Poczekaj... – powstrzymał go Berg. – Poczekaj i nie gorączkuj się. Sam powiedziałaś, i słusznie, że nie jesteśmy związani wasalną przysięgą. Możemy wybierać i nikt nas za to nie będzie winił. A już z pewnością nie Terra. Zobaczymy... jeszcze jest czas.

– A ja mam przecucie – stwierdził gorzko Leon – że akurat czasu już nie mamy.

Alf wsunął się w drzwi tak bezszelestnie, że Leon aż się wzdrygnął.

– Co jest? – zapytał z niezadowoleniem.

– Panie – odezwał się młodzik szeptem – chciałbym, żebyście na coś popatrzyli...

Tylko...

– Tak?

– Ostrożnie i z daleka.

– Twoja ciekawość kiedyś cię zgubi – warknął Leon. – No więc, co tam?

– Nie tutaj – jak przedtem cicho stwierdził sługa. – W czeladnej...

Berg odwrócił się do Alfa plecami i zakrył dłonią fon.

– Idźcie, idźcie – mruknął. – Ja mam co robić.

W czeladnej panował półmrok... Jak wszędzie. Dymiła i kociła iedyna pochodnia, umocowana w miedzianej kunie. W kącie na materacu spał chłopak stajenny.

– I co? – zapytał Leon ze złością. Posadzka była zimna – chłód wyczuwało się nawet przez podeszwy miękkich, skórzanych trzewików.

– Panie, weźcie pochodnie – po twarzy Alfa pełzały cienie. – Tylko nie podchodźcie za blisko.

Z niewiadomej przyczyny przykrywając usta i nos połą kaftana podszedł do materaca i przewrócił śpiącego na plecy. Ten się nawet nie przebudził!

Leon poczuł, że chłód sięga wyżej – teraz dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Co to? – zapytał także szeptem.

– Na szyi, panie – stwierdził ponuro Alf. – I pod pachami. Chcecie popatrzeć?

– Nie – odpowiedział Leon. – Nie chcę. Posłuchaj... bierz nogi za pas i co tchu gnaj do ambasadora Berga, powiedz mu, że Leon kazał cię zaszczepić. Powołaj się na wcześniejszą rozmowę. I nie odchodź, dopóki... nie zamówi cię przeciw zarazie. Najlepiej w ogóle nigdzie nie łaź, słyszysz?

– Lady Hersenda kazała, żeby wieczorem przyjść i jej pośpiewać.

– Do lady Hersendy możesz iść. Ale pamiętaj – tutaj cię nie było! Niczego nie widziałeś, niczego nie słyszałeś, rozumiesz?

– Czego tu nie rozumieć, panie?

– Zuch! A teraz idź.

Leon odprowadził zwiastuna złych wieści wzrokiem. „Mam nadzieję, że Berg się domyśli, by oprócz szczepionki wstrzyknąć mu preparat antyhistaminowy – diabli wiedzą, jak zareaguje na obce białko”.

Odczekał jeszcze chwilę, a potem ruszył do komnat margrafa – korytarz, schody i jeszcze jeden korytarz. W drzwiach stał gwardzista.

– Zamelduj mnie jego wysokości – polecił. – Sprawa niecierpiąca zwłoki...

– Spodziewałem się tego – stwierdził margraf ze spokojem – choć nie tak skoro. Co wam kazało zająć do czeladnej, panie ambasadorze?

– Szukałem sługi – Leon pokręcił głową, wyrażając dezaprobatę.

– I nie znalazłem go w czeladnej... w kuchni siedział, żeby go kolki sparły...

– On wie? – zapytał szybko margraf.

– Nie, wasza dostojność.

Leon zamierzał dodać, że i ambasador Berg też nie wie, ale się rozmyślił.

– Wasza dostojność niech się nie trapi – nikt się nie dowie. Nie od nas, w każdym razie.

– To dobrze – stwierdził margraf z zadumą. – A wy sami, messer Leonie, nie boicie się zarazy?

– Nie – odpowiedział Leon szczerze. – Lekarze Terry, to wielcy medycy... i przewidzieli taką możliwość.

– Macie odpowiednie zaklęcia?

– Przeciwko zarazie – tak.

– Zabawne – mruknął margraf – ale ja bym tym zakłębom za bardzo nie ufał. Kto stoi na warcie przy drzwiach zewnętrzných?

– zwrócił się z pytaniem do gwardzisty.

– Ludzie lorda Ansarda, wasza dostojność.

– Bardzo dobrze. Wezwijcie Warrena. A wy, panie ambasadorze, poczekajcie chwilkę.

– Weźmiesz dwóch ludzi – chwilę potem margraf zwrócił się do stojącego w drzwiach Warrena. – Niech wyniosą to truchło za wrota, obleją olejem i podpalą... Potem... sam wiesz, co robić... Weź takich, których nie będzie ci szkoda.

Warren kiwnął głową bez słowa.

– I na razie milcz. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, wasza miłość – odparł zwięźle Warren, skłonił się i szybko wyszedł.

– Zechce pan przekazać ambasadorowi Bergowi, że obaj pojedziecie ze mną do Retry. Wyjeżdżamy w południe. A teraz, messer Leonie, chciałbym zostać sam.

„Pluskwa” spisywała się nienajgorzej, ale na razie nie było czego podsłuchiwać – tylko chlupot wody w misie do mycia, Ansard nucący jakąś piosenkę... Odprawiający służącego... Zrobiło się całkiem cicho i Berg podniósł oczy. W drzwiach stała Soreille – mógłby ją wziąć za blade widmo, które przypadkowo przybłąkało się tu z rodzinnych krypt, gdyby nie światło umocowanych po obu stronach drzwi pochodni, otaczające jej sylwetkę falą ciekłego ognia. Przez jakiś czas patrzyli na siebie bez słowa. Berg usiłował wymyślić coś, czym mógłby zacząć rozmowę i jej nie odstraszyć, ale zanim mu się udało, dziewczyna wślizgnęła się do komnaty i płynnym, bezszelestnym ruchem zrzuciła z ramion opończę...

W oknie kłębiły się teraz pasma wilgotnego mroku, ale za dnia zobaczyłby narożną basztę, a za nią szarą, wzburzoną rzekę i rozmiękłą drogę. Zupełnie inny pejzaż niż zielone jodły i pasmo niebieskich gór na horyzoncie, które zapamiętał z sypialni w Worlandzie.

Prymas siedział w komnacie dla gości – kruchy, nastroszony, chowający zmarznięte dłonie w szerokich rękawach wełnianego kaftana.

Służby w komnacie nie było – przy drzwiach stał tylko gwardzista, który wpuścił kapłana. Lord Ansard sam nalał trunku ze stojącego na kracie kominka do ciężkiego, srebrnego kubka.

– Proszę, niechże się wasza świętobliwość rozgości – powitał go ścia Ansard. –
Może wina?

Prymas przecząco pokręcił głową.

– Nie bardzo rozumiem, po co mnie wezwaliście.

– Jestem tu człowiekiem nowym – stwierdził Ansard, siadając naprzeciwko prymasa.
– Postronnym. A państwowa polityka, to sprawa bardzo delikatna. Możliwe, że czegoś
nie pojmuję i potrzebni mi mądrzy doradcy...

Kubek odbijał czerwoną barwę płomieni bijących z kominka i wydawało się, że
w dłoniach trzyma roztopiony metaliczny żar.

– Skromność godna pochwały – stwierdził sucho prymas. – Ale czemu nie zasięgnąć
rado u jego dostojności... i waszego krewniaka?

– Zawsze dobrze jest poznać sprawy z dwóch punktów widzenia...

– Cóż... – skwitował to prymas głosem dość niepewnym.

– Ot, na przykład hercog Orson... ludzie mówią, że nie należy cło hojnych. I ostrzy
sobie zęby na Soler. Dopóki mieliśmy siłę...

– Może i nie jest, jak mówicie, panie, osobliwie hojny – sprzeciwił się prymas – ale
o ile wiem, nie należy także do głupców. Skąpstwo ma swoje dobre strony... mówi się, że
taniej jest handlować niż wojować.

– Soler jest słaby. Czemuż by hercog nie miał skorzystać z dogodnego momentu i nie
zając go zbrojnie?

– I otrzymać prowincję dręczoną głodem? Bunty i rozboje – pod samym bokiem?
Tym bardziej, że Soler nie jest aż tak słaby. W każdym razie ma sojuszników...

– Słusznie – stwierdził powoli Ansard. – Terranie. Ci posłowie... Czy nie wydaje się
waszej świętobliwości, że są nieco... dziwni? Do Worlandu docierały rozmaite słuchy...

– Czy mi się nie wydaje? A właściwie, co miałyby mi się wydawać? – zdziwił się
prymas.

Ansard nie odpowiedział od razu. Przez chwilę obracał w dłoniach kubek. Potem
odezwał się niepewnym głosem:

– Niechże mi wasza świętobliwość odpowie... czy wszystkie te... nieprzyjemności...
nie zaczęły się z pojawieniem posłów? Kiedy wylądowali na naszym brzegu? Pod koniec
zimy? Przedtem Soler rozkwitał...

– Bzdura – odparł prymas zmęczonym głosem. – Za kogo ich uważacie, panie? Za
aniołów śmierci? Za posłańców Mrocznego? Za Mścicieli?

– To zależy od tego – zauważył Ansard – kim są naprawdę.

– Może to wyda się wam dziwnym, mój panie – uśmiechnął się prymas – ale nie
jestem człowiekiem przesądnym.

– Nie da się jednak zaprzeczyć istnieniu pewnych niefortunnych zbiegów okoliczności. Ten potop... głód... czy waszą świątobliwość nie trwoży myśl, że udręczeni tak licznymi przeciwnościami losu ludzie mogą się odwrócić od prawdziwej wiary?

Kapłan zmrużył powieki.

– Posłuchajcie, panie... Wzrusza mnie wasze zainteresowanie, ale moja trzódka, to poddani jego wysokości. On odpowiada za ich ciała, a ja – za ich dusze. Czemu nie podzielicie się swoimi troskami właśnie z nim?

– Na jego miejscu zostawiłbym wam szerokie pełnomocnictwa.

– Nie jesteście na jego miejscu – stwierdził sucho prymas. Przez jakiś czas patrzyli jeden na drugiego i milczeli. Za oknem szum deszczu przypominał łoskot butów maszerującego wojska. Na ścianie trzeszczała i kopała płomień pochodni.

– Kiedy był jeszcze dzieckiem – głos prymsa zabrzmiał łagodniej – uczyłem go geografii i historii. Nie mogę rzec, że należał do pilnych uczniów, ale już wtedy był sprawiedliwy i potrafił nie poddawać się emocjom. Zapowiadał się na dobrego władcę. I takim się okazał. Oczywiście, może się niekiedy myli – jak my wszyscy. I żał mi będzie, gdy się okaże, że rozgniewał czymś Dwójce... Jeżeli faktycznie tak było...

– Mnie też byłoby żal – odpowiedział Ansard zamykając temat.

Ale mimo wszystko, chciałbym wiedzieć coś więcej o Terrariach. Na czym się zasadza potęga ich państwa? Na sile orężnej?

– Trzeba stwierdzić, że poprzywozili rozmaite dziwne przedmioty – zauważył prymas. – Niektóre nie wiadomo, z czego zostały zrobione, inne nie wiadomo, do czego służą...

– A!

– Cóż zrobić, ciekawość ludzka to zaraźliwa przywara – westchnął jego świątobliwość. – Ale i zrozumiała. Co by to jednak nie było – nie jest orężem. To ludzie miłujący pokój, zawsze rozmawiali przyjaźnie. Nie rzucali żadnych gróźb...

– Nie było im to potrzebne. Jak się ma za plecami potężne państwo...

– Ale bardzo odległe.

Owszem. – Lord wstał i spłoszony płomień uskoczył w bok, rzucając na ścianę ogromny czarny cień. – Bardzo odległe. Dziękuję waszej świątobliwości za okazaną mi cierpliwość. Proszę o wybaczenie, że zająłem tyle cennego czasu.

– To nieważne – odparł kapłan ze znużeniem w głosie. – To tylko czas, i nic więcej.

Także wstał, ale zamiast skierować się do drzwi, podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Przez chwilę patrzył z napięciem w mrok. Potem się cofnął i znużonym gestem przesunął dłonią po powiekach, by otrzeć z nich wodny pył.

– Serce mi się kraje – stwierdził obojętnie. – Szykuje się coś strasznego. Dobrej nocy

życzę, milordzie.

– Owszem – odparł powoli Ansard. – Ja też życzę dobrej nocy waszej świętobliwości.

Lady Hersenda odłożyła na bok robótkę z haftem. Zbyt wielki mrok panował w dzień – jak na tę porę roku.

– Messer Leon opowiadał, że potrafisz zabawiać ludzi.

– To mój zawód, pani – odpowiedział Alf.

– Wcześniej bywało wesoło – westchnęła lady Hersenda. – Zwłaszcza wiosną... O tej porze akurat drzewa okrywały się kwiata mi... płatki tańczyły na wietrze... A teraz leje deszcz, a serca gniecie smutek. Soreille, podaj mi płaszcz. Ten podbity futrem. Zimno mi.

Dziewczyna wypłynęła z kąta niczym bezgłośny cień i otuliwszy ramiona pani ciężkim płaszczem, usiadła na maleńkim taboreciku u jej nóg.

– Dawniej wszystko wyglądało inaczej – ciągnęła refleksyjnie. – Żyliśmy pełnią życia... Wiezorami zbieraliśmy się w paradnej, minstrele zaczęli snuć pieśni. Mówią, że muzyka nie jest ci obca, chłopcze?

Okna były zaciągnięte ciężkimi zasłonami, na kominku paliły się grube kłody drewna, żeby przegnać wilgoć, ale kaganki tliły się nikłymi płomykami. Altowi wydało się, że komnata istnieje w oderwaniu od świata, poza zwyczajnym cyklem dnia i nocy.

Westchnął i opadłszy na jedno kolano musnął palcami struny lutni. Nienawidził śpiewów o pustym żołądku.

– O piękna damo, za cudne kryształy, Za blask ich dziwny, ukrytą w nich woń, Kopię i miecz swój kupcowi oddałem, I dom przepiękny, moich ojców dom. I niczym nędzarz straciwszy pieniądze Błagam pokornie, utul moje żądze.

– Na cóż mi pyszne wonie; w mym ogrodzie Wśród róż się równie piękny zapach rodzi. Na cóż mi kryształ, gdy w iskier zamieci Kroplami rosy każdy krzew się świeci.

– O piękna damo, ta suknia trefiona Wzrok cieszy, niczym fala z pian zrodzona; Oddałem za nią konia i psy gończe – spójrz na mnie, pani, bo wnet życie skończę!

Znacznie piękniejsze niż tej sukni gładzie Są światła błyski na mym wodospadzie; A tęczy blaski i jej barwne lśnienie Są mi cenniejsze, niż drogie kamienie.

Robótka ześlizgnęła się z kolan lady Hersendy, ona jednak tego nawet nie zauważyła. „No i popatrz, płacze... – pomyślał Alf. – Nie inaczej, bo wszystkie baby są głupie, a ta nie jest mądrzejsza od innych. Nie chce widzieć, co się wokół dzieje. Nie dostrzega, że ludzie mrą jak muchy – ale wystarczy jej zaśpiewać coś smutnego i od razu zaleje się łzami”.

- O piękna damo, sprzedałem swą zbroję Zostało mi już tylko serce moje:
Nikt się nie skusi na dar tak ubogi, Zmarnieje jeno, nie wszedłszy w twe progi.
- Choćbym mój cały ogród przeszukała Równego skarbu nigdym tam nie miała!
Wejdz między róże, kędy szemrzą liście I rosa w trawie ściele się perliście...

– Jego dostojność jutro wyjeżdża do Retry – stwierdziła lady z rozmarzeniem w głosie. – Mówią, że tam jest pięknie. Twoi panowie też jadą?

– Myślę, że tak, pani.

– A... lord Ansard?

– Pani powinna wiedzieć lepiej, milady. Ale myślę, że tak... jego żołnierze są teraz przy jego dostojności, margrafie. A on jest przy swoich żołnierzach...

– Mężczyźni lubią wojenne sprawy – stwierdziła lady Hersenda. Dokładnie takim samym tonem mogłaby rzec: „Dzieci lubią swoje zabawki”.

– Cóż począć, pani – odpowiedział Alf wzruszając ramionami.

– Iaka już nasza natura.

– Piękne śpiewasz pieśni – oczy pani zamku znów się zamglily.

– Sam je tworzysz, czy śpiewasz ze słyszenia?

– Nie wiem, pani – Alf wzruszył bezradnie ramionami. – One... one po prostu są i tyle.

Lady Hersenda wdzięcznie kiwnęła głową:

– Dobrze, że jeszcze istnieją. Soreille, zadbaj, żeby tego chwata nakarmiono. I nie tym, co jedzą w czeladnej. Zasluguje na coś z pań skiego stołu, moja droga.

Alf skłonił się tak nisko, jak to tylko było możliwe. „Jednak wie co nieco o mężczyznach” – pomyślał, idąc za Soreille w stronę kuchni.

– Gdzie ty się włóczysz, niech cię szlag? – zapytał Leon z gniewem w głosie. – Kazałem ci nie ruszać się z miejsca.

– Ale jej dostojność...

– No dobrze. Berg, dałeś mu szczepionkę?

– Tak – odparł ponuro Berg. – Dałem.

– No to zbieraj się, chłopcze – Leon usiadł na łóżku i podał Altowi nogę, by ten ściągnął z niej but. – (utro ruszamy do Retry).

– A co ja mam do zbierania? – radośnie odparł sługa. – Raz dwa i możemy jechać...

– To spakuj nasze rzeczy. Terrańscy ambasadorowie powinni wyglądać godnie.

– Jego dostojność ma chyba nadzieję kupić zboże – stwierdził sługa. – No, to się hercog ucieszy... Soler z Mercją nie to, żeby walczyły, ale kiedyś był tam jakiś spór...

– Więc co? Hercog Orson ziarna nie sprzedaje?

– A to czemu? Sprzedaje, sprzedaje, ale pierwej się nasyci naszym poniżeniem.

– Bywałeś w okolicach Retry?

– Bywałem. W samej Retrze też.

– I jaka ona jest?

Alf się zamyślił.

– Retra? No, nie lada miasto. Soler nie może się z nią równać. A już pałac... – gdzież tam do niego zamkowi jego dostojności. W środku nie byłem, wiadomo, ale mi opowiadano – wszędzie złocenia, mozaiki, marmury... A jeszcze tamtejszy hercog uwielbia wszelkie mechaniczne zabawki – mówią, że jest tam złote drzewo z jaspisowymi jabłkami, na którym nakręcane ptaszki piosenki zawodzą.

– Jasne – rzekł Leon. Coś go gryzło, ale za nic nie mógł się zorientować, z czym jest związane ten nieokreślony, ale wyraźny niepokój.

– Posłuchaj, a jak się ma nasza Soreille?

Alf pokręcił głową.

– Pani ją chyba bardzo polubiła. Dziewczyna nie opuszcza jej komnat. A w ogóle to ona jest taka jakaś... cicha, i trzyma się na ubo czu.

„O właśnie – pomyślał Leon. – Niczego nie czuję. Jeszcze tak niedawno na sam jej widok dech mi zamierał w piersiach, a teraz czuję tylko osobliwą pustkę... jakby nigdy nic między nami nie było”.

Zmusił się do otwarcia ust:

– Pogadaj z dworzanami, żeby jej który nie skrzywdził podczas naszej nieobecności.

– Któżby chciał skrzywdzić przygłupią dziewczkę? – zdziwił się Alf.

– Toć to grzech.

Berg drgnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał.

– No i dobrze. Weź paradne szaty, te wyszywane złotem i je wyczyść, a potem zapakuj starannie. I nie wchodzi bez stukania w drzwi, zrozumiałeś?

Leon zostawszy tylko z Bergiem otworzył ciężki, okuty kufer i ostrożnie przesunął palcami po jego dnie, szukając ukrytego zamka. Wreszcie wymacał odpowiedni gwóźdź – rozległo się ciche szcęknięcie i otworzyło się wewnętrzne wieko tajnej szkatułki. Leon

wsunął dłoń w szczelinę.

Takie ukrywanie drogocennych kamieni było ryzykowne – miejscowi złodzieje wszędzie potrafią się wcisnąć, ale zabieranie ich ze sobą byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne.

Sięgnąwszy w głąb wyjął cztery duże kamienie, oszlifowane w prawidłowe rozety. Blask pochodni odbity od diamentów miotał snopy barwnych iskier na ściany i posadzkę.

– Wystarczy? – zapytał.

– Mam nadzieję – Berg z roztargnieniem spojrzął na lodowate bryłki, z których łało się zimne, czyste światło. – Brylanty są tu w cenie, a to dobre kamienie. Przypuszczam, że są warte przynajmniej połowę skarbca jego dostojności. Niech oceni nadworny jubiler, a my zedrzemy z margrafa... powiedzmy, trzy procent rocznie.

– Nie za wiele będzie?

– Mniej wyda się podejrzan. A potem Terra daruje mu dług.

– A jak się nie dogadają?

– Ha! Nie warto się martwić na zapas. Zobaczmy...

– Co u Ansarda?

– A co miałyby być?

– No... chyba miałeś go podsłuchiwać?

– On chyba w ogóle nic nie mówił – niechętnie wydusił z siebie Berg. – A jeżeli nawet, to nieistotne drobiazgi.

– Czyli niepotrzebnie podrzuciliśmy mu „pluskwę”?

– Czemu od razu niepotrzebnie? A nuż jeszcze się przyda?

– Dobra – mruknął Leon. – Może się przyda...

Śniło mu się, że mrok za oknem zgęstniał i przekształcił w substancję, podobną do eteru z wierzeń starożytnych Greków. Jednak ten eter przesycony był korowodem widm – mieszaniną niewyraźnych głosów i rozmytych obrazów, które raz objawione nie znikają, lecz błakają się w wilgotnym powietrzu... i trzeba je tylko rozpoznać. On jednak nie umiał. „To dlatego, że widzisz tylko zewnętrzną stronę” – stwierdził ktoś. – „Nie rozumiem? – zdziwił się. – A jest coś jeszcze?” – „Podszełka – odparł surowy głos. – Istota rzeczy”. „Ale podszełka i istota rzeczy nie są tym samym”. „Czyżby?” – zdziwił się ów ktoś i zaczął się rozmywać, znikać, a mrok napływał, niczym ożywiona pościel i zaczął go dławić...

Obudził się.

Szelest.

– Do diabła – mruknął. – Ani chybi, szczury.

Był niemal rad temu, że szmer wytrącił go ze snu, przerywając koszmar, ale szczury... Nienawidził szczurów – było to mroczne, atawistyczne uczucie, obrzydliwe i nicujące żołądek.

Odrzucił podbitą futrem kołdrę i ostrożnie wstał, ściskając w dłoni ciężki trzewik. Węgle w kominku rzucały odblaski na posadzkę i ściany, ale światło było przytłumione i czerwone. Kąty komnaty tonęły w mroku.

Szelest ucichł. Ostrożnie położył trzewik na podłodze, czując się jak kompletny idiota, a potem ujął w szczypce jeden z węgielków i zapalił knot oliwnej lampki. Drżący płomyk wydał mu się zaskakująco jaskrawym.

Jemu, znającemu oświetlenie elektryczne! Kiedyś...

Podniósł wysoko kaganek, oświetlając komnatę. Na ścianie coś błysnęło, niczym przelatująca iskra, blade migotliwe przywidzenie – i nie były to szczurze ślepie.

Podszedł do źródła światła. Już po tym, jak zamigotało, kiedy chybnął się trzymany przezeń kaganek, pojął, że to wcale nie światło, lecz odbicie płomienia – widmowy kryształek, nie wiedzieć po co wmontowany w wilgotny kamień.

Podszedłszy bliżej musnął świecidelko palcami... i przekonał się, że to nie jest szkło... raczej kryształek kwarcu... albo w ogóle coś zupełnie innego. Kryształ oszlifowany tak precyzyjnie i drobno, że z odległości dwóch kroków wydawał się zupełnie gładki. Z bliska migotał odblaskami, niczym fasetowe oko owada. Ozdoba? Amulet? W każdym przypadku dziwaczna technologia.

– Alf! – zawołał. Odpowiedziało mu milczenie.

– Cholerny śpioch – warknął i zajrzał do przedpokoju.

Alf leżał pod ścianą. Ułożył się na rzuconym w kąt materacu i naciągnął na twarz koc – wyglądał jak mumia, która częściowo utraciła swoje dostojeństwo.

Leon klęknął i potrząsnął młodzika, przypuszczalnie za ramię.

– Ej! Obudź się!

Spod koca wyłoniła się rozczochrana głowa.

– Co się stało, panie? Wszystko już spakowałem, nie trapie się.

– Co spakowałeś? – Dopiero teraz Leon przypomniał sobie, że kazał Alfowi zająć się przygotowaniami do jutrzejszej podróży. – Spakowałeś nas, to dobrze. Teraz chcę, abyś coś obejrzał.

– A rano nie można? – ziewnął Alf.

– Owszem, można. Jeszcze raz, jeżeli zechcesz. Przecież i tak się obudziłeś. Prawda?

Alf niezbyt chętnie wylazł spod koca.

– No co tam, panie? – wymamrotał.

– Szczur – wyjaśnił Leon. – W mojej komnacie.

– No co wy, panie! – Alf wybałuszył rozespiane oczy. – To przyłóżcie mu butem i po krzyku!

„Ależ przyglup z tego ambasadora! – można było wyczytać z jego twarzy. – Ze szczurem nie umie się rozprawić”.

– No, chodźmy, chodźmy... – nie ustępował Leon.

Weszli do jego komnaty. Alf potykał się i przecierał oczy, na wszelkie sposoby demonstrując swoje niezadowolenie.

– Weź kaganek – polecił Leon. – O, na tej ścianie.

Alf pokornie wziął kaganek, doszedłszy najwidoczniej do wniosku, że z przyglupem nie ma się co spierać.

– Akurat, będzie tu siedział i czekał – warknął gniewnie. Podniósł kaganek wyżej, żeby oświetlić całą ścianę i powiódł nim z boku na bok. Po komnacie rozbiegły się cienie – niczym dziesiątki szczurów.

– No proszę, panie! – odezwał się uspokajająco. – Uciekł.

– No tak! – w głosie Leona zabrzmiał sztuczny entuzjazm. – Ej, a to co?

– Gdzie?

– No, ta błyskotka.

Przez chwilę wydawało mu się, że Alf po prostu niczego nie widzi – i ogarnęła go dziwne uczucie, że coś takiego już przeżył.

– To? – Alf zabawnie, na ptasią modłę przechylił głowę w bok. – Oko Karny.

– Tak? A po co to jest?

– Och, panie... Po prostu ozdoba. Żeby było ładniej.

„Nie, on chyba rzeczywiście uznał mnie za idiotę”.

– Daj spokój, chłopie. Co to za ozdoba w ścianie? Popatrz, wystarczy odejść na kilka kroków i w ogóle tego nie widać!

– Z nimi tak zawsze – odparł Alf ze znużeniem w głosie. Wolną dłonią przetarł zaspane oczy. – Kto to może wiedzieć, czemu je dawniej wtykali w ściany? To było tak dawno...

– Teraz ich nie robią?

– Nie panie. Najwyraźniej sekret został zapomniany. A wam po co wiedzieć?

– Po nic. Posłuchaj... obudź ambasadora Berga. – Wyobraził sobie dokładnie, co powie obudzony w środku nocy Berg. – Nie, dobra, idź spać. Ja sam...

„Trzeba by analizatorem...” – pomyślał. Jakaś dziwna struktura... niby kwarc, albo szkło, ale przeczuwał, miał niemal pewność, że to wcale nie szkło. Coś organicznego? Skąd mu się wzięło uczucie, że... to-to... jest żywe.

Narzucił kurtkę na ramiona i wyszedł na korytarz. Tu już było zupełnie nieprzytulnie.

Górą ciągnął wiatr, wpadający przez wąskie, strzeliste okna umieszczone wysoko pod sklepieniem. W odległym końcu korytarza migotało światelko jedynej pochodni – posadzka i sklepienie tonęły w mroku, jak w wodzie.

I nagle zobaczył Soreille.

Wydało mu się, że wyłoniła się znikąd – przed chwilą korytarz był pusty, i proszę, środkiem idzie dziewczyna oświetlona migotliwym światłem pochodni. Wtuliwszy się w ścianę Leon patrzył, jak przechodzi obok, powoli i płynnie; jej blada zazwyczaj twarz nabrała delikatnie różowej barwy, niczym płatek kwiatu brzoskwini, a szare oczy lśniły wewnętrznym blaskiem. Nieruchome spojrzenie przesunęło się po Leonie, w ogóle go nie dostrzegając. Dziewczyna przeszła obok bez słowa, nie zmieniając wyrazu twarzy, a jedynym dźwiękiem, jaki jej towarzyszył był szelest płaszcza po płytach posadzki.

„Szła niczym mechanizm – pomyślał Leon – ale mechanizm ożywiony, oddychający i czujący”. W końcu się zatrzymała i ostrożnie uchylwszy drzwi przestąpiła próg komnaty. Płaszcz powoli ześlizgnął się z jej ramion i został na progu, niczym pusta powłoka. Leon przemógł chwilowe oczarowanie i ruszył za nią. Pod drzwiami ostrożnie odsunął nogą płaszcz, ale pomyślawszy przez chwilę, zatrzymał się w pół kroku. Drzwi, w które weszła Soreille, wiodły do komnaty BergaAlf już spał, ponownie zawinięty od stóp po czubek głowy, jak ludzki kokon. Leon przeszedł obok do swojej komnaty, wyciągnął się ze znużeniem na łożu i zasnął. Knot w kaganku trząsał i kopał, dopóki się całkowicie nie wypalił. Wtedy ciężkie, rzeźbione łoże ze wszystkich stron obstały cienie.

Nad wzgórzem i zamkiem zwisało pokryte chmurami niebo. Jednak sącząca się z niego jasność przypominała blask księżyca, choć pozbawiona była właściwej światłu miesiąca zimnej wyrazistości. Spod chmur spływała ciężka, rozmyta poświata.

Na dziedzińcu zamkowym przygotowania do wyjazdu szły pełna parą: ślizgając się w gęstym błocie człapały konie i ze znużeniem przekrzykiwali się żołnierze. „Wygląda na to – pomyślał Leon, obserwujący to wszystko z okna – że jego dostojność zamierza wyjechać z odpowiednią pompą. To nie wycieczka do Jeziora Murcjańskiego – stuosobowy orszak to delegacja robiąca wrażenie”.

Było mu jakoś smętnie na duszy. Nijak nie mógł określić przyczyn tego smutku – miał tylko podskórne przeczucie, podobne do tego, jakie ogarnia człeka przed burzą.

W doskonale poukładanym świecie na dalekiej Ziemi, w którym nie zdarzały się i nie mogły się zdarzyć żadne kataklizmy, człowiek chcąc nie chcąc przyswoił sobie osobliwą wrażliwość, podobną do wrażliwości napiętej struny, reagującej na przypadkowe drgnięcia powietrza i każde delikatne muśnięcie, ale pękającej pod silniejszym

naciskiem.

Do komnaty wszedł Berg. Miał niewzruszoną minę człowieka, dla którego podróż, w jaką się wyprawiali, jest tylko nieznaczną, choć nieco dokuczliwą, przeszkodą.

– Spakowany? – zapytał. Leon kiwnął głową.

Prawie. Zejdziemy, jak tylko pojawi się jego dostojność. Teraz z kolei Berg wyrzwał przez okno i przez chwilę patrzył na krzątanicę.

– Zdaje się, że obu nam przyjdzie jechać powozem, nie konno...

– I bardzo dobrze. W takim deszczu...

Nie wiedzieć czemu odczuwał zmęczenie – nie chciało mu się o niczym rozmawiać, a myśl o czekającej ich podróży nie budziła w nim radosnego podniecenia. Jedynie rozdrażnienie, że przyjdzie im paćkać się w błocie i jechać do Retry – tak samo śmierdzącego i zatłoczonego miasta, jak wszystkie na tym zapyziałym świecie.

Obrzucił komnatę roztargnionym wzrokiem – rano, kiedy pogaszono pochodnie, wydała mu się jeszcze bardziej mroczna niż nocą. Ale zaraz...

– Znalazłem tu pewną ciekawostkę. Diabli wiedzą, co to takiego... Alf stwierdził, że to ozdoba...

– Czyli ozdoba – odparł obojętnie Berg.

– Nie wiadomo tylko, co ma ozdabiać. Tkwi w ścianie, trudno ją w ogóle zauważyć... Z jakiegoś dziwnego materiału. Niby szkło, ale takiego szkła chyba tu nie robią...

– Nie ma czegoś takiego.

– Nie ma? No to sam zobacz!

Podszedłszy do ściany już miał tknąć w migotliwe oczko... ale nagle się zorientował, że intrygujący go przedmiot znikł. Przed nim była zwykła ściana.

– No, gdzie? – zapytał z tyłu Berg.

– Znikło – odwrócił się z wahaniem. – Jak to... niczego nie rozumiem... Alf też to widział... Powiedział, że czasami widuje się takie błyskotki w bogatych domach. Nazwał to Oko Karny, czy jakoś tak...

– Więc zabrał to – podsunął Berg. – Chłopak niby sroka, zbiera wszystko, co leży luzem...

– No... nie wiem. Zaraz go zapytam.

– fest na dziedzińcu. Układa rzeczy na powozie. Potem go zapytasz.

Mówiąc to Berg zrobił nieco cierpiętniczą, lecz zarazem kpiącą minę – jak dorosły, który z braku lepszego pomysłu przytakuje głupim dziecięcym fantazjom.

– Dobrze zniósł szczepienie? – Leon ma wszelki wypadek postanowił zmienić temat.

– I tak mają wyjechać, nie zabiorą przecież tajemniczego oka ze sobą.

– Normalnie – stwierdził obojętnie Berg. – Nie trzeba było nawet antidotum

histaminowego. Spłynęło po nim, jak woda po gęsi...

– Wiesz, cały czas sobie myślę... Czy nie powinniśmy podarować zamówionej wody jego dostojności? Byłoby to co najmniej pięknym gestem z naszej strony...

– Może by i było – Berg uciekł ze wzrokiem w bok – ale nie mamy już ampułek.

– (ak to, nie mamy?)

– Dałem szczepionkę Soreille...

– Soreille?

– Jest narażona na nie mniejsze niebezpieczeństwo.

– Ale... posłuchaj, Berg... Ty co, spiknąłeś się z tą dziewczyną?

– Nie lubię określenia „spiknąć się” – odpowiedział powoli Berg.

– To... nic z tego nie będzie.

– I ty mi to mówisz? – zdziwił się Berg.

– Posłuchaj – rzucił pospiesznie Leon – wiem, że ona jest piękna, ale...

Zająknął się, bo sam nie bardzo wiedział, co ma rzec. W końcu wydusił z siebie:

– Berg... w tym wszystkim jest coś... podejrzanego.

Berg patrzył nań w milczeniu swoimi jasnymi oczami, aż Leon poczuł się jak kompletny idiota. Mimo wszystko postanowił kontynuować wątek:

– Ona... Soreille, znaczy... nie wiadomo skąd wie, jak podejść każdego z nas. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, była taka bez bronna i nieszczęśliwa, jak przerażone dziecko... po prostu nie mogłem jej niczego odmówić. Sam mówiłem, że zachowuję się głupio. Po tem była nijaka – po prostu szła razem z nami... doszedłem do wniosku, że straciła rozum pod wpływem przeżytych nieszczęść. I nagle znów się przeobraziła – Berg, ona jest taka, jaką ty chcesz ją widzieć. Dlatego nie zdołałeś się jej oprzeć – ona jest uosobieniem marzeń...

I nagle, niespodzianie dla siebie samego wypalił:

– Ona jest wiedźmą!

Pod nieruchomym wzrokiem Berga poczuł, że zalewa go gorąca fala wstydu.

– Zwariowałeś – stwierdził powoli Berg.

– Posłuchaj...

– Zwariowałeś. Zawsze podejrzewałem, że jesteś niezbyt stabilny psychicznie, ale nie meldowałem – nie chciałem ci niszczyć kariery. Ale tak właśnie myślałem. Za cienką masz skórę do tej roboty. I nagle się załamałeś – teraz, kiedy ugrzęźliśmy na tej planecie. W samym środku nocy zwidują ci się jakieś cuda – popatrz tylko na tę ścianę, czy można w nią coś wmontować? Stałeś się przesądny – utożsamiasz się z mieszkańcami planety, a to niedopuszczalne.

I dodał chłodno:

– Nie dbam o twoje seksualne upodobania, ale ty straciłeś szczerą pionkę na tego kochasia włóczęgę, więc co cię obchodzi, komu ją daję ja?

Leon zaniemówił. Przez chwilę tylko otwierał i zamykał usta, niczym śpiewak na ekranie przy wyłączonej fonii.

– Zlituj się, co ty wygadujesz? – wydusił z siebie po chwili.

– Mówię ci tylko, żebyś się nie pchał w moją pościel.

– Berg!

Ale jego partner odwrócił się bez słowa, odepchnął nogą ciężki stół, który przypadkowo znalazł się na jego drodze i wyszedł. Leon potarł twarz gestem skrajnie zmęczonego człowieka. Kto tu zwariował? On, czy Berg? Boże, przecież Berg jest jego kuratorem! Co on tam napiecie ekspertom? I nie udowodnisz, że nie jesteś wielbłądem. Co tu się wyrabia, do nagłej śmierci?!

Westchnął i zajął się układaniem w torbie zestawu przyborów polowych.

Na granicy z Retrą chmury się rozpełzły. Leon spoglądał ze wzgórza na wijącą się w dole drogę. Żłocista nić pośród zielonych pól, którą promienie słońca przedzierające się przez niebieskie oka w powłoce białych chmur zalewały miodowym światłem. Obejrzał się – za jego plecami kłębiły się brunatne chmury ciągnące daleko nad Soler, a tam, gdzie ściana deszczu kończyła się jakby ucięta nożem, rozpiniała się na niebie wspaniała, podwójna tęcza.

Miasto Retra rozłożyło się na zakolu rzeki. Mury białe niczym cukier z pewnością były niedostępne. Jednak z daleka wyglądały raczej na architektoniczne ozdoby, a nie na umocnienia twierdzy. Dachy pałaców i świątyń lśniły złotem i miedzią, niczym płonąca słoma. Słoma na strzechach domów pospółstwa pobudowanych na podgrodziu świeciła w słońcu niczym złoto.

I to wszystko w odległości pięciu dni drogi od Soleru...

Wyjechali z miasta rozjeżdżoną, poniszczoną drogą. W dach powozu bębnił deszcz – początkowo ten szum był niezauważalny, potem jednak zaczął ich drażnić. Na pierwszym postoju ogniska rozpały się opornie, mokre drewno trzeszczało i kociło. Konie po peciny grzęzły w błocie i margraf wystąpił lorda Ansarda przodem z niewielkim od-działkiem, żeby poszukali schronienia pod dachami najbliższej wioski. Ale kiedy Ansard wrócił, ponury i mroczny na twarzy, jak chmury nad ich głowami, jego wysokość wymienił z krewniakiem kilka zdań i kazał przygotowywać się do noclegu w polu.

– Co tam? – zapytał Leon Alfa, który siedział z tyłu powozu machając nogami.

– A co może być? – Alf miał wyblakły głos, jakby deszcz wymył z niego zwykłą rzeźkość i wesołość. – Trupy. Z pewnością zaraz skoczy tam drużyna grabarzy –

z pochodniami i wrzątkiem.

Od grupki w rzeczy samej oddzieliło się kilku jeźdźców i spiąwszy konie ostrogami pognali rozbryzgując błoto ku wsi. Za nimi ciągnęły się rozwiewane przez wiatr pasma czarnego dymu.

– I jaki z tego pożytek? – zakonkludował Alf. – Ci, co mogli, już i tak się rozbiegli, a Guntr mówił, że zaraza jedzie na człowieku, ni czym pchły na psie.

Spojrzał na Leona z pytaniem w oczach.

– Ta rurka z igłą, którą mnie ukłuł messer Berg, to przeciwko morowi?

– To nie igła – odpowiedział Leon. – To strzykawka.

– Kłuje jak igła. To taka magia?

– Nie – Leon poczuł żal, że nie może porozmawiać z Guntrem. – Już ci mówiłem, to lekarstwo. Żeby zaraza omijała cię bokiem.

– A na wszystkich go nie wystarczy?

„Ot, masz” – pomyślał Leon.

– Nie, Alf, na wszystkich nie wystarczy. To taki... środek ostateczny.

– Jeżeli to nie magia, tylko lek... Czy nie można go zrobić tutaj, na miejscu?

– Do tego, żeby go zrobić w odpowiednich ilościach, trzeba wielu alchemików oraz składniki i przyrządy, których tu nie ma. I jeszcze długo nie będzie.

– To kaźcie, żeby je przywieziono z Terry. Skoro tam u was wszystko jest...

– Terra – odpowiedział Leon ważąc starannie każde słowo – teraz jest dla nas niedostępna. Może później...

– Kiedy później? Jak wszyscy wyzdychają? Wam, oczywiście, wszystko jedno – a Terra co? Popatrz, jak my tu będziemy wymie rać?

– Alf... – Leon zwlekał przez chwilę, ale jednak zdecydował się na wyznanie. – Lepiej nie mów nikomu, ale teraz nie możemy nawiązać łączności z Terrą. Na razie – nie.

– A gdybyście mogli?

„Tak – pomyślał Leon. – Oto jest pytanie”.

– No dobrze – zaczęły go już drażnić brzmiące w głosie chłopaka oskarżycielskie nutki. – Terra przynajmniej nie stara się wykorzystać sytuacji. W odróżnieniu od wspomnianej Retry.

– I co z tego? Retrę można zrozumieć. A wam czego trzeba?

– Wiedzy...

– Gwizdać na waszą wiedzę – ponuro stwierdził Alf. – (aka z niej korzyść, jeżeli...

Tę waszą Terre niech gromy spalą!

– Alf...

– No, co jeszcze?

– Posłuchaj – zaczął Leon niepewnym głosem. – Ta sztuczka w ścianie... Oko Karny. Rano jej tam nie było.

– Alf spojrzał na niego tak, jakby nie mógł uwierzyć, że normalny człowiek może się interesować takim nieistotnym drobiazgiem. No pewnie, że go nie było. Z Okiem tak zawsze. Pojawia się i znika.

– Co ty za bzdury wygadujesz?

– Nie trzeba go było dotykać, jasne? Nie spodobało mu się to. Dłoń Leona drgnęła kurczowo, opierając się nagłemu pragnieniu, żeby capnąć Alfa za kołnierz i mocno potrząsnąć.

– Przyjechaliście tu, wszędzie nosy wtykacie, obyczajów nie znacie. Jak się człowiek pcha tam, gdzie go nie chcą, nie takie rzeczy przydarzyć się mogą...

– A co my jesteśmy winni?

– Ja tam nic nie wiem – Alf wbił wzrok w ziemię, w którą godziły sycząc i bulgocząc strugi deszczu, przypominające sznury ze szklanego włókna. – Może i nic...

Leon pokręcił głową. „Jesteśmy – powiedział sobie w duchu – tacy sami, jak wy. Tak samo bezsilni i śmiertelni, mamy nawet takie same słabostki... i jeszcze jesteśmy odcięci od swojego świata. I cóż możemy zrobić? Nic”.

– A kiedy Terra przyśle tu okręt?

– Nie wiem – odpowiedział Leon szczerze. – Może za rok. A może i za pięć lat.

Za pięć lat Soler stanie się jednym wielkim cmentarzyskiem – stwierdził Alf z rezygnacją – I co wtedy zrobicie? Powitacie swoich gości na ruinach zamku margrafa, umyjecie się, strzepiecie kurz z butów i wyjedziecie tam, dokąd wszyscy wyjeżdżacie?

Zeskoczył z wozu i gniewnie brnąc przez kałuże ruszył w stronę, gdzie smagani strugami deszczu kucharze mozolili się nad kotłami.

Leon westchnął i wlaźł do wnętrza powozu. Berg, który drzemał zwinięty na podobnym do kanapki siedzisku, ocknął się, poczuwszy wzrok Leona.

– Dokąd przyjechaliśmy?

– Do nikąd – odpowiedział Leon. – Zatrzymaliśmy się na nocleg. Nie za bardzo dogodne miejsce, ale pod dachami we wsi nie można... zaraza.

– A co to za szum?

– Deszcz, jak zwykle.

Usiadł obok Berga i zapalił latarnię. Rozświetliła wnętrze powozu, a na zewnątrz zrobiło się chyba jeszcze ciemniej. Przez jakiś czas obaj siedzieli pogrążeni w milczeniu. Potem Leon odezwał się niepewnym głosem:

– Ja... chyba się zagalopowałem... sam rozumiesz...

– Ja też się chyba zagalopowałem – przyznał Berg. Starszy Terranin westchnął i dodał, pokręciwszy głową:

– Posłuchaj, nie jestem ślepy, widzę, co się dzieje. Pierwsza Kompleksowa zastała tu kwitnący kraj, a teraz popatrz, co się wyrabia. Dżuma nie zna granic... Przy ich znajomości zasad higieny, za rok wymrze połowa kontynentu, jak w Europie podczas Czarnej Śmierci.

– Epidemia Czarnej Śmierci w Europie interesuje już tylko historyków. A tu... to nie przeszłość, Berg. Wszystko to terażniejszość, rzeczywistość. Jedni już poumierali, a inni są jeszcze żywi. Jak się będziesz czuł, patrząc na ich agonie? I wiedząc, że w zasadzie można ich było uratować?

Berg przez chwilę patrzył na migotliwy języczek ognia w latarni, a potem odwrócił wzrok.

Z dziennika polowego lohanna Berga, ksenologa pierwszego stopnia.

Do użytku wewnętrznego.

Zapisu dokonano podczas podróży z Soleru do Retry.

Oczekiwanie nadciągającej apokalipsy jest typowe dla światopoglądu człowieka średniowiecza. Nic dziwnego, że rozbłysk supernowej ludność miejscowa odebrała jako znak z niebios i zwiastun nieszczęścia. Niestety, wierzenia te znalazły potwierdzenie w zdarzeniach, które nastąpiły potem. Aktualne warunki klimatyczne bardzo się różnią od danych zebranych przez badaczy z Pierwszej Kompleksowej. Możliwe, że trafiliśmy akurat na początek jakiegoś większego planetarnego cyklu klimatycznego. Następstwem jest nieurodzaj, głód i zaraza. Czas zamętu sprzyja rozpaczliwym postępkom – obserwujemy wzmożoną aktywność geopolityczną. Wszystko to, choć dla nas osobiście okazało się całkowicie nieoczekiwane, w zupełności mieści się w ramach nauk historycznych. Dlatego niepokoi mnie nie tyle sytuacja zewnętrzna, ile reakcja stażysty Kałganowa.

Stażysta Kałganow uznał, że nie jest bezstronnym obserwatorem, ale uczestnikiem wydarzeń miejscowej historii – i zachowuje się zgodnie z tym przekonaniem. Kilkakrotnie wszczynał ze mną dyskusje o stopniu dopuszczalnej ingerencji i naruszeniu odpowiednich punktów Regulaminu, co jest tym dziwniejsze, że choćbyśmy chcieli, nie jesteśmy w stanie podjąć jakichkolwiek działań ze względu na izolację od bazy. Podczas dzisiejszej rozmowy dowiedziałem się, że tuziemiec – młody wędrowny bard, którego formalnie obaj najęliśmy na służbę, ale faktycznie jest sługą Leona – do pewnego stopnia został wtajemniczony w nasze cele i zamiary. Nawet odważył się prosić Kałganowa o okazanie humanitarnej pomocy w formie lekarstw i żywności. Niepokoi mnie także

przywiązanie, jakie okazuje stażysta Kałganow temu młodzikowi. Albo mamy do czynienia z ujawnieniem ukrytych skłonności homoseksualnych wspomnianego obserwatora, albo – co w naszej sytuacji jest znacznie bardziej niebezpieczne – z kompleksem ojca, dążeniem do ochrony i udzielania nauk.

Podczas rozmowy wyszło też na jaw, że Kałganow naraził misję na poważne niebezpieczeństwo. Z jego niedomówień wspomniany tuziemiec mógł wyciągnąć oczywiste wnioski, że jesteśmy bezbronni, nie możemy się połączyć z Terrą i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Stażysta Kałganow zapewnia, że prowokując go do tych wyznań, tuziemiec miał na uwadze własne cele i z pewnością nie ujawni tych informacji przedstawicielom miejscowej władzy. Ale ja nie mam takiej pewności. W związku z tym zrodziły się we mnie wątpliwości dotyczące przydatności stażysty Kałganowa do pracy – a na dodatek muszę dodać, że wzrosła jego skłonność do ulegania sugestiom i wysuwania błędnych interpretacji otaczających go zjawisk.

Wydostał się na zewnątrz z dusznego powozu. Nadciągnął zmrok, którego nie mógł rozegnać blask obozowych ognisk; choć po-rozpalano je wszędzie dookoła – na zboczu wzgórza i pomiędzy namiotami... „Nasz rozbiją z pewnością pod wierzchołkiem – pomyślał. – A namiot margrafa stanie jeszcze wyżej”.

Drogę ledwo już można było dostrzec. Wiła się pomiędzy drzewami i ginęła wśród wzgórz, które stopniowo piętrzyły się coraz wyżej, przechodząc w niskie góry o kredowych urwiskach, za którymi w odległości dwóch dni drogi leżała Retra.

Na południu leniwie piał się ku niebu słup dymu: płonęły ofiary czarnej dżumy. Jeszcze dalej, na nizinie, niezbyt wyraźnie widać było zabudowania kolejnej wioszczyzny. W maleńkich, przypominających więzienne oknach płonęły jeszcze światełka – a może tylko tak mu się wydało?

I wtedy usłyszał płacz – przez zaporę deszczu przebijał wysoki, przenikliwy głos. Nie za bardzo przypominał głos ludzki – tak krzyczy mewa, która leci nad zimnymi falami wzburzonego morza.

Leon przyjrzał się uważniej – w mroku przesuwwały się ku wzgórzom jakieś ogniki, to ginąc, to ponownie się zjawiając pomiędzy gęstą zielenią leśnego poszycia.

– Alf! – zawołał poseł.

Musiał zdrowo naderwać gardło, zanim świszczypała raczył się zjawić. Leon z trudem stłumił rozdrażnienie: w końcu nie wynajmowali kompana, tylko sługę. Nie podobają mu się panowie – niech się rozliczy i idzie do wszystkich diabłów.

W końcu Alf niechętnie odszedł od ogniska.

– No, co tam jeszcze?
– Osiodłaj mi konia.
– Przecież tu wszędzie błoto. A konie zdrożone i mokre. I kto mi go zresztą miałby użyzyć?

– Znajdź messer Warrena, niech on to załatwi. I ruszaj się!
– A gdzie to się panie wybieracie tak w noc? Co mam powiedzieć, jak zapytają?
– Chcę popatrzeć, co się tam wyrabia. Widzisz tamte światełka?
Alf zmrużył oczy i wparł wzrok w ciemności.
– No, widzę. Ale nic tam po was, panie. Nie wolno wam tam je chać. Mogą was jeszcze zaciukać.
– A ty co? Wiesz, co się tam dzieje? – No...
Nie chcesz mówić, sam pojedę. Tak mi kazali dinaci z Terry – jeżeli zobaczę coś niezwykłego...
– To kobiety, panie – odpowiedział Alf nie kryjąc swojej niechęci. – W pobliżu jest zakazane miejsce... i one tam idą.
– Po co?
– Dzieci odnoszą. Lepiej już tak, niż miałyby poumierać.
– Chcesz powiedzieć, że one je tam zostawią na śmierć?
– Czemu na śmierć? Zostaną zabrane...
– Przez kogo?
– A co wam za różnica? Zabiorą i wszystko...
– Ci wasi korrowie? – domyślił się nagle Leon. – To o nich mówisz?
– Może i tak – Alf spojrzał na niego z nieukrywaną niechęcią.
– A wam co do tego?
– Alf – łagodnie odezwał się Leon. – Nikt ich nie zabierze. Poza marzają w tym gaju. Albo się podławią własnym płaczem. Albo zostaną pożarte przez dzikie zwierzęta.
– O nie... nie. Po prostu usną, a potem urodzą się ponownie. To... tak się dzieje... z dziećmi, dopóki są maleńkie. Dorosłym jest gorzej.
– Czemu gorzej?
Alf westchnął i umilkł na chwilę, ale potem – doszedłszy widać do wniosku, że dociekliwy ambasador nie popuści – mimo wszystko wyjaśnił:
– Jeżeli takiemu potrzebny jest ktoś ze starszych, może ich przywołać. A potem odesłać z powrotem. Ale dorośli nigdy nie wracają takimi, jakimi byli.
– Alf... – Leon uparł się, że przekona sługę, dlatego mówił niezwykle łagodnym głosem. – To legenda. Przesąd. Żadnych nieczystych sił tam nie ma.
– O nie, panie – młodzik pokręcił głową. Z powodu szybko zapadającego zmroku

Leon nie mógł już dostrzec rysów twarzy sługi.

– Mylicie się.

I dodał szeptem:

– To nas nie ma.

Leon się zgarbił, jakby dopiero teraz spostrzegł, że chyłkiem otoczyły go mrok i chłód.

– Alf, czemu tak mówisz? Nie wszystko jest tak beznadziejne. Ciężkie czasy mijają. Wiem, że to marna pociecha, ale...

– Niczego nie rozumiecie, panie...

Alf machnął bezsilnie rękę i szybko się oddalił, jakby ogarnęła go obawa, że Leon zaraz każe mu wrócić i znów zasypie go pytaniami.

– Ponury widok, nieprawdaż? – rozległ się czyjś drwiący głos za plecami posła.

Odwróciwszy się szybko Leon zobaczył przechodzącego po mokrej trawie Ermolda, który założył ręce za plecy. Ambasador Retry miał wręcz nieprzyzwoicie czysty wygląd i nawet błoto nie lgnęło do jego czyściutkich trzewików.

– A! – zdziwił się Terranin. – Wy także jedziecie w świetle jego dostojności? Przedtem was nie zauważyłem...

Przyłączyłem się do oddziału dwie straże temu. Jechałem konno. Paskudna pogoda... Pilne wezwanie od hercoga – objaśnił Ermold – Soler stał się widownią dziwnych rzeczy – powiadają, że w Pennie woda stała się czerwona. Wielu uznało, że to znak...

– Przecież jesteście niegłupim i dobrze poinformowanym człowiekiem – westchnął Leon. – I wy w to wierzycie?

„Z pewnością coś rozmyło pokłady lessu – pomyślał. – Czerwona glina... w wodzie pełno teraz rozmaitego świństwa...”

– Nie powiedziałem, że w to wierzę – sprostował Ermold. – Po wiedziałem, że ludzie w to wierzą... A co do wody... Podobno po wiedzieliście nadwornemu kucharzowi jego dostojności, że wodę do picia, i nawet tę, którą się myjemy, należy gotować na ogniu. W zu pełności się z wami zgadzam – nasi szlifierze szkła utrzymują, że woda jest pełna rozmaitych drobnych stworzonek – trzeba tylko wiedzieć, jak patrzeć. I jeszcze, wybaczenie wyrażenie, trupy gniją... Ale przecież nie tylko woda przenosi zgonną zarazę – wszędzie pełno szcurów. Nie bez powodu w tamtym gaju dzieje się to, co się dzieje...

– A skoro już się o tym zgadało, to co się tam dzieje? – niby to obojętnie zapytał Leon.

– No... dawny przesąd. Prawie już zapomniany...

– Nie tak bardzo zapomniany – sprzeciwił się Leon. – Mój sługa powiedział mi co nieco... Co prawda jego wyjaśnienia były jakieś mętne i poplątane.

– Wasz sługa jest wędrownym minstrelem i – zechciejcie wybaczyć – łgarzem, jakich mało. Jeżeli czegoś nie wie, to wymyśli. A tam... to po prostu wskrzeszone przesady. I na dodatek wypaczone przez czas. Gdyby ci ludzie nie byli tak przerażeni... Być może uznali, że Obaj zostawili ich na łasce losu...

Leon zadbał o to, by jego głos zabrzmiał możliwie obojętnie:

– Ofiary z ludzi?

– W pewnym sensie tak – zgodził się Ermold. – W pewnym sensie. Tak czy inaczej, to tylko głupie gadki i przesady. Tak głupie, że proponowałbym uznać, iż nic z tego nie istnieje naprawdę. Zechce pan wybaczyć, panie ambasadorze.

Odwróciwszy się, ruszył w stronę obozu, ślizgając się po trawie gładkimi podeszwami trzewików. Przez jakiś czas Leon patrzył w ślad za nim, a potem ostrożnie ujął zapinkę opończy i zaczął manipulować opalowo świecącym kaboszonym – miniaturowym obiektywem o długiej ogniskowej, przeznaczonym akurat na takie okoliczności.

I nagle ktoś nieoczekiwanie pchnął go w plecy – z taką siłą, że niewiele brakło, a byłby wyciągnął się w błocie jak długi. Mały kapłan objął go rękoma i pociągnął do tyłu:

– Precz stąd! Nie wolno na to patrzeć!

Jego świętobliwość wyglądał tak, jakby trafił mu się kolejny napad szaleństwa, podobny tło tego na jarmarku. Leon uznał, że lepiej będzie się nie sprzeciwiać.

– Niech wam będzie – stwierdził zgodnie i zmęczonym krokiem powłókł się w dół za kapłanem, który jak przedtem trzymał go za rękaw. – Wasza świętobliwość zechce wybaczyć, jeżeli w czymś za winięm – dodał – to tylko z niewiedzy. Nie chciałem w niczym wam uchybić.

– Jesteście cudzoziemcem – już łagodniejszym tonem stwierdził prymas. – A niewiedza bywa... źródłem błędów.

Cudzoziemiec, obcy... Alf mówił o tym samym. Co oni, zmówili się, czy jak? Leon milczał przez chwilę, a potem niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

– Kim oni są?

– Nikim – odpowiedział zwięźle kapłan. – Mrokiem. Językiem ognia.

„On się boi – pomyślał Leon. – Oni tu wszyscy się boją. I Ermold się boi. Łże mi prosto w oczy. A Berg też jest dobry – widzi tylko to, co mu pasuje do jego obrazu świata”.

– Kogo wy bronicie, wasza świętobliwość? Mnie przed tymi stworami, czy te stwory przede mną?

– To jedno i to samo – stwierdził kapłan ponurym głosem. Odwróciwszy się poszedł

precz, wlokąc za sobą po błocie poły długiej szaty. Niepewny już niczego Leon pokręcił głową i ruszył ku powozowi.

– Orson nie wyjechał nam na spotkanie – stwierdził Ansard wpatrując się z niezadowoleniem w zapyloną dal.

Tu w Retrze panowały już upały, jakie bywają na przełomie wiosny i lata, kiedy zieleń młodej trawy zmienia się w pozbawiony intensywności, spłowiwały dywan.

– Jakoś to przeżyję – uciał margraf.

Popatrzył na rozbity pod murami Retry obóz. Zwieńczone pstrymi proporcami namioty wyglądały niczym zakotwiczona na stawie rlotylla okręcików, a biała droga była pusta. Niewielki oddział rażno zdązał ku miejskiej bramie: skarbnik pod osłoną tuzina krzepkich żołnierzy i wraz z terrańskimi ambasadorami poseł Ermold na dereszu. Dyplomata miał nieprzeniknioną minę – nawet jeżeli otrzymał od swego władcy jakieś instrukcje, zatrzymał je dla siebie.

– Orson rozmieszcza wojska na granicy z Solerem – stwierdził Ansard – Każdy, kto bez wiedzy władcy spróbuje przedostać się do Retry, zostanie zabity.

– Oczywiście – margraf ruszył wodze i koń zatańczył, podnosząc kopytami obłoczek pyłu. – A czego się spodziewałeś? Soler jest pełny zadżumionych i głodnych oberwańców. Jeżeli wszyscy ruszą na Retrę, miasto nie wytrzyma, choćby nie wiedzieć jak było bogate.

– Moglibyśmy pogadać z Retrą innym językiem...

– Nie będę wpędza! Soleni w wojnę – stwierdził sucho margraf. Po chwili dodał pojednawczo: – Zresztą i tak byśmy nie wygrali.

– Mamy sojuszników...

– Nie, nie mamy. Bieda i niepowodzenie nie mają sojuszników. A może ty masz nadzieję, że ta przebiegła i oszukańcza Terra opowie się po naszej stronie? I wysadzi na brzegu wojskowy desant?

– A czemuż by nie?

– I co potem mieliby tu robić żołnierze, mój pocziwczę? Zdobędą Retrę, posadzą mnie na tronie i co? Odplyną z powrotem? A może zostaną tutaj – już na zawsze? Nie dwaj głupkowaci posłowie, ale cała armia! Tego właśnie chcesz? Relry nie oszczędzą, a Soler mieliby oszczędzić?

– Kto to może wiedzieć? – upierał się Ansard. – O tej ich Terrze nikt przedtem nie słyszał.

– Tym bardziej. Nie budź licha, mój drogi. Mało nam własnych utrapień?

– A co, wuju, jeżeli oni tylko udają? Jeżeli nie mają za sobą żadnego potężnego państwa? Tylko jakieś zapyziałe księstwko?

– Skoro nie ma tam potężnego państwa, nie może być również wojskowej pomocy – stwierdził rzeczowo margraf. – A poza tym, mamy wobec Terry dług. Dosłownie – dług... bo czymże byśmy się rozliczyli z Orsonem? Tym worlandzkim gównem? Przeklętym srebrem z przeklętych kopalni?

– Worland – odciął się ponuro Ansard – nikogo jeszcze o nic nie prosił.

– No pewnie... zawsze mógł liczyć na pomoc Soleni. Zapomnij o Worlandzie, mój krewniaku. Odbudujesz swoje gniazdo, to dobrze. Ale na razie siedzisz u mnie. I twoi ludzie też.

– To akurat rozumiem, wasza dostojność...

Ansard szarpnął za kołnierzyk, jakby zaczął nagle uwierać mu szyję i z niedowierzaniem popatrzył na kroplę krwi na swojej dłoni. Ponownie podniósł rękę ku kołnierzowi i otworzył ją. W promieniach słońca zaiskrzyła bezcenna brosza z rubinem, ciskając na drogę krwawe blaski. Przez jakiś czas Ansard przyglądał się grze barw i światła, a potem machnął ręką i cisnął terrański dar w trawę. Purpurowa iskra mignęła w powietrzu i znikła.

– Terrański błyskotka – warknął milord przez zęby, w odpowie dzi na pytające spojrzenie margrafa. – Za nic mam ich podarki, jeżeli Soler...

Miejska brama otworzyła się nagle i na drogę wysypali się barwnie odziani jeźdźcy.

– Otóż i Orson – stwierdził margraf dłonią, osłaniając wzrok przed słońcem. – Jednak wyjechał...

W okna pałacu były ukośne promienie słońca, tak jaskrawe, że Leon mimo woli zamrugał i odwrócił wzrok.

– Mam nadzieję, że panom będzie tu wygodnie – stwierdził her-cog Orson.

– Ależ tak, panie – margraf schylił głowę w cieniu ukłonu.

– Dziękuję wam.

Opisując uroki Retry, Alf nie przesadził, ani nie zełgał – sala tronowa rzeczywiście wywierała wielkie wrażenie. Sklepienie podtrzymywały kolumny w kształcie złotych drzew, o koronach połyskujących owocami granatu, a samo sklepienie imitowało niebo pełne gwiazd. Ermold wyjaśnił gościom, że właśnie taki był układ gwiazd w dniu urodzin hercoga. Posadzkę wyłożono płytami z malachitu, a głowę hercoga, który się rozsiadał na ciężkim, rzeźbionym karle, wieńczyła korona tak delikatnej i kunsztownej roboty, że można by pomyśleć, iż da się ją bez trudu zgnieść w jednej dłoni.

„Wystroił się tak nie bez powodu – pomyślał Leon. – I cała ta wystawność też ma

swój cel. Mógłby w końcu porozmawiać z margrafem bez zbędnych ceremonii – jak król z królem”.

Z powodu tego przepychu niełatwo było przyjrzeć się samemu hercogowi. Na pierwszy rzut oka niemłodemu i dobrodusznie wyglądającemu człowiekowi. Dopiero kiedy grzecznie wstał, by wyjść naprzeciwko przybyszom, okazało się, że jest mocno zbudowany i mimo ciężkich ceremonialnych szat porusza się z lekkością człowieka, który znacznie więcej czasu spędza w siodle, niż na tronie.

– Opowiedziano mi już o nieszczęściach, które nawiedziły Soler – stwierdził. – To smutne, bardzo smutne...

I umilkł, zawieszając znacząco głos.

– Nie proszę o wiele – odparł margraf, zaciskając zęby.

– Oczywiście. Któżby się z tym nie zgodził... Ale miniony rok i u nas nie był zbyt urodzajny. Co zaś do bydła...

– Targuje się jak jarmarczny kramarz – mruknął cicho lord Ansa rd.

– Gdyby Soler był pod naszą władzą...

– Ale nie jest – twarz margrafa niczego nie wyrażała. – I dlatego gotowi jesteśmy zapłacić pełną cenę...

– Ach, dość już o tym – stwierdził hercog niby to dobrodusznie.

– Jakież mogą być rachunki między sąsiadami? Przy okazji – kazałem pognać waszym ludziom dwadzieścia sztuk bydła. Mam nadzieję, że to ich zadowoli.

– O, tak – odparł grzecznie margraf. – W zupełności ich zadowoli. Pragnę dodać, że ze szczytu wzgórza, które im wyznaczono na obozowisko, rozciąga się wspaniały widok.

– A czemuż takie zuchy miałyby oddychać dusznym powietrzem pałacu? Niecił sobie odpoczną na otwartej przestrzeni. Tym bardziej, że droga powrotna będzie niełatwa – będą musieli strzec taboru...

– To oczywiste.

– I gnać bydło. Sto sztuk, wiecie, nie będzie tak łatwo poprowadzić do Soleru. No, z krowami wasze zuchy, przypuszczam, jakoś sobie poradzą, ale byki... powiadam wam, moje byki, to smoki, nie byki! Zaledwie kilka dni temu jeden z nich rozniósł oborę na szczapy. Ma też na sumieniu zabójstwo – o ile takie bydło ma w ogóle sumienie. Nie liczę pokaleczonych.

– Moi ludzie położyli niezliczoną ilość dzików – stwierdził sucho margraf.

To bydło jednak trzeba dostawić na miejsce żywe, a to – chyba się z tym zgodzicie, mój drogi – całkiem inna sprawa. A zresztą – machnął pysznym, ozdobionym futrem rękawem – zostawmy te problemy ludziom, którzy będą się umieli nimi zająć. Tym bardziej, że znają się na swoim fachu lepiej od nas. Mówiąc między nami, te codzienne,

gospodarskie sprawy są bardzo nudne... My, szła chętnie urodzeni, nie powinniśmy się do nich zniżać. Polowania, uczty, oto zabawy godne dzielnych mężów... Dobrze mówię, mój przyjacielu?

W głęboko osadzonych oczach hercoga nagle błysnęło żywe zainteresowanie.

– A to, znaczy, są wasi zagadkowi przyjaciele? Ambasadorowie z dalekiej Terry. No, no...

Berg wystąpił naprzód, nisko pochylił głowę i przyłożył dłonie do piersi, na której lśnił ciężki, ceremonialny łańcuch.

– Rad jestem, mogąc się stawić przed obliczem waszej dostojności...

– Powiedziano mi, że budzicie panowie strach samym wyglądem – dobrodusznie ciągnął Orson. – Że jesteście olbrzymami... i w rzeczy samej, czemuż by nie, pomyślałem sobie... Może za wodą istotnie żyją potwory... A waćpanowie jesteście...

– Zwyczajni? – podsunął Berg.

– Nawet mili dla oka – zakończył hercog uprzejmie. – A przy okazji... te wspaniałe klejnoty... w Górach Soleru takich się nie znajdzie. Srebro tam oczywiście jest... choć coś się stało z tamtejszą żyłą... Mój skarbnik powiada, że trudno ocenić klejnoty, bo nie ma ich z czym porównać...

– Wyznaczcie dowolną cenę – margraf znów zacisnął zęby.

Orson podniósł dłoń obronnym gestem.

– Zmiłujcie się, one są bezcenne! To tylko mój skarbnik... – uśmiechnął się. – Człowiek rzadkiej uczciwości, tak dba o nasze dobro, że czasami ciężko z nim wytrzymać. No, sądzę, że ceremoniałowi stało się zadość, a o pozostałych sprawach przyjemniej będzie porozmawiać przy pucharu wina. Z ochotą powitam was na wieczornej uczcie.

Odwrócił głowę nieco w bok i zmierzył obu posłów uważnym spojrzeniem, jakby oglądał pod lupą jakieś osobliwe owady.

– Oczywiście zaproszenie w równej mierze dotyczy i waszmości. Mam nadzieję, że opowiecie mi co nieco o swoim kraju.

Berg skwitował zaproszenie milczącym ukłonem.

Z dziennika polowego Leonarda Kałganowa, ksenologa stażysty.

Podyktowane w Retrze, w dniu przybycia, na godzinę przed ucztą powitalną.

Orson – jak się okazało – nie należy do ludzi, którzy zapominają o korzyściach. Od razu dał jasno do zrozumienia, że wręczone mu klejnoty uważa jedynie za zaliczkę na poczet późniejszych opłat. W te opłaty zamierza wliczyć również zbójce podatki za

przewóz towarów przez Retrę do sąsiednich księstw. Obawiam się, że jego dostojność raczej uznać te bezwstydnie lichwiarskie żądania za osobistą obrazę. W każdym razie ponownie usiłował nas wybadać w sprawie możliwości militarnego sojuszu z Terrą. W tym celu poprosił Berga na galeryjkę, gdzie – wedle jego mniemania – mogli porozmawiać zupełnie bez świadków. Berg oczywiście zapisał całą rozmowę – raport audiowizualny można znaleźć w odpowiednim załączniku. Margraf przekonał się, że Soler może liczyć wyłącznie na własne siły. Oczywiście Berg ma rację – Soler został już skazany, a na spór z Retrą Terra teraz nie za bardzo mogłaby sobie pozwolić. A to, że zginą setki, może i tysiące ludzi – cóż, meandry zwykłego procesu historycznego. W porównaniu z perspektywami, jakie Terra niesie temu światu, los jakiegoś małego narodu nie ma znaczenia. Być może także ja i Berg zostaniemy ofiarami tego historycznego procesu. I – choć to zabrzmiało dziwnie – jest to dla mnie osobliwym pocieszeniem.

– Ależ z nas sukinsyny – stwierdził Leon.

– Nie da się zaprzeczyć – zgodził się niechętnie Berg. – Ale co robić... takie są reguły tej gry.

– Oczywiście! Nie ma się czym przejmować! Liżemy tyłki tym. Co są u władzy... i niech tak zostanie! Teraz i zawsze, i na wieki wieków!

– Po pierwsze – stwierdził ostro Berg – liżemy tyłki w imię postępu... Po drugie... a w czym możemy im pomóc? Skąd miałyby przyjść pomoc? Sami jej potrzebujemy!

– Tak – zgodził się Leon. – Trafiłeś w sedno, ani słowa.

– Cholerni planiści! Trzeba było od samego początku nawiązać kontakty z Retrą! Sam popatrz... kraj bogaty, rozwinięty.

– Ale co nam przeszkadza zrobić to teraz? – Leon rzucił kamyczek na próbę. Coś tu było wyraźnie nie tak... Takie zachowanie nie było w stylu Berga... W ogóle nie było podobne do niczego.

– jak to, przeszkadza? O czym ty mówisz?

– Czemu nie mielibyśmy teraz przenieść się do Retry? Orson bardzo by się ucieszył, gdyby dostał w ręce taki atut.

Berg wbił wzrok w posadzkę, jakby po raz pierwszy widział tak dokładnie obrobione różowe płytki.

– Soreille – odezwał się po chwili tonem winnego. – Rozumiesz... Ona została tam. Jasno dał mi do zrozumienia, ten margraf solerski, jego wysokość. Cóż, powiedział, że skoro nie chce Terra pomóc, to nic, obejdzcie się... ale my mamy wrócić z nim do Soieru. Jeżeli w ogóle uda się nam wrócić.

– Zrobi) z niej zakładniczkę?

Teraz Berg podniósł głowę i spojrzał Leonowi prosto w oczy. Jego twarz powoli powlekała się purpurą, ale nie odwrócił wzroku.

– Powinieneś mnie zrozumieć... właśnie ty. Ona mówi, że beze mnie umrze, zwykła sprawa, one zawsze tak mówią. Ale sęk w tym, że tym razem to prawda – jeżeli nie wrócę, ona umrze. Margraf ją zabije... i żeby to tylko... Sam wiesz, Leon, do czego oni są zdolni.

– Wiem – odpowiedział Leon. Było mu nieznośnie żal Berga i siebie samego. Powiedzieć mu, że goni za przywidzeniem? Nie uwierzy, już raz nie uwierzył. Pozbawić go ostatniej nadziei, odebrać mu cud miłości, której jego partner doświadczył może po raz pierwszy w życiu? Berg należy do tych, których niełatwo ruszyć z miejsca, ale jeszcze trudniej ich zatrzymać, jak już się rozkręcą. – Owszem. Wiem.

– Posłuchaj, Leon... wtem, że narażam cię na niebezpieczeństwo, ale ty... nie, nic nie mów...

– Przecież nic nie mówię – mruknął Leon ze znużeniem.

W sali biesiadnej nie było pochodni, tylko wspaniałe lampiony, a stół nakryto pysznym obrusem. Cdzież tam Solerowi do Retry... A naczynia!

– A! – mruknął Orson z zadowoleniem, zauważywszy spojrzenie Leona. – Podoba się wam?

– Owszem – poseł powiódł palcem po powierzchni żółtawego niczym kość słoniowa naczynia. – Czegoś takiego jeszcze tu nie widziałem.

– Nowa rzecz – zgodził się hercog. – Mój alchemik pół życia stracił na poszukiwania kamienia filozoficznego... W tym względzie, co prawda, mu się nie powiodło, ale i ja za bardzo nie liczyłem na sukces – nie był pierwszy, nie będzie ostatni, któremu nic nie wyszło. Ten jednak był bardzo pewien swego – za te pieniądze, jakie ode mnie wyciągnął na doświadczenia, można byłoby kupić niewielki zameczek. Myślałem już, żeby go trochę przycisnąć, a ten przybiegł do mnie z takim ot, naczyniem. Wiecie... uboczny produkt jego eksperymentów. Oczywiście, opłaca się nie tak, jak kamień filozoficzny, ale na bezrybiu... Zbudowałem nad rzeczką niewielką manufakturę.

– A – teraz kiwnął głową Leon. – Widziałem tam odpowiednie glinki.

Orson spojrzał na niego nieco nerwowo.

– Co, u was też robią takie naczynia? Ten bałwan się zaklinał, że jest jedynym, który zna sekret wyrobu.

– Robią – odpowiedział niechętnie Berg. – Ale nie zamierzamy ich wywozić za

granicę. Niewygodnie. Kruche i zajmuje sporo miejsca. Możesz wasza dostojność uznać, że w Średnich Marchiach macie monopol.

– Łatwo się z wami rozmawia – zauważył dobrodusznie Orson. – Może znaleźlibyśmy wspólny język i w innych kwestiach?

– W jakich? – zapytał Berg.

– Dlaczego mielibyście się ograniczać do otwarcia poselstwa tylko w jednym państwie? Potężny kraj może utrzymywać przyjazne stosunki ze wszystkimi, nieprawdaż?

– Chętnie się zgodzę z waszą dostojnością, ale mamy nad sobą swoich władców, jeżeli oni postanowią przenieść ambasadę do Retry, będę temu szczerze rad. Akurat szykuję odpowiednie doniesienia. Nie jest wykluczone – dodał znacząco, bawiac się srebrnym nożykiem – że z przybyciem kolejnego okrętu zjawią się kolejni ambasadorowie. So-pr nie ma monopolu na kontakty z Terrą.

– Czyżby? – zapytał uprzejmie hercog. – A mnie się wydawało – Zresztą nieważne. Za powodzenie rozmów! – uniósł nieco srebrny kubek, a potem znacząco pochylił w stronę Berga. – Obawiałem się już, że jego dostojność margraf Soleru nie wykaże należytego rozsądku. Przypuszczam, że to wasz wpływ?

Berg zerknął z ukosa na margrafa, który przysunawszy do siebie półmisek z gęsią faszzerowaną delikatnym nadzieniem Z ptaszków ża-łobniczków, z zapalem wywijał myśliwskim nożem.

– Nie... – odpowiedział. – Nie. Terra oczywiście ma swoje wpływy, ale nie aż tak mocne. Rozwagę należy przypisać tylko jego dostojności.

– No, no... – zdziwił się uprzejmie Orson. – Przy okazji, szczerze polecam spróbowanie tej potrawy – dopóki jeszcze jest co próbować. Czarodziejskie, iście czarodziejskie dzieło mercyjskich kucharzy. W Solerze czegoś takiego nie ma.

– To prawda – zgodził się Berg. – Nie ma.

Leon wygodnie rozsiadł się na obitej jedwabiem kanapie, zostawiwszy Alfowi trud ściągnięcia butów ze swoich nóg. Nie bez osobliwego zdziwienia zauważył przy tym, że procedura, która początkowo go krępowała, ma swoje dobre strony – łatwiej do niej przywyknąć niż do tych przeklętych butów.

– Wiesz... – zauważył dobrodusznie. – Tutaj jest bliżej do cywilizacji.

– Owszem – zgodził się Berg. – Orson jest wytworem nowej tor-macji społecznej. Bardzo śliski typ...

– Nie ufasz mu?

Berg uśmiechnął się skapo:

– Nikomu tu nie ufam. Jeżeli Orson uzna, że mu się to opłaci, potrafi być najmiłszym z ludzi.

– A teraz akurat jest mu z tym wygodnie?

– Owszem, dopóki może doić Soler. I – potencjalnie – Terre.

– Powiedz mi – Leon nareszcie pozbył się butów i Alfa, którego niedbałym kiwnięciem dłoni odesłał do przedpokoju – czy nie przyjdzie mu przypadkiem do głowy, że mógłby Terre wydoić w jeszcze większym stopniu... na przykład zażądawszy okupu za jej ambasadorów?

Orson to człowiek interesu. A tak się tych spraw nie załatwia. Przecież z Terrą przyjdzie im żyć i żyć... a on doskonale to rozumie. Przy okazji, zauważyłeś, że oni tu codziennie zmieniają pościel? I bieliznę, jak w dobrym hotelu. Oto, gdzie trzeba założyć stałą misję. Polecimy to Drugiej Kompleksowej. W raporcie zamieścimy rekomendację naszego troskliwego hercoga.

„On znowu swoje” – pomyślał Leon. Niewzruszona wiara Berga w stałość i niezmiennosc otaczającego go świata jednocześnie drażniła i wzruszała.

– W raporcie? A co jeszcze napiszemy w tym raporcie? Co, Berg?

„Do diabła! – ofuknął sam siebie. – Nie trzeba było... Pomyśli, że robię aluzję do tego, że dał się wziąć na lep sympatii osobistych... ze szkodą dla obowiązków i powinności... i że oczywiście stara się to ukryć przed Koordynatorami. Psiakość... niezręcznie jakoś wyszło... miałem na myśli coś zupełnie innego...”

Berg popatrzył nań zezem, mrużąc powieki osłonięte jasnymi rzęsami.

– jeżeli sądzisz, że zamierzam cokolwiek ukrywać przed Komisją...

– Ależ nie! Wcale nie to miałem na myśli. – Miałem! – mignęła mu wstydliwa myśl.

– Rzecz w naszej strategii! Obawiam się, żeśmy tu niechcący popełnili mnóstwo błędów.

– Robiliśmy, co się dało. Zgodnie z okolicznościami. Oczywiście, trzeba było improwizować, ale...

– Działaliśmy na podstawie błędnych przesłanek – cierpliwie wyjaśniał Leon.

– Supernowa – zgodził się Berg – była czynnikiem, którego nie dało się przewidzieć.

– A co ma z tym wspólnego supernowa?

– Zgoda – poddał się Berg. – Te twoje leprekauny też są takim nieuwzględnionym czynnikiem. Więc napiszesz rzeczowy – podkreślam – rzeczowy raport, nie bawiąc się w zbyt daleko idące przypuszczenia i domysły, a ja cię poprę. Co jeszcze?

„Próbuje mnie sobie zjednać – pomyślał nagle Leon. – I to wszystko z powodu Soreille. Gryzie go sumienie, więc godzi się na kompromis”.

Podniósł ręce, jakby się poddawał.

– Sam wiem... dowody...

– Może i dowody się znajdują – Berg był zaskakująco zgodny. – A jeżeli nie... Cóż, z powodu hipotez nikogo jeszcze z Korpusu nie wyświęcili.

Wyciągnął się na pościeli i założył ręce pod głowę.

– Ech, gdybyż tu mieć kilka zestawów do regulacji pogody! Rozpędziłoby się chmury, rozprawiło z tymi cholernymi gryzoniami... I – ale to już ściśle między nami – centralizacja nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Retra z pewnością mogłaby się stać stolicą silnego imperium, Jeżeli dobrze wszystko przemyśleć... Soler przecież nie utrzyma niezależności, popadnie w długi, a potem tylko patrzeć...

– Czy nie sięgasz za daleko w przyszłość? – zapytał ponuro Leon.

Misja – to sprawa wielu lat. My przeżyjemy jego dostojność przynajmniej ze trzy razy. Biorąc pod uwagę przeciętną ich wieku... A społeczeństwo na tym etapie rozwija się tak nagłymi skokami, że – być może – zdążymy jeszcze zobaczyć...

Leon pokręcił głową.

– Akurat! Zabiorą nas stąd, jakbyś nie wiedział... Żeby tutejszym nie dawać powodów do niepożądanych domysłów. Posiedzimy tu ze dwadzieścia lat, a potem nas zdejmą. Przerzucą nas na... Gdzie tam teraz misję szykują?

– Na Cyklopa.

– No masz... do ludożerców! Niezłe z nich ptaszki – wynaleźli już silnik odrzutowy, a rozumnych braci dalej pożerają, aż im się uszy trzęsą.

– No... z takim bagażem historycznym... A zresztą, słucha łoś wykładów Efraimsona w szkole w Sydney? Utrzymywał, że po wodem wcale nie jest tam tradycja – choć oczywiście tradycja to rzecz nie bez znaczenia. Mamy do czynienia – niestety, jak wszędzie – z prymatem materii nad duchem. Aminokwasów tam mało, co prawda, to prawda...

– Chciałbym zobaczyć choć jednego – wyznał dość nieoczekiwanie Leon. – Dopóki i nas nie zjedli...

– Kogo zobaczyć? – zdziwił się Berg. – Cyklopa? A co, nie widziałeś ich? Zaspaleś na wykładzie? Standardowy typ euroazjatycki... co prawda nieco drobny. Nóżki mają takie krzywe...

– Ależ nie, korrę – skrzywił się Leon. Z niewiadomego powodu jakoś mu było niezręcznie wymówić zakazaną nazwę i z chęcią byłby powiedział: „Sam wiesz, kogo”, ale z Bergiem takie numery były niemożliwe.

– Przecież oni nie istnieją! – zdziwił się Berg.

– Sam kazałeś przygotować raport...

– Słusznie! Przecież jakiś czynnik inicjujący miejscowe przesady musiał kiedyś

zaistnieć... I tym się zajmij. Wyjaśnij. Rozpytaj tu i tam...

– Ale oni nie chcą o tym rozmawiać.

– Znaczący, nie umiesz pytać. Zapytaj tak, żeby zechcieli. Uznaj to za praktyczne ćwiczenie, zgoda? No, a teraz spać! Ciepło, sucho, czego jeszcze człowiek może chcieć...

– Szef się znalazł – mruknął gniewnie Leon i ruszył do swojej sypialni.

Obudził się nagle, jakby go coś podrzuciło – powodem był głuchy łoskot, podobny do uderzenia wypchanego szmatami worka o podłogę i zaraz potem okrzyk:

– Na Dwójce!

I jeszcze jeden dziwny dźwięk, jakby ktoś chrząknął, a potem się zakrztusił. Ktoś inny – rozespany Leon nie rozpoznał, kto – zawołał:

– Światła! Dawać tu ogień!

W sąsiedniej komnacie obudził się Berg – Leon usłyszał, jak partner wierci się i szeleści pikowaną kołdrą.

„Odwykł od takich, bo w Solerze ich nie mieliśmy” – przemknęła mu przez głowę myśl.

Odblaski płomieni zamigotały po rzeźbionym panelu ściany, powycinanym w nieprawdopodobnie rozdęte, podobne do bułeczek róże. Ktoś zapalił pochodnię, wyjąwszy ją pierwiej z wbitej w ścianę kuny.

W drzwiach Leon zderzył się z Bergiem.

Zaspaną twarz partnera poprzecinały cienie i niełatwo było odczytać jej wyraz. Lewą ręką – w prawej Berg trzymał krótki, ceremonialny kordzik – chwycił Leona za ramię.

– Nie gorączkuj się – syknął przez zęby. – Niech się sami połapią we wszystkim.

– A połapią się? – wymamrotał nieco przestraszony Leon.

– No... – w głosie Berga też zabrzmiała niepewność. – Poczekamy, zobaczymy.

A było na co patrzeć. Na podłodze korytarza leżało to, co rozespany Leon uznał w pierwszej chwili za worek. Teraz z worka wysunęły się ręce, które kurczowo drapały kamienną posadzkę.

– Zdrada... – głos był słaby, w piersi mówiącego coś okropnie bulgotało i charczało.

– Ja nie...

Światło rozgorzało bardziej intensywnie i Leon mógł już dość wyraźnie zobaczyć, że leżący odziany jest w barwy Soleru. Rył to jeden z gwardzistów stojących na warcie przed komnatami misji – iluż ich było w całym pałacu? Drużyna, nie więcej.

„Za bardzo zaufali słowu Orsona – pomyślał poseł. – A trzeba było się strzec...”

Płomień pochodni targany idącym od otwartych drzwi przeciągiem zatrzeszczał i zaskwierczał – a potem drzwi się zatrzasnęły.

W przejściu stanął Ansard, który całym swoim ciężarem napierał na rygiel. Zasłona przy drzwiach spowiła jego ramiona – lord z rozdrażnieniem machnął ręką, szarpnął tkaninę i rzucił na posadzkę.

Na jego kurtce widać było jakąś ciemną plamę i Leon nie od razu domyślił się, że to krew. Ale zaraz potem zrozumiał, iż nie jest to krew Ansarda.

– Zdrada! – powtórzy) Ansard za konającym, wściekle błyskając oczami. – Zdrada! Panowie ambasadorowie...

– Co się... – zaczął Berg, ale lord nie pozwolił mu dokończyć:

– Nasi gwardziści nie żyją! Stojących na warcie pozarzynano jak świnie, a tych z wartowni... budziłem ich i budziłem... Natknąłem się tam na jakiegoś człeka, uciekał korytarzem. Odziany był jak sługa, ale bił się po żołniersku. Dobrze się bił...

– Niczego nie słyszałem – wymamrotał Leon.

– Uciekajmy, panowie – cierpliwie, ale z naciskiem w głosie powiedział Ansard. – Uciekajmy, dopóki to jeszcze możliwe... Obudźcie jego świątobliwość i służbę... Poczekam na was w pokojach jego dostojności... szybciej, błagam...

Jego dostojność był już całkowicie ubrany i czujny – najwyraźniej umiejętność stawiania czoła nagłym zagrożeniom była nieodłączną częścią dziedzictwa solerskich władców.

– I jakże on śmiał, ten łajdak? – w jego głosie brzmiało niezmierne zdziwienie. – Wzgardzić własnym słowem i prawami gościnności...

– Wasza miłość, ale gdzie są wasi ludzie? – przerwał mu Berg. – Gdzie wasz giermek?

Twarz margrafa była mroczna jak noc.

– Tam, gdzie i moi gwardziści. Ten, co przyniósł im dzban, po częstował ich nie tylko winem.

„Wielki Boże! – pomyślał Leon. – Alf!”

– Panowie ambasadorowie, postarajcie się wytaszczyć stąd jego świątobliwość... jeżeli jeszcze żyje.

Berg spojrzał na Leona, który skwapliwie kiwnął głową:

– Ja zaraz...

I udał się z powrotem do komnat poselskich. W przedpokoju Alfa nie znalazł. Do diabła! Gdzież on mógł się podziać? Jeśli żyje, musiał się obudzić – w takim zgiełku...

Wyskoczył na korytarz – prowadził w głąb i kończył się jakimś ślepym zaułkiem, gdzie umieszczono chyba garderobę. Leon natychmiast ugrzązł w ciężkich szatach zwisających z ramion bezgłowych manekinów. Potknął się nagle o coś miękkiego.

Skurczybyk uwił sobie gniazdko z najdelikatniejszych kamizelkach i leżał teraz

okryty drogimi szmatami. Czy spał? Leon targnął go za ramię. Przez chwilę miał wrażenie, że sługa się nie rusza, (ednak zaraz młodzik jęknął, wymamrotał coś niezrozumiałego i podniósł głowę.

– Co jest, panie? – zapytał gapiąc się na Leona mętными od snu oczami.

– Piłeś to wino? Piłeś?

– Iakie wino? – zapytał Alf, nie wiedząc o co chodzi.

– Ze sługami margrafa... było zatrute – wyjaśnił Leon. – Myślałem, że i ciebie otruli.

– A! – zrozumiał sługa i zaczął się podnosić, rozrzucając na boki przetykane złotem tkaniny. – Ib tak... oni akurat skończyli pić. I jeszcze się ze mnie śmiali... nie taki ważny twój pan, mówili, żeby cię częstować...

– No, to ci się udało – rzekł Leon przez zęby. – A ty, niechby cię Mroczny poraził, gdzie się pałaszasz? Zapomniałeś, komu służysz? Nie powinienesz mnie na krok odstępować. Nigdy nie wiadomo, kiedy cię będę potrzebował. Całkiem się rozpuściłeś!

– Ale tam od podłogi zimno ciągnie – Alf pociągnął nosem. – Więc pomyślałem sobie... Messer Leon w nocy śpi jak zabity, no to... tego...

– Trafiłeś w sedno – uciał Leon. – Jak zabity. No dobra, zbieraj się. Idziemy.

– Co się dzieje? – prymasowi udało się wreszcie wciągnąć na grzbiet jakąś suknię – nie bez pomocy sekretarza, który gapił się teraz zza jego pleców.

– Nie mam pojęcia – warknął przez zęby Berg. Odwróciwszy się trafił wzrokiem na Alfa.

– Ten, oczywiście, jest cały i zdrowy... jak zwykle.

– Przecież to nie jego wina – nie wiedzieć czemu Leon zaczął usprawiedliwiać sługę. Zewnętrzne drzwi, wiodące na zamkowy korytarz zatrzęsły się od mocnych uderzeń.

Leon zadrżał, jakby mu nagle zabrakło powietrza. Wszystko wydało mu się trochę nierealne – nagle w jakiś niesamowity sposób materia, z której zbudowano świat, straciła stałość, rozmyła się i zaczęła płynąć...

– No tak – Berg obrzucił ciężkim spojrzeniem zgromadzonych wokół ludzi. – Zbierać się – powiedział mówiąc do wszystkich i do nikogo w szczególności. – Idziemy.

– Dokąd? – zdziwił się jego świątobliwość.

– Margraf czeka.

– A... jesteście pewni, że go nie zbudzimy? Berg wyszczerzył zęby w złym uśmiešku.

– Niewielu rzeczy jestem tak pewien, wasza świątobliwość.

– Nie rozumiem... – margraf kręcił głową, niczym ranny byk.

– jeżeli ten łajdak chciał nas pomordować, czemu nie zrobił tego przy stole? Czemu nie podczas uczy?

– Podczas uczy – wyjaśnił Ansard z bezgraniczną cierpliwością – wszyscy jedzą to samo. I mnóstwo przy tym świadków.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem kapitana i mruknął przez zęby:

– Warren! Gdzie on się podział?

Margraf tymczasem wyjął z rąk martwego gwardzisty ceremonialną, ale doskonale nadającą się do użytku halabardę.

– Ten drań obiecywał nam bezpieczeństwo – wymamrotał gorzko – a ja mu uwierzyłem... Ależ dureń ze mnie, ale dureń...

Drzwi ponownie się poruszyły – tym razem wszyscy usłyszeli chrupnięcie poddającego się rygla... i do komnaty wpadło kilku zbrojnych. Margraf machnął halabardą blokując napastnika. Ansard chwycił leżący przy kominku pogrzebacz i stanął obok krewniaka.

– Biegnij! – zagrział margraf odpierający kolejny atak. – Biegnij, budź ludzi...

– Nie! – Ansard pokręcił głową. – Nie zostawię was, panie!

– Powiedziałem, uciekaj! Nie mówię jako krewniak, ale jako władca! Dopóki nie zamknęli drogi. I odciągnij ludzi dalej. Słyszysz? Zawieź ich do Soleru! Dopóki ich nie otoczyli!

Ansard wahał się przez chwilę, a potem z kocią zręcznością skoczył na parapet okna, przełaził przezeń i znikł w mroku.

– Wara wszystkim! – zagrział niczym grom czyjś głos.

I w rzeczy samej wszystko zamarło. Co prawda, ludzie hercoga nie opuścili broni. Mała grupka Solerczyków zebrała się w kącie, a margraf ciężko dysząc, opuścił halabardę.

W drzwiach pojawił się Orson z jeszcze jedną grupą zbrojnych.

Był odziany w płaszcz pospiesznie narzucony na długą wełnianą koszulę.

– Co się tu wyrabia? – zapytał zimno, przyglądając się pobożowisku.

– I ty masz jeszcze czelność pytać?! – zdziwił się margraf. – Ty wiarołomny bydlaku! Niech ci odpowiedzą trupy moich ludzi!

– Trupy? – zdziwił się Orson. – Które trupy? Te tutaj? – tknął czubkiem miękkiego, najwyraźniej nocnego pantofla, leżące na posadzce martwe ciało. – Odpowiedzą? Komu? Może – moim trupom? Ludzie, którzy leżą w kałużach krwi przy wejściu do poselskiego skrzydła – to moi gwardziści, nie wasi!

– Zwabili nas w pułapkę – margraf starał się mówić niegłośno i wyraźnie, ale głos mu drżał od wstrzymywanej furii. – Otruli moją służbę...

Orson otworzył usta, zamknął je, pokręcił głową, a potem wymamrotał:

– Przysięgam, że ja nie...

– Dość już było dziś przysięgania – przerwał mu margraf. – Na coś ty liczył, stary lisie? Na to, że nikt z nas nie wróci do Soleru? Pozbawiona wodza armia, wyniszczona głodem marchia... A ja jeszcze ci z góry zapłaciłem, ty śmierdzący kupczyk!

– Na twoją zadzumioną marchię połączą się tylko szczury – przerwał mu Orson sucho. – I zapłaciliście za nią całkowicie. Ale wasze tutejsze wyczyny... o, to już inny rachunek. Jesteście w moim domu i przebywaliście tu jako goście. Zabierzcie go – skinał na swoich ludzi. I zaraz potem dodał zwracając się do Terran: – Panowie ambasadorowie są oczywiście wolni. Porozmawiamy potem.

Zbrojni odepchnęli ich na bok i zgromadzili się wokół margrafa – nie zwracając w ogóle uwagi na pozostałych.

Leon zerknął z ukosa na Berga. Ten stał jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło, a z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

„Może – pomyślał Leon – tak będzie lepiej. Diabli wiedzą, co się teraz wyrabia w Solerze. Bardziej bezpiecznie będzie czekać na Drugą Kompleksową w Retrze – o ile w ogóle Druga przyleci... A jak nie przyleci, to tym bardziej...”

Berg, wciąż z obojętnym wyrazem twarzy zrobił krok przed siebie. I nagle – tak szybko, że nawet Leon, który miał za sobą niezłe przygotowanie w różnych szkołach sztuk walki nie zdążył zareagować – Berg znalazł się na plecami Orsona. Jedną ręką błyskawicznie wykręcił ramię absolutnie nie spodziewającemu się napaści hercogowi, drugą przystawił mu do krtani ostrze noża.

– Żadnych głupstw. Róbcie, co każę, a włos wam z głowy nie spadnie – powiedział z naciskiem.

– No, z pana strony, pośle, nie spodziewałem się tak nieprzemyślanego i pochopnego postępu – wycharczał Orson. Wykazał jednak sporą dozę zdrowego rozsądku i nie próbował się wyrwać.

– Ja też się nie spodziewałem – stwierdził Berg – i dlatego radzę, żeby mnie nie drażnić. Nie odpowiadam za siebie. Chodźmy, wasza dostojność. Leon, jego świętobliwość – za mną. Pozostali niech się nie ruszają. Bo jak nie, to chlasnę go po żyle – o, tutaj.

Ruszyli ku wyjściu, wlokąc ze sobą jeńca.

Ludzie hercoga popatrywali na siebie z niepewnymi minami, ale rozstąpili się żwawo, przepuszczając Solerczyków.

– Nie umrze od razu – przepowiadał Berg popychając hercoga przodem. – Krew z żyły płynie niezbyt skoro – o, gdyby to była tętni ca, to oczywiście... inna sprawa.

Wyszli na korytarz – Leon z Bergiem osłaniali odwrót. Jego świątobliwość usiłował chwycić go za ramię. Leon jednak odsunął jego dłoń.

Gdzieś daleko, za oknem, rozległ się ponury, przeciągły zew trąbki i oddalający się tętent koni. Ansard wyprowadzał odział zbrojnych.

W pewnej chwili idący spiesznie obok Leona Alf zapytał:

– Panie, to naprawdę bunt?

– Nie, po prostu się zabawiamy. Każdy rżnie głupa – odparł Leon. – No, chodźmy, to jeszcze się zabawimy.

„Berg – pomyślał – ty stuknięty, zakochany skurczybyku! Aleś namieształ!”

– W jednym się trochę pomyliliście – stwierdził Orson. Zachwiał się i skrzywił, kiedy Berg mocniej wykręcił mu rękę. – Nie możecie mnie tak trzymać w nieskończoność. Krewniak was chyba porzucił, ale wy, wasza dostojność, zostanieie tutaj!

– Nigdy w życiu – margraf dał znak Bergowi. Ten lekko dźgnął hereoga swoim nożem w kark i po kołnierzu Orsona popłynęły krople krwi. – My też zamierzamy wyjechać z Retry. Z tobą. Do tego właśnie służą zakładnicy, mój panie.

Tętent kopyt za murami zamku ucichł.

– Ja osobiście mogę tak przez całą dobę – oznajmił Berg uśmiechając się uprzejmie.

– Odjadą na bezpieczną odległość, a potem wyruszymy i my – margraf chyba się trochę uspokoił. – Nie zmęczył się pan, panie ambasadorze?

– Ależ skąd – odparł grzecznie Berg. – To żaden wysiłek. Wyszli z komnat, przeszli korytarzem i minęli salę biesiadną, gdzie na stołach leżały jeszcze resztki wczorajszej uczyty.

Alf, który z gębą otwartą w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia, szedł za grupą główną, teraz przemknął do jednego ze stołów i zdarłszy z niego poplamiony winem obrus, zabrał się do pakowania rozmaitych wiktuałów. Potem zawiązał wszystko w solidny pakunek.

– Kto wie – stwierdził rzeczowo, gdy natknął się wzrokiem na spojrzenie Leona – może Retra nie zechce nas już karmić.

– Właśnie – stwierdził sucho Orson, który stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą.

– No, myślę, że choć ta nie jest zatruta – skomentował margraf.

– Nie rozumiem tych aluzji do trucizny – Orson wzruszył ramionami, choć w jego sytuacji był to nie lada wyczyn. – Zresztą nie boję się śmierci aż tak bardzo, jak sądzicie.

– Piękna cecha – uprzejmie zgodził się Berg. – Ale jeżeli nie śmierci, to może...

– Owszem – przytaknął mu margraf. – Zastanówmy się na przykład, czy Retrze potrzebny będzie władca bez jaj?

– Oto jest pytanie – wtrącił machinalnie Leon.

– Wytrzebić? No, to może przesada... Wystarczy go oślepić – Berg był skłonny do wielkoduszności.

– Bądźcie przekłęci! – syknął Orson. – Raczej sam ze sobą skończę niż pozwolę na takie pohańbienie...

I z niespodziewaną siłą zaczął się wrywać z rąk Berga, który aż poczerwieniał od prób powstrzymania hercoga.

– Messer Orsonie, posłuchajcie głosu rozsądku – poradził mu Leon. – Sami jesteście sobie winni. Wpadliście w pułapkę, którą szykowaliście dla nas. Co, chciwość przeważyła? Mało wam było tego, cośmy zapłacili za żywność? Zachciało się wam jeszcze okupu?

– Nikogo z waszych nie tknąłem nawet palcem – Orson chyba już się zmęczył.

– No, jeżeli nie wy, to z waszego rozkazu... Wytruliście gwardzistów. Nie oszczędziliście nawet tego młodziutkiego giermka... Po co wam to było?

– Ja przysięgam...

– Imajcie spokój – margraf zbył go machnięciem dłoni. – Kto uwierzy w wasze przysięgi? – Rozejrzawszy się wokół, ruszył niespiesznie ku galeryjce wiodącej do pałacowych wrót. – Pora i nam się stąd zabierać...

– Sądzicie, że moje wojska na granicy przepuszczą waszego krewniaka z jego bandytami? – wychrypiął Orson.

– Przepuszczą, przepuszczą. Czemu by mieli nie przepuścić? Przecież wyprowadza swój oddział z Retry, a nie wjeżdża do niej. A przy okazji – margraf zwrócił się do Berga – jeszcze wam nie podziękowałem, panie ambasadorze. Bez was nie zdołałbym tak szybko dopaść tego łajdaka.

– Nie trzeba, to drobiazg – Berg był samą uprzejmością. – To wyszło tak, samo z siebie. Ale, ale... wasza miłość, trzeba by się zastanowić nad dalszą strategią. Przypuszczam, że wszyscy razem powinniśmy udać się do stajen, wybrać konie i...

– Proszę bardzo – zgodził się margraf. – Kto ośmieli się nas zatrzymać?

„Zakładając oczywiście – pomyślał Leon – że żadnemu z miejscowych miłośników honoru nie przyjdzie do głowy, iż martwy her-cog nie jest gorszy od żywego, a może i lepszy”.

– Idź przodem, Leonie – polecił Berg. – Weź tego swego wiercipiętę, niech nam poświeci. Trochę tu ciemno... W razie czego ogłosisz alarm...

– Alarm? – zapytał gorzko Leon. – Przecież już poderwaliśmy na nogi wszystkich w zamku!

I rzeczywiście, za ich plecami zdążył się już zebrać spory tłum. Początkowo wszyscy

szli cicho, jakby się bali obudzić śpiącego, ale szmer kroków robił się coraz głośniejszy, w miarę jak z bocznych korytarzy wypływały coraz to nowe strumyczki ludzi. Droga na razie była wolna, Leon jednak podejrzewał, że za zakrętem zaczęli się w oczekiwaniu na rozkaz albo po prostu na dogodny moment, wyborowi gwardziści Orsona. „Wariat! – przeklinał Berga, choć bezgłośnie. – Kompletny wariat!”

Niespodzianie Orson zwinął się mimo krepującego ruchu uścisku i idący za plecami Leona Berg stęknął boleśnie.

– Ugryzł mnie! – oznajmił zdumionym głosem.

Orson wił się nadal; po podbródku hercoga spływała krew.

– Groziłeś mi śmiercią? – wyszczał. – Nie ośmielisz się, draniu! W przeciwnym razie dacie gardła!

– Może on ma rację – stwierdził margraf z namysłem. – A może i nie. W razie czego sprawdzimy. Boli, panie ambasadorze?

– Dosyć! – Berg skrzywił się boleśnie, ale nie wypuścił Orsona z objęć.

– To dajcie go mnie.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę ku Orsonowi, ten jednak nagle wrzasnął dziko, wybałuszył oczy i targnął się wstecz. Berg, który nie spodziewał się takiego obrotu spraw, zachwiał się lekko. Nóż w jego dłoni nakreślił nowy czerwony pas na szyi hercoga. Jeniec, odepchnąwszy rozpaczliwie ambasadora i margrafa, rzucił się ku rzędomi wąskich okien wyciętych w północnej ścianie galerii, w których już się srebrzył półmrok nadciągającego poranka. Stojący na drodze Orsona Alf podciął hercoga zręcznym hakiem, ale włacica przetoczył się niemniej zwinnie, poderwał na nogi i po wspaniałym skoku, jakiego nie powstydziliby się żaden akrobata, znalazł się na wąskim parapecie. Czarna sylwetka na chwilę zamarła na tle na poły już przejrzystego nieba – jak oszalały, ogromny nietoperz.

– Ejże! – zawołał zbity z tropu Berg.

I też frunął ku oknu, usiłując schwytać uciekiniera za nogę. Ten jednak odwrócił się ku prześladowcom – przerażonemu Leonowi mignęły nic nie widzące, wywrócone białkami oczy – i uciekł, znikając wszystkim z oczu.

– No i masz... – stwierdził ponuro Berg.

Dopiero w tej chwili Leon zrozumiał, jak wysoko znajdowało się okno – żeby spojrzeć w dół, Berg musiał się wspierać na palce. Orson leżał na bruku pod samym oknem – ciemna plama na ciemnym tle – i z trudem tylko można było rozróżnić porozrzucane pod dziwacz nymi kątami ręce i nogi.

– Tam do kata! – wymamrotał Berg.

Kroki za ich plecami ucichły nagle, jakby wszyscy poddani hercoga zmartwieli,

a potem gromada groźnie zaszumiała.

„Bez zakładnika – oświeciło nagle Leona – jesteśmy już nieboszczykami”.

– W nogi!

Skoczyli w boczny korytarz – był ciasny i musieli biec jeden za drugim. Minęli jakąś niszę, z której nikło błysnęła wypolerowana zbroja. Potem jeszcze jedną, potem...

Ślepy zaułek.

Z tyłu dobiegał ich coraz głośniejszy tupot nóg.

– I cóż zamierzacie teraz zrobić? – rozległ się czyjś spokojny głos tuż obok Leona.

Posel obrócił się jak ukłuty szydłem. Jedne z bocznych drzwi, przedtem niewidoczne w mroku korytarza, uchyliły się nieco i w prześwicie pojawił się ambasador Ermold.

– A wy? – zapytał ponuro margraf.

– Może wziąć tego? – Berg spojrzał na radcę taksującym wzrokiem.

– A komu on potrzebny? – machnął pogardliwie ręką margraf.

Ermold cofnął się w głąb komnaty.

– Ejże! – mruknął ponownie zbity z tropu Berg.

Radca nawet nie raczył się odwrócić, tylko ponagłajaco machnął ręką. Ściskający rękojęść sztyletu margraf spojrzał pytająco na towarzyszy.

– Czego on chce, u licha?

– No, pospieszcie się, panowie! – zawołał radca z urazą w głosie.

– Nie stójcie jak słupy!

Wszyscy nagle rzucili się w głąb komnaty. Berg napał na masywny rygiel, nie poświęciwszy nawet chwili na rozejrzenie się po nowej kryjówce. Co prawda, nie za bardzo było co podziwiać: pusta komnata, na ścianach wypłowiałe kilimy, posadzka zasłana słomą. „Co on tu robił, ten Ermold? – zdumiał się Leon. – Tu nawet usiąść nie ma na czym!”

Gwar w korytarzu nasilił się i przybliżył. Przebijały się w nim urywane okrzyki komend i szczęk oręża. Tymczasem Ermold odsunął jeden z kilimów i zaczął pospiesznie wodzić dłonią po kamiennej wykładzinie, jakby spodziewał się coś wymacać. Drzwi za plecami skrzypiały i trzęsły się coraz mocniej, wszystko przypominało niekończący się zły sen, w którym wydarzenia wciąż się powtarzają – za każdym razem odrobinę inaczej. I nagle rozległ się jeszcze jeden przeciągły skrzyp – tym razem z przeciwległej ściany, w której nagle rozwarła się ciemna szczelina.

Ermold odstał w bok i spojrzał na rozwierające się przejście z taką satysfakcją, jakby sam osobiście je stworzył.

– Proszę bardzo! – powiedział.

– To pułapka – margraf wciąż jeszcze się wahał.

Ermold znacząco wzruszył ramionami i pierwszy wkroczył w mrok sekretnego tunelu.

Drzwi za ich plecami stęknęły głucho i ustąpiły. Berg chwyciwszy margrafa za ramię prawie siłą wepchnął go w otwór. Za nimi skoczyli pozostali. Leon widział ich sylwetki w przejściu – sekretarz prymasa zawahał się, czyjaś dłoń szarpnęła biedaka wstecz. W tejże chwili sekretne drzwi się zawarły i wszystkich ogarnął całkowity mrok. Za ich plecami rozległ się przeraźliwy kwik, potem krzyczący zachłysnął się i ucichł.

Leon stał w kompletnych ciemnościach i nie decydując się na żaden ruch nasłuchiwał przez chwilę przerywanych oddechów swoich towarzyszy. Potem rozległ się cichutki trzask. W dłoniach Ermolda rozgorzał nikły płomyk, oświetlając posępną twarz radcy – dyplomata musiał odnaleźć na jakimś występie ukryty tam krzemień i krzesiwo, a potem podpalił smolną pochodnię. Dopiero teraz Leon spostrzegł, że stoi na górnym podejściu schodów, których drugi koniec nikał w mroku.

– Dokąd nas zawlekliście? – nieufnie zapytał margraf.

– A gdzie byście chcieli? – warknął Ermold. Margraf z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Chcemy się stąd wynieść. Choćby do diabła, i to jak najszybciej – rozległ się dźwięczny głos Alfa zza pleców Leona.

– Wynieść się... nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe – westchnął Ermold. – Nawarzyliście panowie niezłej kaszy... Hecog Orson leży martwym bykiem pod ścianą zamku, niczym szmaciana kukła. Tegoście chcieli, panowie? Który z was pomógł mu tak skutecznie rozstać się z życiem?

– Przysięgam, że nikt – odezwał się margraf z goryczą w głosie.

– Z chęcią bym skrzył kark temu chciwemu bydlakowi, ale żywy był dla nas bardziej użyteczny niż martwy. Głupio jest zabijać zakładnika. Dociągnęlibyśmy go do granicy i puścili żywcem. Mam tylko jedno słowo.

Ermold przez chwilę niespiesznie przyglądał się kiepsko oświetlonym twarzom rozmówców.

– Cóż... – mruknął na koniec. – Możliwe, że to w rzeczy samej był przypadek. Ale jako zabójcy naszego władcy, choćby i przypadkowi, postawiliście się w fatalnej sytuacji. Wasze życie nie jest teraz warte złamanego grosza. Czy faktycznie myśleliście, że choć jeden z was wydostanie się stąd żywy i w jednym kawałku?

– Nie mam pojęcia – margraf fatalistycznie wzruszył ramionami.

– Poczekajcie. – Berg zmrużył oczy i przez chwilę wpatrywał się w pozbawioną wszelkiego wyrazu twarz radcy. – Co proponujecie? I – ważniejsze pytanie – co wami powoduje? Czemu chcecie nam pomóc?

– Bynajmniej nie z osobistej sympatii – westchnął Ermold.

– Skądże. Soler zresztą też nic mnie nie obchodzi. Ale widziałem, jak odjechał stąd ten wasz krewniak ze swoimi rzeźnikami. Jeżeli ozdobi my wami pale, jak się należy spiskowcom i wrogom korony, po prostu będzie musiał pomścić ukochanego wuja. Choć – o ile prawdziwe są doniesienia moich informatorów – żadnej szczególnej sympatii do was nie żywi. Ale obowiązek każe mu zwrócić się przeciw Retrze – która oczywiście sobie z tym poradzi, ale przez granicę runą wasi zadżumieni oberwańcy... Dżuma jest gorsza od rzezi. A wasi wygłodzeni pod dani pożrą Retrę z kośćmi. Wojny czasami są wygodne, nikt rozumny nie będzie się z tym sprzeczał, ale wojując z waszym wyniszczonym zarzą Solerem Retra niczego nie osiągnie. Nawet gdybyśmy wygra li... Dlatego gotów jestem wam pomóc – spróbuję pomóc – w zamian za wasze słowo. Jeżeli wrócicie do Soleru, nie próbujcie się mścić. I nie liczcie, że Retra zostanie bez głowy – Orson miał dość krewnych, by obsadzić nimi kilka tronów. Może znajdzie się wśród nich choć jeden dość mądry, by udźwignąć ciężar korony. Więc jak będzie?

– Sami widzieliście, co się teraz wyrabia w Solerze – zmęczonym głosem stwierdził margraf. – Przybyliśmy tu prosić, a nie żądać. Gotów byłbym mu nawet darować jego wiarołomstwo...

– A jesteście pewni, że to on was zdradził? – zapytał Ermold.

– Ach, ty...

Margraf ruszył na radcę, ale Berg chwycił go za ramię i rzekł z naciskiem:

– Spokojnie... spokojnie...

I margraf chyba się nieco odprężył.

– No dobrze – zgrzytnął zębami. – W każdym razie to i tak nie wasza wina. Ugoda dotycząca handlu pozostaje w mocy?

– Nie mogę niczego obiecać, ale postaram się to załatwić – odpowiedział szczerze Ermold.

– Więc... dobrze, niech będzie.

– Słowo honoru?

– Słowo honoru.

W dole pod nimi wzdychał i pulsował mrok.

– Mamy iść tamtędy? – dźwięczny zwykle głos Alfa brzmiał głucho, jakby gniotły go kamienne sklepienia lochu. – W dół? Po tych schodach?

Ermold kiwnął głową, Leon wpatrzył się z napięciem w twarz radcy, ale nie zobaczył na niej ani złośliwego uśmiechu, ani wrednej uciechy. Dyplomata był po prostu diabelnie znużony.

– Musicie jakoś wydostać się poza granice miasta. A te lochy się gają daleko za

mury. Wykopano je za niepamiętnych czasów.

Westchnął i wzruszył ramionami. Najwyraźniej sam czuł się niezręcznie.

– Nie rwałem się zbytnio do ich spenetrowania, choć z obowiązku służbowego znam kilka wejść i wyjść, ale w rzeczy samej pod pałacem ciągnie się istny podziemny labirynt przejść i korytarzy. Splątane są tak, jak robótka, którą przez chwilą bawił się kotek. Nie mam pojęcia, co strzeliło do głów przodkom naszego hercoga – niech Dwójca przyjmie jego duszę – żeby zbudować to kretowisko. Gdyby trzeba było sekretnego wyjścia poza obręb miejskich murów, wystarczyłyby dwa, trzy korytarze i gdyby korzystać z nich z umiarem...

– Pójdziecie z nami?

– Ależ skądże! Po co miałbym tam włączyć? Odprowadzę was do pewnego miejsca i poinstruuje, jak iść dalej. Tam są rozmaite znaki. A sam wrócę. Nie tu, oczywiście – ale są i inne sekretne drzwi. I raczcie zapamiętać – ani ja was nie widziałem, ani wyście mnie nie spotkali. Jeżeli was pojماją, a wy zechcecie mnie wydać, zeznam, że to wstrętne pomówienia...

Natrafivszy na podejrzliwe spojrzenie margrafa uśmiechnął się lekko.

– Gdybym chciał was zgubić, dawno bym to zrobił. Wystarczyłoby wydać was strażom. Jeśli wam zagrozą jakieś niebezpieczeństwa, to nie z mojej strony i nie za moją przyczyną.

– A o jakich niebezpieczeństwach mowa? – najeżył się margraf.

– Lochy to lochy. Można tu zabłądzić, wpaść w jakąś dziurę, sklepienie się może zawalić... Chodzą słuchy, że są tu jakoweś pułapki, znane tylko budowniczym – i może kilku wtajemniczonym.

– Nieczyste stwory tu się kręcą – stwierdził z naciskiem Alf. – W podziemiach zawsze pełno rozmaitego plugastwa.

– Proszę was, panie, zechciejcie wytłumaczyć swemu słudze, że nie powinien się odzywać niepytany – zwrócił się margraf do Berga. Leon pomyślał, że władca Soleru doszedł wreszcie do ostatecznych konkluzji, który z obu ambasadorów jest ważniejszy.

– Pospieszcie się, panowie – Ermold ruszył przodem i wszyscy kolejno wstąpili na schody.

Jak się tego należało spodziewać po porządnym lochu, z dołu ciągnęło zatechłą wilgocią i ciężkim, pełnym pleśni mrokiem. Pod wpływem sugestii Alfa Leon wyobraził sobie kłębiące się tam blade stwory i przejął go dreszcz.

– A nie podusimy się tam? – zapytał.

– Powietrze dociera przez specjalne wywietrzniki – stwierdził Ermold. – Nie da się ich zobaczyć z zewnątrz – są bardzo dobrze zamaskowane.

Stopnie były trochę śliskie i tak zimne, że odczuli chłód przez podeszwy trzewików. Każdy krok wydobywał z mroku kolejną ukośną płytę, za którą pod kątem niewyraźnie majaczyła następna. Wreszcie dotarli na dno schodni. Leon spodziewał się, że znajdą tu mokre i porośnięte mchami ściany. Okazało się jednak, że korytarz skonstruowano porządnie, by nie rzec z przepychem. Niskie, lekko łukowate sklepienie i ściany wyłożone ciemnym, poprzecinanym jasnoczerwonymi żyłkami marmurem, wypolerowanym tak, że w drżącym świetle pochodni zobaczyli swoje odbicia – lekko zamazane i pokryte czerwonymi żyłkami odbicia ludzi żywcem obdartych ze skóry. Posadzka też była marmurowa – czarne, przylegające do siebie płyty wypolerowane do zwierciadlanej gładzi wyglądały niczym wody zamrożonego jeziora, z dna którego znów wypłynęły odbicia, powykrzywiane i drżące, niczym podwodne potwory.

Ermold zdecydowanie ruszył przodem, orientując się wedle sobie tylko znanych oznak w płątaniu poprzecznych bocznych przejść rozwierających czarne paszcze i jaspisowych prostokątów zamkniętych drzwi.

Alf chwycił Leona za rękaw.

– Panie... – odezwał się cichutko.

– Co? – Leon wzdrygnął się nagle, usłyszawszy echa własnego głosu, które odbijały się od marmurowych ścian i sklepienia niczym oszalały nietoperz: – „Co-o-o...”

Idący obok prymas też drgnął i odsunął się tak zwawo, że Leon poczuł na policzku powiew powietrza. Poseł zwolnił kroku i odczekawszy chwilę, szeptem już ponowił pytanie:

– Czego chcesz?

– Panie... – Alf mówił ze śmiertelną powagą – to niedobre miejsce...

– Ach tak? A ja myślałem że idziemy się gdzieś rozerwać...

– Nie, nie to chciałem rzec. Gdyby to był zwykły podziemny loch, kto zadałby sobie tyle trudu, żeby go tak ozdabiać? Powiadam wam, jeżeli ktoś go tu dawno wykopał, to nie po to, by potajemnie przechodzić pod murami.

– Ach tak? – powtórzył Leon. – No to do czego miałby służyć?

– No... – Alf zagryzł wargi – to coś w rodzaju... świątyni. O, właśnie.

– Daj spokój, chłopie. Po prostu któryś z hercogów nie poskąpił na wykładziny, i tyle.

– Ten sam, co nie poskąpił, był tu pewnie najwyższym kapłanem i schodził dla pełnienia obrzędów.

– Jakich obrzędów, do licha?

Alf westchnął cichutko.

– Starej wiary – stwierdził już całkowicie szeptem. – A jakichże innych? Guntr mi

opowiadał, że bardzo dawno temu, takich lochów było znacznie więcej niż teraz. Prawie pod każdym zamkiem i pałacem... I wiodły bardzo daleko, a gdzieś tam łączyły się ze sobą w jeden labirynt.

Podziemne świątynie? Świątynie łączące królestwa? Co prawda, to ostatnie jest oczywistą w takich przypadkach przesadą. Do licha, czemuż z tych ludzi nie da się wydusić niczego konkretnego na temat starych wierzeń... tak mocno tkwiących w ich podświadomości.

– Nawet jeżeli to jakiś dawny chram – odezwał się, żeby uspokoić sługę Leon – to przecież od dawna świeci pustkami.

– Chramy nie bywają puste – sprzeciwił się młodzieniec – bo bóstwa nie umierają. Popatrzcie sami, jak te płyty błyszczą! Do tej pory ktoś je chyba poleruje.

– A czemu nie miałyby błyszczeć? Wiatru tu nie masz, kurz na nich nie osiada...

– – No, niby tak... – przyznał Alf niepewnym głosem. Korytarz się wyginał, zza zakrętów wypływały nowe zakręty i za każdym razem odcień ścian i posadzki nieco się zmieniał. Aż wreszcie ściany stały się zupełnie czarne, a posadzka – przeciwnie krwistoczerwona. Te przemiany nie wiedzieć czemu budziły trwogę i zbijały z tropu. Ermold jednak wiódł ich spokojnie, mijając jedno wejście i wkraczając w inne z taką pewnością, że Leon zaczął się zastanawiać, czy radca sam przypadkiem nie jest wyznawcą starej wiary. Może wcale nie chce ich uratować, ale zwabił ich tu, by zaprowadzić niczym ofiarne barany na jakiś zapomniany, mroczny obrzęd? Potrząsnął z gniewem głową, odpędzając czarne myśli. Pełznący powoli przodem ogień pochodni starego lisa drgnął wreszcie i znieruchomiał to Ermold zatrzymał się w miejscu i podniósł rękę.

Znaleźli się w niewielkiej, okrągłej sali. (ej sklepienie wspierało się na zielonkawych, nefrytowych kolumnach o ozdobnie rzeźbionych w roślinne motywy kapitelach. Płyty krwawoczerwonej z błękitnawymi żyłkami posadzki inkrustowano złotem. Skomplikowane wzory iskrzyły się w świetle pochodni, wystarczyło tylko, że Ermold poruszył dłoń. Leon zrozumiał nagle, że patrzają na plan labiryntu.

Sploty płynnie powyginanych nici czarowały wdziękiem, przyciągały wzrok – jedna złota wstęga niepostrzeżenie splotła się w drugą... Niespodziewanie Leonowi zakręciło się w głowie. Usłyszał, jak stojący obok Berg chrząka cichutko – jakby nagle stracił oddech. Jemu samemu zresztą trudno było oderwać wzrok od wijących się nici i gapił się w nie, jak zaczarowany.

Oczywiście, żeby stworzyć coś takiego, wcale nie trzeba dysponować najnowszymi technikami – w końcu obeszli się bez nich choćby budowniczości piramid! Wystarczy stutysięczne rzesze niewolników – ale przecież we wszystkich Średnich Marchiach nie znajdziesz tylu ludzi naraz! A w ludowej pamięci z pewnością przechowałyby się jakieś,

niechby i wypaczone, wspomnienia lub podania o budowie takiego labiryntu.

– Kto to wszystko zbudował? – zapytał głośno Leon. – Czyżby przodkowie hercoga? Takie piękno? Po co?

– Wedle dawnych podań, każdy kto wznosił zamek albo pałac, musiał wyryć pod nim podziemia. Może faktycznie istniały takie zwyczaje. Powiadają – niechętnie, jakby wbrew własnej woli objaśniał Ermold – że labirynty powstawały w ciągu jednej nocy. Trzeba było tylko znać pewne słowa i kamienie same spiętrzały się w ściany. A korytarze pełzały pod ziemią, niczym robaki. Potem, oczywiście, kolejne pokolenia dodawały co nieco do pierwotnych planów – tu tajne drzwi, ówdzie komnatkę do podsłuchów...

– Wszędzie? – zapytał z niedowierzaniem Berg. – Wszędzie? Pod każdym znacniejszym zameczkiem w Średnich Marchiach?

– Owszem... Tak mówią.

Leon zerknął z ukosa na margrafa, ten jednak milczał – wyglądał jak człowiek oczarowany grą odblasków płomieni w zwojach złotych nici.

– A co? – zdziwił się Ermold. – U siebie czegoś takiego nie macie?

– Nie – pokręcił głową Berg. – Mamy rozmaite zdumiewające budowle, ale czegoś takiego – nie.

Ermold pochylił się nad planem, przybliżył doń pochodnię i złociste żyłki ożyły, niczym nici ognia.

– Jesteśmy tutaj – ostrożnie, nie dotykając powierzchni wskazał na czerwonawy kamyczek w jednym z licznych węzłów splotu. – Czyli trzeba wam iść tam. Nocą wydostaniecie się na zewnątrz – daleko poza murami miasta.

– My? – wstrząśnięty śmiercią swego sekretarza prymas dopiero teraz chyba zaczął odzyskiwać rozsądek. – A wy z nami nie pójdziecie?

– Moja nieobecność w pałacu i tak już się przeciągnęła – wyjaśnił radca. – Może ktoś to źle zrozumieć. A raczej – dobrze zrozumieć.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie trwóście się panowie, tu nie jest tak łatwo zabłądzić, jak mogłoby się wydawać. Orientujcie się wedle barwy ścian – ona powinna się stopniowo zmieniać. Jeżeli będziecie szli ku zewnętrznym korytarzom, barwa powinna przechodzić w turkusową. A dalej korytarz ciągnie się już po prostej.

– A... pochodnia? – zapytał Berg. – Kto weźmie pochodnię?

– Wy. Ja mam swoją latarnię.

Radca wyciągnął spod płaszcza piękną latarnię z niebieskiego szkła. Zapalił knot i w padającym z dwu źródeł świetle po labiryncie popłynęły iskierki tyłu odblasków, że Leon pospiesznie oderwał wzrok od posadzki, bo zakręciło mu się w głowie.

Dziwne, że miał przy sobie latarnię. Jakby... jakby z góry wiedział, że będą musieli przechodzić przez te lochy.

Ermold podał Bergowi pochodnię.

– Myślę, że pan powinien iść pierwszy. No cóż, żegnajcie wszyscy. Mam nadzieję, że wydostaniecie się stąd bezpiecznie – przy odrobinie szczęścia nie jest to niemożliwe. I dotrzymajcie słowa – jak ja dotrzy małem.

Odwrócił się i pewnym krokiem ruszył z powrotem, ku korytarzowi wiodącemu w górę. Już przy wyjściu z sali odwrócił się, spojrział uważnie na Berga – w półmroku jego twarz wyglądała niczym wykrzywiona w szyderyczym grymasie maska – i poradził cichym głosem:

– Nie dajcie się zwieść wzrokowi.

A potem znikł w mroku.

– Co on przez to chciał powiedzieć? – zapytał zbity z tropu Berg.

Ale korytarz był już pusty. Przez jakiś czas słyszeli jeszcze dźwięk kroków – początkowo wyraźnie, potem coraz ciszej, ciszej...

– A... czy uda nam się stąd wydostać? – margraf wyzwolił się wreszcie spod wpływu czaru świetlnego labiryntu i potrząsał teraz głową, jak człowiek budzący się z długiego snu.

– Jeżeli wierzyć temu planowi, to... czemuż by nie? – odpowiedział Berg. – Trzeba nam tylko iść w tę stronę.

Zmrużył oczy i przez chwilę wpatrywał się w płataninę migotliwych linii.

– Jest w tym coś dziwnego.

– To struktura czterowymiarowa – odezwał się cicho Leon, mówiąc w języku uniwersalnym. – Pod warunkiem, że się ją odpowiednio zinterpretuje.

– Co takiego?

– Przyjrzyj się uważniej...

– Możliwe – przyznał po chwili Berg z niechęcią, nie odrywając wzroku od iskrzącego się złoście labiryntu. – I co to, wedle ciebie, powinno znaczyć?

– Nie mam pojęcia.

– Czyżby to rzeczywiście ci... drudzy?

– Nie wiem. Ale jeżeli nie oni, to kto? Ci tutaj? Przekopali taką skomplikowaną machinę, a potem o niej zapomnieli?

– Może nie taką skomplikowaną i niezupełnie machinę. Strach ma wielkie oczy...

– No to się przyjrzyj, jak oni się dziwacznie zachowują – raz udają, że w ogóle niczego nie wiedzą o takich sprawach, a przy innej okazji traktują je jak coś normalnego i powszedniego. Albo wszelkie rozmowy o podobnych labiryntach są obłożone zakazem

podobnym do tabu – każda kultura ma swoje zakazane tematy – albo... – Spojrzał z ukosa na Berga. – Może wystarczy tylko, że wyjdą z takiego labiryntu, a coś wymazuje im pamięć, do następnego razu.

– No, wiesz... – odezwał się Berg, głosem pełnym wątpliwości.

– I jaki w tym wszystkim widzisz sens?

– Panowie, bardzo was proszę! – wtrącił się margraf podniesio nym głosem. Leon zrozumiał, że ich towarzysz z najwyższym trudem się broni przed paniką ogarniającą go z coraz większą siłą. – Mówcie tak, żebym mógł was zrozumieć.

„Boi się nas bardziej niż tego labiryntu – zrozumiał nagle Leon.

– Jesteśmy przecież dla niego obcy”.

– Zechciejcie wybaczyć, wasza dostojność – przeprosił spokojnie Berg. – Zapomnieliśmy się.

– Wiecie panowie... – wtrącił się pojednawczo prymas – lepiej będzie, jeżeli wyjdziemy z tej sali. Dopóki nie zapomnieliśmy, dokąd mamy iść.

Zamrugnął powiekami i uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie wiadomo dlaczego, ale kręci mi się w głowie.

– Na ten labirynt nie można za długo patrzeć – wyszeptał stojący za Leonem Alf. – On się rusza, panie... wy tego nie widzicie?

Leon odwrócił się i spojrzał na sługę – młodzik miał rozszerzone, błyszczące gorączkowo oczy.

– Spokojnie, chłopie – poradził łagodnie. – To tylko pozory. Gra świateł.

– Wszystko jedno, chodźmy stąd, na Dwójce...

Ruszyli tym korytarzem, który wskazał im Ermold. Berg poszedł przodem, niosąc pochodnię w wysoko uniesionej dłoni. Leon szedł tylko krok z tyłu. Barwa kamienia, którym wyłożono ściany stopniowo się zmieniała. Antracytowa czerń robiła się coraz bardziej mętna, jakby zasnuwała ją niebieskawa błona – idącym zaczęło się wydawać, że otacza ich zdradziecko zwodnicza woda. Berg szedł powoli, każdy krok poprzedzając uważnym przyjrzeniem się wszystkiemu przed sobą – choć Leona drażniła ta skrupulatność. Niedługo jednak potem prowadzący zatrzymał się przed nieco tylko głębszą od innych szczeliną pomiędzy dwiema płytami posadzki.

– No, co tam? – zapytał ponaglając idący za nimi margraf. Wydawało się, że właśnie on znosił wędrówkę przez lochy gorzej od innych – poruszał się i mówił jak człowiek, któremu zaczyna brakować powietrza.

– Poczekajcie, panie.

Berg ostrożnie tknął czubkiem trzewika brzeg nieznacznie wystającej ponad inne płyty. Dotknięcie było słabiutkie – można by je uznać za muśnięcie, ale i ono

wystarczyło – płyta odwróciła się nagle i opadła w dół, odsłaniając czarny, zionący czernią prostokąt zapadni. Blask opuszczonej niżej przez Berga pochodni tonał w nim jak w przerębli.

– Proszę – stwierdził rzeczowo Berg. – I przypuszczam, że ta nie jest ostatnią.

– W rzeczy samej, Ermold mówił coś o pułapkach – przyznał znużonym tonem Leon.

– Owszem – pokręcił głową Berg. – Ale ta jest jakaś... prostacka. Jakby skonstruowano ją specjalnie dla matolów.

– Ten łajdak specjalnie nas tu skierował! – zawołał wściekły margraf.

– Bardzo możliwe – zgodził się Berg. – Ale co z tego? I tak nie mamy innej drogi.

Poczekajcie.

I ostrożnie przeszedł z jednej płyty na drugą.

– Berg! – mruknął ostrzegawczo Leon.

– Drobiazg – mruknął Berg przez zaciśnięte zęby. – Dam sobie radę. Ja je... wyczuwam przez skórę.

Trzymając się blisko ściany, obszedł ostrożnie czarną czeluść i przeszedłszy na drugą stronę odetchnął głośno.

– No dobra. Możecie iść. Ale, na Dwójce, niczego nie dotykaj cie...

Oświetlił pochodnią ściany z dołu w górę i raz jeszcze w dół. Kamienne płyty były tak gładkie, że można by pomyśleć, iż się ze sobą pozrastały.

– Na razie wszystko w porządku – odwrócił się, poczekał na Leona, a gdy ten się z nim zrównał, rzucił kącikiem ust: – To dziwne...

– Wszystko tu jest dziwne – zgodził się Leon.

– Nie dziwi mnie to, że są tu pułapki. Dziwię się temu, jakiego są one rodzaju.

– Za proste?

– Chyba tak. We wszystkim innym ci, co zbudowali labirynt myśleli niezbyt standardowo. Gdybyż tu trafiła Druga Kompleksowa! A jednak miałeś racje – ten świat powstał na ruinach dawno minionej cywilizacji.

– Historyczny regres? Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie wygląda mi to na regres. Gdybyś miał racje, żyliby wspomnieniami minionej chwały, a my nie trafiliśmy ani na jedno podanie o potężnych przodkach.

– Może te podania też są tabu?

– I to właśnie zbija mnie z tropu. Tabu obejmuje tylko to, co wrosło w kulturę i stało się jej częścią. Nie martwą sławę i chwałę, ale coś żywego, stale obecnego. Pomyśl tylko... przecież moglibyśmy przeżyć tu kolejne dziesięć lat i niczego byśmy się o tym miejscu nie dowiedzieli! To, że tu trafiliśmy, jest dziełem czystego przypadku! Gdyby

nie ta cała historia z Orsonem... Posłuchaj... nie myśl tylko, że znów zagłębiam się w hipotezy.

– Wcale tak nie myślę – stwierdził sucho Berg.

– Ale zgodzisz się chyba ze mną, że wszystko to jest dziwne. No powiedz mi, dlaczegóż Orson nagle miałby nabrać ochoty do rozprawy z naszą misją dobrej woli. Rozmowy przebiegały zupełnie pomyślnie.

– Możliwe – podsunął Berg – że otrzymał jakieś nowe informacje. I postanowił na ich podstawie podjąć określone działania.

– Jakie informacje? Skąd?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, on mi się nawet spodobał – Berg pokręcił głową z niedowierzaniem. – Niegłupi człowiek, w miarę cyniczny, w miarę chciwy władzy i zaszczytów... Szkoda, że tak... No, tego to się po nim zupełnie nie spodziewałem. Skąd mu to przyszło do głowy? Czyżby uwierzył, że my moglibyśmy go...

Leon ledwo dostrzegalnie wskazał wzrokiem margrafa.

– On by mógł – stwierdził cicho.

– Ależ ja bym mu nie pozwolił...

– Naprawdę?

Berg tylko westchnął.

– Nie wiem – stwierdził po chwili zupełnie szczerze. – Nie dał bym głowy. Zresztą on jakby nie bardzo nad sobą panował. Te lochy źle na niego wpływają. Ale nigdy bym nie przypuszcza), że jego dostojność tak bardzo jest podatny na klaustrofobię. Jego świątobliwość zresztą też...

– A co z jego świątobliwością?

Berg obejrzał się na maleńkiego kapłana. Ten brnął po korytarzu drobnymi kroczkami. Twarz prymsa nie wyrażała żadnych uczuć, a w jego szeroko otwartych oczach błyszczał odblask płomieni pochodni.

– No właśnie, co? – zapytał Berg.

Z każdym krokiem dowiadywał się coraz lepiej, co ich czeka. Wiedział i nie mógł im powiedzieć – ci, których nie wolno nazywać, zapieczętowali mu usta. Pozostawało mu tylko iść przed siebie i zdumiewać się temu, że wcześniej o nich nie wiedział. Żył, stąpał po powierzchni i odprawiał nikomu niepotrzebne obrzędy. Całkowicie pozbawione sensu, śmieszne, niczym dziecięce zabawy, podczas których malcy daremnie usiłują naśladować dorosłych. A teraz spadło na niego objawienie. Pojął wszystko, od początku do końca, ale wiedza ta była w nim pogrzebana – i miała z nim umrzeć, ponieważ nie mógł powiedzieć ani słowa. Stali u wejścia do paleniska, w którym czyhało coś, czego

nazwy na razie nie znał – coś równie milczącego, jak ten mrok – czaiło się, żeby przetopić ich ciała i dusze w coś nowego, strasznego, ponieważ nikt nie wracał stamtąd takim, jakim był przedtem. Czekał na to oślepiające przeobrażenie i bał się chwili, w której nastąpi. Tępe, chodzące marionetki z krwi i kości – niczego nie pojmą, dopóki nie dotknie ich ognisty palec losu.

– Jak się czuje wasza świątobliwość? – zapytał ten... jakże mu tam?

Wzdrygnął się.

– Tak, tak... – odpowiedział pospiesznie. – Wszystko w porządku.

Korytarz ciągnął się coraz głębiej, ze lśniących czarnych ścian wabiła błękitnawa przesłona. Teraz poruszali się już bardzo powoli – Berg przyglądał się podejrzliwie każdej szczelinie i każdej żyłce w ścianie. I on chyba przestał wierzyć swoim przeczuciom. Dlatego wszędzie wyczuwał niebezpieczeństwo. Z mroku wyłoniły się mgliście zielonkawe nefrytowe drzwi, jakby podświetlone od środka – po na poły przezroczystym kamieniu pięły się wzory, formujące się w dziwaczne drzewo.

– Jak myślisz, dokąd one prowadzą? – zapytał Leon.

– Jeżeli wierzyć tym bajdom, to mogą wieść wszędzie – zmęczonym głosem odpowiedział Berg. – Do takiego samego korytarza... a potem do następnego.

– I ty im wierzysz?

– Nie – uciał Berg.

– Dziwne te wzory. Jak myślisz, to rzeźba czy formacja naturalna?

– Najpewniej inkrustacja. A, powinniśmy tam iść.

– Zaczekaj! – zatrzymał go Leon.

– Co tam jeszcze?

– Teraz coś z chłopakiem... Alf, ej, Alf!

Berg, który doszedł już do zakrętu, zatrzymał się i obejrzał, wpatrując się w półmrok.

Alf, który niemal na palcach przeszedł obok nefrytovej płyty, nagle zamarł w bezruchu i przylgnął do migotliwego kwadratu.

– Alf!

Młodzieniec nawet nie drgnął. Nadal stał nieruchomo i tylko coraz bardziej wciskał się w łagodnie świecącą zielonkawą powierzchnię, jakby się do niej przykleił.

– Do diabła! Leon się zatrzymał, przepuścił towarzyszy, a potem spiesznie wrócił do Alfa. Zatrzymawszy się obok, położył mu dłoń na ramieniu.

– Idziemy! I aż się zachnął. Od drzwi ciągnęło chłodem – tak ostrym, że Terranin odebrał to niemal jak uderzenie ładunkiem elektrycznym. Chłopak powoli odwrócił

głowę:

– Tam, za tymi drzwiami... Wy niczego nie słyszycie? Ono... wzywa mnie z imienia.

Leon wsłuchał się w ciszę, ale uczynił to raczej dla porządku. I rzeczywiście, poza przygłuszonym rytmem kroków, szurania nóg trzaskania smolnej pochodni, innych dźwięków w korytarzu nie było.

– Wydaje ci się.

– Nie, nie... taki łagodny głos... a teraz się śmieje, la muszę tam wejść! Puśćcie innie!

Rozpłaszczył się na płycie drzwi i rozłożył ręce, jakby chciał się wtopić w lśniącą powierzchnię.

Leon chwycił go za ramiona i spróbował odciągnąć. Lecz okazało się to niespodziewanie trudne – jakby coś zza drzwi ciągnęło chłopca niczym magnes.

– lam, za tymi drzwiami... – mamrotał Alf – jest piękny kraj... eden... wystarczy tylko otworzyć drzwi. I wszystko będzie dobrze.

Ale do otwierania drzwi – co wcale nie byłoby proste, bo nie miały klamki ani rygla – jakoś się nie zabierał. Nie próbował ich nawet pchnąć. Rozpłynął się tylko po powierzchni, jakby jego ciało było z rtęci.

– To wcale nie raj! – zagrział Leon, oddzierając minstrela od płyty. – To złudzenie! jedno wielkie oszustwo! Kłamie ci ten głos! Tam niczego nie ma – tylko chłód i mrok!

Terranin nie czuł już rąk – palce zmartwiały mu z zimna, które sączyło się zza drzwi. Dlaczego Alf niczego takiego nie czuł?

– Chodźmy – nalegał Leon.

W tej samej chwili zorientował się, że otacza ich prawie całkowita czerń – płomień pochodni majaczył coraz dalej i dalej. Do diabła, czyżby tamci nie widzieli, że dwaj towarzysze zostali z tyłu? Odchodzili – powoli, ale nieuchronnie. W drżącym, niknącym blasku Leon ujrzał nagle, że rzeźba na panelu drzwi stopniowo pokrywa się szronem. Mróz nawarstwiał się coraz wyraźniej, nici łączyły się w kryształki i dziwaczne szklane kwiaty, osypujące się pod jego oddechem.

Nagle Alf odskoczył w tył, jakby po drugiej stronie drzwi ktoś wyłączył niewidzialny magnes, i oszołomiony potrząsnął głową.

– Skąd... skąd ja się tu znalazłem?

– Nieważne – odpowiedział znużonym głosem Leon, który nie przestał popychać młodzika w stronę oddalającego się coraz bardziej światła. – Chodźmy szybciej.

Nie oglądając się wstecz, pospiesznie ruszył korytarzem za światłem pochodni, które zniknęło za zakrętem.

– F.j! – krzyknął i echo znów zaczęło się miotać od ściany do ściany, szeleszcząc

niewidocznymi skrzydłami.

Trzy czarne sylwetki widoczne na tle aureoli przytłumionego światła szły dalej. Żadna się nawet nie odwróciła.

– Ej! Poczekajcie!

– Nie trzeba krzyżeć, panie – stwierdził cichutko Alf. – To już nie oni. Nasi odeszli dalej. Daleko...

„Boże! – pomyślał Leon. – Przecież on zwariował?”

– Ruszaj się, do kata! W przeciwnym razie oni rzeczywiście odej dą daleko!

Ściany korytarza otaczały ich płynnie, niczym zmacona woda – gdzieniegdzie zaczynały już mienić się błękitem, niby iskrząca się w słońcu pierś skalnego gołębia.

Czarne figury były już bliżej – tamci nie przyspieszyli, ani nie zwolnili kroku. Prymas, który szedł na końcu, odwrócił się, słysząc odgłos ich kroków. Kapłan miał bladą, prawie przezroczystą, twarz. – Czemu na nas nie poczekaliście? – zapytał zasapany Leon.

– Przecież wołałem!

Nikt mu nie odpowiedział. Towarzysze szli milcząc, nisko opuściwszy głowy.

– Panie! – Alf gwałtownie szarpnął Leona za ramię. – Panie, nie trzeba!

– Berg!

Teraz odwrócił się Berg. Miał twarz tak samo bladą i pozbawioną wszelkiego wyrazu, jak oblicze prymasa.

– Ty...

Leonowi nagle zaschło w krtani. Daleko w przedzie majaczyła jeszcze jedna nikła świetlna plamka – niczym płomyk pochodni.

– Panie, szybciej – nalegał Alf.

I jak przedtem nie wypuszczając rękawa Leona, skoczył naprzód. Przebiegając obok margrafa pchnął go łokciem. Władca Solcru zachwiał się, ale nie upadł i nie zwrócił na to uwagi – szedł jak przedtem, mechanicznie stawiając nogi jedna przed drugą.

Leona otoczyła fala zimnego i lepkiego smrodu. Zatkawszy nos skoczył za Alfem, zostawiając za sobą miarowo kroczące figury.

– Leon... – rzucił za nim Berg.

Głos był głuchy i niewyraźny, jakby mówiący starał się siłą zmusić do posłuszeństwa zdrewniały język.

Alf gnał przed siebie, nie wybierając drogi. Leon biegł za nim. Z tyłu człapały miarowo niewiadome stwory – z przerażającą obojętnością unosząc i opuszczając stopy.

Mglista plamka przed nimi zaczęła się przybliżać. Rozrosła się w drgający języczek pochodni. W jej świetle Leon mógł już dostrzec trzy identyczne sylwetki, które zostawili

z tyłu. Idący przodem Berg usłyszawszy coraz głośniejsze kroki za sobą, zwolnił, a potem się zatrzymał.

– Poczekaj – odezwał się z niedowierzaniem w głosie. – Jakże to? Kiedy zostaliście?

Dopiero w tej chwili Leon zdał sobie sprawę z faktu, że wciąż trzyma dłoń na nosie. Odjawszy rękę odetchnął łąpczywie chłodnym powietrzem podziemi. W jakiś dziwaczny sposób pachniało tu jednocześnie pleśnią i suchym pyłem stuleci – ale nos posła nie złowił żadnej innej woni.

– Co znaczy, kiedy? – Leon obrzucił Berga podejrzliwym spoj rzeniem, ale to chyba rzeczywiście był jego towarzysz. – To wyście poszli przodem i nie zaczekaliście na nas!

– Leon, przez cały czas szliście tuż za nami. Kilka razy obejrzałem się, sprawdzając, czy ktoś się nie zgubił. Potem nagle patrzę – was nie ma. W chwilę później usłyszałem tupot kroków – i wypadliście z za zakrętu, jakby was diabeł gonił.

– Bo goni... Berg, za nami idą... wasze sobowtóry.

– Co?

– Wziąłem je za was. I dlatego się nie pospieszyłem. Berg odwrócił się na pięcie i wbił wzrok w głąb korytarza.

– Gdzieś ty je widział?

Dopiero teraz i Leon odważył się odwrócić. Jasna plamka, majacząca z tyłu migotliwą imitacją pierwszej pochodni, zgasła. Z tyłu napierała ściana nieprzeniknionego mroku.

– Znikły. To znaczy, mam taką nadzieję.

„Może one nie potrzebują światła latarni – przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. – I nadal idą naszym tropem, miarowo poruszając nogami, odbijając się na oślep od ścian – twory mroku, jeszcze bardziej odeń przerażające...”

– Leon – zapytał Berg z wahaniem w głosie. – Jesteś pewien, że ci się nie przywidziało?

– A tobie się nie przywidziało, że idę razem ze wszystkimi? – odciął się Leon.

– No, niby tak... – przyznał z niechęcią Berg. – Trzymaliście się trochę z tyłu i niezbyt dobrze was widziałem, ale do pięciu liczyć jesz cze umiem. Znaczy, twierdzisz, że to nie byłeś ty? Więc kto?

– Nie wiem. Kiedy was dogoniliśmy, tamtych już nie było. Wi działałem tylko waszą trójkę.

– Co tam się stało? Co was zatrzymało?

– Nie wiem... – powtórzył Leon kręcąc głową. – Nie jestem pewien. Coś bardzo dziwnego.

Berg westchnął.

– Nie wolno się nam rozdzielać ani na minutę.

– Sam to wiem. Tak jakoś wyszło.

„Jakby to od nas zależało” – pomyślał. Na króciutką chwilę zakradło mu się w duszę straszne podejrzenie: owszem, ci tutaj są podobni, niby tacy sami... a co, jeżeli to nie oni? Nie Berg? Tamta imitacja była dość prymitywna, ale ta może być znacznie lepsza. Jak i po czym poznać? Zakręciło mu się w głowie. Postąpił krok ku przodowi, zdecydowanie odepchnął Berga i zaczął się wpatrywać w mrok – czy przypadkiem nie mający tam daleko przed nimi jeszcze jedna plamka światła?

– Co robisz? – zdziwił się Berg.

Leon nie odpowiedział, tylko kątem oka obserwował pozostałych, jego towarzysze poruszali się normalnie, nierównym, ciężkim krokiem zmęczonych ludzi. Nie ciągnęło od nich lepkiem, trupim, ciężkim bezosobowym chłodem, a jednak czuł się nieswojo – jakby uciekła mu właśnie jakaś nieuchwytna myśl... i daremnie silił pamięć, starając się przypomnieć sobie, co to było.

„To nie oni... nie prawdziwi oni... albo – co jeszcze gorsze, to my jesteśmy nieprawdziwi. Boże, co też ja... Kompletnie mi odbiło!”

Wokół idących migotały i iskrzyły się ściany korytarza, niczym morze o poranku.

„Chyba jedynie tamta pułapka, ta z płytą, była dziełem człowieka – pomyślał. – Wszystko pozostałe, co tu się dzieje albo co dziać się może, nie ma żadnego związku z ludźmi. Bo gdyby to było dzieło ludzkich rąk i rozumu, zdołałbym to jakoś ocenić... albo cokolwiek bym z tego zrozumiał. Dlatego, że wszystko, do czego zdolny jest ludzki umysł, jakkolwiek dziwne mogłyby się wydawać płody jego rozgorączkowanej wyobraźni – wszystko jest zrozumiałe i dostępne poznaniu. Cdyby tak było w istocie, to nie szedłbym teraz ze swoimi towarzyszami i nie próbowałbym odgadnąć, czy są prawdziwi, czy podstawieni. To oni – myślał patrząc jak zaczarowany na grę światła w szmaragdzie i purpurze ścian. – Ci, w istnienie których nie wierzy Berg i o których nie chcą mówić pozostali. Wystarczyło opuścić się kilka metrów pod ziemię i trafiliśmy do ich świata, a ten okazał się ogromny i niepojęty. Żalotne potworki, nie mogące znieść słonecznego światła, mizerna parodia ludzkiego wyglądu? Nie, to tylko ich cień, karykatura stworzona po to, by zmylić wzrok mieszkańców powierzchni. Przewrotne poczucie humoru nieznanymi istot, niewidocznymi dla ludzkiego oka, ale potężnymi i wielkimi. Nic dziwnego, że aborygeni tak się ich boją!”

Ściany korytarza osobliwie się przeistoczyły – jakby w istocie były płynne – w powietrzu utworzyło się coś na kształt ogromnej błękitnej soczewki i Leon znów zobaczył powoli idące im na spotkanie sobowtóry. Mimo woli chwycił Berga za ramię i w tej chwili zobaczył, że jego drugie „ja” powtórzyło ten ruch.

– No, coś ty? – rzucił Berg z przekąsem. – Ib tylko jakaś sztuczka optyczna, nic więcej.

– Nic więcej? – powtórzył Leon z goryczą.

Berg zrobił jeszcze krok i figury zaczęły się rozplýwać, niczym krople atramentu w ciemnej wodzie.

– Głupie sztuczki – powtórzy) gniewnie. – Ściany... – odezwał się cicho margraf.

– Co – ściany?

– Są złociste. A jeszcze przed chwilką były niebieskie.

Rzeczywiście – nie tylko przed nimi, ale i za nimi ciągnął się złocisty korytarz – ochra jesiennych lasów i ciepłe złoto paleniska podczas zimowej nocy.

– I kiedyż oni zdążyli to przemalować? – zdziwił się Berg. – Po tej soczewce?

Leon westchnął.

– Jakoś... nie zwróciłem na to uwagi.

Nie do pomyślenia, żeby on, świetnie wyszkolony, mający za sobą setki testów na stabilność psychiki, przestał spostrzegać, co się wokół niego dzieje?

Berg chyba pomyślał o tym samym.

– Trzeba odpocząć – stwierdził.

– Panowie, proszę... – w głosie margrafa brzmiało niemal błaganie. – Nie wolno się tu zatrzymywać.

Berg powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy. Przypominali widma. Leon jeszcze się jakoś trzyma, ale pozostali są już na granicy nerwowego załamania. „Nic dziwnego – pomyślał. – Leon był podświadomie przygotowany na to, co zobaczył – tyle mówił o Drugiej Sile... I cóż takiego właściwie tu było, z czym – w tej lub innej formie – nie można by się zetknąć na ich własnej Ziemi? Ale tubylcy?

A przecież mogłoby się wydawać, że im łatwiej niż cywilizowanym Ziemianom uwierzyć w istnienie niemożliwego. Ale ich, zamkniętych w putapce własnych mrocznych strachów, coś tu odpycha, próbuje wycisnąć ich z obcego świata, jak śliskie ziarnko arbuza spomiędzy palców. Popatrz, jaki mają;) szalony wzrok, jeżeli się załamią – wszyscy naraz – jak sobie z nimi poradzimy?”

– No dobrze – zgodził się. – Chodźmy dalej. W końcu to nic strasznego... Myślałby kto... ściany.

„Leon, nowicjusz, nieopierzony żółtodziób, ale ma rację – myślał Berg. – A ja jestem upartym osłem. Przez cały czas zapewniał mnie, że coś tu jest nie tak. Że w pobliżu kryje się coś, czego dotąd nie widzieliśmy. Ale któż mógłby pomyśleć, że ci nieszczęśni tubylcy nie wymyślili sobie po prostu obiektu sekretnego uwielbienia, jak przystało

wszystkim porządnym aborygenom... że pod ziemią, dobry Bożeł dosłownie dwa kroki od nas, kryje się coś niezrozumiałego.

Początkowo można było jeszcze uwierzyć, że obserwujemy jakieś artefakty minionej cywilizacji – mało prawdopodobne, ale w końcu możliwe jednak potem... Przecież to absolutnie do niczego niepodobne! Jakże tam relikty! Wszystko doskonale funkcjonuje na nieznanych zasadach! Jakże mogliśmy coś takiego przegapić?

My... w końcu jesteśmy tylko obserwatorami. Ale ci z Pierwszej Kompleksowej też dali sobie zamydlić oczy! Dokładnie, jak ci diabelscy tubylcy – zobaczyli tylko to, co chcieli zobaczyć. Żeby choć jeden meldunek, czy raport! Trzeba tylko przetrzymać do przylotu następnej ekspedycji. Przecież to coś zupełnie nowego...”

„Oni są tu obcy – myślał prymas. – W przeciwnym razie albo nie zobaczyliby w ogóle nic, ponieważ nikomu nie jest dane zobaczenie niższego świata przed jego czasem, albo byliby padli przed tą wielkością na twarze – oto ów, potężny, wszystko przenikający, egzystujący tam, w jądrze ciemności. Ktoś, kto milczy i czeka – nie musi się spieszyć, bo ma do dyspozycji całą wieczność... No cóż, i my nie musimy się nigdzie spieszyć, bo... bo...”

„Nienawidzę tej dziury – myślał margraf. – Ona mnie dusi. Jak-by zamknął się w niej cały świat, zaciskając paluchy na moim gardle. Ten diabli pokurcz, Orson, gdyby nie jego podłość... Przecież prawie uratowałem Soler. Ponizalem się, targowałem, kręciłem... i prawie się udało. Czemu Oni mi przeszkodzili? Dwójca mi świadkiem, że starałem się być dobrym władcą. Robiłem tylko to, co trzeba było. I po co, prawdę rzekłszy? Jakże to smutne – wiedzieć, że wszystkie wysiłki były daremne, że na świecie nie ma sprawiedliwości, ani wdzięczności. Dobro i szlachetność się nie oplacają. Komu zresztą są one potrzebne... Hersenda... czemu akurat teraz o niej pomyślałem? Jakże ona miała oczy, wtedy, dawno temu... jakby spodziewała się cudu, którego nie widzieli inni, szczęścia, które czekało na nią i tylko na nią... Kiedy to wszystko się skończyło? Kiedy jej spojrzenie zaczęło przygasać? Kiedy się zaczął proces, który przemienił Hersende w mechaniczną kukielkę podobną do tych, jakie konstruował zegarmistrz tego przeklętego Or-sona? Żona władcy, który wie, co komu jest winien – czy to nie dość, żeby być szczęśliwą? Zmiłuj się nade mną, Dwójco! Jakież nieprzenikniony jest ten mrok – tak samo, jak jej oczy...”

„Obcy – z natury rzeczy znaczy idiota... – myślał Alf. – Oni niczego nie pojmują...”

– Jeżeli wierzyć Ermoldowi, powinniśmy być już gdzieś w okolicach wyjścia – stwierdził Berg.

– Wierzyć? – margraf ze wszystkich sił starał się ukryć drżenie i dlatego słuchaczom

wydało się, że mówi przez zęby. – Przecież on po prostu wybrał najlepszy sposób na to, żeby nas się pozbyć... i tyle.

– Na razie nie idzie nam źle – uspokajająco stwierdził Berg. – Er-mold nie zełgał. Faktycznie weszliśmy w turkusowy korytarz. Wszystko jest, jak mówił.

– W waszym kraju tę barwę nazywacie turkusową? – zapytał margraf pozornie obojętnym głosem.

– No tak... przed pięcioma minutami akurat tak bym ją nazwał. „Ta rozmowa nie ma sensu – pomyślał Leon. – Nic z niej nie wynika. W jednym tylko Berg ma rację: z jego dostojnością trzeba rozmawiać, choćby i o niczym. Bo jak nie, to jego dostojność zwariuje nam tu ze strachu”. Głośno zaś powiedział:

– Tak czy owak, nie wolno nam wracać, bo kompletnie się zgu bimy. Być może wyjście jest już niedaleko. Co o tym sądzi jego świętość?

Maleńki prymas milczał przez cały czas, co niepokoiło Leona. Ot i teraz: pokręcił tylko głową i wyszeptał:

– Na nic. Wszystko na nic...

Leon poczuł nagle, że posadzka pod ich nogami wibruje ledwie wyczuwalnie; wydało mu się, że otaczający ich mrok naciera falami, niczym bezgłośny przybój. Trzymana przez Berga pochodnia zaskwierczała ni z tego ni z owego, eksplodowała w ostatnim błysku agonii i zgasła.

– Nie ruszajcie się z miejsca – polecił Berg głosem, w którym dźwięczał strach. – Niech każdy zostanie tam, gdzie stał.

Mrok, który ich otulił, był kompletny, nieprzenikniony i prawie namacalny – czarna duchota worka po węglu, w którym ktoś uporczywie zamykał wylot. Po chwili Leon zobaczył dalekie światełko – tak nikłe, że można by je uznać za fioletową plamkę na siatkówce oka. Zamknął powieki – i światełko znikło.

– Tam, za zakretem – wyszeptał. – Tam jest jaśniej, widzicie?

– Nie!

Leon nie widział margrafa, ale z łatwością sobie wyobraził, jak ten wpatruje się w mrok swoimi bystrymi oczami myśliwego i wojownika.

– W którą stronę, panie? – to pytał Alf. – Ciemno przecież, jak w dupie.

– Światło? – to był Berg. – Tak, chyba masz rację.

„On widzi, oni nie – pomyślał Leon. – Dokładnie tak, jak wtedy w Murcjańskich Górach, kiedy nie widzieli tych ogników na górze...”

– Wszystko jedno – stwierdził. – Trzeba iść. Chłopcze, weź mnie za rękę.

Wyciągnął dłoń i Alf, odgadłszy jego pozycję z ruchu powietrza, chwycił go za nadgarstek cienkimi, ale mocnymi palcami.

– Trzymasz – stwierdził Leon. – W porządku.

– Czy to na pewno wasza ręka, panie? – zapytał młodzik niepewnym tonem.

– Tak. A teraz złap za cokolwiek jego świątobliwość.

Przez chwilę słychać było szelesty – Alf machał ręką w powietrzu, aż wreszcie coś ucapił. I zapytał:

– To wy, wasza świątobliwość?

– A co za różnica? – rozległ się cichy szept prymasa.

– Chyba on – odparł Leonowi Alf. – Co dalej?

– Ja jestem gotów – odezwał się Berg z ciemności. – Mam jego dostojność.

– Nie pójdę tam – głos margrafa był zdecydowany i twardy. – To mrok, oszukańcze sprawy. Zaćma. Puść mnie, przeklętniku.

– Akurat teraz... – wymamrotał Berg.

Rozległ się gwałtowny szelest – margraf usiłował wyrwać rękę z uścisku Berga. Nikt z walczących się nie odezwał – do Leona dolatywały tylko odgłosy szamotaniny, kroków i zawzięte sapanie.

– Nie ruszaj się – polecił na wszelki wypadek Altowi. – Stój, gdzie stoisz. I trzymaj jego świątobliwość.

– A co ja robię – ironicznie pisnął Alt.

Szamotanina przedłużała się, aż wreszcie Leon usłyszał odgłos głuchego uderzenia i przytłumiony dźwięk padającego ciała.

– Niech to lichy... – mruknął do siebie.

– Wszystko w porządku – zadudnił z mroku Berg. – Ogłuszyłem go. Będę go teraz musiał nieść, skoro sam nie może iść. Leon, poprowadzisz pozostałych?

– Dobra.

– No to jazda... Cholera, gdzie jego nogi... A, tu.

Leon usłyszał odgłos przypominający ciągnięcie ciężkiego wora po płytach posadzki.

– Idziemy – zwrócił się do swojego zespołu. – I ostrożnie, nie nadepnijcie na jego dostojność.

Światło było coraz bliżej. Teraz stało się wyraźniejsze – pulsujący, fioletowy, mdły blask. Leon poczuł, że kręci mu się w głowie.

– Patrz w bok – polecił mu Berg. – Od tego migotania można dostać napadu epilepsji albo czegoś podobnego.

– I tak patrzę w bok. Ale co z tego... powietrze też pulsuje. I świeci, jak myślisz, może to rodzaj broni? Pułapka?

– Raczej zapora dla nieproszonych gości...

– Ale na tubylców to nie działa! Oni jej po prostu nie widzą! Więc przeciwko komu

miałaby być ta zasłona? Przeciwno takim, jak my?

– Nie mam pojęcia – warknął gniewnie Berg. – A zresztą... kto wie? Może i nie widzą, ale tak czy owak, coś się z nimi dzieje. Ej, chłopcze, zamknij oczy!

– A to czemu, panie? – zdziwił się Alf. – I bez tego tu ciemno.

– Powiedziałem zamknij, to zamknij. Jak ciemno, to co ci za różnica?

– Oj... jego świątobliwość jakby mdleje.

– Podtrzymam go – wtrącił się Leon. – Najważniejsze, żebyś nie puszczał mojej ręki.

Zimne palce mocniej ścisnęły jego dłoń. W migotliwej mgłę niezbyt wyraźnie widział Alfa, który stał w wymyślnym mroku, *I* całej siły zacisnąwszy powieki. Poprzez fioletową zasłonę widać było coś jeszcze – nieforemne, drgające i mroczne. Leon wyciągnął wolną rękę i natknął się na sflaczałe, bezwładnie osuwające się na posadzkę ciało. Ręce prymsa chaotycznie młóciły powietrze i Leon nijak nie mógł ich złapać.

W końcu udało mu się chwycić niezbyt energicznie opierającego się kapłana i utrzymać jego ciężar. Gdyby jego świątobliwość nie miotał się, jak w ataku gorączki, rzecz w ogóle byłaby nietrudna – kości miał kruche niczym chory ptak.

Ponownie ruszył przed siebie – tym razem znacznie wolniej. W jednej ręce ciążył mu prymsa, w drugą martwym chwytem wczepił się kurczowo Alf. Pulsujące światło przeniknęło pod powieki i wydawało się, że coś mu rozrywa mózg od środka. Dałby wszystko, żeby tylko przerwać tę mękę.

– No proszę... – odezwał się cichutko Berg.

Przed nimi migotała zwarta zasłona – wyglądałaby na materialną i namacalną, gdyby nie przebiegająca po niej nieustannie nika, ledwo zauważalna, ale drażniąca duszę, pulsacja. Berg odłożył swoje brzemie i powoli, ostrożnie wyciągnął dłoń. Ta bez najmniejszego oporu przeniknęła przez zasłonę i natychmiast stała się niewidzialną. Z ich strony wyglądało to tak, jakby Bergowi odrąbał ktoś ramię w łokciu.

– Fizycznie jest całkowicie przenikalna – stwierdził Berg.

– Choć tyle pociechy – mruknął Leon. – A co jest za nią?

– Nie mam pojęcia. Ale uważam, że warto zaryzykować. Idę pierwszy.

– Akurat! Nie zostanę z tym wędrownym cyrkiem. Idziemy razem.

– No dobrze – westchnął Berg pochylając się jakby do skoku.

– Jesteś gotów, Alf? Zaraz ruszamy.

Berg ruszył przed siebie, wlokąc bezwładne ciało margrafa i zatrzymał się tuż przed zasłoną. Leon ze swoimi towarzyszami podszedł i stanął obok.

– Na trzy – stwierdził Berg. – Raz, dwa...

„A jeżeli tam jest przepaść – pomyślał nagle Leon. – Albo coś w rodzaju tamtej

bezdennej jamy? Albo i coś gorszego?”

– Trzy! – odliczył Berg i jednocześnie wstąpili w niematerialną mgłę.

Leon instynktownie zmrużył oczy, ale mimo wszystko oślepił go nieznacznie jaskrawy błysk. Ostro zapachniał ozonem i poczuł, jak jeżą mu się włosy na przedramionach. Zaraz potem poczuł nagle, że lżej mu się oddycha, jakby coś rozerwało niewidzialną obręcz, która do tej pory gniotła mu pierś. Ostrożnie zrobił pierwszy krok przed siebie – pod nogami miał jakąś nierówną, ale twardą powierzchnię. Alf jak przedtem trzymał go za rękę – tak mocno, że zdrętwiały mu palce. Leon stał nieruchomo jeszcze przez chwilę, potem wstrzymał dech i ostrożnie rozchylił powieki.

– A to ci dopiero! – stwierdził z podziwem.

Stał pod szarym, brzemienym w deszczowe chmury niebem i patrzył na bulgoczące ponuro tafle wody, pokrywające zrytą kopytami ziemię. Po wodzie pływały pęcherze powietrza, bezbarwne jak rybie oczy. Nad ich głowami wznosiły się ciężkie, brudnoszare kamienne baszty, odarte przez deszcz ze wszelkich żywszych barw. Można by pomyśleć, że w tej zatechłej wilgocignił nawet granit. Zarysy wież były mu doskonale znajome – oszołomiony Terranin nie od razu zrozumiał skąd je zna, a gdy zrozumiał, nie od razu uwierzył. Stali na zamkowym dziedzińcu w Solerze.

– Wygląda na to, że trafiliśmy do domu – stwierdził spokojnie Alf.

Młodziak był chyba nie bardzo zdziwiony – w końcu żył w świecie pełnym cudów. Leon tak łatwo się z tym pogodził.

– Z Retry do Soleru jedzie się trzy dni wierzchem – stwierdził ze znużeniem w głosie. – A my tu trafiliśmy po kilku godzinach.

– I co z tego? – zaproponował młodziak. – W podziemnym świecie czas płynie inaczej. Czyżbyście nie wiedzieli?

„Jasne – pomyślał Leon. – Czas może płynąć w różnym tempie. W międzygwiazdnych tunelach, na przykład, przy niesamowitych prędkościach, których nie może pojąć niewykształcony ludzki umysł. Ale tu, na odległość niemal wyciągniętej ręki?” Berg chyba pomyślał o tym samym.

– Gdybym tego nie doświadczył, w życiu bym nie uwierzył – wymamrotał. – Ale czy to na pewno Soler?

– A cóżby innego?

)ego świątobliwość poruszył się nagle i mocno odepchnął od siebie rękę Leona.

– Oto i Soler – stwierdził cicho, ale z naciskiem w głosie. – Oto kraj naznaczony bożym piętnem...

– No i masz – wymamrotał Berg. – Teraz dopiero się zacznie... Jakże się czuje wasza dostojność? – zwrócił się do margrafa.

Ten siedział w błocie i przecierał oczy, jak człowiek, który właśnie obudził się ze złego snu. Potem popatrzył na baszty, które tak nisko zwieszały się nad ich głowami, że można by pomyśleć, iż lada nioment runi} na patrzących.

– My co? jesteśmy w domu? Jak się tu znaleźliśmy?

Przez dziedziniec gnali już ku nim ludzie ślizgający się i potykający w błocie.

– Dotarliśmy tu chyba przed lordem Ansardem – zauważył Berg.

– Tak – potwierdził margraf. – Ale jakim sposobem tak się stało?

Berg spojrzał na niego uważnie.

– Czy wasza dostojność cokolwiek pamięta?

– Obrzydliwe, ciasne, śliskie i pełne brudu korytarze – warknął gniewnie margraf. – Musieliśmy się czołgać. Ten Ermold to straszny skurwysyn, ale przynajmniej uczciwy skurwysyn. Dotrzymał słowa.

– Jasne – stwierdził Berg z rezygnacją. – No dobrze. Chodźmy. Ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej teraz pożądam wanny Z gorącą wodą. Może być nawet ta paskudna drewniana balia.

– Wasza dostojność! Panie! – wolał biegnąc dowódca warty. – Wróciliście! To cud! Panowie ambasadorowie! Wasza świątobliwość...

– No dobrze – zgodził się Leon. – Rozumiem że nie jesteś zwo lennikiem pochopnych wywodów i wniosków. Ale przecież musisz mieć już jakieś zdanie na ten temat...

Siedzieli w sali kominkowej – od paleniska szło przyjemne ciepło. Niekiedy po pokrytych już popiołem czerwonych węglach przebiegały złote i purpurowe fale – dokładnie tak, jak po ścianach podziemnego labiryntu.

– Mam – odpowiedział Berg. – I co z tego?

– Ale rozumiesz choć, cośmy znaleźli?

– Nie – odpowiedział szczerze Berg.

– To ja ci powiem! Po raz pierwszy w historii ludzkość zetknęła się z wyższą cywilizacją. Obcą, a nie ludzką cywilizacją.

– W takim przypadku – sucho odezwał się partner – jak tylko nawiążemy ponownie łączność, trzeba nam natychmiast – słyszysz?

– natychmiast wysłać sygnał Czerwonego Alarmu. Niech zamykają planetę. A potem niech się zastanawiają, co dalej.

– Poczekaj – Leon obronnym gestem podniósł rękę. – Nie, wcale się nie sprzeciwiam. Oczywiście, to pierwsza rzecz, którą należy zrobić. Ale są i inne możliwości...

– Kontakt?

– Nie inaczej, kontakt.

– Nie – uciął Berg. – Kontaktu nie będzie. Żadnych prób. Mamy teraz jedno tylko zadanie – przetrwać jakoś do ponownego ustanowienia łączności i wysłać sygnał Czerwonego Alarmu. Nie podejmować żadnych działań! Słyszysz? Żadnych! Regulamin zabrania jakichkolwiek czynności! Stosunki z Solerem zostają zawieszane. Misja dyplomatyczna zwija swoją działalność.

I nagle Leona zdjął strach. Obcy, nieludzki, obojętny rozum. W obcym świecie, siedząc przed prymitywnym kominkiem, odziany w prymitywnie uszyte suknie, otulił się szczerzej opończą, jakby owionął go nagle podmuch zimnego wiatru.

– Posłuchaj... – odezwał się cicho. – A jeżeli to oni?

– Kto? – zapytał ponuro Berg.

– Oni... siewcy życia. Prarodzice rozumu. A może, sami tego nie podejrzewając, natknęliśmy się właśnie na nich? Może nie całkiem odeszli z tego świata? Ukryli się w jakichś zakamarkach czasu i przestrzeni... Boże, ileż to wieków ich szukaliśmy, a oni siedzą tutaj, gdzie diabeł mówi dobranoc... Któż mógłby przypuścić...

– Na twoim miejscu – odezwał się Berg ostrzegawczo – nie wyciągałbym pochopnych wniosków. Zresztą i tak, mój drogi, kimkolwiek by nie byli, nawiązanie kontaktu, to już nie nasza sprawa i kompetencje. Do tego potrzebni są lepsi specje, niż jacyś tam etnografowie od siedmiu boleści i zapisywacze rytualnych tańców.

– Czyli kto?

– Nie mam pojęcia. – Berg pokręcił głową. – Wiesz, nie bez powodu w Regulaminie... Wydaje mi się, że w Korpusie już dawno przewidziano taką możliwość. Może są w nim tajne wydziały... Specjalne, w których ludzi przygotowuje się właśnie na taką okazję... do pierwszego kontaktu. Kiedyś, gdy dopiero zaczynałem służbę w Korpusie, pewien człowiek wspomniał mi o takiej możliwości. Nie uwierzyłem wtedy – był idealistą, podobnie jak ty. Marzył o Wielkiej Przygodzie. A przecież praca w Korpusie to w dużej mierze rutyna. Brud. Okrutni i głupi aborygeni, którzy nawet koła nie wszędzie zdołali wymyślić...

– Okazuje się – zauważył Leon – że nie miałeś racji. A on miał.

– Okazuje się, że tak. Wstał z krzesła.

– No dobra, dość już o tym. Nie za bardzo męczyłem cię gadaniem i nie podkreślałem faktu, że jestem twoim przełożonym, ale tym razem chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał: żadnych wygłupów. Radnych kontaktów. To rozkaz, mój stary. Za nieposłuszeństwo odpowiesz przede mną i na Ziemi.

– Jasne – zgodził się Leon, choć nie uznał za potrzebne ukryć niechęć. – Rozkaz, to

rozkaz. A ty gdzie się wybierasz?

– Nie twoja rzecz – odpowiedział sucho Berg.

Leon wzruszył ramionami:

– Jak chcesz... Ale przecież to też wtrącanie się w sprawy wewnętrzne.

– Regulamin – Berg jak przedtem był zimny i niewzruszony – nie zabrania związków pomiędzy aborygenami i pracownikami Korpusu... Pod warunkiem, że nie przeszkadzają w pracy. I nie wpływają na obiektywność sądów i obserwacji.

„Czepia się tego Regulaminu jak pijak ściany” – pomyślał Leon.

– A pewien jesteś, że nie wpływają?

– Teraz to nie ma znaczenia. Przecież już zakończyliśmy tu prace. Trzeba nam tylko czekać – wyjaśnił cierpliwie Berg. – Tylko czekać...

Leon zamknął oczy.

– Dobrze byłoby wiedzieć, jak długo – odpowiedział cichutko.

– To, co ludzie opowiadają, to po prostu cud – lady Hersenda odesłała pazia i sama naląła grzanego wina do ciężkiego srebrnego kubka. – Jakaś niewiadoma, tajemnicza siła przeniosła was z lochów pod Retrą wprost na dziedziniec naszego zamku! Mówią, że sami położyliście oddział najlepszych rycerzy Retry. Potem zjawili się po was na skrzydlatych koniach wysłańcy Dwójcy i odlecieliście na oczach zdumionej gawiedzi.

Była blada i płonął jej wzrok. W pewien sposób przypominała margrafowi tę dawną Hersendę, co jaśniała czekając na cud, który miał trwać przez całe jej przyszłe życie... „Ale nie – pomyślał. – Teraz to nie to światło... coś tam się w niej wypaliło. To dlatego, że się bała, o mnie i nie tylko o mnie. Mężczyzna może przynajmniej przeciwstawić się niebezpieczeństwu, stanąć twarzą w twarz, walczyć z nim, jak przystoi rycerzowi, a co ma robić kobieta. Zamknięta, jak w pułapce, w okowach swoich kobiecych powinności? Może jej skłamać? Opowiedzieć o zdumiewających cudach, o szlachetności, odwadze i czynie, których nigdy nie będzie jej dane poznać?

– Kłamstwa – stwierdził krótko. – Nie było żadnych skrzydlatych rumaków. Wleźliśmy do śmierdzącej, brudnej nory i wyszliśmy z niej już w Solerze. To wszystko.

– Ale już to samo w sobie jest cudem – sprzeciwiła się lady. – Cudem godnym zapisania w kronikach. Jak to tłumaczy jego świątobliwość?

– Nijak – odpowiedział margraf. Jego świątobliwość dostał gorączki i bredzi, zresztą niewiele byłoby zeń pożytku, gdyby nawet był przytomny – niczego nie pamięta.

– ledno mnie dziwi – stwierdziła lady Hersenda z zadumą w głosie. – Czemu ten cudowny ratunek objął tylko was, jego świątobliwość, panów ambasadorów i tego młodego heretyka? A nasi dzielni rycerze...

– Dzielni rycerze trafiają tu bez żadnej cudownej interwencji – stwierdził margraf ze znużeniem w głosie. – Tak zresztą jest pewniej. My po prostu wyprzedziliśmy ich o kilka dni, bo prawdziwego cudu nie ogranicza odległość ani czas. Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby wyższe siły nie obdarzały mnie taką uwagą – bo obawiam się, że mogą zażądać zbyt wysokiej zapłaty za pomoc. A przy okazji... kim jest ta panna, która mnie powitała na przedpokojach? Nowa bieliźniarka?

– Panie, powinniście ją pamiętać – zdziwiła się lady. – Przecież to właśnie ją ambasador Leon uratował i wyrwał z łap zbójców.

– A-a... Najwyraźniej wtedy jeszcze się nie otrząsnęła. Nie było na co popatrzeć. Teraz to zdumiewająca piękność. Coś...

Zamyślił się przez chwilę, usiłując dobrać odpowiednie wyrażenie, aż wreszcie machnął ręką:

– ...jedyne w swoim rodzaju.

– Jest bardzo oddana ambasadorowi Bergowi – stwierdziła lady.

– No proszę! Nie swojemu wybawcy?

– Niestety, nie.

Margraf lekko się uśmiechnął.

– Moja duszko, to przeczy wszystkiemu, o czym plotą nasi minstrele.

– Dlatego, że życie nie jest pieśnią – stwierdziła ze smutkiem lady Hersenda.

– Tak – zgodził się margraf. – Tak jest, niestety. Dlatego też, mimo wszystkich cudów i okazanej nam przez Dwójce łaski, Soler ginie, a Retra ma się wspaniale. A w pieśni padłaby przed nami na kolana, oddając nam wszystkie skarby.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Dlaczego cuda są tak kapryśne? Gotów jestem oddać Dwójcy wszystko, czego ode mnie zażądata. Ale skoro już wysilili się na cud, wolałbym coś znacznie mniejszego. Na przykład – cóżby się złego stało, gdyby po prostu pozwolili nam na doprowadzenie naszej misji do pomyślnego końca?

Przez wąskie okna maleńkiego wiejskiego kościółka przenikał deszcz. Na marmurowej posadzce, wyszczerbionej ze starości, ale czystej, połyskiwały kałuże, a szczeliny pomiędzy płytami pełne były wody. Maleńki sługa smętnie wodził po posadzce mokrą szmatą, zbierając wodę do pogiętego, blaszanego wiadra.

W kościółku panował półmrok. **Czarna** połowa ołtarza była prawie niewidoczna, ale biała wyraźnie wysuwała się do przodu, jakby świecąc wewnętrznym światłem – można by pomyśleć, że unosi się nad posadzką. Z nisz w ścianach spoglądali posłańcy Dwójcy

i niezbyt liczni święci: uzdrowiciele, pocieszyciele. Męczenników miejscowej religii można byłoby porachować na palcach jednej ręki. Wyrzeźbione w kamieniach twarze pokrywała wilgoć, dlatego wyglądały bardziej ponuro niż zwykle.

Kłęczący nad wiadrem chłopak akurat wykręcał szmatę, gdy usłyszał dolatujący z kąta szmer.

– Przekłęty szczur – wymamrotał przez zęby.

Podniósłszy głowę zaczął nasłuchiwać, zdejmując jednocześnie i bezgłośnie ciężki drewniany chodak z nogi.

I nagle zamarł z przerażenia i trwogi.

Stojący w jednej z nisz obleczony w pełną zbroję posąg patrona rycerstwa, świętego kotara, poruszył się. Palce prawej dłoni, do tej pory spokojnie spoczywające na rękojeści miecza, zwarły się w pięść i mocno objęły jelec. Głowa posagu powoli obróciła się w lewo i na chłopca padło spojrzenie dwojga płonących oczu.

Młodzik padł na kolana i nie odrywając wzroku od milczącego wojownika tyłem popęłznął ku wyjściu. Po drodze natknął się na wiadro, przewrócił je, ale nawet tego nie zauważył. Na progu poderwał się na nogi i tak jak stał, w jednym chodaku, przebiegi przez kościelny dziedziniec, wymachując rękoma i drąc się jak opętany:

– Cud! Cuuuud!

– Łajdak był z tego Orsona – lord Ansard wyciągnął nogi, pozwalając nowemu paziowi ściągnąć z nich ubłocone buty. – Powiadam wam, panie, on wszystko zaplanował od samego początku. Ta jego uprzejmość była po prostu mydleniem oczu.

– Ja tak nie uważam – margraf pokręcił głową. – Kto wie, może w nas uderzył ktoś, kto naprawdę zamierzał się rozprawić z Orsonem? Iakaś zawiła, dworska intryga... Ale wy, przyjacielu, doskonale się sprawiliście... gdybyście nas w porę nie zaalarmowali... W drodze nie mieliście kłopotów?

– Żadnych, które można by porównać z waszymi. Przerwaliśmy ich kordon, zmietliśmy posterunki. Ale przyznam, że nie liczyłem na spotkanie z wami tutaj i to tak szybko... Osobliwie po tym, co usłyszałem... Orson rzeczywiście rzucił się w dół z tej galerii? Zachował się jak rycerz. Tego się po nim nie spodziewałem. Co prawda, to kolejny dowód, że czuł się winien.

– Albo na jego męstwo...

– No-ooo... – przeciągle mruknął Ansard. Z rozkoszą się rozprostował i poruszył palcami nóg. – Więc byliście świadkami i obiektem cudu? Przenieśliście się do Soleru na skrzydlatych koniach?

W jego głosie dźwięczała ostrożność i lekka kpina. „To dlatego, że, się boi –

pomyślał margraf. – Jest żołnierzem, człowiekiem czynu – cuda, to nie jego domena. No cóż, niech się boi. Dawno już powinien...”

– Cud – stwierdził rzeczowo – nie potrzebuje niepotrzebnie malowniczych dodatków. Nie było żadnych koni. Po prostu zaczęliśmy wędrówkę od paru kroków w Retrze, a skończyliśmy w Solerze. To wszystko.

– Tak – zgodził się Ansard i kiwnął głową, jakby na potwierdzenie swoich domysłów. – To wszystko. Dla prostaków cuda trzeba oblekać w jedwabie. W przeciwnym razie nikt nie dostrzeże niezwykłości, prawda, wasza świątobliwość? Ale, ale... jakże się czujecie?

Odwrócił się do prymasa, który siedział nieruchomo w rogu komnaty. Minał już dzień, odkąd jego świątobliwość wstał z łoża, ale twarz nadal miał bladą i bezustannie poruszał wargamił jakby bezgłośnie rozmawiał sam ze sobą. Wciąż z tym samym nieobecny wyrazem twarzy, choć z lekka podniósłszy głos, prymas odpowiedział:

– Wobec wielkich wydarzeń ludzkie słabostki nie mają znaczenia.

Margraf skwitował to pełnym poczucia winy spojrzeniem na Ansarda:

– On tak cały czas. Wszystko przez ten cud...

– A czekają nas jakieś wielkie wydarzenia? – ożywił się Ansard.

– O tak. Tak. I mnogie będą cuda. Wczoraj w nocy objawił mi się święty Kotar. I rozkazał mi... – kapłan umilkł.

– Tak – powtórzył Ansard. – Święty Iotar. Wszyscy tylko o nim mówią. Cóż więc się stało?

– To, co powinno – odpowiedział prymas surowym głosem.

Sługa widział, jak poruszył się świątynny posąg świętego Lota-ra – objaśnił margraf. – Co prawda zawsze był z niego matoł – mam na myśli sługę – a teraz całkiem mu odbiło, ale znów stał się cud – i nie ja będę podawał to w wątpliwość. W kościele pełno ludu. Mo dla się dzień i noc, czekają na powtórkę. I tylko nieliczni podejrzewa ją, że matołkowi wszystko przywidziało się z głodu.

– Ludzie małej wiary – stwierdził surowym głosem prymas – już zostali zawstydzeni. Choćby stojący przy drodze na Retrę posąg Karny – mnóstwo świadków widziało, jak otworzył i zamknął oczy. I tak w całym Solerze. Ponieważ zostało mi objawione, a znaki owe są tego potwierdzeniem. Modłę się więc i oby moje modły zostały wysłuchane.

– To zechciejcie się modlić – odezwał się margraf głosem pełnym goryczy – żeby ten przeklęty Brmold dotrzyma) danej nam obietnicy, i przemówił za nami do dziedzica tronu Retry. W przeciwnym razie będziemy musieli oddać mu Soler w charakterze marchii lenne – jako wykup za krew tamtego nieszczęśnika.

– Iaki los Solerowi nie grozi – głos prymasa zabrzmiał nieoczekiwanie mocno –

ponieważ Soler został wybrany przez Dwójce, aby pokarać niegodziwą, pogrążoną w grzechu i błędach Retrę.

– Soler został przez Dwójce przeklęty – wymamrotał margraf.

– Sami tak mówiliście.

– Byłem ślepy – odparł krótko kapłan. – Teraz przejrzałem. Bo kiedy Dwójca chce obdarzyć kraj swoim błogosławieństwem, najpierw zsyła nań ciężkie próby... Aby sprawdzić moc wiary.

– I jest mocna? – nie bez wątpliwości w głosie zapytał margraf.

– U naszych biednych poddanych? Sami miotaliście na ich głowy straszne przekleństwa za to, że zwrócili się ku...

– Odsłępcy zostaną wytępieni. Ale wiernych Dwójca szczerze wynagrodzi, ponieważ widziałem Ich na tronie, a dzieci światłości zgromadziły się u ich prawicy, a dzieci mroku u ich lewicy, i ukazali mi Retrę. Aleni zobaczył nie kwitnące miasto, a jamę pełną robactwa...

– Cidybyż tak było... – mruknął margraf z goryczą.

– Tak będzie! Ponieważ mieszkańcy Soleru z honorem przeszedłszy zesłane na nich próby tylko umocnili się w wierze! I Dwójca dała im swój znak za pośrednictwem obrazu świętej Karny. Sam byłem świadkiem objawień boskiego miłosierdzia – chromi odrzucają kostury i kule, paralitycy zaczynają chodzić, konający wstają z pościeli... Wybaczcie, panie... i wy, moi panowie. Złożyłem obietnicę, że spędzę ten dzień na modłach...

Małeńki kapłan wstał i uniósłszy dumnie głowę, poszedł ku wyjściu Jak szybko, jakby go niosły niewidzialne skrzydła.

– Takiego rodzaju cuda, jak wiadomo, zdarzały się i dawniej – stwierdził rzeczowo margraf – Owszem – odezwał się zamyślony dotąd Ansard. – Ale może nie było kogoś, kto umiałby je właściwie zinterpretować.

Z dziennika polowego Leonarda Kałganowa, ksenologa stażysty.

Podyktowane po powrocie do Soleru, w szóstym dniu miesiąca kwitnących lip...

W mieście dzieją się dziwne rzeczy. Obserwujemy coś w rodzaju masowej psychozy. Oczywiście, natychmiast znaleźli się tacy, co na własne oczy widzieli, jak ze źrenic Karny sypnęły się skry, a święty Lotar obnażył miecz, ale przy masowej psychozie takie sprawy toczą się własnym trybem. Najrozsądniej byłoby ustawić kamerę w którymś z kościołów, gdzie działy się cuda. Ale kościoły pełne są pielgrzymów i przy pierwszej próbie rozerwano by nas na sztuki. Histeria przez cały czas narasta – co nie jest dziwne, bo jej ziarna padły na dobrze przygotowaną glebę. Soler znalazł się na krawędzi zagłady. Dyplomatyczna misja w Retrze poniosła całkowitą klęskę. Pod murami zebrały się tłumy

oszałych ludzi, pozbawionych dachu nad głową... Berg przypuszcza, że to typowy syndrom Arecco, ja też zresztą skłaniam się ku temu samemu. Rezultat jest taki, jakiego należało się spodziewać – spokojni oracze i rzemieślnicy zapłonęli chęcią podbojów... żądają, żeby poprowadzono ich na Retrę. Wszystko to dzieje się, oczywiście, nie bez wpływu kazań naszego kochanego prymasa. Nieustannie wieszczy: Retra, powiada, pograżyła się w grzechach i nieprawości, Soler został obdarzony łaską prób zesłanych przez Dwójce, jego wiara okazała się mocna i trwała, a teraz na narodzie solerskim spoczęło zadanie ukarania nieprawych. Tak opisuje bogactwo Retry i jej bezbożne uroki, że nieszczęśni słuchacze dostają zawrotów głowy... Na domiar wszystkiego mór chyba zaczyna wygasać, a po tłumie krążą słuchy o jakichś rybich deszczach, które spadły na północne rubieże. Co prawda, do rozpoczęcia działań bojowych jeszcze daleko, ponieważ margraf jak mówią, wierny danemu słowu próbuje wznowić rozmowy z Retrą, ale tam akurat nie ma stabilnej sytuacji politycznej i trwają spory o tron... Wszystkie te informacje otrzymujemy z drugiej ręki – Berg zakazał jakiegokolwiek mieszania się do wewnętrznych spraw Soleru. Oczywiście, jeżeli jego miłość wezwie nas przed swoje oblicze, to sianem się nie wykręcimy, ale na razie nas nie wzywa. Berg trochę mnie niepokoi – sytuacja jest nietypowa, a on przywykł trzymać się zawsze Regulaminu. Z jednej strony, może się zdarzyć, że wbrew naszej woli zostaniemy wciągnięci w konflikt pomiędzy Retrą i Sole-rem, z drugiej – Czerwony Alarm oznacza wstrzymanie jakichkolwiek działań i interwencji w wewnętrzne sprawy objętego kwarantanną świata. To, że Berg usiłuje w miarę możliwości zamrozić wszelką działalność misji, jest zupełnie zrozumiałe. Niepokoi mnie jednak, że on absolutnie nie chce porozmawiać ze mną o tych obcych, że nie chce nawet o nich myśleć – jakby w ogóle nie istnieli... I, rzecz jasna, jest jeszcze Soreille...

– Nie śpisz?

Soreille leżała, podłożywszy rękę pod głowę. Miała przymrużone oczy, a na jej wargach błąkał się leciutki uśmiech człowieka pograżonego w głębokim śnie. Ale nieuchwytnie oznaki powiedziały mu, że dziewczyna czuwa. I rzeczywiście, natychmiast otworzyła oczy, które w półmroku komnaty nabrały barwy starego, ciemnego srebra.

– Myślę – odpowiedziała – jakby to było dobrze znaleźć się gdzieś daleko... gdzie są zielone sady, jest słońce i nigdy nie pada deszcz.

– Kiedyś znałem takie miejsca – Berg uniósłszy się na łokciu popatrzył w okno, po którym pełzały poprzeplatane wodne strugi, niczym grube węże. – Tam jest zawsze ciepło, można bez obaw wędrować po górach i lasach i nigdy nic ci się nie stanie. Deszcz

pada tylko w nocy, i tylko, gdy tego zechcesz.

– To raj? – zapytała dziewczyna.

– Nie. Po prostu... Takie miejsca.

– To twój kraj, prawda? – Nie było to pytanie, ale raczej stwierdzenie. – Przybyłeś właśnie stamtąd, z cudownej krainy, gdzie nikogo nie trzeba się bać? A potem znów tam wrócisz, prawda? Zabierzesz mnie ze sobą?

– Przecież jeszcze nie wyjeżdżam – rzekł Berg.

– Nie teraz... – Soreille mówiła spokojnym tonem kogoś, kto ma przed sobą całą wieczność i właśnie dlatego nie trwoży się szybkim upływem czasu. – Kiedyś.

– Kiedyś – w głosie Berga zabrzmiała ta sama niespieszna pewność – tutaj będzie tak samo.

To po prostu nocny koszmar, tak? – zapytała układając się wygodniej. – Kiedyś się obudzimy i nie będziemy niczego pamiętać. Zostanie nam tylko niejasne wspomnienie straszego snu i świadomość, że już się skorczył.

– Tak – odpowiedział lk-rg. – Chyba tak.

Z „kronik” solerskiej archidiecezji A latem roku Objawienia we wszystkich Średnich Marchiach zaczął się nasilać głód i prawie całemu ludzkiemu rodzajowi zagroziła zagłada. W pogodzie nastał tak zły czas, że nie sposób było doczekać dni nadających się do siewu, czy dogodnych dla żniw, ponieważ wszędzie na polach stała woda. Ziemię zlewały tak silne deszcze, że w ciągu trzech lat nie można było znaleźć bruzdy, w której dałoby się coś zasiać. A w czas żniw chwasty i przekłete kąkole pokryły wszystek obszar pól. Kiedy ludzie zjedli już bydło, trzodę i ptactwo, i zaczął ich nękać coraz większy głód, zaczęli jeść padlinę i inne niesłychane rzeczy. Żeby uniknąć groźby śmierci, jedni wykopywali leśne korzenie i zbierali wodorosty. Zdarzało się to, o czym dawniej nawet nie słyszano – a teraz popychał ku temu ludzi coraz większy głód: ludzie zaczęli jeść ludzkie mięso. Na podróznym napadali ich silniejsi towarzysze, dzielili ich na części i pożerali przypiekłszy mięso na ogniu. Wielu dręczonych głodem błąkało się z miejsca na miejsce. Przyjmowano ich na noc, duszono we śnie i zjadano. Niektórzy zwabiali dzieci w ustronne miejsce, pokazując im jabłko lub jajko, a potem je zabijali i pożerali. W wielu miejscach zjadano ciała wykopane z ziemi... W innych zaczęto próbować to, czego nikt nigdy wcześniej nie jadał, wygrzebywano na przykład z ziemi białą glinę i z tej mieszanki pieczono sobie chleby, żeby choć tak się ratować przed śmiercią głodową. Ludzie widzieli w tym ostatnią nadzieję na ratunek, ale i ta ich zawiodła. Twarze ich bladły z wycieńczenia, a skóra u większości puchła i nabrzimiewała. Głos z ich gardeł wydobywał się tak słaby, że przypominał pisk

zdechających ptaków. Ale Najwyżsi nie zostawili swoich wiernych i wyznawców na łasce losu, natchnęli Soler Mocą i poprowadzili go naprzód, pod sztandarem Prawdziwej Wiary...

– Leonie, trzeba nam obmyślić dalszą strategię. Uwzględniając to, co zaszło.

Leon z niechęcią podniósł wzrok znad stołu, który z braku lepszego zajęcia nacinał kordelasem.

– Iaka tu może być strategia? – znużonym gestem przetarł twarz dłonią. – O czym ty mówisz?

– Ponieważ Czerwony Sygnał wyklucza jakąkolwiek działalność... – Berg znacząco zawiesił głos.

– To niczego nie robimy. I co dalej? Rzucić wszystko w diabły i zwać do lasu? Zabawić się w miejscowych pustelników, dopóki nie zostanie wznowiona łączność? To jeszcze jakoś mogłoby się udać, gdyby Soler, jak przedtem, był dobrze prosperującym krajem. Ale przy tym zamęcie... Wystarczy, że oddalimy się choć na kilka kroków od zamku, a w pierwszym lepszym dworzyszczu nas zarzną i zasolą mięso. Kto się ujmie za nami, obcymi?

– Nie udawaj durnia. Wiesz, o czym mówię, równie dobrze, jak ja. Proponuję schronić się na Fembrze. No, to ta wyspa w delcie Penny, gdzie się rozłożyła obozem Pierwsza Kompleksowa. Tam jest schron i zapasy...

– Co? – zapytał Leon z niedowierzaniem w głosie. – Ot tak wziąć i wynieść się, bez pożegnania? Tylko ty i ja?

Berg patrzył mu w twarz nieruchomym spojrzeniem.

– Mówisz o Soreille, prawda? Nie, jej nie zostawię. Ona pójdzie z nami.

– I teraz właśnie zachowujesz się nierozumnie – stwierdził Leon z rozdrażnieniem. – Dlatego, że to jest zabronione.

– W zwykłych okolicznościach tak. Ale teraz nie są zwykłe okoliczności.

– I żadne usprawiedliwienie. W obcych światach wszystkie okoliczności są niezwykle. Berg, z nas dwóch ty zawsze byłeś tym, który wykazywał więcej rozsądku. A teraz postępujesz... powiedzmy... nierozumnie.

„Zamieniliśmy się rolami” – pomyślał. I w tej samej chwili Berg, jakby wtórując jego myślom, poprosił błagalnie:

– Posłuchaj, nie rób z siebie tępego wykonawcy instrukcji – prze cież prawdę rzekłszy ty pierwszy je naruszyłeś. Co, zamierzasz mi po wiedzieć, że uciekniesz i porzucisz tego chłopaka?

– A skąd ci przyszło do głowy, że ja zamierzam uciekać? Ja...

Berg odwrócił się ku drzwiom:

– O wilku mowa. Czemu ty nigdy nie stukasz, chłopcze? Co, podsłuchiwałeś?

– Akurat przyjdzie co komu z tego, zem was podsłuchał – stwierdził rzeczowo Alf. – Kto zrozumie ten wasz barbarzyński język? Przy stał mnie jego dostojność margraf solerski. Chce was widzieć. Czeka w swoim gabinecie.

– Przekaż mu, że przyjdziemy niezwłocznie – kiwnął głową Berg.

Alf chrząknął i rzucił Bergowi znaczące spojrzenie.

– Jego dostojność polecił przyjść tylko wam, panie ambasadorze Berg.

– Dobra – kiwnął głową Berg. – Powiedz, że przyjdę.

Kiedy Alf zamknął za sobą drzwi, Berg spojrzał pytająco na Leona:

– Czemu tylko ja?

– Ponieważ nareszcie się zorientowali, kto tu jest najważniejszy – stwierdził zjadliwie zagadnięty.

– No, no... – Berg pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie rozłączaj się, dobrze? Na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek? – zapytał Leon ponuro.

Jego dostojność margraf solerski odziany był w strój myśliwski, co miało podkreślić nieoficjalny charakter spotkania.

Berg pochylił głowę w ukłonie, a doczekawszy się dostojnego kiwnięcia przysunął sobie ciężki stołek i usiadł naprzeciwko.

– Słucham was, panie – powiedział.

Ten jednak milczał i popatrywał na swoje splecione palce. Berg także milczał. Wreszcie, kiedy cisza w komnacie stała się nieznośną, margraf zapytał ostrym tonem:

– Zakładam, że panowie powiadomiliście Terre o sytuacji w Sole rze.

– Terra wie – odpowiedział Berg, ostrożnie dobierając słowa – co się dzieje w Średnich Marchiach. Wie też o Solerze.

– I jakie zamierza podjąć działania?

– Zapewniam waszą dostojność – żadne. Terra nie miesza się do wewnętrznych spraw innych krajów.

– Z własnej woli nie – podkreślił jego dostojność.

– Do tej pory – odezwał się spokojnie Berg – jeszcze nikomu nie udało się narzucić nam swojej woli.

– Może wasi władcy po prostu boją się wysłać okręt do zadziwnego kraju?

– Może... Po cóż mieliby ryzykować? Wystarczy, że my tu jeste-śmy.

– Retra też doskonale wie o wszystkim, co się dzieje w Solerze – stwierdził margraf

znacząco. – Podprowadzają swoje wojska ku naszej granicy.

– Mogę ich zrozumieć – odpowiedział ostrożnie Berg.

– Ja też ich rozumiem. Boję się tylko, że w takiej sytuacji nie uda mi się, niestety, powstrzymać wybuchu gniewu ludu. Moi poddani rwą się na Retrę. Zrozumcie, ona dławiała Soler podatkami w przeszłości, a teraz, kiedy nasze spichlerze i sąsieki są puste...

„Jakież to wygodne – pomyślał Berg – że gniew ludu obraca się właśnie przeciwko Retrze, a nie tym, którzy są bliżej. W solerskim zamku jest teraz paskudnie, ale z głodu nikt na razie nie puchnie”.

– Retra jest bardziej zamożna od Soleru, to pewna – zgodził się ostrożnie.

– Bezmiernie...

– Niech i tak będzie. Ale, jeżeli wierzyć wieściom, niedługo już będzie tam nie lepiej, niż w Solerze.

– Złożyłem obietnicę temu łajdakowi Ermoldowi – odezwał się margraf z zadumą w głosie – i dotrzymam słowa. Ale, jeżeli się dobrze zastanowić, cóż jest warta obietnica dana ludziom, którzy sami nie dotrzymują zobowiązań? Orson obiecał nam bezpieczeństwo...

– Orson zginął – tak samo jak poprzednio starannie dobierając słowa stwierdził Berg.
– A słowo pozostaje słowem.

– Słusznie. I ja tak myślę. Ale cóżby się stało, gdyby znalazła się jakaś potęga, która nie ma żadnych zobowiązań wobec Retry?

Powiedział to ledwie poruszając szczękami, jakby mu nagle zdrewniały usta. Berg nagle wszystko zrozumiał.

„On się wstydzi – pomyślał. – Honor wiąże mu ręce, a on stara się rozerwać te pęta... Boże, jeżeli on się przełamie i przekona samego siebie, że pojęcia „honor” i „słowo władcy” nie są warte funta kłaków, to już nic go nie zatrzyma! Aleśmy wpadli! I jeszcze ten... nieprzewidziany czynnik... Nieźle się wszystko porąbało!”

– Panie... – podjął decyzję. – Jeżeli szukacie pomocy, to czemu akurat u nas? Czemu się nie zwróćcie do tych, którzy są znacznie po tężniejsi?

Przez długą chwilę nad komnatą zawisła ciężka, krępująca cisza, jakby terraiiski ambasador ni z tego ni z owego na oficjalnym przyjęciu zdjął spodnie i obnażył się przed całym dworem, a potem margraf powoli uniośł brwi:

– Znaczy, do kogo?

– Do... – nie mógł się zdecydować na bezpośrednie określenie, jakby sam stał się jednym z tubylców, do szpiku kości przepojonych strachem przed zakazanym określeniem. – Przypuszczam, że do tych, którzy żyją pod nami. Z tego, co wiem, jeżeli się do nich zwrócić zachowując wszelkie formy, to oni...

– Mało Jego, że radzicie mi szukać pomocy u nieczystych stworów – odezwał się rozmówca lodowatym tonem – to jeszcze u stworów nieistniejących. Nie jestem skłonny do popadania w ten święty gniew, jaki przejmuje jego świątobliwość, ale lepiej już tak, niż... To nawet nie herezja. To bluźnierstwo.

Berg wyprostował się na całą swoją wcale niemałą wysokość i równie zimno spojrzał władcy w oczy.

– Nie popełniłem bluźnierstwa – stwierdził powoli i z naciskiem w głosie. – Myśmy się po prostu nie zrozumieli.

– Taką miałem nadzieję – stwierdził znacząco margraf. „Cholera ci w bok! – pomyślał Berg. – Zachowuje się jak szcze niak. Co za diabeł mnie podkusił?”

– Macie rację, najpewniej was źle zrozumiałem – odezwał się margraf z podejrzaną układnością w głosie. – Jesteście szlachetnym człowiekiem i z pewnością nie mieliście na myśli niczego złego. Wy baczcie moją gwałtowną reakcję. Po prostu serce mi się rwie na myśl o nieszczęściu, jakie spadło na nasz kraj. Zamęt, ludzie się buntują z głodu... Żaden władca nie powinien do tego dopuścić, jeżeli ma się za władcę godnego tej nazwy. Przecież powinnością silniejszych jest troska o maluczkich, tych, którzy są słabi... o dzieci, starców, kobiety. A szczególnie o młode, piękne kobiety. Kto w takiej sytuacji może rękę czyść za ich bezpieczeństwo?

Berg wstał nie czekając na pozwolenie.

– Całkowicie się zgadzam w waszą dostojnością – stwierdził z naciskiem. – Ludzie, którzy nie mają niczego do stracenia, niekiedy zachowują się... nierozumnie. Gdybym na przykład stracił kogoś, kto jest mi bliski... o, to tylko przykład, wasza dostojność... cóżby mnie obchodził Soler? Albo nawet moje własne życie? A gdyby mi się coś stało... albo ambasadorowi Leonowi...

– Czyżby Terra – zdziwił się margraf – nigdy jeszcze nie straciła żadnego ze swoich posłów?

– Bywało – stwierdził Berg. – I dlatego nasi władcy wiedzą, co robić w takich wypadkach.

Skąpe kiwnięcie głową, zwrot w tył – i ambasador wyszedł z komnaty.

– Słyszałeś wszystko?

Wzburzony Berg mierzył komnatę długimi krokami.

– Cóż... – odezwał się Leon z niechęcią. – To nie pierwszy raz, sam mówiłeś...

– Mówiłem – przytaknął Berg z zadumą w głosie. – Ale to zaszło już za daleko. On nie ma niczego do stracenia. A my nie mamy tu już niczego do roboty. Nie wiążą nas z nimi żadne obietnice, mój stary. Mało tego – w świetle obecnych wydarzeń my po

prostu musimy zakończyć misję i ukryć się do przybycia Drugiej Kompleksowej. Szczerze mówiąc, to po prostu rozkaz.

– Ruszamy na Febrę?

– Tak. Na Febrę. Co prawda, on nas tak sobie nie wypuści. – Berg zatrzymał się wreszcie i spojrzawszy ze zdziwieniem na swoje zaciśnięte pięści powoli je rozwarł. – Wiesz, myślę, że jemu wcale nie tak skoro do marszu na Retrę. On dobrze wie, że z tą gromadą głodnych oberwańców Retry nie zdobędzie. Dlatego stara się wciągnąć w konflikt zamorską potęgę.

– No, potrafi uprzeimie prosić, nie ma co!

– A ja – Berg chrupnął palcami – cały czas miałem nadzieję, że nie posunie się do gróźb. Mimo wszystko, to człowiek honoru. Je-steśmy jego gośćmi. I posłami. Ale w domowym areszcie zatrzymać nas może – dopóki nie staniemy się bardziej skłonni do rozmów. Sam bym tak zrobił na jego miejscu. Więc trzeba nam się spieszyć, mój stary.

– Uciekać.

– Tak. Uciekać.

– Bez orszaku i eskorty?

Berg zamyślił się i zacisnął wargi.

– Być może – stwierdził – będziemy musieli się zwrócić do lorda Ansarda. Z chęcią podłoży wujaszкови świnie.

– Raz się udało, ale czy uda się i drugi? – Leon miał wątpliwości.

– Nasza obecność Ansarda ani grzeje, ani ziębi, bo nie ma z niej żadnej bezpośredniej korzyści. Nasza nieobecność też. A my, oczywiście, szczerze mu się odwdzięczymy.

– Szkiełkami – uśmiechnął się Leon. – Ale wiesz, w czasach zamętu one tracą cenę.

– Czemu tylko szkiełkami? Przychylność Terry też coś znaczy. A Ansard lubi, jak mu kadzić.

– Handlujesz tym, co do ciebie nie należy?

Berg ostro się odwrócił, zatrzymał się przed Leonem i spojrzał mu w oczy.

– Gotów jestem handlować, czym będzie trzeba i obiecać wszystko, czego on zażąda – stwierdził ponuro. – I nawet dotrzymam słowa. Ale sam wiesz, mój stary, że już tu nic po nas.

– Tak – zgodził się niechętnie Leon. – Wiem. A przy okazji – gdzie jest Soreille?

– Przy lady Hersendzie.

– Może byś ją wezwał? Ot tak, na wszelki wypadek.

„Jeżeli uda nam się jakoś uciec – pomyślał – lepiej, żeby była z nami, bo ten bałwan gotów całkiem stracić głowę”.

– Jak – zgodził się szybko Berg. – Wezwę ją... zaraz...

– Zagraj mi coś, Soreille – poleciła lady Hersenda. Dziewczyna bez słowa przysiadła na maleńkiej ławeczce i ujęła w palce gryf lutni. Popłynęła melodia, przemagając szum deszczu za oknami.

– Ta muzyka! – odezwała się lady. – Ech, ta muzyka...

Z pociemniałych od wilgoci gobelinów patrzył) na nie damy w szkarłatnych i różowych sukniach, trzymające na smyczach łabędzie albo jednorożce, a krzewy róż sypały płatki na wiatr, nijak nie mogąc ich utracić.

– Cóż nam zostało z życia, oprócz muzyki i tych tkanych ludzi? – zapytała z zadumą w głosie pani zamku. – Cienie, jedynie cienie! Nawet już nie pamiętam, czy kiedyś było inaczej! Próbuję sobie przy pomnieć, ale nie mogę. Ty – to co innego. Czasami ci zazdroszczę, jesteś młoda... Wiesz, co to miłość. Ambasador Berg... Jest dzielny i krzepki. I tak bardzo cię kocha!

Nie odrywając palców od strun, Soreille łagodnie zaintonowała w takt muzyki:

– Wy też jesteście młoda, pani. Młoda i piękna. Wsłuchajcie się w to, co mówi lutnia. Śpiewa o dzielnym rycerzu, o bohaterze gotowym rzucić wam pod nogi cały świat. Jego miłość przywróci życiu dawne barwy. Ona jest jak ogień, który rozgrzewa krew znużonym wędrowcom, jak szkarłatne wino, przesycone letnim słońcem.

– Co ty mówisz! – wymamrotała lady. – Nie wolno mi tego słuchać...

– Przecież to tylko marzenie, pani – odpowiedziała Soreille. – Pieśń... Pieśń o młodym śmiałku, gotowym oddać życie za piękną damę. Och, nie! On jest gotów przywrócić ją życiu, niczym księżniczkę ze starej bajki, zamkniętą w lodowym grobowcu! Wskrzеси ją pocałunkiem i namiętymi objęciami...

Zająknęła się, poczerwieniała. Pokraśniała i lady Hersenda, na której policzkach pojawił się ognisty rumieniec.

– Namiętność łącząca władczynię i męża pełnego siły odrodzi wynędzniały kraj.

– Zamilcz! – rzuciła spieszenie lady Hersenda.

– On jest tak pełen żaru – ciągnęła cicho dziewczyna. – leś tutaj, na miejscu! Czy nie rozpalają was jego pełne ognia spojrzenia, nie drżycie od przypadkowych dotknięć dłoni? Silny, śmiały... Ach, wystarczy wasze jedno spojrzenie, jeden przychylny uśmiech – i życie wypełni woń róż i muzyka... Każdy dzień będzie skrywać skarby nocy, niczym złota powłoka.

– Mówisz rzeczy – odzęgnywała się cicho lady Hersenda – których nie wolno mi słuchać...

– Mówię o tym, co jest mi wiadome – stwierdziła dziewczyna twardym głosem – i co jest prawdą. Bogowie rozgniewali się na Soler, ponieważ w związku władcy nie masz

ognia.

– Ach, zawstydzasz mnie... I ten deszcz...

– Skończy się. Ręka w rękę wejdziecie do sadu przesyconego aromatem kwiatów.

Dziewczyna przez chwilę milczała, a potem dodała przymilnie:

– Nie ty jesteś bezpłodną, pani... To on... Lady Hersenda się wzdrygnęła.

– Skąd wiesz?

– Wiem. I jeżeli chcesz, pani, kiedykolwiek usłyszeć dziecięcy śmiech...

I Soreille dołała oliwy do ognia, mówiąc marzycielsko:

– Dziecię będzie wyciągać do was swoje małeńkie rączki.. A wasza pierś napełni się mlekiem, jak ziemia Soleru pełna będzie szczęścia...

– Zamilcz! – Lady Hersenda odwróciła się, podeszła do okna i powtórzyła ciszej: – Zamilcz...

– Żeby umocnić święty związek mężczyzny z kobietą Dwójca rozepnie na niebie tęczę... i przywróci światu kolory, a niwy okryją się plonami. Czyż tchnięcie życia w pozbawiony dobrobytu kraj nie jest waszą świętą powinnością?

– Nie wiem... – odezwała się cicho Lady Hersenda. – Och, nie wiem...

– Tak się wam tylko wydaje, pani – odpowiedziała dziewczyna.

Zapisaane z ust Soreille, damy dworu lady Hersendy, żony margrafa Soleru.

Dawno, dawno temu, w delcie rzeki Penny żyła pewna dziewczyna. Rodzina jej była niezbyt zamożna i pozbawiona wpływów. Ona sama jednak zasłynęła taką urodą, że wędrowni kupcy roznieśli jej sławę po całej ziemi i znakomici panowie przybywali z daleka, aby tylko na nią popatrzeć. Opowiadano, że nie miała jeszcze roczku, kiedy wodna wróżka, władczyni rzecznej delty, przelatująca mimo na swoich przezroczystych skrzydłach, zatrzymała się na chwilę u kołyski i pocałowała dziewczynkę. Aż jej oczy stały się przejrzyste i roziskrzane jak woda w południe, a ząbki nabrały bieli rzecznych pereł. Usposobienie też miała jak rzeka – była lekka, wesoła, ale też kapryśna i zmienna.

Mimo że znamienici panowie puszczali się w daleką drogę, żeby ją zobaczyć, ona oddała swoje serce młodemu synowi miejscowego kowala. Gdyż, choć była próżna (jak próżne są wszystkie młode i piękne panny, bo taka jest ich natura), wiedziała, że nie zazna szczęścia ni w pałacu, ni na zamku, jako że żyć trzeba nie tam, gdzie się chce, a tam, gdzie chciałoby się umrzeć – a ona pragnęła zamknąć oczy wśród rzecznych zakoli, cichych zatoczek i porośniętych trawami podmokłych łąk, gdzie latem unoszą się ważki i brodzą siwe czaple, a zimą szukają pokarmu przelotne ptaki. I oto wyznaczono już termin wesela. Jednak dziewczyna czuła niepokój w duszy, ponieważ, choć wiedziała, że przysły małż będzie ją kochał i wielbił, tęskniła za dziewczęcą wolnością

i ojcowskim domem, który musiała porzucić – dom kowala, jak przystało mistrzom czarnego rzemiosła, stał na rozstaju dróg wiodących do Soleru i Worlandu. Widząc, że dziewczyna nie może sobie znaleźć miejsca, jej matka, kobieta dobra, ale niezbyt rozumna, powiedziała: „Wiem, jak uśmierzyć twoje trwogi. Żeby serce zaznało spokoju, trzeba się pojednać ze wszystkimi bogami: i ze starymi, i z nowymi – a ci, których imion wymienić nie należy, pamiętliwi są i *na* dodatek władają wszystkim, co się rodzi, żyje i umiera. Oddaj im przed weselem to, co do nich należy – a zobaczysz, że od razu doznasz ukojenia”. Dziewczyna pomyślała: „Mówią, że władczyni rzeki jest moją opiekunką, a siły ziemi i wody są sobie pokrewne, zatem ona też za mną przemówi. Żyjący w gaju i pod gajem władają wszystkim, co się rodzi, żyje, umiera i mogą rzucić zły czar w noc poczęcia, zamącić wzrok mężowi, że nie będzie mnie kochał i wielbił, jak bym tego chciała... Mogą też odjąć mleko krowom. Lepiej rzeczywiście pójdę do nich, ponieważ, choć nie dbają o dobro, nie wybaczą urazy”. I narzuciwszy na ramiona opończę, a na głowę chustę, późnym wieczorem po rosie ruszyła do zakazanego gaju, zebrawszy wszystkie korale i ozdoby, które nosiła jako panna, bo mężatki zdobyły się w inne błyskotki. Od rzeki ciągnęło chłodem, słońce już zaszło za odległą toń, woda jednak lekko się srebrzyła, odbijając resztki światła dziennego. W zatoce pluskały ryby, a w trzcinach krzyczał bąk, co ludzie uważają za niedobry znak, jeżeli towarzyszy początkowi jakiejś sprawy.

Niemądra dziewczyna powinna była wiedzieć, że starzy bogowie, jak ludzie miewają złe dni i nastroje – i że człowiek nie jest w stanie zrozumieć, czemu postępują tak, a nie inaczej.

Idąc po rosie doszła do zakazanego gaju (a drzewa świeciły w ciemności) i zobaczyła, że na wietrze kołyszą się tam pstre, przywiązane do gałązek wstążki. Bardzo wiele z nich było spłowiałych od słońca i potarganych przez wiatry, dlatego że ostatnimi czasy mało kto przynosił ofiary starym bogom z bojaźni przed gniewem nowych. Powiesiła na gałązce swoje korale – czerwone, niebieskie i zielone – a z gałęzi wleciał zatrwożony lelek, który ją przestraszył. Dziewczynie nagle zrobiło się tak nieswojo, że na oślep rzuciła się do ucieczki. Ale gdy wybiegła z gaju, zrozumiała, że nie umie odnaleźć drogi wiodącej do domu. Było już całkiem ciemno i tylko rzeka jak przedtem lśniła srebrnym światłem, a wysokie i gęste trawy niemal się zamykały nad jej głową. Dziewczyna nie wiedziała, którądy ma iść. Zdjął ją strach, że przez całą noc będzie brodzić w trawie i spóźni się na swoje wesele – a cóż sobie wtedy pomyśli jej ukochany? Stała więc, zalała się łzami, i nagle usłyszała, że ktoś z tyłu zadaje pytanie: „Czemu płaczesz?”

Znała wszystkich w okolicy, ale głos nie był jej znajomy, choć przyjazny i łaskawy.

Przemogła więc strach i odwróciła się. Stał przed nią młodzieniec piękny niby rzeczny bóg, odziany w zieloną kurtkę i bogatą opończę, obszytą u dołu dębowymi liśćmi, o barwie dokładnie takiej, jaką mają pod jesień – ciemnoczerwoną i złotą.

„Nie bój się – powiedział młodzian. – Nie zrobię ci krzywdy. Właśnie ciebie szukałem – przecież jesteś...?” i wypowiedział jej imię. A dziewczyna była, jak już powiedziano, próżna – i pomyślała: „Pewnie to jeden z tych, co tu przyjeżdżają podziwiać moją urodę. Cóż, nic w tym złego, a po weselu nie będzie mi wypadało chępić się swoją urodą przed mężczyznami”. Otarła więc łzy, podniosła główkę i uśmiechnęła się do niego, jako że był urodziwy i zachowywał się jak należy.

„Lelek wzbіл się z gałęzi tuż przed moją twarzą, a tuż obok zahuczał bąk – powiedziała – więc przestraszyłam się, pobiegłam na oślep przed siebie i zgubiłam się”. Powiedziała tak, bo za nic w świecie nie chciała się przyznać do tego, że z własnej woli zaszła do zakazanego gaju – a zwłaszcza obcemu i nieznanemu, choć wszystko wskazywało na to, że był dobrze wychowany, bogaty i uczciwy.

„Pozwól więc, że cię odprowadzę do domu” – zaproponował młodzieniec i uśmiechnął się, a strach dziewczyny rozplynał się w nicość i poszła za nim, dokąd ją powiodł. Szli dopóki niebo zupełnie nie pociemniało, a rzeka nie zgasła. Zatrzymał się i powiedział: „Otóż i przyszlśmy”. Dziewczyna zaś zrozumiała, że znów trafiła w nieznane jej miejsce. Rosły tu białe drzewa, podobne do tych z zakazanego gaju, które świeciły niby świece, a z ich gałęzi jednocześnie zwisały owoce i kwiaty.

„Dokąd ty mnie przywiodłeś? To nie mój dom” – powiedziała. „Owszem – odpowiedział nieznajomy – ale to mój dom i będziemy tu razem żyć, dopóki nie zawali się niebo. Niczego ci nie odmówię, bo nie było i nie ma piękniejszej od ciebie dziewczyny na tym świecie”. Dziewczyna zobaczyła, że drzewa rzucają cienie, on zaś nie – i nagle zrozumiała, jakie siły bezwiednie i mimo swej woli obudziła. Zakrzyczata tak, że z drzew posypały się żółte kwiaty, a owoce zakołysały się na swoich szypułkach. Młodzieniec, choć zrozumiał, co nagle pojęła dziewczyna, zaczął ją uspokajać swoim łagodnym głosem, mówiąc: „Czemu krzyczysz? Nie zrobiłem ci nic złego, bo jesteś zbyt piękna dla mieszkańców tej ziemi. Cóż takiego zobaczyłaś w tym smoluchu, kowalskim czeladniku – jest tylko człowiekiem, który się zestarzeje i umrze jako człowiek, a ty, jeżeli zostaniesz ze mną, żyć będziesz wiecznie, dopóki nie runą niebiosa”. Ona jednak, choć była dziewczyną kapryśną i próżną, serce miała szczere i gorące, odpowiedziała więc: „Ludzi stworzono po to, aby wzajemnie dzielili swój los i ja przejdę przeznaczoną mi drogę, ponieważ dałam już słowo”. Młodzieniec pokazał jej drogie klejnoty nieopisanej urody, suknie, jakich nie miała ani jedna śmiertelniczka i obiecywał, że wszystko będzie do niej należało. Ona jednak nawet patrzeć nie chciała na te cuda.

Odpychała od siebie owe dary, płacząc i krzycząc tak, że w końcu młodzian machnął ręką i powiedział: „Mógłbym sprawić, żebyś mnie pokochała, narzucając ci miłość tak, że byłabyś zapomniała imię swojego wybrańca i swoje. Żyłabyś ze mną zadowolona ze swego losu i szczęśliwa, i dogadzałabyś wszystkim moim pragnieniom, dopóki niebiosa trwać będą na swoim miejscu. Jednak nie byłabyś wtedy lepsza od innych iluzji, które potrafię stwarzać, a która to sztuka już mi się znudziła. Wypuszczę cię więc – obiecał – niczego w zamian nie żądając”. Ponownie machnął ręką i dziewczyna zobaczyła nagle, że wszystkie drzewa, owoce, kwiaty i złote suknie znikły, ona zaś stoi po kostki w rzeczonym mule, a w oddali wciąż się bieli zakazany gaj. Popatrzawszy na swojego towarzysza zobaczyła, że nie jest człowiekiem i nigdy nim nie był. Podskakiwał przed nią jakiś paskudny stwór z wysuniętym językiem i garbaty tak, że szyję miał wykręconą w tył i musiał stać odwrócony do niej plecami.

Ona jednak była już tak przerażona, że dotarła do granic strachu, dlatego w milczeniu uniosła suknię i zaczęła się wydostawać z błota. Ten, którego nie wolno nazywać, nie próbował jej zatrzymać, ale kiedy dziewczyna wspięła się na wzgórze, rzucił za nią cicho, ale dźwięcznie: „Nie będę ci się narzucał, ale nadejdzie dzień, w którym sama do mnie przyjdiesz, ja zaś zażądam za swoje poniżenie najwyższej ceny z tych, jakie będziesz mogła zapłacić”. I znikł niczym język ognia, ona zaś pobiegła ku domowi, który – jak się o tym z radością przekonała – był tuż obok.

Nikommu nic nie powiedziała i w oznaczonym czasie poślubiła swego wybrańca, a życie potoczyło się swoją koleją. Młody małżonek okazał się człowiekiem łagodnym. Kochał ją i hołubił tak, jak sobie tylko życzyła. Z dalekich krajów przestali przyjeżdżać panowie, którzy przedtem podziwiali jej urodę. Dziewczyna kryła włosy i ubierała się skromnie, wiedziała bowiem, że skończyły się dawne jej rozrywki i zabawy. Małżonkowie jednak przez długi czas, choć bardzo się kochali, byli bezdzietni. Ogromnie się więc uradowała, kiedy po dziesięcioletnim pożyciu małżeńskim odkryła pewnego dnia, że jest brzemienną. Swoje dziecko, pierwsze i jedyne, pokochała ponad wszystko w świecie i nie mogła się nim nacieszyć, jako że był pięknym i zdrowym chłopczykiem. Szczęście jej nie trwało jednak długo, bo chłopak wkrótce zaczął się krztusić i kaszlać tak, że dławił się i siniał. Pewnego dnia starucha, która przysłała poić go ziołami, orzekła, że choroba nie jest z tych, co same mijają i że najpewniej na chłopca rzucił ktoś zły urok. „Czy masz jakiegoś wroga, który byłby rad twojemu nieszczęściu?” – zapytała stara. Młoda kobieta mocno się zdziwiła – miała łagodny charakter i ze wszystkimi żyła w zgodzie, a jeżeli nawet któraś z przyjaciółek czegoś jej zazdrościła, wszystko to należało do spraw dawno już minionych i zapomnianych. „Nie... – odpowiedziała starucha – ja nie mówię o tych, co chodzą po ziemi, ale o tych, co żyją w jej głębi. Może

rozniewałaś któregoś z nich?” I wtedy młoda matka, zdjeta przerażeniem przypomniała sobie wszystko, co chciała zapomnieć jak zły sen.

Późną nocą wstała i zostawiwszy śpiącego męża i dziecko nie mogące zasnąć w kolebce, chyłkiem wyszła z domu i pobiegła wprost do zakazanego gaju, nie wybierając dróg, ponieważ całe jej życie było w dziecku i gasło razem z nim. Pozrywawszy z siebie ozdoby, którymi kiedyś obdarzył ją mąż (a choć były darami miłości, nie mogły się równać wartością z tymi, które kiedyś, dawno temu ofiarował jej bezimienny), cisnęła je na ziemię, padła na kolana i zaczęła czekać.

W końcu otaczające ją drzewa rozbłysły niczym weselne świece i zobaczyła swojego dawnego znajomego. Znów stanął przed nią w postaci pięknego młodzieńca, ale kiedy do niej przemówił, jego głos był zimny i nieprzyjazny.

„Czego tu szukasz? – zapytał. – Kiedyś stąd uciekłaś nie oglądając się za siebie”.

Młoda kobieta płacząc opowiedziała mu o wszystkim i zapytała, czy nie mógłby pomóc w jej nieszczęściu – w głębi duszy uważała, że to właśnie on był przyczyną, ale bała się powiedzieć mu o tym wprost.

„Kiedyś prosiłem ja – odpowiedział. – Teraz to ty prosisz mnie. Przyznaj, że to całkiem inna sprawa”.

„Proszę o litość – odpowiedziała – i gotowa jestem za nią zapłacić. Jeżeli wciąż jeszcze mnie pragniesz, gotowa jestem rzucić wszystko, pójść i żyć z tobą, dopóki niebo pozostanie na swoim miejscu. Zrób tylko tak, aby moje dziecko już nie chorowało”.

„Kiedyś dawno, dawno temu albo zaledwie przed chwilą, co dla mnie jest jednym i tym samym, mówiłem ci – stwierdził bezimienny – że jesteś najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt, jakie kiedykolwiek stapały po ziemi. Teraz jesteś jedną z wielu. Czas nie szczędzi żadnej z istot żyjących pod tym niebem. Nie jesteś wyjątkiem. Po cóż byłabyś mi potrzebna?”

W kobiecie obudziła się dawna duma i powiedziała:

„Mąż mówi, że wciąż jeszcze jestem piękna”.

„Ach tak – skwitował bezimienny. – Mąż. No cóż, niechże będzie życie za życie. Głupie dziecko za głupiego mężczyznę. Zabij męża – i twoje dziecko nie będzie już chorowało”.

Biedaczka zadrżała. Padła mu do nóg i zaczęła błagać o litość, on jednak był nieprzejednany.

„Życie za życie – powiedział. – Poniżenie za poniżenie. Ale okażę współczucie; dam ci pewne ziele, po zażyciu którego on po prostu zaśnie i już się nie obudzi. W przeciwnym razie twoje dziecko nie przeżyje tej nocy”.

„Pięknie mi odpłacasz za minioną urazę – odpowiedziała ze smutkiem. – Mam zostać

wdową z dzieckiem na ręku i zabójczynią własnego męża”.

„Słusznie – powiedział. – O tym nie pomyślałem. No cóż, skoro się boisz samotności (jej rodzice w tym czasie już nie żyli) przyjdź tutaj, a zaprowadzę cię w takie miejsce, gdzie nie zaznasz smutku, a twój chłopczyk już nigdy nie będzie chorował”

Po tych słowach znikł, i choć młoda kobieta płakała i błagała, nie pojawił się więcej, a zakazany gaj pozostał pusty. Kiedy zrozumiała, że nie może liczyć na współczucie (okazywanie litości jest sprawą tych, co żyją na powierzchni ziemi, a nie w jej głębi) wstała i pobięła do domu. Dopiero na jego progu zauważyła, że w dłoni ściska fiolkę z jakimś zieleń, choć nie miała pojęcia, skąd się tam wzięła. Mąż już się obudził i siedział przy kołysce, bo dziecko akurat się rozkaszało. „Chodzisz po nocach nie wiedzieć gdzie – skarcił ją – a nasz syn umiera. Widać nie bez powodu mi mówiono, że przed samym weselem biegałaś na spotkania z duchami powietrza i wody. Widywano cię tam, gdzie kobiecie chodzić nie przystoi”. W jego głosie dźwięczał wyrzut, kobieta więc nie wytrzymała – pocałowała go po raz ostatni i niepostrzeżenie wrzuciła szczyptę ziela z fiolki w stojącego na stole kubka z winem. Potem powiedziała, że sama posiedzi przy kolebce. On napił się wina i poszedł spać, ona zaś zdrzemnęła się. Ocknęła się słysząc śmiech dziecka, które siedziało w kołysce i wymachiwało rączkami, jakby nigdy nie chorowało. Gdy spojrzała na łożo, zobaczyła, że mąż leży bez ruchu, niczym martwy. Malujący się na jego twarzy wyrzut był tak nieznośny, że oszalała z trwogi kobieta chwyciła dziecko unosząc je z kolebki i pobięła do zakazanego gaju. Choć już świtało, nad wodą unosiły się mgły, a krzyżące w nich ptaki nie były ptakami nocy. I tam, pod białym drzewem, na którym wisały wszystkie jej klejnoty – te, które powiesiła w noc przed weselem i te, które położyła tu wczoraj – stał ten, którego nie wolno nazywać, bezimienny.

„Przyszłaś – stwierdził – to dobrze. Teraz już niczego się nie musisz obawiać”.

„Ja się nie boję – odpowiedziała – dlatego, że nie mam już niczego do stracenia”.

„Nie jesteś mi potrzebna – ale ze względu na pamięć o dawnym pragnieniu uczynię tak, abyś nigdy nie zaznała smutku. Odprowadzę cię do takiego miejsca, gdzie twoje dziecko nigdy już nie zachoruje, a tobie będzie dobrze i spokojnie”.

I nagle kobieta poczuła, że unosi ją jakaś tajemnicza siła, która przemieściła ją w zupełnie inne miejsce. Znalazła się na niewielkiej leśnej polance, gdzie między kamieniami płynął przejrzysty strumyk. Obok stała chatka, niewielka, ale przytulna, cała spowita w bluszcz. Przez na poły uchylone drzwi domku widać było ognisko i lekko kołyszącą się pustą kolebkę. „Mimo wszystko chyba się nade mną ulitował – pomyślała – albo uznał, że zapłaciłam już dostatecznie wysoką cenę za to, że kiedyś mu odmówiłam. Przecież ci, co chodzą pod ziemią, nie pamiętają dobra, ale nie przebaczą urazy”.

I trzymając dziecię w ramionach przestąpiła próg.

Po dziesięciu latach strzelcy worlandzkiego władcy, dziada dzisiejszego lorda, ścigając rannego jelenia, trafili na stojącą nad strumieniem chatkę. Wyglądała na niezamieszkaną, ponieważ cała była obrosnięta mchem, a drzwi kołysały się smętnie na jednym tylko zawiasie. Jednak wewnątrz, nad kołyską, siedziała siwa kobieta, która uśmiechała się błogo i coś do siebie mówiła. Kiedy strzelcy spróbowali ją zabrać, kobieta skonała, trzymając się rozpaczliwie kolebki, w której leżał maleńki dziecięcy szkielecik.

– Szczerze wam sprzyjam, panie ambasadorze Berg – odezwał się Ansard łagodnie. – To samo mógłbym powiedzieć ambasadorowi Leonowi. Przyznać muszę, że znaleźliście się w trudnym położeniu...

– Bez przesady – Berg skrył dłonie w szerokich rękawach, gdyż w komnacie było zimno. – Ostatecznie stoi za nami potężne państwo. Ale wydaje mi się, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybyśmy się na pewien czas... usunęli na ubocze. Lepiej, niż gdybyśmy na przykład, znaleźli się... w Retrze.

– A!

– Albo zechciejcie sobie wyobrazić taki) sytuację: Terra, nie mogąc się doczekać wieści od nas i o nas, przysyła kolejną misję, której członkowie zaczynają zadawać pytania, jego dostojność margraf jest człowiekiem prostolinijnym, nie potrafi się wykręcać. Cóż im odpowie?

– A! – powtórzył Ansard.

– Z drugiej strony... czyżbyście na przykład wy sami nie potrzebowali poparcia? Nie przydałaby się wam przychylność potężnego państwa? Wiecie... z Terra lepiej żyć w przyjaźni...

– Zrozumiałem – z twarzy Ansarda niczego nie można było wyczytać. – Dobrze. Jak rozumiem, prosicie o eskortę, która by was odprowadziła...

– Do pewnego określonego miejsca.

– Mam nadzieję, że nie do Retry?

– Ależ skąd!

– Któż mi to zaręczy?

– Nie wiem – odpowiedział Berg. – Nie mam pojęcia, ile dziś jest warte słowo honoru. Ale zechciejcie mi powiedzieć, łaskawco, czy nie macie wywiadowców? Będziecie wiedzieli, gdzie jesteśmy, nawet gdybyśmy chcieli to przed wami ukryć. Macie przewagę, milordzie.

Przez jakiś czas Ansard patrzył na swoje splecione palce, milczał i myślał o tym, co usłyszał.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Dam wam eskortę: Warrena i jego drużynę. Może i macie rację. Mój przeświatny krewniak jest na krawędzi rozpacz, a ta popycha niekiedy do postępów nie... – zająknął się.

– ...rokujących dobrze na przyszłość? – podsunął Berg.

– Właśnie.

Ansard spojrział ku drzwiom.

– Wezwij Warrena – polecił wartownikowi. – Powiedz mu, żeby zebrał swoją drużynę. A wy – to było już do Berga – bądźcie gotowi o świcie. Nie zabierajcie ze sobą bagaży. Powozu dać wam nie mogę – ściągałby na was niepotrzebną uwagę.

„Głupstwo – pomyślał Berg. – Rzeczy to niewielka cena za wolność”. Z aparaturą sobie nie poradzi, nawet się nie domyśli, do czego ta może służyć, a na Fembrze i tak jest pełno wszystkiego. A reszta... Cóż, Ansard musi coś w końcu z tego mieć...”

– Oczywiście – przyznał. – Czymże jest majątek w dzisiejszych czasach... Marność nad marnościami.

– Właśnie – przytaknął Ansard z udanym roztargnieniem.

– Więc wyjeżdżamy, panie? – w głosie Alfa nie było strachu, tylko pełna radości życia ciekawość.

– Tak – przyznał Leon. – A raczej uciekamy. Zabierz tylko to, co niezbędne.

– A wasze rzeczy, panie? Takie wspaniałe rzeczy?

– Zostaną tutaj. Powiedziałem – tylko to, co niezbędne...

– Ona też, panie? – Alf zerknął znacząco na Soreille, która siedziała bez ruchu na krześle, niczym posąg wyrzeźbiony z marmuru. Dziewczyna miała półotwarte usta i nieustannie wodziła wzrokiem za Bergiem.

– Jak – potwierdził niechętnie Leon. – Ona też.

Alf pokręcił głową, ale już nic nie powiedział. Starannie wyłożył na kanapce podróżną odzież i wyciągnął spod łóżka buty do konnej jazdy.

– Dobrze byłoby wszystko oczyścić – stwierdził, wodząc dłońmi po zamszu.

– Po co? – zdziwił się Leon. – I tak się ubrudzą. Popatrz tylko, co się wyrabia na zewnątrz!

– Tak trzeba, panie – chłopak ujął buty za cholewy i wyszedł do przedpokoju, ale zaraz wrócił.

– Tam ktoś chce was widzieć, panie – stwierdził półgłosem zezując na Soreille. – Was albo ambasadora Berga.

– Kto? – zdziwił się Leon.

– Nie kazał mówić.

– Dobrze – zgodził się Berg, który ze swojej strony nie odrywał spojrzenia od dziewczyny. – Leon, zobacz, kto to i czego chce. Ależ mi tajemnice, jak na madryckim dworze!

Leon wyszedł do na pogrążonego w półmroku przedpokoju. Wydawało mu się, że jest pusty, drgnął więc mimo woli, kiedy od jednej ze ścian oderwała się ciemna figura.

– Warren! – zdziwił się. – Czemu tak wcześniej?

– Plany się zmieniły, panie – stwierdził cicho zagadnięty. – Lepiej będzie zniknąć po drugiej zmianie wart.

– Cóż to, na noc mamy jechać? A oddział?

Warren podszedł do niego bliżej i chwycił go za rękaw. Nawet przez grubą tkaninę Leon wyczuł, że dłoń giermka jest gorąca.

– Nie trzeba... Ja sam was poprowadzę. To...

Umilkł na chwilę i tylko błyskał w mroku oczami.

– Ale lord Ansard polecił... – niezbyt pewnie sprzeciwił się Leon.

– Zawsze robiłem to, co mi kazał – odezwał się Warren niezbyt jasno. – Ale teraz...

Co tam w niebie wyżej się ceni – rycerską wierność, czy rycerski honor?

Absolutnie niczego nie pojmując, Leon wzruszył ramionami.

– Warren, to jedno i to samo.

– Nie zawsze, panie Leonie, nie zawsze... – ponuro sprzeciwił się giermek. – No dobra, co tam... Nie wiem, może Dwójca dawno już się od nas odwróciła, co by nie mówił jego świątobliwość... ale jeżeli nie całkiem się nas wyrzekli, to niech zobaczą...

– Warren, co z tobą? – Leon ostrożnie uwolnił rękę. – Chodźmy, porozmawiasz z ambasadorem Bergiem.

Warren potrząsnął głową.

– Nie... Sami mu powiedzcie. Jeżeli chce uciec z Soleru, niech będzie gotów pod koniec pierwszej zmiany. Dłużej nie mogę czekać.

– Ale oddział...

Lekki przeciąg musnął mu twarz. Zadrżała zasłona.

– Ty co, Soreille?

W drzwiach stała dziewczyna. Ciemna figura na mrocznym tle. Warren znów dał nura w cień i przyległ do ściany.

– Lady Hersenda... – wyszeptała dziewczyna. – Każe mnie szukać, jeżeli nie przyjdę na oznaczoną godzinę.

– Dobrze – zgodził się Leon. – Tylko się tam nie zasiedź. Kiedy tylko pozwoli ci odejść – wracaj tutaj. Ambasador Berg wszystko ci wyjaśnił?

– „Jak, panie.

Przemknęła obok i przepadła w mroku korytarza. Leon zwrócił się ku Warrenowi:

– Więc... – Ten jednak ruszył ku wyjściu i dopiero w progu się odwrócił, rzucając znacząco:

– Powiedziałem już wszystko, messer Leonie.

I też znikł w szarym, spowijającym cały zamek półmroku.

– Z początkiem drugiej straży? – raz jeszcze zapytał Berg. – A to czemu?

– Nie mam pojęcia.

– Czyżby Ansard zmienił plany?

– Nie wiem – Leon wzruszył ramionami, wyrażając tym gestem dręczącą go niepewność. – W ogóle nie jestem przekonany, czy Ansard ma z tym cokolwiek wspólnego. To własna inicjatywa Warrena.

– Proponuje, że wyprowadzi nas sam? A eskorta? Oddział? – Berg też był pełen wątpliwości. – Może Warren prowadzi jakąś swoją własną intrygę?

– On o czymś takim wspominał – odparł niepewnie Leon. – Ale nie mogłem zrozumieć... Mówił coś o rycerskim honorze... Ale jeżeli rzeczywiście powiedzie nas w pojedynek – to co nam może zrobić?

– Z eskortą byłoby bezpieczniej. Jak myślisz, może powiadomić o tym Ansarda...

Leon zagryzł wargi, próbując jakoś uporządkować myśli bezładnie kłębiące mu się w głowie. Po chwili stwierdził:

– A wiesz, tak będzie chyba lepiej... Chciałeś się wynieść bez pożegnania. Nikt niczego nie będzie wiedział – ani Ansard, ani jego dostojność. A w razie czego we dwójkę z Warrenem poradzimy sobie.

– Jeżeli rzeczywiście będzie sam.

– No, to da się sprawdzić.

– A jeżeli jacyś jego kompani zasadzą się na nas gdzieś dalej?

– Wtedy nic by nie mówił o rycerskim honorze. Zachowywałby się inaczej... bardziej przymilnie. A wyglądał tak, jakby go coś gryzło... Posłuchaj, Berg, co my taktycznie stracimy? Czy według ciebie Ansardowi można w pełni zaufać?

– Nie... ale przynajmniej wiadomo, czego chce.

– Berg, on chce władzy.

– No i to właśnie jest zrozumiałe.

Zachmurzył się i z roztargnieniem popatrzył w ogień. A potem powiedział:

– Dobrze. Może i masz rację. Zaryzykujemy. Do Femby w końcu nie jest tak daleko. Ach, to ty, Soreiiii – dodał zupełnie innym tonem.

Leon się odwrócił. Dziewczyna stała w drzwiach. W jaki sposób Berg zauważył, że

się zjawiała – przecież stał do niej plecami?

– Zbieraj się – powiedział, najpierw się jednak odwróciwszy.

– Zabieram cię stąd. Tu się zaczyna robić niebezpiecznie.

– Och, panie! – białe gardło Soreille drgnęło. – Zabieracie mnie do swojego dziwnego kraju!

– Mmm... – zmieszał się Berg, ale potem stanowczo potwierdził:

– Tak. Poczekamy trochę ukryci w bezpiecznym miejscu, a potem wy jedziemy daleko stąd...

– Mam tak mało swoich rzeczy – dziewczyna bezgłośnie podeszła do rozmówcy i spojrzała mu z dołu w oczy. – Jestem gotowa choćby w tej chwili...

– To dobrze. – Berg ponownie zwrócił się do Leona. Miał osobliwy wyraz twarzy, jakby długo myślał o czymś innym i dopiero teraz zmusił się, by wrócić do rzeczywistości. – Czy ten półgłupek wszystko już zebrał?

– O niego się nie martw – stwierdził sucho Leon.

– Mam nadzieję, że nie ściągnął na siebie zbędnej uwagi?

‘– Kto? Alt? Nie rozśmieszaj mnie...

– Dobrze – stwierdził Berg. – A zatem postanowione. Choć na początek sam się rozmówię z Warrenem. Jeżeli nie ma w tym żadnego podstępu... Zresztą, im szybciej, tym lepiej. Wyjedziemy, dopóki nie będzie za późno – a potem się zobaczy...

Leon pokręcił głową. „Skąd tu taki chłód – pomyślał. – Węgłe w kominku chyba jeszcze nie ostygły”.

– Mani takie uczucie – odpowiedział z niechęcią – jakby już było za późno.

Schodzili po schodach do niżej położonych pomieszczeń, trzymając się ściany, żeby stare drewniane stopnie mniej skrzypiały. W korytarzach na parterze było pusto – ludzie spali w czeladnej, a czarne przejście wiodło przez kuchnię z dawno już wystygłym paleniskiem wprost na dziedziniec... Tam przy wyjściu miał na nich czekać Warren.

– No co? – zapytał szeptem Berg. Za jego plecami bezgłośnie, niczym biały cień przemykała Soreille.

Leon wychylił się nieco za ciężkie drzwi i pokręcił głową, rozglądając się dookoła – nie mógł się zdecydować nawet na szept.

Na zewnątrz panował gęsty mrok. Samotna pochodnia w murze dławiała się i syczała gniewnie. Deszcz nie sięgał pod zwisający okap, ale powietrze było przesycone wilgocią. Odblaski płomieni tańczyły na czarnej powierzchni wody, która pokrywała cały moszczony brukiem dziedziniec.

Leon cofnął się i odwrócił do Berga.

– Nie ma żywej duszy.

Mrok był wokół i mrok zalegał w duszy.

– Nic nie rozumiem – wycedził przez zęby.

– Mówiłem, że to pułapka – tchnął mu gorąco w ucho Berg.

– Nie, nie sędzę. Wyglądał na człowieka, który mówi szczerze.

Znów wyrzwał na dziedziniec – zabłocony bruk, zachlapany rzadkim końskim nawozem, wdeptanym w gnijącą słomę. A dalej mrok – aż do samego horyzontu.

Coś tam drgnęło w błocie.

Leon ostrożnie wysunął się spod okapu. Nie narzucił kaptura, jakby ten mógł w czymś przeszkodzić, a wilgoć natychmiast zlepiała mu włosy i osiadła na rzęsach. Zmrużył powieki.

Jęk.

– Co tam? – napierał z tyłu Berg.

Leon zatrzymał go ręką:

– Poczekaj.

Podszedł, zachowując ostrożność. Warren leżał na plecach, brudną ręką zaciskając ranę na piersi. Przedzierająca się przez kurczowo zaciśnięte palce krew mieszała się z kroplami deszczu.

– Nie... – ranny otworzył usta i po szyi pociekła mu strużka krwi. – Nie...

Usiłował się podnieść, więc Leon pochylił się nad nim i ukląkł. Gruba tkanina spodni natychmiast nasiąkała brudną gnojówką.

– Berg!

– Widzę – zgrzytnął Berg.

– Trzeba go stąd zabrać.

Warren znów się szarpnął – z jego ust ponownie chlusnęła krew.

– To on... on mi wtedy kazał... wy...

– Zaraz, zaraz – uspokajał go łagodnie Leon, przemawiając cicho, jak do rannego zwierzątka. – Nic nie mów.

– Strzeżcie się go...

– Kto go tak urządził, jak myślisz? – zapytał szeptem Berg, który stał nad Leonem niczym mroczna kolumna.

Ciałem Warrena targnął dreszcz, oczy błysnęły kredą białek.

– Uciekajcie stąd – westchnął jeszcze. – Szybciej... uciekajcie...

Grdyka mu drgnęła i znieruchomiała, a ciało nagle zaciążyło Leonowi w rękach tak, że poseł mimo woli rozluźnił uścisk. Głowa Warrena przechyliła się w bok, strużka krwi zmarniała, aż deszcz zmył ją zupełnie z trupio bladej twarzy.

– Koniec – wymamrotał zbity z tropu Leon, zwracając się nie tyle do Berga, co do obojętnego czarnego nieba. – Skonał...

– Przekleństwo – w głosie Berga nie było współczucia, tylko irytacja. – I co teraz?

– No, przynajmniej wiemy – Leon wstał powoli – że nie łągał. Rzeczywiście próbował nas stąd wyprowadzić. I za to został zabity.

– Ale kto to zrobił?

– Berg, na Boga, co za różnica?!

– Racja – zgodził się ponuro starszy z partnerów. – Nie ma żadnej. Cóż... skoro tak... Miał rację, biedaczysko, trzeba nam uciekać i to jak najszybciej. Gdzie ten twój parszywiec włóczęga?

– Powinien czekać na nas z końmi. – Leon poczuł się nagle tak, jakby ktoś mu wbil lodową igłę pod mostek. – Czyżby i jego...

Nagle z mroku wyłoniła się nielbremna czarna masa – w głębi dziedzińca poruszało się i sapało coś wielkiego. Leon się wzdygnął, zachnął w tył i w tejże chwili zagadkowy trzygłowy potwór rozdzielił się na trzy konie, tupiące kopytami pod ścianą zbrojowni. Ich boki wznosiły się i opadały. Zaraz potem odskoczył od nich chybki cień, który przekształcił się w Alfa trzymającego wodze i jakimś tajemniczym sposobem uspokajającego zwierzęta.

– A, tuś mi, bratku – rzucił półgłosem Leon. – Dobrze. Widziałeś?

– Wychynął zza drzwi i od razu runął w błądź – rzeczowo wyjaśnił Alf. – Dziabnęli go tam, w środku...

– Czemuś ty do niego nie podbiegł, draniu jeden? Powinieneś być mu pomóc!

– Żadna pomoc już mu nie była potrzebna – odciął się Alf. – Jak go zobaczyłem, od razu zrozumiałem, że tylko księdza wołać, a i to na nic. Ostatnio był jakiś taki nieswój... jakby mu jakiś grzech ciążył na sumieniu, czy co... Nie wiem, kto go zaciukał, ale to pewne, że nie odszedł daleko. No to postanowiłem się przyczaić...

Chwalebna ostrożność – stwierdził sucho Berg. – No dobra, jedźmy. Z zamku nas ani chybi wypuszczą, nikt nie ośmieli się zatrzymać ambasadorów, ale z miasta... Cóż, spróbujemy przekupić strażników... Soreille, chodź tu, podsadzę cię...

Odwrócił się i zastygł w bezruchu, trzepocząc z niedowierzaniem jasnymi rzęsami.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem – stwierdził Leon niepewnym głosem. – Jeszcze przed chwilą tu była...

– Schowała się? Złękła się nieboszczyka? Soreille! – zawołał Berg. Leon chwycił go za rękaw.

– Zwariowałaś? Czego się drzesz?

– (ej tu nie ma!

- Sam to widzę – stwierdził sucho młodszy z posłów.
- Posłuchaj... poczekaj tu – Berg stanowczo odwrócił się ku zamkowi. – Ja zaraz...
- Berg! Przecież kompletnie ci odbiło!
- Ali nerwowo przestąpił z nogi na nogę.
- Oj, panie, mam złe przecucia – wymamrotał złowieszczo. – Trzeba stąd zmiatać.

I to szybko.

- Berg...
- Nigdzie bez niej nie pojedę! Chcesz, to uciekaj sam... ja cię nie trzymam...
- Berg, posłuchaj... – Leon zastąpił partnerowi drogę.
- Ale Berg odepchnął go i dał nura w głąb zamku – drzwi skrzypnęły złowrogo i ucichły.

- Faktycznie zwariował – wymamrotał Alf nie bez podziwu w głosie.

Leon pokręcił głową. Sytuacja była tak głupia, że aż nierealna. Oto stoi na deszczu nad martwym ciałem leżącym w kałuży gnojówki, obok tupią kopytami osiodłane konie, a ogłupiały kompletnie Berg miota się po całym zamku, szukając tej dziwnej dziewczyny. Nic innego, tylko zły, głupi sen.

Stojący tuż obok koń głośno parsknął. Z jego mokrej skóry unosiła się para.

Alf ponownie przestąpił nerwowo z nogi na nogę – dokładnie tak samo, jak koń.

- Dziwne rzeczy się tu dzieją, panie – odezwał się cichutko.
- Sam widzę – odparł Leon ze znużeniem w głosie.
- Messer Berg zupełnie stracił głowę dla tej panny... A przecież na nią trzeba uważać, panie. Ona umie rzucać uroki.
- Jest po prostu piękną dziewczyną i tyle – odpowiedział Leon, starając się, żeby jego głos brzmiał w miarę możliwości obojętnie.

„Oby gromy spaliły te głupie pojęcia honoru i uczciwej gry – pomyślał – silę się na bezstronność dlatego, że w przeciwnym razie musiałbym przypisać sobie uprzedzenia... Zabawne... wzgardzony rywal...”

– Nie mówcie, panie, pięknych dziewczek tu pełno, w końcu to dwór margrafa. A ta... Lady Hersenda świata poza nią nie widzi, zrobiła z niej powiernicę i damę do towarzystwa, a przecież dziewczyna jest nikim i zjawiała się znikąd. Ambasador Berg stracił dla niej rozum. I wy też, panie, przypomnijcie sobie, tańczyliście, jak wam zagrała... wystarczyło, że...

- Zawrzyj gębę – uciał Leon.
- Niczego nie wiecie, wszystkiemu wierzycie, a ona...
- Sługa umilkł, jakby nagle zdjął go strach, że powiedział za wiele...

Leon poczuł nagle, że gotów jest chwycić młodzika za ramię i potrząsnąć nim tak

samo, jak przed chwilą uczynił to Berg – i od czynu powstrzymało go tylko to wspomnienie.

– A ty wciąż to samo – syknął przez zęby. – Kręcisz i kręcisz... Powiedz wprost... jeżeli się nie boisz.

– Sami powinniście zrozumieć – odparł chłopak jakby wbrew sobie. – Nie jesteście dzieckiem... Dziewczyna odwiedza tych... no, tych, co...

– Powiedźże jaśniej, do cholery! Do kogo chodzi?

– Wierzy w dawnych bogów, ot co! I służy im... Mogę przysiąc, na co zechcecie!

– Korrom, znaczy? – zapytał Leon z niedowierzaniem w głosie.

– Szszszsz... nie trzeba tak głośno, a jeszcze w nocy! Ale widziałem na własne oczy!

– Coś ty tam widział? – zbył go Leon. Gdzie się podział ten Berg?

– Mówię, co widziałem. Szła korytarzem, prosto w ścianę! Pograżyła się w niej i przepadła! Sami wiecie, co to znaczy...

W oczach młodzika odbijało się światło samotnej pochodni, czyniąc je podobnymi do dwu ognistych punktów. Leona nagle ogarnął strach – choć sam nie umiałby określić przyczyny, lakby z głębin mroku napierało na nich coś... nieuchwytnego i pozbawionego kształtu.

– Może – uparcie ciągnął Alf – była tam kiedyś dziewczyna, ale teraz już nic w niej nie ma... pozostała tylko powłoka. Po prostu chodząca kukła. Ale co tam, sami wiecie. Nie bez powodu ostatnio jej unikacie.

– Wcale jej nie unikam – sprzeciwił się Leon znużonym głosem.

– Dajcie spokój, panie, przecież mam oczy. Inna sprawa, że wystarczy jej tylko kiwnąć, a skoczycie dla niej choćby w ogień, ale na razie nie jesteście jej potrzebni, więc czujecie się nieswojo. Wszystkim naraz zamącić w głowach nie może, do takiego czegoś zdolni są tylko oni... jej panowie. Rodzeństwo straciła... patrzcie no! Jakoś za bardzo po nich nie rozpacza!

Leon niechętnie wzruszył ramionami.

– A messer Berga coś długo nie ma – z porażającą łagodnością w głosie podsunął chłopak.

– Poczekamy...

Ciężka oponcza nasiąkła woda, wilgoć wciskała się pod kołnierz. „A przecież będziemy jeszcze musieli jechać i jechać – pomyślał – po ciemku, przedzierając się przez lasy, bocznymi drogami, do dalekiego ujścia Penny, pełnego porośniętych trzciniami trzęsawisk, gdzie gnieźdzą się nieznające jeszcze strachu przed ludźmi ptaki i gdzie wśród maleńkich wysepek pokrytych łoziną leży wyspa Fembra, podobna do śpiącego morsa”.

Mrok wokół nich nagle się poruszył i wyłoniła się z niego jakaś sylwetka.

„Chwała ci, Boże! – pomyślał Leon. – Nareszcie!”

– Co tak długo? – rzekł spiesźnie. – Jedźmy!

– Nie tak szybko, messer Leonie! Nie tak szybko!

Głos, który rozległ się z mroku, nie był głosem Berga.

Leon odruchowo się cofnął, dotknął plecami ciepłej, pachnącej potem skóry konia, po której przebiegł nagły dreszcz, jakby odpowiedź na jego strach.

Teraz, gdy znikła potrzeba tajności, w rękach jednego ze stojących wokół ludzi pojawiła się latarnia, do tej pory najwyraźniej osłonięta połą opończy. Za Ansardem stało czterech drabów z halabardami. „Wszystko jasne – pomyślał Leon. – Wyszedłem na durnia, ale i Berg nie spisał się lepiej – mógł się przecież domyślić, co jest grane”.

– Wybieracie się gdzieś, messer Leonie? – zapytał uprzejmie Ansard. – Ale po cóż się tak spieszyć? Nie zdążyliśmy się nawet poże gnać...

Leon milczał. Przez głowę przemykały mu kolejne idiotyczne pomysły: wyrwać z kabury nieistniejący blaster, rozstrzelać czterech gwardzistów, wziąć Ansarda jako zakładnika – tyle się kiedyś naoglą-dał holofilmów! Stał jednak tylko z opuszczonymi rękoma, boleśnie odczuwając własną niemoc.

– Chodźmy) panie ambasadorze – odezwał się łagodnie Ansard. – Niech się pan nie trapi myślami o koniach, moi ludzie się nimi zajmą... Nie powinny moknąć na deszczu.

Leon pokornie ruszył ku niemu. Stojąc już pomiędzy dwoma strażnikami – jeszcze jeden szedł przed nim, a kolejny zajął pozycję za jego plecami – ostrożnie spod oka rozejrzał się dookoła. Alf gdzieś przepadł.

– Wyglądacie na zmęczonego, mój panie – stwierdziła lady Her-senda. – Zmęczonego i nieobecnego myślami.

– Przekleństwo Dwójcy na tę Retrę – odezwał się margraf samo-wiednie, mówiąc raczej do siebie niż do małżonki. Kobiety nie znają się na polityce, musiał się wygadać. – Przysłali na koniec wasala z listem... Żądają rekompensaty za zniszczenia: oprócz złota i srebra, sto błamów kolorowych tkanin, dwieście bel Inianego płótna i sto kobiet tkaczek. So-ler, powiadają, zawsze słynał ze swoich tkaczek, a gdzie ja im je zbiorę. W cechach od dżumy umierają wcale nie rzadziej niż za murami zamku! Gobeliny! – sarknął gniewnie. – Zmusiłbym ich, żeby się podławili tymi szmatami. Pod murami zamku tłum rykiem się domaga – prowadź na Retrę! Gromada głodnych, zawszonych, śmierdzących oberwańców...

– Panie mój... – zachnęła się łagodnie Hersenda.

– Wybaczcie mi, pani – opamiętał się margraf.

– Odpocznijcie... – lady wzięła lutnię i musnęła paicami struny.

Akordy zadrżały i zamarły, jakby ugrzęzły w ciężkiej tkaninie gobelinów, na których smutne krasawice prowadziły smętne jednorożce na złotych i szkarłatnych powrozach...

– Zapomnijcie o troskach.

– Chciałem, żeby Soler kwitł i rósł w bogactwa – cicho stwierdził margraf. – Nic więcej. Chciałem, żebyś ty, moja duszo, stąpała po różanych płatkach... jesteś tak piękna... I twoje cudne oczy... one dziś błyszczą jakoś inaczej... Nie, nie kryj ich... Nie pozbawiajcie mnie choć tej radości.

– Tak, panie.

– I napełnij mój puchar. Nie trzeba nikogo wzywać... Wino, które przyniosła ta twoja służka, było jakieś gorzkie...

– Każę, by powiedziała podczaszemu, żeby z tej beczki już nie nalewali – lady Hersenda podniosła ciężki srebrny kubek, objawszy go szczupłymi palcami zważyła w powietrzu i ponownie postawiła na stole. – Ona nie za bardzo zna się na winach.

Margraf zmarszczył się z niezadowoleniem i wpatrzył w język płomienia świecy.

– Czemu tu tak ciemno? – zapytał.

– Zapalę jeszcze jedną świecę – i lady Hersenda w rzeczy samej to zrobiła.

– Na dworze... też jest tak ciemno?

– Tak.

– Wszędzie to samo. Mrok. Przez chwilę milczał, z rozdrażnieniem szarpiąc ciężki kołnierz.

– Zmęczyłem się. Już nie mam sił...

– Przed nami jeszcze cała noc – powiedziała łagodnie lady. Nie słuchając, zapytał raczej sam siebie:

– Wciąż o tym myślę... po co oni to robią? Położyła mu dłoń na ramieniu i wpatrzyła się w jego twarz błyszczącymi oczami.

– Kto?

– Oni... Przecież gdyby się nie... moglibyśmy sami... nic by się nie zmieniło – popęlnialibyśmy te same błędy... i to...

– Nie rozumiem, o czym mówicie, mój panie – stwierdziła lady Hersenda. – Iakbyście bredzili... Dobrze się czujecie?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem w niewidzących już oczach.

– Nie wiem. Chyba tak. Tak.

Dopiero wtedy dotarło doń, co się dzieje, i chwycił ją za rękę.

– Na Dwójce! Wezwijcie lekarza! Szybko! Duszno mi! Nie mogę oddychać...

– Zaraz – odezwała się spokojnie.

– Poślij... poślij gier... giermka! Niech się pospieszy.

– Nie ma go tutaj. Odesłałam go.

– Powiedz... gdzie są wszyscy?

– Nikogo nie ma. Pójdę sama. Wstała, przyglądała ciężkie fałdy sukni i niespieszonym krokiem ruszyła ku drzwiom. Po chwili jej lekkie kroki ucichły w głębi korytarza.

Przed oczami margrafa rozpięła się ciężka zasłona mroku – choć świece płonęły jak przedtem. Potem i one pogasły.

– Rad jestem, żeś was jeszcze zastał, tnesser Leonie – stwierdził Ansard. – Zaczynałem się już niepokoić. Dlaczegoż to postanowiliście ruszyć w podróż na własną rękę, kiedy tak dobrze się przedtem umó wiliśmy...

Leon rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w sali paradnej – gdzie teraz, pośród głębokiej nocy panoszyła się wilgotna mgła, przez którą nie mógł się przebić blask pochodni. Wolałby miejsce bardziej przytulne i nie tak ostentacyjne... a już na pewno nie tak pełne przeciągów. Co prawda, nie miał zbyt wielkiego wyboru, bo za jego plecami stały dwa ponure draby. Berg także tu był i też nie mógł się ruszyć – z takiej samej przyczyny. Dobrze było choć to, że ani jego, ani Berga nie związano, czyli – domyślał się Leon – nie byli jeszcze jeńcami. A może jednak?

– Wiecie, co mnie zdziwiło? – zapytał lord Ansard. – Nie to, żeście postanowili się tak dyskretnie oddalić – to akurat jest w pełni zrozumiałe, Jesteście z tych, co czują pismo nosem – jak szczury przed powodzią. Dziwi mnie co innego – dokąd to chcieliście się udać, skoro przez cały czas utrzymywaliście uparcie, że wasza Terra jest teraz niedostępna? Ta wasze przypuszczalna kryjówka... maleńka i chyba bardzo przytulna norka. Nie mam pojęcia, gdzie się znaj duje wasza Terra – może w rzeczy samej żaden śmiertelnik dotrzeć do niej nie jest zdolny, ale w tej kryjówce z pewnością też się znajdują ciekawe rzeczy...

Berg ostrożnie pomacał się po szczęce:

– Chciałbym porozmawiać z jego dostojnością.

– Właśnie z nim rozmawiacie – uprzejmie wyjaśnił lord Ansard.

– Sęk w tym, że jego dostojność, poprzedni margraf solerski raczył umrzeć akurat dziś w nocy. Co, oczywiście, przyprawiło nas o głęboki smutek.

– Kiedy widziałem go ostatnio – stwierdził Berg – był całkowicie zdrow.

– Czyżbyście żywili jakieś podejrzenia? – spytał Ansard zimnym głosem.

– Nie, po prostu... dobrze byłoby wiedzieć, co było powodem jego śmierci? I to tak

naglej...

– Mógłbym się poczuć dotknięty – Ansard westchnął ze smutkiem – ale nie jestem pamiętliwy. Apopleksja... to wszystko. Nie wytrzymało serce – znużonego żołnierza powalił ciężar trosk, które spadły na jego poddanych.

– W istocie, smutna to wieść – stwierdził zmęczonym głosem Berg.

Przez chwilę jeszcze milczał, a potem dodał:

– Zresztą, jestem tylko posłem. Terra nawiązała przyjazne stosunki z poprzednim władcą Solcru. Być może, jej dinaci zechcą poprzeć nowego – jeżeli znajdą z nim wspólny język.

– Och tak – stwierdził ochotczo Ansard. – Oczywiście. Obiecacie nam złote góry – i będziecie grać na czas, dopóki się tylko da. Bieda w tym, że, niestety, nie mam czasu – jestem pewien, że gdyby było inaczej, w końcu jakoś byśmy się dogadali, pomimo przedwczesnego i niespodzianego zgonu naszego margrafa, a waszego przyjaciela – bo chyba cenicie panowie wyżej wygodę nad osobiste sympatie. Myślę zresztą, że Terrą rządzą kupcy, nie rycerze.

– Założmy – odezwał się Berg z rezerwą. – Czego więc od nas chcecie?

– No proszę – stwierdził Ansard z satysfakcją w głosie. – Już zaczynacie się targować. Tak właśnie myślałem. No, panie pośle, nie przystoi wam udawanie wsiowego przygłupa – nasza cierpliwość się skończyła, idziemy na Retrę, a Terra, sądząc ze wszystkiego, jest krainą nie tylko bogatą, ale i pełną przemysłnych urządzeń.

– Przede wszystkim bogata. Moglibyśmy wam pomóc tak samo, jak pomagaliśmy poprzedniemu margrafowi.

– Pieniądze nie mają żadnej wartości. Albo wkrótce stracą ją całkowicie. Ale reszta... nie wiem dokładnie, co to właściwie jest i nikt chyba nie wie. Ale po co zgadywać, skoro można was zapytać. I sami mi wszystko opowiecie. Na przykład, z przyjemnością obejrzałbym sobie waszą kryjówkę...

– To nie takie proste, milordzie...

– Wasza dostojność...

– Niech wam będzie – zgodził się Berg. – Wasza dostojność. Jesteście niegłupim człowiekiem i powinniście zrozumieć – posłowie nie mają nieograniczonych możliwości. I wcale nie mają nieograniczonych pełnomocnictw.

– O, tak – odpowiedział Ansard. – Rozumie się. Ograniczenia. Ciekawe tylko, jak daleko rozciągają się te ograniczenia. Być może sami je sobie wyznaczacie. Sęk w tym, że – jak już mówiłem – nagli nas czas. Mimo wszystko gotów jestem trochę poczekać. Przypuszczam, że powinniście omówić ten problem pomiędzy sobą – a ja nie bardzo lubię, kiedy w mojej obecności rozmawia się w języku, którego nie rozumiem, ale muszę

zaryzykować. Pogadajcie ze sobą, naradźcie się... A ja tymczasem zajmę się sprawami bieżącymi.

Kiwnął głową. Potężny gwardzista stojący za Leonem chwycił go za kołnierz – jak szczeniaka – i powłókł do wyjścia.

– Myślałem, że weźmie się za nas bardziej ostro – stwierdził Leon. Siedzieli w swoich własnych apartamentach, tyle że obraz całości psuły zamknięte drzwi i kroki spacerującego po korytarzu strażnika.

– Z pewnością się za nas weźmie – odpowiedział Berg posępnym głosem – tyle, że na razie nie chciał się posuwać za daleko. Nasz nowy władca zacznie od tego, że najpierw spróbuje załatwić sprawy polubownie – Terra jest na razie niedostępna, ale musi się liczyć z możliwością odwetu.

– Przewrót pałacowy... kto by pomyślał! – Leon pokręcił głową ze zdziwieniem. – Jak myślisz, śmierć margrafa, to też jego sprawka?

– Dałbym za to głowę.

– Ależ z niego drań!

– Nie przesadzaj. Zwykła ambicja i żądza władzy. Tacy ludzie są motorem historii. Energiczny, dzielny wódz, potrafiący dostrzec okazję i śmiało z niej skorzystać, żeby poszerzyć zakres swoich wpływów i władzy. Takim sam był Ganed Założyciel. Właściwie... sytuacja do tego zmierzała. Średnie Marchie są zbyt rozdrobnione – Soler mógłby spróbować zjednoczyć je pod swoją władzą, ale drogę na tamtą stronę gór zagraża mu Retra. Wystarczy, że ją zajmie – i może ruszać dalej. Bieda w tym, że nawinęliśmy się pod rękę przyszłemu imperatorowi akurat w tym przełomowym momencie historii.

– Więc co proponujesz? Mamy z nim współpracować? Naruszyć embargo?

– Ale sam pomyśl, jakże możemy je naruszyć? Nawet jeżeli Ansard zawładnie naszym magazynem, przekona się, że ani jedna ze znalezionych tam rzeczy nie da się wykorzystać jako broń – tak to zresztą planowano od początku.

– On o tym nie wie.

– No, to niech się w tym grzebie do usranej śmierci... Moglibyśmy jeszcze trochę grać na zwłokę – prawdę rzekłszy, to jedyne, co nam pozostało. Jeżeli...

– Co?

– Leon, przecież nie tylko my tu jesteśmy. Przetrząśnię całe nasze wyposażenie – ale jeśli w ten sposób ściągnie na nas uwagę tych drugich? Samą swoją obecnością możemy obudzić i rozpętać takie siły, że niebo zacznie się marszczyć. Nie wolno nam się

z niczym zdradzić – za wszelką cenę musimy ukryć naszą obecność.

– A jeżeli on będzie „nalegał”?

– Znasz Regulamin. Zabrania wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do przedwczesnego, nieplanowanego Kontaktu. Jeżeli Ansard zacznie buszować po Fembrze...

– Sądzisz, że oni obserwują wszystko, co się tutaj dzieje?

– A ty?

– Nie wiem – odparł Leon z namysłem w głosie. – Nie wiem. Ale tak... Z pewnością masz rację. Do diabła, wpadliśmy w szambo po uszy. Któżby pomyślał, że takie sobie ot, miejscowe książątko łatwo uwierzy w nasze niezwykle możliwości, nie żywiąc przy tym żadnego szacunku dla nas samych. Takich precedensów jeszcze nie było.

– Uwierzył nam, ponieważ aborygenom nasze możliwości wcale się nie wydają niezwykle. Mają inne przykłady...

– Nie da się tego wykluczyć. Taki Alf, na przykład, wie znacznie więcej niż mówi.

– Oni wszyscy wiedzą więcej niż mówią – stwierdził z rezygnacją w głosie Berg. – A przy okazji, gdzie tego parszywca wciąło?

– Zmył się. Ma wprost zdumiewające wyczucie niebezpieczeństwa. Mami nadzieję, że nie podejrzewasz, iż to on akurat nas wydał?

Berg pokręcił głową.

– Nie – stwierdził smętnie. – Nie...

– To ona – stwierdził Leon, czując się nad wyraz głupio. – Soreil-le... Dlatego wtedy znikła. Słyszała, jak rozmawiałem z Warrenem.

Berg siedział zgarbiony i przybity, aż żal było patrzeć.

– Nie rozumiem, dlaczego...

– Była przy Hersendzie, a tej wpadł w oko Ansard. Ale nie w tym rzecz. Ona nie jest człowiekiem Ansarda i nie jest człowiekiem Her-sendy. Ona w ogóle nie jest człowiekiem. Jest czymś...

– To już kompletne brednie!

– Alf widział, jak schodziła tam... w dół.

– Alf też bredzi.

„Tak – pomyślał Leon. – Tak jest najłatwiej... Nie widzieć. Alf coś mówił o ludziach, co trafiają do korrów jako dorośli... coś się tam z nimi dzieje. Nie wiadomo, do czego ona zmierza, ta Soreille, albo czego chcą tamci. O ile w ogóle czegoś chcą”.

– Jest coś, czego wciąż, nie umiem zrozumieć – zwrócił się do Berga. – Być może istotnie jest im wszystko jedno, co się dzieje na powierzchni. Gdyby zapragnęli wstrzymać ten koszmar, z pewnością bez trudu dopięliby swego. Ale z drugiej strony

wygląda na to, że nawiązują jakieś stosunki z aborygenami. Sęk w tym, że nie wiemy, jakie.

– Nie – sprzeciwił się Berg z uporem. – Żadnych stosunków. Są tylko legendy zrodzone z niewiedzy, to wszystko. Bezmyślne rytuały, dopełniane ze strachu przed niewiadomym. Może kiedyś, dawno temu, objawili się tym ludziom i to tak, że zostawili po sobie przerażającą pamięć. Ale to było bardzo dawno temu. Leon, gdyby w jakikolwiek sposób pojawiali się w tym świecie teraz, z pewnością byłiby na nas zwrócili uwagę. Ale na razie do tego jeszcze, dzięki Bogu, nie doszło.

– Jak myślisz? – Leon pokręcił głową.

Wszystko na nic. Berg uparcie będzie odrzucał jakiegokolwiek podejrzenia dotyczące Soreille.

Berg tymczasem odchylił się wstecz na krześle i założył ręce za głowę.

– Tu nie ma nic zagadkowego – powiedział. – Aborygeni dostrzegają, oczywiście, zewnętrzne objawy działalności leprekaunów. Budzi to trwogę, jak wszystko, co nieznanne i niezrozumiałe. Następstwem jest skomplikowany system tabu i ochronnych rytuałów. Dla miejscowych korrowie to stare bóstwa, mściwe i pamiętliwe, ale w żadnej mierze nie współmieszkańcy planety.

– O ile, oczywiście, są współmieszkańcami planety.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie istnieją żadne wzgórza puste wewnątrz i nie ma żadnego podziemnego królestwa. Jest pewna przestrzeń o swoistych właściwościach, powiązana z naszą za pomocą czegoś, co przypomina korytarze międzygwiazdne, którymi posługują się nasze statki.

– Na planecie? Nauka stwierdzi, że to niemożliwe. Punkty przejścia mogą istnieć jedynie w sąsiedztwie potężnych, stabilnych pól grawitacyjnych.

– Owszem. Ale o czym to świadczy? Po prostu oni potrafią to, co przekracza nasze możliwości pojmowania. Ale jeżeli tak właśnie jest, zrozumiałe są nasze przygody w podziemnym królestwie. Przecież taka przestrzeń powinna mieć swoiste właściwości fizyczne. Tam nawet czas może płynąć inaczej.

– Owszem – przyznał Berg. – Jeżeli założyć, że masz rację. No dobra – zdecydowanym ruchem przetarł oczy. – Nic ma co deliberować, i tak niczego nie możemy zrobić. Trzeba się jakoś uporać z Ansa rdem.

– Ale jak?

– Spróbujemy się jeszcze potargować. Nie sądzę, żeby zechciał się posunąć do ostateczności. Może i nie boi się nas za bardzo, ale nie będzie sobie psuł stosunków z Terrą. Dlatego...

Ambasador nagle drgnął i odwrócił się ku drzwiom.

– Ktoś tu idzie – stwierdził szeptem.

– Z początku się bałem, że nie znajdę odpowiednich ludzi ani środków – stwierdził Ansard. – Z pomieszczeniem było najprościej, ponieważ w każdym zamku, jak wam wiadomo, nie brakuje piwnic. Ale potem, panowie ambasadorowie, wszystko samo się jakoś uładzi-ło. Okazuje się, że żadnych specjalnych instrumentów nie trzeba. Szydło, kilka igieł, szczypce do ognia, pogrzebacz, jakieś tam palenisko... i odrobina wyobraźni. Pragnący to wszystko wypróbować też się znalazł – czegoż w końcu nie zrobią ludzie, jeżeli tylko podejdziesz się do nich we właściwy sposób.

„Nie może być – pomyślał Leon. – Oni nigdy nie stosowali tortur. Nigdy – to akurat w raporcie Pierwszej Kompleksowej powiedziano bardzo wyraźnie. Nawet pokazowe egzekucje były rzadkością. Były...” – dodał ponuro w myślach, przypomniawszy sobie rozdziobane przez kruki ciała dyndające na miejskich murach.

Ale położone na podręcznym stole instrumenty wyglądały zupełnie jednoznacznie. Samo pomieszczenie zresztą też – znajdowali się w ponurym, nisko sklepionym lochu, który niedawno jeszcze musiał być piwnicą na wina. Teraz było tu zupełnie pusto – tyle że w wilgotny kamień jednej ze ścian wbity cztery żelazne pierścienie, zupełnie nowiutkie, bo metal z którego je wykuto, nie zdążył jeszcze ściemnieć, nie wspominając o rdzy.

– Potem pomyślałem – stwierdził Ansard – że mogą się pojawić zupełnie nieprzewidziane trudności. Ponieważ, jak panowie sami rozumieją, rozmaite istoty w różnym stopniu są podatne na fizyczny ból. Są ludzie, którzy wyją, jak tylko skaleczą się w palec, a są i tacy, którzy umierają z uśmiechem na ustach. Oczywiście, nie jesteście ry cerzami, to widać od razu, ale też nie myślę, żeby Terra gdziekolwiek wysyłała tchórzliwych ambasadorów. A to znaczy, że niełatwo was będę przekonać. Może łatwiej byłoby odwołać się do waszego współczucia – ten młody heretyk z pewnością szybciej by się załamał na torturach od każdego z was, ale sęk w tym, że gdzieś się schował i na razie nie można go znaleźć. Choć dobrze go szukają, zapewniam was, panowie.

„Czemuż nie wspomina o Soreille? – zdziwił się Leon. – Berg natychmiast by pękł i nawet nie trzeba by było wkładać w to żadnych wysiłków. A może trzyma ją na koniec, jako ostateczny środek perswazji?”

– Ale ten problem można rozwiązać inaczej – ciągnął Ansard.

– Popelnicie wielki błąd, wasza miłość – powoli stwierdził Berg.

Ansard ledwo zauważalnie skinął głową i stojący na plecami Berga człowiek

szarpnął w górę i w bok krótki łańcuch, którym skrepowano dłonie więźnia. Berg syknął z bólu, przygryzł wargi i umilkł.

– Nie lubię, kiedy mi się przerywa – stwierdził łagodnie Ansard. – Owszem, zrozumiałem do czego pijecie – jeżeli was trochę przy cisnę, Terra nie będzie zadowolona. Zapewniam was, że skoro od was zyskamy dawne wpływy, Terra z chęcią nawiąże z nami poprzednie stosunki. I jakoś nam wybaczy, żeśmy się obeszlili nieco zbyt surowo z dwoma nędznymi ambasadorami. Terranie nie mają honoru: sami daliście mi to do zrozumienia, messor Berg. Byliście chyba przyja cielem nieboszczyka margrafa, wątpiliście nawet, czy w istocie umarł naturalną śmiercią, ale to wcale wam nie przeszkodziło uznać mnie za pełnoprawnego władcę. I obiecać mi wszelką pomoc – a może się mylę? Wróćmy jednak do spraw bieżących. Jak powiedziałem, zadanie to można rozwiązać i w inny sposób. Pomyślałem sobie, ciekawe, kto ry z was wytrzyma dłużej – ten którego poddają torturom, czy ten, co będzie patrzył. No, do roboty.

Machnął ręką i Leon instynktownie zmrużył oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Ansard przygląda mu się z zainteresowaniem, a dwóch krzepkich byków, do tej pory stojących bez ruchu za jego plecami, wlecze Berga ku ścianie z żelaznymi pierścieniami. Pierścienie rozwarły się i ponownie zamknęły na nadgarstkach i kostkach Berga. Ten milczał. Popatrzył tylko znacząco na Leona i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową, wydając niemy zakaz.

– Trochę was, panowie, obserwowałem i postanowiłem zacząć od messor Berga – stwierdził Ansard. – Być może z nim trzeba się będzie trochę dłużej pomęczyć, ale zauważyłem... Ma pan czułe serce, messor Leonie. Oczywiście dzielnie, jak przystało na mężczyznę, wytrzymałby pan zadawany ból, ale nie zdierży pan, kiedy go zmuszę do patrzenia na męki przyjaciela i chyba lorda. On byłby bardziej twardy. O ile znam się na ludziach, gdybym zaczął od was, on by wytrzymał.

Powoli podszedł i spojrzał Leonowi w twarz.

– Przytrzymajcie mu głowę – polecił – i nie pozwólcie, by ją od wrócił.

– Dureń jesteś – wystękał Berg.

Wyglądał paskudnie – spuchnięta i sinoczerwona twarz, zapadnięte oczy – a przecież mógłby wyglądać jeszcze gorzej, pomyślał Leon. Ansard był człowiekiem wiernym swojemu słowu i nie zamierzał najwyraźniej zatrzymać się w polowie drogi.

– Przecież nie mogłem stać spokojnie i patrzeć, co oni z tobą wyprawiają.

– On właśnie na to liczył.

Trzęśli się w zamkniętym powozie. Nie mogli widzieć tego, co się działo na zewnątrz, żaden też nie mógł się ruszyć, bo mieli solidne więzy na rękach i nogach. Nie

było to nawet za bardzo bolesne – jeżeli człowiek się nie rusza, to nałożone przez specywięzy nie wrzynają się w ciało – ale poniżające. Powóz eskortowała grupa konnych, których obecność wyczuwało się mniej więcej tak, jak ciężkie spojrzenie wbite w kark.

– A teraz ten skurwysyn – Berg mówił jak przedtem nieco niewyraźnie – przewraca całą kryjówkę do góry nogami, wywlecze wyposażenie na zewnątrz i zacznie badać...

– Niczego nie będzie musiał badać. Sam mu wszystko pokażę.

I co mu pokażesz? Wytlumaczysz mu, że spektroskopu czy radiometru nie da się wykorzystać w wojennych celach? Akurat ci uwierzy... Zrozum, raz okazałeś słabość, więc będzie tobą potrząsał, dopóki nie wytrzesie wszystkiego. Nawet jeżeli się przekonasz, że oprzyrządowanie w istocie nie przedstawia dla niego żadnej wartości, z pewnością dojdzie do wniosku, że przy umiejętnym postępowaniu, będzie miał z nas więcej pożytku, niż z tego całego stosu bezużytecznego chłamu. Rozumiesz przecież, wystarczy, że któryś z nas się rozgada... maszyny obłąknicze, grecki ogień... prochu też tu jeszcze nie znają.

– Składałem przysięgę – sprzeciwił się Leon. – „Pod żadnym pozorem i w żaden sposób...” i tak dalej.

– Przecież już ją złamałeś – odciął się Berg. – I problem nawet nie z tym honorowym łajdakiem, sentymentalny dupku.

Leon westchnął. Po podłodze powozu pełzały przesączające się przez szczeliny pasma nikłego światła. Monotonny skrzyp kół niekiedy przerywało głośniejsze trzeszczenie. Na razie jeszcze jechali drogą, choćby i marną, ale wkrótce mieli zjechać w zupełnie bezdroża.

Czuł się paskudnie – nie tylko fizycznie, ale i psychicznie – jakkolwiek by się nie chępić przed Bergiem, sam sobie wyrzucał w duchu, że okazał słabość. Być może Berg w głębi serca jest mu wdzięczny, ale to wcale nie zmienia postaci rzeczy. Wszystko dlatego, pomyślał, że brak mu poważniejszych doświadczeń. Planetę uznano za bezpieczną i spokojną, gdyby było inaczej, przelożeni Korpusu daliby Bergowi innego partnera. Takiego, co wykazałby się odpowiednią odpornością psychiczną i nie załamał się przy pierwszej poważniejszej próbie. Praca w Korpusie zawsze wiązała się z ryzykiem i jego pracownicy byli tego świadomi. Nikt się jednak nie spodziewał, że tutaj, na zapyziałej i nieszkodliwej planecie ludziom przyjdzie się zetknąć z prawdziwymi niebezpieczeństwami – i to takimi z górnej półki, Jak się zachowa nieznaną, wysokorozwiniętą cywilizacją, zetknąwszy się z przybyszami z innego świata? Jeżeli okaże mieszkańcom Ziemi to samo dobroduszne zainteresowanie, które Ziemia żywi w stosunku do innych planet, to Ziemianie będą mieli sporo szczęścia. Ale to tylko

jedna z możliwości. Inne mogą być znacznie gorsze.

Zjechali wreszcie z traktu i powozem zaczęło tak trząść, że Leon z trudem utrzymywał równowagę. Nie mógł się niczego chwycić związanymi za plecami dłońmi. Najwyraźniej kierowali się teraz w stronę lasu, ciągnącego się aż do dalekiej delty. Leon zsunął się z siedzenia na podłogę i zwinął w pozycję embrionalną, co mimo podskoków i wstrząsów powozu przyniosło mu pewną ulgę... Potem spróbował zasnąć. Obudził go ostry zgrzyt: drzwi wozu otwarły się i zobaczył obramowaną aureolą ostrego światła sylwetkę siedzącego na koniu Ansarda.

– Jesteśmy na miejscu. Wyłaźcie, panowie ambasadorowie.

– Jakże możemy wyjść – sarknął Leon – skoro... Berg milczał.

– Ach, prawda – uśmiechnął się Ansard. – Rozwiążcie im nogi. Jeden z przybocznych wcisnął się do powozu i myśliwskim nożem rozciął pęta na nogach więźniów.

Zatrzymali się na porośniętej trzcinami nizinie, która płynnie przechodziła w wodną łąkę. Kilku ludzi z niezbyt licznej oddziału taplało się w błocie, usiłując rozbić jakieś obozowisko. „Ansard zabrał ze sobą chyba najbardziej zaufanych żołnierzy – przecież w istocie liczy na to, że znajdzie tu coś niesamowitego” – pomyślał Leon.

Zeskoczył na ziemię – sam, bez pomocy postronnych, podczas gdy Berg wyrzucił strażnika na zewnątrz kopniakiem – i natychmiast znieruchomiał. Przy jego krtani znalazł się ten sam myśliwski nóż, którym przed chwilą rozcięto mu pęta na nogach. Ansard, który tymczasem zdążył już zsiąść z konia – stał nieopodal i obserwował całe zajście z założonymi za plecy rękoma.

– Mam nadzieję, że zachowasz się rozumnie, messer Leonie – odezwał się łagodnie – a wszystko, coście powiedzieli okaże się prawdą. W przeciwnym razie zrobię kilka ciekawych rzeczy ambasadorowi Bergowi.

– Dałem już słowo.

Spróbował poruszyć rękoma i skrzywił się z bólu – nadgarstki mu spuchły i sznury werznęły się w ciało. „Jeszcze trochę i dorobię się gangreny”.

– Rozwiążcie mi ręce – powiedział.

Ansard łaskawie skinął głową.

– Rozwiążcie – polecił strażnikowi. – I baczniej pilnujcie ambasadora Berga. Jeżeli ten zechce uciekać... Wiecie, co robić.

„Blefu je – pomyślał Leon – czy nie? Przecież jeżeli się zmyję, zostanie mu już tylko Berg”.

Wolał jednak nie sprawdzać.

– Jak sobie przypominam – podsunął Ansard – mówiliście, że gdzieś tu ukryliście

łódkę...

– Owszem – kiwnął głową Leon.

– I że macie sposób na odnalezienie jej w tych oczeretach. Choć, jak zaznaczyliście, nikomu innemu by się to nie udało.

Leon wzruszył ramionami i wyjął z trzosu miniaturowego pilota. Nastroił go na częstotliwość mikrolatarni łodzi i powoli powiódł nim z boku na bok. Ledwo słyszalny pisk nieco się nasilił. Znak, że ukryta w nieprzebytych błockach łódź, wysunęła się z kryjówki i powoli przecina wodę, zmierzając w ich stronę.

– Tędy – powiedział.

Ansard kiwnął głową i zawołał coś ku swoim ludziom – dwaj oddzielili się od pozostałych i podeszli..

– Cóż... – zaczął lord. – Ruszajmy. A wasz przyjaciel zostanie tutaj. Nie bójcie się, messer Leonie. Już moi o niego zadbają.

– Zechciejcie wziąć pod uwagę – przypomniał mu Leon – że z tymi urządzeniami obchodzić się umiemy tylko ja i Berg. A jeżeli coś mu się stanie podczas mojej nieobecności, nie będę miał już niczego do stracenia.

– Zechcemy to wziąć pod uwagę – stwierdził Ansard uprzejmym głosem.

Ruszyli w głąb zalewu, strasząc niezliczone rzesze błotnego ptactwa. Dawniej, przypomniał sobie Leon, kłębiły się tu chmary owadów. Teraz ich jednak nie było – deszcz zmusił je do szukania kryjówek albo zmył do rzeki.

Woda wlewała się im do butów, twarze chłostał deszcz niesiony wilgotnym wiatrem, ale w miarę jak szli, z pilota wydobywał się coraz głośniejszy pisk. Nareszcie na pulpicie zapłonęło maleńkie zielone światełko.

– Tutaj – stwierdził Leon.

Łódka kołysała się na wodzie, okryta maskującą siecią.

– Patrzcie państwo – stwierdził z zadumą Ansard. – Wygląda, żeście nie zełgali. I chyba wszystko pozostałe też okaże się prawdą. W życiu nie widziałem takiej łodzi.

– Proszę – rzeki Leon.

Ansard wskoczył na pokład, rozsiadł się na dziobie i rozejrzał.

– A gdzie wiosła? – zapytał ze zdziwieniem.

– Wiosła – odpowiedział Leon – nie będą nam potrzebne.

– A – Ansard kiwnął głową. – Samopędny okręcik.

Obrzucił Leona spojrzeniem pełnym pogardy.

– Gdybyście nie byli tak bezwstydnie bezbronni – stwierdził – mógłbym pomyśleć, że jesteście wielkim czarodziejem. Ale wygląda na to, że po prostu umiecie się posługiwać tym, co stworzyli inni. Czyli potrafią to i inni zwykli ludzie. Na przykład ja.

– Proszę bardzo – stwierdził Leon ze znużeniem – posłujcie się.

Wskoczył do łodzi. Za nim usadowili się dwaj przyboczni An-sarda. Ponownie nacisnął guzik na pilocie – motor stękuął i zawarczał miarowo. Wojacy się zjeżyli, ale Ansard jak przedtem siedział bez ruchu na ławie i uważnie patrzył Leonowi na ręce. Łódka wysunęła się z trzcin i ruszyła po szarej wodzie, zostawiając za sobą podwójny, pienisty kilwater.

– Ja wolałbym taki pojazd, co jeździ po łądzie – stwierdził rzeczowo Ansard.

– Wybaczcie, ale jakoś się nie złożyło. Spróbujcie przerobić łód-kę.

– Po co miałbym się trudzić, messer Leonie – beznamiętnie rzucił lord. – Wszystko, co trzeba, zrobicie sami.

Marzycielskim wzrokiem spojrzął w siną dal, gdzie prawie niewidoczny brzeg zlewał się z szarym, przesyconym wilgocią niebem.

– Jeżeli nie zadaliście sobie trudu, żeby jak należy ukryć tę łódkę, wyobrażam sobie, jakie cuda można znaleźć w waszej kryjówce...

– Radzę panu, milordzie, zachowywać się tam ostrożnie – rzekł Leon tonem przestrogi. – Wiele przedmiotów nie lubi dotyku obcych rąk.

– Czyżby? – Ansard rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. – No cóż, sprawdzimy... Gotów jestem się założyć, że sami z ochotą pokażecie mi wszystko, czego będę potrzebował. Mam dar perswazji, a wy przecież jesteście człowiekiem podatnym na rozsądne argumenty, nieprawdaż?

„On mi nie wierzy – pomyślał Leon. – I będzie wyrywał nam wiadomości, dopóki nas nie złamie. Przecież, i z podręcznych środków można co nieco skonstruować – obyśmy mu, na przykład, nic podali na talerzu recepty na wytwarzanie prochu. Proch, nawiasem mówiąc, wcześniej czy później odkrywają na każdym świecie, ale lepiej zostawić ten wątpliwy zaszczyt autochtonom... a jeszcze w takiej sytuacji. Nadzieja w tym, że Ansard nie ma za wiele czasu. Dopóki zdarzać się będą te osobliwe znaki, ludzie wytrwają w bojowym zapale, ale takie pobudzenie bez koniecznego podsycania szybko ustaje... co nastąpi raczej prędzej niż później”.

W oddali zamajaczyła wysepka. Teraz, podczas przypływu, wydawała się niemal płaską – porośnięty wiklinami brzeg ledwo wystawał nad wodą.

„Żeby tylko nie zalało naszego schronu – pomyślał Terranin. – Kiedy go budowano, nikt się nie liczył z tak wysokim stanem wód...”

– Proszę, okazuje się, żeście ukryli się na Fembrze – stwierdził Ansard z zadumą. – No... no... dziwne to schronienie dla postów potężnego państwa. Czasami tak sobie myślę – może za morzem nie ma żadnego lądu... a okręt, który was tu przywiózł, był tylko przywidzeniem, co rozpląnęło się we mgle, kiedy tylko zeszlście na brzeg.

– W takim razie radziłbym wam na wszelki wypadek odnosić się do nas z większym szacunkiem – odparł Leon.

Ansard tylko wzruszył ramionami.

– A po co? Jesteście istotami z krwi i kości, jak już się zdażyłem przekonać. A jeżeli w istocie zrodziły was jakieś nieznanne nam siły czy moce, to nie macie duszy. A to znaczy, że wszystko, co wam zrobię, będę dzie usprawiedliwione, ponieważ nie obejmuje was pojęcie ludzkiego miłosierdzia.

„Mógłbym go zabić – pomyślał Leon. – Nie jestem takim dudkiem, jak mu się wydaje. Dwa, trzy chwytty i uderzenia – i byłoby po nim. Ale nie dałbym rady zabić wszystkich trzech, a gdyby nawet – zostaje jeszcze Berg. Gdyby Ansardowi coś się stało, tamci go nie oszczędzą. Dlaczego, dlaczego nigdy nie umiem podjąć słusznej decyzji? A przecież mówią, że nie ma sytuacji bez wyjścia...”

Wyłączył silnik i łódka pchana już tylko siłą bezwładności wpłynęła do maleńkiej zatoczki – dawniej była tu gładka toń, w której odbijały się nadrzeczne wierzby, teraz jednak wszystko siekły krople deszczu.

Rzuciwszy kotwicę, powiedział ze znużeniem:

– Dotarliśmy.

Ansard lekko przeskoczył przez wąskie pasmo wody i stanął, rozglądając się dookoła.

– Przypuszczam – stwierdził – że wasza kryjówka została dobrze schowana przez wzrokiem postronnych. Ale znajdziecie drogę, prawda, messer Leonie?

– Idźcie za mną – polecił Leon. – To wszystko.

Ruszył w głąb wysepki ku kępie drzew, wyrastających ponad pozostałe chaszczce.

– Wiecie – podjął Ansard poprzedni wątek, stąpając lekko po piasku butami z miękkiej skóry – kiedy zrozumiałem, że nie macie du szy? Kiedy się przekonałem, że wy zbyt wysoko cenicie własne życie. Szczerze mówiąc, gdybym się znalazł na waszym miejscu, wolałbym skończyć ze sobą, żeby uniknąć hańby. Tak byłby zrobił każdy czło wiek honoru... A wy od razu zaczęliście się targować.

„Sęk w tym, że on ma rację – pomyślał Leon. – Za bardzo cenimy życie. A oni – nie. Także i swoje własne. Czy to oznacza, iż w porównaniu z nimi jesteśmy o coś ubożsi? Straciwszy wiarę i zastąpiwszy ją nauką przekształciliśmy szacunek dla życia w coś na kształt religii... i staliśmy się haniebnie racjonalni. Oduczyliliśmy się poświęcenia”.

Drzwi do kryjówki były zamaskowane masywnym głazem, który do tej pory zdażył przysypać piasek i całkowicie wtopić w otoczenie. Leon obszedł kamień dookoła i znalazłszy potrzebne wgłębienie przyłożył do niego dłoń. Ręka lekko wniknęła w powierzchnię kamienia. Przez chwilę nic się nie działo – niewidzialne czujniki

wczytywały kod – a potem głaz bezgłośnie drgnął i obrócił się wokół własnej osi, odsłaniając wąską szczelinę, w którą boki mógł się swobodnie wsunąć rosły mężczyzna.

Ansard obserwował to wszystko z niemałym zainteresowaniem.

– Przyłożyliście do kamienia dłoń, żeby otworzyć te lochy? – zapytał. – To wasz klucz?

– Jak jest – stwierdził sucho Leon.

– A jeżeli dłoń przyłożę ja?

– Nic się nie stanie. Zamek reaguje tylko na moją dłoń i na dłoń ambasadora Berga.

– A gdybym, na przykład – nie ustępował dociekliwy lord – wykorzystał waszą dłoń... powiedzmy, oddzielnie?

– Nic z tego – odpowiedział Leon. – Kod jest odczytywany tylko z żywych tkanek.

– Szkoda... – stwierdził Ansard z zadumą w głosie. – Ale chyba da się coś wymyślić...

– Messer Ansardzie, po co wam to? Przecież możecie bez trudu odebrać nam to, co was zainteresuje.

– Na wszelki wypadek, panie ambasadorze. Na wszelki wypadek...

Ansard ostrożnie podszedł do drzwi i zajrzał w głąb przejścia. Zareagowało na znajomy dotyk i powoli ożywało. Zatrzeszczały i rozjarzyły się lampy imitujące dzieńne światło, a z głębi rozległo się miarowe pomrukiwanie budzących się do pracy generatorów.

– No cóż – stwierdził Leon. – Droga wolna.

– Za waszym pozwoleniem, puścimy przodem jednego z moich ludzi – stwierdził Ansard. – Potem pójdziecie wy.

Leon wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcecie.

Przez szczelinę zaczął się przeciskać przyboczny Ansarda. Robił to bez entuzjazmu – uważał pewnie, w przeciwieństwie do swego pana, że bezduszne twory niewiadomych sił i mocy zasługują jednak na respekt i mogą się rozgniewać, jeżeli w ich siedzibie ni stąd ni zowąd zjawią się obcy.

Ansard spokojnie czekał, Jego napięcie zdradzały tylko nieco nabrzmiałe żyły na szyi.

Odczekawszy kilka minut, skinął na Leona.

Leon wszedł do schronu.

„Nie tak to miało być – myślał. – Marzyłem o tym, żeby zrzucić z siebie te niezdolnie szorstkie szmaty i przebrać się w zwyczajną bieliznę z termowłókna, wziąć

kąpiel w wannie z hydromasażem, a potem wyciągnąć się w wygodnym krześle, posłusznie przybierającym odpowiedni kształt, popatrzeć na jakiś stary film, gdzie wszystko jest na niby, gdzie nie ma bezmyślnych działań i nielogicznych zabójstw albo tylko posiedzieć bez ruchu i zamknawszy oczy, posłuchać dobrej muzyki...

Ten barbarzyńca wszystko tu przewróci do góry nogami. Co mu tam moja muzyka? Daj mu tylko narzędzia do zabijania – byle potężne i niezawodne – a skąd je wezmę? – Ze zdziwieniem stwierdził, że nęka go jakieś ponure przeczucie. – Skąd mi się to bierze? – pomyślał.

– Przecież i tak gorzej już być nie może”.

Do schronu nie przedostały się piasek i deszcze – wszystko było czyste, schludne i suche. Wzdłuż korytarza ciągnął się szereg drzwi – nostalgicznie funkcjonalnych, pozbawionych ozdób i ukrytych pułapek. Po prostu drzwi.

– Nieźle się tu urządziliście – stwierdził Ansard.

Mimo iż znalazł się w nieznanym miejscu i sytuacji, wcale nie wyglądał na zbitego z tropu czy zagubionego. Przeciwnie, rozglądał się z uwagą, notując w pamięci każdy szczegół, jakby trafił nie do bezpiecznego schronu, lecz do leśnych ostępów, gdzie za każdym krzakiem mogło czyhać niebezpieczeństwo. Leon niespodziewanie dla siebie samego pozazdrościł mu niezłomnej siły ducha. „Dla niego wszystko jest proste – pomyślał. – Żadnych wątpliwości, żadnych wyrzutów sumienia – zmierza do celu i zmiecie z drogi wszystko, co mu będzie przeszkadzało w jego osiągnięciu...”

– Czujcie się, jak u siebie w domu – stwierdził kwaśno.

– Z przyjemnością – odparł beznamiętnie Ansard. – Co jest za tamtymi drzwiami?

– Komnata odpoczynku – Leon zaczął kolejno prezentować drzwi jedno po drugim.

– Pokoje mieszkalne. Łazienka...

Dalej leżały laboratoria i magazyny, ale tego Ansardowi nie powiedział. Niech sam zgaduje...

Ansard kiwnął głową przybocznemu. Ten podszedł do pierwszych drzwi – bokiem i niezbyt pewnie – i mocno pociągnął gałkę ku sobie. Drzwi ani drgnęły.

– W bok – podpowiedział mu Leon. Przyboczny spojrzał nań bez zrozumienia.

– Ta płyta drzwi odsuwa się w bok – ponownie stwierdził Leon.

– Tam jest prowadnica.

Spojrzał pytająco na Ansarda, który kiwnął głową. Leon podszedł do drzwi, odsunął przybocznego, nacisnął gałkę i drzwi płynnie odsunęły się w bok, odsłaniając przytulne pomieszczenie w pastelowych barwach. Kilka głębokich foteli, zestaw muzyczny i ekran przestrzenny. Na ścianach zagłębienia na kompakty; a niżej półka z książkami – raczej dla nastroju, niż z potrzeby.

Ansard odsunął przybocznego i wszedł cio środka. Przez chwilę stał nieruchomo, wodząc po wszystkim uważnym spojrzeniem, potem podszedł do półki, wysunął jedną z książek i zważył w dłoni niezbyt ciężki tomik. „Kipling – przypomniał sobie Leon. – Stanisław, geofizyk z Pierwszej Kompleksowej, był wielbicielem Kiplinga”.

– Okazuje się, że jesteście molami książkowymi – stwierdził An sard, przewracając strony swoimi mocnymi palcami, nawykłymi do oręża. – Pismo dziwaczne, ale staranne. Macie dobrych kopistów. Ale studiowanie waszych mądrości to jałowe zajęcie – wszystko spisane pewnie w tym samym niezrozumiałym języku, w jakim rozmawiacie ze sobą... ale zrobię chyba z tego podarek jego świątobliwości – to człek uczony...

Rzucił książkę na podłogę – z trzepotem stron przeleciała ku progowi, gdzie podniósł ją i schował do przygotowanego obszernego worka drugi z przybocznych, do tej pory stojący nieruchomo przy drzwiach.

– Nie widzę niczego, co jeszcze warto byłoby wziąć – stwierdził z namysłem Ansard.
– Ale cóż, to dopiero początek. A to co takiego?

– kiwnął w stronę ekranu w kącie. – Okno?

Leon przez chwilę się wahał. Sęk w tym, że on się ich wcale nie boi. Ale można spróbować zrobić na nim wrażenie...

– To okno – odezwał się wreszcie – pokazuje to, co się dzieje daleko stąd. Chcecie popatrzeć?

Ansard też się wahał, ale w końcu przemogła ciekawość.

– Tylko bez sztuczek – uprzedził.

– Ależ Co wy... – zachnął się Leon. – Jakie sztuczki?

Podszedł do aparatury – w kieszeni wciąż jeszcze siedział dysk – i nacisnął guzik odtwarzania. Na ekranie pojawił się fragment jakiegoś historycznego dwudziestowiecznego filmu. „Odrestaurowana starość” – pomyślał Leon. W ostatnich latach przed ich odlotem pojawiła się moda na prymitywne filmy wojenne i sensacyjne. Akcja tego toczyła się w jakimś pomieszczeniu fabrycznym, pomiędzy zardzewiałymi pojemnikami i rurami. Ponury mężczyzna w nasuniętym na czoło kapeluszu mierzył z jakiejś broni kulowej w drugiego jegomościa, a piękna blondynka, rozciągnięta na ziemi, malowniczo zalewała się łzami. Obraz był tak realistyczny, że gdy lufa pistoletu wysunęła się z płaszczyzny ekranu, Ansard odskoczył w bok, choć podobną broń widział po raz pierwszy.

– To tylko obraz – bardzo uprzejmie odezwał się Leon.

Ansard wziął się w garść i ponownie zaczął śledzić akcję. Tymczasem pozytywny bohater zdołał wytrącić nogą broń z dłoni strzelca i pistolet opisawszy piękny łuk wpadł prosto w dłonie blondyneczki. Ta natychmiast przestała ryczeć i zerwała się na nogi,

trzymając pistolet w paluszkach o pięknie malowanych paznokietkach.

– Dziwne rzeczy się tam u was wyrabiają – stwierdził krytycznie Ansard. – Jak możecie żyć w takich nędznych warunkach? Ja bym tam nawet, za przeproszeniem, spodni nie raczył ściągnąć. I czemu wasze baby tak się ubierają? To nieprzyzwoite.

Blondyneczka tymczasem zdążyła wygłosić swoją kwestię – jej usta bezdźwięcznie się otwierały i zamykały – i strzeliła. Ponury typ w kapeluszu zachwiał się i złapał oburącz za brzuch, a spomiędzy palców pociekła mu ciemnoczerwona ciecz. Nie bacząc na śmiertelną ranę też się uparł, żeby wygłosić dość długą przemowę, ale wreszcie runął na ziemię.

– O, coś takiego akurat mi się przyda – z zadowoleniem stwierdził Ansard. – jeżeli dała sobie z nią radę ta chuderlawa baba, to moje zuchy z pewnością też się nauczą tej sztuki.

– Ale tu nie ma niczego takiego – sprzeciwił się Leon. – Patrzymy na to, co się dzieje daleko stąd.

„I bardzo dawno temu – dodał w myślach. – Cholera w bok tym miłośnikom starej dobrej Ameryki”.

– To czemu na to patrzycie? – zdziwił się Ansard.

– Dla rozrywki... ot, tak sobie.

– Dziwna to rozrywka, podglądać chyłkiem życie obcych ludzi. Jesteście chyba narodem tchórzy. Sami boicie się podjąć jakiegokolwiek działania, ale bawi was obserwowanie, jak inni dzielni ludzie zabijają jeden drugiego.

Leon wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to tylko gra – przyznał. – Wymysły. Te scenki po prostu są odgrywane tak, jak to robią wasi minstrele.

– Jak to – odgrywane? Zobaczcie jaką dziurę zrobiła ta broń waszemu rycerzowi!

– Są pewne określone sposoby, dzięki którym można zrobić taką iluzję, że widz uznają za rzeczywistość – powiedział Leon. – A w każdym razie zrobić tak, by wyglądała wiarygodnie.

– Miałem rację – stwierdził sucho Ansard. – Jesteście narodem zboczeńców.

Leon westchnął. Demonstracja doprowadziła chyba do odwrotnych niż zamierzone przezeń skutków. „Kiepski ze mnie psycholog – pomyślał. – I mediewisla jak z koziej dupy trąba. Lada moment ten niezłomny wojak dojdzie do wniosku, że z takimi niizerotami jak my w ogóle nie warto się certolić, i zacznie szukać tu pistoletów. A skąd ja mu wezmę pistolety”.

Wyłączył projekcje. Ekran zamigotał i zgasł.

– Ciekawe, czym się to wszystko skończyło – stwierdził Ansard.

– Ja bym na miejscu tego rycerza nieźle sprął tę łajdaczkę – niech się nie miesza do męskich spraw. A pokazywanie się ludziom z rozpuszczonymi włosami i obnażonymi kolanami, to już w ogóle...

Skończywszy krytykować obyczajowość Terran, wdział na twarz wyraz bezgranicznej pogardy.

– A to? – położył dłoń na błyszczącym, imitującym drewno panelu aparatu do odtwarzania muzyki.

– Gra muzykę – wyjaśnił Leon. – W tym pomieszczeniu ludzie się zbierają, żeby posłuchać muzyki, albo popatrzeć na rozmaite historie... lub po prostu odpocząć.

Wybrał kod na chybił trafił i z ukrytych głośników zabrzmiały potężne akordy Mahlera.

– Jesteście pewni, że to muzyka? – Zapytał Ansard podnosząc głos, żeby przekrzyczeć orkiestrę symfoniczną.

Filharmonicy zachłysłeni się krytyką i melodia zdechła.

– Jeżeli wasz naród uznaje to za muzykę, to istotnie jesteście zbrodni – skrzywił się Ansard.

Zrzucił maleńkie pudełko na podłogę – kryształy z zapisami rozsypały się po plastikowych płytach, Ansard zaś pogardliwie przydeptał je nogą, jakby to było paskudne robactwo.

– Nie ma tu niczego, oprócz tych świństw – stwierdził. – Chodź my dale).

Gdy mijali pojedyncze sypialnie – małe jak okrętowe kabinki – Ansard mimochodem zrzucił pościel z koi. Szukał ukrytych pistoletów.

Za następnymi drzwiami był magazyn.

Hermetyczne pojemniki, równo poukładane beły, półki wzdłuż ścian: aparatura, odzież, konserwy i pakunki z wysterylizowaną żywnością.

– Messer Leonie, zechciejcie mi otworzyć na przykład... to.

Ansard wskazał na chybił trafił jeden z pojemników.

Leon nacisnął guzik elektronicznego zamka i wieko odskoczyło z lekkim szczękiem. Ansard podszedł ostrożnie i zajrzał do środka.

W pojemniku przechowywano miniaturową aparaturę do oczyszczania miejscowej wody i zestaw odpowiednich filtrów.

– Co to takiego? – Ansard spojrzał pytająco na Leona.

– Oczyszcza wodę tak, żeby się nadawała do picia – wyjaśnił Leon. – Pompuje ją przez te filtry. Przydaje się na bagnach albo, powiedzmy...

– Do czego – krótko orzekł Ansard. – Chyba że kłamiecie.

– Łatwo to sprawdzić – Leon wzruszył ramionami. – Wystarczy uruchomić.

– Później – Ansard założył ręce za plecy i zaczął się przechadzać po pomieszczeniu.
– Cóż my tu jeszcze mamy? Powiedzmy, w tej szkatule...

W kolejnym pojemniku znajdowały się śpiwory z termowłókna – lekkie, ciepłe i odporne na wilgoć. Niezwykle przydatne dla ekspedycji terenowych.

Ansard pomacał tkaninę i przez chwilę się zastanawiał.

– Zbytek rozkoszy – orzekł w końcu. – Żołnierzowi to na nic. Zabawka dla dam.

– Jak chcecie...

– Idźmy dalej.

Z pogardą ocenił zestaw zmiennych indykatorów do polowego analizatora, chronometr, podręczny mikroskop i wskaźniki radioaktywności. Ale zestaw rac sygnalizacyjnych i rakietnica trafiły do tego samego obszernego worka, w którym wylądowała książka. Przy zapasowym przenośnym generatorze zatrzymał się na dłużej i spróbował go nawet uruchomić, ale poniósł klęskę.

– Pozwólcie, że ja... – podsunął pospiesznie Leon. Generator był dobrze izolowany, ale kto wie... A nuż Ansard też chciałby się przyjrzeć i pomacać zaciski wyjściowe?

Ansard jednak przez chwilę spoglądał z namysłem na Leona, a potem stwierdził:

– Nie, to do niczego...

Następny pojemnik jednak wzbudził w lordzie żywe zainteresowanie – był w nim przedmioty przeznaczone na podarki dla miejscowych elit. Zwykły w takich przypadkach zestaw – leciutkie i mocne tkaniny w rozmaitych barwach, zestawy naczyń stołowych z delikatnego iworzywa, których nie sposób było rozbić nawet kowalskim młotem, rubiny, szmaragdy i szafiry wielkości gołębih jaj i nie mniejsze od nich brylanty – wszystko, co nie ma żadnej wartości na dalekiej Ziemi, a tak jest cenione tutaj i w każdym innym ze światów. Sznury sztucznych pereł, nigdy nie mętniejące zwierciadła, złote bransolety plecione niby z pajęczyny...

– Tym – Ansard przesunął palce po perłach pysznego naszyjnika – chcieliście przekupić naszych władców?

– Przedstawiciele zaprzyjaźnionych państw wymieniają podarki, czy nie tak?

– Ten obyczaj do was się nie odnosi – sprzeciwił się Ansard – ponieważ zakradliście się do Soleni niczym węże.

– Wasz stryj miał inne zdanie.

– On w ogóle za bardzo ufał ludziom – rzucił Ansard beznamiętnie. – Dlatego jest martwy. A ja – żyję...

„Sprzątnął go, bydlak jeden – pomyślał Leon. – I czuje się na tyle pewnie, że nie uznał za stosowne się z tym kryć”.

– Zbytek potrzebny jest słabym – ciągnął Ansard z zadumą w głosie. – Ale i nim

można się posłużyć, jeśli robić to z głową.

Skinął głową drabowi z worem i ten zaczął napełniać sakwę.

– Bierz to, co lekkie i kosztowne – polecił mu lord. – Reszta może poczekać...

Odwrócił się do Leona.

– Nie mamy się gdzie spieszyć, prawda, panie ambasadorze? Wy daje mi się, że to bardzo solidna kryjówka. Nawet ta przekłeta wilgoć tu nie przenika. Lepiej chronić wszystko tutaj, niż przewozić do zamku, Jeżeli zechcę tu jeszcze zajrzeć, mogę to zrobić w każdej chwili, prawda?

– W zasadzie tak – stwierdził ostrożnie Leon. – Jeżeli ja i ambasador Berg zostaniemy przy życiu. W przeciwnym razie nie zdołacie otworzyć drzwi.

– Drzwi – sprzeciwił się Ansard – można zaklinować.

– Na to bym nie liczył – Leon był samą uprzejmością. – Są bardzo solidne. I zamykają się same z siebie. To na wypadek, gdyby ktoś przypadkowy zechciał zawładnąć naszą własnością.

„A zresztą – pomyślał – jeżeli te deszcze nie ustaną, na co się chyba nie zanosz, to wejście wkrótce znajdzie się pod wodą”.

– Ale na wypadek, gdyby wam albo ambasadorowi Bergowi coś się jednak przydarzyło, albo gdyby wasz schron znalazł się jednak pod wodą – Ansard jakby czytał w jego myślach – wezmę stąd wszystko, co mi się może przydać w najbliższym czasie. Potem... cóż, nic nie trwa wiecznie, prędzej czy później wody opadną – a wasza kryjówka nie dozna uszczerbku, o tym jestem przekonany. Z pewnością przewzi dzieliście taką możliwość.

„Ty skurwysynu” – pomyślał Leon z rezygnacją.

Do wora trafiły więc kolejne miniaturowe przyrządy niewiadomego przeznaczenia (analizator medyczny, apteczka z zestawem ampułek i miniaturowa wideokamera).

– Oczywiście, będziecie się upierać, że wszystko to jest przydatne tylko do waszych dziwacznych zajęć – stwierdził Ansard wpatrując się bacznie w twarz Leona – ale to akurat łatwo sprawdzić. W każdym razie ten przedmiot – wskazał analizator – przypomina ową sztuczkę, z której strzelał tamtej wojak w oknie.

Faktycznie, analizator można było z grubsza uznać za podobny do pistoletu.

– To wcale nie jest to, co myślicie – sprzeciwił się Leon. – To...

– Przekonamy się – uspokoił go Ansard. I dodał tonem pouczającym: – Takie bogactwo... a wy z niego wcale nie korzystacie.

Ruszył ku wyjściu ze schronu. Przyboczny nie bez obaw niósł za nim na poły napełniony wór, drugi drab zamykał pochód.

Kolejne drzwi – jedyne ze wszystkich, były zamknięte. I to właśnie przykuło uwagę

Ansarda.

– Otwórzcie – polecił Leonowi.

– Tam jest tylko aparatura – Leon spróbował sprzeciwu.

– Nic ważnego? – Ansard podniósł brwi. – Po co w takim razie zamkniecie?

Skoro inne były pootwierane, to właśnie za tymi, według niego, musiały się kryć największe skarby.

Leon przez chwilę się wahał. Za drzwiami umieszczono precyzyjne urządzenia – przekaźnik, generatory, niewielką stację energetyczną. „Co on tam z tego zrozumie – pomyślał. – Dotknie kilku przedmiotów palcami i się uspokoi.” Aparatura była dobrze zabezpieczona na wypadek tego typu Wtargnięć – standardowa procedura ekspedycji dalekiego zasięgu.

– Tam są maszyny – stwierdził wreszcie. – Ogrzewają i oświetlają pomieszczenia, i nic więcej...

– Bardzo dobrze – kiwnął głową Ansard. – Mechanizmy? Bojowe?

– Iakic tam bojowe... – **Leon** zrezygnował już ze sporów. – Już wam mówiłem, że nie da się ich wykorzystać niezgodnie z przeznaczeniem. A są przeznaczone do wytwarzania ciepła i światła.

– No to sobie popatrzymy – Ansard był niewzruszony. – Otwierajcie.

Leon westchnął, przyłożył palce do szyfrowego zamka i wybrał kod. Drzwi otworzyły się z cichym szcęknięciem. Szum, który przedtem ledwo było słyhać, przybrał na sile.

Aparatura była wmontowana w ściany – wskaźniki migotały łagodnie, zalewając pomieszczenie własnym światłem.

Gdy Ansard wszedł pośpiesznie do siłowni, zatrzymał się na jej środku i rozejrzał dookoła. Światelka wskaźników rozjaśniały jego surową, ostro rzeźbioną twarz. Pośrodku całej tej maszynerii w swojej myśliwskiej odzieży i opończy wyglądał obco i nie na miejscu – niczym istota należąca do zupełnie innego świata.

– To nie jest podobne do machin bojowych – stwierdził wreszcie.

– A coście się spodziewali tu znaleźć? – zapytał kwaśno Leon. – Machiny oblężnicze?

– Cokolwiek pożytecznego – odpowiedział niezbyt jasno Ansard. Podeszedł do panelu przekaźnika i koniuszkami palców musnął chłodną, gładką powierzchnię. – Co to jest?

– Urządzenie do rozmów na odległość – niechętnie odpowiedział Leon.

– Ach tak? A nie wygląda. Działa?

– W zasadzie tak. Ale teraz – nie.

– Z pewnością nie działa. Gdyby było inaczej, wezwalibyście po moc. – Spojrzał

zimno na Leona. – Jesteście narodem kłamców. I ja mam uwierzyć w to, co mówicie? Może to w ogóle nie jest urządzenie do rozmów? Może...

Palcami zmacał zamek na panelu i go przekręcił – klapka się odsunęła i odsłoniła pulpit sterowniczy.

– Dziwne urządzenie – stwierdził lord. – Te... guziki... Co się stanie, jeżeli nacisnę jeden z nich?

– W zasadzie nic – odparł Leon. – Ale lepiej tego nie robić.

– Naciśnijcie sami. A zresztą... nie.

Przekręcił przełącznik generatora. Światło w pomieszczeniu zamigotało i zgasło.

– Aaaa... – sapnął zadowolony Ansard i przywrócił przełączni kowi poprzednie położenie. W sterowni ponownie zapłonęło światło.

Lord przespacerował się po pomieszczeniu, dotykając kolejno wszystkie przełączniki. Leon sprężył się i wstrzymał oddech. I stało się to, czego poseł się obawiał – Ansard zatrzymał się i wbił wzrok w ścianę, na której był jeszcze jeden panel wtopiony w obudowę. Zauważyć go przypadkiem było praktycznie niemożliwe – ot, jeszcze jedna płyta pośród wielu innych. A jednak Ansard zwrócił na nią uwagę. Podrapał paznokciem spoinę, a potem wyciągnął myśliwski nóż i wcisnął go między płyty. Zamek nie powinien był się otworzyć, a jednak się otworzył.

„Niemożliwe!” – pomyślał zdumiony Leon.

Pokrywka odpadła, odsłaniając napis:

„SYSTEM AWARYJNEGO SAMOZNISZCZENIA”.

– Co to takiego? – zapytał Ansard.

– Jego nie wolno ruszać – pospiesznie wypalił Leon. – To...

– Nie wolno ruszać... no proszę...

Ansard z zadumą przyglądał się pulpitowi.

– Być może to właśnie jest tym, o co mi chodzi – odezwał się po chwili milczenia.

– Wcale nie.

„Fam jest zabezpieczenie – przypomniał sobie Leon – I plomba. Elektroniczna plomba. Kod sześciocyfrowy”.

Ansard powoli i ostrożnie przekręcił przełącznik. Zapłonęło okienko z zielonymi zerami. Lord na chybił trafił nacisnął na guzik cyfrowego wybieraka. W okienku zapaliła się cyfra „pięć”.

Leon zagryzł wargi i patrzył bez słowa.

– Trzeba wypełnić to okienko magicznymi symbolami, prawda? – zwrócił się do niego Ansard.

Leon nie wytrzymał. Nie zwracając uwagi na stojącego tuż obok przybocznego

(drugi cały czas tkwił bez ruchu przy wejściu) rzucił się ku Ansardowi i chwycił go za rękę:

- Zostaw to w spokoju, ty bałwanie! Ansard odtrącił go, jak dokuczliwego owada.
- Przytrzymajcie go – polecił, nawet się nie odwracając.

Teraz już dwaj przyboczni chwycili Leona za ręce – i mógł tylko bezradnie patrzeć, jak lord na chybił trafił wciska guziki panelu z cytrami. Wyskoczyła druga cyfra – tym razem jedynka.

To niemożliwe, powtarzał sobie w duchu Leon. To niemożliwe.

Znowu piątka.

Sześć cytr... prawdopodobieństwo przypadkowego trafienia równe niemal zeru! Przecież on wciska te guziki na chybił trafił... Równie dobrze można byłoby to zadanie powierzyć małpie!

Ósemka...

Zero...

Leonowi pociemniało w oczach. Zwiśł prawie bezwładnie w rękach strażników.

Ansard spojrział na niego i w zadumie kiwnął głową, jakby odpowiadając swoim myślom.

Nacisnął kolejny guzik. Na panelu zapłonęła ostatnia cyfra.

Siedem.

Jakby w odpowiedzi na bezgłośnie westchnienie Leona rozległ się przerywany ryk syreny. Światło zamigotało i zmieniło barwę z żółtej na czerwoną – jaskrawo czerwoną, w której twarz Ansarda przybrała barwę krwi.

- Cofnijcie! – zawołał Leon, przekrzykując wycie syreny. – Cofnijcie rozkaz!
- Co? – spojrział nań bezbrzeżnie zdumiony Ansard, mający minę człowieka nagle obudzonego ze snu.

– Cofnijcie polecenie! Naciśnijcie guzik „Odwołaj”! Szybciej!

– Nie rozumiem, o czym mówicie...

Przeraźliwy ryk syreny i migotanie świateł wywarło na Ansar-dzie magiczny wpływ. Lord stał bez ruchu i wodził dookoła ogłupiałym spojrzeniem.

– Każcie swoim ludziom, żeby mnie puścili! – Leon targnął się rozpaczliwie w rękach strażników. – Odwołam procedurę! Czas... czas ucieka!

Ansard otworzył usta i zaraz potem zamknął je ponownie. Jego ludzie, nie otrzymawszy rozkazu, stali bez ruchu, trzymając Leona w żelaznym uchwycie. Rozpętane przez Ansarda pandemonium też ich zaniepokoiło – Leon wyczuwał, jak napięły się ich mięśnie.

Światło migało coraz szybciej, ryki syreny złąły się w jeden nieprzerwany dźwięk.

Nagle wszystko przemógł spokojny, mechaniczny głos:

– URUCHOMIONO PROCEDURĘ AUTODESTRUKCJI! MACIE DZIESIĘĆ MINUT NA OPUSZCZENIE SCHRONU I ODDALENIE SIĘ NA BEZPIECZNĄ ODLEGŁOŚĆ. URUCHOMIONO PROCEDURĘ...

– Co on mówi? – zapytał zbity z tropu Ansard.

– On mówi, że zaraz wszystko tutaj wyleci w powietrze! Trzeba stąd uciekać! Natychmiast!

Tb akurat Ansard zrozumiał.

Wszyscy rzucili się do ucieczki korytarzem – błyski alarmowych świateł goniły ich po ścianach niczym odblaski pożaru.

Podłoga schronu lekko wibrowała...

Wyskoczyli na zewnątrz – uderzający w ich twarze deszcz i wiatr wydały im się teraz błogosławieństwem. Ansard szybko podszedł do łodzi – nie zniżając się do biegu potrafił jednak poruszać się bardzo żwawo. Za nim pobiegli druzynnicy, którzy przez cały ten czas nie wypuścili Leona z łap. Nad Fembrą niósł się ryk syreny – obcy, kompletnie niepasujący do otoczenia. Jak warkot silnika samochodu w oborze dla krów.

– Przypadkowa zbieżność cyfr – mamrotał biegnący Leon, sapiąc i dławiąc się wciąganym w płuca powietrzem. – Przypadkowa zbieżność...

– Obudziliśmy wasze demony! – Ansard odwrócił się ku niemu i rzucił spojrzenie pełne strachu i nienawiści.

– Nie ja! Wy! – odciął się Leon.

„Przekaźniki! – pomyślał ogarnięty przerażeniem. – Boże mój! Przekaźniki!”

Łódka kołysała się na płytkiej wodzie tam, gdzie ją zostawili. Leon poczuł wreszcie, że chwyt przybocznych osłabi – i wskoczył do łodzi za Ansardem. Przyboczni poszli w jego ślady. Leon nie czekał nawet, aż wszyscy zajmą miejsca, tylko uruchomił silnik i drobna łódeczka ruszyła pod prąd ku dalekiemu brzegowi.

Nad nimi niosło się wycie syreny, niczym wrzask wściekłych erynii.

Drużyna Ansarda rozłożyła się obozem na brzegu – i teraz wszyscy się wsłuchiwali w dziwne odgłosy dolatujące z dalekiej wysepki. Był wśród nich związany jak przedtem Berg – deszcz nie przenikał przez dach rozbitego namiotu, ale woda gromadziła się pod nogami siedzących, tworząc miniaturowe zawirowania.

Leon skierował łódkę prosto na brzeg, aż wtargnęła na płyciznę i pchana bezwładnością przedarła się jeszcze kilka metrów po płytkiej wodzie i piasku, gdzie znieruchomiła. Leon wyskoczył nie czekając na pozostałych i grzęznąc w mokrym piachu rzucił się w stronę obozu.

– Kryć się! – wołał w biegu. – Kryć się, gdzie kto może!

– Coś ty tam narobił, do diabła? – wrzasnął w odpowiedzi Berg.

– Nic! Ia, nic! To przypadek! Chować się, szybciej!

Berg pokręcił z niedowierzaniem głową, ale na rozmowy nie było już czasu. Leon chwycił Ansarda za rękaw.

– Każcie go rozwiązać! I odegnajcie dalej swoich ludzi! Zaraz tu się rozpęta piekło!

Ansard wahał się jeszcze przez chwilę, popatrzył na daleką wysepkę – syreny wyły już tak, że po wodzie szły drobniutkie fale – ale wreszcie podjął decyzję.

– Puścić go! – polecił przybocznym i machnął ręką.

Sam zaś skoczył za Leonem, który na łeb, na szyję gonił ku najbliższemu pagórkowi, by się skryć za jego grzbietem. Leon odwrócił się w biegu – pęta przeszkadzały Bergowi. Ansard znów rzucił krótki rozkaz i dwaj drużynnicy skoczywszy ku ambasadorowi powlekli go za sobą... nogi Berga kreśliły w piasku równoległe linie...

Zdążyli jeszcze tylko zbiec z przeciwległego zbocza i runąć płasko w kałużę, kiedy syrena ucichła. Przez chwilę nad wszystkim zaległa ogłuszająca cisza, a potem zagrzmiął huk wybuchu. Ziemia pod nimi drgnęła niczym ranny zwierz, a ze szczytu pagórka posypał się deszcz piasku.

Leon podniósł głowę, wytrząsając z włosów miał i drewniany pył – a potem ostrożnie, kącikiem oka wyjrzał znad szczytu pagórka.

Nad Lembrą unosił się słup ognia.

„Dobrze choć, że ładunki były zwykłe, termiczne – pomyślał poseł. – Przynajmniej to przewidzieli! Brakowałoby tu tylko wybuchu jądrowego!”

– No, dziękuję! – syknął Berg przez zęby. Leżał obok, z niezręcznie wykręconymi w tył i związanymi rękoma. – Doskonale to sobie wykombinowałeś!

– Idź do diabła! – odciął się Leon ze znużeniem, ścierając z twarzy błoto. – Mówię ci, że to nie moja sprawa. Nic nie mogłem na to poradzić, jakimś cudem udało mu się otworzyć pokrywkę bezpiecznika i wybrać kod.

– On? Wybrał kod? Sześciocyfrowy? Nie popełniwszy ani jednego błędu? Kałganow, ty chyba zwariowałeś?

– Ib ten świat zwariował – odpowiedział Leon słabym głosem.

– Do naglej cholery, jak my się teraz połączymy z Ziemią?! Z bazą? Zawiadomienie mogło nadejść lada chwila, a teraz...

– Mówię ci, że on po prostu natrafił wzrokiem na ukryty panel, otworzył go nożem, usunął zabezpieczenie i wybrał kod. Jakby ktoś mu rękę prowadził.

– Co tu zrzucac winę na aborygena! Powinieneś być temu jakoś zapobiec!

– Jak?

Słup ognia się zmniejszył i po chwili zupełnie zapadł w głąb. Powietrze nad rzeką

drżało – aż dotarła do nich fala gorąca, która uderzyła Leona w twarz, jak policzek.

W oddali szarpały się i parskały przywiązane pod osłoną drzew konie.

Leon wstał i ostrożnie wyjrzał z kryjówki. Z Fembry został tylko niewielki skrawek – bezładnie nagromadzone skałki i kęsy poszarpanej ziemi.

– Przekażnik... – odezwał się Berg głosem przepojonym goryczą. – Systemy łączności. Agregaty zasilające... My...

Leon ostrożnie rozejrzał się dookoła. Ludzie Ansarda kolejno wstawali z ziemi i szeptali jedni do drugich, gapiąc się na mętne wody zatoczki.

– I my tu mieliśmy się ukryć! Mieliśmy siedzieć cicho! Równie dobrze mógłbyś rozpiąć na niebie kolorowe ogłoszenie – warczał Berg – jakbyś powiedział: proszę bardzo, oto jesteśmy! Witamy braci w rozumie! Taki fajerwerk! Jeżeli nie wykończy nas ten skurwiel Ansard, komisja ekspertów nogi nam z dup powyrywa! Kliniczny przykład braku profesjonalizmu! Zamiast cicho i spokojnie poczekać na wznowienie łączności i wysłać Czerwony Sygnał! A teraz...

Co tu gadać – westchnął Leon. – Wszystko jasne. Nie damy rady wysłać sygnału alarmowego. Nie możemy nawet wysłać sygnału S.O.S! Cała nasza nadzieja w Drugiej Kompleksowej, a kiedy ta przybędzie – nie wiadomo. Co prawda, jeżeli nie będziemy dawać znaku życia, być może nasi zaczną coś podejrzewać i...

– Mało prawdopodobne – stwierdził markotnie Berg. – Dojdą do wniosku, że to rezultat pojawienia się tej supernowej... Nawet jeżeli punkt przejścia otworzy się lada moment... stała utrata przenikliwości na poziomie mikroprzestrzennym... Takie rzeczy już się zdarzały. Co tamten zdążył zabrać?

– Głupstwa. Kamyczki... szmatki... apteczkę... drobiazgi...

– Jasne.

Ludzie Ansarda, wciąż jeszcze będący pod wpływem przeżytego strachu, pospiesznie zwijali obóz, uspokajali spłoszone konie. Worek ze zdobyczą ktoś zdążył już przytroczyć do siodła Ansarda. Sam lord stał na piasku z założonymi za plecy rękoma i wzrokiem wbitym w to, co zostało z Fembry.

– Więźniów do wozu – rzucił krótki rozkaz.

Unikał ich spojrzeń – wstydzi się chyba, że okazał strach, pomyślał Leon. Jeden z przybocznych podszedł do nich ze sznurem w ręce i Leon pokornie dał się związać – ogarnęła go obezwładniająca obojętność. Berg także milczał. „Wścieka się na mnie – pomyślał Leon.

– Jakbym był czemukolwiek winien”.

Ruszyli w drogę powrotną. Worek z łupami kołysał się u siodła rumaka Ansarda, a oni sami – opakowani nie mniej starannie niż łupy – jechali w powozie eskortowanym

przez dwóch ludzi z oddziału; z każdej strony tkwił jeden jeździec. „Teraz będzie nas pilnował – pomyślał Leon. – Jesteśmy wszystkim, co mu zostało... W każdym razie, nie zabije od razu, a postara się wydusić z nas, co tylko zdoła – powiedzmy, tajemnicę tego środka wybuchowego. Jest człkiem pragmatycznym i systematycznym – ale czas go naciska. Możliwe, że gdyby miał go więcej, byłoby jeszcze gorzej”.

Wóz przedzierał się przez las – konni jechaliby szybciej, gdyby nie konieczność ciągnięcia ciężkiego pojazdu po wąskiej przesiece. Słysząc było, jak ciężkie, opadające z gałęzi krople bębnią w dach wozu. Leon milczał, spuściwszy głowę pomiędzy kolana. „Jak głupio to wszystko wyszło – myślał. – Mój Boże, jak głupio”.

I nagle siedzący tuż obok niego Berg drgnął i trącił go łokciem w bok.

Przerwawszy monotony skrzyp kół za ścianami powozu rozległ się długi, modulowany świst.

– Co to? – zapytał Berg. – Ptak?

– Nie – teraz już i Leon podniósł głowę, i poruszając rękoma z nikłym powodzeniem spróbował przywrócić krążenie krwi. – Człowiek.

– Tak myślisz?

– Nic nie myślę, do cholery. Ale już kiedyś coś takiego słyszałem.

„W lesie – powiedział sobie. – Przy tej chatce, gdzie staliśmy z Alfem nad trupem tamtego wieśniaka”.

Uniósł się nieco i spróbował zobaczyć cokolwiek przez szczelinę w ścianie powozu.

Zobaczyć niczego nie zdołał, choć od razu stało się jasne, że gwizd usłyszeli (i bardzo dobrze go zrozumieli) ludzie z oddziału An-sarda. Zabrzmiały krótkie urywane komendy i szcęk metalu. Wóz zaskrzypiał, potoczył się jeszcze przez chwilę – i stanął.

– Zasadzka – zwrócił się Leon do Berga.

– Jego tylko jeszcze brakowało – Berg napiął mięśnie, daremnie usiłując wyzwolić się z więzów.

Tuż obok rozległ się krótki, rozpaczliwy wrzask – i natychmiast ucichł, kończąc się okropnym charkotem. „Nasz strażnik” – pomyślał Leon.

– Jeńcy! – zagrzemiał Ansard. – Pilnować jeńców... Ach, ty... Szcęk metalu, rzenie bojowego rumaka i ciężki łoskot padają cego ciała.

– Tutaj, lotry!

Najgorsze było to, że nie mógł śledzić rozwoju sytuacji – kiedy nie widzisz, co się dzieje, zdejmuje cię dwakroć większy strach. Do tego dochodziło ponizające poczucie bezradności.

– Ej, ty! Nie wolno ich oddać! Idź, wykończ obu...

Ktoś wskoczył na schodki powozu, w drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka

i natychmiast runęła w tył. Potem rozległ się jeszcze jeden ledwo słyszalny dźwięk, jakby ktoś drapał paznokciami po cienkiej drewnianej płycie.

– Tchorze! Bić ich! To ścierwo! Łajdaki! Gdzie?

– Ach, ty...

– F.j, łapcie wielmożnego...

– Sznurem go, sznurem...

– Popatrz, jak mieczem wywija...

– A wory pełniutki! Potem krzyk:

– Trzymajcie drania!

I oddalający się tętent kopyt – jeden, a potem drugi kon ruszyły galopem.

Ktoś znów zajął do środka. Ciemna sylwetka obramowana mętym, szarym światłem z nieba. Leon ze wszystkich sił napiął mięśnie, usiłując zerwać krępujące go sznury. Nie, nie ma się co silić...

– Wy tutaj? – rozległ się młody, dźwięczny, prawie dziewczęcy głos. – Messer Leon? Messer Berg?

– Alf?! – potrzęsnał głową ogłupiały Leon.

Młodzik był już w powozie i opadłszy na kolana przecinał więzy na łokciach i nadgarstkach Berga. Potem zajął się sznurami Leona. – Skąd się tu wzięłeś?

– Potem – zbył pytanie Alf. – Nie ma czasu...

Walka, choć ciszej, wrzała jeszcze gdzieś z boku. Leon zeskoczył na ziemię, zaraz potem to samo zrobił nieco chwiejnie Berg. Stali na leśnej drodze, przegrodzonej pniami zwalonego drzewa. Przedtem go nie było. Leon potknął się prawie o leżące na ziemi ciało – był to ten sam drab, który z rozkazu Ansarda miał ich pozabijać. Leżał teraz bez ruchu, z twarzą w błądki. Spomiędzy łopatek sterczała mu gęsto opierzona strzała.

– Ej! – rozległ się czyjś głos. – Ej, poczekajcie!

Z krzaków wychylił się jakiś groźnie wyglądający typ, który ruszył ku nim na przełaj. Wygląd miał nie tyle malowniczy, co odstraszący – bardziej niż człowieka przypominał głodnego wilka, który nie wie gdzie czemu oblekł się w jakieś łachmany.

– Gdzie ty ich wleciesz, chłoptysiu? Po cichutku postanowiłeś dla siebie wszystko zatrzymać? Okup pomiędzy wszystkich rozdzielić trzeba, sprawiedliwie...

– Kapitan kazał...

– Sam słyszałem, co kazał. Poleciał ich ochraniać, a ty ich wleciesz diabli wiedzą gdzie.

– Ja ich ochraniam.

– Od razu widać, że to ludzie ważni, majątni... Ale wiesz co, chłoptysiu, sami się za nich weźmiemy. Bez kapitana. Podzielimy zdobycz na pół. Popatrz, odziani w atlasy,

buty jakie dobre mają. A kapitanowi powiemy, że ich milord pozarzynał. Zresztą rwał się do tego... aż zębami zgrzytał z ochoty.

Alf się zamyślił i podrapał po ciemieniu. Na jego chłopięcej twarzy pojawiło się z wąpienie.

– No dobra – odezwał się wreszcie. – Rozdziewamy ich, ubranka dla nas, a trupy do rowu. Ech ty... namówiłeś mnie!

I rozłożył szeroko ręce. Kosmaty nagle zacharczał i powoli zaczął chylić się ku ziemi – w jego krtani tkwił nóż.

– O Boże! – stęknął zdumiony Berg.

– Wiejemy! – Alf podskakiwał niecierpliwie w miejscu, jak podniecony czymś dzieciak. – Co stoicie jak słupy? Jeszcze ktoś tu przy-lezie...

Dali nura w chaszczce, które gęstym murem porastały pobocza drogi. Z tyłu poganiały ich wrzaski – Leon nigdy się nie dowiedział, czy spostrzeżono ich ucieczkę, czy napastnicy wrzeszczeli z zapału, rozprawiając się z pozostałymi drużynnikami Ansarda. Biegł za Alfem nie zastanawiając się nad kierunkiem ucieczki, gałęzie chłostały go po twarzy, ale jakkolwiek dziwne mogło się to wydawać, odbierał te uderzenia prawie z radością...

– No i tak... – Alf pogrzebał gałęzią w ognisku – tak to było. Kiedy zrozumiałem, że coś tam śmierdzi, dałem nogę. Ale szybko się zorientowałem, że nasz kochany lord ze skóry wyskoczy, żeby mnie znaleźć i wykopie choćby spod ziemi... trzeba mi było znaleźć kry jówkę.

– I gdzieś się schował? – zapytał Leon. – Na rozlewiskach? Siedzieli pod daszkiem niewielkiego szałas, zagubionego w gęstych chaszczach na poły zatopionych obszarów rzecznej delty. Rażno trzaskał ogień, na różnie piekło się jakieś błotne ptaszysko. O tym, że Alf był nie lada mistrzem w sztuce stawiania sideł i wnyków Leon zdążył się już przekonać podczas poprzedniej wspólnej wędrówki.

– Akurat – na rozlewiskach! Ansard na wszelki wypadek w każdej z miejskich bram usadził swoich ludzi – nawet mysz by się nie prze cisnęła. Bał się, żebyście mu nie uciekli. No to poszedłem po rozum do głowy – kiedy się za was weźmie, odwoła warty, a ja na początek znalazłem sobie pewne miejsce... Znam taką jedną dziurę, parszywe miejsce, ale i mnie tam znali. Tacy jak wy, panowie szlachetni i dumni, pokazać się tam nie mogą, ale nasi wędrowni bracia... no, jednym słowem, skryłem się i ani mru mru. Nie cały czas tam siedziałem, od czasu do czasu wysuwałem nosa – są sposoby na zmianę gęby, tak że nikt człeka nie pozna. A wiecie, kto jeszcze tam ze mną siedział? Jeden z tamtych leśnych chwatów... No, to mu mówię...

– Poczekajże – przerwał mu Leon. – Przecież gdyby cię poznał, miałbyś się z pyszna. Po tym, jak wtedy...

– A co wy, myślicie, że oni na nas czekali, po tym, jak im się wszystko na łeb zważyło? Złapali, co tam każdy mógł, i się zmyli. A ja mu opowiedziałem, że jak herszta grom poraził, to i mnie się troszkę dostało, a jak się ocknąłem, nikogo już nie było. Pozostali mnie porzucili i uciekli. Może ktoś nawet na was już zdążył zarobić, ponieważ cali i zdrowi siedzicie sobie u margrafa na zapiecku. Widać wykupił was margraf nieboszczyk za niemałe pieniądze – a reszcie leśnym braciszków figa się dostała. No i mnie razem z wami... znaczy, z nimi. Ale, powiadam, jeszcze nie wszystko stracone – po tym, jak was zdemaskowano jako czarowników i magów, i pozbawiono magicznej siły, wiezie was nowy margraf w miejsce, gdzie swoje złoto i skarby zakłete ukryliście... Teraz, powiadam mu, prawda, że złoto i srebro nie są wiele warte, ale nikt nimi nie pogardzi. Zbierz swoich ludzi, mówię, i postaw chwatów bystro-okich przy każdej z miejskich bram – i tak się tam mnóstwo rozmaitej hołoty kręci... No i jakoś się dogadaliśmy. Złoto i błyskotki – powiadam – wy sobie weźmiecie, a ja się z tym terraiiskim chłystkiem sam rozprawię – nabrał mnie łobuz i bez grosza zostawił.

– I co? – zapytał Berg.

– A to – odparł cierpliwie Alf – że śledziliśmy was do samej Fembry, a w drodze powrotnej zrobiliśmy zasadzkę. No, prawda, że jak chłopaki zobaczyli, co z wysepki zostało, to trochę ich strach obleciał... Nieczysta siła, powiadali... lepiej się w to nie mieszać... Potem patrzemy – jedzie lord Ansard na chrobrym koniku, a wór na przy łęku pękaty. Chłopaki o strachu w mig zapomnieli. Co prawda trzeba powiedzieć, że niegłupi człek z tego Ansarda – kiedy na niego wsie dli, chwacko się odcinał, ale jak zobaczył, że kiepsko spraw) stoją, dał koniowi ostrogę i tyle go widzieli. Chłopaki, jasna sprawa, za nim... A ja do was...

– Wychodzi na to, żeś i ze zbójami się zwąchał – stwierdził Berg nie bez pogardy w głosie.

– A co, zbójce też ludzie. W czym są gorsi od tego choćby pana Ansarda? To on wam tak gębę rozkwaśił, messer Berg?

Berg spojrzał ponuro na chłopaka i umilkł.

– Dziękuję, Alf – Leon z przyjemnością wyciągnął się na posia niu z wikliny – z całego serca dziękuję. Przecież wcale nie musiałeś nas ratować. Mogłeś zwać. Sam widzisz, kiepscy z nas towarzysze. Ale powiedz, proszę, czemuś to zrobił, czemu zadałeś sobie tyle trudu? Tylko mi tu nie opowiadaj o świętym obowiązku, powinnościach sługi i innych takich...

Alf popatrzył z zadumą na ognisko.

– Rozmaite bywają długi i powinności. Pamiętacie, panie, co wam opowiadałem? Guntr... dziwne rzeczy mówił. Powiadał, że sami jesteśmy skazani i nic nie poradzimy na swój los. Chyba że się zjawi ktoś obcy, z innego świata... Może i sam nie wierzył w to, co mówił, ale żywił nadzieję... do samej śmierci żywił nadzieję.

– Nic nie rozumiem – stwierdził Berg.

– Ja też dawniej niewiele rozumiałem, panie. Po co wszystko zmieniać, jeżeli życie i tak płynie swoim korytem... Ale teraz chyba rozumiem.

– Ale – zapytał Leon, sam nie wiedząc, dlaczego mówi szeptem – cóż my możemy zrobić?

– Nie wiem – odpowiedział Alf równie cichym głosem. – Czasami mi się wydaje, że wystarczy, iż jesteście. A czasami myślę, że przeklęty był ten dzień, kiedy pojawiliście się u nas z tej waszej Terry. Kto wie, może gdyby nie wy, nic by się złego nie działo? Żylibyśmy sobie, jak żyliśmy do tej pory...

– Co by się nie działo? – zapytał gniewnie Berg, rozcierając sobie zmartwiałe nadgarstki. – Nie byłoby głodu? Tych żywiołowych klęsk?

– Któż to wie, panie – odparł Alf z zadumą w głosie. – Powiedzcie sami... kiedy się zjawiliście, wszystko było inaczej.

– I o czym to ma świadczyć? Zbieg okoliczności. Przypadek i tyle.

– Wiecie, Cuntr mówił, że nie ma czegoś takiego, jak przypadek. I że nic się nie dzieje bez przyczyny. Trzeba tylko zrozumieć, co nią było.

– No dobrze – odparł Berg z niecierpliwością. – Załóżmy. I co teraz?

Alf wzruszył ramionami.

– Po pierwsze, proponuję szybko się stąd wynieść, panie – stwierdził rzeczowo. – Nie będziemy tu przecież siedzieć do końca świata jak wodne szczury. Dalej: nie wiadomo, co lepsze – czy tam, na go ścińcu będą górą leśni zbóje, czy nasz pan Ansard zbójów pod bul weźmie. Tak czy inaczej, nie ma dla was miejsca pod niebem Soleru. Mnie zresztą też szukają – ludzie Ansarda już od kilku dni przekopują miasto i wtykają nosy w każdą dziurę.

– Ja też o tym myślałem – stwierdził Leon. – Pamiętasz, Berg, mówiłeś niedawno, że od samego początku związaliśmy się nie z tymi, z którymi należało... jakbyś wyprorokował. Trzeba nam dostać się do Retry. Tak i tak, powiemy, prosimy o azyl polityczny. Ten uzurpator, obecny margraf solerski... i tak dalej...

– Owszem – stwierdził Berg kwaśnym głosem. – Azyl. Posłuchaj, Leon, a tak w rzeczywistości, co tam się stało na Fembrze?

– Mówiłem już, że nie wiem!

– Poczekajcie – wtrącił się Alf. – Dokąd się wybieracie? Do Retry? Po tym, jak

ambasador Berg skosił starego hercoga?

– Może nowy hercog nie będzie miał ciego o to pretensji? No i jest jeszcze Krmold...

– Kolego – Berg najwyraźniej był nastrojony pesymistycznie – w Retrze mogą zechcieć od nas tego samego, czego chciał Ansard. Szczególnie, jeżeli Ansard zechce ruszyć na Retrę.

– Ruszy, panie – Alf kiwnął głową jak znawca polityki. – Ani chybi, ruszy.

– No tak – westchnął Berg. – A co tam w ogóle dzieje się w mieście?

– Ludzie się burzą, mówią, że sama Karna im błogosławi w zbożnym dziele, jego świątobliwość miota się wszędzie jak sam prorok Strum Opętany – głosi, że samo niebo daje nam w ręce tę pogrążoną w nieprawości Retrę. Powiada, że miał widzenie... Rozgniewaliśmy niebo, bośmy się zwrócili ku starym bogom, ale karę nam zawieszono, a teraz Soler powinien się oczyścić w świętym ogniu, i takie tam bzdury... Może i lord Ansard nie za bardzo w to wierzy, ale przecież nie jest durniem – jeżeli nie odwiedzie narodu spod miejskich murów, to z Soleru nie zostanie kamień na kamieniu. Ludzie nie mają już nic do stracenia. A w Retrze, mówią, rzeki miodem i mlekiem spływają. Przyjmie was nowy hercog, kimkolwiek by nie był. Choćby po to, by zrobić na złość temu nadętemu Ansardowi. Patrzcie tylko, co za bałwan! Ambasadorów wypuścił!

– Nie w tym rzecz – wymamrotał Berg. – Nie w tym rzecz.

– A co? – zwrócił się do niego Leon. – Jest inne wyjście?

– N... nie – zająknął się Berg. – Ale wiesz, to też nie jest wyjście. Poza tym, jak się tam dostaniemy? – Berg chyba pogodził się z nieuniknionym. – Orson obstawił granicę wojskiem. Szpiegdy Ansarda myszkują po całym Solerze...

– Znam sekretne ścieżki, panie. Przyjdzie się trochę ubrudzić, błoto pomieszać, ale przecie już wam to nie pierwszozna...

– Gdyby znaleźć wejście do tamtego labiryntu... – odezwał się zamyślony Leon.

– Ale... – Alf podniósł czujnie głowę – tego... nie wolno, panie... ich nawet wspomnieć nie wolno, ani myśleć o nich – oni wiedzą” kiedy się o nich myśli i wtedy przychodzą. Może by nas i przepuścili – kto wie, raz się udało... Ale choć żaden człowiek nie jest w stanie ich zrozumieć, jedno wiadomo – niczego nie robią za darmo.

Zapadło długie milczenie.

– Lee... – a kimże oni w ogóle są, Alf? – zapytał wreszcie Berg.

– Niektórzy nazywają ich starymi bogami. Inni mówią o nich „siły nieczyste”. Guntra powiadał, że nie są ani jednym, ani drugim. Po prostu są i to wszystko. Nie żyją i nie umierają. Oni nawet nie istnieją.

– jakże to?

– No, jak, powiedzmy, niebo. Widzimy je, ale czy ono istnieje?

– Filozofem był ten twój Guntr – stwierdził Berg ze znużeniem w głosie.

– Owszem, panie, tak właśnie o sobie mówił. Powiadał, że jeżeli coś może im dorównać w nieistnieniu, to tylko ludzka myśl. Też jej nie widać, nie można) e'j dotknąć, ale może zmienić świat.

– O Boże! – Berg odwrócił się do Leona. – Ale rozmowa! Siedzimy po uszy w łajnie i roztrząsamy kwestie filozoficzne!

– A znacie, panie, lepszą porę, by o tym rozmawiać? – zdziwił się Alf. – Komu się chce o tym myśleć, gdy siedzi w ciepłe i wygodzie? Siedzi sobie, grzeje się, podjada do syta – o czym tu myśleć?

– No dobra, filozofowie... – Leon przeciągnął się z widoczną przyjemnością. – Alf, powiedz lepiej, jak się stąd wydostaniemy?

Apokryficzna legenda o stworzeniu świata. Znaleziona w rękopisach Opactwa w Solerze.

Na początku nie było niczego, a Dwaj byli Jedynym i woda była powietrzem, a ziemia – wodą. Ale oto ocknął się Jedyny ze snu, co nie był snem, rozejrzał się dookoła i powiedział: „Śpię”. A potem powiedział: „Nie śpię”. Ale nie było wokół nikogo, kto byłby mu powiedział, czy śpi, czy nie i czy widzi sen, czy jawę – jakże zresztą stwierdzić, czy jesteś we śnie, czy na jawie, skoro ziemia jest jak powietrze, a powietrze, niczym woda?

„Nie może tak być” – powiedział Jedyny i zaczął szukać tego, który by mu pomógł w oddzieleniu snu od jawy. Wędrował po ziemi, która nie była ziemią, i szukał w niebie, które nie było niebem, ale pusto było w całym świecie. „Jeżeli śpię – pomyślał Jedyny – to mogę robić, co zechcę, ponieważ we śnie nie ma granic moich możliwości”. I pomknął nad wodami i ziemiątak szybko, że sam nie mógł siebie doścignąć. I stali się Dwaj – ten, co uciekał, i ten, co go nił. Zatrzymali się, odwrócili ku sobie i pierwszy powiedział Drugiemu: „To Ja”. – „Ale i to – Ja” – odpowiedział Drugi Pierwszemu. „Nie – rzekł Pierwszy – tak się nie godzi. Ponieważ jeżeli ty – to Ja, i ja – to Ja, to który z nas jest Ja? Wygląda, że tak czy owak, nie da się odróżnić snu od jawy”. „Słusznie – odparł Drugi. – Trzeba, żebym Ja był Ja, a Ty żebyś był Ty”. „Dobrze” – odpowiedział Pierwszy. Rozejrzał się wokół siebie, ale nie znalazł niczego, co przekształcałoby „Ja” w „Ty”. „Potrzebne jest coś jeszcze – stwierdził – żebyśmy mogli odróżniać jednego od drugiego. Odziejmy się, ty w Mrok, a Ja w Światłość”.

Innych odzieży wtedy jeszcze nie było.

„Dobrze – odpowiedział Drugi. – Ale czymże są Mrok i Światłość?”

„Sami je stworzymy, ponieważ śnimy jak przedtem – odpowiedział Pierwszy. – Ale ponieważ nie wiemy, co to takiego, umówmy się, że To, co stworzę Ja, nazwiemy Światłością, a To, co stworzysz Ty, nazwiemy Mrokiem”. I jeden stworzył Coś i nazwał to Światłością. I stała się Światłość.

A jego bliźniak stworzył coś i nazwał to Mrokiem.

I nastał Mrok.

Dlatego też mrok jest równy światłu, jako że Obaj stwarzali je wedle domysłów, nie wiedząc właściwie, co tworzą.

Odziali się więc, Jeden w światłość, a Drugi w mrok. Stanęli naprzeciwko siebie i powiedzieli: „Teraz już prawie istniejemy”. Ale powiedzieli to jednocześnie.

„Nie – stwierdził Pierwszy. – Nie do końca jeszcze istniejemy, ponieważ mówimy razem i nie masz niczego, co byłoby oddzielało *teraz* od *potem*. I dopóki jeszcze niezupełnie istniejemy, stwórzmy coś jeszcze – i to, co stworzę Ja, nazwijmy Czasem, a to, co stworzysz ty, nazwijmy Bezczasem”.

„Dobrze – odparł Drugi. – Ale ponieważ już prawie istniejemy, jeżeli zespolimy to, co stworzymy, powinna nam wyjść z tego całość, którą nazwiemy Wiecznością”.

„Bardzo dobrze” – odpowiedział Pierwszy.

Stworzyli więc Czas i Bezczas, aby można było odróżniać jedno od drugiego.

I odezwali się razem: „Teraz już wiemy, Kiedy jesteśmy”.

„Tak – powiedział Pierwszy – ale nie wiemy Gdzie jesteśmy. Ale ponieważ jeszcze troszkę śpimy, stwórzmy coś nowego. I to, co stworzę ja, nazwijmy Materią, a to, co stworzysz ty, nazwijmy Pustką”.

„Dobrze – odparł Drugi. – Ale ponieważ już prawie zupełnie nie śpimy, powinna nam wyjść z tego całość, którą nazwiemy Przestrzenią”.

„Bardzo dobrze” – rzekł Pierwszy. I tak stworzyli Przestrzeń, ale ponieważ już prawie wcale nie spali, wyszła im bardziej realna, niż Czas.

Rozejrzał się Pierwszy i zobaczył, że jest odziany w Światłość, stoi na Łądzie i może odróżnić sen od jawy.

Rozejrzał się Drugi i zobaczył, że stoi w Pustce, odziany jest w Mrok i może odróżnić sen od jawy.

I odezwali się chórem: „Oto możemy już odróżnić sen od jawy. Ale któż nam powie, że My – to My”.

I spojrzeli jeden na drugiego.

I powiedzieli razem:

„Uczyńmy rozmaite stworzenia i tchnijmy w nie życie”.

I zaczęły pracę.

I Jasny stworzył istoty żyjące w świetle, a Mroczny stworzył istoty żyjące w ciemnościach. Ale ponieważ pracowali oddzielnie – stworzenia, które uczynili, były nierozumne, a kiedy wezwali Jelenia, urodzonego w świetle i zapytali: „Kim jesteśmy?”, Jeleń zaryczał i uciekł do lasu. A kiedy wezwali Węża, zrodzonego w mroku, i zapytali: „Kim jesteśmy?”, Wąż zasyczał i wsunął się pod kamień.

„Niedobrze – odezwali się razem. – Widocznie, dla otrzymania odpowiedzi na nasze pytanie, trzeba zespolić Światłość i Mrok. Zaczniemy więc pracować pospołu i stwórzmy tego, który nam powie, że My – to My”. I zespolili Mrok i Światłość, ale Drugi zastanowiwszy się nad tym, czym jest Mrok i Światłość, pomyślał, że unicestwiająed-no i drugie. I chyłkiem dodał do tworu Pustkę i Bezczas. I otrzymali stworzenie, które stanęło przed nimi, popatrzyli więc na nie i zapytali:

– Kim jesteśmy?”

On zaś popatrzył na nich i zapytał:

– Nie, najpierw mi powiedzcie, kim Ja jestem?

I powiedział Pierwszy: – Ten ci nie jest nam potrzebny, bo nie odpowiedział na nasze pytanie.

I powiedział Drugi: – Ten oto jest nam potrzebny, bo zrozumiał nasze pytanie.

I po raz pierwszy wszczęli spór i rozpoczęli wielką bitwę.

Pierwszy gromadził rzeczy stałe na stałych, a Drugi dodawał pustkę do pustki i tak powstały ziemia I niebo, góry i morza. Pierwszy gromadził ogień przy ogniu, a Drugi chłód przy chłodzie i tak stworzone zostały lato i zima, słońce i przerwy pomiędzy światami. Pierwszy zbierał światło do światła, a Drugi mrok do mroku – w wyniku czego powstały noce I dni. I wszystkie stworzenia, zrodzone za dnia i w nocy, rozbiegły się, gdzie które chciało i znalazły kryjówki, jakie sobie upodobały. Aż wreszcie przestali Obaj walczyć, rozejrzeli się dookoła, i zobaczyli Słońce i Gwiazdy, Niebo i Ziemię, Góry i Morze. I powiedzieli sobie: „Oto wszystko, co jest”.

I jeszcze powiedzieli: „Oto możemy już odróżnić sen od jawy, ale nikt jeszcze nam nie powiedział, że My, to My”.

Ponownie więc wzięli się do pracy, teraz jednak pracowali przyjaźnie, i każdy dodał odrobinę siebie samego: światłość i mrok, materię i pustkę, czas i bezczas. I stworzyli kogoś, kto stanął przed nimi, Oni zaś zapytali go:

„Kim jesteśmy?”

On zaś powiedział Im: „Jesteście jednością, jesteście istnieniem, a ja – to Wy, ponieważ jest we mnie cząstka każdego z Was: światłość i mrok, materia i pustka, czas i bezczas. I będę was wielbić i stawiać wam ołtarze, wy zaś będziecie wiedzieć, że Wy, to Wy, i dopóki was będę wielbił, zdołacie odróżnić sen od jawy”.

Oni zaś odpowiedzieli razem:

„Idź zatem. Nazwij się Człowiekiem, co znaczy „Błogosławiony” i stawiaj nam ołtarze, abyśmy mogli na przyszłość odróżniać sen od jawy. My zaś w zamian oddamy ci władzę nad wszystkimi stworzeniami na ziemi, na niebie i w morzu”.

I wtedy zapytał:

„A pod ziemią?”

Bliźniacy spojrzeli na siebie wzajem, a potem odpowiedzieli razem:

„Co jest pod ziemią, to nie twoja sprawa, my zaś nie lubimy, kiedy nie my pytamy, a nas pytają”.

„Zapamiętam to sobie” – odparł człowiek i odszedł.

I powiedział Jeden Drugiemu:

„No cóż, zobaczmy, co jest pod ziemią”.

Rozwarli więc podwoje ziemi i zobaczyli – oto siedzi pod ziemią ktoś. A kiedy wezwali go do siebie, poczuli odrazę. Gdy gromadzili bowiem skały na skałach i pustkę na pustce, skręcali i gnietli tego, kto siedział pod ziemią, aż przybrał odrażający wygląd: szyję wykręciło mu wstecz, zgięło mu grzbiet i wywaliło język na zewnątrz – bo śmiał się, patrząc na ich zmagania. Znienawidził Ich też za to, że wygnali go precz.

I rzekł Jeden do Drugiego:

„I cóż mamy z nim zrobić? Dalej, zniszczmy go, jako że jest wstrętny”.

I spróbowali go zetrzeć z powierzchni ziemi, ale wraz zrozumieli, że nie mogą tego uczynić, bowiem już nie spali, jawa różniła się od snu, a możliwości ich nie były już nieograniczone.

„A zatem – powiedzieli – odejdiesz precz, i będziesz się zwał Korra, co znaczy „Przeklęty”, żyj więc pod ziemią. Posługuj się mrokiem i światłością, czasem i beczasem, ale nie poznasz, co to znaczy Gdzie i Kiedy”.

„Skoro tak – odpowiedział Korra – to i wy mi nie jesteście potrzebni. Ponieważ – jako że nie będę wiedział, co to Gdzie i Kiedy, nie zdołam odróżnić jawy od snu, a zatem mogę stworzyć swój własny świat”.

„Twórz – odpowiedzieli Dwaj. – Ale nas tam nie będzie”.

I Korra odszedł. Ponownie zarył się w ziemię, gdzie stworzył własny świat, w którym jest Mrok i Światłość, ale nie masz Gdzie i Kiedy. Od tamtej pory Dwójca odwróciła się od Korry, a Korra od Dwójcy; i nienawidzi on Człowieka, ponieważ ten umie odróżnić sen od jawy i stara mu się zaszkodzić ile zdoła, gdy tylko Dwójca zasypia. I będzie tak do samego Zespolenia, kiedy Dwaj znów się staną Jednym i Jedyńm, Korra jednak nie weźmie udziału w ZeŚpoleriu, albowiem nie ma w nim wszystkiego po równo, nie może się zespolić sam ze sobą – zostanie więc w swoim własnym świecie,

w którym nie istnieją Gdzie ani Kiedy. Dopóki Jedyny znów się nie stanie Dwojgiem i nie zapoczątkuje nowego wszechświata...

– Powiadam wam – powtórzył monotannie Berg – że muszę zobaczyć się z radcą Ermoldem.

– No popatrz, czego to się ludziom zachciewa! – strażnik był nieprzejednany.

– Przybyliśmy z Soleru.

– Uciekliście z Soleru. Razem z kupą innych.

„Wszystko to już było – pomyślał Leon. – Zamkowe wrota, deszcz, tłum uciekinierów pod murami... Wydarzenia się powtarzają. Zawsze się powtarzają...”

– Mam dla niego wiadomość.

– Szpieg znaczy? – wartownik filozoficznie podrapał się po nosie. – Gdybyś był szpiegiem, nie rozmawiałbyś teraz ze mną. Jeszcze ani jeden szpieg nie pytał mnie o pozwolenie przejścia.

Berg westchnął.

– Kto jest u was nowym hercogiem?

– Jego dostojność młody Ademar. Najbliższy krewniak nieboszczyka Orsona. A Ermold piastuje przy nim godność regenta.

– To dobrze – stwierdził Berg ze znużeniem. – Właśnie on jest nam potrzebny.

– Patrzcie no! Przyleźli tu zadżumieni ze śmierdzącego Soleru i od razu dawaj im regenta we własnej osobie!

– Nie jesteśmy zadżumieni.

Rozmowa nabierała jakiegoś mechanicznego charakteru. Nikt nie zamierzał ustąpić, ale obie strony wyczerpały już wszystkie argumenty i teraz przerywano się tylko ospałymi replikami.

– Nie ma rozkazu... Regent Ermold...

– Niech tu sam...

– Mówię, że nie ma rozkazu...

„Jeszcze trochę i zwariuję” – pomyślał zrozpaczony Leon.

Nie wiadomo, jak długo trwałby jeszcze ten spór, ale został przerwany przez beczenie samotnej trąbki. W odpowiedzi, skrzydła ciężkich wrót drgnęły, zaskrzypiały i zaczęły się powoli otwierać.

– Co się dzieje? – zapytał Berg, który zdążył już stracić wszelką nadzieję.

– Eeee... – odpowiedział wartownik – nadjeżdża regent Ermold. Z samego rana zajął się przeglądem wojsk, a teraz wraca do zamku.

Wyglądał na nieco rozczarowanego – idiotyczny spór był dla niego chyba jedyną

rozrywką podczas nudnej zmiany.

W oddali pokazali się jeźdźcy – niewielki oddział na dobrze od-pasionych i gładkich, choć nieźle już ubłoconych, koniach.

– O, tam jest wasz Ermold – stwierdził Alf zmrużywszy oczy. – jedzie na czele.

Berg zbył gniewnym gestem strażnika, który nadal darł się bez entuzjazmu: „Nie ma rozkazu!” i skoczył naprzeciw jeźdźcom, ślizgając się po błocie.

– Radco Ermoldzie! Panie regencie!

Leon ze strachem w duszy rzucił się za nim – któż mógł wiedzieć, jak zachowa się Ermold. Ten jednak ujrzawszy biegnącego mu na spotkanie obszarpanego Berga, w przemoczonej i pogniecionej odzieży, osadził ze zdumienia konia tak ostro, że tylne nogi rumaka zaryły się po pęciny w błocie.

– Ambasadorowie!

Po chwili zdołał się opanować, zdumienie znikło z jego twarzy i przyjrzawszy się pożałowania godnej trójcy spytał z zabójczą wprost uprzejmością w głosie:

– Jakież wiatry was tu przyniosły, panowie? Berg z trudem opanował oddech i odpowiedział:

– Przybyliśmy szukać azylu w Retrze. Lord Ansard...

– Tak-tak... – stwierdził z roztargnieniem Ermold, wprawnie karcąc roztańczonego wierzchowca. – Ten zapalczywy młody czło wiek, nieprawdaż?

– Być może jeszcze nie jesteście świadomi... jego planów... Ermold patrzył nań ze zdziwieniem, jakby miał przed sobą jakieś niezrozumiałe dziwo.

– Jestem świadomy – odpowiedział sucho. – Oczywiście, że je stem. Sami to zresztą widzicie, panowie.

– Ale...

– Cenię sobie wasze zaangażowanie, mój panie – pokręcił głową Ermold – a co się tyczy waszego zaniepokojenia... cóż, nie macie się czego obawiać. Mam dość informatorów. Ansard zebrał wojska, które idą teraz na Retrę.

– Wasza świątobliwość, teraz bardzo by się nam przydało po parcie Niebios – Ansard ponurym wzrokiem rozglądał się po oko licy.

Stali na brzegu Penny i patrzyli na wezbrany nurt, który niósł czerwoną glinę z podmytych brzegów i rozmaite śmieci z górskich stoków. Oprócz tego w nurcie miały się powyrywane z korzeniami pnie i nadęte trupy. Wszystko to z szumem wirowało w mętnych wodach i płynęło ku dalekiemu morzu, gdzie tłuste mewy z krzykiem polatywały nad pianistymi grzbietami tal. Należało przypuszczać, że z góry doskonale

widzą czerwoną strugę wpływającą w szare morskie wody – jakby ktoś postanowił upuścić krwi Średnim Marchiom – która przez jakiś czas płynie nie mieszając się z nimi i pełźnie po powierzchni morza, a dopiero potem mętnieje, blaknie i gubi się w pustych odmętach, wśród których zamaryły w tysiącletnim milczeniu odległe kontynenty.

– Dwójca – odezwał się sucho maleńki kapłan – okazuje łaskę wedle własnego uznania.

– Możliwe, że już tylko na Nich zdać się możemy – Ansard westchnął i odwrócił się od rzeki. – Mercjanie doskonale szyją z kusz, ale te są bezużyteczne przy takiej wilgoci. Nasi łucznicy też narzekają... Jeżeli Soler rzeczywiście stał się hartowanym narzędziem w rękach Dwójcy, to Bracia powinni zesłać nam jakiś znak... cud... W przeciwnym razie udławimy się zapalem po tej stronie rzeki i nie znajdziemy brodu.

Obrzucił wzrokiem rozłożony na przybrzeżnych pagórkach obóz. Kipiało tam zwykle obozowe życie. Dolatywały do nich gromkie okrzyki, parskanie koni, szczęk oręża...

– Cuda – odpowiedział zdecydowanie kapłan – już były. Mało wam?

– Och – uspokoił wierzchowca Ansard, klepiąc go pomiędzy uszami. – To były cuda dla prostaków. A mnie potrzebny jeszcze jeden cud, tylko dla mnie, rozumiecie?

– Wiele żądacie...

– Och, nie... Tylko tego, co mi się należy. Przecież jestem narzędziem Solem, jak Soler jest narzędziem Dwójcy. Więc bądźcie uprzejmi i przyłóżcie się trochę...

Zdecydowanym krokiem ruszył ku obozowi, zwracając się plecami do rzeki, której wody nadal się kłębiły, jakby wykrzywając się w drwiąco uśmiechnięte gęby. Wojsko było bardzo różnorakie; tylko tam, gdzie rozłożyła się obozem jego własna drużyna panował jaki taki porządek – namioty poustawiano w równych rzędach, przy ogniskach krzątali się kucharze, wydający każdemu skąpą porcję, ale nikt się przy tym nie pchał, nie starał się precyzyjnie naprzód. W pozostałej części obozu panował zwykły w takich momentach bałagan: ludzie się darli, że dostali za mało, chichotały przymilnie obozowe dziewczki, wozy poustawiano bezładnie, wszędzie panował smród, słyhać było przekleństwa, hałasy i odgłosy bójek... Ansard zmarszczywszy nos pospiesznie obchodził obóz.

– Czyj to koń? – zatrzymał się przy zagrodzie dla zwierząt i wezwał wartownika.

– Jego, wasza miłość – wartownik wskazał rosnącego chłopca przy ognisku.

– Ciekawe, skąd ten drab ma tak dobrego rumaka? – Ansard poklepał konia po karku, a potem zawołał, zwracając się do właściciela. – Ej, ty! Chodź no tutaj!

Wołany natychmiast rzucił się ku władcy.

– Czemu koń nie wytarty? Czemu ma ogon w błocie? – Ansard z rozdrażnieniem wskazał palcem zmierzwiłone włosie. – Wydałem rozkaz, żeby koniom podwiązywano

ogony. Nie słyszałeś?

– Zaraz się tym zajmę, wasza dostojność – obojętnie odparł dra-gal.

‘. – Natychmiast. – Ansard otrzepał dłonie z błota. – Ej, poczekajże, a to co?

– Gdzie?

– Co jest w paśniku?

– Siano, panie – chłop obrzucił Ansarda gniewnym spojrzeniem.

– Gdzieś ty je znalazł?

– No, natknąłem się na poprzednim postoju – i chłop uśmiechnął się chytrze.

– Rozkazałem przecież, żeby nie brać niczego oprócz trawy i wody – spokojnie stwierdził Ansard – dopóki nie przekroczymy granicy Soleru.

– Przecież to trawa – chłop spojrzał na głupiego lorda z jawną drwiną.

– Nie mnie o tym sądzić – odparł spokojnie Ansard. – To sprawa Dwóicy. Oni dopilnują wypełnienia klątwy.

Rozmówca pobladł nagle tak, że jego oczy przez kontrast wydały się czarnymi.

– Panie...

W wieczornym świetle błysnął miecz. Ansard spojrzał na dymiące ostrze, wyciągnął pęk siana z paśnika i otarł klingę. Potem zwrócił się do wartownika:

– Zabierzcie to ścierwo – powiedział musnąwszy trupa czubkiem buta. – I znajdźcie kogoś, kto się zatroszczy o konia.

– Tak jest, panie – odparł cicho wartownik.

– I niech laska Dwóicy będzie z nami – Ansard już się odwrócił.

Nad obozowisko spłynął zmrok, a ognie przed namiotami błyskały coraz mocniej, prześwitując przez zgrzebne płótno. Obóz z daleka przypominał garść bezładnie porozstawianych, papierowych latarni. Ansard się skrzywił: nie tak powinien wyglądać marsz bożej armii; woisko nie powinno grzęznąć w błocie, wszędzie winna zalegać surowa cisza, a nie te histeryczne chichoty, kobiece wrzaski i dolatujące zewsząd odgłosy sporów, a z kotłów na placu nie powinno ciągnąć zepsutą koniną... coś było nie tak, on jednak nie mógł zrozumieć, właściwie co.

– Potrzebny mi znak – wymamrotał, podnosząc wzrok ku ciężkim chmurom, z których wciąż spadały strugi deszczu. – Konkretny znak. W przeciwnym razie...

I nagle drgnął wpatrując się w ciemność. Namiot, w którym ustawiono połowy ołtarz, rozbłysnął od środka najczystszy białym światłem, łaskawym i miłosiernym, ponieważ płócienne ściany nie zapaliły się i nie zwęglily – tylko na okamgnienie rozpląnęły się w tym wszystko ogarniającym płomieniu. Potem blask oddzielił się od namiotu, tworząc ognisty słup, sięgający wierzchołkiem niskich chmur – i ruszył ku Ansardowi. Przez całe pole, błędząc pomiędzy namiotami i wozami. Blask raził wzrok,

Ansard jednak patrzył i patrzył. Szeptał coś bez przerwy, dopóki oślepienie oczy lorda się nie poddały, zmuszając go do mrugnięcia. Kiedy je ponownie otworzył, światło znikło – wszędzie panował mrok tak gęsty, że migoczące ogniska wydały się obrazą dla widzianego przezeń przed chwilą białego płomienia.

– Tak – odezwał się Ansard głośno. – Tak...

I stanowczym krokiem ruszył do namiotu.

– Czemu mnie budzicie, wasza dostojność – mamrotał maleńki prymas przecierając oczy kułakiem. – Całą noc się modliłem... na kolanach, oblekwszy włosienicę...

– Budzę was, bo jesteście mi potrzebni – Ansard był nieugięty. – Chodźmy, wasza świętobliwość. Chcę wam coś pokazać...

– Co?

– Sam jeszcze nie wiem. Miałem osobliwy sen... A może to nie był sen.

– Dano wam znak?

– Słyszałem głos. Głos, który kazał mi iść nad rzekę... Dziś ma być dzieli, w którym skończy się nasze oczekiwanie.

Zdecydowanym krokiem ruszył ku brzegowi, rozbryzgując butami rzadkie błoto i wlokąc za sobą kapłana.

Nad wodą kłębiły się mgły – ciężkie i nieprzeniknione. Niedługo miały się wzbicić wyżej i rozpląnawszy się w szarym niebie zasilić obłoki, na razie jednak przeciwległego brzegu nie było widać. Nie było też widać porozstawianych na łące namiotów – mgła je pożarła, zostawiając tylko mętne, purpurowe piętna tam, gdzie płonęły ogniska wartowników.

Zatrzymali się nad stromym nabrzeżu. Niżej kłębiła się i bulgotała rzeka, jakby płynęła w niej nie woda, a taka sama mgła – tyle że ciekła.

– Na co czekamy? – zapytał niepewnym głosem jego świętobliwość.

– Na znak – odpowiedział Ansard. – Na cud. Mieliście rację. Jestem wybrańcem Niebios i one ześlą mi znak. Poczekajcie.

Odwrócił się ku miejscu, gdzie nieco niżej las podchodził do samego brzegu; czarne sosny majaczyły we mgle, niczym widma zabitych w boju wojowników, a świerki chyliły się ku nurtom niczym opuszczone sztandary. Po chwili mgła drgnęła i zaczęła unosić się w górę, odsłaniając podmyty, piaszczysty brzeg.

– Oto macie – stwierdził Ansard.

Coś tam poruszało się we mgle i wynurzało się z lasu – jasna plamka na ciemnym tle.

– Cud... – wymamrotał ogarnięty nabożnym podziwem kapłan.

Na brzegu pojawił się ogromny jelen z mocno rozrośniętym porożem, który donośnie

zatrąbił, odrzuciwszy łeb w tył. Był nieprawdopodobnie wielki i miał nieprawdopodobną, wręcz nierzeczywistą, białozłotą barwę sierści. W rzednącej coraz szybciej mgłę sierść owa siała blask, jak ognisko w nocy.

– To... – kapłan bezwiednie chwycił Ansarda za rękę.

– Poczekajcie – powtórzył lord.

Jeleń powstał jeszcze przez chwilę bez ruchu, a potem zeskoczył z urwiska – ale tak płynnie i lekko, jakby go podtrzymały niewidzialne skrzydła – i znalazł się w wodzie. Wdzięcznie wkroczył w toń, ale nie odrzucił głowy wstecz, jak to zwykle czynią inne jelenie, przepływające przez rzekę. Szedł niespiesznie, trzymając spokojnie nozdrza nad wodą. W jednym tylko miejscu zrobił kilka płynnych ruchów, ale zaraz znów stanął na nogach. Znalazłszy się na drugim brzegu wyszedł z wody, na chwilę zastygł w bezruchu, a potem żwawo się otrząsnął. Rozlatujące się na wszystkie strony bryzgi migotały, jak ogniste iskry. Potem dwoma skokami jeleń znalazł się w lesie i znikł patrzącym z oczu.

– Tak jest – stwierdził Ansard. – Oto znak.

I zwrócił się do giermka, który dreptał *W* oddali, bojąc się podejść bliżej.

– Każ trąbić pobudkę. Ruszamy natychmiast. Soler został wybrany przez bogów. Oto on – bród przez rzekę.

– O ile dobrze was zrozumiałem – odezwał się Ermold – jego dostojność, poprzedni władca Soleru, nie umarł własną śmiercią? Jest mi go szczerze żal – był dobrym i godnym panem. No cóż, tak czy inaczej, umowa pomiędzy Solerem i Retrą została naruszona. Doniesiono mi, że Ansard ze swoją zgrają przeprowił się przez Pennę i niedługo stanie pod murami Retry. A my tu zaczekamy na niego. Wojska soler-skie ciągną szybkim marszem i nie zostawiają za sobą żywego ducha.

Widzicie, oni po prostu uważają, że odbierają tylko to, czego ich pozbawiono – Retra pławiła się w dostatku, kiedy Soler ginął w mękach... Co prawda teraz i w Retrze źle się dzieje, ale oni uważają, że to sprawiedliwa kara za poprzednie zbytki. No cóż, w jednym przynajmniej mają rację. Retra to bogaty kraj, a raczej należałoby powiedzieć, że kiedyś była bogatym krajem – ale nie brak nam sił, by odeprzeć wroga.

– Wiedzie ich rozpacz – odezwał się cichutko Leon.

– Nawet jeżeli Jak, to zgodzicie się chyba, że popycha ich do strasznych rzeczy – odpowiedział Ermold. – Ich szlak znaczą trupy kobiet z rozprutymi łonami, a ciała ich mężów wiszą na okolicznych drzewach. Takie owoce są w Retrze nowością. Tym, co usiłowali bronić swoich majątków, najpierw wydłubano oczy, a potem...

– Proszę, wystarczy... – nie wytrzymał Leon.

Wrażliwy z was człowiek, mój panie. A wasz przyjaciel milczy – chyba jest

twardszy. Skąd macie te szramy, messer Berg?

– Pechowy upadek – odparł Berg sucho.

– No, wielu teraz pechowo pada. Najpierw hercog Orson, potem jego dostojność nieboszczyk margraf...

– On się nie przewrócił.

– No to zjadł coś albo wypił. A teraz po tym nieszczęśliwym upadku wy prosicie o azyl w Retrze...

– Tylko do przybycia okrętu.

– Tak, tak... i oczywiście nic wiecie panowie, kiedy on przybędzie.

– Nie – potwierdził Berg. – Nie wiemy. Mało tego, mieliśmy pewną kryjówkę, która...

– Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności też została zniszczona. Mówią, że nad wysepką Fembrą pojawił się ognisty słup...

– Owszem – potwierdził beznamiętnie Berg. – Tak mówią...

– No cóż... – Ermold przeszedł się po gabinecie. – Panie ambasadorze, rozumie się, że możecie liczyć na naszą ochronę. W najgorszym przypadku Ansard, kiedy się o tym dowie, przeżyje kilka nieprzyjemnych chwil.

– Dziękuję – tak samo jak przedtem beznamiętnie odpowiedział Berg.

Znajdą wam jakieś przyzwoite pomieszczenie i nakarmią. Nie krepujcie się panowie i prosicie o wszystko, czego wam będzie trzeba – niczego nie odmówimy. A przy okazji powiem, żeście mnie zadziwili, panowie.

– Tak?

– Żeby posłowie potężnego państwa pozwalali tak sobą pomiatać! Wybaczają panowie, po prostu jestem ciekaw, czy nie mogliście jakoś powstrzymać tego narwańca? Przecież on prowadzi swoich ludzi na śmierć.

– Zatrzymać go? Jak?

– Kiedy zjawiliście się tu po raz pierwszy – odpowiedział Hrmold obracając na palcu turkusowy pierścień z herbem – oczywiście bardzo starannie przeszukaliśmy wasze rzeczy. I doszliśmy do wniosku, że wasi majstrowie potrafią robić sztuczki, które naszym rzemieślnikom wydałyby się cudami. Nie znaleziono przy was niczego, co dałoby się wykorzystać jako broń – i przypuszczam, że imię Ansarda zainteresowała właśnie ta część waszej zagadkowej biografii... Nie, nie, pozбудьте się obaw, skoro on z was niczego nie wydusił, to wiem, że i mnie by się nie udało. Powtarzanie nieudanego doświadczenia do niczego nie prowadzi. Ale przecież broń, to jeszcze nie wszystko. Wszelką wiedzę można wykorzystać w charakterze broni. Ansard prawdopodobnie doszedł do tego samego wniosku. Dlatego znaleźliście się tutaj. Czyżbyście nie mieli sposobu, by usunąć Ansarda

– dyskretnie i bez śladu?

– To już wewnętrznie sprawy Soleru – stwierdził Berg. – Terra nigdy się nie wtrąca do polityki wewnętrznej.

– Ach tak? Dokładnie tak właśnie myślałem. To znaczy, widzieliście panowie, ku czemu to wszystko zmierza i żaden z was nie ruszył nawet palcem. Do tego stopnia, że pozwoliliście, by znęcał się nad wami ten oprawca – przecież ten sztachetka to kat z powołania! Czemu nie przeszkodziliście temu szaleństwu?

– A niby jak mieliśmy to zrobić? – wybuchnął Leon. – Po tych wszystkich objawieniach, kiedy w kościołach zaczęły się poruszać posągi, pieprząc kompletne bzdury! Przecież z tego powodu wszyscy powariowali...

– No tak – westchnął Hrmold. – Objawienia i cuda... Chodzą ca zbroja świętego Lotara i takie tam... Robi wrażenie, nie zaprzeczę. A czemu wyście nie zrobili kilku cudów, panowie?

Berg wytrzeszczył zdumione oczy na rozmówcę.

– Wiedzą panowie... cudowne oznaki... rzadko się objawia ją same z siebie. Nadworny alchemik nieboszczyka hercoga Orsona – przypomnijcie sobie, on warn o nim opowiadał – mógłby zorga nizować kilka bardzo przekonujących cudów. Nie tak zapierających dech w piersiach, jak moglibyście zrobić sami, ale zapewniam was, bardzo przyzwoitych.

– Nie rozumiem... – odparł powoli Berg.

– Tak, tak... nie rozumiecie. Otóż, panowie, z początku myślałem... kiedy się zjawiliście w Średnich Marchiach... że to było po coś potrzebne... powiedzmy, komuś. Osądźcie sami, o żadnej Terrze nikt tu nie słyszał, wasz okręt zjawił się cudownym sposobem i tak samo cudownie rozplął w powietrzu, mało tego, wystarczyło, żeście się pojawili w Solerze i od razu rozpełtała się zawierucha. Potem jednak, obserwując was, zrozumiałem, że jesteście kimś innym. Okazujecie tak wstrząsającą naiwność, że nawet współczuć wam trudno.

Potał zziębnięte dłonie.

– Ale, tak czy owak, wasze zachowanie jest niewybaczalne. Po nieważ obce jest wam zwykle ludzkie miłosierdzie. Potraficie okazać litość tylko w słowach – nie w czynach. Umiecie tylko obserwować. Co wy macie w miejscu serc, panowie ambasadorowie?

Leon sprężył się wewnętrznie. Coś w tym było... Czuł, że lada moment uchwyci to, co tłucze mu się po głowie, coś niepojętego, ale ważnego. Bardzo ważnego.

– Chcecie powiedzieć...

– Niczego nie chcę powiedzieć – stwierdził Ermold z gniewem w głosie. – Nie chciałbym też zostać źle zrozumiany. I tak poświęciłem wam dość czasu, panowie

ambasadorowie. Teraz zechciejcie się rozgościć i odpocząć.

I już stojąc w drzwiach dodał:

– Skorzystajcie z odpoczynku tym bardziej, że będzie krótki – jutro Ansard podejdzie dostatecznie blisko, żebym mógł stanąć przed nim ze wszystkimi honorami. A wam przyjdzie być świadkami spotkania.

– Wolelibyśmy... – zaczął Berg.

– O nie, nie mają panowie wyjścia. Inaczej, po co to wszystko? Jak sądzicie? Nie, nie odpowiadajcie, bo znów okaże się, że niczego nie rozumiecie, prawda, messer Berg? A na przykład, messer Leon chyba już pojmuje. A jeżeli nie, to już niedługo zrozumie – czy nie tak, messer Leonie? Cóż, proszę o wybaczenie, nie mogę się z wami posilić, kolację przyniosą wam tutaj, do pokoju.

Kiwnął głową i gestem ręki wezwał sekretarza.

– Tam są te psy – stwierdził Ansard.

Ze szczytu wzgórz miał bardzo dobry widok na uszykowane nieopodal białych ścian Retry wojsko przeciwnika: trzytysięczny oddział piechoty, uzbrojonej w tarcze i podwójne topory, stał w zwartym szyku, tworząc nieprzenikniony mur tarcz. Obok ustawiła się konnica dowodzona przez regenta Ermolda i drużyny milczących kuszników, rozciągnięte szeroko po równinie.

Odpowiadając lordowi odezwał się róg, którego ponury i przytłumiony zew zawisł nad polem niczym całun.

Ansard niespiesznie ścisnął konia kolanami. Rumak zatańczył, roniąc na pierś białe płaty piany.

– Groźna siła – stwierdził cicho prymas.

Jadący na niezbyt wysokim mule kapłan, wyglądał niemal na karła przy Ansardzie, który dosiadał bojowego ogiera.

– O tak – potwierdził Ansard. – Co nam sądzone wedle waszego zdania: sławna śmierć, czy sławne życie?

– Wszystko zależy od tego, jak mocna jest nasza wiara... Ansard uniósł rękę, jakby chciał poklepać jego świątobliwość po ramieniu, ale potem się rozmyślił. Widać uświadomił sobie, że musiałyby się zbyt mocno pochylić w siodle.

– Módlcie się za nas, ojczy – powiedział cicho. – I niech to będą skuteczne modły...

I zwrócił się do ordynansa:

– Piechotę naprzód, niech zaczynają. W imię Dwójcy! Ordynans zawrócił konia i popędził przez zielone pole, rozbry zgując kałuże wody.

– Tak, w imię Dwójcy – równie cicho jak przedtem zgodził się prymas. – A co jest tam, dalej?

Wśród ciemnych chmur pojawiła się jeszcze ciemniejsza plama – jakby jeden z obłoków zrodził kolejny, bardziej zwarty, z wyraźnie zarysowanymi krawędziami – i ta właśnie chmura, oderwawszy się od pozostałych, rozrosła się, wyciągając na boki coś na kształt rękawów, czy wypustek. Ansard podniósł głowę – niebo zakryła nieprzeliczona chmara wron, jakby w jednym miejscu zebrały się wszystkie ptaszyska Retry i Soleru. Trzepot skrzydeł zagłuszył wrzawę wzniesioną przez liczne, uszykowane na równinie wojska – wrzask ptactwa był tak przenikliwy, że wielu ludzi zatykało uszy. Chmury leciały nad równiną szeroko rozrzuconym szykiem – czarne wojsko niebiańskie, niedostępne i nieuchwytnie, jak żadna armia na ziemi, leden z łuczników nałożył strzałę na majdan i wymierzył ją w niebo. Wilgotna cięciwa zawiodła i strzała upadła w błoto, po pokonaniu kilkunastu kroków.

– Zły znak – wymamrotał Ansard.

Kapłan nie usłyszał słów, treści domyślił się z ruchu warg margrafa.

– Jak! – zawołał przemagając wrzawę. – Ale dla kogo?

Stado przeleciało nad równiną i skryło się za białymi wieżami Retry. Niezbyt liczna tylna straż, drąc się przeraźliwie i wymachując skrzydłami, poleciała za resztą podniebnego wojska.

Ansard ponownie spojrzął na oddziały Retry: ludzie stali w ciszy, nie ruszając się z miejsca, ale od ich milczącego bezruchu wiało grozą.

– Wasza dostojność – odezwał się ktoś za plecami lorda.

– Co tam? – zapytał Ansard z rozdrażnieniem.

Nie odwrócił się, bo nie było potrzeby – poznał konetabla po głosie.

Jego ludzie podnieśli wrzawę, pokrzykiwali i miotali przekleństwami, ale też się nie ruszyli. Ani na krok.

– To przez te ptaki. Ludzie mówią, że to zły znak. Boją się.

Ansardowi zbieleły nozdrza.

– Trzeba nam było obarczać się tą hołotą, która w krytycznym momencie łamie szyki! Bydło, mierzwa... Po zwycięstwie powiesić mi co dziesiątego drania! Moja drużyna – naprzód! Niech pokażą tym łykom, czym jest rycerski duch!

Konetabl zawrócił konia i pogalopował z powrotem, rozbryzgując obficie wodę.

Deszcz wzmógł się jeszcze, w ziemię pomiędzy dwiema armiami ustawionymi na omiatanej przez wiatr równinie biły ogniste miotły błyskawic.

Jeźdźcy ruszyli do ataku wydając dzikie wrzaski – ich ryki słuchać było nawet przez niskie huki gromów. Najwyraźniej dodawali sobie w ten sposób otuchy – bo przerażało ich milczenie przeciwnika. Ludzie Ermolda uparcie stali w miejscu, nie ruszając się ani na krok.

– Czemu nie uderzają? – wymamrotał Ansard.

– Patrzcie! – prymas zadarł głowę, a w jego głosie zabrzmiał zabobon n w strach.

Nie wiadomo kiedy burza rozwiała się w nicość, chmury się rozstały i nad polem, na którym lada moment miały się zetrzeć dwie armie, po raz pierwszy od kilku miesięcy zaświeciło słońce. Jego promienie odbijały się od złocen tarcz i stali kolczug, rozjaśniały i podkreślały purpurę, zieleń i błękit sztandarów i proporców na kopiach, wydobywały nieznośny wprost blask z drogich kamieni na zbrojach i miedzianych blachach końskich kropierzy.

– Słońce... – odezwał się cicho ordynans. – jakże dawno go nie widziałem!

– Tak, świeci nam w oczy – wycedził przez zęby Ansard. – W oczy! A tym łajdakom – w plecy!

Konni ponownie wydali bojowy przenikliwy okrzyk, zniżyli kopie i ruszyli do ataku.

W tej samej chwili stojący do tej pory milcząco mercyjscy kusznicy postąpili pierwszy krok naprzód i jednocześnie zwolnili cięciwy. Bełty sypnęły się gęsto niczym śnieg, ale śnieg śmiertcionośny – drużynnicy Ansarda, wyborowi jeźdźcy na doskonałych koniach, znalazłszy się w kleszczach pomiędzy szeregami własnej i nieprzyjacielskiej armii, nie mogli się ruszyć. Ansard targnął wściekle wodze, aż jego rumak przysiadł na zadzie.

– Przekleństwo – wymamrotał – z czego oni spleli te swoje cię ciwy...

Behy bez trudu przebijały stalowe blachy pancerzy i wkrótce z wyborowego oddziału zostało tylko kilku jeźdźców, rozpaczliwie usiłujących wydostać się z pułapki.

– Odwrót! – Ansard wykrzyknął do ordynansa. – Trąbić na od wrót!

Ze wzgórza doskonale było widać, jak rycerstwo cofa się bezładnie, tratując własne oddziały i nie czekając na sygnał – a piesi potykają się i padają, nie mogąc się już podnieść. Bełty bez wytchnienia siekły bezładną już kupę – ani jeden grot nie chybiał, pociski nie oszczędzały ani obleczonych w blachy rycerzy, ani rozpaczliwie miotających się na wszystkie strony pieszych knechtów.

I nagle od strony wrogiego wojska rozległ się daleki zew rogu.

– Odstępują? – zdziwił się prymas.

– Raczej nie – wycedził przez zęby Ansard.

Zwarty szyk kuszników rozstał się na boki tworząc dwa skrzydła, a w utworzoną pomiędzy nimi przestrzeń wlał się potok jazdy, za którą runęły liczne oddziały piechurów.

W tej chwili do Ansarda podjechał na spienionym koniu zasapany ordynans.

– Panie! – powiedział. – Cofnijmy się! Solerczycy uciekają. Konetabl jest ranny w głowę, a...

Ansard spojrział na niebo – w jego wzroku była nienawiść i jakaś straszliwa groźba.

– Bądźcie przeklęci! Wy i wasze znaki! – wypalił w twarz pry masowi.

Dał koniowi ostrogę, wyrwał miecz z pochwy i pognął przez równinę na białe ściany Retry, w największą zawieruchę bezładnej już bitwy.

– ...aprzóóóó! – zaryczał. – W imię Dwójcy, naprzóóóóó!

– I cóż, może jeszcze wina, panowie? – Ermold skinął na podcza szego, który ponownie napełnił ciężkie kubki. – Mamy co świętować.

„To mają być warunki polowe?” – pomyślał Leon, rozglądając się z ciekawością. Ermold ze swoimi kapitanami zasiadł do sutej uczy. Na trawie pod namiotem rozścielono kobierce – nie rozkoszne dywany mercyjskie, bo Ermold był jednak tylko regentem, a nie władcą, ale i tak robiło to wrażenie. Zachodzące słońce ciepłą purpurą barwiło proporce nad namiotami, uwiązane nieopodal konie parskały i pochrapywały, a na pobliskiej łące szumiały rozkładające się na popas liczne oddziały Retry.

– A ja myślałem, że zechcecie ostatecznie rozgromić przeciwnika – przyznał Berg.

– A po co? – zdziwił się Ermold. – Resztki tej hałastry Ansarda uciekają i jeżeli wody w Pennie nie opadną, złapiemy ich nad rzeką, a jeżeli opadną... No cóż, ich szczęście. Na razie zaś pozwólmy sobie na krótki odpoczynek. Solerska hołota jest wyczerpana wielodniowym marszem, a ja mam świeżych ludzi. Wejdzimy do Soleni na grzbiecie Ansarda. Chciałbym poznać waszą opinię o porannej bitwie. Mam nadzieję, że u was w Terrze potrafią ocenić wojenną sztukę?

Leon spróbował się skupić – w głowie tak mu dzwoniło, że ledwo słyszał słowa rady. Trzeci kubek był chyba niepotrzebny.

– Zawsze mi się jakoś wydawało – odezwał się po chwili, usiłując wymawiać słowa wyraźnie i starannie – że bitwa wygląda zupełnie inaczej... jest... no... bardziej zorganizowana. A to był jakiś chaos...

– Dlaczego chaos? – zdziwił się Ermold. – Wszystko było do kładnie zaplanowane, przynajmniej z naszej strony. Ansard wpadł w starannie zastawioną pułapkę, to wszystko. Godzi się dodać, że popełnił wszelkie możliwe pomyłki, jakie tylko można było zrobić w jego sytuacji. Mówiłem już, że jest człowiekiem zbyt niecierpliwym. Drużynę ma pewnie niezłą, ale w bitwie najważniejsza jest liczba i szybkość, liczba i szybkość. I oczywiście uzbrojenie... Te nowe cięciwy... Ansard, wybaczenie panowie szczerze, powinien być was dokładniej... wypytać. Chciał wielkiego cudu – drobne go nie urządziły. W rezultacie poprowadził na Retrę głównie niewyszkoloną hołotę, która zawiodła w krytycznym momencie. Ale jedźcie panowie, jedźcie...

Leon spróbował odciąć nożem kęs baraniny, ale zrobił to nieudolnie.

– Jeżeli będziecie tak machać tym nożem w bitwie... – rzucił kwaśno czerwonogęby kapitan, siedzący na lewo od Terranina.

„Ileż jeszcze trzeba czekać, zanim oni wymyślą widelce?” – pomyślał Leon, z rozdrażnieniem wycierając dłonie o płócienny obrus.

– I w siodle się trzymacie jak worek z... no, jak worek – ciągnął kapitan. – Iakbyście byli jakimś czarnoksiężnikiem. Albo lekarzem. Jest tu u nas taki jeden – pomocnik metra Kannabisa, który się alch... alch...emią jakąś zajmuje. Z jego namiotu bije taki smród, że czasami przejść straszno... Śmierdziel, jednym słowem.

Leon zerknął na Berga, ten jednak siedział z miną człowieka, który błędzi myślami daleko – najwyraźniej nie chciał się wtrącać.

– Nie wytrzymam i chyba dam komuś w mordę – stwierdził Leon z namysłem, przyglądając się kapitanowi.

– Uspokójcie się, messer Leonie – stwierdził Ermold pojednawczo. – I ty też, kapitanie. Nie będą musieli jechać wierzchem. Ambasadorowie pojedą w powozie.

Kapitan jakby tego nie usłyszał.

– Powiadam wam, to czarnoksiężnicy...

– Zmiłujże się nad nim, Dwójco... – Ermold uniósł oczy ku niebu. – Czy czarnoksiężnicy tak piją?

Kapitan przez chwilę rozważał problem, drapiąc się po ciemieniu.

– W rzeczy samej – stwierdził wreszcie. – Ile razy natykałem się na tego medyka, zawsze był trzeźwy, zaraza.

Przez chwilę milczał jeszcze, a potem przyznał wielkodusznie:

– Ale mocny samogon pędzić umie.

– No i dobrze – stwierdził Krmold pojednawczo. – Po co nam swary między swoimi... Ale to zabawne, że nasz wojak wziął was, pa nowie, za czarnoksiężników, prawda?

Leon kiwnął głową, a nie trzeba było niczego więcej, by wszystko wokół zawirowało rozpaczliwie. Na domiar złego widział już podwójnie.

„Ależ tu świństwo pędzą – pomyślał. – Niby słabiutkie, a z nóg zbija nie gorzej od najmocniejszych rektyfikatów”.

Taboret, na którym siedział, zrobił się nagle podejrzanie niestabilny, więc poruszył się ostrożnie i szerzej rozstawił nogi.

– Szkoda, że nie pomyślałem o tym, żeby zabrać ze sobą minstrelów – stwierdził F. rmold ze skruchą w głosie. – Teraz z przyjemnością by się czegoś posłuchało...

– Nasz sługa był wędrownym minstrelem, zanim go najęliśmy – wtrącił się Berg. –

Jeżeli zechcecie...

– Z ochotą – ucieszył się Fmold. – Zdaje się, że już o nim słyszałem. Zdolny młodzieniec.

– Alf! – zagrział Berg, wysuwając głowę zza zasłony.

– A po co się drzeć? – mruknął gniewnie Alf, dźwigając się na nogi. – Jakbym nie słyszał. Minstrela im się posłuchać zachciało, widzicie ich. Siedzą lam, obżerają się mięsem, a ty tu kości obgryzaj...

– Dobrze, dobrze... – pojednawczo rzucił Berg. – Nie ciskaj się... znajdzie się mięso i dla ciebie.

– Sami byście zjedli na pusty żołądek – sarkał dalej Alf. Kurtka na jego piersi była podejrzenie wyдутa – pojawiła się na niej wypukłość wielkością odpowiadająca akurat bochenkowi miejscowego chleba.

– A to co? – zapytał Berg.

– Co? – twarz Alfa mogłaby posłużyć za studium urażonej niewinności.

– Coś ty znowu podwędził?

Mam zaśpiewać, czy będziecie mnie obszukiwać? Jeżeli chcecie mnie obszukać, to muszę zaznaczyć, że mam jeszcze wiele spraw – o, koniuszy mnie poprosił, żebym mu pomógł przy rumakach jego dostojności regenta. Okulał jego wierzchowiec... Potem...

– Och... – zaprotestował znużony Berg. – Dajże spokój...

Alf uśmiechnął się i dał nura w głąb namiotu.

– A... – kiwnął mu głową F.rniold. – Przypominam sobie. Zdaje się, że tego waszego barcią widywałem już w najróżniejszych okolicznościach. No cóż... – rozsiadł się wygodniej na krześle, jedynym w całym namiocie. – Proszę bardzo...

– Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze ojciec naszego Ademara Mercyjskiego nie spotkał matki młodego Ademara – zaczął Alf wy sokim, czystym głosem zawodowego bajarza – na granicy pomiędzy Retrą i Solercm stały dwie wioski. Jedna po jednej stronie mostu na Pen nie, burzliwej rzece o wodach ciężkich niczym ołów, a druga po przeciwnej stronie. I nienawidzili Solerczycy Mrcrcjan, ponieważ ci, którzy jechali z Retry do Soleru musieli płacić mieszkańcom mercyjskiej wsi mostowe, a ci, którzy jechali z Soleru do Retry też, ponieważ od wieków tak się układały sprawy pomiędzy Retrą i Solerem. I tak żyli we wrogości – nie było dnia bez swarów, ani roku bez kilku za bójstw. Ale oto zdarzyło się, że spotkał młodzieniec z solerskiej wsi dziewczynę z mercyjskiej – i tak się pokochali oboje, że żyć już bez siebie nie mogli...

„Berg pił chyba tyle samo co ja – myślał Leon – a proszę, niczego po nim nie widać. Cholera, jeszcze w instytucie miałem słaby łeb do trunków”.

– ...a trzeba wam szlachetni panowie wiedzieć, że niedaleko mieszkał pustelnik,

święty człowiek, który ze zwierzem leśnym wszel kim rozmawiał. Poszła więc dziewczyna do niego. „Ach – powiedziała ła – chyba coś sobie zrobię i targnę się na swoje życie, bo wszystko gotowa jestem oddać, byle się z ukochanym połączyć”. I odpowiedział jej pustelnik: „Choć muszę złamać swoją przysięgę, zrobię to dla uratowania twojej duszy. Weź ten oto napój, który w dąbrowie trzy dni i trzy noce warzyłem, ma on niezwykle moce, wypijesz choćby jeden łyk i w sen głęboki zapadniesz, a tak głęboki on będzie, jakby to śmierć cię zmorzyła... Obwiną cię w cienki całun, odniosą do świętego gaju i na noc zostawią, byś się pożegnała z białym światem. A ty się obudzisz...”

„Co on plecie... – myślał Leon tępo. – Gdzieś już o tym słyszałem...”

Kapitan klepnął go przyjaźnie ogromnym łąpskim po kolanie.

– Lubię słuchać rozmaitych smutnych historii – powiedział. – Tak serce rwie, że człek się gotów rozplakać. Schamieliśmy, chłopcze, pozbyliśmy się romantyzmu, a pamiętam w młodości...

Podparłszy dłonią podbródek zamyślił się i umilkł.

– ...i ujrawszy, że jego ukochana nie żyje, wyrwał z pochwy sztylet, ten sam, którym w uczciwym pojedynku zabił jej brata, i wbił go sobie prosto w serce, a potem padł obok niej bez tchu.

– Ej, Berg! – Leon tknął łokciem w bok partnera, który najwyraźniej błędził myślami gdzie indziej.

Berg niezbyt chętnie wrócił do rzeczywistości.

– Co jest?

– Słyszysz, co on takiego opowiada?

– A... – Berg słuchał przez chwilę. – No tak, wszędzie to samo...

Westchnął i ponownie pograżył się w milczeniu.

Alf tymczasem dowiódł smutną opowieść do logicznego końca, ukłonił się malowniczo i zamarł w bezruchu. Ermold łaskawie kiwnął głową.

– Dajcie mu jeść – polecił podczaszemu. – I coś do picia. Musiało mu zaschnąć w gardle.

Alf zachowując nadal smutną minę, wziął od podczaszego ciężki kubek i ogromny kęs mięsa, ukłonił się i wyszedł z namiotu. Kubek zabrał ze sobą.

Kapitan ponownie klepnął Leona, tym razem po ramieniu.

– Wybacz – poprosił. – Z początku mi się nie podobałeś. A teraz widzę, że równy z ciebie chłop.

– Ty też – stwierdził Leon wielkodusznie. I odwrócił się do Ermolda. – Te podziemia – odezwał się, z trudem obracając nieposłusznym językiem. – Macie pod zamkiem wspaniałe podziemia... Jeden krok, i jesteście już za

trzydzie...trydzie...trzydziestą ziemią, i...

– Kolejne bajki – westchnął Ermold. – Panie ambasadorze, muszę stwierdzić, że wasz minstreł ma na was zły wpływ...

– Ale to...

– Ależ oczywiście, oczywiście – rzekł pojednawczo stary lis – wszystko to najczystsza prawda...

I zwróciwszy się do Berga dodał:

– Okazuje się, że trzymanie u siebie minstreła może mieć uboczne skutki...

– Wiesz co? – odezwał się Berg do Leona niezbyt pewnym głosem. – Zjadłbyś coś, bo... tego...

Wrócili do namiotu, gdy już się całkiem ściemniło. Rosa była tak gęsta i zimna, że Leon na chwilę całkowicie wytrzeźwiał, ale potem cały świat znów mu się rozplątał w nieokreśloną plątaninę barwnych plam. Dalekie ogniska wirowały w tanecznym korowodzie, a wejście do namiotu nie wiedzieć czemu znalazło się w zupełnie innym miejscu niż powinno.

I okazało się też, że nie wiadomo jakim sposobem Berg dawno już się zdążył położyć. Z kąta, w którym rozłożono jego poślanie niosło się potężne chrapanie. Leon czknał, powalczył przez chwilę z ciemnością, a potem zawołał:

– Alf.

Alf wyłonił się z jakiegoś nieokreślonego miejsca ciemności i od razu się zabrał do sprawnego ściągania butów z Leona – ten zaś rozpaczliwie starał się utrzymać równowagę.

– Rano powinniście się napić kwaśnego mleka, panie – stwierdził Alf. – Bardzo dobrze robi na wszystko.

– Do rana chyba nie dożyję – wymamrotał Leon. – Co wy za świństwo pijecie?

– Czemu świństwo? Winko młodziutkie, leżakujące przez rok... dobre winko.

– Co to była za historia, ta, którą opowiadałeś? Skąd ją znasz?

Ale uśmiechnął się z satysfakcją!:

– A co, spodobała się? No, nie sam ją wymyśliłem...właściwie wszystko było zupełnie inaczej. Przychodzi ten młody bałwan do Guntra – a za nim już cała wieś jak wściekła goniła – ten go przebiera za wędrownego pustelnika i wysyła precz sekretnymi ścieżkami. No a panna łzami się zalewa; nie żyć mi bez niego, powiada – albo ucieknę, albo się utopię. A gdzież jej biedaczce uciekać – szczerze mówiąc z chłopaka kogut był nielichy i niełatwo byłoby zliczyć, ile dziewczek w okolicy popsował. Dobrze, powiada Guntr, masz tu miksturę... wypij, a zobaczysz, co się stanie. Wypiła – no i się zaczęło! Nie to, żeby uciekać – od sracza na pięć kroków odejść nie zdążyła, a znów ją niosło!

Przez tydzień leżała, potem przysła do siebie, a po tym jej kogu-ciku ślady już ostygły... akurat, miałyby na nią czekać! Dziewka popłakała, popłakała, potem zmadrzała i szybko wydali ją za mąż, żeby licha nie kusić...

– Cynik jesteś – stwierdził Leon zmęczonym głosem. – A min-strela udajesz...

– Kto, kto?

– Sprzedajną masz duszyczkę, chłopcze...

– Nie za to mi przecie płacą, abym opowiadał historie prawdziwe – odciął się Alf.

– No dobra, zmiataj stąd, ty bardziej niewyżyty...

Alf zachichotał i znikł. Leon zamknął oczy i już miał zapaść w letarg na podobieństwo snu, kiedy tuż obok rozległ się szelest. Poseł zebrał się w sobie i usiadł na posłaniu – wystarczyło, że tylko trochę uniósł powieki, a ziemia znów zaczęła wirować wokół osi.

– Panie... – rozległ się czyjś szept.

W świetle oliwnego kaganka Leon zobaczył dziewczynę. Czarnowłosa, czyściutka i apetyczna, klęczała przy jego posłaniu i dość niedwuznacznym gestem wypinała pierś wyglądającą figlarnie z rozcięcia koszuli.

– Skąd jesteś, precudne zjawisko? – wymamrotał bez szczególnego entuzjazmu.

– Wędruję z obozem... przysłał mnie pan Ermold. Akurat byłam u niego w namiocie, a on powiada – idź popatrz, co robią panowie posłowie. Może im czegoś potrzeba...

– Kilka uncji cyjanku potasu – stęknął Leon.

Teraz już pragnął tylko jednego – położyć się i leżeć bez ruchu, dopóki organizm nie wydali z siebie wszystkich ketonów i acetoalde-hydów.

– Czego?

– Nic, nic, ja tylko tak... Idź lepiej i rozetrzyj plecy messor Ber-gowi.

Dziewczyna znikła w ciemnościach. Leon usłyszał jeszcze, jak Berg wymamrotał przez sen:

– Soreille...

– Nie jestem Soreille, panie. Jestem Lana – zachnęła się dziewczyna.

– Jaka Lana? – Berg najwyraźniej się obudził.

– Wasz przyjaciel powiedział...

– Przecz stąd! – ryknął Berg. Dziewczyna pisnęła i uciekła.

– Idiota – wymamrotał Leon.

Berg coś tam jeszcze mówił, ale Leon już tego nie usłyszał – głową naprzód wypadł z namiotu, dławiąc z trudem torsje. Wreszcie ziemia przestała się kręcić. Wokół zrobiło się chłodno i prawie cicho. Dopiero teraz mógł popatrzeć w puste gwiazdzone niebo z rzadkimi kępami chmur, na niewyraźne zarysy polowych namiotów i stojącą zupełnie

niedaleko czarną, milczącą figurę...

Bez słowa wrócił do namiotu i zwałił się na posianie. Berg zdążył już ponownie zasnąć i Leon nie uznał za konieczne go budzić, żeby mu powiedzieć, że przy wejściu do ich namiotu postawiono wartownika.

Z dziennika polowego Leonarda Kałganowa, ksenologa stażysty.

Podyktowane piątego dnia miesiąca miodozbioru, po bitwie nad rzeką Penną...

Wydarzenia gonią jedno drugie, niczym galopujące konie. A czas bieży razem z nimi. Mogłoby się wydawać, że zaledwie wczoraj Ansard ze swoimi ludźmi stał pod murami Retry, a oto już Ermold wkroczył do Soleru. Woda w rzece opadła w ciągu paru godzin, więc Retrzanie bez trudu przeszli na drugi brzeg, a przecież tak niedawno Ansard przed bitwą trzy dni dreptał w miejscu i szukał brodu. Na polach błyszczy rzadkie błoto, z jarów, w których gniją trupy, unosi się paskudny odór, ale nad nami rozpina się oślepiające i niewiarygodnie błękitne niebo. Supernowa już zgasła... Berg ma nadzieję, że wszystko się skończyło i lada moment powinni pojawić się goście. Przybędzie Druga Kompleksowa i zwalimy na nią wszystkie troski, zapominając o tym szalonym świecie, z którym nie potrafiliśmy się żyć. I wreszcie stąd wyjedziemy.

Oszukuję się – nie wydostaniemy się stąd. Ermold pilnie śledzi każdy nasz krok. Jesteśmy więźniami, których otacza bardzo wygodne, ale jednak więzienie. Ale i to prawda, że z tego więzienia też można uciec, a nawet trzeba uciec, żeby uprzedzić naszych, że ekspedycja musi pracować w trybie Czerwonego Alarmu. Ale jak pomyślę, że nie została się nawet radiolatarnia na Fembrze... Gdyby ten łajdak pomylił się choć o jedną cyfrę, komputer zmieniłby program i musiałby zaczynać wszystko od początku...

...Berg mi nie wierzy.

Ścisłej rzecz biorąc, nie wierzy, że zrobił to Ansard. Gotów jest raczej uwierzyć, że to ja sam popadłem w jakieś dziwne zamroczenie. Nie wytrzymałem psychicznego obciążenia i się załamałem... Owszem, w tym świecie jest coś głęboko nienormalnego, od czego można zwariować, ale, do diabła, doskonale pamiętam, jak ten mały-piszon rzucił się do pulpitu i zaczął naciskać guziku, jakby mu kto rękę prowadził...

No, ale dobre i to, że Ermold nie oczekuje od nas żadnych cudów. Sam zresztą nieźle sobie radzi. A Ansard do tej pory usiłuje walczyć z losem. Biedaczek – organizuje te wszystkie idiotyczne wypadki, w których giną jego ludzie... Na korzyść Ermolda działają dwaj najstraszniejsi sojusznicy – głód i zaraza. Mówi się, że w twierdzy już nawet jedzą trupy. Ermold jest niegłupim człowiekiem. Nigdzie się nie spieszy. Czeka...

Nadciągał zmierzch. Rubinowe pasma obłoków zaciągnęły się błękitem, potem pociemniały, a po miejskich murach zaczął powoli pełzać samotny ognik latarki wartownika.

– Jak przedtem, jesteście przekonani, że Dwójca jest po stronie Soleni? – zapytał ponuro Ansard. Wyglądał jak człowiek trawiony gorączką – miał zapadnięte policzki i podkrążone oczy. – Po tym wszystkim, co się stało? Pod murami snują się mieszkańcy miasta, którzy głośno przeklinają już nie Retrę, ale nas!

– Cóż oni mogą wiedzieć – wyszeptał kapłan. – Nie widzieli Światłości...

– Ja też jej nie widziałem – stwierdził Ansard sucho. – Widziałem tylko Mrok. Mrok i zgubę. Gdybym się nie bał, że to ostatecznie podkopie morale moich ludzi, kazałbym was powiesić na najwyższej szubienicy w Solerze.

– Szliście przede mną – przypomniał mu kapłan. – I nawet przed Dwójca.

– Tak – zgodził się Ansard. – Krew ciąży na mnie... Ale gdybyście nie byli Jak pewni zwycięstwa, gdybyście mi nie wbijali całymi godzinami do głowy, że Soler został wybrany do zjednoczenia naszych ziem, że zwycięstwo będzie nasze, bo tak postanowiono w górze... to bym przynajmniej ocalił swoją nieśmiertelną duszę.

– Za swoją nieśmiertelną duszę – odpowiedział spokojnie prymas – odpowiada tylko ten, czyja ona jest. Wybór, za kim się opowiedzieć, zawsze należy do niego. Ani ja, ani Dwójca nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

– Tak – zgodził się Ansard. – Ale ten bród przez Pennę wskazała mi Dwójca. I powiodłem ludzi na pewną śmierć.

– To wyście mieli widzenie – przypomniał mu kapłan. – Nie ja. (ani nie otrzymał znaku, choć na niego czekałem.

Siali na najwyższym tarasie wieży. Wiatr targał wąską, bojową flagą Soleru, po murach chodzili wartownicy, ale stąd, z góry – ludzie, wozy i maszyny zatłoczone na wąskich, pozamykanych barykadami uliczek, wyglądały jak stosy nie posprzątanego śmieci. Dalej, za miejskimi murami, dymiły czarne pogorzelska porzuconych domów, a jeszcze dalej, na zboczach wzgórza, spływając w dolinę, rozłożyły się obozem oddziały Ermolda – żołnierze wyglądali jak czarne mrówki. Po niebie płynęły obłoki, tak samo wąskie i wydłużone jak solerski proporzec, i purpurowo sine, jak dym pożaru.

Ansard poruszył ramionami, jakby przejął go chłód.

– Czego Dwójca ode mnie żąda? Czego? Potrzebna im ofiara? Sławna śmierć?

Kapłan milczał.

– Tak, oczywiście... – ponownie odezwał się Ansard, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Nie służyłem Dwójcy... Służyłem Solerowi.

– Solerowi? – zapytał powoli kapłan. – Ot, macie swój Soler!

Drżącą dłonią wskazał czerniejące w zakolu rzeki zgliszcza i daleki słup dymu, który ukosem wznosił się w puste, czyste i obojętne niebo.

Ansard powiódł wzrokiem za jego ręką.

– Tak... – odpowiedział z gorzkim uśmiechem. – Rozkwit i szczęście? A przecież chciałem otworzyć przed Solerem retrzańskie spichlerze. Chciałem mu dać wszystkie bogactwa Średnich Marchii...

– Chcieliście władzy – stwierdził sucho kapłan. – I sławy...

– Jestem żołnierzem! – odparł ostro Ansard. – Czego ma pragnąć żołnierz, jak nie sławy i władzy?! Wyście też pożąдали władzy i sławy... Może nie?

– Nie dla siebie! I czy powiedziałem, że Bracia nas zostawili? Zostawili? O nie! Będą z nami...

– Tak – Ansard ponuro kiwnął głową. – Będą z nami do końca. Czego ci potrzeba, moja droga?

Na najwyższym stopniu krętych, wiodących na szczyt baszty schodów stała lady Hersenda, oparta na ramieniu Soreille. Była tak blada, że jej delikatna skóra wyglądała na siną, a wyraziste rysy twarzy niemal się rozplywały.

– Panie... – odezwała się szeptem.

Podszedłszy do niej ujął jej zimne palce swoimi silnymi dłońmi.

– Zawiniłem... zawiniłem wobec ciebie – powiedział przez zęby. – Wobec niego... no, niechby, ale wobec ciebie... Siły chciałem dla siebie, ale tobie chciałem dać tylko radość.

– Nie tyś zawinił – odezwała się szeptem – (a... I kara spotka nas oboje, według zasług... ale ja nie chcę... nie...

W uśmiechu Ansarda niewiele było życia.

– I ja za wszystko odpowiem... Tylko ja.

– Co zamierzacie zrobić, panie? – zapytał niepewnie prymas.

– Jeżeli on wejdzie do Solem – Ansard przez chwilę patrzył Hersendzie w oczy, ale nie wytrzymał widocznego w nich wyrzutu i odwrócił wzrok – to na moich warunkach.

Hersenda drgnęła, jakby ją ktoś uderzył i kurczowo chwyciła go za rękę.

– Nie – wyrzuciła z siebie. – Nie!

– Och, tak – ponuro odpowiedział Ansard, uwalniając się łagodnie z jej objęć. – Idź... porozmawiamy później. Będziemy jeszcze mieli czas.

Skinieniem dłoni wezwał giermka, który stał nieopodal w pozie pełnej szacunku.

– Wezwii sekretarza – polecił. – Albo nie, zejdę sam...

– Panie mój – wymamrotała Hersenda.

Otworzyła szeroko oczy, których źrenice zajęły niemal całą tęczówkę. Przechyliwszy

się w tył, dotknęła dłonią wydatnego brzucha. Twarz Ansarda skaził grymas bólu.

– Odprowadź ją. Słyszysz, ty... – polecił Soreille. Zmrużywszy oczy, by chronić je przed zimnym wiatrem, patrzył jak obie schodzą po schodach – ostrożnie, jakby trzymały w dłoniach kryształowy dzban pełen wina.

– Nie oddam Soleru darmo – wymamrotał sam do siebie. – Cze go on chce, ten suczy pomiot? Władzy? Pozycji regenta? Niech bę dzie regentem mojego syna. W przeciwnym razie jeszcze przez mie sięc będzie grzęznąć w biocie poci zamkowymi murami i pić wodę, w której pływają trupy zadzumionych. Nie otworzę wrót, dopóki nie zginie ostatni obrońca twierdzy. Kiedy na ulicach zabraknie kamieni, będziemy im zrzucać na głowy nieboszczyków. Zgodzi się chyba na zajęcie Soleru, dopóki jego ludzie nie zaczęli zdychać od zarazy... Tak. Tylko tak...

I odwrócił się do prymasa.

– On jest kupcem, ten Ermold. No cóż... potargujemy się więc...

– Chcecie zrezygnować z walki? – w głosie jego świątobliwości drżał strach. – Chcecie poddać miasto? O, nie, nie trzeba... Powiadam wam, Soler wróci jeszcze do dawnej świetności, jeżeli tylko okażecie twardość.

I dodał, nie mogąc się powstrzymać:

– W kotku ona jest tylko kobietą...

Ansard chwycił go za ramiona, potrząsnął nim i spojrzał mu w oczy.

– A ty, kto? – zapytał przez zęby. – Ty kto?

Z dziennika polowego Johanna Berga, ksenologa pierwszego stopnia.

Podyktowano Dziesiątego dnia miesiąca miodozbioru.

Alf doniósł, że po obozie krążą słuchy o bliskiej już kapitulacji Soleru, i pogłoski te rzeczywiście się potwierdziły – Ansard przysłał parlamentariusza. Przy czym, jak mi oznajmił sekretarz Ermolda, postawił zupełnie przyzwoite warunki – sam zdaje się na łaskę zwycięzcy, Ermold zostanie regentem przy dziedzicu Ansarda, a Soler popada w wasalną zależność od Retry. Ermold zwleka, ale sądzę, że się zgodzi. Trudno uwierzyć, że Ansard tak bardzo zmiękł, ale – znów się powołuję na krążące po obozie plotki – sprawy w twierdzy przybrały rozpaczliwy obrót. Zeszłej nocy spuścił się po linie z murów jakiś człowiek – trudno orzec szpieg, czy doprowadzony do ostatecznej rozpaczki mieszczanin. Opowiedział, że w mieście nie zostało już żywe ani jedno dziecko i ani jeden starzec, a z kobiet tylko te, które mogą trzymać łuk albo dźwigać na mury kosze z kamieniami. Najgorsze, że Ermold, wydusiwszy już z niego wszystko, co tamten mógł powiedzieć o sytuacji w mieście, kazał go powiesić. Zdradził raz, powiedział,

zdradzi i drugi.

Mam nadzieję, że skoro w istocie dojdzie do kapitulacji, Ansarda ukarzą, nie poniżając jego godności. Uwzględniając złożoność sytuacji, byłoby to najlepsze wyjście dla tego nieszczęśnika...

Ermold miał zadowoloną z siebie minę mieszczucha, który właśnie z niemąłą korzyścią zamknął negocjacje. Rozparty na polowym krześle przypominał człowieka, który chce zrobić rozmówcy miłą niespodziankę. Berg czekał uprzejmie i milczał.

– Z natury jest pan człowiekiem nastawionym pokojowo, messer Berg?

– No... W zasadzie tak – zgodził się Berg.

– Z satysfakcją więc pewnie przyjmiecie wieść, że zgodziłem się na warunki Ansarda. Otwiera wrota, a my wkraczamy do miasta.

Oczywiście czeka go honorowa śmierć, ale jego ród zachowa prawa dziedziczenia. Soler staje się lennem Rctry, ale to lepsze niż nic... Postaramy się oczywiście przedstawić wszystko Z jak najlepszej strony. Uświęcony przez niebiosa związek Rctry z Solerem...

„Kadzi nam... – pomyślał Berg. – Oddaje honory posłom dalekiej Terry. Raczy ich powiadomić. Nie wiadomo, jak się sprawy rozwiną – może i Terre da się jakoś wykorzystać...”

– Miło mi to słyszeć – stwierdził. – A co z mieszkańcami miasta?

– Nie ucierpią. Drużynę, oczywiście, rozwiążemy, choć w zasadzie nie ma już czego rozwiązywać. Oficerów się powiesi, bez tego raczej nie można, ale on wiedział o tym przecież, dyktując warunki sekretarzowi.

– Cóż – stwierdził sucho Berg. – Życie żołnierza nie do niego należy.

– Dobrze, że to rozumiecie. – Ermold wstał, dając znak, że posłuchanie dobiegło końca. Berg też wstał z niziutkiego taboreciku.

– Rad jestem – zaczął – że Ansard okazał choć tyle rozumu... Nie skończył wypowiedzi. Przerwał mu wartownik, który wsunął głowę przez wejście do namiotu.

– Wasza miłość wybaczy – odezwał się do Ermolda – ale jest tu pewien człowiek, który chce z wami mówić.

– Co za jeden? – zapytał niecierpliwie Ermold.

– Powiada, że ma coś ważnego. Bardzo ważnego.

– Ach tak? – zdziwił się Ermold. – No dobrze, wprowadź go. Skinął łaskawie Bergowi, który niezbyt pewnie przestępował z nogi na nogę.

– Możecie zostać, messer Berg.

Berg zatrzymał się przy wejściu. „To część jakiegoś chytrego planu – pomyślał. – Ciekawe, co też Ermold wymyślił...”

Ale człowiek, który wszedł do namiotu, nie bardzo wyglądał na część chytrego planu. Odziany w zaniedbane i poplamione siknie przypominałby otłętego mieszcza, gdyby nie jego bystre i jednocześnie z lekka nieobecne spojrzenie.

– Tak – kiwnął głowa Ermold. – Mówcie, człowieku.

– Panie – zaczął ten, ukłoniwszy się nisko. – Powinniście mnie pamiętać. Jestem przy wojsku medykiem. Pomocnikiem metra Kannabisa.

Ermold obrzucił go zimnym spojrzeniem.

– Posłał was metr Kannabis? Co, kolby się w drodze potłukły? Jeżeli czegoś wam trzeba, zwróćcie się do konatabla.

– Nie – odparł interesant niecierpliwie. Zabrzmiało to niemal zuchwale. – Nie w tym rzecz. Widzicie panie, na postojach, w wolnych chwilach przeprowadzam pewne chemiczne eksperymenty...

– A – powiedział Ermold. – Mówcie dalej. Czyżbyście chcieli nam rzec, że na koniec udało się wam wytworzyć kamień filozoficzny?

– Och, nie! – alchemik potrząsnął głową. – Niestety, panie... Ale to, co wam chcę pokazać, z pewnością też was zainteresuje. To dotyczy Soleni.

Pochyliwszy się tak, że wargami dotknął niemal ucha Ermolda, oznajmił głośnym szeptem:

– Soler możecie wziąć choćby jutro.

Ermold odsunął się pospiesznie – od alchemika bił kraśny zapach przypalonych chemikaliów – ale gdy ten się odsunął, regent zatrzymał go gestem dłoni.

– Co, zamierzacie unieść ściany twierdzy i przenieść je w inne miejsce?

Alchemik pokręcił głową.

– Ja je zniszczę, panie.

Berg otworzył usta i zaraz je zamknął, nie odzywając się ani jednym słowem.

– Wiecie, to bardzo proste – ciągnął tymczasem alchemik. – W rzeczy samej bardzo proste. Zrobię wam pewien proszek, który zniszczy mury Soleru...

– A ja potrafią okazać wam swoją wdzięczność – odpowiedział Ermold. – Ale wybaczone ciekawość, czy ten wasz proszek można przyrządzić w dużych ilościach? Potrzebne są jakieś rzadkie składniki?

– Nie, nie, przecież mówiłem, że sprawa jest bardzo prosta. Możemy go otrzymać, ile będzie trzeba – wystarczy zmieszać w odpowiednich proporcjach węgiel drzewny, siarkę i jeszcze jedną substancję, której złoża są dość pospolite – odparł alchemik, choć niezbyt chętnie to uczynił. Z szerokiego rękawa wyjął niewielką szklaną kolbę, na której dnie leżała równa warstwa czarnego proszku. – Zechcecie sprawdzić?

– Tak – odpowiedział Ermold. – Z ochotą.

– To musimy wyjść z namiotu, panie. Nie zdążyłem jeszcze porobić odpowiednich prób i przypuszczam, że taka ilość nie narobi większych zniszczeń, ale dla bezpieczeństwa...

– Dobrze – stwierdził Ermold. – Ja i moi kapitanowie chętnie na to popatrzymy. Jak wam się to podoba, messer Berg?

Berg wzruszył ramionami.

– Jeżeli ten człek nie przeprowadził eksperymentów, skąd możemy wiedzieć, że to będzie działało?

– Zadziała – stwierdził z uporem alchemik. – Podpaliłem tylko szczyptę. Wszystko poszło tak, jak myślałem.

– Tak, tak... – Berg westchnął ciężko i z rezygnacją. – To wasze własne odkrycie? Czy może przeczytaliście jakiś stary manuskrypt?

– Zobaczyłem to we śnie – odpowiedział alchemik. – Jakby pergamin z symbolami, a potem sam proszek. I rzeczywiście, kiedy zmieszałem, co trzeba, wszystko wyszło tak, jak w moim śnie.

– Bardzo przekonujące, prawda? – wtrącił Ermold. – No cóż, wypróbujmy wasz proszek wybuchowy. I jeżeli wszystko pójdzie tak, jak mówicie...

Zwrócił się do Berga:

– I co wy na to, panie ambasadorze? W waszej Terrze znają tę mieszanekę?

– Terra – odparł Berg – z niczego takiego nie korzysta. Ani podczas wojen, ani w innych celach...

– No proszę – skwitował to uprzejmie Ermold. – W takim razie, przypuszczam, że dokładny skład proszku zachowamy w tajemnicy, co?

– Oczywiście – odparł Berg nie mniej grzecznie. – Na waszym miejscu tak właśnie bym postąpił.

– Cóż... – Ermold zatarł dłonie. – Chodźmyż popatrzeć. Chcecie być przy eksperymencie, panie?

Berg wyszedł z namiotu. Dwaj wartownicy, którzy do tej pory podpierali wyłożoną kobiercami ścianę, oderwali się od niej i niczym podwójny cień ruszyli za nim.

– To dla mnie wielki honor – stwierdził Berg z westchnieniem.

– Proch? – zdziwił się Leon.

– Czemuż by nie? – Berg spacerował po namiocie tam i z powrotem. Leonowi działało to na nerwy, ale nic nie mówił. – Wszyscy wynajdują go prędzej czy później.

– Nie w porę – Leon zagryzł wargi. – Och, jak nie w porę!

– Tak – Berg kiwnął głową. – Teraz, oczywiście, o żadnych rozmowach nikt nie

wspomni. Nie będzie żadnych warunków. Ledwo, ledwo udało się wszystko jakoś zakończyć pokojowo i masz – pojawia się jakiś typ i oznajmia, że bez trudu i w dowolnej chwili może zrobić wyłom w miejskich murach.

– Alchemik?

– Amator... piroman. Jakieś tam proste oprzyrządowanie taszczył z medycznym taborem, ale – szczerze mówiąc – zbyt wielkiej chytrłości do tego akurat nie trzeba.

Prychnął.

– Wiesz, co jest najśmieszniejsze? On powiada, że receptura prochu mu się przyśniła. Cholerny Mendelejew!

– Albo Kekulee...

– Owszem, zgodził się Berg. – Kekulee... I teraz Soler padnie. Nie ma potrzeby prowadzić żadnych pertraktacji. Ermold złoży marchię u stóp młodego Ademara... I nie tylko Soler. Miejscowe twierdze nie ostoją się przed prochem.

– Zabawne, prawda? – zapytał Leon. – Pamiętasz, mówiłeś, że trafiliśmy do Średnich Marchii akurat w tym momencie, w którym siły dosrodkowe zaczęły odnosić zwycięstwo nad odśrodkowni. I że stoimy na progu nowego imperium. Tylko że wtedy myślałeś, że elementem centralnym będzie nie Ermold, ale Ansard. Soler, a nie Re-tra.

– Cóż, pomyliłem się – przyznał Berg. – Ansardowi nie brakowało ambicji, ale mimo wszystko był tylko żołnierzem... A tu widzisz, jak wszystko się złożyło – Retra dokonała skoku technologicznego i ma wszystkie atuty w rękę. Rycerski duch ulegnie postępowi.

Westchnął i zgarbił się nad ogniskiem.

– Wszystko się zgadza – warknął nie patrząc na Leona. – Szkoda tylko mieszkańców Soleru. Gdyby Ansard poddał się na honorowych warunkach, ocaliłby miasto. I mieszkańców... tych, którzy jeszcze zostali, oczywiście. A przy udanym szturmie, kto ich będzie oszczędzał? Wszyscy pójdą pod miecz...

– Tak – zgodził się Leon. – Wszyscy...

– Starcy, dzieci...

– Nie ma już w Solerze starców i dzieci. Już nie.

– Nie żal ci ich, stary?

Leon doznał dziwnego wrażenia – jakby napały nań ścianki namiotu, nie dając możliwości ucieczki... Przez chwilę nie mógł oddychać. Co się stało z jego partnerem? Jakby się zamienili rolami, pomyślał. Dawny Berg nigdy by sobie nie wziął tak mocno do serca losu aborygenów. Cholerny świat...

– Żal – powiedział – oczywiście. I nie tylko ich. Ermold stratuje Średnie Marchie. Myślę, co prawda, że do podporządkowania sobie wszystkich wystarczą jeden, dwa przykłady pogładowe.

– Gdyby nie ten pieprzony wynalazca...

– I LIŻ mówiłeś.

– Ansard sam by otworzył wrota. Retra ograniczyłaby się do aneksji Soleru, ofiar byłoby nieporównanie mniej. W Średnich Marchiach zapanowałby względny spokój, a równowaga sił przetrwałaby do przybycia Drugiej Kompleksowej.

– A co ma Druga Kompleksowa do... Poczekaj, do czego ty zmierzasz?

– Proponuję usunąć tego wynalazcę – stwierdził sucho Berg.

– Usunąć? – Leon wytrzeszczył na niego oczy z niedowierzaniem.

– No tak. Co tak patrzysz? To ty zmusiłeś Ermolda do wznowienia rozmów. Przecież on nie zna żadnych subtelności... eee... saperskiego rzemiosła. Orientuje się tylko ogólnie.

– Berg – odezwał się Leon, tłumacząc cierpliwie partnerowi sprawę dość oczywistą.

– Sam wiesz, że skoro raz coś wynaleziono, wynajdą to ponownie...

– Ale nie teraz. Później. Więc?

Berg – Leon mówił już całkiem cicho. – To rozka, czy... Berg podniósł wzrok i spojrzał na Leona. W półmroku namiotu jego oczy były zupełnie jasne.

– To nie rozkaz – stwierdził wreszcie. – Nie mam prawa do wydania takiego rozkazu. To tylko... propozycja.

– Ty co? – odezwał się powoli Leon. – To przecież... Jeżeli w Korpusie się o tym dowiedzą, to nas zdymisjonują. Bez prawa powrotu do pracy operacyjnej. Skończą się nasze kariery... wszystko inne też...

– Ale Soler ocaleje. Tylu ludzi, pomyśl...

– A odkąd ty się o nich troszczysz? Sam mówiłeś – obiektywne procesy historyczne i inne takie... Od kiedy... Poczekaj! – Nagle go olśniło. – I dla niej? Dla Soreille?

Berg milczał.

Teraz już nie patrzył na Leona. Stał i przyglądał się własnym palcom, jakby je widział po raz pierwszy.

– Akurat! – ciągnął tymczasem Leon. – Wcale ci nie chodzi o nieszczęsnych, bezbronnych mieszczan! To wszystko przez nią, przez tę... Zapomniałeś o wszystkim, o tych swoich ukochanych instrukcjach i regulaminach, gotów jesteś złamać obowiązki służbowe i popełnić przestępstwo! A ja już myślałem, że o niej zapomniałeś! Posłuchaj, Berg ona nie jest tym, za kogo... Przecież to ona nas wtedy wydała!

– Nie – odezwał się uparcie Berg. – Nie wierzę.

– Zdażyłeś już przekonać samego siebie?

– To był przypadek, jakieś nieporozumienie. Jeżeli nawet coś zrobiła, to nieumyślnie albo ją do tego zmuszono... ona nie mogła...

– Zdradzić cię z własnej woli? Taka była delikatna, kochająca...

– Nie musisz ironizować. Mogła mieć wreszcie jakieś swoje powody. Leon, przecież oni są całkiem inni. Nie zawsze możemy zrozumieć, czym się kierują.

– Właśnie – stwierdził sucho Leon.

– Więc odmawiasz? – zapytał Berg głosem, w którym zamarła wszelka nadzieja. – Nie chcesz mi pomóc?

Wyglądał teraz żałośnie – zawsze spokojny, beznamiętny i rzeczowy Berg nie umiał prosić, ani się poniżać.

„Biedny Berg – pomyślał Leon. – ale wpadł, biedaczysko”. Na głos zaś powiedział.

– Pomogę ci. Oczywiście, że ci pomogę. Musimy trzymać się ra zem – w przeciwnym razie zginiemy obaj...

Alf siedział przy wejściu do namiotu, strugając kozikiem fujarkę. Miał przy tym tak skupioną twarz, jakby zajmowały go niezmiernie ważne sprawy, ale gdy zobaczył Leona, zerwał się na nogi, błyskając podnieconymi oczami.

– Ale się porobiło, panie! Ten stuknięty wdział na siebie czarny kitel, ustawił za obozem piramidkę z kamieni, wysypał pod nią swój czarny proszek, potem przeciągnął tam cienki sznurek, podpalił go, nadał się, uniósł ręce i powiada: „Na sławę Retry”! Ogień pobiegł po tym knocie, podpalił proszek, a ten ci jak nie gruchnie! Piramidka się rozleciała, jeden kamień pofrunął na dwadzieścia kroków! Kapitano wie zaczęli pomrukiwać, że to niby niehonorowy sposób prowadzenia wojen, który położy kres rycerskiej sławie, ale regent Ermold był bardzo zadowolony. Powiedział, że po zdobyciu Soieru ten alchemik dostanie tyle złota, ile zdoła udźwignąć. Mówił, że im bardziej zabójczy środek, tym lepszy i że nie ma co sobie zawracać głowy innymi głupstwami.

– To wiem – Leon się skrzywił, jakby go nagle zabolął ząb. – Ale skąd ty o tym wiesz? Doświadczenie było zamknięte.

– Że niby jak?

– Mówię, że takim, jak ty, nie wolno było patrzeć...

– A ja nie patrzyłem – odpalił Alf.

Chylące się ku zachodowi słońce zalewało jeszcze światłem porzucone pola, na których znów się pojawiła bujna zieleń, a w zenicie, trzepocząc maleńkimi skrzydełkami, zanosił się śpiewem skowronek. Leon popatrzył w dal, gdzie ponad sinawą mgłą widać było masyw twierdzy Soler. Gród wyglądał stąd na wymarły – Na murach nie było nikogo.

– A czemuż to ambasador Berg chodzi jak ścięty? Mamrocze wciąż pod nosem, nocami przewraca się na posłaniu... – zaciekawiał się Alf. I sam sobie odpowiedział: –

Tęskni chyba za tamtą panną... Ot, niby jest blisko, a nie dosięgniesz. Oczarowała go, trafiła w samo serce... Oj, przebiegła to panna, powiadam wam...

– To prawda – zgodził się Leon z niechęcią. – Masz rację. Nie spodobała ci się od samego początku.

– Na oko jest urodziwa – zgodził się wielkodusznie Alf. – I umie się zachować, skromna i cicha, po prostu gołąbka, nie dziewczyna. Ale po mieście chodziły słuchy, że to ona przyłożyła rękę do śmierci poprzedniego margrafa. A gdyby nie umarł, wszystko by się potoczyło inaczej. On wcale nie zamierzał włączyć w tę pułapkę! Zwlekał do ostatka, ludzi mu było szkoda. A pani Hersencła zwróciła oko na lorda Ansarda, więc dziewczyna postanowiła się jej przysłużyć. I cóż z nią się teraz stanie, nieszczęsną...

– Mówisz, o Soreille? – zdziwił się Leon.

– Ależ skąd? O pani Hersendzie! Mówią, że świata nie widzi poza lordem Ansardem. Myślę, że dlatego on chciał się poddać – żeby ją, głupią, uratować. A jeżeli temu kręcipigule naprawdę uda się zrobić wyłoni w murach Soleru, to nie dam grosza za jej życie...

Pokręcił głową.

– Między nami mówiąc, panie, ten czarny proszek wcale nie jest taką nowinką, jak sądzi radca Ermold. (Juntr umiał robić taki sam albo bardzo podobny. Kiedy w Czarnym Lesie podmyło skałę, i ta przegrodziła rzekę, mieszkańcy wioski, w której akurat się zatrzymaliśmy, poprosili, żeby się za nich pomodlił. Oni tam mieli na rzece młyn i folusz... A Guntr powiedział, że modlitwy nie wystarczą. Wziął siarkę, węgiel drzewny i coś tam jeszcze...

– Aha – powiedział Leon.

– ...wszystko zmieszał; tyle części jednego, tyle drugiego, i tak dalej. Potem kazał wydłubać dziurę w podstawie skały, solidna była ta dziura, wetknął tam kiskę z tym proszkiem i podpalił. Skała rozpadła się na części, z którymi mieszkańcy wioski szybko się uporali.

– To powiedz mi, mój świszczypało, czemuś ty nie zaofiarował swoich usług regentowi Ermoldowi? Dostałbyś tyle złota, ile mógłbyś unieść.

– Guntr mówił, że to, co się ma zdarzyć, zdarzy się i tak. Ib po cóż miałbym się wysilać?

– Rzeczywiście – Leon rzucił kosę spojrzenie na wartownika, który obojętnie polerował kolbę kuszy. – Wejdz do namiotu, człowieku, trzeba nam się rozmówić...

– Sekrety, wieczne sekrety – mruknął Alf, zanurzając się w pełne zaduchu wnętrze. W środku, niczym metronom, przesuwiał się cień Berg nijak nie mógł usiedzieć na miejscu i chodził z kąta w kąt.

– A jeszcze mówił, że gdyby odlać z metalu zamkniętą z jednej strony rurę i podpalić czarny proszek, tak, żeby skierować siłę wybuchu ku wylotowi, można by miotać kamienie albo ołowiane kule. Ale powiadał, że świat bez tego odkrycia może się na razie obejść.

– Dom wariatów, jak Boga Kocham – cichutko wymamrotał Leon. – Alf... gdzie się ulokował ten lekarz?

– W obozie – stwierdził wszędobyłski Alf. – Tam jest taki kryty wóz z dachem na poły uniesionym...

Przez chwilę milczał, a potem uważnie spojrzał na Berga.

– Nie trzeba.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – uciął Berg.

– Niczego nie zmicnicie. Nie da się niczego zmienić. Niczego nie zrozumieliście, panowie. Go ma być, to będzie. A tak, na waszym sumieniu legnie jeszcze jedna śmierć.

– Lepiej, niech umrze jeden, niżby mieli zginąć wszyscy mieszkańcy Soleni – rzekł Berg.

– Wszyscy tak mówią, kiedy chcą zrobić jakąś podłość. Solerczy-cy są skazani tak, czy tak.

– Zobaczymy – stwierdził sucho Berg.

– Wolałbym nie.

– Dobrze – Berg uniósł podbródek. – Nie trzymam cię. Zabieraj się stąd!

– Nie z wami trzymam – odpowiedział śmiało Alf. – Trzymam z messer Leonem.

– Ach ty...

Odwrócił się do Leona i spojrzał nań błagalnie.

– Czyście i wy stracili rozum, messer Leonie? Rozumiem, że ambasador Berg ponownie zapłonął miłosną gorączką, ale wy przecież...

– Nikt cię nie pytał – odciął się Leon. – Nie chcesz pomóc, to nie przeszkadzaj. Słyszysz?

Alf wzruszył ramionami.

– A co mi tam – stwierdził ponuro. – Sami zobaczycie...

Leon wyjrzał na zewnątrz. Za ścianami namiotu przestępował z nogi na nogę wartownik. Honorowa straż – albo warta, jeżeli zdecydują się na to szaleństwo, odwrotu już nie będzie.

Znów cofnął się do namiotu.

– Poczekamy na noc.

Alf parsknął pogardliwie.

– Ty mi tu nie parskaj – rzucił sucho Leon. – Ty... tego... pozbieraj rzeczy. Potem nie

będzie czasu...

– I gdzie to się wybieracie?

– Spytaj o coś łatwiejszego.

– Nigdzie się nie podziejecie – złowieszczo stwierdził Alf. – W So-lerze nie pokażecie nosa, z waszej Fembry została o, taka jama, a teraz jeszcze zadzieracie z Retrą. Co myślicie, że jego dostojność Ermold daruje wam coś takiego? Będziecie się wałęsać po lasach, jak zbóje... i będziecie gorsi od zbójów.

– Powiedziano ci – warknął Leon – żebyś zamknął paszczę!

– No dobra... dobra...

Alf niczym cień przemknął ku tylnej ścianie namiotu i bezszelestnie wyciągnął dwa skórzane wory ze skrzyni... Berg patrzył za nimi z udaną obojętnością i roztargnieniem, bębniąc palcami po stole.

„Nie spuszcza zeń oczu – pomyślał Leon. – Nie dowierza mu. Boi się, że Alf nas wyda Hrmoldowi, nie za darmo, rzecz jasna”. Sam Leon z niewiadomej przyczyny był pewien, że Alf zrobi wszystko, co mu każą, ponarzeka, ale robi. Pójdzie nawet na zabójstwo i nie będzie się oszczędzał... Nie wiadomo, czym oni – obcy w końcu – zasłużyli sobie na takie oddanie – nie wiadomo też, czy w istocie było to oddanie.

Na dobrego, wiernego sługę chłopak raczej nie wygląda. Może liczy na jakąś korzyść, której Leon nie umie dostrzec? Ale jakaż korzyść może okupić takie ryzyko – drugiego życia za nic się nie kupi.

„Berg się wykończy – tej nocy też chyba nie spał. Nieznośną musi być myśl, że za murami, w odległości strzału z łuku, męczy się z głodu i pragnienia ukochana osoba. Marionetka – pomyślał – cień, urok, ale dla Berga to jedyna, najpiękniejsza i niezastąpiona dziewczyna na świecie... Dureń! Och, co za dureń!”

– Pospałyś trochę, Berg, co?

Berg w milczeniu wskazał mu wzrokiem Alfa.

– On mnie pilnuje – przyznał ochoczo młodzieniec. – Myśli, że ucieknę.

– Nie ucieknie – zapewni! Leon Berga.

Ten zagryzł wargi.

– No dobrze – stwierdził wreszcie. – Sam go popilnuj, jak jesteś taki ufny...

– Popilnuję, a jakże – kiwnął głową Leon. – A ty odpocznij. Gdzie zresztą miałbyś uciekać?

Berg zamknął oczy. Umiejętność natychmiastowego zasypiania, którą posiadał każdy wyszkolony agent Korpusu, przydała mu się i teraz – po kilku chwilach jego oddech zwolnił i stał się równiejszy. Leon popatrzył nań z zawiścią.

– Wy też się zdrzemnijcie, panie – zaproponował Alf. – Nigdzie nie ucieknę, sami

wiecie...

– Wiem, wiem – warknął Leon.

Wyciągnawszy się na chłodnym posłaniu założył ręce za głowę i przez jakiś czas leżał gapiąc się w niski pułap namiotu. Potem także zasnął. Przyśnił mu się Mendelejew w profesorskiej todze, który groził mu potężną, włochatą pięścią. Wielki chemik najwyraźniej sprzeciwiał się ich przedsięwzięciu – Leon zresztą nie mógł się z nim nie zgodzić. Sam czuł gryzący smutek, który nie opuścił go nawet we śnie. Czym innym jest pozbawienie człowieka życia podczas walki, a czym innym – zaplanowane na zimno skrytobójstwo bezbronno uczonego. Oczywiście, obaj z Bergiem postarają się, żeby nie było niepotrzebnych ofiar – ale i jedno morderstwo wystarczy – cokolwiek się nie stanie i jakkolwiek się potoczą jego losy, Leon nigdy już nie będzie takim, jak przedtem...

Kaganek zamigotał i zgasł, a za ścianami namiotu rozpostarła się obca noc, pełna zapachów mokrej ziemi, świeżej trawy i końskiego nawozu. Gwiazd nie było widać, choć niebo pozostało bezchmurne; ich niewyraźną poświatę gasiły odbłaski obozowych ognisk. Przy ogniskach snuły się czarne cienie, pochrapywały konie, a czasami do namiotu dolatywał głośny śmiech i odgłosy ostrych sprzeczek.

„Nie uspokoi się chyba do rana – pomyślał Leon, ale nie można już dłużej zwlekać”.

– Powinniśmy zaczynać – odezwał się. – Wkrótce zaczną świtać. Noce są teraz krótkie.

Berg, siedzący na posłaniu w pozie pełnej napięcia, natychmiast poderwał się na nogi.

– No to jazda – westchnął. – Jak trzeba, to trzeba...

– A ja? – zapytał Alf z ciekawością w głosie. – Co ja mam robić?

– Nie podłóż pod rękę.

Alf znów mruknął coś do siebie pod nosem, ale się nie sprzeciwił – cofnąwszy się w kąt namiotu stał się niewidzialny, jak tylko on umiał.

Leon pomilczał przez chwilę, potem kiwnął Bergowi głową i wybiegł na zewnątrz, odrzuciwszy ciężką zasłonę wejściową. Wartownik – już drugi, nowy – natychmiast się poderwał. Wyglądało, że przed chwilą zabijał czas podrzemując z na poły zamkniętymi oczami przy podwieszanej ścianie namiotu. Teraz jednak był samą czujnością: nogi lekko ugięte w kolanach, ręce naprężone, kusza gotowa do strzału...

Widzisz go, westchnął Leon, służbista... I krzyknął głośno, rwącym się i przestraszonym głosem:

– Lekarza! Szybciej! Ambasador Berg...

Wartownik nie ruszył się z miejsca. Nawet nie przestąpił z nogi na nogę. „Dobrze

wyszkolony” – pomyślał Leon.

– Upadł i nie rusza się – ciągnął pospiesznie. – To chyba dzuma... Błagam, wezwijcie lekarza!

– Nie było rozkazu, by opuszczać posterunek – odparł zbity z tropu wartownik.

– Sami popatrzcie...

– Nooo...

W końcu wartownik podjął decyzję. Puściwszy Leona przodem wsunął się do namiotu i ostrożnie schylił się nad leżącym w półmroku ciałem.

– A kuku! – powiedział Berg. W tej samej chwili Leon odwrócił się błyskawicznie i uderzył wartownika kantem dłoni w szyję. Żoł nierz stęknął i upadł.

– Załatwiony? – zapytał Berg, wstając z posłania. Leon schylił się i pomacał palcem tętnicę szyjną.

– Nie na śmierć... Sznur!

Do leżącego podsunął się Berg, trzymając w wyciągniętych rękach kłębek sznura. Ambasador czuł się jak idiota – po raz pierwszy w życiu przyszło mu wiązać człowieka.

– Może ja, panie – zaproponował Alf. – Moich węzłów nie rozplacze.

Szybko i nad podziw zręcznie związał wartownika jak barana i zakneblowawszy mu gębę szmatą odciągnął w róg namiotu.

– Nie wiadomo, kiedy się ocknie – stwierdził rzeczowo. – Niech sobie poleży...

– Dobra – rzekł Leon. – Idziemy.

Wyślizgnąwszy się z namiotu minęli spętane konie i polową kuchnię, a potem skierowali się ku obozowi, którego ciemny zarys był dobrze widoczny na tle usianego gwiazdami nieba.

– Który, mówiłeś, wóz? – zapytał Leon.

– O, tamten – stwierdził Alf z dużą pewnością w głosie.

– Na pewno?

– Trudno bardziej. Metr Kannabis śpi w swoim namiocie, a ten w wozie pilnuje proszków i tygli do kręcenia piguł. I ciszej, panowie. Robicie za wiele hałasu.

Samemu Leonowi wydawało się, że sunie bezgłośnie, niczym nocny cień. Podniósł się ostrożnie i uchyliwszy nieco zasłonę zajrzał do wskazanego namiotu. Na półce dogorywała samotna świeca, oświetlająca nierównym światłem groźnie wyglądające, rozłożone na stoliku instrumenty chirurgiczne, kolby z mętnego szkła, gliniane moździerze i dzbany, w których kisiły się jakieś wywary.

Wszystko to współ z rzuconym na ziemię materacem, świadczyło, że w istocie mieszkał tu pomocnik medyka – teraz jednak posłanie było puste.

– Co tam? – zapytał szeptem Berg, gdy Leon spojrzął mu w oczy, opuściwszy

zasłonę wejściową.

– Nie ma go tam.

– Nie? – Berg obrzuci! Leona podejrzliwym spojrzeniem.

– Berg, nie mam pojęcia, gdzie go wciąło. Może wezwali go do chorego? W każdym razie możemy poszperać jego rzeczach.

I dał nura w głąb namiotu.

– On wkrótce wróci, panie – ostrzegł go Alf. – O, nawet świecy nie zgasił. Poszedł się chyba odlać...

– Jasne – dobiegający ze środka głos Leona zabrzmiał nieoczekiwanie głucho. – Ukryjcie się gdzieś. Jak tylko wejdzie, brać go.

Rozejrzał się pośpiesznie po ciasnym, przesyconym wonią chemikaliów pomieszczeniu – była tu prymitywna, ale działająca aparatura destylacyjna – z kotłem i filtrami z drzewnego węgla. Z rurki wylotowej kapłała do kolby jakaś żrąca, oleista i pachnąca siarką substancja, na dnie okrągłej kolby połyskiwała mętnie warstwa metalicznego osadu, a z zamkniętego słoja buchał taki smród, że mimo woli odskoczył w tył. Homunkulusów usiłują tu wytworzyć, czy co?

„Proch... – myślał gorączkowo. – Proch” Prochu nie znalazł. Na dnie porcelanowej miseczki czerniała odrobina rozartego na proszek węgla, na stole widać było rozsypane żółte kryształki siarki... i nic poza tym.

Ponownie wychylił się na zewnątrz.

– Znalazłeś? – zapytał Berg.

– Nie. Poczekaj...

W kącie namiotu ustawiono wielką skrzynię – Leon pośpiesznie zbił miedzianym tłuczkiem ciężki zamek i podniósł okute żelazem wieko.

Wewnątrz znalazł kukłę sowy, kilka kocich skórek, jakiś paskudny włochaty kłębek wielkości pięści (niewątpliwie bezoar), króliczą łapkę i wyschnięty tułów żaby – wszystkie odrażające składniki śmierdzących medykamentów i dekoktów.

Powinna być tu baryłka albo skórzany worek... Ech, gdybyż ten deszcz nie ustał – wówczas wynalazek pomagiera metra Kannabisa zdałby się psu na budę.

Grzebał się jeszcze zaciekle w stosach rozmaitych gratów, niecierpliwie rozrzucając wszystkie szmatki i zawiniątka, które wpadły mu w ręce, kiedy za płócienną ścianką rozległ się podniesiony głos:

– Ej! Co ty tu...

Alchemik wpadł do namiotu i chwycił Leona za ramię – wtargnięcie obcego natręta do jego sanktuarium najwyraźniej tak go zirytowało, że nawet nie zdążył się przestraszyć.

Leon gracko się wywinął i złapał cherlaka w żelazny uchwyt. Pigularz szarpał się jak

opętany, wytrzeszczał oczy i usiłował ugryźć zamykającą mu gębę dłoń.

Czemuż ten Berg tak zwleka?

Wysunął się na zewnątrz, nie puszczając swojej dziko szamoczącej się ofiary. Alł gdzieś przepadł – najwyraźniej mimo właściwego mu cynizmu, nocna robota budziła w nim szczerą odrazę, ale Berg był na miejscu. Starszy Terranii chwycił alchemika za nogi i powłókł w rosnące nieopodal wiklinowe zarośla. Leon odruchowo poszedł za nim, podtrzymując pigularza za ramiona, ten jednak w końcu zdołał go jakoś ugryźć... Leon skrzywił się z bólu, czując się przy tym jak ostatni idiota.

Czemu go tu ciągną? Po co? Trzeba było od razu...

– Znalazłeś proch? – wystękał zasapany Berg. Leon bez słowa pokręcił przecząco głową.

– Źle szukałeś...

– Dobrze szukałem. Berg, posłuchaj...

Czuł, że dłużej już nie wytrzyma – pomocnik alchemika szarpał się niczym wyrzucona na brzeg ryba, ale jego bezbronność porażała determinację Leona. Trzeba biedaka zaraz wykończyć albo puścić wolno. Nie można tak...

– Poczekaj... Niech sam powie.

Berg fachowym gestem wyciągnął sztylet i wparł go sztychem w chudą, wystającą grdykę.

– Gdzie to jest? Gdzie schowałeś wybuchowy proszek? Alchemik bełkotał coś niewyraźnie i kręcił głową.

– Odpowiadaj, bydlaku! – warknął Berg. Ten sam zduszony skowyt.

Dopiero teraz Leon przypomniał sobie, że wciąż jeszcze zaciska pojmanemu gębę zakrwawioną i przegryzioną na wylot dłońią. Cofnął rękę, ale drugą objął alchemika od tyłu tak, że trzymał jego kark w uścisku imadła.

– Nie mam go... – pisnął alchemik.

– Co? – zapytał Berg z niedowierzaniem. Nóż drgnął mu w ręce i po szyi więźnia popłynęła strużka krwi. Nikłe światło budzącego się dopiero poranka nadawało jej czarną barwę.

– Nie – pospiesznie wyrzucił z siebie pigularz. – Cały zapas... zużyłem. Trzeba... trzeba zrobić nowy.

„Niepotrzebnie się zdradził” – pomyślał Leon.

– Potrzebujecie? Zrobię. Tylko powiedzcie. Tylko ja wiem, jak. Ja jeden – zachłystywał się chudzielec.

– (asne – stwierdził spokojnie Berg.

„Boże, przecież ten biedak myśli, żeśmy przyszli po jego broń absolutną – sam na

jego miejscu doszedłbym do takiego wniosku. Niechybnie wziął nas za szpiegów z wrażego kraju, albo ludzi Ansarda – i gdyby Jak właśnie było, chłop by uznał, że się urodził pod szczęśliwą gwiazdą, bo darowalibyśmy mu życie...”

– Beze mnie nikt... nikt nie zdoła go zrobić! To bardzo delikatna robota. Potrzebne są tajemne i nikomu nieznane zaklęcia!

– Czyli to takie trudne? – zapytał Berg zwodniczo łagodnym głosem.

– Tak! Tak!

– Łżesz! Nie masz w tym żadnego sekretu! Nie trzeba żadnych zaklęć. Wystarczy zmieszać składniki w odpowiednich proporcjach, to wszystko.

Ponownie poruszył ostrzeni. Alchemik zalał się łzami.

– Berg! – ostrzegł go Leon.

– Milcz! – odparł zimno Berg. – Ja sam. Więc powiadasz, zaklęcia?

– Nie... ale... prawda, zaklęcia są dla prostactwa, ale mimo wszystko was nie oszukałem, przysięgam! Skład znam tylko ja! Nikt inny! Nie zna go nawet metr Kannabis, tylko ja... ja jeden! Powiedzcie, ile potrzebujecie, a ja zrobię. Wszystko zrobię. Tylko... zabierzcie nóż, panie!

– Oobrze – odparł szeptem Berg.

Jeszcze jeden błyskawiczny ruch dłoni i ciemna strużka przekształciła się w chlustający na trawę potok. Ciało pigularza targnęło się jeszcze w rękach Leona i zwisło bezwładnie.

Leon ostrożnie położył trupa na ziemi. Kiedy się wyprostował, poczuł nagłe zawrót głowy i musiał zgiać kolana, by zachować równowagę. Bolały go wszystkie mięśnie, jak po jakiejś ciężkiej pracy fizycznej.

– I to wszystko – stwierdził szeptem Berg.

– Tak – odparł Leon przez ściśniętą krtani. – Wszystko.

Nie mógł patrzeć na Berga.

– Jedno życie za wiele innych – Berg nadal mówił cicho, jakby nieboszczyk mógł go usłyszeć. – Owszem, sam wiem, że to demagogia, ale...

– Wiem – odpowiedział Leon. – Chodźmy. Nie mogą nas tu znaleźć.

– Wiem – odparł Berg niczym echo.

– Jak myślisz? Czy to było naprawdę konieczne? Może... może trzeba go było tylko związać i zabrać ze sobą?

– Jak? – odpowiedział Berg znużonym głosem, ocierając sztylet o połą opończy. – Przecież uciekłby przy pierwszej okazji.

Przez chwilę jeszcze milczał, a potem powiedział, zwracając się ni to do Leona, ni to do leżącego w mokrej trawie nieboszczyka: – Wybacz...

- To nie... niepotrzebne – westchnął Leon. – Postąpiłeś słusznie.
- Wiem, ale...
- Ale kto nam wybaczy? – podchwycił Leon z goryczą w głosie.

Rzeka była niezwykle cicha – wróciła znów do starego koryta. Nad jej zielonkawą powierzchnią widać było wysepki i płycizny, a nad wodami krążyły lekkie jak szklane zabawki ważki.

Leon leżał na plecach, oparłszy głowę na splecionych pod karkiem dłoniach i patrzył, jak po spłowiałym niebie płyną nieważkie i prawie przejrzyste obłoczki. Widok był kojący, ale Terranin czuł ciężar na duszy.

„Przecież – myślał – niezależnie od motywów, jakimi Berg się kierował, jakkolwiek by nie prowadził go miraż, wykupiliśmy z rąk boga wojny mnóstwo ludzkich żywotów, za cenę jednego. Biedny pigularz... Lepiej by mu było, gdyby szukał tego swojego kamienia filozoficznego. Co prawda, też świnia z niego była nie lada – chciał zapłacić za swoje życie cudzą śmiercią, śmiercią swojego mistrza, sprzedać sekret wrogowi, byle tylko ocaleć... Co prawda żadne to usprawiedliwienie dla tego, cośmy z Bergiem zrobili. Ale Soler ocaleje”.

Odwrócił nieco głowę i spojrzał na Berga. Partner siedział, objawszy kolana rękoma, i gryzł jakąś trawkę. Miał mrok w twarzy – tak samo, jak Leon.

„I nigdzie się teraz nie skryjemy sami przed sobą – pomyślał. – Jeżeli... Nie – poprawił sam siebie i uśmiechnął się jakby dobrodusznie, drwiąc z własnej przesadności. – Jak tylko się stąd wydostaniemy, złożę prośbę o przeniesienie do innej grupy. Na inną planetę.

Albo w ogóle zrezygnuję z pracy w Korpusie. Zajmę się... nie, tylko nie etnografią... do diabła, znajdę sobie przecież jakieś zajęcie! Ale z Bergiem już nie będę mógł pracować. I on ze mną też nie. Ponieważ... Ponieważ obaj znamy wzajemnie nasze wstydlive sekrety”.

„Odejdziemy nocą – myślał dalej. – Tam, przez góry do wioski nad jeziorem. Wioska porzucona, cała okolica obłożona kłątwą, kto nas tam będzie szukał? Nawet maruderzy i rabusie nie będą tam zaglądać, a zresztą, czegoż by mieli szukać? Ermold ujmie Soler twardą ręką, oczyści lasy ze zbójów, zbiegłych chłopów ponownie zagoni do wiosek, jeńców zapędzi do odbudowy dróg, a w Średnich Marchiach ponownie i na długo zapanuje spokój”.

Berg poczuł na sobie jego wzrok i się odwrócił.

- Poczekamy na zapadnięcie zmroku i pójdziemy – stwierdził.
- Jasne – odparł Leon.

Berg podniósł głowę i poszukał wzrokiem Alfa, który z zaostrzonym kijem w ręku stał po kolana w wodzie i patrzył uważnie na przemijające pod nim cienie.

– Powiedziałeś mu? Wie, dokąd idziemy?

– Tak.

– A on?

Leon wzruszył ramieniem.

– Powiedział, że pójdzie z nami.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Odeślij go.

– Berg, on jest wolnym człowiekiem. Zechce, sam odejdzie, nie – to pójdzie z nami.

Nie mogę dłużej już mu rozkazywać. Nie mam prawa.

– Tacy jesteśmy delikatni?!

– Owszem, tacy delikatni.

– No, ale przynajmniej ciesz się tym, żeśmy uratowali kupę ludzi.

– Właśnie się cieszę, nie widać?

– Z pewnością kontynuują pertraktacje.

– Tak. Jak myślisz, znaleźli go już?, A co za różnica?

– Pewnie – zgodził się Leon. – Co za różnica.

„Tej nocy będzie cicho – pomyślał. – Ansard otworzy bramy, Ermold wejdzie do Soleru, ale nie jak do wrogiego miasta, a jak do swojego...No, co tam – ofuknął sam siebie – dość już o nich. Ich już nie ma, są niczym, cieniem wspomnienia, żadnego z nich już nie zobaczę. Nasze drogi się rozeszły. Będziemy siedzieć cicho” cichuteńko, bardziej cicho od Urchasa Słupnika. Będziemy składać robiące duże wrażenie raporty, a gdy przybędzie Druga Kompleksowa przekażemy dokumenty kompetentnym chłopakom, którzy z pewnością ogłoszą w tym sektorze kwarantannę, dopóki się nie wyjaśni, co takiego, obcego i groźnego ukryło się tu pod ziemią... A ponieważ potrzebne na to będą nawet nie lata, a stulecia, kwarantannę ogłoszą na długo – może i na zawsze...

W każdym razie – myślał dalej – mnie już to nie będzie interesowało. Nie będę nawet pracował na innej planecie. W ogóle nie będę już pracował dla Korpusu”.

– Utrzymujecie, znaczy – Ermold zwrócił się do swojego sekretarza – że ktoś porwał obu terrańskich ambasadorów i zabił tego pigularza?

Noskiem buta trącił trupa, a potem wytarł nogę o trawę.

– A co mówi wartownik?

– Powiada, że niczego nie pamięta.

– Dziwne.

Tak bywa, panie – stwierdził sekretarz, z szacunkiem w głosie – kiedy ktoś weźmie po łbie.

– Nie to jest dziwne, że on niczego nie pamięta – stwierdził jego dostojność regent z zadumą w głosie. – Po uderzeniu w głowę takie rzeczy owszem, się zdarzają. Dziwne, że w ogóle został przy życiu. I że mu dali po łbie, a nie poderżnęli mu gardła. Bo tego nieszczęśnika jednak zaciukano.

– Być może napastnicy, znaczy wrody zwiadowcy, doszli do wniosku, że zatłukli go od razu? – podsunął ostrożnie sekretarz.

Krmold parsknął enigmatycznie.

– A sługa?

– Wybaczcie, panie?

– No, ten sługa Messer Leona, który też przepadł. Gdzie się podział? Też go porwano? Nie, wszystko było inaczej. To oni... oni sami.

– Kto, panie?

Ambasadorowie. Gotów jestem założyć, że jeżeli dobrze poszukacie w ich namiocie, nie znajdziecie podróży worków i niektórych rzeczy. Widać, że to ich sprawka. Zarżnęli pigularza i uciekli. Nie zabijają niepotrzebnie, więc wartownika oszczędzili. A przy okazji, powiesić go. Za brak czujności. Odczytać rozkaz przed frontem wojsk.

– Ale dlaczego? – zapytał ogłupiały sekretarz.

– Co – dlaczego?

– Dlaczego oni to zrobili? Ermold się uśmiechnął.

– To dobrzy, szlachetni ludzie – stwierdził z goryczą w głosie. – Gdybym znał tajemnicę tego wybuchowego proszku, nie musiałbym prowadzić pertraktacji z tym mordercą krewniaków. Wziąłbym Soler jeszcze dziś w nocy. A tak... Dobrzy ludzie, owszem. Zdecydowali się na skrytobójstwo, żeby zapobiec rzezi. Ciekawe, jak się teraz czują. Przypuszczani, że parszywie.

– Więc pertraktacje...

– Och, tak. A co innego nam pozostaje? Spiszcie ultimatum. W imieniu naszego władcy, Ademara. Co tam jeszcze?

Sekretarz wyjrzał na zewnątrz.

– Metr Kannabis, panie – wyjaśnił po powrocie. – Rozrabia przy wejściu. Żąda, żeby go przyjąć. Przegnać go?

– Poczekaj. On co? Dopiero teraz się dowiedział, że zarżnięto mu pomocnika?

– Och, nie, panie. O tym już wie. Mówi, że ma całkiem inną sprawę, tylko do was osobiście. Bardzo ważną i bardzo tajemniczą.

Ermold z roztargnieniem potarł garbek nosa. Jego spojrzenie się ożywiło.

– Być może sekret tego proszku nie jest jeszcze stracony. Nie może być, żeby metr nie wiedział, czym zajmuje się jego pomocnik. Dawaj go tutaj.

– W tej chwili, panie.

Metr Kannabis był tyleż solidnym i dorodnym mężczyzną, ileż pysznym i mizernym był jego pomocnik. Miał na sobie długą aksamitną szatę, a na głowę wdział czterograniastą czapkę – znak swojej profesji. Najwyraźniej znający swoją wartość, skłonił się niespiesznie i spojrzał na Ermolda z szacunkiem, ale bez uniżoności.

– Co tam macie? – zapytał dobrodusznie Ermold.

Alchemik rozejrzał się dookoła. Przez chwilę patrzył na sekretarza, jakby się zastanawiając, czy konieczny jest zbędny świadek, ale po chwili podjął decyzję, zwrócił do regenta:

– Broń, panie – stwierdził cicho, ale wyraźnie i z naciskiem w gło się. – Straszna broń. Znam sposób na zwalenie murów Soler u. W jednej króciutkiej chwili. Możecie wziąć twierdzę jeszcze dziś w nocy...

Ermold kiwnął głową, jakby potwierdzając swoje skryte przypuszczenia.

– Znaczący, wiedzieliście, nad czym pracuje wasz pomocnik?

Metr spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Mój pomocnik? Ten... to... – przez chwilę miał minę człowieka szukającego w myślach odpowiedniego określenia – to zero? Wiedziałem tylko, że wciąż się grzebie w jakichś śmierdzących mieszaninach... ani pomocy, ani wsparcia... kompletne beztalencie.

– Co takiego? – teraz zdziwił się Ermold – Zechciejcie wybaczyć, ale myślałem... Kiedy wczoraj przyszedł do mnie... Tak, możliwe, że sam niczego nie wymyślił, tylko skradł wam wasze odkrycie.

Metr Kannabis zbladł jak ściana kostnicy.

– Moje odkrycie?! – zapytał z trwogą w głosie. – Ten... to... Chcecie powiedzieć, że zjawiał się wczoraj u was i podał moje odkrycie za swoje własne?

Metr był tak poruszony, że w jego głosie gdzieś się zgubiła nuta szacunku dla rozmówcy.

– Wszystko jasne! – Ermold zatarł dłonie. – Zjawiał się u mnie wczoraj i powiedział, że może zniszczyć mury Soleru. I zdołał to udowodnić. Przeprowadziliśmy próbę.

– O! – metr tylko stęknął.

– Upierał się, że sekret znany jest tylko jemu samemu. Dlatego, rozumie się, zrobiliśmy wszystko z dala od obcych oczu. Był przy tym tylko terranski ambasador. Co okazało się błędem, jak tego ciowiodły dalsze wydarzenia.

– I ta próba – wymamrotał metr zmartwiającymi wargami – była udana?

– Tak. Ale jak wiecie, wasz asystent zapłacił głową za własne zuchwalstwo. Zabili go zwiadowcy wroga, jasne więc – dodał pospiesznie – że drugi raz to się nie powtórzy. Będziecie pod prawdziwie królewską ochroną. I oczywiście, czeka was szcudra nagroda, jakiej nie znała jeszcze historia Retry. Dwójca wie, kogo karać, a kogo nagrodzić. Teraz jest jasne – łajdak dostał to, co mu się należało. Ukraść wam sekretne formułę... A to łotr nad łotry!

– Nie rozumiem – wymamrotał oszołomiony tymi nowinami Kannabis. – To kompletny profan i samozwaniec. Skąd on wiedział...

Przeprowadzałem doświadczenia w tajemnicy... nikogo nie dopuszczałem...

– Być może był lepszym szpiegiem niż alchemikiem. Ale prawda, jak on śmiał? Zdecydować się na takie zuchwalstwo – przyjść i powie dzieć, że wynalazł wybuchowy proszek. Akurat!

Metr Kannabis ponownie wybałuszył na niego zdumione oczy. Przez chwilę bezdźwięcznie otwierał i zamykał gębę, usiłując coś powiedzieć. Wreszcie wydusił z siebie pytanie:

– Wybuchowy... proszek?!

– No Jak. Mieszaninę czegoś tam i czegoś jeszcze. W rzeczy samej, wspaniały wynalazek. Jeżeli go podpalić, może dokonać wielkich zniszczeń. Ale co to wam, łaskawco?

– Proszek? – ponownie wystękał zdumiony lekarz. – Wybaczcie, panie...

Cofnął się i tyłem, nie spuszczając zdumionych oczu z regenta, podszedł do lekarskiej skrzynki na instrumenty i ostrożnie podniósł wieko. Potem równie ostrożnie, jak delikatnego motyla, wyjął niewielką, szklaną kolbę, na dnie której przelewała się jakaś oleista, żółtawa ciecz.

– To jakaś sztuczka – wymamrotał na koniec. – Oszustwo... Niczego nie rozumiem... Ten środek nie jest w ogóle proszkiem. I nie trzeba go podpalać. On wybucha od uderzenia. A nawet od mocniejszego wstrząsu.

– No tak... – Leon zarzucił sakwy na ramię i ostatni raz obejrzał się za siebie.

Na dalekim wzgórzu widać było jeszcze Soler – ciemną masę na tle ciemnego nieba. Pomiedzy blankami baszt połyskiwały nikle ogniki pochodni. Wkrótce zostawią je w tyle, blask będzie marnieć, gasnąć i rozplwać się w mroku, a potem skryje się za kępami wikliny.

– Idziemy...

Berg siał bez ruchu z twarzą pełną żalu i tęsknoty.

– No, przestań...

– Już jej nie zobaczę? – rzucił partner ze smutkiem w głosie. – Nigdy, przenigdy...

– I bardzo dobrze. Nie dla nas takie, jak ona, przyjacielu.

„Z powodu tego, co nam zrobili – pomyślał. – W co nas przekształcili... I w co przekształciliśmy się sami”.

Berg wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

– No cóż – odezwał się wreszcie. – Chodźmy...

I wtedy zatrzęsała się ziemia.

W oddali coś ciężko i głucho stęknęło, i jakby w odpowiedzi z głębi nocy doleciał drugi grzmot – huk walących się ścian. A potem, w zapadłej nagle ciszy rozległ się narastających huk fali – ryk tysięcznych oddziałów idącego do ataku wojska – ognistej lawiny zrodzonej z płomieni mnóstwa pochodni, która zalała i przewaliła się przez ruiny tego, ci kiedyś było murami Soleru.

Zaraz potem doleciał do nich podmuch wiatru, ale wiatru będącego dziełem rąk ludzkich, po wodzie przebiegł dreszcz, a drzewa zachwiały się, roniąc pojedyncze liście.

– Boże! – wymamrotał zdjęty grozą Leon.

Wszystko na nic, przeleciało mu przez głowę, zdrada, zabójstwo... wszystko na nic. Alf miał rację – co byś nie zrobił, daremne będą wysiłki...

Więc alchemik zdołał nas jednak jakoś przechytryć, biedaczysko. Zapas prochu gdzieś był. Frmoid zdołał go ukryć... i nie tak mało tego... Takie zniszczenia...

– Co to? – Berg stał z otwartą gębą i gapił się na tańczące w odda li płomienie, jakby nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Leon pociągnął go za ramię.

– Chodźmy... Nic na to nie poradzimy.

Berg, nie odwracając wzroku, uwolnił się jednym ostrym szarpnięciem.

– Nie!

– Berg, posłuchaj...

Poczuł w dołku ucisk złego przeczucia. Miał rację. Berg się odwrócił, spojrział mu w oczy, a potem znów popatrzył w kierunku Soleru – w jego oczach tańczyły odbłaski purpurowych płomieni.

– Nie proszę cię wcale – stwierdził zimno – żebyś szedł ze mną.

– Berg, to szaleństwo.

– Możliwe. I co z tego? Próbowaliśmy już postępować rozsądnie. Ja próbowałem.

Uśmiechnął się gorzko.

– I masz rezultaty. Patrz i podziwiaj.

– To nie nasza wina. My zrobiliśmy, co się dało.

O tak. Przynajmniej się staraliśmy. Ale jeżeli ona zginie, Leon, jeżeli ona zginie...

albo nie zginie... Nie będę nawet wiedział, rozumiesz? Cały czas będę myśleć: w jaki sposób? Co wtedy myślała? W tej ostatniej chwili? Wzywała mnie? Zginęła natychmiast? Padła ofiarą jakiegoś pijanego krwią i mordem bydlaka? I za każdym razem, za każdym razem, bracie, będę to widział... zawsze inaczej... coraz gorzej... Nie!!!

„To zdrajczynie – chciał mu rzec Leon. – To nikt, wiedźma, czemu nie chcesz się z tym pogodzić? Kiwnie palcem, a ty biegniesz na wezwanie...” Ale powiedział tylko:

– Dobra. Idę z tobą.

– Nie musisz...

– Słusznie – uśmiechnął się krzywo młodszy Terranin. – Nie muszę. Ale pójdę.

– Więc... – Berg umilkł, machnął ręką i ruszył pod górę wzgórza tak szybko, że Leon ledwie mógł nadążyć.

Tam, gdzie kamienna kładka przylegała do niezbyt głębokiego rowu, nie było już miejskiego muru. Na jego miejscu leżała bezładna mieszanina kamieni i połamanych belek, a do wyłomu z rykiem, przemieszanym z dźwiękiem sygnałowych trąbek rwały oddziały Er-molda. W innym miejscu przystawiano już do murów drabiny, a przy zamkowej baszcie, wznosząc się na wysokość trzech pięter nad walczącymi, starczała wieża oblężnicza, z której łucznicy napinali cięciwy, mierząc w blanki baszty.

– Ostrożnie – Leon zatrzymał się na moment, łapiąc ustami hau sty powietrza. – Jesteśmy banitami, jeżeli nas poznają – wszystko jed no, kto, ludzie Ansarda czy Ermolda...

Berg kiwnął głową, i nic nie powiedział. Mrużąc oczy, by chronić je przed dymem, wpatrywał się pilnie w kipiący wokół chaos.

– Ona jest najpewniej w zamku w komnatach lady Hersendy. A tam stoi warta, ostatnie oddziały wierne Ansardowi. Jak my się tam...

Berg się odwrócił i popatrzył na Leona tak, jakby go zobaczył po raz pierwszy w życiu.

– Nie my – stwierdził wreszcie. – Ja. Ja sam.

– Już powiedziałem – cierpliwie jak dziecku wyjaśnił Leon – że cię nie zostawię.

– Miałeś rację... to zbyt duże ryzyko, jeżeli na moim sumieniu legnie jeszcze twoja śmierć...

– Idę z tobą. Nie ma co dyskutować.

– To rozkaz.

– Nie będę już słuchał twoich rozkazów.

Berg zmrużył oczy.

– No to... – zaczął, i nagle niemal bez zamachu uderzył Leona w szczękę.

Cios był tak mocny i niespodziewany, że Leon nie zdążył go zablokować, ani zrobić

uniku. Wytrzeszczył bezmyślnie oczy i usiadł powoli, spazmatycznie łapiąc oddech. Berg przez chwilę patrzył na niego bez słowa, rozcierając lewą dłonią rozbite knykcie, a potem chwycił partnera za nogi i odciągnął go precz – pod osłonę kamiennego rumowiska. Potem się odwrócił i już nie oglądając za siebie, pobiegł w stronę miasta.

Wąskimi uliczkami niemal nie można było przejść – kamienne bruki dawno rozebrali obrońcy, wyboje sąsiadowały z dziurami, niekształtny ciemny stos na rogu, wzięty przez Berga w pierwszej chwili za kupę gnijących szmat, okazał się zwałem trupów, od których bił lepki, wstrętny odór. Ktoś w zamięcie przewrócił kocioł z gorącą smołą i na stopniach zburzonego domu zastygła czarna, lśniąca kałuża. Wszystko, oświetlone szkarłatnymi światłami pożaru, który zaczął już łączyćwie pożerać drewniane elementy ruin i budowli, wyglądało przerażająco nierealnie. Na ganku domu, zionącego czarnymi otworami okien, leżał trup młodej kobiety – jasne włosy zlepione krwią, wyglądały w mroku na niemal czarne. Dopiero po kilku obezwładniających uderzeniach serca, Berg, przyglądający się wykrzywionej w okropnym grymasie twarzy dziewczyny, uświadomił sobie, że nigdy przedtem jej nie widział. Ostrożnie położył ciało na kamieniach ganku i właśnie się prostował, kiedy ktoś wypadł na niego z mroku; Berg nie zdążył rozpoznać, kto to był – jeden z obrońców miasta, czy któryś z napastników. Bojowy topór błysnął, odbijając blask dalekiego pożaru, ale Berg zareagował odruchowo i mechanicznie, tak, jak go szkolono na treningach – zablokował uderzenie i przechwycił drzewce. Potem równie automatycznie uderzył – ostrze weszło w łeb napastnika z osobliwym chrzęstem, przypominającym kruszenie głowy cukru, nieznajomy usiadł na popękany bruku i Berg musiał szarpnąć kilka razy, zanim udało mu się wyrwać głęboko wbity w czerep topór. Dopiero teraz odkrył, że obok niego przebiegają jacyś ludzie – szkarłatne i czarne cienie uzbrojone w topory, łuki i halabardy, a także osobnicy z kołkami i pałkami – a cały ten tłum gnał do zamku, ślizgając się i potykając w kałużach krwi i smoły. Berg zarzucił sobie topór na ramię i pobiegł razem z nimi.

Lady Hersenda spojrzała w okno. Do zamku zbliżał) się zewsząd ludzkie fale – tu, za mocnymi ścianami, wrzaski napastników zlewały się w jeden głuchy szum, przypominający pomruk wzburzonego morza.

– la... nie rozumiem – stwierdziła niepewnym głosem. – Mó wiliście, że nic podobnego nie może się zdarzyć. Że Soler odrodzi się w chwale i...

Kapłan spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– O tak... – wyszeptał. – Soler odrodzi się w chwale. Ponieważ pierwszy wstąpił w otchłań czasu. Przeznaczone jest bowiem, by był pierwszy i powiodł...

Ona jednak już go nie słuchała. Odsunęła się od okna i wyprostowała, zakrywając

dłońmi nabrzmiały brzuch.

– Soreille! – krzyknęła przenikliwie.

Dziewczyna podeszła bezgłośnie i stanęła obok.

– Czemu nikogo tu nie ma! – w głosie Hersendy zabrzmiała rozpacz. – Gdzie jest Ansard? Natychmiast go zawołaj!

– Pani, jest na murach. Dowodzi obroną.

– Jaką obroną? Potrzebny jest mi tutaj! Żle się czuję!

– Pani, może już wkrótce będzie wolny – łagodnym głosem stwierdziła dziewczyna.

– Ponieważ...

Teraz i ona wyrzała przez okno. Kolejne głucho uderzenie masywnego tarana i zamkowe wrota runęły pod naporem tłumy, ale ludzie, którzy wdarli się na zamkowy dziedziniec, nie byli ludźmi Er-moida.

– Ib nasi mieszczanie – oznajmiła Soreille. – Zaraz tutaj będą.

Obudzili się – pozornie bez związku odezwał się prymas. Objąwszy rękoma ramiona drżał, jakby stał na przenikliwym wietrze. Z korytarza doleciał odgłos szybkich kroków i do sali wpadł Ansard, Nie zadał sobie nawet trudu rozsunięcia portiery, która obecnie zastępowała dębowe drzwi – oderwał ją i cisnął precz.

– Te dranie są już tutaj – stwierdził. – Tu, w zamku. Bydło, tłuszcz cza. Wystarczyło, że Ermold wdarł się do miasta, a przeszli na jego stronę.

– O, nie – stwierdził prymas niepewnym głosem. – Oni nie zdradzili. Wykonują wolę tych, co stoją nad nami. Tak chce Dwójca. Wkrótce nastąpi królestwo wiecznego światła, w którym nie będzie czasu ni przestrzeni. Tylko spokój i wieczność. Zespolenie... to ta kie... piękne.

I chlipnął.

– Ale czemu ja się tak strasznie boję? – dodał cichutko, jak dziec ko.

Ansard niespiesznie podszedł do prymasa, położył mu dłoń na ramieniu, a kiedy kapłan podniósł głowę, wparł w jego oczy ciężkie spojrzenie.

– Poczekajże... – odezwał się powoli i z namysłem. – Zatem kiedy mówiłeś, że Soler jest wybranym Dwójcy...

– Zespolenie – wyszeptał kapłan. – Soler miał się stać tym kamieniem, który zapoczątkuje lawinę. Kroplą, która przepelni czasę. Bo zbliża się kres czasu, który stanie się początkiem nowego świata... Oni mi kazali... Musiałem...

– Sprowadzić na Soler zagładę? – wycodził przez zęby Ansard.

– Nie zagładę – gwałtownie zatrzęsł głową prymas. – Wieczną błogość! I nie Soler – a cały świat!

– Więc to tak! Wszystkie te twoje oznaki...

– Och, tak! Dwójca wskazywała nimi swoją wolę. Bracia przemawiali przeze mnie!

Ansard spojrział na swoje dłonie, które mimo jego woli zacisnęły się w pięści, a potem przeniósł wzrok na szyję kapłana i zwrócił się do Soreille:

– Wyprowadź go, Soreille. Niech Dwójca zrobi z nim, co zechce.

– Dobrze – odpowiedziała dziewczyna spokojnie. Podeszła do kapłana i położyła mu dłoń na ramieniu. – Chodźmy, wasza święto bliwość. Chodźmy stąd szybko.

Prymas ruszył z nią bez słowa sprzeciwu.

Hersenda podeszła do Ansarda i na chwilę znieruchomiała, łowiąc wzrokiem jego spojrzenie.

– Gdyby ona go stąd nie zabrała – stwierdził Ansard spokojnie – byłbym go zabił.

Lady wzdrygnęła się, a potem spojrzała nań wzrokiem pełnym nadziei.

– Ja też bardzo się boję – wyszeptała. – Tak strasznie... Nie pozwolisz mnie skrzywdzić, prawda? Obronisz mnie?

Objął ją i przytulił. Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

– Tak – powiedział. – Nie masz się czego bać. Wszystko będzie dobrze.

Lewą ręką mocniej przytulił ją do siebie, a prawą wykonał szybki, zdecydowany ruch. Hersenda drgnęła i łagodnie zwiła mu na rękę. Ansard cofnął sztylet, otarł go o ciężki jedwab jej sukni i ostrożnie położył ciało kochanki na łóżku. Stał jeszcze przez chwilę, patrząc na jej spokojną twarz, a potem odezwał się cicho:

– Nic ci już nie grozi.

Potem się odwrócił i wyszedł z kobiecych komnat.

Wyłamany mur wyglądał jak ogromna szczeka z powybijanymi zębami, a ocalałe skrzydło drzwi wygięło się pod naporem tłuszczu. Leon musiał odstąpić na bok, żeby go nie stratowali oszalali, obszarpani i rozgorączkowani ludzie. Przyłgnał do ściany, czekając, aż ciżba się trochę rozluźni. Nikt nie zwracał nań uwagi.

– Panie... – odezwał się ktoś tuż obok.

VPolał za nami... No popatrz...”

– Alf. – machnął ręką z gniewem. – Precz stąd! I nie ma miejsca dla ciebie!

– Znalazłem jakiś sztylet – stwierdził rzeczowo młodzik, nie zwracając uwagi na jego sprzeciw. – Dobry nóż, taką stal zza gór tylko przywożą. Przyda się...

– Tam gdzie idę, nóż mi nie będzie potrzebny – stwierdził Leon. – A ty jesteś wolny.

– Nikt z nas nie jest wolny – Alf musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć huk pożaru i łoskot padających belek. – Wyście przyszli z zewnątrz, a popatrzcie, co oni z wami zrobili! Niepostrzeżenie, po cichutku... A teraz siedzą sobie tam w dole, patrzą na was i się uśmiechają. Bawi ich, że ambasador Berg stracił głowę dla kukły. A jej, tej dziewczki,

w ogóle nie ma – jest tylko pusta powłoka. A wy też nie jesteście lepsi! Bezbronnego człowieka zabiliście tylko za to, że wymyślił coś takiego, o czym w waszym świecie już nawet zapomniano – oni na pewno się zarykiwali ze śmiechu, kiedy wyście zaglądali w te jego śmierdzące garnki! Oni mogą wszystko – co im tam zmusić jakąś głupią wsiową dziewczkę, by głosiła o znakach... no i namieszali w głowach jego świątobliwości i temu bałwanowi, naszemu wodzowi patrzcie go, zdobywca świata się w nim nagle obudził! Macie wojnę pierwszorzędną, prawda? A końca świata chcecie? No to macie koniec świata!

– Dość! – zagrział Leon. Ogień podchodził coraz bliżej, musiał osłonić ramieniem twarz, by chronić ją od żaru. – Sam to wiem!

– No to chodźmy, skoro wiecie! Może wystarczy wam sił, żeby stawić im czoła! Wy jesteście panami swojej woli! Mogą wam mącić w głowach, ale pełnej władzy nad wami nie mają. Dawno zrozumiałem, że widzicie więcej niż my – te ognie na przykład, wtedy na górze...

„Tak – pomyślał. Leon. – Wszystko się przecież zaczęło od tamtych ogni. Co to było – jakieś uboczne zjawisko, technologiczne odpadki czy elekt towarzyszący ich normalnej życiowej aktywności? Albo coś niezwykłego, specjalnie na tamtą okazję – przecież do takiego spektaklu musieli zmienić nawet klimat... Resztki energii emitowanej pod postacią promieniowania świetlnego, rezultat pracy jakiegoś niewiadomego urządzenia? Potem ta nieszczęsna dziewczyna na brzegu Jeziora Murcjańskiego, potem Worland... i porzucone kopalnie srebra w górach. Dzieci w tamtym świętym gaju. Izoluja żywy materiał, który nie jest im potrzebny i skrywają go w tajemniczych labiryntach, gdzie sekundy ciągną się niczym wieki, żeby go potem wykorzystać, czy może wyrzucają bez litości? Nie ma nic tańszego niż ludzkie życie... nawet dla samej ludzkości”.

– Mówiliście, że kiedyś przybędzie wasz okręt – stwierdził ponuro Alt. – To prawda, czy tylko chcieliście podbić swoją cenę?

– Prawda...

– Może waszym wystarczy sił, żeby ich stąd wykurzyć, jak szerszenie. Niech nas zostawia w spokoju – nie mają tu nic do roboty.

„Czerwony Alarm – myślał Leon. – Berg miał rację. Zetknęli się z czymś tak obcym, że z natury o żadnym kontakcie nie może być mowy. (edyne słuszne rozwiązanie – ewakuacja bazy, kwarantanna planety, wrzucenie do tunelu przejściowego szalupy z bombą jądrową na pokładzie i wysadzenie portalu... trzeba go zamknąć, na długo, na zawsze – i o wszystkim zapomnieć”.

– A choć wiesz, dokąd iść? – westchnął.

– Nie – w szeroko otwartych oczach młodzieńca błyszczały odbicia niedalekich

plomieni. – A co za różnica? Oni są wszędzie...

„W każdej chwili mogą go wziąć pod kontrolę – pomyślał Leon.

– W tym całe nieszczęście”.

– No dobra – odezwał się po chwili. – Skoro są wszędzie, to tak czy inaczej się na nich natkniemy. Najważniejsze teraz to zatrzymać Berga. Musimy się dostać do zamku.

Wdarli się do zamku – w tłumie ludzi uzbrojonych w włócznie i pałki, wśród których prawie nie było żołnierzy Ermolda. Ostatni podwładni Ansarda zostali na murach, skąd zaciekle obrzucali napastników kamieniami i dzirytami, ale szybko się z nimi uporano. Ludzie łazili po schodach i wąskich korytarzach, zaglądali wszędzie szukając Ansarda i prymasa, znaleźli jednak tylko okrwawione ciało lady Her-sendy na łożu. Kiedy pojęli, że jest martwa, i że ktoś ich uprzedził, wyrzucili trupa przez okno i ciało leżało teraz na dziedzińcu z szeroko rozłożonymi rękoma. W końcu dopadli małego pazia – jedyne, który się uchował w opustoszałym zamku – chłopak drżał ze strachu, ukrywając się w niszy pod skrzyżowanymi włóczniami i zawieszoną pomiędzy nimi głową dzika. Nie zdołali jednak zeń wytrząsnąć wiadomości, gdzie się schował prymas; chłopak milczał i uparcie potrząsał głową. Pewnie niczego nie wiedział. Napastnicy przebili go jedną z włóczni, przygoździli do drewnianej tarczy i już mieli się puścić w dalsze poszukiwania, kiedy w głębi korytarza ujrzeli migotliwą sylwetkę kobiety.

– Święta Karno! – wystękał ktoś bardziej pobożny od innych. Kobieta uśmiechnęła się leciutko i bezgłośnie ruszyła w dół po schodach – a rozjuszony tłum pociągnął za nią – nie wiedząc czemu, wszyscy szli teraz na palcach. Dziewczyna szła w dół, gdzie panowały ciemności, ale łatwo można było ją śledzić, ponieważ lśniła łagodną, zimną poświatą, niczym błędny ogień na bagnach.

Zatrzymała się przy ciężkiej bramie do zamkowej kaplicy.

Położyła wąską białą dłoń na klamce – i drzwi niespodziewanie lekko ustąpiły, ukazując zgromadzonym na progu ludziom ołtarz, dość mizernie oświetlony dwoma kagankami. Był tu prymas – zgarbił się pod ołtarzem na kolanach i w pierwszej chwili nawet się nie odwrócił.

Dziewczyna odstąpiła w bok, odwróciła się i ponownie obdarzyła tłum spokojnym, łagodnym uśmiechem. Potem, tak samo jak przedtem, bezgłośnie ruszyła w milczący tłum – ludzie rozstąpili się przepuszczając ją bez protestu – i przeszedłszy powoli w głąb korytarza, przepadła w mroku. Tłum został na progu, nie mogąc się zdecydować na wejście.

– Czemu odeszliście? – wymamrotał kapłan, najpierw cicho, ale w miarę jak mówił,

jego głos nabierał siły. – Czemu już ze mną nie rozmawiacie? Dwoje wiecznych i silnych... i oto jestem, stoję przed wami!

– Proś ich – odezwa) się ponuro jakiś garbarz, rozpychając tłum ramionami. – Postaraj się...

– Rzućcie na ich głowy...

Prymas się odwrócił, i unióśł ręce. Po nisko zwieszonym sklepieniu pomknęły mroczne cienie, a ludzie cofnęli się na moment.

– ...niebiańskie gromy... Niech straszny będzie Wasz gniew, i...

– Zamknijcie -mu pysk, dopóki Dwójca nie porazi nas wszystkich!

– Wiedliście mnie po nie wydeptanych ścieżkach... a teraz dajcie mi ukojenie wśród chmur...

Słowa zjawiały się same, jakby ktoś niewidzialny szeptał mu je w ucho, owiewając policzek ognistym tchnieniem.

– A kiedy stanę w dolinie cienia śmierci, nie ulękę się zła... Twój miecz i pastorał mnie obronią...

– Zmiłuj się Dwójco nad nami – garbarz wyszedł przed tłum. – On zwariował.

– Tam jest światłość – stwierdził cicho kapłan. – Widzę ją... Widzę świetlisty tron... Razi wzrok...

– Na chwałę Jasnego i odkupienie Mrocznego...

– Niech zostanie im wybaczone, albowiem nie wiedzą, co czynią...

Wyciągnęli go z kaplicy, jako że byli ludźmi bogobojnymi i nie chcieli bezcześcić ołtarza, a potem powlekli na zamkowy dziedziniec. Nie zwracał się już ku Światłości – czyjaś krzepka dłoń zamykała mu usta. Może, jak przedtem miał nadzieję na cud – do ostatniej chwili, w której podwójny topór rozwalił mu czerep. Prymas targnął się trzymającym go ludziom, ale zanim upadł, dostał jeszcze raz – cios rozciął mu twarz w poprzek;

Leon natknął się na rozciągniętego w błocie trupa, rozdzanego do naga i zarzuconego kamieniami, kiedy współ z Alfem, robiąc uniki przed spadającymi z góry płonącymi belkami, przylgnął do wyłamanego skrzydła bramy solerskiego zamku. Ale nie poznał jego świątobliwości. Nikt by go zresztą nie poznał.

Przez dość dług;] chwilę Berg stał na placu przed zamkiem i rozglądał się na boki. Ciężący w dłoni topór wydał mu się wyjątkowo idiotycznym dodatkiem. Była to jakby aluzja do tego, że wszystko, co się dzieje, jest tylko grą, wszystko jest udaną, błazeńską kopią prawdziwego średniowiecza, on sam zaś gra rolę błazna. Obok przebiegali jacyś ludzie i nikt nie zwracał na niego uwagi. Na stosie kamieni leżało jeszcze jedno ciało – kobiece. Ręce rozrzucone na boki, zadarta suknia, szeroko rozłożone nogi. Berg odwrócił

ją ostrożnie, głowa chyb-nęła się bezwładnie na złamanym karku, ale włosy pod zgniecionym czepcem były ciemne. Nie od razu, ale jednak poznał lady Hersendę. Ogarnęła go szkarłatna fala wściekłości i trwogi, wstał z klęczek i porwawszy topór skoczył po schodach, roztrzając ludzi na boki. Wszyscy, którzy zajrzeli mu w twarz, natychmiast uskakiwali.

– Soreille! – zawołał.

– ...ille! – odpowiedziało mu echo.

Korytarze pełne były ludzi – jedni uciekali, drudzy ich gonili, w smugach dymu miały się czarne cienie, on sam dyszał i charczał, natykał się na bezwładnie leżące ciała, odrywał ze ścian ciężkie obicia i ścigał osmalone i śmierdzące kopciem portiere. Z jakiegoś powodu pobiegł do skrzydła poselskiego, jakby gnany nadzieją, że ona czeka tam, wśród znanych sobie mebli i przedmiotów. Ale niegdysiejsze komnaty poselstwa były puste – zostały tylko ostatnie ślady grabieży: przewrócona i wypatroszona skrzynia, zwalona bezładnie na stos odzież... Korytarz do komnat Hersendy był pusty, kamienne płyty posadzki powyłamywane i zalane krwią. Natknął się na przygwożdżonego do ściany trupa pazia i wyrwał zeń włócznię – ciało spełzło na posadzkę, jakby razem z grotem wyszły z niego pozory życia.

Z komnat Hersendy dolatywał hałas – Berg zagryzł wargi i odsunawszy nogą leżące w progu z rozwaloną czaszką ciało wartownika, wpadł do środka. Czterej mieszczanie zaciekle grzebali w stosie szmat – śliskie jedwabne suknie przelewały się pomiędzy ich palcami niczym woda, łagodnie połyskiwał w miękkim świetle latarni ciężki złotogłów.

– Ale się ucieszy moja baba – stwierdził jeden, unosząc z satys fakcją w wyciągniętych rękach srebrzystą tkaninę. – A to co za pta szek?

Uśmiechnął się i uważnie spojrział na Berga.

– Gdzie ona jest? – zagrzemiał Berg.

– Kto? – zdziwił się rabuś.

Berg machnął toporem kreśląc w powietrzu połyskliwy krąg.

– Ty też potrzebujesz szmat dla swojej żony? – odezwał się po jednawczo drugi maruder. – Bierz ile chcesz, starczy dla wszystkich. A jak szukasz jakiejś dziewczki...

Berg złapał mówiącego za kurtkę na piersiach i bez wysiłku dźwignął w górę.

– Gdzie ona jest? – powtórzył. – Gdzie Soreille?

– Ej – odezwał się pierwszy z rabusiów. – Bądź ciszej.

Jego kompan, trzymany przez Berga, szarpał się i usiłował wyrwać z żelaznego uścisku.

– Przecież tu nie ma nikogo – wystękał wreszcie. – Nie ma i nie było. Może się jeszcze gdzieś tu kryje – pełno wszędzie rozmaitych zakamarków, sam Korra nogi

polarnie. Może uciekli jakimś sekretnym przejściem?

Berg rozwarł dłoń i puścił marudera. Ten przez chwilę kręcił głową i spazmatycznie łapał oddech.

– Tajnym przejściem? – zapytał Berg. – fakim? Gdzie?

– No... – oberwaniec się rozejrzył, jakby szukając wsparcia u kompanów, ci jednak woleli dyplomatycznie milczeć i ograniczyć się do obserwacji rozwoju wydarzeń. – (est taka wielka sala, w której stoi wielkie rzeźbione krzesło. Mówią, że widziano tam świętą Karne. Przepłynęła nad posadzką, przytknęła dłoń do ściany, w ścianie same z siebie zrobiły się drzwi, ona weszła, a wrota się za nią zamknęły.

– Pieprzysz... – rzucił nieco zbity z tropu Berg.

– Może i pieprzę – maruder wzruszył ramionami. – Ale mój przyjaciel widział wszystko na własne oczy. Co prawda, zaraz potem zaciukali go w zamięcie. Ale tajne przejście tam jest. W przeciwnym razie gdzieżby się podział milord Ansard, niech go zaraza do końca życia trzepie? Może i twoja baba jest z nim.

Berg ponownie powiódł wzrokiem po komnacie – porzucone lampki w kałużach oleju, stratowane płaszcze z cennych futer podbitych jedwabiem, srebrny misterny kubek, zgnieciony przez kogoś ciężkim buciozem... Uśmiechnięta gęba rabusia majaczyła mu przed oczami, niby dziecięcy balonik. Uderzył na odlew i gdy morda znikła mu z oczu – czemu towarzyszyło głuche mlaśnięcie – ze zdumieniem spojrzął na swoje okrwawione knykcie. Potem podniósł topór i wybiegł na korytarz.

Miotał się po ciemnych, pachnących spalenizną korytarzach, pod nisko sklepionymi łukami przejść, nie widząc ani obrońców zamku, ani ludzi Ermolda – ze wszystkich stron otaczała go purpurowa mgła...

Ktoś chwycił go za ramię. Targnął się, chcąc strząsnąć natrętą dłoń, ta jednak trzymała mocno, niczym kleszcz. Odwrócił się – z półmroku patrzyły nań puste oczy Ansarda.

Leon minął się z Bergiem tylko o kilka minut, nie miał jednak nikogo, kto mógłby mu o tym powiedzieć, korytarz był pusty.

Biegąc wiodącym do skrzydła poselskiego korytarzem i ściskając w dłoni rękojeść beużytecznego noża, w każdej chwili spodziewał się, że zza rogu wypadnie nań oddział zbrojnych albo jakiś oszalały mieszczuch, nierozróżniający obcych od swoich. Korytarz jednak był pusty – jakby na drwinę, jakby w złym śnie, w którym wciąż przed tobą umyka coś ważnego, od czego zależy twoje życie... Jedynym ludzkim dźwiękiem w tym bezludnym świecie był dolatujący doń z tyłu chrapliwy oddech Alfa.

Dach poselskiego skrzydła już się zajął ogniem i pokrywające ściany kobierce

pozwyjały się od żaru, jak liście pod jesień. Powyszywane na nich smoki i jednorożce kuliły się i tańczyły, a rycerze i damy zbili w gromadę i patrzyli na nich z osobliwymi uśmiechami na twarzach. Leon szedł wzdłuż ścian i systematycznie zrywał osmalone tkaniny, wpatrując się zażawionymi od dymu oczami w grubo ciosane płyty licówki. Doszedł już do przeciwległej ściany, kiedy z mroku błysnęło zimnym blaskiem – pokryty fasetami kryształ siedział w kamieniu jak wrośnięty – uważnie patrzące oko obserwatora; błędzące spojrzenie żyjącego samodzielnie w ścianie owada, samotne, beznamienne i może nieco drwiące.

Stał przed natrętnym i bezlitosnym obiektywem, przed wrośniętą w ścianę kamerą i myślał: „Oni tam, w mroku, rozsiadają się teraz wygodniej w norach, i patrzą z uśmiechami na mordach”.

Cofnął się nieco i zamachał rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Wy, tam! – zaryczał. – Wy, skurwysyny! No co, jesteście zadowoleni? Czego wam jeszcze trzeba? Nie widzieliście trupów na ulicach? No to je wam pokażę! Przywlokę je tutaj, popatrzcie na swoje dzieło! Na ogień i ruiny... I po co to wszystko? Dlaczego? Dla zabawy? Tylko dlatego, że zdychacie tam z nudów, że wszystkiego macie dość i nawet jedni drugim już się znudziliście, potwory... Bawiło was pociąganie za sznurki?

Po komnacie przeleciał nikły wietrzyk, tchnienie buszującego wyżej pożaru, kobierce drgnęły, a Leonowi wydało się, że słyszy wyraźny drwiący chichot.

– Nie ma sensu się na nich wydzierać – stwierdził ponuro stojący za nim Alf.

– Dobiorę się do was!

I Leon na odlew, nawet nie mierzając, uderzył nożem w błyszczące oko. Nóż ześlizgnął się po gładkiej powierzchni, ale to wystarczyło: oko ożyło nagle, zaczęło mrugać i jakby się nastroszyło, a potem mignęło po raz ostatni, wtopiło się w mur i znikło.

Zbity z tropu Leon znieruchomiał przed ślepą ścianą, a potem wściekle zabębnił w nią pięściami.

– Dotrę aż przed Radę Najwyższą! Udowodnię im, że jesteście niebezpieczni! Jesteście gorsi od zarazy! Trzeba was porozwalać, w te wasze krecie jamy powrzucać ładunki atomowe – i wtedy inaczej za tańczycie! Wtedy dopiero będzie wam wesoło! Ale co tam, nikogo nie będę pytał! Sam się wszystkim zajmę!

Poczuł nagle ostry ból i cofnął się od ściany, patrząc z niedowierzaniem na swoje porozbijane do krwi knykie.

– Coście im chcieli zrobić? – zapytał ciekawski Alf.

– No, my też co nieco umiemy.

– Co, nasypać im tam tego wybuchowego proszku?

– Gorzej... znacznie gorzej. Nasza broń może zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie Średnie Marchie – niechętnie przyznał Leon. – Tyle, że do tej pory ani razu nie stosowaliśmy jej w zasiedlonych światach. To zakazane.

– Jak zakazane, to czemu grozicie?

– A w dupie mam wszelkie zakazy!

– I gdzie jest ta wasza broń? Tutaj?

– Nie – Leon machinalnie potarł dłonią czoło. – Na Terze. Czuł w sobie dziwną pustkę – tak mógłby się czuć balonik, z którego spuszczone powietrze.

– No, to nie ma się co odgrażać. A może proszkiem ich wziąć? Jak myślicie?

Alt wyjął zza pazuchy ciężki woreczek i podrzucił go w dłoń.

– Skąd ty to masz?!

– Sam sobie zrobiłem. Przecież mówiłem, to bardzo proste... Trzeba tylko mieć te... ingredien... ingredencje. A u tego biedaka, coście go niepotrzebnie zaciukali, było wszystkiego aż nadto...

Leon ponuro wpatrzył się w posadzkę. Nagle zobaczył siebie z boku – oczami niewidocznych obserwatorów, patrzących z ciemności. Widok w rzeczy samej żaloszny, „im się chyba wydaje, że to komedia” – pomyślał.

– Nic z tego nie będzie, Alt – stwierdził po chwili milczenia.

– Co im tam ten twój proszek? Głupstwo. Zabawka. Oni sami go we śnie pokazali temu medykowi – znudzili się oglądaniem drepczących pod murami wojsk Ermolda i postanowili popchnąć akcję do przodu.

„Bo przecież – myślał dalej – tak jest znacznie bardziej widowiskowo. Wybuchy, płomienie, tłumy ryczących ludzi, które wdzierają się do miasta, niszcząc wszystko na swej drodze. I jednocześnie do gry udało się wciągnąć nas, durniów”.

– A może cała rzecz w tym, że nikt jeszcze się im nie przeciwstawił, panie – odezwał się Alf. – Nikt nawet nie próbował. Może coś z tego wyjdzie, co?

„On może mieć rację – pomyślał Leon. – Nikt nie próbował. Jacyś pojedynczy przedstawiciele miejscowej ludności z pewnością mieli mniejszą podatność na zewnętrzne wpływy; niewątpliwie na przykład ten Guntr należał do tej nielicznej grupki ludzi, którzy nie utracili zdolności do samodzielnego myślenia – do pewnego stopnia, oczywiście, bo w razie czego miejscowi mistrzowie marionetek przejmowali sterowanie. A może i on był kukielką – taką, którą mistrz puścił wolno, bo bawiła go obserwacja buntu lalki przeciwko twórcy – klasyczny hoffmanowski wariant scenariusza. Być może to oni w tej chwili popychają Alfa do dramatycznych działań”. Teraz pozostało mu już tylko zgadywanie, w jakim stopniu aborygeni potrafią działać samodzielnie – być może tylko w tych dziedzinach, które dotyczą zwykłych potrzeb życiowych...

– No, no – stwierdził ze znużeniem w głosie.

– Trzeba by rozebrać tę ściankę – Alf uważnie oglądał kamienne płyty. – Te ichnie oko musi być gdzieś za nią.

To nic nie znaczy – zauważył Leon. – Oko, to po prostu oko – i wszystko. Ich sekretne kwatery mogą być zupełnie gdzie indziej.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

– Ejże, Alf, powiedz mi... Wiedziałeś o tych oczach?

– Wszyscy o nich wiedzą. – Alf beznamiętnie wzruszył ramionami. – One pojawiają się wszędzie, gdzie dzieje się coś ważnego. Ciekawi ich cokolwiek – to wysuwają ślepią i się gapią...

– Ale przecież cię wtedy pytałem! Czemu mi nie powiedziałeś?

– A jak mógłbym?

„Tak – pomyślał Leon. – Nie mógł. Fizycznie nie mógł. Żaden z nich nie przekroczy pewnych granic – nawet tacy, jak Guntr. Nawet tacy, jak Alf. – Dopiero w tej chwili przyszło mu do głowy, że ich spotkanie wcale nie musiało być takim dziełem przypadku, jak to chciał przedstawić młodzieniec. Prawdopodobnie dowiedział się o nas, coś tam mu powiedziano, czegoś się sam domyślił, odszukał nas w mieście i urządził wszystko tak, że musieliśmy skorzystać z jego usług, bo byliśmy dlań jedyną nadzieją. I nienawidził nas za brak domyślności, za tępotę, ale tak czy owak opiekował się nami i ratował – czasami z własnej woli, a czasami z poduszczenia niewiadomych mistrzów marionetek, któż teraz odpowie? Próbował mówić aluzjami, podpowiedzieć coś, podsunąć jakieś wnioski. Ale i my jesteśmy dobrzy – mogliśmy się domyślić wcześniej, znacznie wcześniej, gdybyśmy tylko zadali sobie trud i trochę pomyśleli. Kto wytrul naszą wartę w Retrze, czemu Orson wyskoczył z okna, jak to się stało, że margraf umarł w samą porę, jakim sposobem ten skurwysyn, Ansard, bezbłędnie wybrał sześciocyfrowy kod autodestrukcji w schronisku na Fembrze... Wygląda na to, że oni się bali, iż przybycie Drugiej Kompleksowej w czymś im przeszkodzi, że nie doprowadzą spektaklu do końca – dlatego pozbawili nas wszelkich środków łączności. A nawiązanie łączności z pewnością jest już możliwe – i to od dawna. A my się tylko za każdym razem zdumiewaliśmy zbiegom okoliczności; ale któż się dobrowolnie przyzna, że był posłusznym narzędziem w rękach niewiadomych intrygantów? (esteśmy materialistami, gotowymi do uwierzenia w najbardziej nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, któż jednak pogodzi się ze świadomością, iż wszystkimi, pozornie przypadkowymi wydarzeniami, całym twoim życiem od początku do końca, kieruje ręka ukrytego lalkarza? To przecież nie jest podejście naukowe”.

Alf z wysiłkiem podniósł solidny trójnóg i walnął nim w kamień. Ciężki, kuty metal

zarysował tylko lekko płytę – i to wszystko.

– Niepotrzebnie się silisz, Alf – odezwał się Leon bezbarwnym głosem. – Tu i tak wszystko się zaraz zawali.

Młodzieniec spojrział nań z niepokojem w oczach.

– Panie... – odpowiedział. – Tak nie wolno. Popatrzcie tylko na siebie!

– A co ja mogę? – zapytał Leon ze znużeniem. – Sam widzisz, że nie jestem lepszy od reszty. Też tańczyłem, jak mi zagrali. Nie, przyjacielu, nie mnie się z nimi równać... Niepotrzebnie pokładałeś w nas nadzieję. No, dość tego, zabierajmy się stąd.

– A na co jeszcze miałem liczyć? – rzucił Alf z goryczą. Nagle zamarł w bezruchu, przez chwilę nasłuchiwał, a potem wyskoczył na korytarz i równie chybko wrócił do komnaty.

– Nie mamy się już co spieszyć. Korytarz się pali...

Leon wstał powoli i z jakąś osobliwą obojętnością wyjrzał na korytarz. Drewniane wsporniki stropu zawaliły się przed chwilą i zagroziły im drogę ku schodom, a na poczerńniętych belkach pułapu pełzał już pierwsze płomienie. Podmuch wiatru, który niespodziewanie śmignął wzdłuż korytarza, podsycił ogień i Leon musiał się cofnąć, osłaniając dłonią twarz przed żarem.

– Dobra robota – wymamrotał sam do siebie.

Płomienie zagłądały komnaty, portierey już się nie tliły, tylko buchały ogniem rzucając szkarłatną poświatę, a kobierce na ścianach rozjarzyły się nagle żywymi barwami, ale równie szybko zbladły i poczerńniały. Leon cofnął się do przeciwległego kąta i wyjrzał przez okno – brukowany dziedziniec leżał daleko w dole, z dachu sypały się szkarłatne émy, i nagle tuż przed jego twarzą przeleciał jakiś ognisty ptak – Leon nie od razu domyślił się, że był świadkiem śmierci któregoś z obrońców zamku.

Porznąć w pasy jakiś gobelin i spuścić się na nim w dół? Ale czy sparciała tkanina wytrzyma? Na próbę szarpnął najbliższy kobierzec – i ten rozsypał mu się w dłoni. Pył, nicość...

– Zaraz go... – warczał za nim Alf.

Z całej siły targnął sterczące ze ściany kółko kuny do osadzania pochodni. Żelazo chyba zrosło się z kamieniem.

– Pomóżcie, do cholery! – krzyknął do Leona.

Dopiero wtedy Leon się ocknął. Chwycił za pierścień, czując jak metal wygina się pod jego palcami i szarpnął ze wszystkich sił. Pierścień wyskoczył ze ściany z kawałkiem płyty, Leon poleciał w tył na stos gorejących gobelinów, lecz zerwał się natychmiast i gwałtownie zaczął otrząpywać, zbijając płomienie. W ścianie zionął głęboki otwór.

– Aaaa! – rzekł Alf z satysfakcją w głosie.

W utworzonym zagłębieniu legł natychmiast sakramentalny jedwabny woreczek. Alf rozejrzał się dookoła, zerwał ciężki sznur podtrzymujący portierę i starannie skręciwszy zeń coś na kształt lontu, podpalił koniec. Potem przewrócił na bok ciężki stół. Leon śledził te poczynania z osobliwą ciekawością, nie próbując pomóc ani przeszkodzić. Stał tylko i patrzył, ale gdy Alf wrzasnął: „Schowajcie się tu, panie! Zaraz zdrowo pieprznie!” – posłusznie skrył się za blatem.

Rąbnęło nawet nie tak mocno, jak się tego podświadomie spodziewał – a może po prostu w rozpiętym wokół, piekle tak mu się tylko wydało. Kilka kamiennych płyt rozbryznięło się wokół, jakby je spojono suchym piaskiem – otwór znacznie się powiększył i widać było, że za ścianą nie ma buszujących płomieni ani żaru – tylko ciemność i chłód.

Alf, wykorzystując w charakterze dźwigni ten sam ciężki trójnóg, rozszerzał otwór, aż stał się dość obszerny, żeby mógł przezeń przejść nieco schylony dorosły mężczyzna.

Leon chwycił płonąca pochodnię i wsunął ją w głąb tajemniczego przejścia – ujrzał tam jeszcze jeden korytarz o gładkiej potłódze i gładkich, wykładanych marmurowymi płytami ścianach. Przecisnąwszy się przez otwór ostrożnie zmacał podłogę stopą – zwykłe, solidne płyty, żadna iluzja. Zaraz za nim poszedł Alf. Stali w pustym, ciągnącym się nie wiadomo dokąd cichym i mrocznym tunelu, którego końce ginęły w ciemnościach, a za ścianą z hukiem waliły się po-przepakane bezlitosnym żarem belki stropowe.

– No dobra – westchnął zwracając się do Alfa Leon. – Idziemy?

– Tyyy... – wycharczał Ansard.

Kiedy minęło pierwsze oszołomienie, Berg spróbował odtrącić przeciwnika, co jednak okazało się niełatwe: Ansard zaciekle i jednocześnie jakoś mechanicznie wczepiał się w Berga i wyciągał dłonie ku jego twarzy, usiłując wydrapać mu oczy.

– Ty morderco!

Berg zasłoniwszy się głownią topora, drugą ręką odpychał od twarzy wygięte, drapieźnie palce Ansarda. Przez chwilę miał wrażenie, że tamten go nie poznaje i bierze za kogoś innego. Lord jednak nie ustawał w wysiłkach.

– Morderca! – wykrzykiwał, dławiąc się z wściekłości. – Patrz! Dobrze się przyjrzyj swemu dziełu! Zadowolony jesteś?!

– Odczep się! – wrzasnął mu Berg w twarz.

– Zabij mnie! – darł się Ansard. – Przecież tego chcesz! Zabij. Wszystko inne już zrobiłeś! Dopiąłeś swego!

– Ja? – zdumiony Berg znieruchomiał na chwilę i potrząsnął głową, porażony

absurdalnością oskarżenia. – Czemu ja? Może to ja poprowadziłem wojsko na Retrę, ty samozwańczy bałwanie?

– Przybysze zza morza! – warknął Ansard zbielełymi z furii wargami. – Podli zdrajcy! Gdyby nie wy, czy ten kupczyk zdołałby wziąć twierdzę? To przez tę waszą przeklętą naukę!

– Akurat! – Bergowi wreszcie udało się odepchnąć napastnika. Przez chwilę stali bez ruchu, patrząc na siebie z nienawiścią i ciężko dysząc. – Myślisz, że Ermoldowi udało się wydusić z nas to, co ty chciałeś wiedzieć, a czego nie daliśmy ani jednemu, ani drugiemu?

– On was kupił!

– Nas nie można kupić, bałwanie!

– No to czemu to zrobiłeś? Z zemsty?

– Niczego nie zrobiłem! Nie mogę, nie wolno mi niczego takiego robić. Zakazane! Ermold poradził sobie bez nas... a ja, ja chciałem was ratować... Powstrzymać to szaleństwo! Klnę się na wszystkich bogów!

– Co mi po twoich przysięgach – stwierdził Ansard z goryczą w głosie. – Nic dla mnie nie znaczą. Wy nie wierzycie w żadnych bogów, bo gdybyście wierzyli, z pewnością nie sprzyjalibyście Ermoldowi Wszystko przez ciebie. Przez was!

I znów się rzucił na Berga, ten jednak miał się tym razem na baczności – Ansard nadział się na podcięcie, został rzucony na kolana i zastygł z wykręconą za plecy ręką. Przez chwilę jeszcze się szarpał i usiłował uwolnić.

– Gdzie Soreille? – wrzasnął Berg, pochylając się nad pokona nym.

Ansard zdołał się odcwócić i spojrzał Bergowi w twarz rozszerzonymi szaleństwem oczami – ogromne źrenice wydały się Terrani-nowi liliowe.

– Soreille?

Twarc lorda wykrzywił okropny grymas, zadygotał i dopiero po chwili Berg spostrzegł, że Ansard wariacko chichoce.

– Szukasz Soreille? – wystękał z trudem. – Ach, ty durniu! Du beltowy durniu!

– Gdzie ona jest? – nie poddawał się Berg. – Ukryła się? Uciekła? Iakąs kobietę widziano w sali tronowej...

– W sali tronowej? No, tak.

Ansard spróbował zerwać się z klęczek, ale mu się nie udało. Berg podniósł go silnym szarpnięciem i popędził przed sobą, uchylając się przed lecącymi z góry belkami – płonęły już i waliły się stropy. Ansard raz jeszcze podjął próbę wywinięcia się z uścisku, ale Berg tylko mocniej wykręcił mu rękę.

– Zabij mnie – charczał Ansard.

– Nie jestem mordercą – sprzeciwił się Berg.

– Nie? A kimże jesteś? Myślisz, draniu, że uda ci się ujsć bezkarnie? I ty tu zginiesz, gadzie!

– Dobra, dobra... – Terranin pchnął go przed siebie. – Idziemy. Wiodące do sali tronowej schody przegradzała zwalona belka – Berg musiał się nieźle natrudzić, żeby przewlec ponad nią szarpią cego się Ansarda. Ten przez cały czas wyrywał się, usiłując przygnieść przeciwnika albo się rzucić w szalejące wokół płomienie.

– Ależ mam szczęście do samobójców – wymamrotał Berg. – No, dobrze, ja mam dość!

Przymierzył się i precyzyjnie strzelił Ansarda kantem dłoni w szyję. Lord zacharczał i umilkł. Berg chwycił go za nadgarstki i powłókł w górę po schodach, oczekując, że lada moment ich obu przygniecie jakaś waląca się ze stropu belka. Zatrzymał się na górnym podeście i przez chwilę łąpczywie wciągał w płuca przesycone spalenizną powietrze. Ale i tak oddychało się tu znacznie lżej – w sklepieniu ziały wyłomy, przez które widać było wiszące nad zamkiem chmury, tak niskie, że od dołu podświetlane blaskiem pochłaniających Soler pożarów.

– Jak jest potrzebny, to akurat tego cholernego deszczu nie uświad czysz! – warknął Berg sam do siebie, rozmazując sadzę po twarzy.

I jakby w odpowiedzi na jego sarkanie, usłyszał huk gromu.

Deszcz lunął z taką siłą, że lejąca się przez dziury w sklepieniu woda natychmiast zaczęła tworzyć kałuże. Leżący do tej pory bezwładnie Ansard drgnął i potrzęsął głową, jak człowiek budzący się ze snu. Berg z otwartymi ustami gapił się na pojedynek dwóch żywiołów – wody i ognia. Woda miała przewagę, przesycone dawną wilgocią drewno kiepsko się paliło. Ogień syczał gniewnie, sypał skrami, ale na koniec zrezygnował i skarłał, zostawiając jeszcze tylko gdzieniegdzie płonące mizernie główne.

– No, no... – skwitował to Berg.

Ponownie wykręcił warczącemu wściekle i usiłującemu wstać Ansardowi ręce za plecy i krztusząc się gęstym dymem, pognął jeńca przodem.

Wpadłszy na środek sali, zatrzymał się, dziko tocząc wokół wzrokiem. Z boku musiał wyglądać nie lepiej od Ansarda, który nagle się wyprostował, podniósł głowę i wyprężył, jakby drgnęła w nim niewidzialna sprężyna.

Sala była pełna ludzi.

Nie byli to oberwańcy rabusie ani na poły przezroczyści z głodu mieszczenie, zasuszeni jak liście jesienią, albo spuchnięci, jak nasiąknięte wodą żaby, których ożywiała tylko furia. Nie – wszyscy byli mocnymi, dobrze wyszkolonymi i doświadczonymi żołnierzami, i wszyscy mieli pełne ręce roboty. Kuszniczy nieruchomo

zastygli w swoich niszach, zaś nieliczna, ale sprawna przyboczna gwardia w barwach domu Hrmolda i piechociarze w posiwiałych od popiołu uniformach, umiejętnie rozbierali zwaliska, oczyszczając salę.

Sala tronowa ucierpiała od ognia mniej niż Berg mógłby się spodziewać – zniszczenia ograniczały się jedynie do śladów pospiesznej ucieczki. Teraz sprząтали wszystko ludzie Ermolda, wycierając kałuże krwi i deszczówki wiechciami poszarpanych gobelinów. Trupów też nie było widać – najprawdopodobniej powyrzucano je wprost przez okna i zapewne leżały pod murem, stłoczone jeden na drugim jak ktody drewna.

– Ach, to wy – powitał ich Ermold.

Cofnął się od okna w odległym rogu sali i dlatego Berg go wcześniej nie zauważył.

– A ja się cały czas zastanawiam, gdzie też znikł nasz ambasador Berg – stwierdził regent. – Myślałem, że dawno już się urządził w jakimś przytulnym szałasiku w delcie, a on, jak się okazuje, woli być w samym centrum wydarzeń... Ciekawe, czy wasz kolega też tu jest?

– fa... – Berg nie bardzo wiedział, jak zacząć, pokręcił więc tylko głową. O.uł się idiotycznie – jak komik, którego wypchnięto na arenę pod drwiące spojrzenia widzów.

Ermold skinął głową i dwaj wojacy podeszli do Ansarda, ujęli go pod ramiona i postawili obok Terranina. Dwaj inni stanęli z obu stron Berga. Za plecami usłyszał cichy, ale bardzo wyrazisty szcęk – nie widział wymierzonych w siebie kusz, ale czuł na karku taksujące spojrzenia kuszników.

Ermold strzelił palcami i jeden z uprzątających rumowisko żołnierzy wytaszczył spod stosu potrzaskanych mebli jedyne ocalałe krzesło i z wysiłkiem podsunął je regentowi. Ermold stęknął, usiadł na aksamitnej poduszce i ponownie zwrócił się do Berga:

– Chcieliście mi coś powiedzieć? Nie krępujcie się, ulżycie sobie.

– la... – Berg spojrzał na regenta, a potem przeniósł wzrok na swoje bezużyteczne ręce.

„To już wszystko – pomyślał. – Koniec podróży”. Nie wiedzieć czemu myśl o ostatecznej rozprawie nie budziła w nim strachu – jakby niezauważenie przekroczył jakąś niewidzialną granicę, za którą jego własny los nie miał już znaczenia.

– Tak... – Ermold mierzył go spojrzeniem pełnym namysłu. – Pomyliłem się co do was. Nie dopatrzyłem. A przecież sam powiedziałem – człowiek, który zdradził, może zdradzić i po raz drugi. Ale wiecie... myślałem, że kierują wami szlachetne pobudki, że działacie w interesach Terry. I dlatego ulegacie głosowi rozsądku. A wy jesteście zwykłymi koniunkturalistami. Co tak trzęsiecie głową? Zaprzeczycie?

– Zaprzeczę – sprzeciwił się gwałtownie Berg. – My chcieliśmy... zakończyć

wszystko pokojowo. W końcu byłoby to wygodne dla obu stron.

– Ach tak? – raczył się zdziwić Ermold. – Tacy jesteście szlachetni? Żadnej prywaty? No, no...

Berg milczał i opuściwszy głowę, wpatrywał się w wyszczerbione płyty posadzki.

– Niech wam będzie. Nie chowam urazy. Sprawa zamknięta. Jak widzicie, wasza szlachetność nie na wiele się zdała.

– Więc – nie wytrzymał Berg – zostało wam jeszcze sporo prochu? Ten nieszczeńnik...

– Prochu? Nie. Pigularz stracił wtedy cały zapas – na próby. Niewiele brakowało, a byłoby się wam udało. Niewiele... Nie obarczajcie się winą, ambasadorze Berg, zupełnie możliwe, żeście postąpili słusznie i godnie, tyle że okoliczności sprzysięgły się przeciwko wam.

Zwrócił się do Ansarda:

– Nie mogę zrozumieć, czemu nie wybraliście honorowej śmierci z bronią w rękę. Myślałem nawet, że gdzieś was zatłuczono bez mojej wiedzy. Posłałem nawet ludzi na poszukiwania. A wy zaczailiście się na terrańskiego ambasadora? Co, chcieliście się zemścić? Chcę was za pewnić, że on nie miał z tym niczego wspólnego. Wy z kolei, mój panie – te słowa skierował Ermold do Berga – okazaliście się za dużym dla niego kęsem. Ciekaw jestem, czemu go nie zabiliście na miejscu. Przecież – o ile mi wiadomo – swego czasu potraktował was nieprzy-jaźnie. Czemu darowaliście mu życie?

– Nie jestem mordercą – stwierdził beznamiętnie Berg.

– No tak, to oczywiste... Po co zabijać własnymi rękoma, skoro mogę to za was zrobić sam? Przecież po to go tu przytaszczyliście, prawda?

Berg wzruszył ramionami – i ten gest wystarczył, żeby obaj strażnicy przysunęli się doń bliżej.

– Nie do tego zmierzałem. Ale skoro już tak wyszło... cóż, róbcie z nim, co chcecie. Teraz, skoro macie go w rękę, pó co przedłużać tę rzeź?

Ermold spojrział nań ze zdziwieniem.

– Przecież już jest po wszystkim. Nawet pożaru nie trzeba gasić. Ta ulewa przyszła w samą porę. Tym razem się przydała, niepraw daż?

– Po wszystkim? – wymamrotał Berg. – Ale przecież... Gdzieś z głębi korytarzy rozległ się przygłuszony odległością wrzask – i urwał się równie nagle, jak zaczął. Berg znów drgnął, ale natknął się plecami na wyraźnie kłujące ostrze.

– No przecież nie jestem bydlęciem! Rzeczywiście uwierzyliście, że każę rznąć kobiety i dzieci? Po co? Tym bardziej, że już wcześniej postarał się o to ten nasz chwatał – skinieniem głowy wskazał Ansarda. – Sami zresztą widzieliście, jak to było: ci, co

stawiali opór z bronią w ręku, poszli pod miecz, jasna sprawa, ale to, co się działo w zamku, to głównie zasługa waszych kochanych Soierczyków. Trzeba im będzie skrócić cugle; nie wiadomo dlaczego, wszelkie zmiany władzy mają bardzo niedobry wpływ na poddanych. Ale domyślam się, dlaczego jesteście tutaj, a nie kryjecie się gdzieś w skromnym szalasiu... la szczupluka pannica, prawda? Znaleźliście ją, tę swoją ukochaną?

– Nie! – wycharczał Berg, wbijając w Ermolda nienawistne spojrzenie.

– No, to lepiej zabierzcie się do szukania. Być może jest jeszcze żywa.

– Ermold! – zagrzmiął nagle Ansard. – A ze mną co zamierzasz zrobić?

Wyrwał się, roztrącił strażników, z niespodziewaną zręcznością śmignął ponad stosem połamanych mebli i stanął przed regentem.

Stojący przy wejściu kusznicy podnieśli broń do oczu, ale Ermold wstrzymał ich krótkim machnięciem dłoni.

Ansard sięgnął po miecz, ale nie znalazł go przy boku, więc wyciągnął zza pasa cudem ocalałą rycerską rękawicę i rzucił ją na posadzkę przed Ermoldem.

– Nie uda ci się mnie powiesić, jak pospolitego zbója! Żądam sądu bożego!

Ermold patrzył na niego w milczeniu i stukał opuszkami palców w podłokietnik krzesła. Potem stwierdził zimno:

– No, no... nie lada z ciebie zuchwalec!

Niech Bracia ukarzą mnie sami. Tylko oni mają do tego prawo – ponieważ straciłem swoją nieśmiertelną duszę, podążając za fałszywymi zwiastunami i znakami. Myślisz, żeś taki ważny, iż pozwolą ci zająć ich miejsce, dając ci prawo sądu i kary? Zasłużyłem na swój los i jestem gotów na śmierć i na spotkanie z moim krewniakiem. Spojrzę mu w oczy, kiedy spotkam go u wrót krainy spokoju, czekającego, by mnie zapytać, czemu go zabiłem tak podle i nie po rycersku... przecież mi utai jak synowi...

– No proszę, w dodatku poeta... Niech ci będzie. Kogo wyzywasz? Mnie?

– Ty też odpowiesz za wszystko – Ansard niemal spopielił Ermolda spojrzeniem. – Wcześniej, albo później. Wszyscy odpowiemy. Ale jest jeszcze jeden winny.

Odwrócił się do Berga, podniósł rzuconą wcześniej rękawicę i ponownie cisnął – tym razem Bergowi w twarz. Ambasador się cofnął i rękawica z chrzęstem spadła na posadzkę.

– Wyzywam jego.

– No, no... – odezwał się zaciekawiony Ermold. – I jakże się to wam podoba, messer Berg?

– To jakaś bzdura – stwierdził Berg ze znużeniem w głosie.

– Gdzież w tym wszystkim moja wina? Jak mogłem, starałem się za pobiec temu

szaleństwu.

– Niewykluczone... ale nie wiedzieć czemu, on myśli inaczej.

– Wyjaśnijcie mu... Do upadku Soleni my ręki nie przyłożyliśmy...

– Już to mówiłem. On nie wierzy. Zresztą, może nie tylko o to mu chodzi.

– A niech sobie myśli, co chce – Berg wzruszył gniewnie ramionami. – Nie mam czasu ani ochoty na dziecięce zabawy w rycerstwo...

– O, nie – sprzeciwił się Ermold. – Nie możecie mu odmówić. Takie są reguły, zechciejcie to zrozumieć. Mógłbym wam powiedzieć, że po odmowie stracie status posła i być może coś jeszcze. Staniecie się pariasem, messer Berg, w każdym razie tu, w Solerze. Co prawda was chyba niewiele to obchodzi. Ale... spieszy się wam, prawda? Więc nie wyjdziecie z tej Sali, zanim nie rozprawicie się z tym czło wiekiem.

Uśmiechnął się i dodał:

– Godzi się zauważyć, że to wyzwanie powinno was w końcu zadowolić. Tak czy owak, uznał was za rycerza dość godnego, żeby skrzyżować z wami broń.

W tej chwili Berg zauważył, że stoi przed Ermoldem sam, jak palec – z lewej i prawej strony nikt go już nie pilnował. Za to kusznicy, stojący po obu stronach fotela Ermolda rozdzielili się. Jedni nadal baczyle na Ansarda, a inni wymierzyle ciężkie bełty w jego pierś.

– Panie Ermoldzie – głos Berga zabrzmiał prawie żałobnie. – Po co wam to widowisko?

– To nie mój pomysł – regent usiadł wygodnie, najwyraźniej szykując się do obejrzenia pojedynku.

Berg rozejrzał się dookoła. Spoglądało na niego wiele par oczu, kusznicy, pikinierzy, kapitanowie knechtów – wszyscy powyższymi nie wiadomo skąd, wyroili się z głębi korytarzy i tłoczyli w drzwiach.

– Rzucił wam wyzwanie, więc wybór broni należy do was – po informował go uprzejmie Ermold.

– Szlag by go trafił, co mi za różnica! Niech bierze, co chce! Ktoś usłużnie podał mu jego topór, który jeszcze przed chwilą leżał na posadzce.

– Miecz – wycharczał Ansard. – Wybieram mój miecz.

– Nie mam pojęcia, łaskawy panie, gdzie jest wasz miecz – Ermold jak przedtem był wcieleniem uprzejmości. – Ale możecie wziąć którykolwiek z solerskich. A może wolicie jakąś głównię z Retry?

– Przekleństwo na waszą Retrę!

Ansard obrócił się na pięcie i stanowczym krokiem ruszył ku ścianie, na której w swoich śmiercionośnych gniazdach drzemały skrzyżowane miecze – a tłum się

rozstąpił, otwierając mu drogę.

Berg patrzył za nim wzrokiem pełnym niedowierzania i zdumienia. Zważył w dłoni topór, który wydał mu się zdumiewająco nieporęcznym i niepotrzebnym, przyjął bojową pozycję i ponownie opuścił topór.

– No... – Ermold najwyraźniej chciał mu dodać ducha. – Nie krepujcie się.

– Przekleństwo na wasz łeb!

– Wszyscy dziś są jakoś mało pomysłowi – stwierdził Ermold ze smutkiem w głosie.

Ansard wyjął z pochwy jakiś miecz, przez chwilę ważył go w dłoni, potem położył delikatnie na posadzce i wziął drugi. Był to ciężki dwuręczny miecz o prostej głowni, który wydał się Bergowi za wielki, lorczę jednak ujął go bez wysiłku za rękojeść, wyszedł na środek komnaty i wskazał sztychem miejsce przed sobą.

„To nie może dziać się naprawdę – pomyślał Berg. – Iby jakiś zły sen. Na jawie nigdy bym się nie wpakował w takie gówno”.

I wyszedłszy na środek szeroko rozstawił nogi, stając naprzeciwko Ansarda.

Leon zrobił kilka kroków – ostrożnie, jakby sprawdzał twardość podłogi. „Pułapki – przypomniał sobie. – W tamtym labiryncie były pułapki”. Ponownie rozejrzał się dookoła. Pochodnia trzeszczała i sypała skrami, ale w jej rozedrganym blasku ściany i posadzka wyglądały solidnie – jak powinny wyglądać porządne ściany i posadzka.

– Co, wy znowu swoje? – zapytał głośno.

Jego własny głos wydał mu się słaby, obaj zresztą w tym królestwie pustki wyglądali jak dwoje zagubionych sierot – dwa żałośnie bezradne kęsy żywego ciała.

– Bawicie się? Wesoło wam? – krzyknął ponownie w pustkę. – Oto jestem! Proszę, przyjrzyjcie się, ile wola!

I ruszył korytarzem niknącym w odległym mroku. Alf szedł tuż za nim, skradając się niczym bezcielesne widmo. Korytarz był wyraźnie za długi, dłuższy od szerokości całego zamku, znajdowali się gdzieś na poziomie pierwszego piętra i musieli już wyjść za obręb miejskich murów, przed sobą jednak wciąż widzieli wąski obramowany kamieniami tunel, który mógł się jeszcze ciągnąć przez wiele kilometrów, przez cały czas na poziomie okien pierwszego piętra, co niczego by nie zmieniło. W tym świecie, w tak misterny sposób sprzężonym z tamtym, który przed chwilą opuścili, nie działały zwykłe prawa przyrody. Wszystko w nim było wywrócone na nice, wszystko dostosowane do potrzeb nieznanych gospodarzy planety.

– Wesoło wam? – powtórzył Leon. Zaschło mu w gardle i przez chwilę zanosił się kaszlem, ale po chwili znów zawołał: – Szlag by was trafił, paskudy, bawcie się. Ja też jestem bezradny – taki sam idiota, jak pozostali. Wszyscy ci nieszczęśnicy, których

wrzuciliście w lejek waszej piekielnej maszynki do mielenia mięsa.

– Myślicie, panie, że odpowiedzą? – cichutko zapytał Alf.

– Nie – odpowiedział Leon. Jego patos i zapał nagle się ulotniły.

– Nie sądzę. Oni w ogóle... wiesz... mogą być niezdolni do nawiązania porozumienia, przynajmniej tak, jak my to rozumiemy. Ale z pewną pewnością nas słyszą.

– I pojmują?

– O tak – stwierdził Leon z goryczą w głosie. – Doskonale nas pojmują.

A potem dodał ze smutkiem:

– W tym całe nieszczęście.

Wokół panowała porażająca cisza. Huk pożaru, wrzaski rozjuszonych tłuszczu, łoskot walących się belek – to wszystko zostało gdzieś w innym wymiarze, oni zaś zeszli ciągnącym się w nieskończoność korytarzem. Leon początkowo ostrożnie obmacywał każdą płytę przed sobą, ale dość szybko dał sobie z tym spokój. Jeżeli pozwolono im tutaj wejść, po cóż gospodarze mieliby zastawiać na nich jeszcze pułapki?

– Chcecie mnie zabić? – zawołał ponownie. – Proszę barcizo! Nie krępujcie się. Mam już dość, rozumiecie? Po co ja się tu przed wami wygłupiam? Wrzeszczę, udaję widmo ojca Hamleta. Przecież o to właśnie wam chodziło, prawda? Mam dość. Nie chcę się już bawić.

Krzyżując, zwracał się do niewidocznych obserwatorów w języku miejscowym na przemian z uniwersalnym, i nawet tego nie zauważył.

„Chcę tylko jednego – myślał. – Spojrzeć wam w oczy. Jeżeli w ogóle je macie... Oduczycie się okazywania litości – myślał dalej – czy też nigdy jej nie znaliście? Przecież, dopóki na to pozwalaliście, wielbiono was jak bogów. Potem odeszliście w mrok i pozwoliliście, aby tutejsi ludzie wymyślili sobie własną religię. Ale zostaliście w ich pamięci jako nieczyste stwory z bajek, którymi straszy się dzieci. Cokolwiek byście o nich nie myśleli, za kogokolwiek ich byście nie uznali, ich cierpienia są realne, ich ból jest prawdziwym bólem. Czyżbyście tego nie rozumieli?”

Westchnął i spojrzał spod oka na Alfa, który w skupieniu szedł tuż za nim.

– Może zostawilibyście ich w spokoju? – zapytał Leon szeptem. – Co?

– Co? – powtórzył jak echo Alf.

– Nic – odpowiedział Leon. – Nie do ciebie mówię.

– Też znaleźliście sobie rozmówców – Alf pokręcił głową i szarpnął kołnierz, kurtki, jakby coś go dusiło.

– Jak – zgodził się Leon. – Masz rację.

Opadło go zmęczenie. Krzyki i prośby były zupełnie nie na miejscu, bezcelowe. Skąd mu przyszło do głowy, że w ogóle zostanie wysłuchany? Znaczący, oczywiście, oni

go słyszeli i widzieli. Tak jak on, w domu, na nieprawdopodobnie odległej Ziemi, oglądał i słyszał program wideo.

Alf, owszem, ten słyszał. Ten rozumiał.

Leon pomyślał chwilkę.

– Teraz to już... Powiedz szczerze, nasze pierwsze spotkanie w tamtej tawernie... było przypadkowe, czy nie?

Przez twarz Alfa przemknął cień dawnego uśmiechu.

– Przypadki, panie, rzadko się zdarzają same z siebie. Po mieście krążyły słuchy, że przybyli do nas posłowie z dalekiego kraju zwanego Terrą taka tam Terra... Guntr mówił, że za morzem nie ma żadnych krajów, że jesteśmy sami na tym świecie i jeżeli – powiadał – przybędzie do nas ktoś z daleka, to raczej z nieba, z gwiazdnej otchłani. Przypuszczał, że rozmaitych światów we Wszechświecie jest więcej niż pcheł na psie i wszędzie żyją ludzie. Na jednych lepiej niż my, na innych gorzej... Kiedyś to wszystko musi się skończyć, mówił, trzeba tylko poczekać... i miał rację.

– Być może – stwierdził Leon rzeczowo – obaj się pomyliliśmy. Ty – dlatego, że w nas uwierzyłeś. A my dlatego, że nie uwierzyliśmy tobie.

– Owszem – zgodził się Alf. – Ale przecież błędzić jest rzeczą ludzką.

Coś poruszyło się tuż obok – w gładkiej, równej ścianie na ich oczach zaczął się formować otwór, migotało powietrze i iskrzył się kamień – aż wreszcie pojawił się przed nimi wylot kolejnego korytarza, ślepy i czarny, ale gdzieś tam w głębi zapalały się i gasły jakieś iskry i słychać było równomierny plusk spadającej wody. Jakby sam czas kropla za kroplą odpływał w mrok.

– Panie... – wyszeptał Alf z trwogą w głosie.

– Nie bój się – uspokoił go Leon. – Jak do tej pory zostawili nas przy życiu, czyli nic nam nie zrobią. Jesteśmy im do czegoś potrzebni. Po prostu zapraszają, żebyśmy tam weszli, to wszystko.

„Jak – pomyślał – to już wszystko. Jakikolwiek by nie by) koniec tej osobliwej gry, to jest ostatnia scena. Kurtyna”. Czuł nawet jakąś osobliwą wdzięczność, że dane mu będzie obejrzeć zakończenie.

– Panie... Czy wy się ich wcale nie boicie? – zapytał zdziwiony Alf.

– Nie wiem – pokręci) głowa Leon. – Oni są na to zbyt... wszechmocni, czy co? Jakże można się bać, powiedzmy, wieczności? To bez sensu.

– Znaczy – stwierdził cichutko Alf – niczego im nie można zrobić?

– Możemy się o nich dowiedzieć czegoś więcej, a to już coś – odpowiedział Leon. – A poza tym... czy mamy jakiś wybór?

Pchną) lekko młodzika ku tak usłużnie otwartemu przed nimi przejściu.

– Jesteśmy – powiedział głośno. W następnej chwili zobaczył, co go otacza, i nie zdołał powstrzymać pełnego zdumienia westchnienia. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego.

Ennold skinieniem dłoni dał znak do rozpoczęcia pojedynku. To wystarczyło – Ansard dziko zaryczał, zerwał się z miejsca, uniósł miecz nad głową i rzucił się na Berga. Ten wysunął topór przed siebie, gestem bardziej obronnym niż sygnalizującym przejście do przeciwnatarcia.

Ciężki miecz błysnął w powietrzu i topór zadzwonił od uderzenia, które omal nie wybiło Bergowi oręża z rąk. Terranin cofnął się o krok i uskoczył) – Ansard przeleciał obok i pchany siłą bezwładności zrobił jeszcze kilka kroków, zaraz jednak zatrzymał się, odwrócił i ponownie skoczył na przeciwnika.

Berg błyskawicznie przechwycił) rękojeść, która posłusznie ułożyła się w jego dłoni i zamiast ponownie się cofnąć, dając przeciwnikowi miejsce na wzięcie zamachu, dała nura pod miecz i jednocześnie podciągnęła) Ansarda uderzeniem stopy w kostkę. Ansard chybnął się niebezpiecznie i sztych jego miecza ze świstem ugodził) w posadzkę, krzesząc sноп iskiei.

Ciało posła przypominało sobie nawyki wbijane kiedyś na treningach. Jakże się wtedy złościł maleńki Japończyk Ishiro, który gonił Berga po placu, aż zaczynało mu się robić ciemno przed oczami...

– Ermold! – zawołał Ter rani n ponownie, jednocześnie łapiąc utraconą równowagę, – Zatrzymajcie to... szaleństwo!

I natychmiast tego pożałował – Ermold wzruszył tylko ramionami, nie racząc odpowiedzieć mu choćby jednym słowem, zaś Berg zgubił rytm oddechu i kiedy Ansard ponownie się na niego rzucił, ledwo zdążył się uchylić, a stał lekko musnęła go w ramię. Nie poczuł nawet bólu, tylko coś gorącego i lepkiego zaczęło mu się sączyć przez rękaw. Nie wiadomo dlaczego tkanina natychmiast nabrała ciężaru ołowiu, jemu samemu zaś zadzwoniło w uszach i doznał uczucia niezwyklej lekkości, jakby był dziecięcym balonikiem, który lada moment oderwie się od ziemi i frunie ku osmalonemu sklepieniu.

Ansard ponownie ruszył do ataku – w jego nieubłaganych i niezmordowanych mechanicznych ruchach było coś przerażającego, a nienawiść, którą Berg widział w jego oczach, gdy stykali się wzrokiem, sama z siebie mogła zbić z nóg, niczym elektryczny ładunek obezwładniający.

Cholerny topór przestawał być mu posłuszny, jakby zdołał nabrać dodatkowej wagi i zaczął poruszać się samodzielnie, przez cały czas usiłując się wymknąć z trzymających go dłoni. „Sztyletem dostałbym drania szybciej – pomyślał, ale nie miał już czasu na

zmianę oręża. – Trzeba się pospieszyć, bo za chwilę sam się stanę bezwładnym powietrznym balonikiem”.

Uniósł topór wysoko nad głowę, a gdy tym razem stał lekko przyjęła uderzenie długiej głowni, błyskawicznie opuścił ostrze, czując niemal z przerażeniem, że bez najmniejszego oporu oręż wchodzi ukosem w coś miękkiego i zatrzymuje się na czymś twardszym. Ansard, nie wiedząc czemu, przysiadł, zachwiał się – drzewce topora targnęło się Bergowi w dłoniach jak żywa istota, w zdumieniu rozluźnił uścisk, wypuszczając broń z rąk. Ansard zwalił się na kolana. Miecz upadł na posadzkę, lord przez chwilę szukał go wzrokiem, potem z trudem skupił spojrzenie na Bergu, rozchylił wargi i na jego podbródku pojawiła się strużka krwi.

– Dlaczego? – wycharczał z trudem. W jego oczach widać było głębokie, niemal dziecięce zdumienie.

– Ja... nie chciałem – wymamrotał Berg i nawet jemu samemu stwierdzenie to wydało się bezdennie głupie.

– Ty... odmieńcze... nawet nie jesteś wojownikiem... A ja...

Uniósł się lekko i w jego wzroku pojawiło się wyzwanie:

– Dobij mnie.

Nie wiedząc, jak potraktować to żądanie, Berg zwrócił się w stronę Ermolda.

– Dobrze mówi – kiwnął głową regent. – Panie ambasadorze, okaleczyliście go tak, że się już nie podniesie. Rozrąbaliście go niemal na dwie części. Teraz okażcie mu litość i skończcie z nim.

Berg zachwiał się i musiał złapać kogoś za ramię, by nie utracić równowagi. Pierścień widzów, którzy na czas pojedynku rozsądnie się rozstąpili, teraz był niemal zamknięty wokół przeciwników. Wszyscy gapili się płonącymi oczami i jeden przez drugiego wyciągali szyje.

– (a... nie mogę – wymamrotał Berg.

– Możecie – uspokoił go Ermold. – To bardzo proste... Raz – i gotowe. O tu... – Powiódł palcem po swojej szyi. – Dajcie mu mi-zerykordię.

– Żeby was wszystkich cholera wydusiła – sapnął obezwładniony rzeczowością regenta Berg.

Ansard na oślep wodził dłońmi po posadzce – i wreszcie zmacawszy leżący obok miecz pociągnął go ku sobie. Nie mogąc dosięgnąć rękojeści chwycił za ostrze – stał przecięła palce do kości i natychmiast zabarwiła się krwią. Berg mimo woli cofnął się o krok.

Ansard uśmiechnął się pogardliwie.

– Tchórz – wystękał.

I balansując ciężką głownią wbił z rozmachem sztych w jamkę tuż pod grdyką.

– No i widzicie, jakie to proste – odezwał się Ermold za plecami Berga.

Berg nie odpowiedział. Pociągnął topór ku sobie – musiał się niełicho wysilić, żeby uwolnić utkwioną głęboko w rozciętym korpusie stal i zemdlilo go niemal, gdy usłyszał mlaszczący dźwięk. Pierścień widzów znów się cofnął, zostawiając go pośrodku sali samego z trupem. Ansard leżał na posadzce, z bezwładnie rozrzuconymi nogami i rękami, niczym szmaciana kukiełka, a na jego twarzy zastygło zdumienie, pomieszane z niemal dziecinną urazą.

Siedzący nieruchomo na krześle Ermold zmienił chwyt kurczowo zaciśniętych na podłokietnikach dłoni.

– Gratuluję, panie ambasadorze – odezwał się. – Piękny cios.

Berg cisnął precz bezużyteczny już topór.

– Oto macie swój sąd boży – powiedział prostując grzbiet. – I co, jesteście zadowoleni?

– Może was to zdziwi – odezwał się Ermold niezbyt głośno – ale podobne widowiska wcale mnie nie bawią. Za bardzo to wszystko... patetyczne, ale nie zrobiłem tego dla przyjemności. Zrobiłem to dla niego. Dla Ansarda. Mam nadzieję, że byłby zadowolony. Zginał z ho norem. Tak, jak tego chciał.

I dodał z nikłym uśmiechem na ustach:

– Wiecie... on był bardzo dobrym wojownikiem... Ponownie klasnął w dłonie. Od ściany oderwali się dwaj ludzie, którzy podeszli do Ansarda.

– Bądźcie pewni, że zostanie pochowany z wszelkimi honorami – stwierdził Ermold.

Berg, nie patrząc za siebie, wyciągnął rękę i ktoś włożył mu w dłoń nóż. Ambasador odciął kawał płótna z poły koszuli i pomagając sobie zębami przewiązał ramię. Przez chwilę stał jeszcze nieruchomo, patrząc spode łba na Ermolda.

– Czy mogę się uważać za wolnego? – zapytał wreszcie.

Ermold uniósł brwi.

– Ależ oczywiście. Przez cały czas mieliście, swobodę wyboru, nieprawdaż? Ale jeżeli chcecie zapytać, czy możecie odejść, gdzie wam się podoba, to odpowiedź brzmi: tak.

Berg się odwrócił i ruszył ku wyjściu. Stojący w milczeniu kusznicy rozstąpili się skwapliwie, robiąc mu przejście.

– A jeżeli czegoś będziecie potrzebowali, to nie krępujcie się i śmiało przychodźcie do mnie – rzucił za nim Ermold.

Berg zatrzymał się w drzwiach i odwrócił w stronę regenta.

– Gdzie ona jest? – zapytał. – Myślałem, że... znajdę ją gdzieś tutaj...

– Wasza dziewczyna? – Ermold pokręcił przecząco głową. – A! Myśleliście, że ją gdzieś ukryłem, żeby samemu się zabawić? Nie, zapewniam was, że jej tu nie było. Czemu nie poszukacie w swoich komnatach?

– Już tam byłem – przyznał Berg.

– No to zajrzyjcie jeszcze raz. Przecież byłoby to bardzo naturalne, że wierna kochanka czekała tam, gdzie ją możecie bez trudu znaleźć. Oczywiście, wszystko się tam wypaliło, ale teraz już skrzydło jest dostępne. Moi ludzie oczyścili przejście.

– Ty... – znużony Berg przeszedł na uniwersalny. – Niech cię szlag trafi! Jesteś gorszy od diabła...

– Co proszę? – zapytał uprzejmie Ermold.

Mechanicznie przestawiając nogi, Berg wyszedł z sali tronowej. Nie czuł niczego, oprócz osobliwej pustki wewnątrz. „Trzeba się pospieszyć” – myślał. Z niewiadomej jednak przyczyny nie umiał się zmusić do przyspieszenia kroku – jakby popychająca go dotąd ręka nagle rozluźniła uścisk i rozplynęła się w nicości.

Odebrał pochodnię stojącemu przy wyjściu gwardziście – ten bez słowa odsunął się na bok – i ruszył dalej, do bocznego skrzydła zamku.

Wszędzie było widać ślady pożaru, ale sam ogień już zgasł. Kamienne ściany były osmalone tłustym kopciem, na podłodze leżało jakieś poczerńiałe truchło, ale gdy Berg zmusił się, by obejrzeć je dokładniej” stwierdził, że trup miał na sobie metalowy napierśnik i miedziane płyty, będące pozostałościami żołnierskiego ekwipunku. Terranina ponownie zemdlilo i musiał się oprzeć o ścianę, żeby odetchnąć.

Im dalej wchodził, tym większe były zniszczenia. Otaczał go chaos agonii drewna i kamieni. To, co zostało z mebli, w ogóle nie było do niczego podobne. Wśród dymu snuli się jacyś ludzie – najwyraźniej przysłani tu przez Ermolda sprzątacze zwłok. Jeden z nich wpadł na Berga i ten odepchnął go na oślep. Dopiero teraz przypomniał sobie o Leonie: gdzież tego poniosło? Zdrowo mu przyłożył, ale przecież nie tak, żeby... Dawno już powinien się był ocknąć. Czemu się nie zjawił w Sali Tronowej? I jak jemu, Bergowi, udało się zapomnieć o towarzyszu na kilka ostatnich godzin? Boże, a jeżeli ktoś go dorznął, gdy leżał nieprzytomny, tak po prostu, mimochodem?

Nabrał tchu w płuca i zagrzmiął:

– Leon!

I natychmiast się zakrztusił, nałykawszy się dymu.

Skulił się pod ścianą targany spazmami, a przed oczami tańczyły mu purpurowe ogniki. Po chwili odzyskał oddech, otarł usta rękawem i ruszył dalej.

Ustawione w amfiladzie komnaty były, jak na drwinę, puste. Przejście zagradzały zwalone belki stropu. Usiłował obejść je ostrożnie, ale pod pierwszym dotykem

zgliszczą rozsypały się w drobny popiół. Posadzkę zalegała gruba warstwa sadzy zmieszanej z siwym popiołem, w tylnej komnacie, nie wiedzieć czemu runęła ściana i drogę przegradzało mu rumowisko kamieni. Stając pośrodku, rozejrzył się niepewnie. Nikogo. Było tak cicho, że słyszał własnym urywany oddech.

– Soreille! – spróbował krzyknąć, ale wydobywające się z jego ust słowa zabrzmiały słabo, jakby nie chciał nikogo przestraszyć.

W komnacie panował jakiś osobliwy zapach – i dopiero po chwili domyślił się, że to dym po wybuchu ładunku prochu.

–! co mam teraz zrobić? – zapytał bezradnie. Ręka bolała dość mocno, ale przestał zwracać na to uwagę. Spojrzył na zabandażowane ramię – rozpełzająca się po płótnie plama była już nie jaskrawo czerwona, ale brunatna. Ból był już tylko zwykłą reakcją, która następuje po pierwotnym szoku.

W mroku mignęła jakaś figura. Berg drgnął, jak dźgnięty sztydłem.

Kobieta poruszała się bezgłośnie, jakby płynęła nad posadzką i rozsuwała przepojone spalenizną powietrze, niczym ciepłą, mętną wodę.

– Soreille! – ryknął, tym razem z pełnej piersi.

Nie odwróciła się nawet.

Berg skoczył za nią. Śmignął nad stosem zetlałych mebli nawet sobie nie zdając sprawy – nie spuszczał z oczu niknącej w mroku sylwetki.

W końcu zbliżył się na tyle, że mógł dotknąć jej ramienia. Lekko poruszyła dłoń, jakby odpędzała się od natrętnego owada, ale nie oglądając się, szła dalej, chwycił ją więc za nadgarstek i jednym szarpnięciem odwrócił ku sobie. Jego rękę natychmiast przeszyła igła bólu. Zdrowym ramieniem podniósł wysoko w pochodnię i spojrzał w jej twarz, do tej pory majaczącą w mroku białawą plamą.

– Soreille – odezwał się zupełnie już cicho. – Co ty...

I urwał.

Dziewczyna patrzyła nań doskonale beznamietnym wzrokiem – jej szeroko otwarte oczy były ślepe, zaś na jej ustach zamarł nikły, bezmyślny uśmiešek.

Rozluźnił palce i dziewczyna natychmiast ruszyła przed siebie, tak samo mechanicznie, jak przedtem, przestępując zwały śmieci i połamanych mebli. Natknąwszy się w korytarzu na osmalonego trupa, po prostu przeszła nad ciałem – płynnym, powolnym ruchem, nawet nie unosząc rąbka sukni.

Berg szedł za nią bez słowa, jakby prowadzony na niewidocznym sznurze.

Soreille dotarła do niczym się nie różniącego od innych miejsca; zatrzymała się i przyłożyła dłoń, a Berg zobaczył, że mur zaczął znikać – nie rozstąpił się, tylko zwyczajnie rozplął w powietrzu, jakby prze stała nagle działać siła wiążąca atomy,

z których składały się kamienie. Dziewczyna zatrzymała się na chwilę przed odsłoniętym w tak nie zwykły sposób, zionącym czernią otworem; obróciła się – Berg znów ujrzał jej ślepe spojrzenie i marzycielski uśmiech na twarzy – a potem bezgłośnie weszła w głąb tajemniczego przejścia.

– O Boże! – wymamrotał Berg.

I machinalnie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ruszył jej śladem.

Znów znalazł się w sali z podziemnym jeziorem. Tyle że teraz był z nim Alf, tak mocno ściskający mu w ramię, że niemal całkowicie zdrętwiało. Porzucone kopalnie leżały w odległości kilku dni konnej jazdy od Soleni, ale obaj z minstrelem znaleźli się właśnie tam – pośród wyrastających ze sklepienia stalaktytów, pęków podobnych do organowych rur i dziwacznych kolumn. Światło pochodni – czy naprawdę jednej, jedynej pochodni? – tańczyło na kamiennych gra niach, odbijało się na powierzchni czarnego jeziora, w którą leniwie, wiek po wieku i tysiąclecie po tysiącleciu, padały krople przesyconej wapnem wody.

Gdzieś z oddali dobiegała muzyka – czysta i zimna jak górski kryształ, i Leonowi wydawało się, że odbłaski światła na kamieniu drgają lekko w takt dziwacznie zestawionych akordów.

Teraz widział wszystko zupełnie inaczej, jakby ktoś niewidzialny zdarł czarodziejską zasłonę, do tej pory okrywającą rzeczywistość. Z pewnością zresztą i to nie była rzeczywistość ostateczna – tylko jedna z możliwych, wariant albo kolejna wersja próbna... Białe znieruchomiałe figury już nie wydawały mu się tworamii przyrody – byli to ludzie, a raczej obleczone w kamień ludzkie sylwetki, wzorce wedle których podziemni rzeźbiarze lepiłi ludzkie ciała, przechowalnia posągów, którym w każdej chwili można było przywrócić życie i z chwilą pojawienia się potrzeby wywołać je z niebytu. Mężczyźni, kobiety i dzieci... zwłaszcza liczne dzieci. Nieruchome twarze, niezbyt wyraziste, rozmyte... można im było nadać dowolne rysy, dowolną mimikę. Sen śmierci, trwające przez wieki oczekiwanie na życie.

„To wszystko – myślał Leon. – Koniec. Czyż można się z nimi dogadać? Oto, co jest za sceną – kulisy z bezładnie zwalonymi dekoracjami, zapylone tryby zamachowego koła losu... tak, ich kukiełki, ludzie, rodzą się i umierają, ale masówka nie ma znaczenia. Jednak od czasu do czasu pojawiają się jakieś kluczowe figury – kształtują się według niewiadomych wzorców. W podatnym ciele rodzi się dusza, schodzi z postumentu, zaczyna działać i o wszystkim zapomina – w tym również o tym czarnym jeziorze, nad którym przez wieki spala ciężkim snem niebytu”.

Oni chyba nie lubią na darmo tracić ludzkiego materiału. Albo usuwają nadmiar – ziemia Średnich Marchii może wyżywić tylko ograniczoną liczbę aktorów. A część magazynują tutaj, jak lalkarze, którzy składają w skrzyni niepotrzebne już marionetki.

Niektórym z pewnością zostawia się swobodę woli, żeby ciekawiej było nimi manipulować, zmuszać do zagrania narzuconej roli. Podsuwać myśli, popychać, wmawiać, że wszystko się dzieje samo z siebie. W końcu, jaką satysfakcję dać może praca z absolutnie posłusznym materiałem? To nie twórczość i sztuka, tylko rzemiosło.

– Ach, wy... – zaparło mu dech i pokręcił głową.

Rasa estetów. Cywilizacja reżyserów i producentów widowisk, Jeżeli mogą wszystko, to co im zostaje? Realizacja nieskończonego spektaklu. A jakże, przecież mają wieczność na usługi. Może nawet rywalizują jedni z drugimi – komu wyjdą lepsze efekty i ciekawsza intryga? Który z reżyserskich chwytów jest bardziej elegancki? A on się szarpał i brał wszystko za dobrą monetę.

Stojący za nim Alf zadygotał nieoczekiwanie i Leon usłyszał, jak dzwonią mu zęby.

– Nie zostanę tutaj – wymamrotał młodzik. – Nie chcę... dłużej nie wytrzymam.

– Tak – odpowiedział Leon. – Wiem. Wszystko w porządku. Już stąd idziemy.

Jedna ze stojących w głębi figur nagle się poruszyła. Leon drgnął tak, że niewiele brakło, a wypuściłby pochodnię z rąk.

Ale to był Berg. Stał bez ruchu, jakby należał do tej milczącej armii i wpatrywał się w coś niewidzialnego tuż obok siebie.

– To naprawdę ty? – zapytał Leon zachrypniętym głosem. Berg nie odpowiedział. W jego oczach był spokój, taki sam, jak w wodzie podziemnego jeziora. W końcu westchnął cicho:

– Wiesz... ona tu jest.

– Soreille. – Nie było to pytanie. Leon stwierdzał fakt.

Podniósł pochodnię i biała figura, która wyłoniła się z mroku obok Berga, drgnęła, gdy ożywiła ją gra światła i cieni.

– Szedłem za nią – wymamrotał Berg, którym nagle zaczęło trząść jak w gorączce – a ona podeszła tutaj i stanęła. Po prostu się zatrzymała... i nawet się nie odwróciła... A ja mogłem tylko patrzeć...

– Chyba rozumiesz – stwierdził Leon, sam czując, że brzmi to głupio – że ona przez cały czas była tużaj. W pewnym sensie.

Berg beznamiętnie wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz... Leon ujął go pod łokieć:

– Chodźmy. Chodźmy stąd.

Drugą ręką objął Alfa, cofnęli się i poszli, a biała figura przez chwilę jakby płynęła

za nimi, ale potem wróciła w mrok.

Siedzieli w ruinach starej świątyni u podnóża góry. Nad ich głowami bezgłośnie przeleciała nocna sowa, usiadła na złomie kamiennej kolumny i mrużąc ślepią, patrzyła na nich obojętnym wzrokiem. Gdy Alf dźgnął żerdzią ognisko i ku niebu wzbił się snop iskier, sowa zahukała z urazą i odleciała. Płomień urósł, w jego blasku zobaczyli wyraźnie wyrytą w kamieniu sylwetkę korry, tańczącą i kurczącą się w takt podrygów ognia.

– I co teraz? – Berg potrząsnął głową, jak człowiek, który się bu dzi ze złego snu.

Leon siedział bez ruchu, objąwszy kolana ramionami, i patrzył w płomienie. Nie czuł już strachu, nienawiści czy rozpacz, tylko ogromne, bezbrzeżne zmęczenie.

– Nie wiem – odpowiedział po chwili milczenia. – Zobacz się. Z pewnością trzeba jakoś dotrzeć do Solcru. Wcześniej czy później zaczną nas szukać. Chyba, że Ermold już wyznaczył cenę na nasze głowy.

– Ermold nas nie ruszy. Dostał to, czego chciał. A raczej oni do stali. Wiesz, on mnie zmusił do walki z Ansardem – stwierdził Berg głosem winnego. – Nie chciałem się zgodzić.

– Wiem.

– Zabiłem go.

– Widać uznałeś, że tak trzeba. Berg pokręcił głową.

– Nie, to nie ja. Ja... mogłem odmówić... rzucić wszystko i odejść... albo wreszcie dać się zabić...

– Tak uważasz?

– No... nie wiem. Znaczący, to wszystko z ich poduszczenia? Rzucili nas w sam środek piekła? Te bydlaki, te paskudne kurduple?

– Czemu paskudne? Wyglądają tak, jak wyglądają, bo jest im to do czegoś potrzebne. To tylko cień rzucony w naszą rzeczywistość. Płomień świecy na wietrze. Oni są tylko rozumem, Berg. Rozumem, który może wszystko. Absolutnie wszystko. Co on według ciebie ma robić, przez całe wieki i tysiąclecia...

– Chcesz powiedzieć, że wszystko to było tylko rozgrywanym przez nich spektaklem?

– Nie inaczej.

– Ale po co? Dla kogo? Sami dla siebie?

Leon pokręcił głową.

– Nie. Nie dla siebie, urządzili to dla nas. My jesteśmy widzami – i jednocześnie aktorami. A oni obserwują reakcje widzów.

– Ale czemu wzięli się akurat za nas?!

Leon wzruszył ramionami.

– Dlatego, że jesteśmy tu obcy. Przecież to takie ciekawe... popracować nad nowym materiałem. I popracowali. Ciekawiło ich chyba obserwowanie, jak stopniowo opada z nas powłoczka cywilizacji. Byliśmy przecież tacy dumni z siebie, tacy pewni swego. I tacy diabelnie miłosierni... Prawda?

– Myślisz, że to dlatego? Ermold... on coś mówił o swobodzie wyboru, kiedy ja...

– A więc nie rozumiałeś? Nie było żadnego Ermolda. Mam na myśli – jako osobowość. Czyli był jakiś nic nie znaczący sztachetka na dworze Orsona. Drobna płotka. A ten Ermold, którego poznaliśmy, pojawił się wtedy, kiedy zjawiliśmy się tu i my. Ich rezydent, pośrednik, medium. Dlatego że, pojmujesz, oni nie mogą nami manipulować bezpośrednio. Potrzebny był im ktoś nad nami. Żeby nas prowadzić za rękę i popychać do czynów. Kolejna kukielka. Jak Soreille. Przecież ona była tylko projekcją naszych tajemnych pragnień, moich i twoich.

Berg przez chwilę milczał i myślał nad tym, co usłyszał.

– Ansard nazwał mnie mordercą. Powiedział, że to ja jestem wszystkiemu winien.

Bo tak jest. Przynajmniej po części. Gdyby nie my, Soler by stał do tej pory. Ocalałby i Worland. Ansard nie przyjechałby na dwór margrafa. Nie zdecydowałby się na morderstwo krewniaka. Co tam morderstwo... nie byłoby potopu, dżumy, głodu ani wojny z Retrą.

– Znaczący, cały ten Armagedon...

– Spowodowało nasze przybycie. Jakże wszystko pięknie się zbiegło – nasze przybycie i wybuch supernowej... Nie mogli się powstrzymać. A wiesz, czasami sobie myślę, że i ta supernowa to ich sprawka... Bo jak ma być koniec świata, to pełną gębą, do ostatniego szczegółu.

– Daj spokój. Nie mogą być aż tak wszechmocni!

– Nie? Z pewnością panują nad przestrzenią i czasem. Mogą się przemieszczać, dokąd zechcą i z dowolną prędkością, ale po prostu nie chcą. Po co? Wszechmogący, nieśmiertelni... Albo prawie nieśmiertelni. Wyobrażasz sobie, jak się muszą nudzić? Stulecie za stuleciem oglądać tę samą mydlaną operę. A tu, proszę, zjawiamy się my.

– Taki – taki rozmach? Kosmiczny! I wszystko przez jakichś dwóch przybyszów?

– A czemu by nie? Mogą sobie na to pozwolić. Wyobrażasz sobie, jak ich to bawiło?

– I cała ta cywilizacja...

– To dzieło ich rąk? Myślę, że tak. Nie dzieło, a model. Homunku-lusy, samoreprodukujące się roboty... figurki mechanicznego zegara... Widowisko, w którym aktorzy tak się zżyli z rolami, że zapomnieli, iż są aktorami. A tych, co zaczną

improvizować albo mylić kwestie, zawsze można odwołać.

Westchnął i obrzucił Berga spojrzeniem pełnym winy.

– Wiesz... cały czas tak sobie myślę... a jeżeli to naprawdę oni?

– Kto – oni? – zapytał Berg, nie wiadomo dlaczego szeptem.

– Praprzodkowie. Ojcowie założyciele. Ci, których szukamy już od tak dawna. Oto oni, siedzą sobie w kącie, mrugają do nas znacząco z ciemności, chichoczą i zacierają ręce. Jak myślisz?

– Cholera – mruknął Berg. – Nie wiem. Jakieś to... obraźliwe.

– Gorzej niż obraźliwe – podchwycił Leon. – To poniżające. Mam nadzieję, że w Korpusie nam nie uwierzą. Po prostu dojdą do wniosku, że się załamaliśmy nerwowo pod naporem zbyt silnych obciążeń psychicznych. Ale jeżeli uwierzą?

– Nie... – orzekł Berg. – Nie. Nie wolno do tego dopuścić.

Nie inaczej – kiwnął głową Leon. – Rozumiesz, o czym mówię. Wielcy Prarodzice, mityczni Ojcowie Założyciele – niech takimi właśnie zostaną. Niech ludzkość nadal ich sobie szuka na krańcach Wszechświata, f być może ich znajdzie. Prawdziwych. Wielkich. Mądrych.

– A jeżeli ci tutaj są prawdziwi?

– Kto się o tym dowie?

– Nikt – stwierdził stanowczo Berg. – Nikt. A już na pewno nie ode mnie.

... i nagle coś się zmieniło – po wiklinowych zaroślach przemknął słaby powiew wiatru, dym z ogniska, który przedtem wzbijał się w górę, zaczął się teraz ścielić po ziemi.

Leon odwrócił się, żeby spojrzeć na Alfa. Młodzieniec siedział wyprostowany, jego otwarte szeroko, nie mrugające oczy, odbijały blask płomieni.

I wtedy Terranin poczuł za plecami czyjaś obecność.

Powoli się odwrócił.

– Leon – odezwał się Berg ochrypłym szeptem.

Kamienny wizerunek korry ożył. Po prostu zeskoczył ze ściany i teraz stał przed nimi, kołysząc się na wietrze niby język ognia, i można było przezeń zobaczyć, jak poruszają się i drżą na wietrze wiklinowe pędy.

– Cholera jasna – stwierdził Leon. – To naprawdę wy?

– A co za różnica? – zapytał łagodnie korra.

Czy rzeczywiście to powiedział? A może to, co Leon teraz usłyszał, nie było słowami – w każdym razie nie było dźwiękami, drganiami powietrza?

– To, co teraz widzicie, to do pewnego stopnia my. Leon podniósł gałązkę i pogmerał nią w ogniu.

– I co? – zapytał spokojnie.

– Nie chcecie ze mną porozmawiać?

Wizerunek drgał i podskakiwał, Leon jednak nie czuł ani odrazy, ani gniewu czy nienawiści. Uczucie, jakie teraz żywił do tajemniczych mistrzów marionetek, najbliższe było litości. „Nie rozumiem ich zu-petnie – myślał. – Ale oni są tacy samotni. Czego od nich chceć?”

Głośno jednak powiedział tylko:

– Porozmawiać? O czym? I tak nie powiecie prawdy.

– Prawdy? – uśmiechnął się korra. – Ona nie istnieje. Wicie, z ilu stron można patrzeć na jedno i to samo? Ilu widzów, tyleż prawd. Jaka wam jest potrzebna?

– Nam wystarczy tyko jedna – stwierdził Leon. – Czy to wszystko?

– Niezupełnie. Wasz gwiazdolot jest już na orbicie. Próbują nawiązać z wami łączność. Posłaliśmy już sygnał – co prawda, nie wiedzieć czemu, oni myślą, że to wasz sygnał. Rankiem przyleci szalupa. Właściwie już jest w drodze. Posadzimy ją tu, na tej polance.

– Dlaczego? Chciałem powiedzieć: dlaczego to robicie? Jaki macie w tym interes?

– Żaden.

Korra zniknął, ale zaraz potem pojawił się ponownie.

– Dobrze graliście. Możecie uznać to za honorarium.

– A żebyście pozdychali! – Życzenie popłynęło prosto z serca. Berg, który przez cały ten czas uporczywie milczał i tylko patrzył na korrę spode łba, zaczął się teraz podnosić, mówiąc niby do siebie:

– Zaraz dam komuś w mordę...

Leon chwycił go za ramię i siłą posadził na ziemi.

– To przecież tylko iluzja – wyjaśnił jak małemu dziecku. – Widmo...

– Wy im niczego nie powiecie, prawda? – zapytał korra. – Oni są tacy... obraźliwi i już na tyle silni, żeby nam sprawić pewne kłopoty. Oczywiście i to jest coś warte... znaleźć godnego przeciwnika... Ale to już nie byłaby gra, a my jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby się wami zajmować serio. I dlatego odchodzimy. I to właśnie chciałem wam powiedzieć.

– Odchodzicie? – Leon nieufnie pokręcił głową. – Dokąd?

– Co za różnica? Do innego wszechświata. Albo do innego strumienia czasu. Tam, gdzie jeszcze nie ma ani nas, ani was. Kto wie – może znajdziemy tam swojego reżysera?

Uśmiechnął się, podskoczył i zawisnął w powietrzu.

– A wy? Biedni, maleńcy Terranie, biedni ludzie, co wy zrobicie? My odejdziemy, a wy zostanieie. Wcześniej czy później, zawsze odchodzimy. I cóż będziecie robić

w tym pustym świecie, zostawieni samym sobie? W świecie, w którym można krzyknąć, ile się chce, ale nikt nigdy nie odpowie?

– jakoś sobie poradzimy – stwierdził Leon.

– ...w świecie, w którym nie trzeba się bać nikogo, oprócz samych siebie? Gdzie nie ma cudów, widm, dziwnych zbiegów okoliczności, w świecie w którym nie ma tajemnic i zagadek, nie ma nawet prawa serii? Tylko prawdopodobieństwo, związek przyczynowo skutkowy i twarda rzeczywistość. A jednak łęsz – westchnął Leon.

Korra zachichotał i zniknął. Po ziemi przeleciał podmuch wiatru, który zaraz ucichł i okazało się, że noc blednie i traci barwy, a niebo na wschodzie zaciąga się zielonymi pasmami.

Alf zamrugał niepewnie oczami i drgnął.

– Chyba zasnąłem – powiedział.

– Tak – przyznał Leon. A potem dodał: – Wiesz... podczas, gdy ty spałeś, tutaj się pojawił ten...

– Kto? – zdziwił się Alf.

– Korra. Powiedział, że odchodzą. Więc ostatecznie dopiąłeś swego... jesteście wolni. Od tej chwili będziecie sami popełniać własne głupstwa.

– Korra? – Alf spojrzał na niego z niedowierzaniem w oczach. – Panie, wam też się chyba coś przyśniło. To bajki. Różne rzeczy rozmaici durnie plotą. Kto w nie wierzy?

– Owszem – potwierdził Leon. – Rzeczywiście, kto?

Statek już nadlatywał. Mówiąc prawdę, była to tylko niewielka łódź transportowa, teraz jednak Leonowi wydała się ogromna. Poruszała się majestatycznie, prawie bezgłośnie, pchając przed sobą falę gorącego powietrza, zniżyła się powoli, zawisła nad trawą, a potem stanęła na ognistym słupie – w świetle przedświtów dziobowe i rufowe światła błyszcząły, jak ognie odległego zamczyska.

– Oto i oni – stwierdził Berg.

– Oto i my – poprawił go Leon.

– A niech was – stęknął Alf, który nie mógł oderwać oczu od łagodnie opuszczającej się nad łąkę maszyny. – To mi dopiero! Nawet nie myślałem, że jesteście tacy potężni. To po prostu cudo!

– Tak – potwierdził zamyślony Leon. – Cudo.

Odwrócił się do Berga.

– Wiesz... – odezwał się. – Cały czas myślę... A jeżeli kiedyś i my się staniemy... takimi...

– Nie daj Boże... – odpowiedział stanowczo Berg.